



MITCHELL  
HOGAN

ROZBITE  
IMPERIUM

# Spis treści

Karta tytułowa

Hierarchia magii

Postacie

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24  
Rozdział 25  
Rozdział 26  
Rozdział 27  
Rozdział 28  
Rozdział 29  
Rozdział 30  
Rozdział 31  
Rozdział 32  
Rozdział 33  
Rozdział 34  
Rozdział 35  
Rozdział 36  
Rozdział 37  
Rozdział 38  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Rozdział 42  
Rozdział 43  
Rozdział 44  
Rozdział 45  
Rozdział 46  
Rozdział 47  
Rozdział 48  
Rozdział 49  
Rozdział 50  
Rozdział 51  
Rozdział 52  
Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Epilog

Mapa Cesarstwa

Mapa miasta Anasoma

Podziękowania

Karta redakcyjna

Okładka

MITCHELL  
HOGAN

ROZBITE  
IMPERIUM



HIERARCHIA MAGII

TOM III

PRZEŁOŻYŁ  
MACIEJ PAWLAK

ILUSTRACJE  
PAWEŁ ZARĘBA

fabryka słów®  
LUBLIN - WARSZAWA



# HIERARCHIA MAGII



TYGIEL DUSZ  
KREW NIEWINNYCH  
ROZBITE IMPERIUM

# POSTACIE

CALDAN – sierota i początkujący czarodziej  
w szeregach Protektorów  
MIRANDA – przedsiębiorczyni, niegdyś wilczyca morską  
AMERDAN LEPHAR – sklepikarz z Anasomy  
VASIL LAURIS – sędzia, były śledczy Gwardii Ministerskiej  
ELPIDIA – uzdrowicielka  
IZAK FOURIE – szlachcic  
LADY FELICIENNE (FELICE) SHYRISE – Trzecia Arbitr

## PROTEKTORZY I CZŁONKOWIE GILDII CZARODZIEJÓW

SIMMON – mistrz gildii, mentor Caldana  
ANNELIE – mistrzyni  
MOLD – mistrz

## KOMPANIA HANDLOWA PIĘCIU OCEANÓW

GAZIJA – Pierwszy Wybawiciel  
SAVINE KHEDEVIS – główny kupiec  
LUPHIDERN QUISS – główny kupiec  
MAZOET MIANGLINE – czarodziej  
REBECCI WALRAFFEN – czarodziejka

## DRUŻYNA LADY CAITLYN

LADY CAITLYN – szlachetna inkwizytorka  
AIDAN – dowódca, podwładny lady Caitlyn  
CHALAYAN – plemienny czarodziej  
ANSHUL CEL RAU – fechtmistrz ze Stepów

## INDRYALLANIE

KELHAK – Bóg-Imperator Indryalli  
DZWONKI – czarodziejka







**M**inister Radgir syknął z bólu, gdy indryallański żołnierz popchnął go szpicem włóczni. Grot przebił się przez nocną koszulę, nie dość mocno, by zanadto go poturbować, ale na tyle, żeby poczuł ściekającą po plecach krew. Radgir przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. Ty stary głupcze, ofuknął się w myślach. Powinieneś być trzymać gębę na kłódkę.

Powlókł się przed siebie, tam gdzie kierował go strażnik. Kajdany na nogach ocierały mu skórę. Zacisnął zęby.

Doskonale wiedział, gdzie popełnił błąd. Z obawy o Indryallę zwierzył się rajcy Tadeasowi. Mógł przewidzieć, że ten stary drań wykorzysta choćby strzęp przewagi nad nim, by wzmocnić własną pozycję. Radgir mógł teraz pocieszać się tylko tym, że miał przecież rację. Bóg-Imperator nie był Indryallaninem. A Indryalla nie była Bogiem-Imperatorem.

Niestety, mało kto spośród jego krajan był w stanie oddzielić jedno od drugiego. Ta wojna z Cesarstwem Mahruzańskim to przecież rojenie wariata. Nie dość, że bezcelowa, to na dodatek skazana na porażkę. Indryalla była bogatym krajem, utrzymującym stosunki handlowe z wieloma państwami, zaś indryallańskie rzemysłowa cieszyły się słuszną sławą najlepszych na świecie. Choć tyle zdziałał Kelhak: rozwinął indryallańską wiedzę magiczną, zbudował rzemysłnicze szkoły i zadbał o to, by nie wymknęła mu się żadna studnia.

Czas jednak pokazał, że robił to wszystko z samolubnych pobudek: chciał zbudować armię na własne potrzeby. W żyłach większości wcielonych do niej czarodziejów płynęła jego krew. To dawało pojęcie, od jak dawna Bóg-Imperator obdzielał swym nasieniem rzesze chętnych kobiet.

Ale uważne oko nie mogło nie dostrzec, że Kelhak się zmienił – niegdyś życzliwy i łagodny władca z czasem stał się tyranem i despotą. A Indryalla zmieniła się wraz z nim. Nie był to już kraj, w którym dorastał Radgir. I nie uważał tak tylko przez łańcuchy na swoich nogach.

Podniósł wzrok i spojrzał wokoło, pilnując się, żeby nie obrócić głowy na tyle, by dać strażnikom pretekst do kolejnych ponagleń. Wraz z nim czekało kilkadziesiąt innych osób – wszystkie skute i nieposiadające się ze zdumienia, o twarzach nakrytych maskami przerażenia. Moźni, doradcy, nawet kilku wysokiej rangi czarodziejów. Ich dłonie owijały prowizoryczne bandaże przesiąknięte czerwienią. Strażnicy poobcinali im palce. Jeden z nich szlochał skulony pod ścianą, krwawiąc wprost na podłogę.

To była czystka. Strażnicy nocą wdarli się ludziom do domów, obwołując ich zdrajcami. To nie sprawiedliwość, tylko jatka.

Radgir skrzyżował spojrzenia z inną doradczynią, kobietą imieniem Dorotha, która także stała na zimnej posadzce w nocnej

koszuli. Nie pozwolili jej się nawet ubrać. Radgir darzył Dorotheę zaufaniem; jej pierwszej zwierzył się ze swoich trosk.

Zabiłeś nas – mówiły jej oczy.

I mówiły prawdę.

Odwrócił wzrok i potarł niezgrabne, pomarszczone dłonie. Kiedy się tak zestarzał? Wtedy gdzieś po jego lewej skrzypnęły dwuskrzydłowe drzwi na dziedziniec. Wiatr poruszył płomieniami pochodni i zmroził gołe nogi Radgira. Do środka weszli kolejni żołnierze, zatrzymali się nieopodal drzwi i gestem przywołali do siebie strażników pilnujących więźniów.

– Wszyscy na zewnątrz! – huknął mężczyzna za plecami Radgira. Był tak blisko, że minister czuł od niego alkohol. – Uformować szereg! Zaraz pokażemy wam gdzie. Każdy z was zostanie poddany uczciwemu procesowi, nad którym czuwał będzie sam Bóg-Imperator, niechaj żyje wiecznie.

Radgir zacisnął wargi, ale słyszał, jak niektórzy spośród współwięźniów mamroczą odzew: „Niechaj żyje wiecznie”. Pokręcił głową. Nawet teraz – siłą wyciągnięci z łóżek i wywleczeni przez wyważone drzwi – nie mogli otrząsnąć się z wieloletniego przyzwyczajenia.

Gdy już znalazł się na zewnątrz, powłókł się po bruku we wskazanym kierunku, a potem na rozkaz stanął. Uprzytomnił sobie, że nie obchodzi go, co się stanie, bo i tak tego nie dożyje. Wraz z tą myślą spłynął na niego spokój.

Radgir odetchnął rześkim, nocnym powietrzem. Nad nim migotały gwiazdy. Bezchmurna noc. Nieruchoma. Piękna.

Żołnierze wnieśli stół i krzesło, które ustawili przy ścianie. Jeden z imperatorskich Milczących Towarzyszy stanął na lewo od Radgira. Olbrzym, chyba jeszcze wyższy niż pozostali członkowie jego kasty. Jego okryte skórzanymi rękawicami dłonie zaciśnięte były na rękojeści wielkiego dwuręcznego miecza, którego klinga opierała się o ziemię. Zza pleców Towarzysza wyszedł mężczyzna o urzędniczym wyglądzie, dźwigający oprawioną w skórę księgę, pryzmę papieru oraz przybory do pisania. Usiadł i zaczął rozkładać wszystkie utensylia. Radgir go rozpoznał. To Preben, sędzia pokoju, który słynął ze słabości do alkoholu i zbyt młodych dziewcząt.

Żołądek Radgira zwinął się w supeł. Preben zrobi tutaj tylko to, co będzie najlepsze dla Prebena, a z każdą kolejną monetą, która wpadła mu do kieszeni w ciągu minionych lat, stawał się coraz zagorzalszym poplecznikiem Kelhaka.

Było, jak Radgir się spodziewał – ten proces to granda.

Obok niego stała jakaś szlachcianka w łańcuchach, w odróżnieniu od innych ubrana wienne szaty. Jej droga suknia była jednak podarta i poplamiona od szarpaniny z żołnierzami, a rude włosy splątane i w nieładzie. Drżały jej ręce i mamrotała coś pod nosem. Radgir nachylił się do niej, żeby złowić szeptane słowa, ale nie zdołał nic zrozumieć. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy są w pobliżu jacyś żołnierze. Nie było. Dobrze.

Sięgnął ręką i ścisnął ramię kobiety. Wzdrygnęła się gwałtownie pod jego dotykiem.

– Sza! – szepnął i ścisnął jeszcze raz, nim ręka opadła mu do boku. – Wkrótce będzie po wszystkim.

Tylko tyle mógł zrobić w tych okolicznościach. Wypowiedziane słowa nawet jemu zabrzmiały żałośnie, jakby nie niosły ze sobą żadnej treści.

– Myślisz, panie... że puszczą choć niektórych z nas? Ja nic nie zrobiłam. Tylko gadałam, nic więcej.

Radgir przełknął rosnącą w gardle gulę.

– Możliwe. – Znów skłął się w myślach za słowa bez pokrycia. – Na pewno, pani. Bóg-Imperator jest litościwy.

A przynajmniej kiedyś był.

Szlachcianka pociągnęła nosem, nie unosząc głowy.

Radgir zwrócił się ku Prebenowi, który właśnie powiedział coś do stojącego obok żołnierza. Obaj buchnęli śmiechem, a potem sędzia zanurzył pióro w kałamarzu. Oficer w asyście szeregowców podszedł do pierwszej osoby w szeregu. Jednocześnie złapali nieszczęśnika za ramiona i na wpół zaprowadzili, na wpół zawlekli go do Prebena.

– Imię? – spytał sędzia dźwięcznym w grobowej ciszy głosem.

Więzień bąknął coś pod nosem. Preben nachylił się do niego.

– Głośniej! Nie mamy całej nocy.

Mężczyzna odkaslnął i poderwał głowę, po czym utkwiał wzrok w Prebenie.

– Sir Krugert z rodu Fruin-Dolandrarów – wyrzekł głośno i wyraźnie.

– Krugert, zgadza się. – Preben przejrzał papiery, aż znalazł jego nazwisko. Czytał przez chwilę, a potem przemówił: – Sir Krugercie, jesteście oskarżony o zdradę stanu, podżeganie do buntu przeciwko Bogu-Imperatorowi, zatajanie aktów zdrady oraz chędożenie rogacizny parzystokopytnej. Co masz na swoją obronę?

Na to ostatnie oskarżenie kilku żołnierzy buchnęło śmiechem. Preben skrzywił usta w grymasie rozbawienia.

– Kłamstwo! To wszystko bzdury! Co to ma znaczyć? – Więzień zaszamotał się bezskutecznie w uścisku żołnierzy, którzy ani myśleli go puścić. – Żądam audiencji u Boga-Imperatora. On wie, że jestem wobec niego lojalny!

Preben skrzywił się i łypnął z ukosa na oskarżonego.

– Jakbyś był, toby cię tu nie było! – zawołał, bryzgając śliną na blat. Zaraz opanował się i przetarł rękawem księgę i arkusz papieru. – Żądasz, powiadasz? Co za arogancja.

Krugert oklapł, jakby zeszło z niego powietrze.

– Róbcie, co macie do zrobienia – rzucił zrezygnowany. – Indryallanie nie powinni żyć w ten sposób. Zapomnieliśmy, kim kiedyś byliśmy.

– Zaprzeczasz zarzutom, a jednak zdradzieckie kalumnie leją się z twych ust – wyrzekł sędzia. – Nie mam innego wyboru, jak tylko orzec winę. Niech przodkowie zlitują się nad tobą.

Wskazał gestem strażników. Krugert milczał, gdy odciągali go na bok, powlekli przed Milczącego Towarzysza i rzucili przed nim na kolana. Żołdacy wykręcili skazańcowi ramiona, a on wrzasnął z bólu. Przygięli go bliżej do ziemi.

Milczący Towarzysz poruszył się. Spojrzał na człowieka u swoich stóp. Radgir chciał odwrócić wzrok, ale nie potrafił. Patrzył jak zahipnotyzowany na rozgrywającą się przed nim scenę.

Powoli, niemal niedbale, potężny miecz wojownika uniósł się, a potem rozmazał od nieludzkiej szybkości i przeniknął bez oporu przez odsłonięty kark szlachcica, tak jak rozgrzany nóż wchodzi w masło. Głowa stuknęła o bruk, a z szyi bryzgnęła krew. W chłodne powietrze poniósł się obłok pary.

Radgir usłyszał, że ktoś skamle. Dopiero po chwili dotarło do niego, że dźwięk wydobywa się z jego własnych ust. Stojąca obok niego szlachcianka zachwiała się na nogach i padła na ziemię. Zewsząd słyhać było krzyki i wrzaski.

Strażnicy rzucili bezgłowe ciało Krugerta w kąt utworzony przez ścianę budynku i kamienny mur. Jeden cofnął się po głowę, którą podniósł, trzymając za włosy. Rzucił ją tam, gdzie leżała reszta ciała. Potoczyła się po ulicy i znieruchomiała.

Radgir z wysiłkiem oderwał wzrok od okropnego widoku. Serce łomotało mu w piersi. Okrucieństwo dla samego okrucieństwa. To nie demonstracja siły, nie pokazowa egzekucja mająca stanowić przestrożę dla innych – oni po prostu lubili to robić. To nieludzkie. Człowiek się tak nie zachowuje. To bestie, bestie w ludzkiej skórze.

Rozejrzał się i znalazł na sobie wzrok Prebena. Wyprostował się, wyprężył jak struna.

– Na razie zostawcie kobietę – polecił Preben strażnikom. – Dopóki się nie ocknie, nie będzie z nią zabawy. Dawajcie tu starego.

Nie czekając na strażników, Radgir sam podszedł do stołu. Kolana mu drżały, ale nie przewrócił się.

– Imię? – rzucił Preben tonem służbisty.

– Radgir z rodu Celespanna. Doradca Pierwszego Kręgu. Odpowiadający jedynie przed...

– Samym Bogiem-Imperatorem?

– Przed kimś, kogo nie poznaję.

– A więc winny – skwitował Preben z uśmiechem na ustach.

– Jestem poza twoją jurysdykcją.

– Zdziwiłbyś się, jak szeroki krąg ostatnio zatoczyła. Ta noc przejdzie do historii. Wyrwiemy dziś wszystkie pasożytyjące na imperium chwasty, jednego po drugim.

Radgir westchnął i odchylił głowę, by po raz ostatni popatrzeć na gwiazdy. Gdy to zrobił, ujrzał spoglądającą na nich z okna na trzecim piętrze postać. Sylwetka zakreśliła się wyraźnie na tle widnego pomieszczenia, przez co jej twarz tonęła w mroku, ale Radgir wszędzie rozpoznałby ten kształt. Kelhak. Patrzył na rozgrywającą się w dole scenę.

Dlaczego?

Radgir potrząsnął głową. Nie przegap tej chwili, pomyślał. Noc była przecież szczególnie piękna. Wypełnił płuca słodkim, chłodnym powietrzem.

Ledwie czuł, jak pchają go w stronę Milczącego Towarzysza. Ból odezwał się w wykręconych ramionach i starzec padł na kolana. Przygięli go do ziemi. Na kamieniach, które miał przed oczami, połyskiwał wilgotny szkarłat. Dwa buciory po jego lewej stronie zaszurały o bruk, a oparta o ziemię klinga uniosła się i zniknęła mu z pola widzenia.

Zamknął oczy i zaczął pod nosem szeptać modlitwę do przo...





**P**onad równiną niósł się huk rogów. Powołano pod broń regimenty Kołczanów, wyrwanych z niespokojnego snu, ściśniętych w prowizorycznych obozach, zasłanych ich martwymi towarzyszami. Caldan patrzył, jak żołnierze w pośpiechu łykają śniadanie, dojadając kukurydziany chleb i popijając czerwone wino, po czym błyskawicznie zakładają pancerze i przypasują miecze.

Sam Caldan niewiele tej nocy spał. Drzemał jedynie, co rusz budząc się ze strachu przed nadchodzącą audiencją u cesarza.

Arcymagowie trzymali go w niewoli i nie miał pojęcia, co z nim teraz będzie.

Z frontu do miejsca, gdzie leżał, ciągnęły się długie kolejki umordowanych bitwą z jukarami żołnierzy. Walczyli w ciemności, z różnym skutkiem starając się odwlec bitwę do świtu. Wzdłuż pierwszej linii gorzały rozproszone ogniska walk; obie strony były się po omacku, niknąc w mroku, którego litościwie nie rozświetlały błyski destruktywnej magii. Vormagowie, i arcymagowie zresztą także, najwyraźniej postanowili jednak czekać do rana. Lub może po prostu zabrakło im sił.

Wracający do obozu żołnierze mijali stojące w ordynku świeże posiłki. Ich umazane krwią zbroje kontrastowały z lśniącymi kolczugami dopiero wybierających się na front towarzyszy. Zluzowani wojownicy kładli się gdzie popadło, by odsapnąć we względnym bezpieczeństwie obozu.

Rannych Kołczanów ciągnięto lub niesiono do lazaretów, gdzie uwijali się jak w ukropie cesarscy uzdrowiciele. Minie jeszcze wiele czasu, nim dane im będzie odpocząć.

Gdzie indziej setki żołnierzy siodłały konie, czekając w pogotowiu na obrzeżach głównych oddziałów. Dowódcy jeździli pośród konnych i pieszych żołnierzy, łuczników i pikinierów, zaś arcymagowie rozproszyli się małymi grupami i zajęli pozycje między nimi.

Od strony rzeki napływały nowe siły, dostarczone na pole bitwy dopiero co zadokowanymi okrętami. Żołnierze szybko formowali szyk, budując ścianę z wielkich, okrągłych tarcz. U ich pasów wisały szerokie miecze. Wojownicy w szeregach za nimi dźwigali dwuręczne topory i długie piki. Caldan wciąż nie wiedział, co to za oddziały. Cesarz musiał ściągnąć je tu skądś, by wsparły w wysiłkach regularne wojsko.

Tylko że Devenish zdziwił się na ich widok tak samo jak on. Czyżby władca nie poinformował przybocznych o swoim planie?

Jeden z Kołczanów, którzy pilnowali namiotu arcymagów, podszedł do Caldana i wręczył mu talerz z kukurydzianym chlebem, serem, suszonymi owocami i orzechami. Dał mu też parujący kubek kawy z miodem i solą. Caldan jadł w roztargnieniu, całą uwagę poświęcając temu, co działo się naokoło.

Po jednej stronie rosły mury Starorzecza, a po drugiej piętrzyły się wzgórza, w których upatrywał jakiejś osłony przed jukarską armią. Dalej kreśliła się ciemna wstęga rzeki. Pas wody stanowił dla potworów nieprzebytą barierę, która już wcześniej zatrzymała ich wojsko.

Kończany zwarły szyk. Stanowiły teraz największą armię, jaką cesarstwo zgromadziło od setek lat. Moźne rody przywiodły na pole bitwy własnych żołnierzy, którzy utworzyli szyk za Kończanami. Szli oni za cesarzem i jego wojskiem, spodziewając się zapewne, że nawet nie posmakują walki, licząc jedynie na werble i trąby, które miały rozbrzmieć, gdy Indryallanie zostaną zepchnięci z powrotem do morza. Tymczasem okazało się, że znaleźli się w samym kotle, gdzie ostrzyły sobie na nich zęby potwory z czasów Zdruzgotania. Caldan nie wiedział, czy bardziej bali się jukarów, czy cesarza.

Wszędzie wkoło wojownicy i moźni wykonywali pobożne gesty i mamrotali modlitwy do przodków, aby ci uchronili ich od zguby. Niektórzy nawet składali całopalne ofiary, a dym mieszał się z tym, który bił w niebo z ognisk i wisiał obłokiem nad armią, zakrywając wzniesione sztandary.

Z miejsca przy namiocie Devenisha Caldan widział, że raptem armię ogarnął chaos, z wyjątkiem kilku w miarę uładzonych przez dowódców miejsc. Wśród pierwszych szyków wzbudził się jakiś ruch i rozległy się krzyki. Caldan wstał i spojrzał ponad głowami żołnierzy. W dali widział zasilające trzon potwornej armii strumienie nowych wojowników, które rozlewały się w zetknięciu ze stale gęstniejącym tłumem, jak czarna woda gromadząca się w skalnej niecce. Potwory utworzyły szyk kilkaset jardów od pierwszych szeregów cesarskiej armii. Ich wycie i zajadłe hałakowanie w niczym nie przypominały dźwięków, które mogłyby dobrać się z ludzkiego gardła.

Cesarscy dowódcy wyrzaskiwali rozkazy, z wielu miejsc dookoła brzmiały przekleństwa i jęki, a ponad głowami wojowników niosły się pierwsze bitewne pieśni.

Kończany ruszyły naprzód, odpowiadając na wyzwanie jukarów. Broń zaślniła w świetle słońca. Załomotały bębny, zajazgotały rogi, po równinie poniósł się miarowy rytm żołnierskich butów. Dowódcy

rozproszyli się wśród żołnierzy, choć Caldan zauważył, że większość dowodziła z tylnych szeregów.

Jukarowie ruszyli naprzód.

Usłyszał ciężkie dudnienie od strony Starorzecza i z początku nie wiedział, co się dzieje. A potem ujrzał lecące po niebie iskry. Pociski z trebuszy. Zmrużył oczy, gdy osiągnęły zenit, a potem zaczęły opadać ku ziemi. Rozległ się niski, basowy ton. Chmury pyłu i kurzu buchnęły z miejsc, gdzie upadły głazy... ale te nawet nie drasnęły jukarów. Wszystkie pociski zetknęły się z ziemią daleko od wrażej armii. Jednak przez niebo już szusowały kolejne.

Od strony postępującej hordy poniosły się wycie i szczekanie. Jukarowie parli naprzód, ale mieli baczenie na lecące w ich stronę pociski.

Nie wytrzymali napięcia? – zastanawiał się Caldan. Musieli przecież wiedzieć, że kamienie nie dotrą do celu.

Wtedy zauważył, że w czasie gdy jukarowie skupili się na głazach, grupy Kołczanów zbliżyły się do ich pierwszych szeregów, przemykając między sunącymi kohortami. Postawiły na ziemi kosze strzał, uniosły łuki i rozpoczęły ostrzał. Chmury pocisków frunęły w niebo, po czym opadały jak czarny deszcz. Nie wyrządziły wrogom wielkiej szkody, padło raptem kilku draśniętych strzałami jukarów w pierwszych szeregach, a w miejsce rannych i martwych potworów natychmiast pojawiały się nowe.

W niebie zahuczał grom i Caldan skrzywił się mimowolnie. Zerknął w górę, obawiając się magicznego ataku. Ten jednak nie nadszedł, a zamiast niego Caldan spostrzegł na wzgórzach jakiś ruch. Zmrużył oczy...

I zachłysnął się powietrzem.

Z ich szczytów szarżowały na jukarów Kołczany, błyskając w dopiero co rozbudzonym świetle grotami lanc i okuciami tarcz. Setki końskich kopyt tratowały połacie trawy. Zarówno atak trebuszy, jak i pierwsza salwa z łuków miały tylko odwrócić uwagę wroga.

Odległość dzieląca kawalerię i jukarów szybko się zmniejszała. A potem konie wpadły między ryczące potwory. Caldan z miejsca, w którym stał, słyszał trzask połamanych lanc – a może kości – oraz wizg koni i wściekle szczekanie potworów. W górę buchnęły odłamki

drewna. Rozbrzmiały krzyki i wrzaski rannych. Kawalerzyści odrzucili lance, dobyli mieczy i zaczęli rąbać nimi szarą ciżbę. Ranne wierzchowce padały na ziemię i młóciły powietrze kopytami. A te pozbawione jeźdźców rozpierzchły się, tocząc pianę z pyska i błyskając dziko ślepiami.

Lucznicy zajęli miejsce w pasie ziemi niczyjej między dwiema armiami, które wciąż sunęły sobie na spotkanie. Strzały nadal sypały się na wraże szeregi jak pieprz, choć teraz spadały znacznie dalej, a jednocześnie w bezpiecznej odległości od miejsca, w które wżarł się klin kawalerii.

Piesi żołnierze zwiększyli tempo, pogonieni przez dowódców do truchtu, a potem armie zwarły się wśród huku i łoskotu. Tarcze uniosły się na spotkanie jukarskich mieczy i o wiele za często pękały pod szaleńczymi ciosami. Odpowiedzią na nie były pchnięcia krótkich włóczni i mieczy. Powietrze wypełniło się wrzaskiem i rykiem. Kołczany siekły i rąbały mieczami, a klingi szybko oblepiła czarna krew.

Z góry sypały się na ich głowy kolejne salwy. Kawaleria wycofała się poza obręb rąbaniny, żeby się przegrupować do kolejnej szarży, a zdezorientowani jukarowie kręcili się w kółko. W końcu wzięli na cel pieszych, ale nawet nie zdążyli do nich dobiec, bo znowu staranowała ich ciężka konnica. Niemal nie napotkała oporu, przedzierając się przez luźny szyk, i spowolniły ją dopiero gęste szeregi trzymających się w grupie potworów. Bryzgnęła krew, zarówno czarna, jak i czerwona. Nogi i kopyta zaczęły grzęznąć w brązowym błocie. Pękały drewniane tarcze i ściskające je ramiona. Stal druzgotała czaszki Kołczanów i jukarów. Ci, których opuściło szczęście i stracili równowagę lub padli ranni na ziemię, natychmiast ginęli dobitci przez wrogów lub stratowani przez skłębiony tłum.

Do walki włączyli się żołnierze z okrętów. Wbili się z impetem w odsłoniętą flankę jukarów i na kilka uderzeń serca rozpętało się piekło. Na całym polu bitwy można było zobaczyć rannych, usiłujących wydostać się z kotła i uciec na tyły. Tych z miejsca zastępowali ich towarzysze, jedni chętniej, inni z ociąganiem, nie kwapiąc się wcale do boju z wielkimi potworami. Dźwigali

potrzaskaną broń i obtłuczone pancerze, wyszczerbione miecze i tarcze, z których sterczały ułamane strzały i lance.

Na ziemi leżały tysiące martwych lub umierających ludzi, jukarów i koni; niektóre ciała były tak zmasakrowane, że niczym nie różniły się od siebie nawzajem.

Wtedy ponad bitewny zgiełk wzbił się huk rogów i jukarowie zrobili odwrót. Kołczany odciągnęły rannych towarzyszy w bezpieczniejsze miejsca, a kawaleria wyłuskała się z bitewnej gęstwiny i dokonała przegrupowania. Wojownicy otaczający możnych i ich synów również wycofali się czym prędzej. Porzucone sztandary znów podniesiono i załopotały na wietrze, spływając błotem i krwią.

Kołczany nie przestawały z zapalem ostrzeliwać wycofujących się przeciwników. Caldan nie widział u nich jeszcze takiego entuzjazmu. Ich strzały nakryły niebo gęstą strzechą, goniły za jukarami jak burzowe chmury, rażąc ich i zabijając.

Odwrót zmienił się w ucieczkę; stwory podwinęły ogony i zbiegły z pola walki. Wtedy zagrzmiały kotły Kołczanów. Z rogów dobyło się wiele jazgotliwych nut i wówczas nawałnica strzał ustała.

Obok Caldana ktoś się poruszył. Zobaczył, że idą w jego kierunku pilnujący go arcymagowie. Choć upierał się, że chce zostać z cel Rauem, czarodzieje zostawili szermierza pod opieką uzdrowicieli i dobitnie oświadczyli Caldanowi, że on sam ma się udać z nimi.

Jego eskortę stanowili dwaj ponurzy mężczyźni w średnim wieku. Chłopak czuł, że mieli otwarte studnie i byli podłączeni do licznych rzemyśliw i talizmanów. Jeden miał krzaczastą, szpakowatą brodę i nazywał się Gorton. Jego kompan, chudzielec o bladej cerze nakrapianej piegami, nosił imię Melker. Obaj mieli na sobie czarne szaty o srebrnych guzikach w kształcie kwiatów – takie same, jak te Joachima. Caldan uznał, że to coś na kształt munduru.

Jego ciało drżało od magicznej wibracji tyłu artefaktów. Uczucie było tak przytłaczające, że włosy stawały mu dęba, i zorientował się, że bezwiednie rozciera własne ramiona. Powietrze było przesączone zapachem cytryn i gorącego metalu – arcymagowie korzystali z magii praktycznie bez przerwy. Stojąc tak blisko Gortona i Melkera, Caldan czuł, że garściami czerpią ze swoich studni, ale nie miał

pojęcia, co robią z całą tą energią. Na pierwszy rzut oka wyglądali jak normalni ludzie. Ja pewnie też, pomyślał.

– Devenish cię woła – oświadczył Melker. – Teraz, jeśli łaska. Póki ustała walka.

– Czego on chce?

– A co to dla ciebie za różnica? – warknął Gorton. – Idziemy, ale już.

– Spokojniej, Gorton.

– To ty się uspokój. Nie jesteśmy niańkami. Powinniśmy teraz walczyć razem z resztą arcymagów.

– Wszystko w swoim czasie – odparł gładko Melker. – Nawalczysz się jeszcze, bez obaw. – Zwrócił się znów do Caldana. – Idziesz?

Caldan kiwnął głową.

W oddali jukarowie zwarli szeregi. Dostali cięgi, ale bynajmniej nie zostali rozgromieni. Zaawansowana strategia, lepszy pancierz i broń cesarskiej armii zatryumfowały dziś na polu bitwy, ale jest jeszcze jutro i pojutrze... Straty już były znaczne po obu stronach.

Caldan odwrócił się plecami do pola bitwy i ruszył za arcymagami.



**C**aldan nie spodziewał się, że Devenish i jego czarodzieje prędko mu zaufają, ale ci byli pod wrażeniem pokazu jego magicznych zdolności. W końcu samodzielnie przebił się przez tarczę Dzwonków i zatrzymał jej mordercze rzemyśliwo, które przetrzebiło cesarskie wojsko. To pokazało im, po której stronie się opowiada. A przynajmniej miał nadzieję, że tak to rozumieli.



Wiedział, że głupców do arcymagów nie brali. Tak jak on, musieli zdawać sobie sprawę, że posłuszeństwo i lojalność to czasem tylko kwestia pozorów. Prawdziwe intencje natomiast kryją się pod spodem. Pokazali mu to Joachim i Amerdan.

Caldan wraz z eskortą zbliżył się do namiotu pierwszego arcymaga, ale przywódca ledwie zaszczycił ich spojrzeniem. Odgarnął z oczu mysie włosy i potrząsnął głową w odpowiedzi na zadane mu przez magów pytanie. A potem wydał kilka ostrych rozkazów i czarodzieje ruszyli do nadrzecznych doków.

Melker i Gorton pchnęli Caldana na tyły grupy i wszyscy ruszyli za Devenishem. Wśród nich była także Thenna, nieco starsza, śniada kobieta, której Devenish kilka razy mocno ściągnął smycz podczas ich pierwszego spotkania z Caldanem. Od początku nie ufała Caldanowi. Nawet teraz co rusz zerknęła na niego, krzywiąc się. Robił co mógł, by utrzymać neutralny wyraz twarzy.

– Nie wiecie czasem, co się teraz dzieje w Anasomie? – spytał Melkera. – Opuściłem ją dawno temu i...

– Zamknij się! – obsztorcował go Gorton.

– Mój kolega próbuje powiedzieć, że wszystkiego dowiesz się w odpowiednim czasie – wyjaśnił Melker. – Zanim udzielimy odpowiedzi na twoje pytania, musimy jeszcze załatwić parę niecierpiących zwłoki spraw. Devenish chce zamienić z tobą dwa słowa. Z kolei Thenna wyraźnie nie kwapi się do rozmowy.

To zupełnie jak cesarz, pomyślał Caldan. W co ja się wplątałem?

Gorton prychnął pod nosem.

– Ona zawsze znajdzie sobie kogoś do nielubienia.

– Na pewno nie Devenisha.

– O nie, on cieszy się specjalnymi względami.

Caldan milczał. A więc ta cała Thenna jest zauroczona Devenishem, a Gorton i Melker za nią nie przepadają. Nie wiedział, czy przyda mu się do czegoś ta wiedza, ale kiedy człowiek siedzi w ciemności, cieszy się z każdej iskierki. Zwłaszcza jeśli może ona zaproszyć ogień, a najwidoczniej nawet pośród cesarskich arcymagów istniały niechętnie sobie ugrupowania.

Szli dalej w kierunku Starorzecza, gdzie stały w dokach tajemnicze okręty. Na szarym niebie gromadziły się chmury dymu, w których mieszał hulający po równinie wiatr. Ziemia wokół

Caldana była zryta i skopana, jakby przetoczył się po niej wielki pług. Pośród traw widniały czerwone kałuże i łaty gołej ziemi, zaścielonej zastygłymi zwłokami. Trupie ręce chciwie czepiały się broni, rwały trawę, rozpaczliwie próbowały tamować krwawienie z wielu ran. Na zastygłych twarzach malowało się przerażenie – usta były otwarte, rozciągnięte i wykrzywione, jakby ci ludzie nie wierzyli w to, co im się przytrafiło. Caldan sam ledwie w to wierzył.

– Dlaczego ich nie grzebią?

– Podać ci łopatę? – powiedział Gorton.

Fetor śmierci i krwi wypełnił nozdrza Caldana, mieszając się z wonią cytryny. Broń i pancerze wykute przez najznakomitszych kowali w cesarstwie nie stanowiły wyzwania dla zakłęcia Dzwonków.

W niektórych miejscach na polu bitwy płonął ogień, śląc w niebo łodygi czarnego dymu, ale Caldan nie wiedział, czy zaproszyła go magia, czy może coś innego.

Drużyny Kołczanów odzierały trupy z cennych przedmiotów, a potem wrzucały ciała na podstawione zawczasu wozy. Sterty trupów oblaży kraczące kruki, które walczyły ze sobą o co smakowitsze kąski, jakby obawiały się, że jedzenia zabraknie. W oczach Caldana były podobne do ludzi, którzy też szarpali się między sobą, zamiast mądrze się wszystkim podzielić. Uważał to za krótkowzroczność graniczącą z głupotą.

Ptaki przynajmniej miały wymówkę. On jej nie miał – okazał się największym ze wszystkich głupców, bo to przecież on sprowadził Dzwonki do Starorzecza. Wykiwała go, a on jej na to pozwolił, bo obiecała mu coś, w co bardzo chciał wierzyć.

Ostatecznie okazało się to tylko kolejnym kłamstwem.

Dzwonki kłamała, ilekroć było jej to na rękę, ale nieopatrnie okłamała też samą siebie. Caldan wciąż nie wiedział, co dokładnie chciała osiągnąć, lecz efekty jej działań widział naokoło. Żołądek skreślił mu się na tę myśl. Z wysiłkiem przełknął rosnącą w gardle gulę. Świat zawirował mu przed oczami i musiał stanąć pewniej na nogach, żeby się nie przewrócić. Oderwał palące oczy od zwłok i zatopił twarz w dłoniach.

Na przodków... Ależ się cieszył, że czarodziejka nie żyje.

– Nieprzyjemny widok, co? – zagadnął Melker.

Caldan uświadomił sobie, że zniesmaczenie na jego twarzy zostało błędnie odczytane przez arcymaga.

– To mało powiedziane – odparł. – Ohyda. To ohydne, używać magii w taki sposób. Żeby zabijać... na taką skalę...

Pokręcił głową, obrzydzony do granic.

– Pomogłeś to powstrzymać, za co jesteśmy wdzięczni. Cesarz także.

– Nie zrobiłem tego dla nagrody ani uznania.

Gorton skwitował te słowa śmiechem.

– Jasne, że nie.

– Mówię prawdę – odparł z naciskiem Caldan.

Melker poklepał go po plecach.

– Niezależnie od powodów, sporo namieszałeś. Tylko za bardzo się nie popisuj. Niektórzy źle na to reagują.

– O tak – potwierdził Gorton.

– Tacy ludzie ściągają na siebie ciekawskie spojrzenia. Im bardziej próbują coś ukryć, tym bardziej to pokazują.

Melker posłał Caldanowi przeciągłe spojrzenie, nim odwrócił głowę. Chłopak stężał. Jak wiele wiedzą? Postanowił odtąd mieć oczy i uszy szeroko otwarte.

Niedługo później zostawił za sobą pole bitwy i minął prowizoryczne schronienia, które jak grzyby po deszczu wyrastały za murami Starorzecza, pobudowane ze wszystkiego, co wpadło w ręce. Pomimo przybycia Kołczanów i walki z jukarami mieszkańcy wciąż siedzieli w mieście, zajęci swoimi zwyczajnymi sprawami. Bo i dokąd mieliby pójść?

Z brudnych twarzy patrzyły na nich puste oczy, gdy szli ulicą. Między budynkami biegały nagie dzieci, wrzeszcząc i śmiejąc się. Na skraju ulicy garbata staruszka pochylała się nad wielkim, wystrzępionym koszem. Zerknęła na nich zmrużonymi oczyma i wróciła do sortowania szmat. Wiedziała, że lepiej nie mieszać się w nie swoje sprawy. Cesarstwo Mahruzańskie nie stało się jeszcze najlepszą wersją siebie i pozostawiało sporo do życzenia. Caldan podejrzewał, że większość obywateli ma tego świadomość. On sam przekonał się o tym zdecydowanie za późno.

Gdy zbliżyli się do rzeki, dwaj arcymagowie odłączyli się od grupy i ruszyli na wschód wzdłuż brzegu. Grunt opadał ostro ku

nurtowi i niknął w gęstwinie szuwarów porastających całą długość nabrzeża. Caldan naliczył przed sobą piętnaście wychodzących za linię wody pomostów. W miejscach zajętych zwykle przez handlarzy i rybaków stały teraz wielkie pełnomorskie okręty. Żagle zwinięto, a w burtach widniały rzędy otworów, z których sterczyły pióra wiosel. Dziwne, rzuciło się Caldanowi na myśl. Takie jednostki chyba nie mają zwykle napędu wiosłowego. Przynajmniej on nigdy nie widział takich okrętów. Zaopatrywano w nie tylko niektóre okręty wojenne, by można było nimi płynąć pod wiatr.

Albo w górę rzeki.

Jeszcze dziwniejsze było to, że każdy pływał pod inną banderą. Caldan zmrużył oczy i osłonił je dłonią. Pięć różnych wzorów: czarne koło na białym tle, biały miecz złamany na trzy części na niebieskim tle, biały diament na żółtym, czerwona tarcza i srebrna czaszka na czarnym.

– Co oznaczają te bandery? – spytał Caldan arcymagów. – Nie wiecie aby?

Gorton warknął.

– Moim zdaniem to najemnicy. Nie sądziłem, że cesarz będzie ich potrzebował.

– Dotąd nie potrzebował – powiedział Melker. – Ale teraz owszem. Devenish był tak samo zdziwiony jak my, gdy usłyszał o okrętach. Jeśli ktoś wie, co zamierza cesarz, to tylko on. Zdaje się, że najemnicy przybyli w samą porę. Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności.

Zbyt szczęśliwy, pomyślał Caldan, pewien, że Melker podzielał jego zdanie. Arcymag zmrużył oczy, wodząc badawczym spojrzeniem po okrętach.

Całe oddziały najemników przybywają na pole bitwy zaraz po tym, jak cesarska armia została zdziesiątkowana magicznym atakiem? Jako wprawny dominionista Caldan wiedział dość o rachunku prawdopodobieństwa i szacowaniu szans, by uznać, że to nie mógł być przypadek. Lecz ponieważ nieopodał wciąż czaił się wspierani przez vormagów jukarowie, cesarz i jego arcymagowie nie mieli innego wyjścia, jak tylko zapłacić najemnikom, ile tamci zażądali. Chyba że chcieli, by potwory wymordowały całe miasto.

Caldan obejrzał się na obraz zniszczenia, który pozostawiła po sobie Dzwonki i arcymagowie. Zastanawiał się teraz, czy cesarz w ogóle się tym przejął, czy raczej uznał to za koszty własne.

Melker pchnął Caldana naprzód.

– No, dalej – popędził go. – Mamy trzymać się Devenisha, dopóki nie znajdzie dla ciebie czasu i nie zdecyduje, co z tobą począć. Nie sięgaj do studni, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre. Ugotuję ci mózg, zanim zdążysz mrugnąć okiem.

Caldan przełknął ślinę i kiwnął głową. Lepiej z nimi uważać.

Melker i Gorton trzymali się po obu stronach jeńca, zajmując miejsce za Devenishem i pozostałymi trzema czarodziejami. Thenna obejrzała się i przeszła Caldana mroźnym spojrzeniem. Wytrzymała jej wzrok przez kilka chwil, zanim uznał, że najlepiej zrobi, wbijając oczy w ziemię. Nie miał żadnego wpływu na to, co ona sobie tam myśli, a na pewno nie miał zamiaru iść z nią na zwanie.

– Nadchodzą – dobiegł go głos Devenisha. Pierwszy arcymag wskazał grupę ludzi schodzących pomostem na nabrzeże.

Jednym z nich był posunięty w latach mężczyzna. Jego obwiedle, skropione wątrobianymi plamami dłonie ściśkały laski, dzięki którym się poruszał. Po obu jego stronach szli dwaj inni, jeden monstrualnie gruby, a drugi chudy jak bocian.

Caldan zmrugał oczami. To był ten dziwny kupiec z Anasomy. Jak on się zwał? Quiss? Co on tu robił?

Powietrze przeniknęła wibracja, która przedostała się także do kości Caldana. Arcymagowie jak na komendę otworzyli studnie. Melker i Gorton po krótkiej chwili poszli w ich ślady. Co ciekawe, Devenish, Thenna, Melker i jeszcze jeden nieznanemu Caldanowi czarodziej mieli wielokolorowe, gęste tarcze. Pozostałe były w standardowym odcieniu błękitu. Co oznaczało, że ich studnie nie mogły poradzić sobie z dodatkowym obciążeniem. Najwidoczniej nie tylko moc decydowała o tym, kogo arcymagowie przyjmowali w swoje szeregi. Caldán zapisał sobie w głowie tę myśl.

– Skoro spodziewacie się kłopotów, to może mógłbym...?

Zerknął na Melkera, który zastanawiał się chwilę, a potem kiwnął głową. Chłopak otworzył studnię i dotknął tarczowego rzemysliwa, z którym natychmiast się połączył. Skóra obkurczyła się na jego ciele, gdy otoczyła go wielokolorowa bariera. Gorton

zagwizdał ze zdumienia, podczas gdy Melker posłał Caldanowi aprobujące spojrzenie, nim na powrót skupił uwagę na przywódcy, gdy ten ruszył w kierunku przybyszów.

Gdy Caldan upewnił się, że żaden z arcymagów na niego nie patrzy, wsunął rękę do kieszeni i wyjął z niej swój konstrukt w kształcie żuka. Tak delikatnie, jak tylko potrafił, wyprowadził ze studni jeszcze kilka strumieni, czerpiąc z niej jak najmniej mocy, a następnie podczepił je do swojego dzieła. Nie wiedział, czy się na coś przyda, ale uznał, że przezorny zawsze ubezpieczony.

Gdy czarodzieje zbliżyli się do grupy, Quiss ściągnął na siebie całą uwagę Caldana. Tak jak wtedy, gdy poznał się z nim w Anasomie, sylwetka kupca zamazała mu się przed oczami i Caldan nie mógł oprzeć się wrażeniu, że mężczyzna wydaje się gęstszy od innych ludzi, jakby twardszy, bardziej zbity. Podobnie jak ten olbrzym, co szedł obok niego. A także starzec idący o laskach. Caldan podążył spojrzeniem do Melkera i Gortona. Czy oni też to widzieli? Czy powinien im o tym powiedzieć? Czy uznają go za wariata? Zamrugął raptownie. Nie, to nie złudzenie. Postanowił na razie milczeć.

Buty arcymaga zaszurały na drewnianym pomoście i grupa zatrzymała się dziesięć kroków od trzech gęstszych mężczyzn.

Starzec stanął krok przed swoją świtą.

– Nazywam się Gazija – przemówił drżącym głosem. – Jestem szefem Kompanii Handlowej Pięciu Oceanów. Niektórzy spośród moich ludzi nazywają mnie Pierwszym Wybawicielem. Nie przepadam za tym tytułem, ale niech już będzie.

Devenish skłonił się. Nieco zbyt nisko, co nadało ukłonowi posmak kpiny.

– Ja zaś jestem Devenish. Mnie z kolei nazywają pierwszym arcymagiem... I też niech będzie.

Czarodzieje dokoła zachichotali, a najgłośniej, i ewidentnie fałszywie, Thenna.

Co za banda klakierów. Caldan zastanawiał się, czy Devenish rzeczywiście zasłużył sobie na taką służalczość, czy może przyszła z dobrodziejstwem inwentarza, gdy objął pozycję przywódcy arcymagów. Tak czy inaczej niedobrze mu się zrobiło.

– Wasze tarcze nie poradzą sobie z czarami vormagów tak dobrze, jak wam się zdaje – oświadczył Gazija przyciszonym głosem.

Devenish zaśmiał się wysoko, przenikliwie.

– Brylujesz wiedzą, starcze. Zdradzisz może, skąd to wiesz?

Gazija zbył pytanie machnięciem ręki, jakby to nie było ważne.

– Później wymienimy się opowieściami. – Zatoczył szeroki gest ramieniem, zamykając w nim zawalone trupami pole bitwy. – Widzę, że przybyliśmy w dobrym momencie. Co zostało z jukarskiej armii? Czy z pomocą moich najemników zdołaliście się przed nią obronić? Musieli ponieść znaczne strata...

– Dość, starcze! – szczechnął Devenish. – Wielu tu dziś zginęło, lecz nie z ręki jukarów.

Chudzielec, Quiss, przychylił się i wyszeptał coś do ucha Gazii. Mężczyzna słuchał i kiwał głową.

– A więc magia – rzekł. – Jej smród dosięgnął nas na rzece. Walczyliście z vormagami?

– Nie. To sprawka indryallańskiej czarnoksiężnicy. Powiedz mi, czego chcesz, Pierwszy Wybawicielu. – Devenish wypluł ten tytuł jak zgniły owoc. – A potem zejdź nam z drogi, inaczej rozrzucimy wasze prochy po rzece.

Rozzłoszczony arcymag zrobił się o dwa tony czerwiejszy. Najwidoczniej nie potrzebował wiele, by wpaść we wściekłość. Gazija zapewne pomyślał to samo i zmarszczył brwi.

– Nie spodziewaliśmy się... takiego przyjęcia. Jestem tu, gdyż uznałem, że moi najemnicy przydadzą się wam w bitwie z jukarami. Czyż nie dowiodłem tą drogą mych dobrych intencji? Wszak wspomogli cesarza w obliczu zagrożenia. Sprawa ostatecznie skończyła się dla was szczęśliwie. Zgaduję, że tych potworów nikt się nie spodziewał.

Devenish poruszał zuchwą, dochodząc do ładu ze słowami Gazii.

– Pięć kompanii najemników. Akurat w odpowiedniej chwili. Ktoś podejrzliwy mógłby głowić się nad tym szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Gazija uśmiechnął się, pokazując luki w uzębieniu.

– Podejrzliwcy podejmują pochopne decyzje, a niektórzy nawet wariują. Nasze pojawienie się tutaj było wam na rękę. Bylibyście głupcami, odrzucając naszą pomoc. – Gazija wbił w Devenisha wyzywające spojrzenie. – A nie wyglądacie mi na głupców.

Starzec wyraźnie do czegoś zmierzał. Z całą pewnością nie pomógł im z dobroci serca. Ale Caldan, przynajmniej jak dotąd, nie potrafił przeniknąć jego ukrytych intencji.

Devenish wahał się dłuższą chwilę.

– W imieniu cesarza przyjmuję waszą ofertę. Przyprawdźcie do mnie ich dowódców, byśmy mogli objaśnić im sytuację. Ma się rozumieć, będziecie także musieli przekazać nam ich podpisane kontrakty.

– Nie zrozumiałeś mnie, pierwszy arcy maga. Ja nie chcę ci ich powierzyć. Kontrakty zostaną u mnie, dowództwo nad najemnikami również w dalszym ciągu sprawował będę ja – rzekł Gazija nieznośnym sprzeciwu tonem. – Będę też obecny w momencie wprowadzenia ich w sytuację, aby upewnić się, że zostaną mądrze wykorzystani.

– Starcze, ja z tobą nie negocjuję. Przyjmujemy twój dar, ale zrobimy z nim, co nam się zachce. Nie zdołasz nas przed tym powstrzymać.

W oczach Gazii zapalił się ogień i mężczyzna wyprostował się.

– Nie masz pojęcia, do czego jestem zdolny.

W tym momencie powietrze wypełnił niemal dusząco intensywny zapach cytryny. Caldan zakrztusił się i wziął ze studni haust energii, by dodatkowo wzmocnić swoją tarczę. Melker spojrział na niego zagadkowo, jakby nie wyczuł czaru. A Caldan uświadomił sobie, że w rzeczy samej – arcy maga tego nie potrafił.

– Uwaga! – krzyknął Caldan. – Czary!

Raptem zrobiło mu się zimno w nogi. Gdy spuścił wzrok, zorientował się, że na jego butach formują się kryształki lodu. Obrastały je, wydając cichy, trzaskliwy dźwięk. Poderwał głowę i zobaczył, że trzech gęstszych mężczyzn jak na komendę otoczyli się tarczami. Czarnymi jak noc, podobnymi w swojej strukturze do imponującej kopuły wyczarowanej przez Dzwonki oraz tarczy, którą wytworzył Amerdan podczas ucieczki.

Na tafli rzeki utworzyła się kra. Powietrze wypełniło się trzaskiem, gdy lodowa łąta zaczęła szybko zagarniać coraz większą połąć wody, a potem sięgnęła, ogarnęła i unieruchomiła dokującą w przystani okrętą. Na masztach i linach zawisły lodowe sople.



Z tarcz arcymagów oraz Caldana unosiła się para, gdy temperatura wokół nich gwałtownie spadała.

Devenish i jego magowie przeszli do kontraktaku. Caldan wyczuł, że jakimś sposobem przesłali moc ze swoich tarcz do Devenisha, który skoncentrował ją i wystrzelił w Gaziję pocisk pomarańczowej energii.

A starzec, którego zwano Pierwszym Wybawicielem, wchłonął ją bez kiwnięcia palcem.

Devenish rozdziawił usta, a Thennie wyrwał się zdumiony krzyk.

Tarcza otaczająca Gaziję zgasła, jakby starzec doszedł do wniosku, że poradzi sobie z arcymagami bez niej. Zrobił kolejny krok naprzód.

– Skoro głupoty mamy już za sobą – powiedział, wydychając w powietrze chmurkę pary – to może byśmy w końcu...

Caldan znów wyczuł zapach cytryn.

Twarz Devenisha ściągnęła się w grymasie koncentracji, ale na razie nic się nie stało, a przynajmniej nic, co Caldan mógłby zaobserwować oczami lub magicznym zmysłem. Gazija przetarł twarz dłonią i pokręcił głową, jakby zmęczony kaprysmi dziecka... I poruszony tylko na tyle, na ile mógłby wytrącić go z równowagi rozbisurmaniony podrostek.

– Z magią zniewalającą nie ma żartów – wyrzekł starzec. – Zwłaszcza gdy próbuje nią władać partacz.

Imponujące, pomyślał Caldan. Czar Devenisha sprawił Gazii nie większy kłopot niż strzepnięty z ramienia pyłek. Może dziwny wygląd tych gęstszych ludzi miał związek z magią, którą się parali. Może to znak lub może piętno, które odcisnęła na nich ich magia.

Devenish i Gazija wpatrywali się w siebie. Na krótką chwilę wszystko umilkło. Krew napłynęła do twarzy pierwszemu arcymagowi, a na jego czoło wystąpiły kropelki potu. Warknął, zaciskając pięści z taką mocą, że na tle skóry odcinały się białe punkty kostek.

A potem nagle uspokoił się i potrząsnął głową. Z jego ust wydobył się cichy śmiech.

– Dobrze więc – zawyrokował. – Zbierz kapitanów i przyjdź wraz z nimi do mojego namiotu za godzinę. Przedstawimy ich reszcie

dowódców. Zostawię tu swoich ludzi, żeby wskazali ci drogę. Osobiście poinformuję cesarza o tym... jakie mieliśmy szczęście.

Gazija pokiwał głową.

– Dziękuję pięknie – powiedział głosem podszytym szyderstwem.

Caldan uprzytomnił sobie, że wstrzymuje oddech. Zmusił się do opróżnienia płuc.

Devenish odwrócił się plecami do starca. Gestem nakazał podwładnym iść za sobą.

– Podejdźcie.

Ruszył pomostem na ląd, miażdżąc z chrzęstem lód pod butami.

Gorton i Melker odprowadzili go wzrokiem, a przywołali do siebie Caldana.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie Quissowi, chłopak wrócił myślami do magii zniewalającej i Mirandy. Gazija wynajął pięć najemniczych kompanii i był szefem kompanii handlowej. Wątpliwe więc, aby Caldan był w stanie zapłacić mu pieniędzmi za jego pomoc. Co oznaczało, że musiał zaoferować coś innego. Pozostawało tylko odkryć co.



**P**roszę, proszę. Ależ to było ciekawe – skomentował Melker. Pokiwał głową i obejrzał się przez ramię na skute lodem nabrzeże.

Idący po prawej stronie Caldana Gorton schylił się i zerwał źdźbło trawy. Włożył koniec do ust i zaczął w zamyśleniu żuć. Znajdowali się teraz ledwie kilkadziesiąt kroków od namiotu Devenisha, który poinstruował dwóch arcymagów, by nie spuszczały Caldana z oka.

Z tego miejsca chłopak widział pierwszy szereg cesarskiej armii oraz stojącą naprzeciwko jukarską hordę. Od czasu do czasu po niebie śmigwały strzały, ale tym razem łamały się one w locie i spadały bezwładnie na ziemię, wlokąc za sobą smugę dymu. Caldan domyślił się, że to sprawka vormagów, ale z tej odległości, choć próbował, nie wyczuwał użycia magicznej energii. To chwilowe zawieszenie broni, na które nałożył się toczony przez Melkera i Gortona dialog o włączeniu się do bitwy arcymagów, kazało mu wierzyć, że poza tą toczącą się na równinie ma miejsce jeszcze jedna, tyle że ukryta.

W czasie gdy arcymagowie sprawdzali możliwości vormagów, jednocześnie odciągając ich od dowodzenia jukarami, cesarskie wojsko dokonywało przegrupowania. Rozproszona po polu bitwy kawaleria uformowała koherentne oddziały, a Kołczany znalazły chwilę, żeby się posilić i odpocząć. Tymczasem lekka kawaleria bez ustanku nękała wysunięte flanki jukarów, szpiląc je strzałami i zabijając tych spośród nich, którzy wyłamali się z szyku i rzucili do ataku.

Melker posłał żołnierzy po stołki i drewno na opał, po czym rozpałił ognisko dwanaście kroków od wejścia do namiotu. Caldan niemal podskoczył, gdy stosik drewna buchnął płomieniem. Melker i Gorton sprawdzili kierunek wiatru i ustawili swoje stołki tak, by nie leciał na nich dym. Zapłon był szybki i w pełni kontrolowany, Caldan nie zdążył więc zbadać przepływu energii, złapał jedynie wzrokiem rozmazaną linię, która na moment przed rozpaleniem ogniska rozpięła się między nim a Melkerem.

To potwierdziło, czego zaczął się domyślać, obserwując magiczny atak arcymagów na Dzwonki. Ewidentnie użyli wtedy magii destruktywnej. Zniszczenia na równinie widać było gołym okiem, magowie czuli więc zapewne, że nie muszą już tak kryć się z zakazaną magią. Utajony od tak dawna sekret został w końcu wyciągnięty na światło dzienne. Caldan nie był pewien, czy świat stanie się dzięki temu lepszy. Jego zdaniem Protektorzy przesadzali z ograniczaniem tego rodzaju magii, a z kolei arcymagowie korzystali z niej zbyt swobodnie.

Dwaj czarodzieje siedli ciężko na stołkach, jakby mieli przed sobą długi okres oczekiwania. Gorton zdjął buty, by ogrzać przy ogniu

stopy o pożółkłych paznokciach. Chyba wolałby teraz walczyć z najeźdźcą u boku swoich towarzyszy. Melker w odrętwieniu skubał trawę i podnosił leżące na ziemi patyki, by wrzucać je kolejno do ognia.

– Co za burzliwe zapoznanie w tych dokach – rzucił Gorton półżartem.

– Spotkały się dwa fronty – odpowiedział Melker – jeden gorący od bitwy, a drugi zimny znad rzeki.

Gorton i Melker prychnęli śmiechem, w którym Caldan rozpoznał nerwową nutę. Nie potrafił dociec, jakim sposobem Gazija wysłał całe ciepło z powietrza, i najwyraźniej dla arcymagów również było to zagadką. Chwycił za trzeci stółek i już miał odsunąć go od dymu, kiedy nagle zachwiał się. Odetchnął głęboko i oparł się, by odzyskać równowagę. W nodze odezwał mu się ostry ból i czuł pod skórą drażniące świerzbienie. Przełknął ślinę i wciągnął mocniej powietrze, powstrzymując wymioty.

– Co jest, Caldanie? – spytał Melker.

Chłopak próbował się uśmiechnąć, sam nie bardzo wiedząc, co się z nim dzieje. Wytoczył się na miękkich nogach z kłębu dymu z ogniska i oklapł na stołku, chowając głowę w kolanach. Zimno. Skąd ten nagły ziąb? I dlaczego mimo tego pot cieknie mu po plecach?

Jakaś ręka złapała go za ramię.

– Nie wygląda to dobrze... – stwierdził Gorton.

– Pójdiesz po wodę? – poprosił go Melker.

Caldan usłyszał, jak drugi czarodziej wciąga buty i klnie pod nosem. Mag ścisnął pokrzepiająco bark chłopaka.

– Tym razem nic ci nie będzie. Z tego, co wiem, symptomy uderzą w pełni dopiero jutro.

– Symptomy czego? Mnie się wydaje... że to przez napięcie... przez ostatnie dni...

– Nie bój nic. Devenish powiedział nam, kim jesteś, a Kristof już pewnie do nas idzie.

Melker mógł mieć na myśli tylko jedno. O tym, że Caldan był czarodziejem, wiedzieli już wcześniej, a zatem inni arcymagowie wiedzieli lub domyślili się, że jest też Dotkniętym.

– Co za Kristof?

– To jeden z was. Większość pozostałych darzy go wielkim szacunkiem. Nie wszyscy, ale większość.

Myśli pływały Caldanowi w głowie. Czy Melker nie wspomniał o jakichś symptomach i że miały się one nasilić?

– Ty wiesz, czemu tak się czuję – zgadł.

– Owszem. Ale lepiej poczekajmy na Kristofa. Ja nie znam odpowiedzi na twoje pytania.

– Znasz, po prostu nie chcesz mi powiedzieć.

– Tak, właściwie masz rację. Bo to nie ja powinienem ci o tym powiedzieć.

Caldan wywnioskował z tonu Melkera, że rozmowę uważa za zakończoną. Nie zdradzi mu nic więcej. Chłopak ostrożnie uniósł głowę i wypełnił płuca powietrzem.

Wkrótce wrócił Gorton z dzbankiem wody, który Caldan przyjął i zaczął z niego popijać. Po kilku łykach poczuł, że mdłości ustępują, i wtedy łyknął potężniej. Następnie odstawił dzbanek i wyprostował się.

Gorton przyglądał mu się z obawą, a Melker uśmiechnął się do jeńca.

– Już lepiej? – zatroszczył się.

– Tak. Trochę lepiej.

– Chciałem cię spytać o to, co zrobiłeś wcześniej.

– Czyli o co?

– Wiedziałeś, że ten Gazija skorzysta z magii. Skąd?

Caldan zamilkł. Jak to? Miałbym dzielić się z nimi takimi informacjami? Na pewno nie za darmo.

– Odpowiem na twoje pytania – obiecał – ale tylko wtedy, jeśli ty odpowiesz na moje. Umowa stoi?

Gorton warknął coś pod nosem i podążył spojrzeniem do Melkera.

Blady, piegowaty arcyomag mierzył Caldana taksującym spojrzeniem, myśląc nad propozycją.

– Od razu mówię, że nie będziemy w stanie odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania – rzekł w końcu. – O niektórych sprawach nie wolno nam mówić. A inne... No cóż, jesteś tu nowy, najpierw musimy zorientować się, po której jesteś stronie.

– Innymi słowy: nie ufacie mi jeszcze.

– Ani ty nam, jak mniemam. Ale z czasem na pewno zorientujesz się, z kim ci bardziej po drodze.

– Czyli będziemy tu sobie siedzieć, dopóki nie zapalą do siebie zaufaniem?

Melker wzruszył ramionami.

– Jeśli tego sobie życzysz. Zresztą niewiele stoi na przeszkodzie, byśmy zaczęli sobie ufać. Nie wszyscy jesteśmy skrojeni z tej samej tkaniny, co Devenish i Thenna. Arcymagowie wywodzą się ze wszystkich środowisk i warstw społecznych. Są wśród nas członkowie możnych rodów i biedacy z samego dna. Z czasem uczy się sobie ufać w wielu sprawach. Po prostu każdy z nas inaczej reaguje na pewne sytuacje.

– Ale teraz ustaliliśmy między sobą – przerwał Caldan – że żaden z nas nie będzie wobec drugiego szczególnie prawdomówny. A w sytuacji, gdy nie mogę wierzyć rozmówcy, wolę nie rozmawiać w ogóle.

– Zmieńmy więc może temat na mniej ważki. Pomówmy, na przykład, o twojej tarczy. Skąd masz rzemysliwo, które ją odpala? I jak nauczyłeś się wyprowadzać ze studni tyle strumieni?

Zupełnie niewinne pytania. Chyba nic się nie stanie, jeśli Caldan odpowie na nie szczerze.

– Tarczę-medalion wykułem i zaczarowałem sam. – Gorton wybałuszył na niego oczy. – Podpatrzyłem rzemysliwo pewnej indryallańskiej czarodziejki. A jeśli chodzi o wyprowadzanie strumieni, nauczyłem się tego jeszcze w Anasomie. Ponieważ miasto zostało napadnięte i musieliśmy uciekać, ciężko pracowałem nad swoimi umiejętnościami.

– Iloma strumieniami władasz? – spytał zaciekawiony Melker.

Choć zadał to pytanie niefrasobliwym tonem, Caldan wyczuł w nim jakieś ponaglenie, jakby liczba strumieni, które potrafi wyprowadzić jednocześnie ze swojej studni, była dla Melkera jakąś żywotną sprawą. Ha, bo tak właśnie jest. Zaawansowane czarownictwo wymagało jednoczesnego kontrolowania wielu strumieni, wystarczyło je więc policzyć, by oszacować moc czarodzieja. O nie, Melkerze, poprzysiągł sobie Caldan. Nic za darmo.

– Czterema – skłamał, decydując się właśnie na tę liczbę, bo dokładnie czterech strumieni było trzeba do uruchomienia tarczy,

którą widzieli. – Ale ledwo. Przy czwartym mam już pewne kłopoty, bywa niestabilny i czasem nie chce płynąć.

Gdy to mówił, wrócił myślami do potyczki z jukarami, którą stoczył u boku cel Raua. Tam wycisnął z siebie siódme poty, by zawładnąć zarówno żukiem, jak i tarczą... Zatchnął się, gdy dotarło do niego, że właśnie wtedy, w ogniu bitwy, kiedy nie miał czasu na myślenie, tylko na działanie, wycisnął z siebie i kontrolował dziesięć strumieni naraz.

Dziesięć.

A teraz, gdy tylko pomyślał o tym, żeby zrobić to na spokojnie, w jakimś odosobnionym miejscu i bez rozpraszania, brało go na mdłości. Ale wiedział, że jest do tego zdolny. Skoro zrobił to raz, mógłby zrobić znowu... A kto wie czy dziesięć to wszystko, na co go stać.

Zwrócił myśli ku zbadanemu przez siebie rzemysliwu Mahsonna, które wymagało aż trzynastu strumieni. Odgadł, że to ten medalion czynił go niewidzialnym, ale co, jeśli to właśnie ten artefakt pozwalał mu kontrolować setki niszczycielskich igielek? Jeśli maleńka studnia, którą dysponował posokowiec, wystarczyła mu, by tak skutecznie zabijać, to do czego byłby zdolny Caldan, gdyby zawładnął trzynastoma strumieniami? Ta myśl zarazem przerażała go i uwodziła. Był pewien, że nie miałby się czego bać nawet ze strony wielu arcymagów.

– Cztery. Nieźle jak na zwykłego maga. Arcymagowie mają... powiedzmy, nieco bardziej wyśrubowane kryteria. Siła studni nie jest tak istotna, jeśli ma się inne zdolności. Gorton nie wyprowadziłby z tej swojej studzienki nawet czterech strumieni, ale umie kilka innych rzeczy.

Caldan popatrzył na niego.

– To znaczy?

Z ust Gortona dobył się śmiech podszyty niebezpieczną nutą.

– Potrafię zmiażdżyć człowiekowi serce, jeśli tylko mam dość czasu, żeby go zlokalizować. Mogę zrobić to nawet pomimo tarczy, cztery strumienie czy nie, nieważne. Nikt nie może uchronić się przed moim atakiem.

Caldan poruszył się niepewnie na stolku, gromiony spojrzeniem przez nadętego Gortona. Choć wciąż był osłabiony, wstał i zaczął



krażyć przy ognisku. Widząc to, obaj arcymagowie wybuchli śmiechem i Caldan poczuł, że się rumieni. Kpili sobie z niego? Czy może ich wesołość miała zagłuszyć prawdziwość słów Gortona?

– To tylko jeden z talentów mojego towarzysza – rzekł Melker. – Rozlicznych zresztą i rzadkich, dlatego tak cenionych przez wszystkich. – Gorton przechylił głowę w kierunku Melkera. – Co zaś tyczy się mnie, to nie posiadam żadnych rzadkich talentów. Mam za to potężną studnię i radzę sobie z wieloma strumieniami. A jak jest z tobą? Zauważyłeś, żeby coś wychodziło ci lepiej niż innym magom?

Caldan pokręcił głową.

– Nie zauważyłem. Mam pewien projekt, nad którym pracuję od kilku lat, ale talentem bym tego nie nazwał. To raczej ciekawość.

Nie miał zamiaru zdradzać im swoich zdolności. Arcymagowie prędzej czy później się o nich dowiedzą, ale na jego warunkach.

– No, nie wstydz się – powiedział Melker. – Słuchamy. Gorton usiłuje stworzyć rzemysłniczy kamień, z którego pomocą mógłby się ogrzać nocą. A ja mu powtarzam, że istnieją lepsze sposoby na to, żeby się ogrzać. – Mrugnął do Caldana.

– W końcu mi się uda – powiedział Gorton. – Gdybyśmy tylko przecięli obwód zasilający, to... – Urwał, gdy Melker uciszył go ostrym spojrzeniem. – To jest praktyczny wynalazek, który znajdzie się kiedyś w szerokim użyciu.

– Jestem tego pewien – potwierdził Melker. – No więc, młody Caldanie, co to za projekt?

Chłopak przełknął ślinę. Projekt to dużo powiedziane, tak naprawdę tylko w tym dłużej, choć odnotował już znaczne sukcesy. Czy rzeczywiście można nazwać to talentem w tym rozumieniu, jakie mieli arcymagowie? Przypomniawszy sobie, że Mold i dwaj inni mistrzowie wcale nie byli pod wrażeniem konstruktów, który zbudował, uznał więc, że w tym przypadku szczerowość nie popsuje mu szyków. Im mniej kłamstw, tym lepiej. Łatwiej będzie mu się w nich później połapać.

Sięgnął do kieszeni i wyjął pokrytego runami metalowego żuka, ale trzymając go w ręku, czuł wątpliwości. Konstrukt potrzebował do działania pięciu strumieni – jeden do ruchu, drugi, by słyszeć, i trzeci, by widzieć, a do tego dwa kolejne, żeby latać i utrzymać tarczę. A przecież powiedział czarodziejom przed chwilą, że umie

wyprowadzić tylko cztery. No trudno, zrezygnuje z któregoś i ograniczy się do czterech.

Ujął żuka dwoma palcami i postawił na swoim stołku. Otworzył studnię, podłączył się strumieniami do odnóży i skrzydeł, a potem podczepił jeszcze jeden do oczu. Trzy powinny wystarczyć. Runy błysnęły światłem, a potem zaczęły wydzielać jednostajny blask.

– Lochner – powiedział nagle Gorton.

Melker potwierdził mruknięciem. Potarł policzek.

– Możliwe. Ale to było tak dawno temu.

– Kim jest Lochner? – spytał Caldan. – On też eksperymentował z konstrukcjami?

– Tak. Lata temu. Był czarodziejem, który zgłosił się do arcy magów, chcąc, żebyśmy przyjęli go w swoje szeregi. Został z nami przez jakiś czas. Trudnił się kowalotwórstwem, chciał udowodnić sformułowane przez siebie hipotezy. Ostatecznie niewiele osiągnął.

Melker umilkł. Caldan czuł, że mag nie opowiedział całej historii. Ale nie chciał odpuścić tego tematu.

– Skoro nie był nikim szczególnym, jak to się stało, że zapadł wam w pamięć?

Dwaj magowie wymienili spojrzenia. Melker odchrząknął, a potem podjął:

– Gdy jego praca stanęła w martwym punkcie, zrobił się nerwowy. Czuł, że jest blisko przełomu, i postanowił, że nie będzie spał, póki go nie dokona. Pewnej nocy pracował sam nad rzemysłiwem podobnym do twojego, ale nie nad żukiem, tylko jakimś gryzoniem. Następnego ranka służący odkrył, że Lochner zamknął się w swojej pracowni. Nie otwierał drzwi i nie odpowiadał, gdy go wołano. Wreszcie służący poszedł po jedną z nas. Czarodziejka otworzyła drzwi zakłębieniem. Wewnątrz znalazła Lochnera w jego ulubionym krześle przed wygaszonym kominkiem. Ścisnął konstrukta obiema rękami. Nie żył. Nie znaleźliśmy na nim nic, co mogłoby zdradzić przyczynę śmierci. Miał tylko dwadzieścia siedem lat. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, jak umarł. Jego przypadek to jeden z powodów, dla których grzebanie przy konstrukcjach uważane jest za, no cóż, niebezpieczne. Możliwe, oczywiście, że dzieło Lochnera nie miało nic wspólnego z jego zgonem, ale

ponieważ przyczyny śmierci nie odkryliśmy, zakładamy, że istnieje związek.

– Ale przecież jego rzemyśliwo nie mogło go zabić. Znaczy nie było chyba uszkodzone?

Gorton zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. Sam je widziałem. Było sprawne, nie zdradzało oznak awarii. Wciąż pamiętam te rubinowe oczy. Brrr, aż dreszcz zbiega po plecach. Jakby się na mnie gapiły.

Arcymagowie najwyraźniej uczynili z historii Lochnera przypowieść o niebezpieczeństwach czyhających na śmiałków, którzy przedwcześnie rzucali się na głębokie wody zaawansowanego czarownictwa. Caldan rozumiał ich podejście, ale... jak ma się dokonać postęp, skoro ganią czarodziejów za eksperymenty? A może w tym właśnie rzecz, że arcymagowie nie chcieli, aby postęp się dokonał? Caldan sam się przekonał, jak zazdrośnie skrywają przed resztą świata moc, z której sami swobodnie korzystają.

Caldan wydał polecenie i żuk okręcił się na stołku, zmieniając ułożenie odnóży. Posłał do urządzenia kolejną myśl, a ono zatrzepotało skrzydłami i uniosło się w powietrze. Owad zatoczył nad ich głowami szeroki łuk, a Caldan z zadowoleniem spijał podziw, który odznaczył się na twarzy Gortona.

Czarodziej nagle zerwał się z miejsca i obejrzał na ścieżkę wiodącą do namiotu Devenisha. A kiedy to zrobił, Caldan wyczuł, że Melker otworzył studnię. Ułamek chwili później Gorton uczynił to samo. Nie wiedząc, skąd u nich to poruszenie, Caldan na wszelki wypadek zawiesił konstrukt w powietrzu, a sam sięgnął po tarczę. I wtedy zorientował się, że popełnił błąd. Nie mógł już wyciągnąć ze studni ani jednego strumienia, bo wtedy arcymagowie zorientują się, że ich okłamał. Zaklął pod nosem.

W ich kierunku szła grupa około dwudziestu ludzi. Większość z nich to byli zaprawieni w bojach żołnierze w zbrojach dobranych z elementów innych pancerzy, które akurat nawinęły im się w miejsce uszkodzonych, oraz z niepasującą do niczego bronią. Wypatrzył wśród nich gęstszych mężczyzn. Gazija i jego świta.

Przeszli obok Caldana i czarodziejów, nie zaszczycając ich nawet spojrzeniem. Pewnie w drodze od doków do kwatery arcymagów zdążyli już przywyknąć do tego, że ściągają wzrok, gdziekolwiek się

pojawiają. Pełniące straż przed namiotem dwie jasnowłose kobiety – również z kasty arcymagów, wnosząc z ubioru – wprowadziły ich do środka. Caldan zwrócił się do Melkera i Gortona, chcąc spytać ich, czy wiedzą coś o najemnikach.

Spostrzegł, że ci wpatrują się w Quissa, który stał niespełna dziesięć kroków dalej. Kupiec musiał iść kawałek za grupą, bo Caldan nie widział, by oddzielił się od gromady mężczyzn.

– Wybaczcie, panowie – powiedział Quiss z tym swoim dziwnym, melodyjnym akcentem. – Nie chciałbym przeszkadzać...

– A jednak przeszkadzasz – burknął Melker.

Quiss zignorował arcymaga i utkwiał wzrok w Caldanie.

– My się chyba już spotkaliśmy.

Obaj czarodzieje przenieśli na Caldana podejrzliwe spojrzenia. Świetnie, tego mu jeszcze brakowało.

– Mości Quiss, kupiec, zgadza się? Prowadziłeś, panie, interesy z moją przyjaciółką Mirandą.

– To prawda. Jak ona się miewa? Ma dziewczyna łeb do interesów.

Odpowiedź nie chciała przejść Caldanowi przez gardło.

– Niestety, nie miewa się zbyt dobrze – wykrztusił w końcu. – Miała wypadek.

Czy właśnie nadarzała się okazja, żeby dowiedzieć się więcej o tych dziwnych czarodziejach? Jeśli magią zniewalającą władali sprawniej niż Devenish i jego arcymagowie, to powinien tę szansę wykorzystać.

– O rety... – zasmucił się Quiss. – Ale ona nie jest czarodziejką... Musiała więc odnieść rany w walce?

– Nie, to nastąpiło wcześniej, gdy uciekaliśmy z Anasomy. I nie jest ranna na ciele, lecz na umyśle. Pomieszano jej zmysły magią zniewalającą. Przybyłem tutaj, szukając sposobu, żeby ją uleczyć.

Quiss zwężył powieki i obrzucił Caldana przenikliwym wzrokiem. Wreszcie skinął wolno głową.

– To wielka szkoda. Ale jestem pewien, że arcymagowie spróbują jej pomóc.

Jego głos nie pozostawiał złudzeń: nie wierzył w powodzenie ich starań.

– Nie powinienes być teraz ze swoim panem? – przerwał im Melker.

Przedstawiciel kompanii handlowej zwrócił na niego spojrzenie zaprawione życzliwym uśmiechem.

– To nasz wybawiciel, nie pan. Co do reszty zgoda, powinienem być teraz przy nim. Chciałem tylko przyjrzeć się temu cudownemu przedmiotowi. – Quiss wskazał żuka. – Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego. To hybryda, zgadza się? Magii i czego jeszcze?

– Mechanizmów zegarowych. – Caldan zbył pytanie wzruszeniem ramion, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie chciał, aby arcymagowie zaczęli łączyć go z tymi przybyszami, był jednak dumny ze swojego dzieła. – Tak tylko sobie dłubię. Niezbyt przydatne ustrojstwo.

– Ale lata. Porusza się jak żywy.

A więc wcale nie szedł tak daleko za grupą. Gdyby tak było, nie zobaczyłby, jak żuk wzbił się w powietrze. Musiał nadejść z innej strony.

– Owszem, ale tylko jeśli kontroluje się kilka strumieni naraz.

Quiss zmarszczył czoło.

– Strumienie? Nie rozumiem.

Dziwne, że nie zna tego określenia, pomyślał Caldan. Z drugiej strony, może pochopnie założył, że jest czarodziejem. W końcu nie widział, by magią władał ktoś poza Gaziją.

Caldan wybiegł do kupca zmysłami i odkrył, że Quiss rzeczywiście posiada studnię, ale nie surową i poszarpaną jak większość, które w życiu widział, lecz idealnie gładką i ziejącą jak jama do wnętrza ziemi. Robiła wrażenie, jakby powstała naturalnie, tak jak rośnie las lub wytycza sobie koryto rzeka. Jego własna przypominała w porównaniu coś wydrążonego lub wyrzeźbionego. Wtem, w jednej chwili, studnia Quissa zmieniła się, zaczęła składać się sama w sobie, aż w końcu całkiem zniknęła. Pozwolił Caldanowi ujrzeć ją w pełnej krasie, nim ją schował, tak jak robił to Simmon.

Caldan obrzucił gościa zdumionym spojrzeniem, ale ten jedynie pochylał się, by przyjrzeć lepiej konstruktowi.

– Co masz na myśli, mówiąc: strumienie? – powtórzył jak gdyby nigdy nic.

– Jeśli tego nie wie, to nic mu nie mów – ostrzegł Gorton.

– Przecież musi coś wiedzieć – odparł Melker, a potem zwrócił się do Quissa: – Nie pogrywaj z nami, przybyszu.

Spojrzenie chudzielca było przesyczone smutkiem.

– Strumienie. Włókna. Nici. Łodygi. Jakkolwiek je nazywacie, jeżeli wciąż korzystacie z nich w czarowstwie, to musicie się jeszcze wiele nauczyć.

Melker prychnął z pogardą, wwiercając się w Quissa spojrzeniem.

– Przecież inaczej się nie da. Masz nas za głupców?

Quiss zbył jego słowa nonszalanckim wzruszeniem ramion.

– Myśl, co chcesz. – Skierował wzrok na Caldana. – Chciałbym dowiedzieć się więcej o tym, co dolega Mirandzie. Polubiłem ją. Zrobię, co w mojej mocy, żeby jej pomóc. A więc znacznie więcej, niż potrafią arcymagowie.

– A to dobre! – wykrzyknął Melker. – Mocno się przechwalasz jak na kogoś, kto nie wie, że w czarowstwie korzysta się ze strumieni.

A jednak Caldán wyczuł coś pod słowami arcymaga. Jakieś drżenie. Strach. Ten pokaz mocy na nabrzeżu wstrząsnął Melkerem do żywego. Ci przybysze poradziliby sobie z jego przywódcą z rękoma związanymi na plecach. Szedł o zakład, że Melker nigdy jeszcze nie widział, aby ktoś z taką swobodą górował nad najpotężniejszym członkiem jego kasty, stanowiącej przecież czarodziejską śmietankę cesarstwa.

Caldán nie dziwił mu się; jednym zaklęciem Gazija wstrząsnął ich wiarą we własne siły. Echo tego starcia będzie brzmieć między nimi jeszcze przez długie lata. Jako człowiek, którego świat już wielokrotnie wywrócony został do góry nogami, Caldán z łatwością mógł wyobrazić sobie, co dzieje się teraz w umysłach arcymagów.

Quiss zrobił kilka kroków w tył, skinąwszy każdemu głową.

– Muszę już iść, inaczej spóźnię się na spotkanie. – Zatrzymał spojrzenie na Caldanie. – Zobaczę, co zdołam zrobić dla Mirandy – przyobiecał, po czym okrążył ognisko po półkolu i ruszył do namiotu Devenisha, gdzie jedna ze strażniczek odchyliła już dla niego płachtę zasłaniającą wejście.

– Nie słuchaj go, Caldanie. To człowiek kłamliwy i przebiegły.

Caldán zgodził się z Melkerem, ale bez przekonania. Mistrzynie Annelie nie potrafiła wyleczyć Mirandy i raczej nie kwapiła się

przyznać, że ktoś inny mógłby tego dokonać. Przecież chyba nie zaszkodzi dowiedzieć się, ile potrafią ci goście. Zwłaszcza że jeden z nich sam się zaoferował, prawda?

Pytanie brzmiało: czego zażądają w zamian? I czy Caldana stać na ich usługi?



**A**idan siedział w wypłowiałym czerwonym fotelu. Przez dziury w tapicerce sterczały kępki wełny. Gdzieś w pobliżu trzaskał ogień, a obok niego ktoś postawił dzban z grzany winem. Ramię miał unieruchomione ciasnym temblakiem.

Uzdrowiciele początkowo nie spieszyli się z pomocą. Gdy w końcu łaskawie nastawili Aidanowi rękę, usiłowali podać mu olej makowy, ale odmówił. I tak był już zanadto otumaniony.



W Starorzeczu wzbierał chaos. Z tego, co słyszał, jukarowie nie zdążyli nawet dotrzeć do miasta, nim jakaś siła przetrzebiła cesarskie wojsko. Ostała się tylko resztką armii, Aidan wątpił więc, żeby vormagowie długo czekali z natarciem. Rzucają na niedobitków resztę wojsk, a potem za pomocą magii dopełnią dzieła zniszczenia.

Sięgnął po dzban i nalał sobie wina. Sączył je, nie zwracając uwagi na smak.

Po drugiej stronie pomieszczenia Vasil spał we własnym, również rozpadającym się fotelu. Jego ramię było w znacznie gorszym stanie. Lekarze prawie je amputowali.

„Nigdy nie widziałem tak pogruchotanej ręki, która jeszcze by się ruszała” – skomentował jeden z uzdrowicieli. Gdyby nie interwencja Aidana, Vasil zostałby kaleką. Po długich przekonywaniach w końcu zgodzili się, że istnieje niewielka szansa, że ramię da się uratować.

Aidanowi nie było łatwo odnaleźć Vasila w pobitewnym zgiełku. Cesarski glejt otwierał wiele drzwi i ust, które normalnie byłyby dla niego zamknięte. W końcu znalazł sędziego pod opieką felczera przydzielonego starorzeczańskim Kołczanom. Aidan ruszył tropem, który zostawił za sobą cel Rau, i wparował do głównego baraku Kołczanów. Był rozczarowany tym, że znalazł tam tylko Vasila, lecz jednocześnie szczęśliwy, że sędzia jest bezpieczny.

Wieści o głejce rozeszły się po obozie i wkrótce zaproszono Aidana na spotkanie z dowódcą, mężczyzną imieniem Cilliers. Aidan ocenił, że oficer nie wyściubił nosa ze swojego „namiotu strategicznego”, by obserwować jukarskie wojsko, a co dopiero zwrócić się do swoich żołnierzy obsadzających mury.

Prychnął z pogardą na myśl o spotkaniu z tym człowiekiem, aż poruszył się półśpiący w fotelu Vasil.

Aidan podniósł do ust kubek z winem i zorientował się, że jest pusty. Zaczął go napełniać, przerwał na moment, a potem dolał aż po zgrab.

Sędzia drgnął i otworzył jedno oko. Minęła dłuższa chwila, nim zdołał zogniskować spojrzenie na dowódcy. Przebiegł językiem po spierzchniętych ustach i oczyścił gardło.

– To chyba... nie jest woda?

– Masz trochę tam, obok. Uzdrowiciele przewidzieli, że niebawem się obudzisz. Na razie lepiej się nie ruszaj. W końcu się

wyliżesz.

Aidan przełknął łyk wina i odstawił kubek. Jęknął, dźwigając się na nogi, i poczłapał do Vasila. Sięgnął po dzban i podsunął go sędziemu. Wystawała z niego pusta w środku łodyga jakiegoś rzeczynego zielska. Vasil zerknął na nią niepewnie.

– Pij – ponaglił go Aidan. – Lekarze dają je pacjentom o ograniczonej sprawności ruchowej.

Vasil łyknął przez słomkę, a Aidan usiłował powstrzymać tysiące pytań, które cisnęły mu się na usta. Sędzia opróżnił naczynie do połowy, nim językiem wypchnął słomkę z ust i odwrócił głowę.

– Dziękuję.

Aidan odstawił dzban i wrócił do swojego fotela.

– Powiedz mi, co stało się na moście z tobą, cel Rauem i Chalayanem. I co było potem.

Vasil skrzywił twarz. Wydawał się jeszcze bardziej chory niż przedtem, jeśli to w ogóle możliwe.

– Nie spodoba ci się to, co powiem.

– Wiele rzeczy na świecie mi się nie podoba. Jedną z nich są złe wieści. Ale tyle ich już usłyszałem, że jakoś zniosę kolejne. Muszę wiedzieć, co się stało.

Sędzia kiwnął głową.

– Cel Rau... zabił Chalayana. Zaraz po starciu na moście. On... a właściwie obaj myśleliśmy, że umarłeś. Widzę, że jeszcze dychasz. Jakim cudem ocalałeś?

– Wszystko w swoim czasie, Vasilu. Najpierw opowiedz mi o śmierci Chalayana i o tym, co wydarzyło się później.

Sędzia przełknął ślinę i znowu przytaknął.



**O**jciec Amerdana, teraz zapewne szkielet rozsypujący się w płytkim grobie za ich rodzinnym domem, zawsze mu powtarzał: „Chłopcze, opiekuj się swoimi siostrami. Jesteś najstarszy, jesteś silniejszy od nich. To ty musisz zadbać o to, by nic złego ich nie spotkało”.

Głupi wieśniak. Nie rozumiał, że istnieje wiele rodzajów siły. Te widoczne i te niewidoczne. A jednak słowa ojca zapisały się na stałe w głowie Amerdana. Był bardzo młody, gdy uświadomił sobie, że talenty, z którymi człowiek przychodzi na świat, nie mają wielkiego

znaczenia. Dopiero to, czym stajesz się w trakcie swojego życia, decyduje o twojej sile lub słabości. Czy jesteś panem, czy niewolnikiem. I że istnieje wiele sposobów na to, by człowiek przeszedł przemianę w coś zgoła innego niż to, kim był wcześniej. Wielkie nieszczęście Amerdana – zniewolenie jego i jego sióstr na potrzebę magicznych eksperymentów – ostatecznie zmieniło się w szczęście, gdy Amerdan odkrył jeden szczególnie interesujący sposób na przekroczenie pętających go ograniczeń. Może zresztą nieszczęście pozostało nieszczęściem, ale takim, które pchnęło go przez życie nową, lepszą drogą.

Czy ktoś go wybrał? Czy namaścił do tego? Czyżby przodkowie sięgnęli przez woal oddzielający żywych od umarłych, by pokierować jego losem? To chyba możliwe. Jak inaczej wytłumaczyć to, co mu się przydarzyło? Jeśli tak rzeczywiście było, w ogóle mu to nie przeszkadzało. Trapiło go natomiast to, czy wybrany został przed, czy po tym, jak siostry zostały wykorzystane, a potem zamordowane.

Amerdan zagryzł zęby i zadrżał na samą myśl. Jeśli rzeczywiście musiały umrzeć, by dopełniło się jego... przemienienie, to ktoś i tak musi za to odpowiedzieć. Ktokolwiek – lub cokolwiek – wybrał do tej przemiany Amerdana, będzie musiał zostać ukarany.

A jeśli Amerdan miał wyrzucić zemstę na jakimś rozkapryszonym bogu, to będzie musiał sam stać się potężny jak bóg.

Kropce nie musiał tego tłumaczyć. Nie wiedział, jakim sposobem jego siostry przeniosły swoją świadomość do szmacianej lalki, gdyż ona prawie się do niego nie odzywała. Wiedział tylko tyle, że jest wdzięczny za tę pokrzepiającą obecność przy swojej piersi oraz za to, że nie zostawiły go samego w lochu z czarodziejem.

W korytarzu przed Amerdanem poruszył się jakiś cień, na ułamek chwili muśnięty światłem jedynej oliwnej lampy. Nieproszony gość, który bardzo pożałuje swojego wtargnięcia.

Amerdan dał nura w boczną uliczkę i przywarł do kamiennej ściany. Wiedział, że poradzi sobie z każdym, kto go odnajdzie, lecz zdawał sobie także sprawę, że przynajmniej na jakiś czas będzie musiał pozostać w ukryciu. Nie był bezpieczny w Starorzeczu, ale ten budynek znajdował się blisko muru, mógł więc niepostrzeżenie opuszczać miasto, kiedy tylko zechciał. Musi teraz poczekać

i przekonać się, czy zdoła znowu odnaleźć Caldana. Choć w pewnym sensie Amerdan czuł z nim swoiste powinowactwo, nie powstrzyma go to od przejścia studni chłopaka i zwiększenia własnej mocy.

W tym celu musiał teraz unikać ciekawskich spojrzeń, łącznie z tymi mogącymi paść na niego ze strony niespodziewanych gości, którzy zapuścili się na trzeci poziom piwnic, gdzie obecnie bytował. Mało kto schodził tak głęboko pod ziemię, ale okazjonalni intruzi naruszali czasem jego nową kryjówkę.

Amerdan niczego tak nienawidził jak czekania. Ale musiał czekać, jeśli chciał żywić choć cień nadziei na zawładnięcie taką mocą. Najpierw pochłonie Caldana, potem odszuka mahruzańskiego cesarza oraz tych czarodziejów, którzy walczyli z Dzwonkami. Arcymagów. Zadrżał na myśl o tym, jak bardzo wzbogaci się ich kosztem.

Lecz jeśli to oni znajdą go, nim wyszlifuje swoje umiejętności, jego plan spali na panewce.

Dobiegający z dali odgłos kroków robił się coraz głośniejszy, a potem nagle ustał. Zadzwończyły klucze i zgrzytnął zamek. W proteście zaskrzypiały zawiasy otwieranych drzwi. W pomieszczeniach nie znajdowało się za wiele. Te zbadane przez Amerdana zawierały wyłącznie pył i zdechłe pająki. Czasem po kątach przemykały szczury. Zetłale dywany i zapomniane gobeliny dawno już opadły ze ścian, tworząc dla nich wygodne gniazda. Gryzonie szabrowały na powierzchni, szukając pożywienia, a potem kryły się w gościnnych podziemiach. Ilekroć tu schodził, zaczynała go świerzbieć skóra. Rozpaczliwie wyglądał kąpieli.

Amerdan skierował swoją uwagę do wewnątrz, magicznym zmysłem dotykając przestrzeni, które otworzyła w jego umyśle Dzwonki. Nazywała je studniami. Jedna była gładsza, druga bardziej chropawa i surowsza, jakby stolarz wywiercił dwa otwory w kawałku drewna, a potem oszlifował tylko jeden z nich.

Skoncentrował się na tej nowej studni. Ostatnim podarunku, jaki otrzymał od Dzwonków, nim zginęła. Rzadko kiedy umiał przewidzieć, jaki nowy talent uzyska za pośrednictwem swojego talizmanu. Bywał nim zaskoczony i zachwycony. Starał się unikać jakichś przypadkowych zdolności, które mogłyby okazać się niepotrzebne, ale czasami... często z niekłamaną rozkoszą odkrywał

w sobie coś nowego, ciekawszego niż umiejętność, którą posiadał dawno i rozwinął sam.

Przykładem takiej sytuacji był praktykant w Anasomie. Amerdan nigdy nie miał sposobności nauczyć się czytać. Ale gdy pochłonął tamtego młodego czarodzieja, umiejętność czytania po prostu... wskoczyła mu do głowy. Posiadł ją bez konieczności uczenia się. Po latach intensywnych doświadczeń myślał, że wie już wszystko o swoim talizmanie, ale ten zawsze znajdował sposób, żeby go jakoś zaskoczyć. Z całą pewnością nastąpiło to wtedy, gdy Dzwonki powiedziała mu, że może kiedyś zostać czarodziejem.

Sięgnął zmysłami i dotknął swojej zablokowanej studni. Studni Dzwonków. Wcześniej jej tam nie było, a teraz jest.

Amerdan skrzywił się z irytacją. Dotyk działał tyle, ile drapanie w ścianę pozbawioną drzwi. Próbował do utraty sił, ale nie mógł znaleźć żadnego punktu zaczepienia, żadnej szczeliny, żeby choć wściubić paznokiec i spróbować przełamać barierę.

Ktoś był kilkadziesiąt stóp za nim. Serce załomotało Amerdanowi w piersi. Jak... jak on wyczuł, że ta osoba się porusza? Zamknął oczy i skoncentrował się mocniej. Wyczuł coś, choć dzieliły go od tego czegoś lite ściany. Wołało go, jakby wymacał gdzieś ranę swoimi czarodziejskimi zmysłami, których dopiero co nauczył się używać.

Nie, nie ranę. To studnia. A ten ktoś był czarodziejem.

Amerdan potknął się, robiąc krok wstecz, a potem odzyskał równowagę i wtedy coś do niego dotarło.

Ktoś na niego polował.

Wziął głęboki wdech i zakradł się do drzwi. Było tylko jedno wyjście z tego pomieszczenia. Za nic nie pozwoli osaczyć się jak zwierzę w potrzasku. Jego czarodziejskie zdolności wciąż stanowiły dla niego tajemnicę i wcale nie był pewien, czy poradziłyby sobie z arcymagiem lub Protektorem, który by się tu na niego zasadził. To spostrzeżenie jednocześnie rozżłościło Amerdana i zaintrygowało. Potrząsnął głową. Później dowie się więcej o rzemyśleniu. Teraz musi zadbać o swoje bezpieczeństwo. Węszyli za nim, a on był teraz osłabiony i powinien uciekać.

Uciekać – powiedziała Kropka skulona za jego koszulą. Tchórz.

Amerdan skrzywił się, słysząc jej ostry ton. Miała rację, ale i się myliła. Jednocześnie? Jak to? Ostrożnie zdjął skobel z drzwi i widząc,

że na korytarzu nie pali się światło, wysliznął się z pomieszczenia i po omacku ruszył naprzód w ciemności, zostawiając nieznanego czarodzieja za plecami.

Gdzieś tam buchnęło światło. Cień położył się przed Amerdanem, rysując na ścianie jego sylwetkę. Niemal znalazł się już za rogiem. Natychmiast przepadł do ziemi, słysząc odbijające się echem głosy.

– Chyba coś wyczułam – powiedziała kobieta.

– Gdzie? – odpowiedział jej mężczyzna. – Przeszukujemy już piąty budynek. Jak dotąd ani śladu. Nie wiem, kogo ścigasz, ale dawno go tu nie ma.

– Nie – powiedziała kobieta. – Wyraźnie czułam... a zresztą. Może masz rację? Ale przecież Gazija kazał nam przeczesać ten obszar, a więc to właśnie zrobimy.

– Jak chcesz, to twoje dukaty. Lepsze to niż pranie się z jukarami.

Rozległy się męskie śmiechy. A więc kobieta, czarodziejka, a z nią czterech mężczyzn. Pewnie jacyś wojownicy. Sądząc po wzmiance o dukatach, najemnicy.

Kropce się to nie spodoba, ale rzeczywiście musiał uciekać. Lecz pewnego dnia, pewnego dnia to oni będą uciekać przed nim.

Amerdan ruszył przed siebie na palcach, aż ciemność zdusiła światło za jego plecami. Skradał się po omacku, polegając jedynie na zmyśle dotyku. Dotarł do odcinka korytarza, który dobrze znał – wąska klatka schodowa na tyłach budynku. Szybko dobiegnie nią do tylnych drzwi, a nimi na ulicę.

Przez całą drogę słyszał oskarżenie Kropki. Tchórz.

Może i jest tchórzem, ale to nie o siebie się teraz martwił. Zastanawiał się raczej, kim był ten Gazija i dlaczego nasłał na niego czarodziejkę i najemników? Kimkolwiek był, wiedział, że Amerdan ukrywa się w tej części Starorzecza, a to bardzo niedobrze. Choć z niechęcią się do tego przyznawał, nie miał w tej chwili innego wyjścia, jak tylko uciec z miasta, dopóki nie dowie się czegoś więcej.



**C**aldan usłyszał kroki za plecami. Obrócił się i zobaczył idącą wprost na niego Thennę, która zakasała spódnicę szaty, by nie ubrudzić jej krwią i błotem.

A ta czego ode mnie chce? – skrzywił się w duchu. Przetarł oczy palcami i wziął głęboki wdech, by złapać kontenans. Zatrzymała się kilka kroków przed Caldanem i spojrzała na niego z góry. Po chwili jej pomarszczona, opalona twarz uformowała grymas pogardy.

– Gdzie Melker i Gorton? – rzuciła z pretensją.



Caldan wskazał palcem kręcący się nieopodal oddział Kołczanów. Dwaj arcymagowie byli wśród nich i wszyscy kolejno pociągali z gąsiora.

– Wciąż mnie pilnują, ale potrzebowałem chwili dla siebie, żeby pomyśleć.

– Devenish chce się z tobą rozmówić, choć nie wiem, czego niby miałyby się od ciebie dowiedzieć. Moim zdaniem marnuje tylko czas. Lepiej by zrobił, rozprawiając się z jukarami.

Caldan spędził w pobliżu czarodziejki dość czasu, by wiedzieć, że szybciej mówiła, niż myślała. Thenna zainspirowała go do przemyśleń o tym, jak wysoko na liście szczególnie cenionych przez arcymagów cech, decydujących o przyjęciu do kasty, znajduje się mądrość. Nie żeby powątpiewał w inteligencję kobiety, tylko dziwował się zapalczowości nielicującej z jej profesją.

Cóż, to tylko jej problem... ale kto wie czy nie udałoby się mu tego wykorzystać.

Caldan kiwnął więc tylko głową i wstał bez słowa. Na krótką chwilę zadrżały pod nim nogi i zmartwił się, że może stracić równowagę. Gdy poczuł się pewniej, spytał:

– Gdzie go znajdę?

Thenna wskazała podbródkiem w kierunku, z którego przyszła.

– W namiocie dowódców. Rozmawia z tym twoim szermierzem.

– Żadnym „moim” – zaproponował Caldan. – Sam dopiero go poznałem.

Caldan wyczuł w Anshulu człowieka, który nie należy do nikogo poza samym sobą. Ale to, że dowódca arcymagów zarządził audiencję, zaskoczyło go.

– To jakiś krwawy dzikus. Barbarzyńca ze Stepów – dodała, w ogóle nie słuchając Caldana.

– Wydaje mi się, że jest kimś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka.

Cel Rau ryzykował życie, żeby ocalić obcych mu ludzi przed jukarami i vormagami. A potem sprzymierzył się z Caldanem w walce z Dzwonkami. Nie było to coś, czego można by się spodziewać po byle barbarzyńcy.

Arcymagiczka zwięzła powieki i wciągnęła powietrze przez nos.

– Rzemysliwo jest potężniejsze od miecza.

Caldanowi stanął przed oczami jego własny miecz, przerywający się przez tarczę czarodzieja i wbijający się w jego pierś. To było wieki temu, jeszcze w Anasomie. Okręcił na palcu swój pierścień-talizman, ale nie spierał się w kobietą.

– Z pewnością nie może się równać waszym czarom. Zdaje się, że macie coś wspólnego z Indryallanami.

– To nie twoja rzecz. Nie lubię cię, Caldanie. Robisz wrażenie nieuczciwego. I choć opowiedziałeś nam swoją historię w szczegółach, twierdzę, że coś przed nami ukrywasz. Ale ja dowiem się co, a potem okaże się, na ile rzeczywiście możesz przydać się Devenishowi.

Chłopak wzruszył na to ramionami i nie czekając na reakcję Thenny, ruszył po zrytej ziemi we wskazanym przez nią kierunku.

Kobieta szła za nim przez całą drogę do namiotu pierwszego arcy maga. Caldán czuł, jak spojrzeniem wwierca mu się w plecy. Swędziało go miejsce między łopatkami, powstrzymał się jednak przed podrapaniem się, przynajmniej na jej oczach.

Niech sobie myśli, co chce, postanowił. Z pewnością jest niebezpieczna, ale to nie ją muszę do siebie przekonać. Jeśli Devenish obróci się przeciwko mnie, dopiero wtedy będę miał powód do zmartwień...

Dwie kobiety wciąż pełniły straż przed namiotem. Jasne włosy miały rozpuszczone, a bystremu spojrzeniu ciemnych oczu nie umykało chyba nic. Korciło go, żeby upewnić się co do mocy arcy magiczek, sondując ich studnie, ale wolał nie zwracać na siebie uwagi. W każdym razie zdawał sobie sprawę, że wpływa na nieznaną mu dotąd wody. Powierzchność arcy magów była jedynie maską przesłaniającą ich prawdziwe oblicza i prawdziwe intencje. Dopóki nie odkryje tego, co pod spodem, najlepiej zrobi, uważnie ich obserwując.

Gdy się zbliżył, kobiety otaksowały go wprawnym okiem, po czym podniosły płachtę, zapraszając do środka. A potem spojrzały ponad jego ramionami i dostrzegły idącą za nim Thennę. Caldán ze zdumieniem ujrzał, że jedna z wartowniczek uśmiechnęła się szyderczo na jej widok.

Chodzi o jej umiejętności czy może o coś innego? – zastanawiał się. Udał, że nic nie zauważył, ale zapisał to sobie w pamięci. Małe

rzeczy, takie jak ta – drgnienia twarzy, przelotne spojrzenia – pomagały skleić do kupy jakiś koherentny obraz tego nowego świata, do którego trafił. A pierwszy szkic zaczynał mu uświadamiać, że arcyomagowie nie są jednolitą kastą, że są wśród nich różne zwaśnione frakcje, wśród których dochodzi do podziałów i pojednań. I choć nie wiedział jeszcze, dlaczego to teraz takie ważne, miał zamiar dołożyć starań, aby dociec, kto kuma się z kim i dlaczego.

Mnisi wpoili mu wieki temu, że „żadna wiedza nie jest bezużyteczna”.

– Tylko Protektor – oświadczyła strażniczka. – Zaczekaj na zewnątrz, Thenno.

– Devenish posłał mnie po niego – wypluła magiczka. – Przyprawdzą go osobiście.

– Już to zrobiłaś. Nasze rozkazy nie mówią, że mamy wpuścić do namiotu także ciebie.

Caldan obejrzał się na czerwoną na twarzy Thennę, mierzącą wściekłym wzrokiem obie wartowniczkę. Pomyślał chwilę, a potem przemówił:

– Devenish nakazał Thennie mieć na mnie oko. Jeśli ją odeślecie, Devenish każe wam jej potem szukać.

Młode czarodziejki skierowały na niego nieprzychylnie spojrzenia.

– Doprawdy?

Caldan kiwnął głową.

– Chodźmy, Thenno. Devenish nie wygląda mi na takiego, który lubi czekać.

Postawił jedną stopę za progiem namiotu i skinął na Thennę. Kobieta zawahała się, a potem weszła do środka. Mijając Caldana, poczęstowała go cierpkim spojrzeniem, ale też ledwie dostrzegalnie skinęła głową. Caldan nie dbał o to, czy Thenna będzie obecna podczas jego rozmowy z Devenishem, ale najwyraźniej miało to znaczenie dla niej samej.

Małe kroczyki.

Wewnątrz leżały na ziemi dywany, a na ustawionym pośrodku wielkim stole ścieliły się mapy, których rogi przygnieciono do blatu kamieniami. Arkusz papieru na samym wierzchu przedstawiał

Starorzecze. Caldan dostrzegł na nim skupiska czarnych i białych kamieni, odwzorowujące zapewne pozycje jukarów i cesarskich żołnierzy.

Devenish stał po drugiej stronie stołu, konwersując z cel Rauem przyciszonym tonem. Gdy spostrzegli Caldana, natychmiast przerwali dyskusję.

– Wrócimy do tego później – uciął Devenish.

Cel Rau przytaknął. Obie jego ręce, jak zwykle w pozycji spoczynnej, wspierały się o rękojeści dwóch mieczy przy pasie. Szermierz przywitał Caldana milczącym uśmiechem, a potem spojrział na mapy.

– Nie stawiał oporu – zaraportowała Thenna, stając przy chłopaku. – Gdy go znalazłam, patrzył na zniszczenia, których dokonała indryallańska magia.

– No jasne – odparł Devenish, idąc w ich kierunku. – Co więcej mógłby zrobić? Thenno, bądź tak dobra i znajdź Kristofa, a potem go do mnie przyprowadź. Ach, i jeszcze tę uzdrowicielkę... jak jej było?

– Tamara.

– Właśnie ją.

– Ale po co? – zaprotestowała Thenna. – Źle się czujesz? Mogę...

– To nie dla mnie. – Devenish położył czarodziejce rękę na ramieniu, patrząc jej w oczy. – Proszę, Thenno.

Spuściła wzrok i odbiegła nim na bok.

– Oczywiście. Wróć jak najszybciej.

Okręciła się na pięcie i wyszła z namiotu, a Devenish podszedł do stolika przy ścianie namiotu i napełnił winem dwa brązowe kielichy. Podał jeden Caldanowi, nim upił łyk z własnego. Caldan również łyknął wina i zmusił się, by je przełknąć. Było wyborne, smakowało czarnymi wiśniami i miało pieprzową nutę.

– Caldanie, dobrze, że do nas dołączyłeś – rzekł czarodziej. – Cel Rau właśnie mi mówił, że ty także walczyłeś z jukarami, którzy gonili uciekających przed hordą ludzi. Dzięki tobie wielu z nich w porę schroniło się za murami Starorzecza.

Caldan pochylił głowę, nie zamierzając na razie nic mówić. Ciekawiło go, jak wiele cel Rau wyjawiał Devenishowi. On sam powiedział szermierzowi, że jest zarówno Dotkniętym, jak i czarodziejem. Wolał teraz się nie odzywać, nie chciał bowiem, by Devenish wiedział dokładnie, do czego Caldan jest zdolny.

Arcymag pilnie studiował jego twarz.

– Rozumiem, czemu milczysz. Otrzymałeś cenny i rzadki dar. Bardzo rzadki. Cesarz zabiega o to, aby ci, których z powodzeniem zidentyfikowano jako Dotkniętych, chcieli zostać przy jego boku, służąc mu w jego najbardziej zaufanym gronie. Sam na pewno rozumiesz dlaczego.

– Tak. Mają... wiele do zaoferowania.

– Owszem, mają. Ale korzysta na tym nie tylko cesarz, Caldanie. Oni sami również. Jest coś, z czego nie zdajesz sobie sprawy. Mianowicie im bardziej Dotknięci korzystają ze swoich wyjątkowych zdolności, tym trudniejsze to dla nich się staje. One wiążą się z pewnym zużyciem organizmu. Mięśni, kości... o umyśle nie wspominając. Jeśli Dotknięci działają samotnie, korzystają z tych umiejętności za każdym razem, gdy aktywuje je strach lub poczucie zagrożenia. Zresztą, kto by tego nie robił? Przecież wtedy są najbardziej przydatne. Jeśli jednak pójdziesz tą drogą, wkrótce przestaniesz radzić sobie z efektami ubocznymi. Ale mogą ci w tym pomóc pewne talizmany, które można uzyskać tylko od cesarskich arcymagów. Są konieczne, jeśli chcesz żyć dłużej niż jeszcze parę lat.

– To ty tak twierdzisz. Skąd mam wiedzieć, czy to prawda?

Devenish pokręcił głową.

– Tego wiedzieć nie możesz. Lecz sam się wkrótce przekonasz, że mam rację. A jedynym sposobem, żebyś uniknął... powiedzmy, nieprzyjemności, jest złożenie przysięgi wierności cesarzowi. Czy istnieje wspanialsze, ważniejsze powołanie?

– A co z rzemyśleniem? Właściwie tylko tym chcę się zajmować.

– Mam kilka pomysłów na to, jak możesz przysłużyć się cesarstwu swoimi talentami. Ale najpierw mam dla ciebie zadanie.

Wymigał się od odpowiedzi, zauważył Caldan. I co to niby za zadanie? Zerknął na szermierza i spostrzegł, że ten go obserwuje, zapomniawszy o mapach i kamykach.

– Co miałbym zrobić? – spytał Caldan.

– Zabić jukarów i vormagów, ma się rozumieć. Cóż innego mamy teraz do roboty?

– Ale dlaczego ja? Masz przecież dość arcymagów i Kołczanów. A teraz dowodzisz jeszcze kompaniami najemników.

Devenish skrzywił wargi z niesmakiem.

– Najemnicy nie zdadzą się nam na wiele.

Wcześniej gdy uratowali Kołczany, uważałeś inaczej, rzucił w duchu Caldan. I ja mam ci zaufać? No to patrz, bo ja też umiem grać w tę grę.

– Skoro tak twierdzisz – odrzekł głośno – ale nie wiem, na ile zdołam się przydać. Jestem czarodziejem, wojowanie to nie moja domena.

Devenish zwęził powieki. Wpatrywał się w Caldana przez dłuższą chwilę. „Jesteś kimś więcej niż tylko czarodziejem” – mówiło to spojrzenie. „Obaj dobrze to wiemy”.

– Najemnikom nie wolno ufać, choć przydadzą się nam do zmiękczenia jukarów. Z kolei arcymagowie mają swoje własne zadania. Możesz być pewien, że toczą własną walkę z vormagami. Ponadto potrzebujemy ich w jak największej liczbie, żeby bronili Starorzecza i oczywiście samego cesarza.

Caldan zdusił westchnienie. Nie miał pojęcia, jakie Devenish miał wobec niego intencje, ale jeśli arcymag chciał, żeby Caldan zabijał jukarów, to on spełni jego życzenie. Przynajmniej da mu to nieco czasu, by dowiedzieć się więcej o arcymagach i podjąć decyzję, czy służyć cesarzowi... czy też nie.

Kiwnął głową.

– Zrobię to.

– Oczywiście, że zrobisz – rzekł Devenish. – Ach, zapomniałbym. Będzie ci towarzyszyć Thenna. Oceni twoją moc i zobaczy twoje rzemyśliwa w akcji. Zakładam, że masz przy sobie kilka wykonanych własnoręcznie?

Caldan chciał coś odpowiedzieć, ale przeszkodziła mu niespodziewana fala mdłości. Coś zawierciło go w brzuchu i poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

– Przepraszam... – wydusił słabym głosem. – Czy mógłbym... – Nie czekając na przyzwolenie, powłókł się do stołu z mapami i oparł o niego. Czuł, że ma śliskie dłonie. Dotarło do niego, że to pot. Odetchnął głęboko, chcąc odegnać mdłości. – Przepraszam. Nie wiem, co to... – Zaraz, o co pytał go Devenish? A tak, o rzemyśliwa. Caldan obejrzał się na arcymaga, który bacznie mu się przyglądał. – Tak – odpowiedział z opóźnieniem. – Mam przy sobie trzy

rzemysliwa, które wykonałem: tarczę i dwa konstrukty. Są dość zaawansowane, ale na pewno się na nich poznać.

Czuł, jak pot ścieka mu po plecach. Był słaby jak dziecko. Znów zaczerpnął powietrza, usiłując nadrabiać miną.

– Świetnie – ucieszył się Devenish. – Z tym że konstrukty są zwykle bezużyteczne. Jeśli masz być pomocny, będziesz musiał wkrótce wykonać coś bardziej praktycznego. Wówczas... – Mag urwał, gdy jakaś ręka odgarnęła płachtę i do środka weszła Thenna, za nią jeden z największych ludzi, jakich Caldan widział w życiu, oraz smukła, ciemnowłosa kobieta.

Olbrzym utykał. Wyglądał jak weteran wielu bitew, prosty żołnierz z długim stażem, lecz miał przy sobie miecz o rzemyslniczej rękojeści i wiele srebrnych pierścieni. Caldan czuł wibrowanie na obrzeżach swojej świadomości. Talizmany. Kobieta była ich pozbawiona, ale zobaczył, że dźwiga skórzaną torbę podobną do tej, którą miała Elpidia. Na myśl o martwej przyjaciółce Caldana ścisnęło w gardle i przełknął z mozołem ślinę.

– Kristof, zapraszam! – wykrzyknął Devenish, jakby pozdrawiał starego przyjaciela. – Oraz Tamara.

– No proszę, pamiętałeś! – Uzdrowicielka przyozdobiła usta kokietyrjnym uśmiechem. Zerknęła na Devenisha, a potem uciekła spojrzeniem gdzieś w bok.

Obok niej stanęła ze skrzyżowanymi ramionami Thenna. Jej wargi formowały na nieruchomej twarzy zaciśniętą, poziomą linię.

– Przeprowadziłam ich, jak prosiłeś. Znam też inne sztuczki poza aportowaniem.

– Mam tego pełną świadomość, Thenno. Bardzo ci dziękuję.

Czarodziejka skrzywiła się do niego, a potem zahaczyła wzrokiem Tamarę. Jej grymas się pogłębił. Pierwszy arcyomag podszedł do Kristofa i uścisnął sobie dłoń.

– Wina? – zaproponował gościowi.

– Nie – odmówił wojak głębokim głosem. – Źle się łączy z ziołami, które zażywam. A przynajmniej lekarz mi odradzał.

– Ach, rozumiem. Tamaro, reflektujesz?

– Nie, dziękuję. Miłe, że proponujesz, ale nie piję w pracy. A skoro o pracy mowa, jest tu dla mnie jakiś pacjent? Nie widzę nikogo ранego.

– Nie ma, ale zaraz się pojawi. – Devenish odkaszlnął w pięść. – Przedstawiam ci Caldana, który jest... człowiekiem dość niezwykłym. Na te słowa Kristof wwiercił się spojrzeniem w Caldana.

– Dzięki talentom tego młodzieńca ostało się przy życiu wielu uciekinierów, którzy umykali przed postępującą jukarską hordą. Z tego, co mi powiedziano, Caldana osłaniał ich przez długi czas, pokonując wiele potworów.

Devenish i Kristof wymienili znaczące spojrzenia, a potem olbrzym prychnął pod nosem. Tamara porozumiewawczo skinęła głową.

– Kristofie, będziesz musiał go sprawdzić. Wiem, że masz pełne ręce roboty z jukarami, ale jak sam przecież wiesz, to bardzo ważne. A on nam pomoże. Tamaro, ty także wiesz, co robić. Będzie potrzebował wspomagania. Następne dni będą dla niego dość trudne.

Caldanowi nie spodobało się, że rozmawiają o nim, jakby go tu nie było. I niby po co mu uzdrowiciel? Co to za „trudne dni”, które go niby czekają?

– O co chodzi? – spytał niepewnie.

Arcymag machnął dłonią na Kristofa.

– Wyjaśni ci to po drodze. Kristofie, bądź tak dobry i zaprowadź Caldana do swojej części obozu. Znajdź mu wszelkie potrzebne wyposażenie, poślanie i takie tam, byle z dala od pozostałych. A potem odpocznijcie, jutro musicie być w pełni sił.

Tamara kiwała głową, a Kristof znowu wgapił się w Caldana.

– Za mną – polecił. – Na pewno masz masę pytań.

– Moment – powiedział Caldana. – Devenishu, muszę porozmawiać z tobą o Joachimie i o tym, co stało się w Starorzeczu.

– Jutro – odparł arcymag.

– Może – skorygował Kristof, a Devenish potwierdził skinieniem.

– A więc: może – podsumował – Przez jakiś czas będziemy zajęci jukarami, więc to, o czym chcesz porozmawiać, będzie musiało poczekać. Vormagowie przysparzają nam teraz największych zmartwień. Umieją rzeczy, o które bym ich nie podejrzewał. Zupełnie jakby ktoś uczył ich czarownictwa. – Pokręcił głową. – Nieważne. No, idźcie już. Ach, Kristofie, chwila. Caldana jest też czarodziejem. – Brzmiało to jak ostrzeżenie. – Thenna wypyta go



o to, gdy już dojdzie do siebie, ale teraz muszę zamienić z nią dwa słowa na osobności.

Obrócił się na pięcie i skupił wzrok na blacie zasłanym mapami. Caldan wymierzył w plecy Devenisha niezadowolone spojrzenie. Zerknął na cel Raua, który ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami.

– No, chodźże – warknął Kristof ponownie, kierując się do wyjścia. Odgarnął płachtę i popatrzył wyczekująco na Caldana.

Chłopak zawahał się. Miał tyle pytań – o Joachima, o magię Dotkniętych, nawet o swoich rodziców. Czuł w kościach, że odpowiedzi są w zasięgu ręki. Ale czuł też, że na razie tam właśnie pozostaną. Frustrujące, żyć z tyloma niewiadomymi: nie wiadomo, co będzie z Mirandą, gdzie jest i co zamierza Amerdan, skąd ta nagła słabość, skąd ci gęści ludzie...

Był cierpliwym człowiekiem – mnisi dobrze go wyszkolili, nawet jeśli nie nauczył się wiele poza tym – ale Caldan wiedział, że jeśli nie posunie pionków naprzód, jego cierpliwość do tej gry rychło się skończy.

Skinął Thennie i wyszedł z namiotu, a za nim Tamara.

Kristof ruszył przed siebie, lekko powłócząc nogą. Mijali grupki żołnierzy reperujących sprzęt i ostrzących broń. Było ich więcej niż wcześniej. Większość pewnie patrolowała okolicę i biła się z jukarami, choć Caldan wiedział, że prawdopodobnie wielu ludzi nie wróciło z pierwszego starcia z potworami... i nie przeżyło ataku Dzwonków. Kilku żołnierzy zauważyło idącego Kristofa. Przyczepili się do niego wzrokiem, ale Caldan nie umiał ocenić, czy na ich twarzach rysuje się ciekawość, strach, czy może jeszcze coś innego.

Mdłości ustąpiły, ale wciąż kręciły na dnie żołądka. Kilka razy potknął się i Tamara podbiegła, by go podtrzymać silnym uściskiem. Podziękował jej za to, otrzymując w zamian uśmiech.

Podążali za Kristofem, aż weszli między skupisko namiotów odseparowane od reszty obozu. Wyraźnie większych niż te na wyposażeniu szeregowców, oddzielonych od siebie wozami. Podobóz otaczał szeroki pas pustego gruntu, a wszystkie namioty ustawione były wyjściem do płonącego na środku placu ogniska. Dookoła niego stało siedem stołków. Na dwóch z nich siedzieli mężczyzna i kobieta pogrążeni w dyskretnej rozmowie.

– Jesteśmy – orzekł Kristof i pokuśtykał do ogniska.

– Gdzie niby? – spytał Caldan. – Chcę wiedzieć, co się dzieje.

Mężczyzna i kobieta spostrzegli go i wstali. Oboje wyglądali do bólu zwyczajnie. Proste koszule i spodnie, jakie mógłby wdziać rano pierwszy lepszy człek. Mężczyzna miał przy pasie krótki miecz, a kobieta zestaw sztyletów. Dopiero z bliska Caldan dostrzegł wyróżniające ich szczegóły. Tak jak Kristof, nosili pierścienie-talizmany, mieli też przy sobie jakieś amulety, jeśli nie mylił go magiczny zmysł.

– Cóż to, Kristofie? – zaciekawiała się kobieta. – Wiesz dobrze, że nie wolno tu przyprawdzać obcych.

Dryblas zmarszczył się i rozmasował biodro.

– Tamarę znacie, a to jest Caldan. Jest jednym z nas. Jeszcze nie wiem, skąd się wziął.

– Dziki, powiadasz? – odparła z uśmiechem. – Rzadkość, trzeba przyznać. Widzę, że urobisz sobie ręce po łokcie.

Dość tego, pomyślał Caldan. Nie będą go traktować jak dziecko. Ewidentnie sami byli Dotkniętymi, tak jak on. Może i nie wiedział o wielu oczywistych sprawach, ale ciekawiło go, czy zdawali sobie sprawę, że ktoś tutaj łakomił się na ich krew. Ostateczny policzek, najędźniejsza nagroda za całe życie służby.

Gdyby o tym wiedzieli, nie siedzieliby tu przecież, usługując cesarzowi jak kanapowe pieski. Tylko jak im uświadomić, co ich czeka? Jak sprawić, by mu uwierzyli, i jednocześnie nie doprowadzić się tymi rewelacjami do rychłej śmierci?

– Wiem tylko tyle – odezwał się – że moją przodkinią była kobieta imieniem Karrin Wraythe. – Zdawało mu się, że tyle wystarczy na początek. O pierścieniu-talizmanie nie wspomniał, nie pokazał go też, bo rękę wciskał z mocą w kieszeń spodni. Ci ludzie nie byli czarodziejami, nie wyczuwał u nich studni. Istniała więc szansa, że nie mają pojęcia, iż Caldan ma przy sobie talizman. Poczul się pewniej wśród obcych, którzy nie umieli rzemyśleć, podczas gdy on miał pod ręką swoją tarczę i żuka. Wątpił, by byli w stanie wyrządzić mu jakąś krzywdę.

– Pierwsze słyszę – odpowiedział bezceremonialnie Kristof. – A teraz muszę odpocząć. Zaraz odpadnie mi noga. – Klapnęła na jeden ze stołków. – Siadaj z nami, Caldanie. Chyba nie mamy dość czasu, by

wprowadzić cię we wszystkie ważne sprawy. Tamaro, rozłóż swoje rzeczy w moim wozie, o tam. Będziemy potrzebowali od ciebie kilku mikstur.

Uzdrowicielka kiwnęła głową i ruszyła do wozu. Wdrapała się na niego wraz ze swoją torbą, po czym zaczęła rozkładać buteleczki i moździerz z tłuczkiem, w którym następnie zmieliła kilka ziół.

Para przy ognisku wróciła na miejsca. Oboje gapili się na Caldana, jakby ten miał zaraz dać nogę. A to dobre, dokąd niby miałyby uciec?

Stał więc, nie wyjmując ręki z kieszeni, a palców nie odejmując od tarczy. Po chwili usiadł naprzeciwko Kristofa. Próbował sprawiać wrażenie spokojnego, a to rozprostował nogi, a to skrzyżował znowu, ale nie mógł już dłużej powstrzymać palącej potrzeby dowiedzenia się czegoś od tych ludzi.

Niech coś mi w końcu powiedzą, niech coś zrobią, nawet poddadzą próbie, jeśli to rzeczywiście konieczne. Cokolwiek, byle nie ta doprowadzająca do szału cisza.

– Wszyscy jesteście Dotkniętymi? – wypalił wreszcie.

– Może tylko we własnym mniemaniu – wymamrotał mężczyzna, wzbudzając śmiech u kobiety.

Kristof tylko pokręcił na nich głową, nim wrócił spojrzeniem do Caldana. Wskazał palcem mężczyznę.

– Edelgard... – palec przesunął się na kobietę – i jego siostra Lisanette są. Ja także. Ale dorastaliśmy w stolicy, jak zresztą większość z nas. To dość... niespotykane, by wszedł w nasze szeregi ktoś z zewnątrz.

Tylko dlatego, że cesarz ściśle kontroluje linie krwi, a jeśli ktoś próbuje uciekać, zostaje zabity. Jak na przykład moi rodzice. Ale lepiej nie mówić tego od razu.

– A to czemu? – spytał, ściągając na siebie zdumione spojrzenia.

– Cokolwiek uważasz, że wiesz o swoich zdolnościach, to najpewniej nieprawda – rzekł charkliwie Kristof. – Nie masz pojęcia o tym, czego nie wiesz, a niewiedza to niebezpieczna sprawa. Dla ciebie, dla mnie, dla wszystkich. Jeśli Devenish się nie myli, a on myli się niezmiernie rzadko, to w ciągu najbliższych kilku dni czegoś się nauczysz. Będzie to lekcja, którą my wszyscy także musieliśmy przyswoić. No więc... powiedz mi, co uważasz, że wiesz.

Tylko najoczywistsze oczywistości, przestrzegł Caldan sam siebie w duchu.

– Czymś różnimy się od normalnych ludzi. Czym, tego nie wiem. Dziedziczy się to z pokolenia na pokolenie. Wiem tylko tyle, ile sam doświadczyłem. To wrażenie, jakby krew gotowała się w żyłach... Czuję wówczas, że kursuje mi po ciele z zatrważającą prędkością, że łomocze mi w uszach jak taraban. Robię się gorący i mogę bardzo szybko się poruszać. – Kątem oka widział, jak Lisanette kiwa głową. – Chyba staję się też silniejszy. Gdy macham mieczem, ten jakby mniej ważył. A inni ludzie poruszają się jak muchy w smole. Mam taką przewagę, że to aż nieuczciwe. Ale nie mogę tego kontrolować. A wy?

– Czasami – odpowiedział szybko Kristof, jakby chciał uprzedzić Edelgarda lub Lisanette. – Są sposoby. Pewne techniki oraz przedmioty, które można wykorzystać w tym celu.

On mówi o talizmanach, domyślił się Caldan. Uznał, że Kristof również pilnuje języka.

– Lecz mimo tego każde z nas balansuje na ostrzu noża – mówił dalej olbrzym. – Powiedz mi, Caldanie, ile razy już tego doświadczyłeś? Tego gorąca, zwiększenia prędkości? I jak to się odbyło za pierwszym razem?

Caldanowi stanął przed oczami złamany miecz sterczący z piersi Marlona. To był ten pierwszy raz, kiedy o mało nie zabił brata Jemmy. Ach, Jemma. Jawiła mu się teraz jako postać z poprzedniego życia. Czy on jeszcze żywił do niej jakieś uczucia? I czy ona darzyła go kiedykolwiek czymś więcej niż tylko przyjaźnią? Zresztą nie miało to już znaczenia, bo to, co łączyło go z Mirandą, było dla Caldana o wiele prawdziwsze.

A gdy oderwał myśli od Jemmy i skupił je na Mirandzie, którą zapewne pielęgnowała teraz jakaś opiekunka w Starorzeczu, zalała go tak wielka fala uczuć, że na moment zapomniał o pytaniu Kristofa.

– Straciłem przytomność – odrzekł wreszcie. – Na długo, prawie dwa dni. Od tamtego dnia przydarzyło mi się to może kilka razy. Gdy walczyłem z jukarami, ten szął trwał znacznie dłużej niż zwykle.

– Jak się czułeś wcześniej, gdy mijał? Chory, zemdlony, wymęczony?

Caldan namyślał się chwilę i pokręcił głową.

– Nie, niezupełnie. Byłem osłabiony, może trochę kręciło mi się w głowie. I robiłem się strasznie głodny.

Kristof warknął.

– Przede wszystkim miałeś kupę szczęścia. Wyglądałeś niewyraźnie w namiocie u Devenisha, a po drodze tutaj potykałeś się o własne nogi.

– Nic mi nie...

– Owszem, jest. Kilka razy ci się udało. Nie wiem, jakim cudem. Ale jeśli będziesz korzystał ze swoich umiejętności przez długi czas, tak jak przy walce z jukarami, w końcu się to na tobie odbije. To jeden z powodów, dla którego trzymamy się cesarza i arcymagów. Mają talizmany, które nam pomagają. I są ich jedynymi dostarczycielami. Tylko trzeba na nie zapracować.

Więc to do tego służy mój talizman, olśniło Caldana. Kristof nie wie o nim, zakłada więc, że po prostu miałem szczęście. To właściwie sporo tłumaczy.

Gdy ogarniał go bitewny szal, czuł, że pierścień wpija mu się w ciało, ale gdy po wszystkim zdejmował go z palca, skóra była nienaruszona. Jednym z jego zastosowań – jeśli nie jedynym – musiało być łagodzenie następstw umiejętności Dotkniętego. Jak dotąd zawsze Caldan wracał potem do siebie, ale mdłości i osłabienie, których ostatnio doświadczał, oznaczały, że radził sobie coraz gorzej. Co tłumaczyło też, dlatego tych troje Dotkniętych miało przy sobie po kilka talizmanów. Nagrody? Owszem. Nagrody w postaci łańcuchów. Podarunki, które czyniły z nich niewolników cesarza. Kristof sam przecież powiedział, że takimi przedmiotami dysponowali jedynie arcymagowie. Niby dlaczego? Czyżby arcymagowie posiadli sekret ich tworzenia? Niewykluczone.

Ostry skurcz odezwał się w jego brzuchu i Caldan skulił się na stołku, krzywiąc twarz w zbolalym grymasie. Gdyby nie siedział, na pewno zwałiłby się na ziemię.

– O przodkowie... – wymamrotał. Ścisnął żołądek rękami, usiłując rozmasować skurcz. Ten po chwili minął i chłopak podniósł wzrok na wpatrzonych w niego Kristofa, Edelgarda i Lisanette. – Tego właśnie mam się spodziewać? Więcej skurczy? A co dokładnie robią te talizmany? Jak mogę na taki zapracować?

– Wiem, masz wiele pytań – odrzekł Kristof. – Odpowiemy na nie, jak zdołamy najlepiej. Ale teraz muszę być zwięzły. Jesteś Dotkniętym, co oznacza, że twoje ciało uległo przemianie. Jesz więcej, nabierasz mięśni i jesteś znacznie cięższy niż inny człowiek twojego wzrostu. Twoje ciało potrzebuje tych naddatków, żeby poradzić sobie z przeciążeniami, na jakie narażają je twoje umiejętności. Żar, jak go nazywamy, zwiększa pewne funkcje twojego organizmu. Czyni cię szybszym i silniejszym, ale jak sam widzisz, to kosztuje. Mówiąc wprost: zużywasz się.

Jak rzemyśliwo, uświadomił sobie Caldan. Ciało zużywa się przez nadmierną eksploatację. Zachodzi korozja, przeradzająca się z czasem w nienaprawialne uszkodzenie.

– To dlatego utykasz – powiedział głośno.

Kristof zamrugał, zaskoczony tą uwagą.

– Tak. Im częściej korzystasz z talentów Dotkniętego, tym bardziej zużywa się organizm. Talizmany łagodzą uszkodzenie, ale go nie niwelują.

Caldan kiwnął głową.

– Jeśli więc chcę pozostać przy życiu i zachować zdrowie, na ile to w ogóle możliwe, to nie bardzo mam wybór, prawda? Muszę do was dołączyć.

Bo jeśli nie, to pewnie zabiją mnie od razu. A jeśli nawet tego nie zrobią, to i tak zgine, kiedy moje ciało zużyje się do szczętu, a oni zaczną wypompowywać ze mnie całą krew. Tak źle i tak niedobrze.

Tamara podeszła do niego, trzymając w ręku drewniany kubek, który zaraz podsunęła mu do ust.

– Wypij to – powiedziała ze śmiertelnie poważną miną. – Do dna. Wlałam trochę miodu, ale i tak jest gorzkie.

Caldan przyjął kubek i zamieszał zawartością. Znajdowała się w nim jakaś mętna ciecz nakryta grubą warstwą ziół unoszących się na powierzchni. Powąchał napar podejrzliwie i rozpoznał ostrą woń korzenia miodli, który zwykle przepisywano na obrzmienia, a także kojarzący się ze smrodem starej skarpety zapach lisiej jagody, która była środkiem uspokajającym.

– Co to? Pomijając miodłę i lisią jagodę?

– Widzę, że znasz się co nieco na uzdrowicielstwie – zauważyła z uznaniem.

– Trochę. Uczono mnie tego tam, gdzie dorastałem.

Zielarstwa uczył mistrz Hagan. Życzliwy starzec, który lubił zabierać uczniów na wieś, by zbierać rośliny celem nauki oraz dopełnienia klasztornych zapasów. To też było wspomnienie z poprzedniego życia.

– Ta mikstura ma jedenaście składników. Niektóre uśmierzają ból i zmniejszają obrzęk, inne regulują pracę serca. Są wśród nich także ekstrakty z rzadkich roślin i kwiatów. Nie jest to więc tania rzecz, ale spokojnie, funduje sam cesarz. Troszczy się o was, tak jak o nas wszystkich.

Kristof odchrząknął.

– Lepiej rób, co każe Tamara. Nie masz żadnych talizmanów, więc wkrótce w pełni odczujesz konsekwencje nadmiernego korzystania ze zdolności Dotkniętego. Mdłości, skurcze, zawroty głowy... To dopiero początek.

Gdyby chcieli mnie zabić, już dawno by to zrobili, główkował Caldan. A jeśli rzeczywiście wszyscy byli Dotknięci i kontrolowali swoje zdolności, to w razie potrzeby mogliby po prostu zmusić go do zażycia tego lekarstwa. Symptomy, o których wspomniał Kristof, nie będą przyjemne i jeśli uznali, że Caldanowi trzeba czegoś, co pomoże mu się z nimi zmierzyć, to chyba lepiej ich posłuchać.

Uśmiechnął się cierpko i przełknął eliksir, aż się rozkaszał. Miód? Jaki miód? Napój pozostawił w jego ustach nieprzyjemną warstwę resztek po mieleniu ziół. Caldan zebrał je językiem, na ile zdołał.

– Edelgardzie – powiedział Kristof – użyczysz Caldanowi na noc swojego namiotu? Wolałbym, żebyśmy mieli na swój użytek pokoje w Starorzeczu. Pracuję nad tym, ale... Ty będziesz musiał spać z Lisanette, lecz to chyba nie problem.

Jego ton mówił, że lepiej, żeby nie był. Edelgard schylił posłusznie głowę.

– Jak sobie życzysz.

– Caldanie – podjął Kristof – Edelgard wskaże ci swój namiot. To tylko na dzisiaj.

Caldan przebiegł językiem po zębach, by pozbyć się resztek ziół. Przełknął je i wstał.

– Kiedy ja mam jeszcze tyle pytań...

– Jutro – obiecał Kristof. – Wtedy ujrzysz sprawy w jaśniejszym świetle.

Zawsze jutro. Zawsze później. Temu żartowi wyrosła już broda.

Nagle uderzył w niego kolejny skurcz i zmienił zdanie. Dobra, niech już będzie jutro. Choć łatwiej by mu się czekało, gdyby Edelgard nie zaczął się śmiać z ostatniej uwagi Kristofa. Lisanette uciszyła brata rozeźlonym spojrzeniem.

– Ja mu wszystko pokażę – zaoferowała się. – Tamaro, zostaniesz na noc? Zakładam, że musisz doglądać Caldana.

Uzdrowicielka pokiwała głową.

– Świetnie. Więc zostaniesz ze mną. Edelgard znajdzie sobie nocleg gdzie indziej.

Jej brat żałośnie zwiesił głowę.

– Nie martw się o mnie, siostró. Namiotów jest w bród.

Lisanette ujęła Caldana za łokieć. Z bliska wyczuł zapach lawendy, który spowijał jej włosy, a nagle oddech uwiązał mu w gardle, gdy zauważył pierścień na jej palcu. Identyczny z jego własnym. Splot ze stylizowanymi lwami i onyksowymi oczami. A więc jego talizman nie był wcale taki wyjątkowy. Ciekawe.

Pożegnawszy się z dwoma Dotkniętymi, Caldan ruszył z kobietami do innego namiotu. Na ziemi rozścielony był dywan, przy ścianie stało najprawdziwsze łóżko z siennikiem oraz skrzynia z szufladami, a obok biurko i krzesło. Teraz rozumiał, czemu przy każdym namiocie znajduje się wóz. Stało się jasne, że Dotknięci cieszą się uprzywilejowaną pozycją i otrzymują luksusy, których zwykłym żołnierzom odmawiano.

Tamara posadziła go na łóżku.

– Zdejmij buty i nakryj się kocem. Jeśli się nie mylę, niebawem zrobi ci się bardzo zimno.

Caldan usłuchał, a Lisanette nalała kubek wody z dzbanka na biurku. Odstawiła naczynie na dywan przy wezglowiu łóżka, tak by można go było łatwo dosięgnąć.

– To dla ciebie – powiedziała. – Przyda ci się. Mężczyźni zawsze kluczą wokół prawdy, jakby niewiedza coś im ułatwiała. Tak nie jest. Więc ja ci powiem: będzie z tobą źle. Może powinienes poprosić Tamarę, żeby przygotowała ci coś mocniejszego.

– Wolę sam się przekonać... – odparł Caldan upartym tonem.



– Tylko nie próbuj zgrywać chojraka. Jeśli uznasz, że trzeba ci leków, od razu mów Tamarze. Nie ma co zwlekać.

Caldan kiwnął głową. Rękę z pierścieniem trzymał w ukryciu. Musiał oprzeć się potrzebie przekręcenia talizmanu na palcu. Zagryzł wargę i nerwowo przełknął ślinę. Czy ona czasem nie przesadza?

– Dobrze – powiedziała Lisanette. – Zostawię cię teraz. Ale Tamara chwilę z tobą posiedzi. – Była już prawie przy wyjściu, gdy zatrzymała się i obejrzała przez ramię. – Doszły nas słuchy o tym, co zrobiłeś. Jak wykorzystałeś swoje zdolności oraz magię, żeby pomóc ludziom umknąć przed jukarami. Jak narażałeś życie, żeby ich ocalić.

– Nie byłem sam – wymamrotał Caldan, czując, że się rumieni. – Byli też inni.

– Jesteś na językach całego Starorzecza. Mówią, że jesteś Protektorem uzbrojonym w talizmany, który włada magią sprzed Zdruzgotania.

Caldan poruszył się pod kocem. Ani Protektorzy, ani arcymagowie nie będą ucieszeni tymi wieściami. Jednak ważniejsze było to, że choć dotarły one do Lisanette, nie spytała go jeszcze o talizman.

Czy to oznacza, że jej to nie obchodzi? Coś kazało mu w to wątpić, nie wyjmował więc dłoni spod przykrycia.

Kobieta opuściła namiot, a płachta opadła, zakołysała się i znieruchomiała, zasłaniając wejście. Caldan słyszał, jak kobieta idzie w kierunku ogniska, gdzie rozmawiali cicho dwaj Dotknięci.

– Spróbuj się rozluźnić – poradziła Tamara. – Tak będzie ci łatwiej.

– Trudno się zrelaksować, gdy wszyscy ostrzegają mnie przed cierpieniem.

– Wiem. W takim razie po prostu wypoczywaj.

Caldan usiłował to właśnie zrobić, leżąc na miękkiej poduszce Edelgarda. Miał sporo do przemyślenia.

Kolejny skurcz wstrząsnął jego żołądkiem i chłopak zassał z sykiem powietrze. A potem ból rozszedł się na ręce i nogi. Agonia poraziła go od stóp do głów. Przyciągnął kolana do piersi, a dłońmi ścisnął skronie.

– Chyba... się zaczęło.

Jego mięśnie zapłonęły ogniem gorętszym niż głębia kowalskiego pieca, a przeguby zabolęły, jakby tkwiły w nich tysiące igieł. Z ust Caldana wydarł się bezgłośny krzyk.

A potem zaczął się prawdziwy ból.



**F**elice zakryła usta dłonią, chcąc zdusić kaszel. Ale kaszel za nic miał jej starania i niemal złożyła się wpół, czując, że flegma napływa jej do ust. Rozejrzała się i widząc, że jest sama, wypluła ją na ziemię.

Wracała do zdrowia bardzo powoli. Zbyt wolno, jak na jej gust. Ale uzdrowicielka powiedziała jej, że najgorsze już minęło, i dała Felice woreczek z ziołami, które miała sobie parzyć. Każdego ranka i wieczora robiła, jak jej przykazała mądra kobieta, i posłusznie piła

cały kubek gorzkiego naparu. Płaciła wysoką cenę za tak krótką kąpiel w Wywarnicy.

Ale to i tak lepiej niż tortury Boga-Imperatora i jego sługusów.

Dopiero minęła północ. Felice miała na sobie zestaw niepasujących do siebie ubrań: brudne i połatane spodnie, koszulę i wystrzępiony płaszcz z kapturem. Wyglądała jak tysiące innych ludzi kręcących się po ulicach – nikt szczególnie, kogo nie warto zaczepiać, jeśli się go nie zna. W dodatku skutecznie odstraszała swoim kaszlem.

Z miejsca, w którym stała, widziała jasno oświetlone okno na wysokim piętrze budynku. Za szybą znajdowała się komnata, w której Kelhak urządził sobie sypialnię. Bóg-Imperator palił o wiele więcej lamp i świec, niż potrzebował. Płonęły nawet za dnia, a nocą okno świeciło jak latarnia morska.

Felice rozejrzała się po ulicy, by zaraz wrócić spojrzeniem do okna. Skoro już uciekła z niewoli, nie miała zamiaru osiąść na laurach tylko po to, by znowu dać się złapać. Indryallańscy żołnierze przeczesywali ulice w poszukiwaniu ostatnich buntowników, a mieli przecież jej rysopis. Choć była w przebraniu, rozpoznaliby ją przy bliższych oględzinach, najlepiej więc robi, schodząc z widoku.

Za oknem mignął cień, na krótką chwilę przysłaniając światło. Ktoś kręcił się po komnacie. To mógł być ktokolwiek: Kelhak, jeden z jego oficerów lub zwykły sługa. Może nawet jeden z Milczących Towarzyszy.

Zadrżała na tę myśl. W ostatnich dniach usiłowała dowiedzieć się o nich czegoś więcej, ale bezskutecznie. Jej wiedza o nich wciąż kończyła się na tym, że to elitarni wojownicy w służbie Boga-Imperatora – i ta niewiedza przejmowała ją strachem. Jeśli miała zabić Kelhaka, to z nimi też będzie musiała się jakoś uporać. Jak ma tego dokonać, skoro wie o nich mniej niż o samym Kelhaku?

Na szczęście udało jej się dotrzeć do szczątkowych informacji na temat Kelhaka, zwłaszcza tych dotyczących prawowitości jego władzy. Okazało się, że Bóg-Imperator rozkazał stracić mnóstwo swojej szlachty i doradców. Kto wie czy nie właśnie po to, by ukryć swoje prawdziwe pochodzenie. To jedna ze spraw, które z chęcią wywlekłaby na światło dzienne.

Gdzieś po swojej prawej usłyszała szuranie. Sięgnęła po sztylet, gotowa do walki. Fałszywy alarm... To tylko jeden z jej informatorów.

Felice puściła rękojeść. Zrobiła się nerwowa. Zbyt wiele bezsennych nocy i oglądania się przez ramię.

Podbiegła do niej mała ulicznica imieniem Maczek. Splątane brązowe włosy okalały wychudłą, umorusaną buzię. Na Felice spoglądały bystre, ostrożne oczy podobne do ślepi dzikiego zwierzęcia. W jednej ręce trzymała drewniany kostur, długi na kilka stóp, nieco grubszy od kciuka Felice. Była o wiele za młoda, by musieć sama się o siebie troszczyć. Powinna się bawić z innymi dziećmi. Śmiać się, biegać tu i tam, dogładana przez troskliwą matkę...

– Czy nic pani nie jest? – spytała Maczek. – Czemu pani płacze?

Felice otarła oczy. Co się z nią działo? Jeszcze nie tak dawno w ogóle nie zwróciłaby na dziewczynkę uwagi, mijając ją na ulicy. Im wyżej się wzbijasz, tym bardziej boli, gdy upadasz, pomyślała z goryczą.

– A tak sobie, malutka. Wydałaś dukaty na dobre jedzenie, jak prosiłam?

Maczek uciekła oczkami.

– Trochę tak. Większość poszła na miejsce do spania. Banda ma zasady, których trzeba przestrzegać. Zostało mi niewiele.

– Ach, rozumiem. Ale następnym razem kupisz jedzenie, dobrze? A ja potem zadbam o to, żebyś dostała jeszcze trochę smakołyków.

Bezdomne dzieci okazały się szczególnie skuteczne w wyciąganiu informacji od indryallańskich żołnierzy. Wielkie szczenięce oczęta, niewinne minki i dziecięca ciekawość zwykle wystarczyły, by żołnierze sami mówili im rzeczy, o których milczeliby na przesłuchaniach. Te dzieci wiele dla Felice ryzykowały. Przysięgła sobie, że gdy już będzie po wszystkim, wynagrodzi je za to. Ale do tego czasu postanowiła, że przynajmniej będzie je karmić. Tymczasem dobre i to.

– A powiedz, dowiedziałaś się czegoś o Milczących Towarzyszach?

Maczek wyciągnęła do niej chudą rączkę. Felice sięgnęła do kieszeni i wyłowiła miedziaka, którego złożyła na otwartej dłoni

dziewczynki. Mała szybko schowała monetę w tajemnej kieszonce gdzieś pod warstwami oberwanych ubrań.

Rozległ się pisk, gdy dwa szczury przebiegły obok nich. Maczek rzuciła się na nie, a Felice zdumiała się, widząc, jaka jest szybka. Kij mignął w powietrzu i bezbłędnie trafił gryzonia w łebek, podczas gdy drugi uciekł do najbliższej dziury. Dziewczynka podniosła zdobycz za ogon. Z pyszczka martwego szczura sterczał język. Ukryła go gdzieś głęboko w połach brudnego odzienia.

– Nigdy nie gadają – powiedziała z całkowitą powagą. – Nigdy, przenigdy.

– Szczury? – spytała skonfundowana Felice.

– Nie, głuptasie. Milczący Towarzysze.

– Naprawdę? Ale że nigdy, nigdy?

Maczek przekrzywiła głowę.

– Milczą jak grób.

– Dziękuję ci, kochanie.

Dziewczynka posłała jej osobliwe spojrzenie, w którym Felice wyczytała obawę i ostrożność, a potem Maczek cofnęła się o krok.

– Żadne „kochanie”.

Felice uśmiechnęła się, czując rosnącą w gardle gulę.

– Jak sobie życzysz, maleńka. Dowiedziałas się czegoś jeszcze?

Pokazała dziewczynce kolejnego miedziaka, a Maczek wbiła w niego zachłanne spojrzenie.

– Może i tak. Może będzie to kosztować dokładnie dwa miedziaki.

Felice natychmiast wyciągnęła drugi.

– Słucham.

– On coś im robi – wyszeptwała dziewczynka. – I potem już zawsze milczą.

– Kelhak?

Maczek potwierdziła skinieniem.

– A co dokładnie im robi? – dociekała Felice.

– Coś. Zabiera ich gdzieś, a kiedy z nimi wraca, to oni już nic nigdy nie mówią. Nie śmieją się. Ani nie złoścą. Nic. Może zabiera im cały ból? Czy można zrobić coś takiego? Tak by było... fajnie.

Serce Felice ścisnęło się w piersi i wciągnęła głośno powietrze.

– Można uwolnić człowieka od bólu, ale nie w taki sposób.

Na twarzy Maczka pojawiło się rozczarowanie.

– Na następnej ulicy jest sprzedawca ciast – powiedziała Felice. – Masz może ochotę na ciastko?

Miała i innych informatorów, którzy również dowiadywali się dla niej różnych rzeczy, a oni wiedzieli, gdzie jej szukać. Jeśli będą mieli coś do zaraportowania, znajdą ją.

Maczek z zapalem pokiwała głową, a Felice wręczyła jej dwie monety, które zniknęły tam, gdzie pozostałe wraz z upolowanym szczurem. Wspólnie ruszyły spod oświetlonego okna, wyglądając dla przechodniów jak matka z córką.



Felice podsunęła się do bocznych drzwi i skorzystała z zardzewiałego klucza do biur Kompanii Handlowej Pięciu Oceanów, który otrzymała od Rebeci – czarodziejki z burzą włosów. Gdy znalazła się w środku, przystanęła, nasłuchując. Takie czasy, że ostrożności nigdy za wiele.

Przed nią rozciągał się wąski korytarz biegnący między ścianami utworzonymi z piętrzących się skrzyń i pak, zalegających w wielkim magazynie. Rozklekotane schody wiodły na górę, a u ich stóp spał na krześle starzec.

Był to znak, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego i że do budynku nie wtargnęli Indryallanie.

Felice przeszła obok staruszka na palcach i ruszyła do biura Rebeci, odwzajemniając skinienia i powitania mijanych po drodze pracowników. Niedawno się z nimi zapoznała, choć nie była pewna, czy to dobrze, że się z nimi spoufala. Będzie musiała ograniczyć wizyty lub posyłać do czarodziejki kogoś innego. Może Izaka? Raptem przypomniała sobie, że wczoraj wysłała go z grupą mężczyzn, żeby ogarnęli jej siedzibę na Cmentarzu, i że nie widziała go od tamtego czasu. Kazała jeszcze jednemu podwładnemu sprawdzić, co tam zaszło, i ten doniósł Felice, że podczas nieobecności kobiety ktoś przywłaszczył sobie jej skromny dobytek.

Zapukała cicho do drzwi biura Rebeci. Mimo że nie doczekała się odpowiedzi, weszła do środka. Jak zwykle pokój był pusty, jeśli nie liczyć wyściełanych foteli i biurka oraz należących do czarodziejki szklanych figurek na parapecie. Na blacie znalazła zaadresowaną do siebie kopertę.

– Szlag... – zakląła.

Rebeci wyraźnie jej unikała. Felice frustrowały te wymyki czarodziejki. Po wszystkim, co razem przeszły, żeby uwięzić Savina w klatce z diamentem – czy może raczej jego esencję, Felice nie była pewna – Rebeci unikała jej, jakby Felice chorowała na ospę. A przecież Rebeci była jej głównym źródłem informacji.

Może obawia się, że wkrótce Felice dowie się zbyt wiele? Ona sama marzyła, by ta obawa się spełniła.

Prychnęła i podniosła kopertę. Nie była zapieczętowana. Rozłożyła znajdujący się w środku list. Przemknęła wzrokiem po wiadomości. Pospiesznie skreślone przeprosiny i wymówki. Rebeci „wyskoczyło coś ważnego”. Ani słowa o Kelhaku czy Milczących Towarzyszach ani o ich planach.

Felice odepchnęła te myśli. Rebeci obiecała jej, że przez swojego pryncypała Gaziję powiadomi cesarza o pułapce zastawionej na niego w Anasomie. Felice nie wiedziała, co dokładnie może mu zrobić Kelhak z takiej odległości, ale była pewna, że posłuży się magią. Indryallanie pokazali już, że są zręcznymi rzemysłnikami. I gdzie są Protektorzy, kiedy są potrzebni?

Felice przecesała włosy dłonią, niemal natychmiast ogarnięta poczuciem winy.

Martwi. Są martwi.

Na korytarzu dało się słyszeć głosy i Felice błyskawicznie przywarła do ściany po stronie zawiasów. Drzwi otworzyły się i do środka weszła wąła Rebeci. Czarodziejka ruszyła do biurka, zostawiając drzwi otwarte.

– Felice, zamkniesz, proszę? Dziękuję.

Kolejna jej magiczna sztuczka, pomyślała Felice. Zobaczyła mnie chyba przez ścianę. Wiele bym dała, by tak umieć.

Zgodnie z prośbą zamknęła drzwi i przekreśliła klucz w zamku. Twarz Rebeci była jeszcze bledsza niż zwykle i jeszcze bardziej



ściągnięta troską, jeśli to w ogóle możliwe. Wymierzyła w Felice ponure spojrzenie. Skubała dłonią wisiołek na szyi.

– Siadaj, Felice.

Rebecci otworzyła szufladę i wyjęła z niej butelkę wypełnioną zielonkawym płynem. W przygaszonym świetle pokoju widać było otaczające ją połyskliwe, złote iskry. Rzemyślnicze wino. Drogie jak piorun. Rebecci wyjęła małą szklanekę, zerknęła na Felice i odstawiła naczynie z powrotem. Butelkę postawiła na krawędzi blatu, blisko Felice.

– Częstuj się. Przyda ci się łyk czegoś mocniejszego.

Felice zagryzła wargę.

– Złe wieści? – Czarodziejka potwierdziła skinieniem, a Felice zaczęła myśleć na głos: – Nie odkryto nas jeszcze, bo już siedziałybyśmy w łańcuchach albo leżały martwe w jakimś rynsztoku. Czy Izakowi nic nie jest? Czy może tych dwoje małych czarodziejów coś zrobiło?

Rebecci pokręciła głową.

– Nic z tych rzeczy.

Wskazała gestem wino, a Felice z ociąganiem złapała za butelkę. Tak jak prosiła Rebecci, usiadła w fotelu, wyjęła korek i upiła łyk. Ciepłe mrowienie rozeszło się po jej ciele, choć jeszcze nie przełknęła wina. Brzoskwinie, wiśnie w cukrze oraz nutka czegoś, czego nie dało się zdefiniować. Wirująca magiczna energia, uwalniająca całą feerię smaków. To było jedno z najlepszych win, jakich próbowała. Te złe wieści muszą być chyba najgorsze z możliwych.

Felice przełknęła ślinę.

– No, mówże! – zażądała.

Rebecci wbiła wzrok w biurko i zaczęła udawać, że jedną ręką układa rozsypane na blacie dokumenty, podczas gdy druga wciąż ścisnęła wisiołek – rzemyśliwo z metalu i diamentu, którym zniewoliła Savina.

Gdyby Felice miała możliwość rozprawienia się z nim po swojemu, wypłynęłaby na środek oceanu i wrzuciła medalion do wody, ale Rebecci uparła się, aby go zachować.

– Miałś rację, mówiąc, że Indryallanie okupują Anasomę, żeby zastawić w niej pułapkę – rzekła czarodziejka. – Wojska twojego

cesarza były zgromadzone pod Starorzeczem.

Felice nie umknęło, że Rebeci użyła czasu przeszłego. Okropne przeczucie wzbudziło się w jej sercu. Przecież chyba...

– Znaczą idą tutaj? Czy...

– Doszło do wylewu destruktywnej magii. Indryallańska czarodziejka imieniem Dzwonki użyła rzemyśliwa, które... no cóż, po prostu unicestwiło większość cesarskiej armii.

– Arcymagowie...

– Byli bezradni.

Dzwonki. Gdzie ona słyszała to imię? Czy to nie była jedna z indryallańskich dowódczyń tutaj, w Anasomie? Felice przetarła szczypiące oczy i po raz drugi tego dnia zorientowała się, że płacze. Przecież tam musiały zginąć tysiące ludzi.

– A cesarz? Czy on...

– Cesarz wyszedł z tego nietknięty. Najwyraźniej to nie arcymagowie odczynili czar. Dokonał tego młodzieniec imieniem Caldan. Który, jak wieść niesie, jest Protektorem.

Felice była wstrząśnięta. Za wiele tych przypadków. Łyknęła sążnięcie z butelki, tym razem nie rozkoszując się wspaniałym smakiem, szukając już tylko zbawiennego otępienia. Czyżby młody Caldan ją zwiódł? Jaką rolę odegrał w tym wszystkim? Wciągnęła powietrze do płuc.

– Czy możesz nawiązać łączność ze Starorzeczem?

Rebeci niechętnie pokiwała głową.

– Z moimi ludźmi, którzy tam są, tak.

Felice nigdy nie słyszała jeszcze, by coś podobnego było w ogóle możliwe, ale po wszystkim, co niedawno przeszła, niewiele ją już dziwiło.

– A czy mogę porozmawiać z arcymagami? Czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? Mogłam ich przecież ostrzec! – Te ostatnie słowa wyrzuciła z siebie piskliwym wrzaskiem.

Rebeci puściła swój medalion i uniosła obie dłonie.

– Moi ludzie dopiero co przybyli do tego miasta. Nie mogli zrobić nic, żeby powstrzymać to, co się tam wydarzyło, ani powiadomić cesarza lub arcymagów o niebezpieczeństwie.

Felice zamruła i po prostu pozwoliła łzom płynąć. Jej palce z trudem chwyciły szyjkę butelki i niezgrabnie podniosły ją do ust.

Łyknęła potężnie i przełknęła z wysiłkiem.

– Mimo to muszę rozmówić się z arcymagami. Czy da się to zaaranżować?

Rebecci zmarszczyła nos i wzruszyła ramionami.

– Mogę spytać...

– Nie masz pytać! Masz żądać! Muszę wytłumaczyć im, co się dzieje. Nie rozumieją sytuacji.

– Oni mają własne sprawy na głowie.

Felice zamilkła na chwilę.

– Ach tak, ci wszyscy zabici... Ale ja muszę im powiedzieć...

– Nie tylko to. Pod Starorzeczem koczuje horda potworów. Są w niej nie tylko jukarowie, ale też vormagowie. A jedynym, co oddziela ich od murów, jest zdziesiątkowana cesarska armia. Zaraz, wiesz chyba, czym są jukarowie?

O czym ona mówi? Jaka horda? Jakie potwory?

– To musi być jakaś pomyłka. Może jest ich tam kilka tuzinów, ale przecież nie więcej.

– Jak mi doniesiono, tysiące.

Felice zakłęła pod nosem. Z deszczu pod rynnę. Nie wiedziała, jakim sposobem sytuacja tak się pogorszyła, ale musieli za tym stać Indryallanie. Felice nie wierzyła w przypadki. Jak w dominionie, cokolwiek dzieje się w życiu, dzieje się podług wzorów, które może dostrzec ten, kto dysponuje analitycznym umysłem. Indryallanie planowali inwazję od lat, kto wie czy nie od dekad. A tej wojny nie da się wygrać w kilka tygodni. Tak wielka horda jukarów musiała gromadzić się miesiącami. Felice wiedziała, że żyli rozproszeni na Spustoszonych Ziemiach.

Spojrzała jeszcze na butelkę, nim wstała i odstawiała ją na biurko.

Rebecci podeszła do niej i zamknęła w uścisku. Z początku Felice się opierała, ale w końcu dała za wygraną i stały, obejmując się. Tylko chwilę, powiedziała sobie. A potem z jej ust wyrwał się szloch i znowu popłynęły łzy.



**C**aldana obudził piskliwy śmiech. Jęknął i spróbował się podnieść, a potem dał sobie spokój, gdy złapał go skurcz, a głowa zagroziła wybuchem. Bolało go każde włókno i każda cząstka jego istnienia. Jakby przegalopowało po nim stado koni.

Zaszeleścił materiał i usłyszał pisk odkorkowywanej butelki, a potem dzwonięcie łyżki o ścianki glinianego naczynia.

– Masz, wypij.

Znał ten głos. Tamara.

Caldan otworzył oko i skrzywił się, gdy jasne światło poraziło go niczym gwóźdź wbity w czaszkę. Uzdrowicielka podsunęła mu kubek, a on wypił, mając nadzieję, że jest to jakiś środek przeciwbólowy. Tym razem nic go nie obchodziły składniki.

Gdy skończył pić, kobieta wyszła z namiotu i wróciła chwilę później z miską.

– Już trochę przestygło, ale na pewno zjesz ze smakiem.

Caldan zwęszył kurczaka. Jakaś potrawka. Gdy przełknął pierwszy kęs, jego żołądek skręcił się z głodu. Łyżka szybko zaskrobała o dno.

– Zaraz wrócę z dokładką.

Caldan wzrokiem odprowadził Tamarę do wyjścia. Na zewnątrz było już zupełnie jasno. Sądząc po cieniach, słońce wędrowało po niebie już od dobrych kilku godzin.

Caldan rozejrzał się po namiocie. Wszystko wyglądało tak samo jak wtedy, gdy pojawił się w nim po raz pierwszy. Dyskretnie sprawdził, czy pierścień dalej jest na palcu i czy nie odebrano mu żuka, gdy był nieprzytomny. Następnie upewnił się, że wciąż ma przy sobie rzemyśliwa Mahsonna i Dzwonków. Części innego konstruktów nadal znajdowały się w pokoju, który wynajął po tym, jak uciekł Protektorom. Lepiej szybko do niego wrócić, nim kwatery zostanie wynajęta komu innemu, a jego rzeczy opylone za bezcen.

Z zewnątrz dobiegły go odgłosy kroków, a potem wróciła Tamara z kolejną miską potrawy oraz talerzem zawałonym kawałkami pieczonego mięsa i ziemniakami.

Brzuch Caldana wyczyniał ewolucje, gdy on łapczywie pochłaniał dokładkę. Gdy skończył z potrawką, Tamara wręczyła mu talerz i widelec, wówczas zaatakował mięso z furią wygłodniałego wilka. Niesamowicie, że od minionej nocy zdążył tak bardzo zgłodnieć.

W kilka chwil spałaszował mięso i ziemniaki. Dopiero wtedy podniósł wzrok i napotkał uśmiechnięte spojrzenie uzdrowicielki. Dotarło do niego, że ignorował ją przez cały posiłek.

– O, przepraszam cię – powiedział. – Byłem... strasznie głodny.

– Nie ma za co przepraszać. Wiele wiem o tym, co teraz przechodzisz. Choć, prawda, głównie z książek. Wkrótce znowu będziesz musiał coś przekąsić. Musisz też dużo pić.

– Tylko o tym czytałaś?

Caldan przypomniał sobie, że Devenish nie zapamiętał imienia „nowej” uzdrowicielki. Tamara spuściła wzrok i utkwiała go we własnych dłoniach.

– Szkoliłam się pod tym kątem. Byłam najlepsza na roku na moim uniwersytecie. Powiedzieli, że cesarz osobiście wybrał mnie na to stanowisko, ale... – Zaśmiała się z dyskretną przyganą dla własnej naiwności. – Oczywiście, nie miał pojęcia, kim jestem. Tyle że poprzedni lekarz nie dawał już rady. Psuł mu się wzrok, choć starał się to ukryć. A potem zmieszał złe zioła i jeden Dotknięty cały dzień biegał między łóżkiem a latryną.

Caldan wbrew sobie prychnął śmiechem, a Tamara zachichotała jak podlotek.

– Nie wolno się śmiać z czyjegoś nieszczęścia – powiedziała głosem wciąż nabiegłym rozbawieniem.

Dotknięty. Znał już to określenie, ale pierwszy raz słyszał, by ktoś, jak Tamara, wymówił je z taką rewerencją.

– Kim dokładnie są Dotknięci?

– Kristof wie na ten temat o wiele więcej ode mnie, ale chyba nie zaszkodzi, jeśli powiem ci to i owo. Dotkniętym jesteś na przykład ty. Są nimi Kristof, Edelgard i Lisanette. Są także i inni. W twoich żyłach płynie krew przodków. Wszyscy jesteście przez nich naznaczeni, wręcz namaszczeni. Służenie wam to dla mnie zaszczyt.

Nie był pewien, czy Tamara mówi szczerze, czy też próbuje go zwieść, ale wymówiła to słowo z takim szacunkiem, jakby rzeczywiście wierzyła w to całym sercem. Dało się wyłuskać jakiś sens z jej słów, w końcu Joachim też wspomniał, że te zdolności są dziedziczne. Ale zaraz, przecież każdy człowiek był potomkiem jakichś przodków. I każdy swoich czcił i poważał. W toku własnego życia tysiące razy wymówił popularne przekleństwo, to była część jego kultury, choć nigdy nie dociekał korzeni tego wyrażenia. Na przodków, o przodkowie... Czy osoba, która przed wiekami wymówiła te słowa po raz pierwszy, miała na myśli coś więcej niż tylko synowską powinność lub uszanowanie? Jeśli wierzyć Tamarze, to przodkowie musieli różnić się od zwykłych ludzi. Kim oni właściwie byli?

A co ważniejsze: jeśli Caldan – i inni tacy jak on – otrzymali w darze odrobinę ich krwi, to do czego byli zdolni ci przodkowie,

w których żyłach nie płynęło przecież nic innego, żaden jej rozcieńczony przez stulecia roztwór?

Potrząsnął głową, zmagając się ze zmieszaniem. Tyle stracili przez Zdruzgotanie. Bezcenna wiedza zapomniana na zawsze. Ta tragedia cofnęła świat w rozwoju o setki lat, jeśli nie więcej. Dotąd myślał, że wszystkie te niewiarygodne historie o czasach przed kataklizmem były właśnie tym: opowieściami, legendami, baśniami. Jednak jukarów zobaczył na własne oczy i walczył z nimi własnymi rękami. A przecież zawsze mu mówiono, że to bajdy, coś, czym straszy się niegrzeczne dzieci. Tymczasem, jak się okazało, były to bajdy najzupełniej prawdziwe. Co, jeśli pozostałe też są prawdziwe?

– Skoro już odzyskałeś przytomność – w myśli Caldana wdarł się głos Tamary – to muszę powiadomić o tym Kristofa. Całkiem nieźle zniosłeś symptomy. Wręcz znakomicie, jeśli pamiętać o tym, że nie masz przy sobie żadnych łagodzących je talizmanów. Kiedyś, na samym początku szkolenia, widziałam jedną Dotkniętą, która bardzo przeciążyła swój organizm. Przebiegła olbrzymi dystans z maksymalną prędkością, chcąc nacieszyć się swoim darem. A potem... – Tamara zamilkła, jakby słowa nie chciały przejść jej przez usta. – Przez kilka dni leżała w łóżku i krzyczała z bólu, tak ją bolały nogi. Była pewna, że to minie i wróci do zdrowia. Zwykle szybko się regenerowała, jak wy wszyscy. – Uzdrowicielka żałośnie potrząsnęła głową. – Ale nie wróciła, a przynajmniej nie do końca. Widzisz, krew przodków ma wielką moc. Ale mięśnie i ścięgna tej kobiety były tak zniszczone, że nawet ona nie zdołała ich uleczyć. Nigdy już przeszła kroku o własnych siłach. Albo raczej tak mi się zdaje. Bo arcymagowie zabrali ją gdzieś, żeby tam się nią zająć. Ja sama nigdy więcej jej nie widziałam.

Caldan uważnie panował nad wyrazem twarzy. Już on wiedział, co się stało z tą kobietą, jeśli zabrali ją arcymagowie. Jeśli uznali ją za bezużyteczną, to po prostu przypięli do łóżka i wypompowali krew. Najprawdopodobniej trzymali Dotkniętą tak długo, jak tylko organizm produkował krew, a potem wyrzucili jak śmiecia. I ja skończę tak samo, dotarło do niego. Tak skończy każdy Dotknięty. Jesteśmy jak krowy, które najpierw się doi, a potem szlachtuje na mięso.

Płótno namiotu zadrżało, gdy powiew wiatru przedostał się do środka przez rozfalowaną klapę, przynosząc ze sobą ohydny smród. Tamara zbladła i szybko wyłowiła z kieszeni chustkę, by przyłożyć ją do nosa.

– Trupy – wyjaśniła niemrawym tonem. – Żołnierze nie nadążają z grzebaniem. Jukarowie naprzykrzali się żołnierzom wystawionym na front i wyglądało na to, że w pierwszej kolejności będziemy musieli zająć się nimi, a dopiero potem Anasomą i Indryallanami.

No jasne, pomyślał Caldan. Ale czy ci najemnicy do spółki z ocalałcami z cesarskiej armii, o arcymagach już nie wspominając, nie powinni wystarczyć, żeby sobie z nimi poradzić? Najwyraźniej nie. Ciało wciąż go bolało, jakby przez sen połamali Caldana kołem, ale musiał im przecież jakoś pomóc, jeśli tylko zdoła.

Podniósł się do siadu i wydał z siebie zboląły jęk, po czym przerzucił nogi przez krawędź łóżka.

Tamara podbiegła do niego, złapała za ramiona i delikatnie posadziła z powrotem.

– Co ty wyczyniasz? Nie wstawaj jeszcze. Musisz wypoczywać.

Caldan pokręcił głową i odpędził uzdrowicielkę delikatnym gestem. Stał na drżących nogach.

– Nie mogę. Kiedy Dzwonki zniszczyła cesarską armię... to była...  
– Chciał powiedzieć: moja wina. Bo to przecież on sprowadził ją do Starorzecza. I choć wiedział, że i tak dotarłaby tu sama, nie potrafił uwolnić się od poczucia winy. – Tragedia – dokończył z trudem. – Każdy ma do wykonania swoją część roboty. Musimy zrobić to, co jest w spektrum naszych możliwości. Więc jak mógłbym tu teraz beczynnienie leżeć?

Wyszedł i zmrużył oczy w jasnym słońcu. Fetor cmentarza, który wcześniej zaledwie zwiertzył, teraz uderzył w niego z pełną mocą i Caldan robił co mógł, żeby nie zwymiotować.

Z namiotu za nim dobiegł szelest, to Tamara pakowała swoje zioła i przyrządy.

– Czekaj...! – zawołała głosem stłumionym przez płótno.

Caldan oszacował odległość od obozu Dotkniętych do murów Starorzecza. Mniej więcej kilkaset jardów. Plac między namiotami był pusty, jeśli nie liczyć osmalonych resztek drewna i szarego popiołu w wygaszonym ognisku, wokół którego minionej nocy



siedzieli Kristof, Edelgard i Lisanette. Mieli pewnie pełne ręce roboty, i nie dziwota. Niby dlaczego mieliby czekać bezczynnie, aż Caldan dojdzie do siebie?

Usłyszał wychodzącą z namiotu Tamarę. Uzdrowicielka stanęła przy nim.

– Mówię ci, powinienes odpoczywać. Kristof wścieknie się na mnie, jeśli się teraz nadwyrężysz.

Caldan czuł drżenie na całym ciele. Rzeczywiście był słaby. Ale nie tak słaby, jak myślała Tamara. Wokół nie było żadnego z Dotkniętych, nie sposób też było przewidzieć, kiedy wrócą, chętnie więc spożytkuje jakoś ten czas.

Na przykład odwiedzi Mirandę.

– Nie mam zamiaru się wylegiwać – powiedział do Tamary. – Mam coś do zrobienia. Muszę się z kimś zobaczyć.

– Ja, oczywiście, nie mogę ci niczego zabronić. Ale gdyby Kristof tu był, to...

– On też nie może – przerwał jej Caldan nieco ostrzej, niż zamierzał. Przetarł oczy i przebiegł dłonią po włosach. – Przepraszam, ale nie jestem ani członkiem oddziału Dotkniętych, ani arcymagiem. Moje zdolności nie czynią mnie samorzutnie żadnym z nich. Nie jestem przedmiotem, który może do kogoś należeć. Żadnemu człowiekowi nie wolno posiadać drugiego człowieka. Jakoś to poukładamy, ale nie dziś.

Nie wiedział nawet, kto dokładnie miałby go „posiadać”. To przecież chyba nic nieskromnego: myśleć, że o Dotkniętego czarodzieja będą zabiegać zarówno Dotknięci, jak i czarodzieje. A dokładniej zabiegać o to, kto weźmie go na smycz.

Caldan zrobił krok w kierunku miasta, a potem odwrócił się do Tamary. Uzdrowicielka przyciskała torbę do piersi, gryząc dolną wargę i krzywiąc brwi w zatroskanym grymasie.

– Tamaro, na pewno są inni, którym bardziej dzisiaj się przysłużysz swoimi umiejętnościami. Gdy wróci Kristof, powiedz mu, że niebawem przyjdę. Mam tylko coś do załatwienia.

– Nigdzie nie idziesz – odezwał się Kristof zza jego pleców.

O przodkowie! – zaklął Caldan. Obrócił się i stanął twarzą w twarz z olbrzymim wojownikiem. Nie ucieknie przed Dotkniętym,

który w pełni kontroluje swoje umiejętności. A może powinien zaryzykować?

Nie.

Na tę chwilę korzystniej będzie pokazać się zarówno Dotkniętym, jak i arcymagom z tej potulnej strony. Caldan skłonił głowę.

– Jak sobie życzysz.

Przynajmniej na razie.



Chwilę później zaczął siąpić deszcz i Caldan musiał mruganiem wyciskać łzy spod powiek. Osłonił twarz dłonią i przyjrzał się ognisku. Plama zimnych popiołów otoczona kamieniami. Między dwoma wozami rozpostarto płachtę, a deszcz gromadził się w jej najniższej położonym punkcie, by kapać z tyłu na ziemię, rozlewając po niej błotnistą kałużę.

Tamara i Kristof siedzieli na stołkach pod tą prowizoryczną wiatą. Uzdrowicielka wyglądała na nieszczęśliwą, a Dotknięty palił kościaną fajkę, spowity siwymi kłębamii dymu.

Kiedy Caldan wyszedł z przydzielonego mu namiotu, Tamara wstała i ruszyła do niego, ale zatrzymała się i zerknęła na Kristofa. Ten powiedział do niej coś, czego Caldan nie dosłyszał, na co uzdrowicielka wróciła na miejsce, wykręcając palce. Potem gestem przywołała Caldana do siebie.

– Tamara powiedziała mi, że chciałeś iść do miasta coś załatwić – charknął Kristof. – Wolno spytać, co to za sprawy?

– Nie wolno – odparł Caldan z naciskiem. – To moja sprawa.

Kristof warknął.

– Twoje sprawy to teraz arcymagowie i cesarz. Lepiej to sobie zapamiętaj.

Pyknął fajką i wolno wypuścił dym.

Caldan złapał w nozdrza woń pąków jastrzębnicy. Drogie i rzadkie. Zwykle używa się ich do uśmierzenia bólu, ale z głową, bo silnie uzależniają. Rosło jej trochę w mnisim arboretum.

Sprzedawali ją wyspiarzom. Utykanie i jastrzębnica mogły oznaczać tylko jedno: ciało Kristofa zawodziło. Wyglądał, jakby przekroczył pięćdziesiątkę, ale czy naprawdę miał tyle lat? Czy może postarzał się przedwcześnie? Caldan z bólem serca coś sobie uświadomił: ja też taki będę. Powoli, ale szybciej, niż mi się zdaje, cierpiąc ból i zmagając się z postępującym zniedołężnieniem, zacznę się starzeć i pewnego dnia nie wstanę ze stołka przy ognisku, na który klapnę, wycieńczony i niepodobny do siebie samego sprzed kilku lat. A potem wyssą ze mnie krew. Postanowił dobrze to sobie zapamiętać.

Otworzył usta, żeby spytać, czy może udać się do Starorzecza po swoje rzeczy, ale zmienił zdanie.

– Ile ty masz lat? – spytał zamiast tego.

Wyraz twarzy Tamary powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć. Usta Kristofa uformowały szyderczy uśmiešek.

– Wyglądam ci na starca, co? A czy to ma jakieś znaczenie? Widziałem i robiłem rzeczy, których zwykli ludzie nie doświadczyliby, choćby przeżyli życie sto razy. Ja... a właściwie my ręka w rękę z arcymagami od stuleci utrzymujemy imperium w kupie. Ile mam lat, pytasz? – Kristof prawie krzyczał. – Walczyłem z jukarami i vormagami na Spustoszonych Ziemiach. I z innymi stworami, na których widok zwaliłbyś się w portki. Szukałem skarbów i talizmanów w ruinach Dareske. Zabiłem mrowie ludzi, a wśród nich władców i królów. Widziałem, co Zdruzgotanie zrobiło z tym światem. Wędrowałem po opustoszałych miastach znacznie większych niż Starorzecze. – Kristof wbił palec wskazujący we własną pierś. – Ja. Syn piekarki, który miał szczęście przebywać w pobliżu kogoś, kto wiele mógł. Mam trzydzieści jeden lat. I niczego nie żałuję. Wszystko, co w życiu zrobiłem, zrobiłem dla dobra cesarstwa i cesarza, niechaj żyje wiecznie. Nie mam zamiaru schować gdzieś mojego daru i umrzeć, zastanawiając się, co by było gdyby.

Tamara przez całą przemowę Kristofa potakiwała milcząco. W jej oczach lśniły łzy, gdy spoglądała na wielkoluda z dumą.

Czy oni wszyscy poszaleli? – przemknęło Caldanowi przez myśl, gdy czuł pełną mu po kręgosłupie trwogę. Jak on ma uwolnić się od tych fanatyków? Jeśli ucieknie, rzucą się w pogoń i nie spoczną,

póki go nie dorwą. Nieważne, dokąd pójdzie, jak dobrze będzie zcierał ślady – znajdą go. Nieoddanie się cesarzowi na wyniszczenie było w ich oczach zdradą stanu. Widzieli w nim tylko narzędzie, a narzędzia nikt nie pyta, czy ma siłę do pracy. Jak połamią się zęby, a krawędź stępuje – przetopi się je na inne.

Nie pojmował, jak oni mogli ślepo podążać za cesarzem, tak jak owce podążają za pasterzem.

Ale zamiast tego wszystkiego powiedział tylko:

– Rozumiem.

Tamara opromieniła go spojrzeniem pełnym aprobaty.

– To się okaże, czy rozumiesz – powątpiewał Kristof. – Tamaro, zbadaj Caldana pod kątem trwałych uszkodzeń ciała. Uwiniesz się z tym szybko?

– Tak, Kristofie. W parę chwil. Może nieco dłużej. Zmieszam mu jakieś zioła, żeby doszedł całkiem do siebie.

– Czuję się dobrze – powiedział Caldan.

– Tamara orzeknie, jak się czujesz.

Uzdrowicielka wstała i sięgnęła po leżącą na ziemi torbę.

– Zaraz wracamy.

– No myślę – zacharczał Kristof. – Devenish pytał o niego. Mam jak najszybciej zaprowadzić go do arcymagów. Znaczy się: teraz.

Kristof odstąpił i pozwolił Tamarze dźgać i pukać Caldana rozmaitymi lekarskimi przyrządami. Uniosła jego ramiona i kazała mu wygiąć się na różne strony. Caldan robił wszystko, o co prosiła, odpowiadając zgodnie z prawdą, że nie czuje żadnego przewlekłego bólu. Spojrzała mu w oczy, zajrzała nawet do uszu. Najwyraźniej wyniki badań były zadowolające, bo Tamara z satysfakcją zacmokała i uniosła brwi.

– Jest tak dobrze, że chyba nie ma sensu nic ci podawać. Im mniej leków zażywasz, tym lepiej. Ale jak coś zacnie cię boleć, natychmiast do mnie.

Wypowiedziała to tonem nieznoszącym sprzeciwu, a Caldan pokiwał głową na znak, że rozumie. Ta kobieta nie miała żadnych ukrytych celów, chciała tylko pomagać Dotkniętym.

– Idziemy – zarządził Kristof. – Czas zobaczyć się z Devenishem. On zdecyduje, co z tobą zrobić.

– Myślałem, że Dotkniętymi dowodzisz ty.

Kristof pokręcił głową.

– Nie ma żadnego dowódcy. Wszyscy jesteśmy równi. Choć są wśród nas bardziej i mniej utalentowani. No, bierz swoje rzeczy. I lepiej nie drażnij Devenisha. Ma krótki lont i więcej mocy, niż zobaczysz przez resztę życia. A znaczną częścią tej jego mocy jest władza.

Caldan przypomniał sobie, jak Gazija bez mrugnięcia powieką odbił magię, którą uderzył w niego Devenish. Ścisnęło go w dołku na wspomnienie mocy starca i gdy dotarło do niego, że on sam nie zdołałby się oprzeć czarom zniewalającym pierwszego arcymaga. Bo jak inaczej Devenish miałby roztoczyć nad nim kontrolę?

Gdy kierowali się do namiotu arcymaga, Caldan przystanął na chwilę, żeby sprawdzić, czy ma wszystko przy sobie. Rzemyśliwa Dzwonków i Mahsonna – a właściwie teraz już jego – na miejscu, talizmany też.

– Strach cię obleciał, co? – spytał Kristof, przerywając tę swoistą inwentaryzację.

Caldan podniósł na niego wzrok i napotkał przenikliwe, badawcze spojrzenie Dotkniętego.

– Skądże. Żaden strach. Po prostu sporo się ostatnio wydarzyło.

Wojownik skinął głową.

– Nie ma nic za darmo. Nasze zdolności mają swoją cenę. Ale im bardziej jesteś przydatny, tym więcej dostajesz talizmanów i tym dłużej żyjesz.

A gdyby tak po prostu nie używać umiejętności? Ta koncepcja miała dziury, bo sam Caldan ich przecież nie kontrolował. Ale może z czasem...?

– No, chodźże – ponaglił go Kristof. – Devenish ma dla nas robotę. Zgaduję, że chce, byś szybko się z nami otrząsał. To będzie swego rodzaju inicjacja. Nie spapraj tego.

Caldan robił co mógł, by emanować szczerą, serdeczną chęcią.

– Spróbuję.

Nie żeby spodziewał się jakichś trudności. Jeśli Devenish chciał, by poszedł i zabił kilku jukarów, to robi to. Tak naprawdę nie potrzebował nic poza swoim mieczem i tarczą. A gdy już uznają go za jednego ze swoich, ich wątpliwości stopnieją, a on zorientuje się, o co w tym wszystkim chodzi.

Zastanawiał się, czy czasem myśli jego rodziców nie biegły podobnym torem. Na przykład gdy planowali ucieczkę. Caldan powęszył w powietrzu i uświadomił sobie, że albo smród trupów zmniejszył się, albo tak się do niego przyzwyczaił, że już go nie czuje.

Padało, a wiele zwłok przeniesiono dalej poza obóz, żeby je spalić, uznał więc, że to drugie. Kristof mówił mu, że starorzeczkańska biedota pomagała pozbyć się ciał za monetę lub dwie dziennie, co pozwoliło reszcie armii skupić się na jukarach. Horda cofnęła się dalej od miasta, wypierana przez postępujące szeregi cesarskich żołnierzy, ale wciąż stanowiła zagrożenie, a przodkowie świadkami, że cesarz i tak miał już sporo na głowie. Wyruszył przecież, by wojować z Indryallanami. Od czasu do czasu odzywały się rogi i trąby, i wówczas mijali ich pędem żołnierze, biegnąc na pole bitwy. W dali Caldan wyczuwał wybuchy magicznej energii, a jego uszu dobiegało grzmienie i huk, zaś deszczową szarówkę rozświetlały magiczne błyski. Był zbyt daleko, by zorientować się, co się dzieje, ale wyglądało na to, że arcymagowie i vormagowie nie głaszczą się po główkach.

Przed namiotem Devenisha jak zwykle pełniły straż dwie jasnowłose kobiety. Przemknęły po Caldanie i Kristofie podejrzliwym wzrokiem, ale olbrzym nie przejął się nimi. Minął je i przytrzymał dla Caldana płachtę.

W środku było ciemno i wilgotno. Wzrok chłopaka szybko przyzwyczaił się do światła, a gdy to nastąpiło, Caldan rozejrzał się po wnętrzu. Błat wciąż zawalony był mapami, ale Devenish tym razem przebywał w namiocie sam. Arcymag stał przy biurku po drugiej stronie pomieszczenia, obracając w palcach szklaną fiolkę.

– Chwileczkę – powiedział. – Złapałem katar. Tylko zażyję lekarstwo.

Caldan wcisnął dłonie do kieszeni i patrzył, jak mag nalewa sobie szklankę wody i odkorkowuje buteleczkę. Wlał do szklanki dwie krople czerwonej substancji, a po namyśle dodał jeszcze jedną.

Gdy Devenish się poruszył, Caldan złapał spojrzeniem jego skrytą w półcieniu twarz. Była blada i wychudła, jakby należała do znacznie starszego człowieka.

– Słowo daję, Devenishu, tobie zawsze się wydaje, że coś cię bierze – rzucił półżartem Kristof. – A tak naprawdę nie chorujesz

nigdy. Musisz więcej wychodzić na powietrze. Ciągłe tylko siedzisz w tej ciemnicy.

Czarodziej podniósł szklanke i zamieszał płynem. Woda nabrała jednolitej, różowawej barwy.

– Lepiej zapobiegać, niż leczyć. – Posłał Kristofowi krzywy uśmiezek, a potem jednym łykiem opróżnił naczynie. Zamknął oczy i przez kilka chwil trząsał się, jakby nagle wyszedł na mróz. – Nigdy nie przyzwyczaję się do smaku, ale to utrzymuje mnie w dobrym zdrowiu.

I rzeczywiście, twarz Devenisha już nabierała koloru. Na jego policzkach pojawiły się różowe plamy i od razu się wyprostował.

On chyba nie...? – zastanawiał się Caldan. Czy Devenish właśnie na jego oczach wypił krew Dotkniętego?

Chłopak zerknął na Kristofa, który podszedł do map na stole, wpatrując się intensywnie w maleńkie znaki nakreślone obok strategicznych punktów. Wyglądał, jakby nie zauważył, co tu przed chwilą zaszło.

Caldan poczuł gorąco na twarzy, a krew zagotowała mu się w żyłach, tak był oburzony tym, co tak niefrasobliwie i bezceremonialnie zrobił arcymag na oczach dwóch Dotkniętych. Zdusił wrzask wzbierający mu w gardle, który niechybnie zdradziłby Devenishowi wszystkie jego myśli. Arcymagowie byli zepsuci do szpiku kości. Cokolwiek niegdyś rozpoczęli, być może w dobrych intencjach, przepoczwarzyło w coś... złego.

Caldan zacisnął schowane w kieszeniach pięści. Tylko tyle mógł zrobić, by powstrzymać się przed konfrontacją z Devenishem. Wiedział, że Kristof mu nie uwierzy, a Devenish po prostu go zabije, jeśli zacznie się rzucać.

Odwrócił się, nie ufając swoim ustom na tyle, by coś powiedzieć, czując napływający do serca bolesny wstyd. Weź się w garść, zrugał się w myślach. Przyjdzie czas, gdy będziesz mógł coś na to poradzić, i wtedy to zrobisz. Ale nie teraz. Gdyby przedsięwziął coś teraz, nic by nie zyskał, a wszystko stracił. Caldan potrzebował dłuższej chwili, by powstrzymać wstrząsający nim dygot. Gdy podniósł wzrok, ujrzał, że Devenish i Kristof taksują go badawczo.

– Przepraszam – powiedział Caldan prędko. – Wciąż wracam do siebie po walce z jukarami. Tamara dała mi jakiś środek, ale chyba

rekonwalescencja potrwa dłużej niż dzień lub dwa.

Kristof przystał na to wyjaśnienie, lecz Devenish zmrużył podejrzliwie oczy.

– Jestem ci do czegoś potrzebny? – zmienił temat Caldan. – Chciałbym w końcu pokazać, ile jestem wart.

To najwyraźniej uśmierzyło kielkujące podejrzenia arcy maga. Jego oblicze rozjaśnił uśmiech. A raczej wyszczerz nadający mu wygląd dzikiego zwierzęcia.

– Kristof pewnie opowiedział ci co nieco o tym, czym zajmuje się na co dzień i dlaczego Dotknięci są tak ważni dla bezpieczeństwa Cesarstwa Mahruzańskie go. Zgadza się?

– Owszem. I rozumiem.

– Darów takich jak te, którymi dysponujesz – ciągnął Devenish – zbyt łatwo nadużyć. A istnieje tylko jeden sposób, aby upewnić się, że nie zostaną użyte źle, a mianowicie trzeba zadbać o to, żeby były używane dla większego dobra. Gdyby któryś z Dotkniętych zdecydował się działać niezależnie, nie tylko nadużywałby swoich darów, ale przede wszystkim nie pożyłby zbyt długo. Musimy się tobą zająć, Caldanie. Sam już doświadczyłeś tego, co dzieje się z organizmem Dotkniętego, jeśli zbyt długo korzysta ze swojego daru. Oto powód, dla którego cesarz z pomocą swoich arcy magów musi rozważnie zarządzać dystrybucją pewnych szczególnych talizmanów. Im bardziej zechcesz poświęcić się dla dobra cesarstwa, tym bardziej będziemy skłonni obdarzyć cię zaufaniem. A im bardziej będziemy ci ufać, tym chętniej pomożemy ci niwelować efekty uboczne korzystania z twoich talentów.

Tak, Caldan rozumiał to doskonale. Dostosuj się lub zgiń. Cóż za wspaniałą perspektywę roztaczali przed nim arcy magowie.

Błysnął krótkim uśmiechem.

– Mam nadzieję, że dowiodę swojej wartości. Chcę przysłużyć się cesarstwu, czy to jako Dotknięty, czy jako czarodziej.

Stwierdził, że nie zaszkodzi dyskretnie przypomnieć, iż władza rozlicznymi talentami. Może to przekona Devenisha, że Caldan jest użyteczny. Uznał, że mag tego formatu powinien poznać się na nim i zechcieć wykorzystać go bardziej niż zwykłego Dotkniętego.

– Ach, prawda. Porozmawiamy o tym, kiedy wrócisz. Gdyż oto nadarza się okazja, abyś pokazał, co potrafisz. Zadanie czeka



również i ciebie, Kristofie, przyjacielu.

Olbrzym zmierzył Caldana spojrzeniem. Jakaś emocja przemknęła przez jego twarz, a potem zniknęła. Strach? Nienawiść?

– Czarodziej... a jednocześnie Dotknięty... – myślał głośno Devenish. – Niebawem Caldan stanie się siłą, z którą będzie się trzeba liczyć. Lecz teraz jest nieoszlifowanym diamentem, który potrzebuje wprawnej ręki mistrza. Wojownikiem, którego trzeba wytrenować i sprawdzić.

Twarcz Kristofa pociemniała, a potem jego usta rozciągnęły się w nieszczerym uśmiechu.

– Mam nadzieję, Devenishu, że nie zamierzasz zastąpić mnie Caldanem. Choć władający magią Dotknięty z pewnością dokona rzeczy, o jakich się nam nie śniło, to miną lata, nim będzie można powierzyć mu jakąś odpowiedzialność.

Devenish prychnął obcesowo.

– Kristofie, mój drogi, jesteś bezcenny zarówno dla mnie, jak i dla pozostałych arcymagów i samego cesarza.

Nie tyle ty, co twoja krew, skwitował w myślach Caldan. Bo był pewien, że Devenish uważa, że każdy Dotknięty mógłby z powodzeniem zastąpić Kristofa.

– Więc nawet nie myśl o emeryturze – ciągnął arcymag. – Jesteśmy w tej sprawie jednogłośni. Możesz być spokojny.

Wojownik skinął głową.

– Wiesz dobrze, że wykonam każde zadanie jak potrafię najlepiej.

Devenish klepnął go w ramię.

– Doskonale wiem, że mogę na ciebie liczyć. Z tego wszystkiego nie spytałem cię, jak ty się w ogóle czujesz. Ból już tak nie doskwiera?

– Idzie wytrzymać. Wciąż jestem sprawny, Devenishu. A jednak dobrze by było, gdybym przez jakiś czas się oszczędzał. Brał udział tylko w misjach szczególnej wagi.

– Zadbamy o ciebie jak należy. O to bądź spokojny.

Kłamstwo na kłamstwie i kłamstwem pogania, pomyślał Caldan.

– A teraz przejdźmy do interesów – podjął pierwszy arcymag. – Niedawne wypadki zmusiły mnie do ponownego przemyślenia naszych planów. Indryallanie okazali się silniejsi i zaradniejsi, niż przewidywaliśmy. Jukarskiej hordy nie spodziewaliśmy się w ogóle

i przysparza nam wielu kłopotów. Dowódcy Kołczanów donoszą nam, że front rozciągnął się ponad ich siły. Gdyby napadli nas teraz Indryallanie, byłoby po nas.

Kristof się skrzywił.

– A gdzie oni są? Wciąż okopani w Anasomie?

– Najwyraźniej. Może zorientowali się już, że nie zdołają wypić piwa, które nawarzyli. Cesarz z całą pewnością skłonił ich do przemyśleń.

– O, to na pewno. Niechaj żyje wiecznie.

Caldan nie wierzył własnym uszom. Przecież sam widział, jak cesarz ze strachu posłużył się swoimi arcymagami niczym tarczą, zasłonił się nimi przed indryallańską magią. Otaczali cesarza tak wielką czcią, że nie docierało do nich, że może czemuś nie podolać. I trudno, żeby myśleli inaczej, skoro w ich mniemaniu był niemalże bogiem.

On sam zresztą nie wyprowadzał ich z błędu, jednocześnie roztaczając nad nimi pozory opieki, a tak naprawdę posługując się nimi jak bezwonnymi narzędziami. I Caldan miałby służyć takiemu człowiekowi?

– No to do rzeczy – zreflektował się czarodziej. – Kristofie, weźmiesz Caldana i uderzysz na jukarów i vormagów. To będzie jego pierwszy sprawdzian. Mam już przygotowany kolejny... ale to po powrocie.

Oto pierwsza próba, jakiej go poddadzą. Jakbym nic jeszcze nie udowodnił, brodząc we krwi z cel Rauem u boku. I dobrze, sprawdzajcie mnie, testujcie do woli. Wiem, że największe wrażenie robi na was to, czego sami nie potraficie. I ta wiedza stanie się kluczem do mojej wolności.



Caldan biegł u boku Kristofa. Po raz trzeci w ciągu ostatniego kwadransa otworzył swoją studnię i rozpostarł magiczny zmysł, szukając jakichś oznak niebezpieczeństwa. I po raz trzeci nie wyczuł

nic. Słońce opadało z wolna ku linii widnokregu, opromieniając drzewa pomarańczowym światłem, ale pod koronami zalegała już ciemność. Jakby w pogoni za słońcem, od wschodu napłynęły i zasnuły niebo ciemne chmury.

Kristof narzucił żwawe tempo, choć Caldan widział, jak z każdym krokiem odciąża chromą nogę. Biegli naprzód: Caldan, Kristof, a wraz z nimi Floriana i Alasdair, dwoje Dotkniętych. Siostra i brat z Meliroru w Sotharlańskiej Unii Miast.

Floriana zaplatała w warkoczyki swoje rude włosy do ramion, a każdy przewiązany był skórzanym rzemieniem. Miała świetnie umięśnione, lecz i gibkie ciało – zapewne jeden z efektów bycia Dotkniętą. W jednej ręce trzymała krótką włócznię, a za pas miała zatknięty sztylet, tak jak jej brat. Włosy Alasdaira były raczej brązowe niż rude, a nosił je ścięte przy samej czaszce. Oboje nie mówili za wiele, mruzczyli tylko i kiwali głowami, gdy zwracał się do nich Kristof.

Caldan nieustannie wodził wzrokiem pod drzewami. Wiedział, że wyprawili się na polowanie na jukarów, ale czasem sam czuł się jak obserwowana zwierzyna.

Kristof miał przerzucony przez plecy niesłychanie długi miecz. Sprzączka na uprząży pozwalała mu szybko przesunąć go na biodro i dobyć ostrze błyskawicznie przy pierwszej oznace niebezpieczeństwa. Za pas miał wciśnięte dwie grube rękawice. Caldan dostrzegł, że wewnątrz dłoni i palce od jej strony były dodatkowo obszyte niewyprawioną skórą. Jeśli chciał tym osiągnąć większą przyczepność chwytu, to zrobił głupotę, bo tak wyprofilowane rękawice będą mu raczej przeszkadzać. Ciekawość Caldana w końcu wzięła górę.

– Kristofie, po co ci te rękawice?

Usłyszał, jak ktoś za jego plecami – albo Floriana, albo Alasdair – potknął się na drodze. Brat zaklął, siostra się zaśmiała. A więc Alasdair.

Kristof nachmurzył się. Zwolnił, a potem stanął. Znajdowali się przed szczytem niewysokiego, leśnego wzniesienia.

– Postój – zarządził. – Krótka chwila, potem ruszamy.

Floriana i Alasdair odłączyli się od grupy i przeszli na drugą stronę wzgórza niż ta, po której stali olbrzym i chłopak. Pot ledwie

zrosił ich czoła, a Caldanowi ciekł po plecach. Dyszał ciężko, podczas gdy pozostali nie wydawali się nawet szczególnie zmęczeni. Albo byli w znacznie lepszej formie, albo lepiej kontrolowali swoje zdolności, za pomocą których wzmacniali wytrzymałość. Jedna cząstka Caldana chciała nauczyć się więcej o tym, do czego jest zdolny... A z drugiej strony...

Ileć raz patrzył na Kristofa i jego kaleką nogę, docierało do niego, że im częściej będzie używał swoich umiejętności, tym szybciej jego ciało się zużyje. Rozciągnięta w czasie eksploatacja przysporzy mu cierpienia, a ostatecznie wpędzi do grobu. Rozumiał zarówno swoje obawy, jak i ciekawość i niecierpliwość. Kolejne ofiary i ból przyniosą mu więcej talizmanów... Zamknięte koło. A jednak...

Zastanawiał się, czy jeśli talizmany spowalniają zużycie organizmu, to czy da się je całkowicie zatrzymać? Czy to kolejna tajemnica, którą skrywano przed Dotkniętymi?

– Nie każdy potrafi zapanować nad długim ostrzem – mruknął Kristof. Caldan podniósł wzrok. Mężczyzna opierał się o pień obrośniętego mchem drzewa.

Wyjął jedną rękawicę i rzucił ją Caldanowi. Ten jej się przyjrzał. Rzeczywiście, pogrubiono ją tam, gdzie było to zbędne.

Kristof mówił dalej:

– Dotknięci wywodzą się z różnych środowisk i mają różnorakie talenty. Jakie jest prawdopodobieństwo, że każdy z nas urodzi się z ręką do miecza? Lub do innej broni?

– Niskie – odparł Caldan. – Ale... nie musimy brylować akurat w tym, jeśli dobrze kontrolujemy swoje umiejętności.

– Dokładnie! Dobrze jest sprawnie władać mieczem, gdy trenuje się codziennie i ma się do tego smykałkę. I jeśli twój przeciwnik nie nosi zbroi. Ani nie jest czarodziejem. Ani jukarem, ani vormagiem. W walce z każdym innym najprawdopodobniej odniesiesz zwycięstwo. Ale w większości sytuacji, z którymi mierzymy się na co dzień, twoja zdolność fechtunku nie zda się na wiele. Weźmy na przykład mnie. Jestem kiepskim szermierzem.

– Ja też nie lepszym – przyznał Caldan. – Jestem coraz lepszy, ale żyję dzisiaj tylko dzięki temu, że jestem Dotknięty.

Wojownik skinął głową.

– Jak większość z nas. Każdy z nas jest inny, ale tylko garstka walczy mieczem lepiej niż przeciętnie. Więc ja korzystam z pewnej starej techniki...

Nałożył drugą rękawicę na lewą rękę i odpiął sprzączkę, po czym dobył miecza. Uniósł go, trzymając miecz urękawiczoną dłonią w jednej trzeciej długości klingi, jakby był kosturem. Wykonał kilka manewrów, złożył się do bloku, wyprowadził uderzenie głowicą, a potem chwycił za rękojeść i dobił niewidzialnego przeciwnika serią błyskawicznych sztychów wykonanych klingą. Jego ruchy były płynne i Caldan od razu dostrzegł przewagę, jaką dawała technika Kristofa.

– Nie spotkałem się z żadną frymuśną nazwą tej sztuki walki, więc na swoje potrzeby nazywamy to „skróconką” – wyjaśnił Kristof. – Łatwiej się nią blokuje i trzyma przeciwnika na dystans, żeby nie mógł cię chlasnąć z bliska, a w razie potrzeby przechodzi się do zwarcia. Rękawica chroni dłoń i palce przed ostrą krawędzią klingi, którą możesz uderzać jak mieczem lub kosturem. Co by nie mówić, działa.

Caldan z zapalem pokiwał głową.

– O wiele łatwiej skorygować kierunek, w którym idzie ostrze. Ta technika umożliwiła precyzyjniejsze kontrolowanie broni.

– Zgadza się. Załóż rękawicę i sam spróbuj. Zobaczysz, nigdy już nie wrócisz do walki jedną ręką. No, może „nigdy” to za dużo powiedziane, ale ta technika to czyste złoto. Sam się zaraz przekonasz. Nie, weź sobie tę rękawicę. No, spróbuj. Jak wrócimy, poćwiczymy jeszcze, ale na polu bitwy nie ma to jak doświadczenie. A przynajmniej tak mówią.

Caldan wsunął rękawicę za pas. Floriana i Alasdair dołączyli do nich, a Kristof zarzucił sobie miecz na plecy.

– Czas ruszać – powiedział i ruszył truchtem przed siebie. Caldan pobiegł za nim, zachowując odległość dwudziestu kroków.

Drzewa śmigły po obu stronach, a słońce tonęło coraz głębiej za linią horyzontu. Kristof nie pozwolił się spowolnić nadchodzącej ciemności. Utrzymywał równe tempo. Wzrok Caldana szybko przyzwyczaiał się do półmroku, podobnie jak wzrok towarzyszy. Kolejna zdolność, którą dzielili. Kristof co rusz rzucał okiem na kawałek papieru, który ścisnął w dłoni.

Po dłuższej chwili drzewa przerzedziły się, a podszycie zrobiło się gęste. Ominęli archipelag opasyłych głazów rozsypanych po równinie, która zaczęła falować, gdy spod trawy i ziemi wychynęła goła i zimna skała. Wtedy zwolnili do truchtu, bo na nierównym gruncie prosili się o kontuzję. Wkrótce Kristof zarządził kolejny postój. Caldan westchnął z ulgą i pochylił się, by wymasować uda. Jego nogi i płuca płonęły żywym ogniem. Kristof i reszta dawali radę, ale Caldan był jak wypluty.

Nic nie mówiąc, olbrzym gestem przywołał do siebie Florianę i Alasdaira. Gdy podeszli, Kristof skrócił dystans i powiedział im twarz przy twarzach:

– Napad i wypad. Żadnych głupstw. Wiecie, co macie robić. – Brat i siostra pokiwali głowami. Kristof obrócił się do Caldana. – Niedaleko są jukarowie.

Chłopak zmarszczył brwi. Nie widział żadnych oznak ich obecności, żadnych ognisk jaśniejących w zalegającym pod drzewami mroku.

– Skąd wiesz?

Wojownik wskazał trzymany w ręku papier.

– Arcymagowie ich wysledzili. Ktokolwiek im przewodzi, rozproszył swoich żołnierzy w szerokim łuku, by nas zaskoczyć. Nie wiemy, co tu robią, ale to niewielki oddział. Może zjawili się tu w jakimś konkretnym celu? – Kristof pokręcił głową. – Możemy tylko zgadywać, ale teraz to nieważne. Naszym zadaniem jest ich powstrzymać.

– Ilu ich tam jest?

– Trzydziestu, może czterdziestu. Coś koło tego.

– Poważnie? Nas jest tylko czworo.

– Tak. Uderzamy, uciekamy. Zabijamy kilku, robimy dym, a potem, zanim się ogarną, uderzamy znowu. Jest ciemno, a oni nie widzą zbyt dobrze w ciemności. W praktyce mamy przewagę.

Caldan wytarł spotniałe dłonie w spodnie. Brakowało mu pewności siebie, którą przejawiał Kristof. Ich czworo przeciwko czterdziestu jukarom? Owszem, zabił kilku wcześniej, ale nie tak wielu naraz. W dodatku wówczas wzbiał się na wyżyny swojego czarownictwa, podczas gdy nigdy nie wyobrażał sobie, że zdoła utrzymać tyle strumieni, nawet o nich nie myśląc.

– Nie... Ja nie kontroluję swoich zdolności, jak ty i reszta. Nie mam żadnych talizmanów, brak mi twojego doświadczenia. – Caldan pilnował, żeby Kristof nie zobaczył pierścienia na jego palcu.

– To nic. Poradzisz sobie. Wkrótce zarobisz swój pierwszy talizman. Ale to nie po to tu teraz jesteś.

– To niby po co...? – zaczął i zamilkł. – Vormagowie – powiedział, a Kristof pokiwał głową.

– Na wszelki wypadek. Jeśli ich zaskoczymy, to zginą, zanim zdążą cokolwiek wyrzemyślić. Jeśli nie, to skorzystają z tarcz i magii destruktywnej. Wtedy wchodzisz ty.

A więc ufali mu na tyle, by zabrać go tutaj, żeby zobaczyć, jak sobie poradzi. Ale nie od razu dopuszczają go do walki. Pozostanie w rezerwie, dopóki wróg nie użyje magii. Szczerze mówiąc, poczuł ulgę. Wcześniej zabijał jukarów z konieczności. Nie był za bardzo przekonany do napaści i mordowania na potęgę. Ale od tego w końcu byli Dotknięci, prawda? Jeśli Caldan nie pokona vormagów i ich magii, co zrobią Kristof i pozostali? Zostawią go tu? Nie, Devenish by na to nie pozwolił. Raczej obezwładnią go i zawloką do obozu. A potem oddadzą w łapy arcymagów. Znowu zmuszono Caldana do gry, w której nie miał prawa wygrać.

Nie podzielił się z Kristofem swoimi myślami, skinął tylko głową, a wojownik klepnął go w plecy.

– Naprzód – zaordynował.

Ruszyli w mrok i wkrótce znaleźli się na wąskim szlaku wydeptanym w niskiej trawie porastającej skalistą ziemię. Stanęli, gdy gdzieś przed nimi coś warknęło. Gdy nie dało się słyszeć niczego więcej, ruszyli ponownie, tym razem na palcach. Posuwali się wolniej, przygięci do ziemi.

Zdjęty łąkiem Caldan otworzył swoją studnię. Poszedł za przykładem Kristofa i także dobył miecza, naciągając rękawicę na lewą dłoń. W ciemności gdzieś przed nim ziały trzy inne studnie. Wyczuwał je, ale nie umiał dokładnie zlokalizować. Z dwóch czerpano moc, trzecia milczała. Ale z tego, co wyczuwał, ta była większa i głośniejsza od dwóch pozostałych. Pewnie przywódca, a więc bardziej niebezpieczny od reszty.

Zwiększył tempo i popukał Kristofa w ramię.

– Tam są trzej vormagowie.

– Pewien jesteś?

Caldan z przekonaniem przytaknął.

– Dwaj nie są zbyt potężni. Ledwie mają dość siły, by osłonić się tarczą. Ale trzeci... Z nim może być problem. Oczywiście, wszystko zależy od ich szkolenia i doświadczenia, a także od rzemysliw.

– Załóżmy, że mają rzemysliwa tak samo dobre jak te, które wykonują nasi czarodzieje.

Caldan zmarszczył brwi.

– Posłuchaj, trzech czarodziejów to dla mnie zbyt wiele...

– Będziesz musiał jakoś sobie poradzić.

Kristof odwrócił się od niego i ruszył naprzód.

Caldan zamrugał i pokręcił głową. Miał nadzieję, że tak naprawdę nie rzucają go vormagom na pożarcie. Wtedy od Dotkniętych zapulsowały jednocześnie trzy pływy mocy, jakby były jednym i tym samym. Talizmany, uświadomił sobie Caldan. Przygotowują się. Zapulsowały dwa kolejne talizmany, Kristofa i Alasdaira.

Gdzieś po lewej zastukotały kamienie, zsuwające się ze skarpy. Kristof, Floriana i Alasdair stanęli jak wryci. Wbili wzrok w ciemność, rozglądając się bacznie po półokręgu. Przez dłuższą chwilę nikt się nie poruszał.

Wówczas po ich lewej stronie, tam gdzie obruszyły się kamienie, zabrzmiał skowyt. Z ciemności wystrzelili jukarowie i puścili się na nich pędem.

Caldan miał tylko chwilę, by dobyć miecza i podłączyć się do tarczy, nim pierwsza z bestii spadła na nich jak grom, śliniąc się i warcząc przez zaciśnięte kły. Jukar zamajaczył wysoko nad małym w porównaniu Kristofem i spuścił na niego pordzewiały topór – chybiając, gdy wojownik uskoczył na bok i odbił uderzenie swoim mieczem. Następnie Kristof szarpnął ostrzem i zanim stwór odzyskał równowagę, już bryzgał krwią z rozoranego brzucha. Dotknięty wyrwał klingę z jego ciała i dobił go jednym ciosem, aż stwór zwałił się na ziemię, nagarniając z powrotem do rany skotłowane wnętrzności.

Kristof przeskoczył go i ruszył na kolejnego.

Caldan łypnął szaleńczo na Florianę i Alasdaira, którzy wpadli między potwory i zatańczyli na szybkich nogach. Włócznie cięły



powietrze tak prędko, że umykały Caldanowi z oczu. Czarna krew spryskała skałę, kapała z przygiętych ku ziemi źdźbeł trawy.

Jukarowie byli w oczach Caldana potężni jak baszty. Uskoczył rozpaczliwie, gdy drewniana maczuga, wielka niczym pień, popędziła w jego stronę. Zbyt późno; kłoda uderzyła Caldana z siłą walącego się drzewa i rzuciła go w tył. Wylądował ciężko na skale, czując dziki ból w ramieniu, przy obojczyku. Tarcza uchroniła go przed poważnymi obrażeniami, ale nie wyhamowała prędkości uderzenia.

Caldan złapał wzrokiem kolejnych atakujących jukarów. Element zaskoczenia, na którym polegał Kristof, został im bezpowrotnie odebrany. Zamiast mierzyć się z kilkoma naraz, walczyli teraz o życie z o wiele liczniejszym wrogiem. Caldan zachwiał się, wstając i usiłując rozeznac się w sytuacji. Kristof był rozmazaną plamą stali, która rąbała i siekła dławiących się krwią jukarów. Wrzeszcząca Floriana pchała włócznią jak szalona, skacząc między potworami, hasając między nimi, jakby to był piknik lub wiejska potańcówka. Alasdair zatoczył się, trafiony w ramię, obnażając zaciśnięte zęby. Wszędzie dokoła krwawili i umierali jukarowie.

Nie było czasu na myślenie, bo nagle stanęli również przed Caldanem. Już leciała w jego stronę najeżona ćwiekami maczuga. Caldan okręcił się i sparował uderzenie w samą porę, unosząc miecz oburącz, jak zademonstrował mu Kristof. Zrobił krok naprzód i wraził przeciwnikowi klingę w bok na głębokość dwóch stóp. Jego skórzana rękawica nie pozwoliła ostrzu wedrzeć się głębiej. Caldan szybko poluzował uścisk i wcisnął miecz dalej, naparł na niego ciałem, a potem z mocą wyszarpnął.

– Nogi! – Kristof przekrzyczał zgiełk.

Wtedy Caldan zrozumiał. Odstąpił od stwora, którego przed chwilą zabił, by zaraz rzucić się na kolejnego. Potwór wrzasnął i zamachnął się mieczem na jego głowę. Caldan znów sparował obiema rękami, a potem mieczem spenetrował udo jukara. Ten, wyjąc, padł na kolana. Caldan dobił go pchnięciem w gardło, a stwór przewrócił się na ziemię, plując czarną, kleistą cieczą.

Gdzie były jego zdolności, gdy ich potrzebował? Poszukał w sobie tego znajomego uczucia, upragnionego żaru krwi, ale nie znalazł nic poza jej szumem w uszach i rozdudnionym sercem.

Puścił się biegiem do Floriany, która zmagiała się z trzema jukarami naraz. Jej buty ślizgały się na rozmięklej od krwi ziemi. Caldan zachwiał się i poleciał w jej stronę. Ranny jukar leżący na ziemi u stóp Floriany drapnął ją szponami w łydkę i kobieta zawyła z bólu. Odskoczyła niezgrabnie na bok. Wokół niej podniosło się hałakowanie i zwierzące wycie, jukarowie skrócili dystans. Caldan wrzasnął i pchnął jednego w grzbiet. Stwór przyłożył łokciem w jego tarczę, trysnęły iskry. Chłopak zatoczył się, ale utrzymał równowagę i rzucił się na niego. Stal przebiła szare cielsko, a potem znowu, i jeszcze raz.

Floriana padła na kolana, ściskając włócznię w utyłanej krwią ręce, podczas gdy druga obejmowała rozszarpaną kostkę. Górowały nad nią trzy potwory.

Caldan zaklął i znów ruszył w jej kierunku. Gdzie są Kristof i Alasdair? Gdzieś z boku mignęły mu rozbłyśki jaśniejących mocą talizmanów. Zaczepnął ze studni i dał nura przed siebie. Złapał Florianę za ramię. Szponiaste łapska i pordzewiałe ostrza odbiły się od magicznej tarczy. Ze spotworniałych pysków poniosło się wściekłe wycie. Floriana obrzuciła Caldana spojrzeniem, krzywiąc usta. Jej zęby były czerwone od krwi. Jej własnej, nie jukarów.

Ze wszystkich stron łomotała w nich rozpędzona broń. Tarcza Caldana trzymała się mocno, z każdym ciosem tryskając iskrami. Chłopak zacisnął szczęki i naparł naprzód. I jak wówczas w tunelach pod Anasomą, tak teraz jego tarcza wybrzuszyła się, odsunęła od ciała jego i Floriany, by rozrosnąć się i nakryć oboje świetlistą kopułą. Momentalnie odepchnęła od siebie jukarów, którzy rozprysnęli się na boki jak krople wody z otrzepującego się psa. Jeden przygrzmocił o wielki głaz, aż trzasnęły kości. Dwa kolejni zwalili się na ziemię, wzbudzając tumany kurzu.

– Caldan! – ryknął Kristof.

Caldan postawił Florianę na nogi, a ona przeniosła na niego ciężar ciała. Kristof i Alasdair już pędzili w ich stronę, umazani jukarską krwią i błotem do tego stopnia, że spod warstwy czarnej mazi prawie nie wystawały łąty czystej skóry. Nawet ramiona i twarze były pokryte ciemną skorupą posoki. Ich palce i piersi emanowały białawą poświatą – talizmany.

Zatrzymali się ślizgiem obok Caldana, a on odłączył się od tarczy. Alasdair złapał Florianę, a ta uśmiechnęła się wątle. Jej ramiona pokrywały głębokie cięcia i ślady po zębach.

– Wyłizesz się! – gorączkowo szeptał jej do ucha brat.

– Wiem – odparła siostra. – Nie zostawisz mnie.

– Caldanie! – powiedział Kristof. – Jeśli masz coś zrobić, to teraz.

Coś zrobić? Właśnie ocalił Florianie życie...

Rozejrzał się, zdezorientowany. Przynajmniej piętnastu jukarów leżało na ziemi, martwych lub umierających. Ci, którzy jeszcze stali na nogach, cofnęli się poza zasięg stali, ale w ich wyciu i warczeniu brzmiała groźba. Zachodzili ich z obu boków, otaczając półkolem, kłapiąc paszczami i wymachując bronią. Może się jeszcze wycofają...

I wtedy wyczuł vormagów. Jukarowie odcinali im drogę ucieczki, czekając na swoich panów.

Chłopak wciągnął powietrze do płuc, walcząc z przerażeniem, i zrobił krok w kierunku zbliżających się studni. Sięgnął do swojej tak głęboko, jak tylko sięgał. Otoczył studnię umysłem, zanurzając się w kotłującej się wściekle toni. Był przecież wyszkolonym czarodziejem. Tworzył rzemyśliwa, z których dumni by byli nawet czeladnicy, nawet mistrzowie. Walczył z Dzwonkami dwa razy i dwa razy wyszedł z walki zwycięsko. Przeżył nawet starcie z Joachimem. Ale jakie miał przy sobie artefakty?

Rzemyśliwa Dzwonków i Mahsonna – i nie znał przecież wszystkich ich funkcji. Miał też swoją tarczę. I żuka.

Nie przydadzą mu się na wiele, a już zwłaszcza w walce z trzema vormagami. A kontrolowana destruktywna magia wciąż była poza jego zasięgiem. Z kolei surowa magia destruktywna nie wystarczy, by przebić tarcze vormagów.

Do Caldana dotarło, że są w pułapce.

– Musimy się przez nich przebić! – krzyknął Alasdair to Kristofa.  
– Teraz!

Kristof rzucił okiem na Florianę.

– Przecież...

Zawahał się, strzelając wzrokiem w lewo i w prawo. Na przodków, on nie ma pojęcia, co robić.

– Nie mamy którejdy uciekać – włączył się Caldan. – Idą vormagowie. Pozabijają nas.

– Nie osłonisz nas tarczą? – spytał Alasdair.

Caldan pokręcił głową.

– Nie, jeśli będziemy uciekać. Muszę mieć fizyczny kontakt z wami wszystkimi. A jeśli tu zostaniemy, to po nas. Nie jestem arcymagiem. Nie umiem tego, co oni.

Zwierzęcy fetor jukarów napierał na nich niewidzialną, wiszącą ciężko w powietrzu chmurą. Studnie były coraz bliżej. Wkrótce do nich dotrą. Caldán nie wiedział, jakie czary mają w zanadrzu, ale na pewno nie chciał czekać, żeby się przekonać.

– Uciekać i umrzeć czy zostać i umrzeć? – wymamrotał Kristof.

– Rzykujemy i przebijamy się – powiedział Alasdair.

Kręcący głową Kristof gestem kazał im schować się za wielki kamień dziesięć kroków z tyłu.

Przywarli do głązu plecami, obserwując jukarów na wypadek, gdyby postanowili spróbować szczęścia. Floriana wyjęła z kieszeni długie pasy materiału i zaczęła opatrywać sobie kostkę. Alasdair patrzył na nią z troską wypisaną na twarzy. Nieprędko sobie pobiega, nawet wzięwszy pod uwagę ich nadzwyczajną zdolność regeneracji.

– Daj mi swój pierścień. Wiesz który.

Oddech uwiązał Caldánowi w gardle. Spojrzał na Kristofa, ale w porę zrozumiał, że wielkolud mówił do Alasdaira. Brat wbijał spojrzenie w olbrzyma.

– Czemu? Jest mój. Zapracowałem na niego.

Kristof, nie odejmując oczu od Alasdaira, podniósł rękę i zdjął z palca własny pierścień. A potem podał go Caldánowi.

– Dla niego – wyjaśnił. – Będzie ich potrzebował, by dostać się do vormagów. Bo jak tego nie zrobi, wszyscy zginiemy.

Alasdair obliznął usta. Zerknął na Florianę, potem na Caldana, by zaraz wrócić spojrzeniem do Kristofa. Zaklął pod nosem.

– Przecież... – Pokręcił głową.

Floriana zakrwawionymi rękami szarpnęła Alasdaira za koszulę, naznaczając czarny materiał czerwonymi smugami.

– Nie bądź głupcem – zasyczała. – Może wziąć mój. Mnie się na razie nie przyda. Ale na nim jest napisane „wróc do mnie”.

– Jasne – zapewnił Kristof.

Zdjęła pierścień z palca i podała Caldanowi. Jej oblepione krwią palce drżały.

Oferowali mu dwa pierścienie. Caldan skrzyżował spojrzenia z ich właścicielami. Wiedział, o co go prosili, ale coś w nim obawiało się rezultatu. Co, jeśli korzystanie z umiejętności Dotkniętego za bardzo mu się spodoba? Co, jeśli zachęci go do pozostania wśród nich i zbierania własnych talizmanów?

Kristof zmełł przekleństwo, wziął pierścień Floriany i wcisnął Caldanowi do ręki.

– Załóż – rozkazał. – Może zadziała, a może nie. Ale musisz dostać się do vormagów. My zajmiemy się jukarami. Może uda się nam oczyścić ci ścieżkę.

– Nie zostawię Floriany samej – powiedział Alasdair.

Kristof pokiwał ponuro głową.

– Zostań więc z nią.

Siostra dźwignęła się na nogi.

– Chyba was źrebi, że tu zostanę. Nie rozdzielamy się, mowy nie ma.

– Dobra – przystał Kristof. Zacisnął palce Caldana na pierścieniach. – Załóż je i zabij vormagów. To twoje zadanie.

Caldan przełknął ślinę i kiwnął głową. Wsunął talizmany na palce. Czekał, aż coś się stanie, cokolwiek. Nic nie poczuł.

Alasdair ostrzegł ich krzykiem i rzucił się w lewo, skąd szarżował jukar. Uskoczył przed jego toporem i szybko znalazł się przy boku potwora. Wypłuł z siebie potok szpetnych przekleństw i wraził włócznię pod żebro jukara. Z rany trysnęła czarna krew. Wojownik cofnął się, widząc już przed sobą następnych sunących ławą jukarów. Ci jednak nie atakowali. Podbiegli tylko, by odciągnąć powalonego pobratymca z powrotem w ciemność.

Alasdair spojrział na nich i splunął.

– Okropność. Skąd to się wyroiło...? Wrzód na tyłku tego świata.

– Nie gadaj tyle! – zrugął go Kristof. – Caldanie, gdzie ci vormagowie?

Caldan oderwał wzrok od trzech talizmanów na swoich palcach i potrząsnął głową. Wiedział, że vormagowie wkrótce tu będą.

– Blisko. Ale te pierścienie nic nie robią!

Ból przeszył jego udo. Floriana wyszarpnęła z niego włócznią. Caldan przycisnął dłoń do rany, czując, że ciepła krew przesiąka przez materiał spodni. Kobieta posłała mu szyderczy uśmiech.

– Czasem wystarczy ukłucie.

Natychmiast jeden z pierścieni zacisnął się na jego palcu.

Metal zrobił się gorący, tak bardzo, że Caldan bał się, że go poparzy. Ciepło rozeszło się z palca na resztę dłoni i pobiegło w górę ramieniem. Gdy fala gorąca przeszła przez mięśnie, te zadrżały pod skórą chłopaka. Nieprzyjemne uczucie, jakby splot węży wił się w jego ciele. Floriana położyła mu dłonie na skroniach i przyciągnęła jego twarz do swojej.

– Musisz to poczuć – wyszeptwała z mocą. – Oddychaj tym. Idź, gdzie cię prowadzi.

Krew załomotała mu w uszach. Zupełnie jakby w jego żyłach zaczął płynąć roztopiony metal. Krzyknął i padł na kolana. Wokół niego rozjaśniła się noc, jakby nagle wstało słońce. Poczul, jak wyostrzają mu się zmysły. Niemal wyczuł po oddechu Floriany, co ostatnio jadła. Ona, Kristof i Alasdair wydawali się jednocześnie bliżej i dalej. Olbrzym postąpił w ich kierunku, powoli... tak wolno... Caldan nie mógł znieść dotyku rąk Floriany na swojej twarzy. Wyrwał głowę z jej uścisku i zatoczył się na bok. Zmrużył oczy, patrząc na swoje dłonie, na których migotały maleńkie gwiazdeczki. Talizmany śpiewały do niego, ściągając na siebie jego uwagę. Każdy pulsował własnym rytmem. Pozwolił uwieść się temu wołaniu.

Nagle jego głowa odskoczyła na bok. To Floriana trzepnęła go w ucho.

Caldan warknął na nią, sam zaskoczony swoją reakcją. Pchnęła go oburącz w klatkę piersiową i cofnęła się o dwa kroki.

– Zajmij się vormagami – rozkazał Kristof.

– Tak – szepnęła Floriana. – Idź, już. Zabij ich.

Tak. Vormagowie byli coraz bliżej. Ktoś musiał ich powstrzymać. Nadciągały wielkie czary, gotowe zabić Caldana i jego towarzyszy, a on był jedyną osobą, która mogła je odczynić. Wystrzelił w kierunku trzech studni.

Za jego plecami Floriana krzyknęła do Kristofa:

– Oby to zadziało. Chcę swój talizman z powrotem!

Obute stopy załomotały o grunt, gdy pozostali Dotknięci ruszyli do walki. Caldan prawie nie czuł talizmanów wgrzających się w jego ciało. Ale ból stale narastał. W jego ciele kwitły kolejne ogniska, żar przenikał go całego, przynosząc ze sobą falę ekscytacji i siły. Miecz wydał mu się lekki jak gałązka. Wyczuł przed sobą inne źródła mocy, które nie szarpały tak mocno jego świadomości. Przy buchających piecach talizmanów były jak drżące na wietrze płomyki świec. Rzemyśliwa stworzone przez vormagów.

Gdzieś po lewej stronie Caldana obruszył się kamień. Spojrzał tam i dostrzegł wpatrującego się w noc jukara. Uświadomił sobie, że potwory nie widzą w ciemności tak dobrze jak on. Jakimś sposobem wyczuł w okolicy innych. Trzech po jego lewej, dwóch kolejnych po prawej. Szli w jego stronę, jakby chcieli przeciąć mu drogę. Gdzieś z przodu, między Caldanem a vormagami, czekali przyczajeni jeszcze dwaj jukarowie.

Zacisnął zęby i ruszył naprzód. Najbliższy jukar usłyszał go i podniósł się z kucek.

Caldan rzucił się naprzód i chlasnął potwora czysto po gardle. Odcięta głowa obracała się w powietrzu, a potem upadła na ziemię i znieruchomiła, przetoczona na bok.

Caldan wylądował miękko na nogach i od razu ruszył dalej. Teraz w lewo, gdzie czekał kolejny jukar. Wielkie głązy mijaly go, rozmazując się w pędzie. Dopadł potwora, nim ten zdążył podnieść kolczastą maczugę. Potężne cięcie od góry urznęło mu nogę w połowie uda. Brzeszczot miecza przeszedł przez skórę, mięśnie, ścięgna i kość. Gęsta krew polała się na ziemię. Pomarańczowe oczy wybałuszyły się na niego, dostrzegł pełgające w nich ból i strach. Usłyszał tchnące wilgocią warczenie zaślinionego pyska i natychmiast wraził bestii miecz w pierś, gdy załamała się pod nią zraniona noga. Stwór skręcił się na ziemi, a Caldan wyrwał miecz z jego ciała.

Za jego plecami, jakby gdzieś z daleka, krzyczeli Kristof, Floriana i Alasdair. Po lesie niósł się szczęk stali. Jukarowie wyli i wrzeszczeli. W tym momencie usłyszał, jak jeden głos w tym potwornym chórze urywa się niczym ucięty mieczem. Obejrzał się przez ramię. Dotknięci utworzyli formację węzła – osłaniali ranną Florianę, zdążając szlakiem przetartym przez Caldana. Gromada siedmiu

jukarów nękała ich rozproszonymi atakami, zwykle jednak nieudanymi, jakby bali się podejść do wroga zbyt blisko. Trzej zaszli ich z tyłu, a jednocześnie z nimi dwóch natarło od flanek.

Caldan zaryczał. Jukarowie zapędzali ich tam, gdzie chcieli. Stracili zbyt wielu pobratymców, dlatego chcieli zostawić tych niebezpiecznych przeciwników vormagom.

I dobrze, niech tu przyjdą, pomyślał Caldan w przypływie ekscytacji, rozkoszując się krążącą po jego ciele mocą.

Gdzieś w tle nasunęła się inna myśl: z jak dotkliwymi symptomami przyjdzie mu się mierzyć? Odrzucił ją na bok. Nie miał teraz czasu na myślenie o tym, co będzie. Liczyło się tylko tu i teraz. Zabić. Przetrwąć.

Caldan ruszył w kierunku studni, które wyczuł przed sobą. Zauważył jeszcze jedną osobliwość: jego magiczne zmysły również przybrały na sile. Choć vormagowie wciąż znajdowali się daleko, wyczuwał dokładniej ich studnie. Te dwie małe i chropowate miały poszarpane krawędzie, zupełnie jakby wyszarpano je tępym nożem. Za nimi znalazł jeszcze tę trzecią, gładką, w porównaniu z pozostałymi przepastną. Drzemała w niej złowroga moc, która narastała i malała niczym morskie fale, jakby nie mogła doczekać się uwolnienia. Kłębiła się i jątrzyła, przejmując Caldana dreszczem. Zacisnął zęby. Wszystkie trzy zostawiały w jego ustach osobliwy absmak. Były jak rany. Nie zostały ukształtowane naturalnie, przypominały raczej wydrążone w umyśle naczynia, do których ktoś napuścił magicznej energii.

Gdy dotarło do niego, dlaczego tak jest, niemal potknął się w biegu. Oczywiście, że one nie wyglądają jak naturalne studnie. Bo i te potwory nie były dziełem natury. Zostały stworzone. A skoro tak, to ich właściciele również ktoś musiał uczynić czarodziejami.

Caldan pokręcił głową, żeby pozbyć się natarczywych myśli. Musiał się teraz skupić. Pot spływał mu po ciele. Słyszał, jak opada na ściółkę niczym pierwsze opasłe krople, zwiastujące oberwanie chmury.

– Caldan!

Zignorował wołanie Kristofa. Z lewej strony biegli na niego jukarowie, słyszał człapanie ich łap, widział obciążone na kłach wargi ułożone w złakniony grymas. Prawie nie myśląc, odbił



mknący w jego stronę miecz. Stał zadźwięczała ogłuszająco, a jego własny miecz zadrżał mu w ręku. Nie był żadnym mistrzem fechtunku, ale i nie musiał być. Jukar zachwiał się, wytracony z pędu potężną paradą. Miecz stwora wrył się głęboko w ziemię i zatrząsał się, napotkawszy ukryty pod spodem kamień.

Jukar miał teraz odsłonięte kark i barki.

Caldan wziął zamach i wbił się mieczem głęboko w ramię. Klinga dorąbała się aż do piersi potwora, rozrzynając mięśnie i ścięgna, druzgocząc kości.

Wydobył ostrze z ciała i porzucił drgające na ziemi zwłoki. Z rany ciekła czarna krew, rozlewająca się pod spodem w ciemną kałużę.

Caldan rozejrzał się i zobaczył, że jukarowie się wycofują. Niezbyt daleko, ale wystarczająco, by mieli większe pole manewru. W pół chwili dogonili go Dotknięci. Kilku jukarów rzuciło się na nich, markując atak, nim wycofali się na bezpieczne pozycje, cały czas wyjąc, warcząc i śliniąc się ohydnie, czekając i zagrzewając się wzajemnie do walki.

Obejrzał się i ocenił, że przebyli jakieś sto jardów. Czuł, jakby pokonali ich najwyżej dwadzieścia.

Floriana dyszała. Wsparła się na bracie i pokonała kilka kroków, podskakując na jednej nodze. Niedobrze. Caldan nie wiedział, czy to przez ranę, czy przez utratę talizmanu, ale widział, że jest poważnie osłabiona. Jeśli Caldan puści się naprzód, ona zostanie w tyle i oddzieli się od grupy.

Niski, baryłowaty jukar zaczął obrzucać ich kamieniami. Kristof i Alasdair uniknęli zaimprovizowanych pocisków, które uderzyły w ziemię i potoczyły się swoim torem. Otoczak wielkości głowy upadł zaraz przy Alasdairze, aż prysnęły na niego odłupane drobinki. Jedna drasnęła chłopaka płytko w ramię. Alasdair zacisnął usta w wąską szparkę i zsunął z siebie Florianę, by zawiesić ją Kristofowi na ramieniu. Gdy już zadbał o to, by siostra się nie przewróciła, odskoczył w prawo i spokojnie złapał włócznię w połowie drzewca. Cisnął nią tak szybko, że rozmazała się w pędzie, a przysadzisty jukar wybałuszył na niego oczy. Nie miał czasu zrobić nic więcej, bo zaraz włócznia wbiła się głęboko w jego pierś. Zachwiał się w tył i był już martwy, nim padł na ziemię.

Zupełnie spokojnie, jakby robił to codziennie, Alasdair podszedł do jukara i odzyskał broń. Pozostali cofnęli się przed nim, choć nie przestawali tupać i warczeć. Alasdair odwrócił się do nich plecami i dołączył do pozostałych Dotkniętych.

Caldan czuł przez skórę talizmany towarzysza. Jego wzmocniony magiczny zmysł wylapywał je, jakby świeciły jasnym światłem i pobierały moc z... gdzieś z zewnątrz. Z kolei na jego zmysł powonienia napierał fetor krwi i potu. Był skołowany, ale też miał dziką ochotę, żeby coś zrobić, żeby wkroczyć wreszcie do akcji.

Stale czuł zbliżające się studnie vormagów. Caldán wiedział, że zaatakują z odległości. I że to jego wezmą na cel. Wiedział, że niebawem spadnie na niego deszcz magii, że będą próbować zmieść go z powierzchni ziemi potężną falą zaklęć. Dotknięci znajdą się na obrzeżach ich obszaru działania, ale również oberwą. Najlepiej by było, gdyby nie znajdowali się wówczas blisko Caldana.

- Zostańcie tu - polecił głosem, który wbrew jego woli przeistoczył się w warkot. Cokolwiek robiły z nim talizmany, były aktywne. Rzucił im spojrzenie i przysłonił oczy, tak bardzo lśnienie pierścieni drażniło jego magiczny zmysł. Caldán pochwycił ślad jeszcze jednej studni gdzieś na północy, ale ta zaraz znikła.

Zamrugnął, chcąc znowu ją złapać, ale mu się nie udało. Vormag, to musiał być vormag. Zawahał się, rozdarty między potrzebą zbadania nowej studni i przymusem przygotowania się na nadchodzące zagrożenie. Nie miał czasu. Nie miał czasu do stracenia.

Choć stał teraz plecami do Dotkniętych, czuł na sobie ich spojrzenia. Ruszył w noc, kierując się prosto na vormagów.

Dwaj jukarowie oderwali się od pozostałych i szli teraz za nim jak cienie, flankując go z obu stron. Ignorował ich, ale dobrze wiedział, jak wielka nienawiść leje się z ich oczu. Ich okrycia z niewyprawionej skóry i materiału wydawały okropny zapach, a któryś z nich stuknął głowicą topora o każdy mijany kamień.

Caldán rozruszał ramiona. Palce bolały go w miejscach, w których wżerały się w nie talizmany.

Jukarowie odczepili się w końcu od niego, uznawszy zapewne, że w obecnym stanie jest dla nich za silny. Studnię wciąż trzymał otwartą, gotowy w każdej chwili zaczerpnąć z niej mocy, ale jak na

razie nie było takiej potrzeby. Jedynym zagrożeniem byli dla niego teraz vormagowie. A może... może nie tylko oni.

Bo nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że to wszystko zostało ukartowane, że może to jeden wielki sprawdzian, szalbierstwo od początku do końca. Nawet podkradając się do vormagów, zastanawiał się, co on tu właściwie robi. Chcieli zobaczyć, do czego jest zdolny, posługując się dodatkowymi talizmanami... i tym czy innym sposobem znalazłyby się dziś na jego palcach. Dlatego właśnie podejrzewał, że jeśli przeżyje tę noc, Dotknięci i arcymagowie staną się dla niego jeszcze większym zagrożeniem.

Caldan musiał więc zrobić coś, żeby zrozumieli, że to on może być zagrożeniem dla nich. Musiał wysłać im wiadomość i upewnić się, że dotrze. Dać pokaz, który Kristof zrelacjonuje Devenishowi, a ten wyciągnie jedyny słuszny wniosek: z Caldanem nie ma żartów. Mieli go za gołowasa i żółtodzioba, którego łatwo będzie owinąć sobie wokół palca obietnicami o potędze i chwale. Myśleli, że wystarczy zadzwonić mu przed oczami talizmanami, a pójdzie jak bydlę tam, gdzie go zaprowadzą.

Tylko nie zdawali sobie sprawy, że zbyt ostro zagrali kartami, jakie mieli na ręce. Bo żaden z ich Dotkniętych nie doświadczył wolności, nim arcymagowie zyskali władzę nad jego nędznym życiem i uczynili go swoim niewolnikiem.

A on owszem. Pracował z czarodziejami. Walczył z nimi. Dostrzegł, jak przebiegli są arcymagowie i jak słabi są Protektorzy. A ponieważ przeżył, co przeżył, jedni i drudzy przekonają się, że nie tak łatwo go zabić.

Wówczas w głowie Caldana zrodził się nowy plan. Taki, który pozwoli mu zademonstrować swoją siłę, gdy zrobi coś, czego nie spodziewali się po nim ci, którzy usiłowali roztoczyć nad nim kontrolę: zniszczy vormagów nie tylko przy użyciu talizmanów, ale też magii. Rozejrzał się, myśląc intensywnie o tym, jak wykorzystać to, co ma pochowane po kieszeniach. Rzemyśliwa, których nie potrafił użyć, swojego żuka, dwa arkusze papieru, które pogniótł i schował pospiesznie. Nic więcej.

A więc papier. Nie miał czasu do stracenia, oderwał więc uwagę od vormagów i złapał arkusze w jedną rękę, a potem przejechał dłonią po ostrzu. Zacisnął pięść, by nie stracić za dużo krwi, i puścił

miecz. Dwaj jukarowie wydali z siebie wściekłe, wyzywające powarkiwania, ale nie ośmielili się zbliżyć.

Caldan lekko rozluźnił pięść, pozwalając krwi ściekać na papier niczym karmazynowy tusz. Prawą ręką przycisnął arkusz do uda i zaczął pisać palcem wskazującym. Nic wymyślnego. Koślawe, pospiesznie nabazgrane runy, ale przecież naniesione na papier za pomocą jego nasyconej energią talizmanów krwi Dotkniętego.

Krew. Wszystko zawsze sprowadza się do krwi.

Ucieczka Caldana z celi z Anasomy. Jego umiejętności. Zwyródniałe praktyki Joachima. Lekarstwo na chorobę Elpidii. Talizmany wpijające się w jego ciało. A teraz magia.

Jak potrafił najszybciej, sporządził ptaki z obu kartek. Wprawne ręce w mig złożyły papier, jakby poruszały się same, dzięki czemu mógł zerkać na jukarów po obu stronach i na zbliżających się vormagów.

Skończone.

Caldan rzucił się biegiem naprzód, zostawiając za sobą dwa potwory. Okrążył przewyższający go dwukrotnie kamień i przeskoczył kolejny, sięgający mu do pasa, cały czas biegnąc zygzakiem ku vormagom. Musieli wyczuć, że nadchodzi, a przynajmniej postanowił założyć, że zrobił to ten najpotężniejszy. Będą więc otarczowani i gotowi.

Za jego plecami zadudniły kroki, Kristof i Alasdair dogonili go, choć trudzili się z kulejącą Florianą.

Podłączył się do tarczy i ruszył sprintem, wyrzucając oba ptaki w powietrze. Dwa strumienie wpiął w papier i kolejne cztery w tarczę. Utrzymanie takiej liczby strumieni stawało się dla niego coraz łatwiejsze, a z aktywowanymi umiejętnościami Dotkniętego trudność zadania zmniejszyła się dziesięciokrotnie. Caldan czuł, że bez problemu wytoczyłyby ze studni kolejne sześć.

Nie, postanowił. To nie czas na eksperymenty.

Huknął grom i jakaś siła zwała Caldana z nóg. Potoczył się po ziemi, uderzając o kamienie i sycząc z bólu. Tarcza uchroniła go przed poważną raną, ale erupcja mocy wciąż wzbudzała na jej powierzchni fale. Drugi pocisk uderzył Caldana w biodro, akurat gdy dźwigał się na nogi. Impet okręcił go w miejscu niczym wiatrowskaz

po gwałtownym podmuchu wichury. Znowu padł na ziemię, zaciskając powieki z bólu, który rozszedł się po całym ciele.

Nie wyczuł tej magii. Cokolwiek robili vormagowie, nie widział tego nawet ze wzmocnionymi zmysłami. Ignorując ból, Caldan wstał na nogi. Tam jest. Zachwiał się i oparł o głaz, a potem skrył za nim. Dobiegło go dzikie hałakowanie jukarów. Jakimś zwierzęcym zmysłem wyczuli, że coś się dzieje, i pomyśleli, że Caldan jest osłabiony.

Marzenie ściętej głowy, pomyślał, czując, jak gęsta ślina napływa mu do ust.

Vormagowie musieli wyczuć jego studnię, tak jak on wyczuwał ich, i wykorzystali ją jak magnes dla rzuconych przez siebie czarów. Sięgnął do papierowych ptaków i skierował je na vormagów. Nie widział potwornych czarodziejów, nie potrafił ocenić, czy są otoczeni tarczami. Ale czy to miało jakieś znaczenie? Jeśli oni mogli wziąć na cel jego, to mógł im odpłacić pięknym za nadobne.

W okolicy nie kręcili się żadni jukarowie, nigdzie nie widział też Dotkniętych. Dobrze. Potrafił w końcu zadbać o siebie, a jemu łatwiej będzie walczyć, jeśli nie będzie musiał trzymać ich pod tarczą. Dysząc, podbiegł do najbliższego głazu. Nie siedź długo w jednym miejscu, upomniał się. Nie ułatwiał im celowania. Tymczasem jego ptaki dolatywały już do vormagów. Rozproszyli się, zapewne chcąc szerzej zarzucić sieć.

Caldan okrążył głaz i pobiegł za swoimi ptakami. Sprawdzą się jako odwrócenie uwagi, ale nic więcej. Jeśli vormagowie mają zginąć, musi zabić ich własnoręcznie. To dobry moment na pewną sztuczkę, dzięki której zwiększy swoje szanse.

Przekierował ptaki do najbliższego, najślabszego z vormagów, a potem rozciągnął strumień między dwoma papierowymi rzemyśliwami. Ukształtował go na podobieństwo rzemyśliwnej tarczy i kazał ptakom ponieść ją naprzód. Był to kanał, który rozdzielał pomiędzy nie energię pobraną ze studni, ale nic więcej. Nie miał żadnego praktycznego zastosowania, ale jak każdy strumień, miał swoją przepustowość i mógł wytrzymać transfer pewnej ilości energii.

Wypełnił go więc energią.

Połykliwa nic rozjaśniła noc oszałamiającym fioletowym światłem. Caldan sykliwie wciągnął powietrze do płuc i pobrał więcej magii ze studni, a następnie wepchnął ją do kanału rozpiętego między ptakami na podobieństwo mostu, mając nadzieję, że papier nie zeroduje zbyt szybko.

Ptaki sfrunęły ku samotnemu vormagowi w tej samej chwili, w której Caldan wyłonił się zza kamienia. Vormag stał do niego plecami. Uniósł głowę, wzrok zahaczył o dwa rzemyśliwa, i vormag wyrzucił w górę ramiona, gdy w jego studni wzbudził się puls. Zaskrzeczał, zacisnął w pięści szponiaste łapy, gdy przygotował się do odpowiedzi czarem na to, co uznał za prawdziwe zagrożenie.

Wtedy Caldan rzucił się naprzód, zanosząc się dzikim wrzaskiem. Wpadł na zaskoczonego vormaga i obalił go. Stwór potoczył się po ziemi, sypiąc wkoło tarczowymi iskrami. Wgramolił się na nogi, trzymając się za posiniaczone i potrzaskane zebra. Gdy ból pochłonął całą uwagę vormaga, tarcza zadrżała. Caldan uśmiechnął się tryumfalnie. Skoczył raz jeszcze i znowu rzucił stwora na ziemię, a potem zaczął młócić go po twarzy pięścią okrytą tarczą. W kilka chwil potwór zwiotczał, a resztki tarczy rozmyły się w powietrzu. Caldan pomacał dłonią wokół siebie, szukając kamienia, a potem spostrzegł sztylet u pasa potwora. Dobył go i wraził z mocą w brzuch bestii. A potem jeszcze raz. Na jego ręce bluzgnęła lepka, gorąca ciecz.

Wstał, dysząc i ociekając potem, który zalewał mu oczy.

Jeden z głowy.

Caldan okręcił się i szybko skrył za innym otoczakiem. Gdzieś nieopodal wybrzmiała eksplozja i kamień wybuchł. Chropawe odpryski odbiły się od tarczy chłopaka. Czar przeznaczony był dla niego, ale chybił i zamiast tego zniszczył kamień.

Wystrzelił z ukrycia, sięgając przed siebie zmysłem. Kolejny słabszy vormag znajdował się dalej niż ten najsilniejszy.

Będzie musiał go okrążyć. Trochę mu to zajmie, a oni w tym czasie będą mogli odpalić więcej czarów, ale nie było teraz na to rady. Przeciął most między ptakami, a moc, jaką oba pobrały, wyczerpała się prędko do ledwie tłącego się pulsu. Niech vormagowie się martwią, co się stało z magią. Zaraz wyczują, że ich

towarzysz został zabity, uznają, że stało się to za sprawą czaru, i skupią się na obronie.

Caldan znowu puścił się karkołomnym biegiem, nie puszczając sztyletu. Przed nim jak spod ziemi wyrósł jukar. Zrobił unik, ciął sztyletem i pomknął dalej. Stwór złapał się za krwawą wyrwę w gardle i osunął na kolana z bulgotliwym sykiem.

Vormag był już blisko.

Caldan wydzielił ze studni dodatkowy strumień i znowu przestrzeń między ptakami rozbłysła jaskrawym światłem. Vormag wrzasnął i podniósł wzrok. Caldán wbił się w niego ramieniem, a stwór się przewrócił. Z ohydny trzaskiem uderzył głową o schowany w trawie kamień. Jego tarcza znikła. Fart, pomyślał Caldán, ale nie miał zamiaru ryzykować. Pchnął vormaga sztyletem w pierś, przebijając się przez strzępy ubrań i znajdując drogę pomiędzy żebrami aż do serca.

Drugi z głowy.

Wydobył stal z truchła i skoczył na nogi. Złapał wzrokiem cień i wyczuł studnię.

Dał nura naprzód i przetoczył się po skalistym podłożu, a potem usłyszał trzeszczenie nad głową, gdy zaszamotały się w powietrzu płonące srebrnym światłem łodygi. Teraz trzeci vormag.

Caldán natychmiast zrzucił ptaki z nieba, nie wygaszając od razu rozciągniętego między nimi świetlistego strumienia. Sam dał nura za kamień. Kolejne srebrzyste łodygi zakotłowały się w miejscu, gdzie przed chwilą stał. Smagały trawę i kamienie, zostawiając po sobie osmalone pręgi, żarzące się miejscami pomarańczowym światłem.

Na przodków! Raz jeszcze przypomniano mu, że jeśli chce przetrwać w tym świecie, będzie musiał nauczyć się zaawansowanej destruktywnej magii. Musiał tylko wymyślić, jak skłonić Devenisha, by go jej nauczył, jednocześnie nie uzależniając się od arcymaga.

Kolejna erupcja magii, zaraz nad jego głową, i tylko dzięki tarczy ta ostała się na przyrodzonym jej miejscu.

Dobra, teraz po kolei.

Caldán przykucnął i w dwa kroki ominął swoją zasłonę, posyłając ptaki do miejsca, z którego odezwała się do niego studnia vormaga. Nakazał rzemyśliwom krążyć nad potworem, licząc na to, że uda się

go rozkojarzyć, a sam rzucił się naprzód... i wpadł prosto na olbrzymiego jukara.

Chłopak zdołał w ostatniej chwili wytracić pęd. Nie wygrałby tej walki. Stwór był olbrzymi. Miecz pomknął w jego stronę i Caldan w porę uskoczył na bok, a stęchły fetor jukara owionął go jak fala morowego powietrza.

Chłopak przemknął obok niego, zdecydowany, by w pierwszej kolejności wyeliminować vormaga.

Kierując się tam, gdzie świecił w powietrzu strumień pomiędzy ptakami, Caldan wpatrywał się w zalegającą dokoła ciemność. I wypatrzył mniejszą postać skuloną przy karłowatym drzewie. Otoczoną wiele mówiącą poświatą magicznej tarczy. Srebrne łodygi wystrzeliły z wyciągniętych rąk vormaga i oplątały papierowe ptaki.

Caldan czuł, że papier powoli się zużywa.

Na przodków, o wiele za szybko. Ale nic na to teraz nie poradzi. Były stracone. Zacerpnął mocy ze studni i przekierował ją do ptaków, a potem zerwał kotwicę. Wysokie natężenie energii natychmiast je zdetonowało. Dwa wybuchy zły się w jeden. Z ich pozostałości wystrzeliły świetliste wypustki. Caldan wyczuł, że vormag wzmacnia swoją tarczę. Zamigotała głębokim błękitem, potem purpurą. Mignęły czerwone łaty, ale zaraz pożarł je fiolet, a potem znowu cała tarcza zajaśniała błękitem.

Pomimo olbrzymiej eksplozji wzbudzonej przez unicestwione rzemysliwa tarcza vormaga trzymała mocno, zasilona jego surową destrukcyjną magią.

Wbił się w nią więc, pędząc z największą prędkością, jaką zdołał rozwinąć, i oplótł vormaga ramionami. Obaj staranowali pokurczone drzewo, aż pofrunęły drzazgi. Ramię Caldana zaprotestowało ostrym bólem, a jego pierś ścisnęła się jak rażona skurczem. Zdumiony vormag zaskrzeczał głośno, nie wiedzieć, czy cierpiąc ból, czy wołając pomocy. W każdym razie prosto w wyczulone talentem ucho.

Ta jego tarcza jest o wiele za mocna, skonstatował Caldan. Lecz pomimo tej konkluzji raz po raz zadawał ciosy sztyletem, kreśląc w powietrzu szaleńcze łuki. To natarcie podyktowała furia bez udziału myśli. Dwa ciała napierały na siebie, sypiąc iskrami w miejscach, gdzie stykały się ich tarcze. Vormag nie pozostawał



Caldanowi dłużny, drapał pazurami jego ramiona i boki, nie mogąc zaczepić ich o gładką tarczę.

Raptem w Caldana od tyłu wbiegł jakiś koń, wyrzucając go w powietrze. Chłopak przetoczył się i wstał chwiejnie na nogi. To nie był koń. Tylko olbrzymi jukar. Żebra bolały Caldana, jakby kopnął go bojowy wierzchowiec, ale to nie kopytem oberwał, tylko olbrzymim mieczem. Jedynie tarcza uchroniła go przed rozplataniem. Wciągnął powietrze do płuc, sycząc z bólu. Jukar ruszył na niego. Vormag odpełzył na bok i smagnął splotem srebrzystych włókien. Caldan zakrztusił się powietrzem. Wzmocnił osłonę, widząc, że nadchodzi cios, ale gdy magia vormaga weszła w konflikt z jego własną, włókna nie cofnęły się, jak się spodziewał, a wręcz przeciwnie: szarpnęły jego tarczę, by wyssać z niej energię.

Tak jak strzały, którymi walczył z Joachimem.

Vormag próbował osłabić jego tarczę, korzystając z tego, że Caldan musiał bronić się przed atakami jukara. Chłopak czuł, jak włókna wczepiają się w jego tarczę i wysysają z niej magię. Już musiał zasilić ją dodatkową porcją energii ze studni.

Zrobił unik i miecz jukara śmignął nad jego głową. Nie pokona dwóch naraz. Pierścienie pulsowały na jego palcach, wydzielając jasne światło. Rozpędzona, rozżarzona krew paliła mu żyły od środka.

Spowolnij vormaga. A potem zabij jukara.

Warknął przekleństwo i pobiegł prosto na bestię z mieczem. W tej samej chwili zanurzył się w swojej studni, czerpiąc tyle mocy, ile się tylko dało. A gdy nie mógł jej już utrzymać, rzucił ją na włókna drenujące jego tarczę.

Vormag zaryczał, nieprzygotowany na tak zmasowany atak. Padł na ziemię, trzymając się za głowę.

Caldan z mocą kopnął jukara w kolano, druzgocząc mu rzepekę. Jego sztylet, choć mały w porównaniu z mieczem, zaczął z furią ciąć kreaturę. Pierwsze uderzenie potwór przyjął na uniesiony pospiesznie miecz i sztylet wyszczerbił się w kontakcie z masywną klingą. Drugie uderzenie trafiło prosto w brzuch. A potem trzecie i czwarte.

Dziki skowyt ogłuszył Caldana, a potem olbrzymia pięść wbiła się w jego ramię. Osłabiona tarcza tylko nieznacznie złagodziła impakt

i lewa ręka chłopaka zdrętwiała. Pchnął nożem raz jeszcze, gdy druga noga jukara ugięła się pod jego ciężarem. Wwiercały się w niego żółte ślepie. Zgniły oddech potwora owiewał mu twarz.

Caldan wbił sztylet raz jeszcze i zostawił go w ranie, by móc złapać jukara za kołtuniaste włosy. Samą tylko siłą szarpnął głowę i rozkwaślił ją o ziemię. Oczy potwora uciekły w głąb czaszki i znieruchomiały, nieprzytomny.

Caldan potarł ramię, usiłując znów uczynić je władnym. Miał na to tylko chwilę, bo raptem zobaczył, że vormag z wolna zaczyna gramolić się na nogi. Wycie i szczekanie niosło się przez noc, zapowiadając nadejście kolejnych stworów. Caldán wyciskał ze swojej studni, ile tylko mógł, a jego umysł zaczął już rozpuszczać się w czerpanej mocy. Schylił się i złapał leżący na ziemi miecz ogłuszonego jukara o klindze tak wielkiej, jak on sam. Pomimo jej rozmiarów uniósł broń bez trudu, trzymając prawą ręką za rękojeść, a osłoniętą tarczą lewą w jednej trzeciej długości ostrza. Nieomal się wtedy zaśmiał. Korzystając z magii, nie potrzebował rękawicy Kristofa.

Caldan mógł zrobić vormagowi to, co jukarowie zrobili jemu. A więc raz jeszcze rzucił się na potwora, przemykając między srebrnymi łądogami. Mag cisnął w niego skwierczącą kulą energii, której z łatwością uniknął. Twarz vormaga nabiegła paniką.

Caldan odwiódł ramię i zamachnął się mieczem. Cisnął go z mocą, a ten pomknął po prostej w kierunku vormaga, jakby płynął w powietrzu po sznurku. Stał wbiła się w czarodzieja, powstrzymana tylko przez tarczę. Miecz huknął ogłuszająco, druzgocząc vormagowi żebra i przewracając go na ziemię.

Caldan już stał nad nim.

Wrzeszczał z bólu, czerpiąc więcej energii ze studni – był już u kresu wytrzymałości, ale cudem wytrzymał jeszcze jeden haust, jeszcze jeden łyk – a potem wepchnął ją do rzemyśliw czarodzieja. Zaskwierczało palone mięso, gdy amulet na szyi vormaga rozpalili pomarańczowy płomień. Spod jego porwanych szat buchnęły płomienie.

Stwór ryknął rozpaczliwie, a błękitna tarcza zgasła. Caldán poczuł, że jego własna tarcza nie wytraca już energii, a ulga o mało co nie pozbawiła go przytomności.

Zaczął okładać vormaga po twarzy.

Łamały się kości i krew lała się z pękającej pod ciosami szarej skóry. Pazurzaste łapy potwora nieudolnie próbowały odpowiadać na ciosy. Caldan odpychał je, szukając drugą ręką miecza, który znalazł gdzieś po swojej prawej. Podniósł go. Vormag wbił się w niego wysyconym nienawiścią spojrzeniem. Caldan zamknął mu ślepie, rozrąbując czaszkę.

Ciało chłopaka spływało potem, pierś unosiła się mozolnie w ciężkim oddechu i Caldan rozejrzał się. Jukarowie, którzy spóźnili się na pole bitwy, teraz uciekali w popłochu, rozprasząc się w ciemności nocy.

Broń wysunęła się z jego ręki i z łoskotem opadła na ziemię. Caldan skrzywił się, usiłując rozruszać bolące ramię. Całe mrowiło, co oznaczało, że wraca mu czucie... a czuł tylko ból.

Pojawili się Dotknięci.

Kristof ogarnął spojrzeniem masakrę. Trzej vormagowie i do tego jukar.

– Niezła jatka, mój Caldanie.

Caldan spojrział na porąbane truchło vormaga i na chwiejnych nogach podszedł do krzaka, by wymiotować to, co zostało się w żołądku. Splunął, chcąc oczyścić usta, po czym podszedł do Kristofa.

Wtedy zgasły jego talizmany.

Momentalnie ugięły się pod nim nogi i opuściły go wszystkie siły. Opadł na kolana, opierając się o ziemię rękoma, dysząc z wysiłkiem. Tego właśnie od niego wymagali: zabijania i śmierci. Masakr dokonywanych za sprawą magii. Chcieli zmienić go w potwora.

Zdarł z palców dwa użyzione pierścienie. Podał je Kristofowi i Florianie – dwie oblepione krwią bryłki, nieprzypominające srebrnych klejnotów.

– Zabierajcie to – wycharczał. – Zabiłem ich dla was. Tego chciałeś.

Kristof pokręcił głową.

– Nie ja, Caldanie. Cesarz. To jemu wszyscy służymy.

Niektórzy chętniej od innych.



**C**aldan zostawił martwych vormagów i ruszył przed siebie pomiędzy głazami. Włókł się za Kristofem i Alasdaiem, którzy w rzednącym mroku wykańczali zbyt wolno uciekających niedobitków.

Floriana utykała obok niego, a on podsunął jej ramię, choć sam był słaby i obolały.

Razem znajdowali drogę pośród jukarskich trupów zaścielających poszycie. Większość zginęła, znajdując się plecami do prześladowców. Zaledwie kilku stawiało jakiś opór. Ślady po cięciach

i pchnięciach znaczyły ich korpusy, ramiona i uda, a ściółka nasiąkała czarną krwią.

Horyzont od wschodu plamiła jasna łuna. Caldan stracił rachubę czasu. Gdzieś skrzeczała wrona. Zaczęły kołować nad nimi większe ptaki – sępy i inne ścierwojady. Na jukarskim truchle przysiadła bladooka wrona, przeskoczyła z nogi na nogę i na brzuch stwora. Następnie przeszła na głowę i zaczęła dziobać oczodoły.

– Dobrze ci poszło – pochwaliła go szeptem Floriana.

Była przezroczystym odbiciem samej siebie sprzed bitwy. Spokojna i wycofana.

– Mam... – zaczęła Floriana, ale jej słowa zawisły w powietrzu. Odchrząknęła, by przerwać ciszę. – Mam nadzieję, że znajdziesz wśród nas, Dotkniętych, swoje miejsce.

Przez umysł Caldana przemknęła sekwencja obrazów, zapisanych wśród odprysków wspomnień: czarodziej, którego zabił w Anasomie, zwęglone ciało Klucza, żołnierze, których pozabijał w opuszczonym młynie, jukarowie i vormagowie zarębani na śmierć. Zdolności Dotkniętego wcale nie były darem, tylko pętlą zaciskającą się coraz mocniej na jego szyi.

Caldan zesztyniał, czując na sobie sprężystą miękkość dziewczyny. Czy to kolejna przynęta, czy też Floriana szczerze dzieliła się swoimi myślami? Prawie potrząsnął głową. Skąd mógł to wiedzieć? Wówczas uświadomił sobie, że to oznaczało, że nie ma między nimi zaufania. I że nigdy nie może go być. Kristof pchnął go do walki z jukarami i vormagami, żeby na własne oczy przekonać się, do czego jest zdolny, a gdy wyczerpany Caldan opuścił gardę, dotykami i miłym słowem zaczęła go pocieszać kobieta. To zbieg okoliczności czy zaplanowane działanie? A co za różnica?

Czuł się odmieniony; od wielu tygodni nie wzbił się na taki poziom klarowności myślenia, co w tej chwili. Miał wrażenie, że cokolwiek płynęło w jego żyłach tej nocy, zdarło mu z oczu pajęczyny, o których istnieniu nie miał pojęcia. Jakby płynna stal wypaliła skażenie, które pleniło się w jego ciele i umyśle.

– Jestem czarodziejem.

Proszę, powiedziałem to na głos. Nigdy nie uznacie mnie za jednego z was.

– Są różni czarodzieje.

– I niewielu takich, którzy są jednocześnie Dotkniętymi.

Przytaknęła.

– Zachęca się nas, byśmy brali sobie jak najwięcej partnerów. Nasze linie krwi są... bardzo cenione. My sami jesteśmy cenieni. – Wzruszyła ramionami. – To dobre życie. Niczego nam nie brakuje i przysługujemy się słusznej sprawie.

Śmierć. Mord. Rzeź.

– Krew szuka krwi – wyszeptał.

– Jesteśmy darem, przekazywanym z pokolenia na pokolenie od pradawnych czasów. Tymi, którym przypadło w dziedzictwie...

– Cesarstwo nas wykorzystuje. Każde nam zabijać, dopóki wyniszczające efekty uboczne naszych zdolności nie uczynią nas bezużytecznymi.

Floriana nie złapała przynęty. Milczała chwilę, jakby mieląc w umyśle jego słowa.

– Tak – przyznała w końcu. – Masz rację.

Nie zdradził się ze zdumieniem, a przynajmniej tak mu się zdawało.

Posłała mu niewyraźny uśmiech.

– Wiem, nie zrobiliśmy dotąd nic, abyś uwierzył w nasze słowa. Nawet w moje teraz, gdy przyznaję ci rację.

– Jasne, że nie. Na zaufanie trzeba zapracować.

– Ale zaufanie może też być... nadzieją.

– Ja nie zawierzam w życie nadziei.

– To nieprawda. Każdy z nas żywi jakąś nadzieję.

Zachodzili Caldana z dwóch różnych stron. Słowa mogły dokonać tego, czego nie dokonała demonstracja. Floriana miała go przekonać. Jej słowa były jak dźwignia. Ale nie знаła całej prawdy. Potrafiła co prawda przyznać, że Dotknięci są narzędziami w rękach cesarstwa, przydatnymi tak długo, jak spełniają przeznaczone im funkcje, lecz najwyraźniej nie miała pojęcia, że wytaczano z nich później krew, która następnie służyła cesarzowi i jego arcymagom.

Nie zdawała sobie sprawy, że zostanie wykorzystana podwójnie... tak jak oni próbowali wykorzystać Caldana na kilka sposobów, o których nie chcieli mówić głośno.

Ale on wiedział, co się święci.

Oni tutaj nie mieli świadomości tego, co się naprawdę dzieje. Co za banda ignorantów, pomyślał i natychmiast spuścił wzrok, wstydząc się tej myśli. Nie, są po prostu niedoinformowani, to wszystko.

– Arcymagowie będą wymagać ode mnie posłuszeństwa.

Ujął to na tyle ogólnie, by nie napytać sobie od razu biedy. Niech Floriana sama to rozgryzie.

– Wszyscy jesteśmy im posłuszni.

Caldan wpatrywał się w dziewczynę. Skropiona piegami blada twarz, dodatkowo pobielona wczesnymi promieniami słońca, rudy warkocz zaplamiony czarną posoką, tak jak i ubranie. Włócznie niosła w ręce. Ona także ociekała krwią.

Caldan uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Ale przewodzi wam Kristof. A ja jestem także i czarodziejem. Do czego będę zdolny, władając nie tylko zdolnościami Dotkniętego, ale i studnią? Oni nigdy nie wypuszczą mnie z rąk.

Cisza. A potem:

– Będziesz służył dwóm panom.

– To nigdy nie kończy się dobrze. Bardzo łatwo o konflikt interesów.

Pozwolił Florianie przetrwać jego słowa. Musiała zrozumieć, że potrzeby arcymagów nie muszą pokrywać się z jej własnymi. Ale czy rozumiała? Co on właściwie próbował tu zdziałać? Jaki był sens zasiewania między nimi niezgody, skoro on sam nie chciał mieć nic wspólnego ani z arcymagami, ani z Dotkniętymi?

Odpowiedź była prosta: bo powinni znać prawdę.

Ta myśl uderzyła w niego niczym rozpędzony wóz. Po co im prawda, skoro mogą przez nią zginąć? Jeśli ktoś na górze zorientuje się, że Caldan zna prawdę, arcymagowie po prostu go zabiją. Jego i wszystkich jego bliskich. Łącznie z Mirandą. Przez stulecia potęgą drzemiąca we krwi Dotkniętych była skrzętnie skrywaną tajemnicą, a cesarz i jego arcymagowie dbali o to, by nią pozostała. I nie będą przebieierać w środkach.

Caldan nie miał żadnych dowodów, ale był tego całkowicie pewny. Te kilka kropel krwi to niewielka cena za zatajenie tak cennej prawdy.

Ilu już umarło, żeby sekret nie wyszedł na jaw? Po raz kolejny wszystko sprowadzało się do krwi.





**F**elice szła ciemnymi ulicami. Nie znała dobrze tej części Anasomy i nie dziwota – miasto było tak wielkie, że nie istniał chyba nikt, kto przemierzyłby wszystkie jego ulice, uliczki, aleje i zaułki.

A kto wie, może najslabiej znają je ci, którzy nim zarządzają, pomyślała z cieniem szyderstwa wymierzonego w samą siebie.

Dwa kroki za nią szedł człowiek Rebeci – niski, przysadzisty mężczyzna o szerokich jak u woła barach. Nie dostrzegła, by miał przy sobie jakąś broń poza łapskami wielkimi jak szpadle, którymi musiał chyba kruszyć kamienie. Jego brązowe oczy połyskiwały inteligencją, którą usilnie próbował ukryć. Rozglądał się, idąc wraz

z Felice do miejsca przeznaczenia – pod adres nagryzmołony na brudnym świstku papieru, który wcisnęła jej w garść przekupka trudniąca się w dokach sprzedażą ryb. Do karteczki wciąż przyklejona była rybia łuska i długie pasmo... nie wiadomo czego, ale na pewno jakiegoś elementu rybiej anatomii.

Próbowała nawiązać jakiś dialog ze swoim stróżem, ale nie sądziła, by miał odpowiedzieć. Jak dotąd nie zrobił tego ani razu. Było w nim coś dziwnego. Może powinna rzucić mu jakąś przynętę? Już miała zadać mu pytanie tonem sugerującym, że nie jest zbyt bystra, ale zaraz westchnęła z rezygnacją.

– Szanuję twoją decyzję, żeby ze mną nie rozmawiać – powiedziała zamiast tego. – Niezależnie od powodu. Ale chciałabym przynajmniej poznać twoje imię. Bo inaczej będę musiała nazywać cię Wołem.

Mężczyzna zerknął na nią i odwrócił wzrok.

– Nawet tyle mi nie powiesz? – spytała rozbawiona. – Jak tam sobie chcesz.

Skupiła się na tym, by stawiać jedną nogę przed drugą. Zaczęli wspinać się po stromiźnie i wkrótce zapiekły ją płuca. Przekłeta gorączka, wycedziła w duchu. Choroba już minęła, a wraz z nią przewlekły kaszel, ale wystarczyła odrobina wysiłku, a Felice dyszała jak ryba wyrzucona z wody. Nie odczepią się od niej dzisiaj te ryby! Pływały jej po głowie, bo wciąż czuła w nosie ich smród.

Minęli grupę mężczyzn i kobiet, którzy zebrali się na skrzyżowaniu. Mieli puste oczy i wyglądali na zabiedzonych. Na moment wpili się wzrokiem w Felice i jej towarzysza. Wyczuwała nieufność, jaką miejscowi darzyli wszystkich spoza Popielnego Wzgórza, i niemal namacalną pogardę... a także zazdrość.

Felice skinęła im, a potem spuściła oczy. Popielne Wzgórze miało zdecydowanie najgorszą reputację ze wszystkich szemranych dzielnic Anasomy. A to było jeszcze w czasach, zanim miasto zostało otoczone ścianą magicznego ognia. Wołała nie wiedzieć, co ci ludzie robili na ulicy o tej porze. Ona sama wołała unikać kłopotów – dlatego miała ze sobą Woła.

Pot spływał jej po twarzy. Odczekała, aż odejdą kilkanaście kroków od skrzyżowania, i wtedy zatrzymała się, by rozpiąć kilka guzików koszuli i wpuścić pod ubranie chłodne powietrze. Dotarli

już niemal do szczytu wzniesienia, po prawej ręce Felice ział odstęp między budynkami, wiodący do alei prowadzącej ku nadmorskim klifom. W wyrwie między odrapanymi kamienicami widniało czarne, nieprzeniknione morze. Mogła tylko zgadywać, co znajduje się w jego głębi.

To przywiodło jej na myśl Kelhaka. Jego umysłu także nie potrafiła zgłębić.

– Na przodków... – szepnęła pod nosem. Kończyły jej się możliwości. Tylko desperacja mogła zaciągnąć ją do miejsca takiego jak to.

– Mówiłaś coś? – spytał Wól. Miał głos, jakim przemawiałaby góra, gdyby umiała mówić.

Felice uznała, że mężczyzna jest zdenerwowany. Inaczej by się nie odezwał.

Popielne Wzgórze osunęło się w chaos, gdy tylko z ulic zniknęły patrole Kołczanów. Zastąpili ich indryallańscy żołnierze, którzy nie zrobili wiele, by jakoś uładzić tę okolicę.

– To nic. Gadam do siebie. Tylko tak mogę liczyć na konwersację z kimś na poziomie.

Wól odmruknął coś, chyba jednocześnie rozbawiony i poirytowany. Felice zobaczyła, jak długa wspinaczka ją jeszcze czeka, i poczuła, że uchodzi z niej powietrze. Nie po raz pierwszy pożałowała, że podażyła tą, a nie inną ścieżką, ale teraz już nie miała wyboru.

Tak, powtarzaj to sobie. Wzięła głęboki wdech i ruszyła przed siebie.

– Mówią na mnie Czuly.

Felice prawie się potknęła. Słowa Woła wywołały u niej konsternację.

– To jakaś ironia?

Przeszła kolejne kilka kroków, nim Czuly odpowiedział:

– Nie.

Czekała na ciąg dalszy, ale się zawiodła. Czyli przydzielili jej strażnika, który słynie z czułości? Czy może chodziło o efekt, jaki wywierał na innych? Ona z całą pewnością nie chciałyby się zanadto do niego zbliżyć. Zerknęła szybko przez ramię na Czulego. No, może z pominięciem jednej szczególnej sytuacji.

Prychnęła pod nosem. Skup się na zadaniu, przypomniała sobie. Wreszcie wdrapali się na szczyt, gdzie rzędy budynków kończyły się na zrujnowanym murze, w który wprawiona była rdzewiejąca brama o zawiłym wzorze. Jego zwieńczenie porośnięte było chwastami i pokryte plamami ptasich odchodów. Brama wyglądała, jakby od stu lat nikt jej nie użytkował. Na szczęście była otwarta, choć wrośnięta w cegły za sprawą bluszczu grubego jak nadgarstek. Po drugiej stronie znajdował się cmentarz. Umówione miejsce spotkania.

Budynki wokół niego były odrapane i zaniedbane, rozpadały się w oczach. Nie wyglądały, jakby mieszkali w nich jacyś dzicy lokatorzy. Nawet głupiec nie chciałby mieszkać przy cmentarzu. Zaczynała się zastanawiać, co za wiatry ją tu przygnały.

A, no przecież... Nie jestem głupia. Jestem jeszcze głupsza. Jestem idiotką wykonującą polecenia innej idiotki.

Rebeci zaaranżowała to spotkanie, a potem przekazała je Felice, wykręcając się jakimiś innymi obowiązkami.

Gdy przeszła przez bramę, dreszcz zbiegł jej po kręgosłupie. Przed nią rozciągała się przestrzeń upchana grobami i grobowcami starszymi niż większość Anasomy. Wszystkie najstraszniejsze legendy, które opowiadali sobie mieszkańcy miasta, zrodziły się właśnie tu. Wzgórze pojawiało się w każdej opowieści, którą straszono dzieci.

Felice zwróciła się do Czulego:

– Muszę się upewnić. Pamiętasz warunki spotkania? Nie wolno mieć przy sobie...

– Żeliwa, rzemyśliw, talizmanów ani niczego, co świeci.

Felice kiwnęła głową. Nie pomyliła się co do Czulego – surowa powierzchowność skrywała błyskotliwą inteligencję.

– Człowiek, z którym się tu spotkam, jest dość niezwykły.

Spodziewała się od niego jakiegoś komentarza, ale Czuley milczał. Westchnęła z ulgą. Wkraczała na nieznane terytorium i nie chciała się tłumaczyć. Nie żeby musiała tłumaczyć się temu wołowi, ale... może w trakcie tych wyjaśnień zdołałaby przekonać samą siebie, że postępuje słusznie.

Przed nią majaczyło wielkie drzewo. Gdy podeszli bliżej, ujrzała, że jest martwe. Kilka samotnych liści jeszcze czepiało się gałęzi,

a pień był tak mocno przechylony na bok, że Felice była gotowa się założyć, że lata moment strupieszają kolos gruchnie o ziemię. Ktoś próbował do tego nie dopuścić, podpierając pień drewnianymi belkami. Jedna leżała na ziemi, przełamana na pół.

Felice okrążyła drzewo i zaczęła liczyć kroki. Gdy doliczyła do trzydziestu, zwróciła się na wschód i odliczyła kolejnych pięćdziesiąt. Znajdowali się już blisko przepaści. Wiatr wzmógł się, szarpał ubraniem. Odwróciła się tyłem do wiatru i podeszła bliżej do marmurowego grobowca, nad którym wznosiła się zniszczona figura pozbawiona obu ramion. Nieustający wiatr zdążył na przestrzeni wieków ociosać kamień, zredukować rzeźbę do bezkształtnego głazu o ledwie zarysowanym nosie i wgłębieniu w miejscu ust.

Usłyszała niewyraźny odgłos rozbijających się o skały fal. Niesiony wiatrem huk biegł w górę po ścianie klifu, milknąc z każdym przebytym jardem. Z czasem sam klif rozpadnie się i zsunie do morza, zabierając ze sobą ten i inne groby.

„Czekaj przy bezrękim grobie” – mówiła wiadomość. Teraz rozumiała. Przynajmniej coś w przekazanych jej instrukcjach miało sens.

Czuły obszedł grób i stanął za plecami Felice.

Po spacerze i wspinaczce zimny wiatr ciął Felice do kości. Ciepło wyparowało z jej ciała, jakby z pustyni wskoczyła do przerębła. Pocierała ramiona, drżąc. Nie wiedziała, jak długo będzie czekać. Może powinna...

Nagle zamarła. Czuła, jak podnoszą się jej włoski na karku. Słyszała, jak stojący za nią Czuły przenosi ciężar ciała na drugą nogę. Coś... coś się zmieniło. W okamgnieniu atmosfera stała się... ponura i smętna. Jakby noc zgęstniała, jakby jeszcze zmroczniała do tego stopnia, że ciemność zaczęła tłumić dźwięk.

Wolno obróciła głowę i rozejrzała się. Nic...

Wtedy przy bezrękim grobie zawirował cień. Coś tam było, choć mogłaby przysiąc, że nic nie zobaczyła, patrząc tam przed momentem. Czuły ruszył prosto w tamto miejsce.

Było zbyt ciemno, żeby coś dostrzec, ale cień rósł i rósł, aż w końcu zamajaczył wysoko nad Felice i Czułym jak wieża wykuta z obsydianu. Felice przełknęła ślinę; strach wtopił lodowate pazury w jej serce, zakręcił gwałtownie w żołądku.

Cień był wysoki i tykowaty. Wyglądał jak przerośnięta statua obleczona w szmaty. Czuły przysunął się do Felice, by zasłonić ją ciałem, ale Felice wyciągnęła ramię i go powstrzymała. Ciche syczenie przedarło się do jej uszu, sprawiając, że zapragnęła być gdziekolwiek, tylko nie tu, najlepiej utulona w ciepłym łóżku.

– Czy... postąpiłaś zgodnie z moimi instrukcjami? – wyszeptano to coś. Słowa wymówiło tak cicho, że miała wrażenie, że to szemrze wiatr. Gdyby powiał ciut mocniej, nie usłyszałyby ich w ogóle. Czymkolwiek było to coś przed nią, sprawiało wrażenie przedwiecznego. I zupełnie nie przypominało skrytobójcy, z którym myślała się tu spotkać. Słowa wydobywały się z jego ust potrzaskane, rozsypane, jakby wymawiało je z trudem.

Felice wsunęła drżące dłonie do kieszeni spodni. Zmrużyła oczy, ale nie dostrzegała żadnych szczegółów wyglądu tego przybysza utkanego z cienia.

Przynajmniej rozumiała teraz, dlaczego ten ktoś nie chciał w pobliżu żadnych źródeł światła. Zabezpieczył się w ten sposób przed zdemaskowaniem.

– Tak – zdołała wykrztusić.

– Żadnego żeliwa?

Felice pokręciła głową.

– Ani odrobiny.

– Żadnych rzemyśliw?

– Żadnych.

– Ani talizmanów?

– Nie.

– Żadnych źródeł światła?

– Jak wyżej.

Cień cofnął się, jakby dotąd pochylał się nad nią, uważnie obserwując.

– Podaj imię... a ja podam cenę.

Felice wzięła się w garść. Nie mogła się już wycofać.

– To czarodziej.

– Imię.

– Kelhak. I stawiam warunek. Ja oraz... moja przyjaciółka... chcemy tam być, gdy to się stanie. Ona musi coś zrobić, gdy już będzie martwy.

Dźwięk przypominający wydech dobył się z ust asasyňa.

– Ach, doprawdy... intrygujące. Wyrównanie... śmierć... kto wie... Jak trzeba, to trzeba.

But Czulego zaszurał o podłozę, gdy przenośił ciężar ciała na drugą nogę. Denerwował się, ale Felice nie mogła go za to winić. Czekala, aż asasyn przestanie mówić do siebie. Musiała mu to oddać: włożył duzo wysiłku, by wydać się mrocznym i strasznym. Ale pod tym wszystkim znajdował się tylko człowiek z nożem w garści. A to było wszystko, czego potrzebowała.

No, byłoby dobrze, gdyby nie bał się czarodziejów.

– Cena? – przypomniała taktownie.

– Trzy talizmany. Trzy za to, co było... trzy za Kelhaka.

Czuły zachłysnął się powietrzem. Felice zakłęła w duchu. Skąd ona wytrzaśnie trzy talizmany? Z posiadanych przez nią informacji wynikało, że lubi dukaty.

– Myślałam, że pracujesz za pieniądze. Pierwsze słyszę, byś domagał się talizmanów.

– Nie tu. Nie teraz. Gdy przyjdzie czas zapłaty. Wtedy.

Skubnęła kolczyk palcami i westchnęła.

– Zgadzam się. Będę potrzebowała kilku dni, żeby zgromadzić talizmany.

– A więc zgoda. Zapłata po wykonaniu zadania. Ty i twoja przyjaciółka spotkacie się tu ze mną za trzy noce.

– Zgoda.

– Powiedz, Felicienne... czy wiesz, dlaczego to miejsce nazywa się Popielnym Wzgórzem?

Nie wyjawiała swojego imienia nikomu spoza najbardziej zaufanych ludzi Rebecci. A wszelki kontakt z siecią asasynów odbywał się dotąd anonimowo. Felice ścisnęło w gardle.

– Mieściły się tu huty, zanim czarodzieje wymyślili lepszy sposób na wytapianie żelaza. Wtedy stare manufaktury zamknięto. Zawsze myślałam, że to od popiołu, który zostawał po całym tym spalonym drewnie.

Przez chwilę panowała cisza. Słysać było jedynie szum wiatru.

– Nie... To miasto było kiedyś innym miastem. Pradawni magowie stworzyli tu jukarów... i nie tylko ich.

Wbrew sobie Felicienne poczuła zaniepokojenie. Wiedza to potęga, a ona nigdy nie przepuszczała okazji, by nauczyć się czegoś nowego.

– Vormagów też?

– Między innymi.

Czy może mu wierzyć? Dlaczego jej to mówi?

– Miasto zostało zniszczone po Zdruzgotaniu. Zredukowane do kupy popiołu... Prawie wszystko zginęło.

Prawie? A więc wydostali się stąd jacyś jukarowie. Którzy teraz bytowali na Spustoszonych Ziemiach. Czegoś się dzisiaj dowiedziała.

– Dziękuję – powiedziała z niekłamaną wdzięcznością. – Wszelka wiedza jest mi miła.

Skrytobójca poruszył się, brzmiał jak kamienie zsuwające się ze skały.

– Wie... nie wie... a powinna? Niebezpiecznie... Tak... Może...

Felice wyprostowała się. Dobili targu. Im szybciej stąd odejdzie, tym lepiej.

– Dalej gadaj do siebie, jeśli chcesz, ale my już idziemy.

– Tylko tak mogę liczyć na konwersację z kimś na poziomie – odparł asasyn.

Kpił z niej? Podśledzał, co mówiła wcześniej? Myśl o tym, że mógł śledzić ich przez cały ten czas, zmroziła jej krew w żyłach.

Zatrzeszczało i asasyn uniósł się, aż stał się o połowę wyższy od Czulego. Usłyszała skamlenie i dopiero po chwili dotarło do niej, że dobiegło z jej ust. Silna dłoń zacisnęła się na jej ramieniu. Czuley.

– Uważaj na to, co jest ci miłe, Felicienne – wyszeptał zabójca.

– Wystarczy tej maskarady – warknął Czuley. – Pokaż się, skrytobójco.

Wepchnął Felicienne za siebie, a potem buchnęło światło, odpędzając wszystkie cienie, gdy wydobył z kieszeni czarodziejską kulę.

– Czuley, nie! – zawołała Felice.

Zaszeleściło ubranie i asasyn wbił się w ochroniarza. Słysząc było, jak łamie mu kości. Kula pofrunęła z klifu niczym spadająca gwiazda. Czuley opadł na kolana. Jedno jego ramię wisiało bezwładnie przy ciele. Skrytobójca wycofał się w ciemność i zastygł przy grobie, tam gdzie go najpierw zobaczyła.



Czuły padł na ziemię bez ducha. Krew lała się z rany w jego piersi, w miejscu serca.

Felice przypadła do niego i przycisnęła mu dłonie do klatki piersiowej, chcąc zatamować krwawienie. Czuły wpatrywał się w przestrzeń szklanym, niewidomym wzrokiem. Felice poczuła na policzkach gorące łzy.

– Ostrzegalem – powiedział asasyn. – Zawarliśmy umowę. Nie złam jej.

Gdy skrytobójca umilkł, za plecami Felice coś trzasnęło, jakby rozpękło się na dwoje zamarzniete drzewo. Aż podskoczyła, słysząc ten dźwięk. Obejrzała się za siebie.

Nic.

Z rozłomotanym sercem wróciła spojrzeniem do skrytobójcy.

Nikogo.

Przy krawędzi klifu poruszył się skrawek cienia.

– A niech to... – powiedziała, spuszczając wzrok na Czułego. Był martwy. Nic nie mogła już dla niego zrobić.

Felice wstała i wytarła zakrwawione ręce o spodnie. Zastanawiała się, czy znajdzie w sobie siłę, by przeciw dalej naprzód.

Podeszła do krawędzi na nogach jak z waty i butem rozgarnęła ziemię. Znalazła odwrócony kamień z jakimiś zadrapaniami. Asasyn przyszedł tutaj, a potem odszedł tą samą drogą – przez krawędź.

Felice wychyliła się, na ile miała odwagę. Sto jardów niżej fale rozbryzgiwały się o skały. Wiatr szumiał jej w uszach i rozwiewał włosy. Wiał tak mocno, że miała nieomal wrażenie, że silna ręka próbuje odepchnąć ją znad przepaści.

Spojrzała na Czułego i powiedziała mu, że jej przykro.

W co ta Rebecci ją wpakowała?



– To mieszanka ziół, które uśmierzą ból i zmniejszą obrzęk kończyny  
– powiedział Gerhard, dodając kolejną łyżkę ciemnozielonego proszku do przezroczystej szklanki. Gorąca woda w środku

natychmiast nabrała żółtozielonej barwy, która ciemniała z każdym zamieszaniem. – Jeszcze tylko kilka składników i gotowe.

Gerhard miał siwe włosy odczesane z czoła na potylicę i przyklepane grubą warstwą brylantyny. Ubierał się jak czarodziej: ciemne szaty, rzemyśliwa na widoku, ale podeszwy jego butów były schodzone niemal na wylot, a łokcie szaty załatane.

Oto człowiek, który niespecjalnie przejmuje się wyglądem zewnętrznym, pomyślał Aidan. Patrzył, jak Gerhard wkrapla do mikstury żółtą substancję. Pewnie olej makowy. Następnie zgniótł w rękach jakieś suszone liście i je także wsypał do naczynia.

Gdy tylko historia Aidana dotarła pocztą pantoflową na szczyty cesarskiej hierarchii, gdzie znalazła się przy wydatnej pomocy glejtu, został przesłuchany przez kilku wysokich oficerów Kołczanów i otrzymał przywileje, które otrzymywało niewielu. Gerhard – lekarz, który suto sobie liczył – był jednym z nich.

Vasil wypoczywał w łóżku obok Aidana. Obaj otrzymali z ręki Gerharda fachową opiekę, dzięki której proces zdrowienia znacznie przyspieszył, choć największym talentem doktora było nastawianie złamanych i potrzaskanych kości. Źle zrosnięte potrafiły ograniczyć swobodę ruchu ręki lub okaleczyć pacjenta nie mniej skutecznie niż odjęcie kończyny. Niezależnie od aplikowanych środków, Gerhard był w stanie uleczyć nawet te gnaty, które wróg posiekał w drobny mak. Strażnik zdradził Aidanowi, że uzdrowił córkę jednego z cesarskich doradców, której nogę zmiażdżył załadowany po dach wóz, ratując ją przed amputacją. Jak to zwykle bywa, bogaci i potężni potrafili zapewnić sobie usługi, na które nie było stać tych mniej uprzywilejowanych.

Gerhard wcisnął kubek w rękę Aidana.

– Wypij połowę, resztę podaj przyjacielowi.

Następnie lekarz otworzył płaską skórzaną teczkę i zaczął wyjmować z niej małe metalowe dyski. Odwinął bandaż na rękę Aidana, odsłaniając skórę. Aidan musiał zacisnąć zęby, żeby nie krzyknąć z bólu. Ramię było czarno-purpurowe i opuchnięte. Jego zdaniem nie wyglądało zbyt dobrze.

A Vasila jeszcze gorzej.

Aidan przełknął swoją część jednym haustem. Mikstura była gorzka i ziemista, ale zażywał gorsze. Gerhard przekazał naczynie

Vasilowi, który zajrzał podejrzliwie do środka, nim zaczął sączyć zawartość, jakby to było dobre wino. Sędzia westchnął, a potem przełknął resztę byle szybciej, ściągając twarz w widocznym niesmaku.

Gerhard pokiwał głową. Umieścił porcję białej maści po jednej stronie dysku, a potem przyłożył go Aidanowi do ramienia nieco poniżej łokcia, gdzie dysk szybko przywarł. Na ile Aidan potrafił stwierdzić, krążek wykonano ze srebra, a jego powierzchnię pokrywały runy. Wprawiono w nią też trzy maleńkie rubiny, które nie tworzyły żadnego regularnego wzoru.

Lekarz powtórzył czynność z czterema kolejnymi dyskami, a potem zaaplikował drugi zestaw Vasilowi. Jeszcze zanim zakończył kurację, Aidan odczuł zbawienny wpływ zaprawionej magią medycyny. Pokój naokoło lekko się poruszał, a jemu rozmazywało się przed oczami. Dzwonienie i zgrzytanie metalu przycichło, jakby dźwięki wydawane przez uwijającego się przy pacjentach Gerharda płynęły do niego przez wodę.

– O, proszę – powiedział uzdrowiciel, jakby z gdzieś bardzo daleka. – Poczekamy chwilę, a potem zaczniemy.

Aidan chciał coś powiedzieć, ale jego wargi i język były odrętwiałe. Nie mógł nawet ruszyć palcem.

– Proces jest dość bolesny – kontynuował Gerhard. – Na szczęście opracowałem rozwiązanie, które pomaga przytępić zmysły, tak więc ból nie powinien wam doskwierać. Możliwe, że nawet nie będziecie pamiętać, co zaszło. Po tym zabiegu powinno wam się polepszyć, powinien także złagodzić ból. Może nawet wrócić szybko do służby.

Leżący obok Aidana Vasil prychnął śmiechem.

– Kilka prawd, a potem kłamstwo – orzekł.

Aidan usłyszał niepokojącą nutę w słowach Vasila.

Gerhard uniósł brew, pływając w polu widzenia Aidana od prawej do lewej i z powrotem. Uzdrowiciel uniósł zdrową rękę Aidana, a potem puścił. Opadła bezwładnie na łóżko.

– Świetnie. Przepraszam za to, ale... mam tu tylko robotę do wykonania. Co dzieje się później, to już nie moja sprawa.

Gerhard podszedł do drzwi i zapukał. Otworzyły się i do środka weszło czterech Kołczanów. Dwaj stanęli przy Aidanie, a dwaj obok Vasila.

– Gdy już skończę, zabiorę was do bezpiecznych cel. Obawiam się, że ktoś wniósł przeciwko wam bardzo poważne oskarżenia. Kołczany uznały, że prościej będzie was obłąskawić, gdy skończę zabiegi.

Myśli pływały w głowie Aidana, gdy usiłował wyłuskać jakiś sens ze słów uzdrowiciela. Cel? Jakie znowu oskarżenia?

Gerhard usiadł między nimi i zaczął czarować.

Aidan stracił poczucie czasu. Uzdrowiciel rozmył mu się w mieszaninę kolorowych plam i kształtów, tak jak stojące obok Kołczany. Ostało mu się w głowie mętne wrażenie, że ktoś pociągnął go za rękę, a potem poczuł ból. Jakieś wstrząsy i szarpnięcia.

Inne łóżko, o wiele twardsze.

– Śpij – nakazał ktoś, a on usnął.



**G**dy wrócili do obozu, Kristof wsunął klucz do zamka skrzyni i przekręcił. Był to ciężki, żelazny kufer na tyłach wozu. Chyba nawet dwóch mężczyzn by go nie uniosło. Pewnie o to właśnie chodziło, żeby nie dało się go zbyt łatwo ruszyć. Wieko uchyliło się i uniosło wśród zgrzytu zastałych zawiasów. Kristof poszperał w środku i wyłowił okryty pochwą sztylet długości przedramienia. Z czułością przebiegł palcami po broni, zanim obrócił ją i podał Caldanowi.

– Weź to. Otrzymałem go, gdy dołączyłem do Dotkniętych. Teraz należy do ciebie. Noś go z dumą. – Głos Kristofa był ściśnięty od emocji.

Caldan przyjął sztylet i wysunął z pochwy. Prosta broń, ale wykonana po mistrzowsku. Nie było to rzemysliwo, za tworzywo nie posłużył żaden kosztowny stop, ale obie krawędzie brzeszczotu były ostre jak brzytwy, i to było najważniejsze. Było to narzędzie służące do zabijania, ni mniej, ni więcej.

Poczuł skurcz w żołądku, gdy ponownie umieścił sztylet w pochwie.

– Przed nami kolejna misja – powiedział Kristof. Caldan spojrział na Dotkniętych. Ich twarze były zacięte, a spojrzenia ponure. – Devenish chce, byśmy zabili tego Gaziję – mówił dalej przywódca. – Rozkaz wydał cesarz. Tylko ty i ja. Mam ocenić, jak sobie poradzisz.

Caldan przełknął ślinę.

– Nie wydaje mi się, żeby...

– Nie masz wyboru. Zabijemy Gaziję i każdego, kto wejdzie nam w drogę. Cicho i dyskretnie. Tak, żeby nikt nie był w stanie udowodnić, że maczaliśmy w tym palce. Albo obwinić o to cesarza. Udowodnisz w ten sposób, że naprawdę stoisz po naszej stronie. Tyle że ten Gazija jest potężnym czarodziejem, będziemy więc musieli mieć się na baczności. Nie pozwól mu załączyć tarczy.

Caldan miał trudność z formowaniem słów. Dreszcz wspiął mu się po plecach, wywołany zarówno ślepym przyjęciem rozkazu, jak i samym rozkazem. Mógł tylko kiwnąć głową.

Kristof uśmiechnął się, obnażając zęby.

– Do tej misji nie potrzebujemy niczego poza tym zaklętym nożem. Radziliśmy już sobie wcześniej z czarnoksiężnikami takimi jak Gazija. Biorę z magazynów arcymagów wszystko, czego potrzebuję.

Caldan nie miał zamiaru pozwolić Kristofowi zabić Gazii. Nie wiedział, jakimi przesłankami kierował się starzec, ale pokazał już, że chce pomóc w zabiciu jukarów. Mało tego, Caldan na własne oczy widział strach cesarza. Jeśli istniała jakaś szansa na pokonanie Kelhaka, to Caldan miał nieodparte wrażenie, że Gazija będzie jej istotnym elementem...

Tylko co on mógł teraz zrobić? Nic, co powie, nie przekona Kristofa do jego racji. Jak ma udowodnić, że ten rozkaz to pomyłka? Gdyby tylko zdołał wyjaśnić przywódcy, jak dwulicowy jest cesarz względem Dotkniętych... Wtedy może dotarłoby do niego, że nie wolno im wypełnić tego rozkazu... Myśl, na przodków, myśl!

Znowu przemówił Kristof:

– Jest jeszcze coś, co muszę ci powiedzieć.

Ściągnął z szyi złoty łańcuch i rozpiął zamek. Zdjął z niego srebrny pierścień, który w świadomości Caldana brzmiał magiczną wibracją. Talizman. Kristof podsunął mu go na otwartej dłoni. Pierścień był uderzająco podobny do jego własnego. Również został ozdobiony deseniem splotu, ale zamiast lwów widniały na nim maleńkie kruki o szmaragdowych oczach.

– Z przyjemnością wręcę ci ten pierścień po zakończeniu misji. Na dowód zaufania oraz tego, jak bardzo cię wszyscy cenimy. W najbliższych dniach będę uczył cię o twoich zdolnościach i o tym, jak możesz je lepiej kontrolować. A także o tym, jaki wpływ będą miały na ciebie te talizmany. Ale na to wszystko przyjdzie czas, teraz zaś mamy do wykonania zadanie. Nieprzyjemne, lecz kluczowe dla sprawy cesarza.

Kluczowe jest zabicie starca? – prychnął w duchu Caldan, a potem, nie mogąc się powstrzymać, dodał na głos:

– Czy to naprawdę dla dobra cesarstwa?

– Jeśli tak twierdzi Devenish, to ja mu wierzę.

I w tym właśnie problem.

– No, miejmy to z głowy – odrzekł tylko.

Kristof zamknął skrzynię i wsunął ją głębiej w zalegający pod płótnem cień. Wstał, wskazał głową doki za Starorzeczem, a potem zsiadł z wozu.

Caldan miał iść za nim, lecz raptem ujrzał na placu stojących w szeregu czterech ludzi, którzy mogli być tylko Dotkniętymi. Musieli zebrać się za ich plecami, a Caldan był zbyt zaaferowany, by ich zauważyć. Kristof przeszedł wzdłuż szeregu i podał każdemu rękę, zamieniając kilka słów. Były tam dwie kobiety, które go uściskały. Żegnali się z nim.

Caldan zbliżył się do pierwszej osoby w szeregu, szczupłego mężczyzny o surowej twarzy weterana. Wszyscy tak właśnie

wyglądali – jakby widzieli zbyt wiele, ale nie chcieli o tym mówić.

– Jestem Rogget. Wróc do Dotkniętych, skąd przybyłeś. Chroń cesarstwo – powiedział mężczyzna z całkowitą powagą, wyciągając i do Caldana poznaną odciskami dłoń.

Caldan ujął jego rękę.

– Co mam odpowiedzieć? – spytał.

– Co chcesz. Większość odpowiada coś nieformalnie i w przyjacielskim tonie. Niektórzy odpowiadają ciszą. Zwłaszcza ci wyprawiający się na niebezpieczne misje, z których mogą nie wrócić.

Caldan uśmiechnął się smutno.

– Często się takie zdarzają?

Rogget pokręcił głową.

– Nie. Jesteśmy zbyt cenni, żeby nas marnować. Ale czasem... No, pogadamy o tym później. Reszta czeka.

Caldan cofnął się o krok i przeszedł do następnej osoby, kobiety o krótko ściętych włosach, która opromieniła go zaraźliwym uśmiechem. Podał jej rękę, ale ona odsunęła ją i rzuciła mu się na szyję.

– Witaj – szepnęła mu do ucha głosem tchnącym życzliwością. – Jestem Visna, ale nazywają mnie Wiśnią. Wróc do Dotkniętych, skąd przybyłeś. Broń cesarstwa.

Caldan czekał, aż go wypuści, a potem zrobił pół kroku w tył. Paliły go oczy i zamrugał, by pozbyć się łez. To byli dobrzy ludzie. Po prostu nie rozumieli, jak straszna jest ich misja... i jak okropny czeka ich los.

Odchrząknął, cofnął się jeszcze o kilka kroków i zwrócił do pozostałych Dotkniętych. Obok Roggeta i Wiśni stał wysoki, ciemnoskóry, muskularny młodzieniec o krótkiej brodzie i jastrzębim nosie. Za nim kobieta w średnim wieku, która bardziej pasowała Caldanowi do piekarskiego pieca niż miecza i tarczy.

– Obiecuję zrobić, co w mojej mocy, by bronić cesarstwa. Zarówno od wrogów poza, jak i wewnątrz jego granic – powiedział z przekonaniem.

Kristof skrzywił się na jego słowa, ale tylko kiwnął głową.

Caldan zbliżył się do dwojga ostatnich Dotkniętych i dopełnił rytuału pożegnania. Przedstawili się jako Kra-bast z zachodniej



części Spustoszonych Ziem oraz Yiquin z Shikuru w Sotharlańskiej Unii Miast. Ramię cesarza oraz Dotkniętych rzeczywiście sięgało daleko, jeśli znajdowali ich także poza granicami cesarstwa, żeby wcielić do jednostki.

Caldan odwrócił się od Roggeta, Wiśni, Kra-basta i Yiquin. Nie czekając na Kristofa, ruszył w kierunku doków. Długo nic nie mówił. Kristof dogonił go, ale nie przerywał ciszy. Wyczuł, że Caldan potrzebuje sobie pomilczeć.

Po jakimś czasie dotknął go lekko w ramię.

– Tędy – wskazał. – Nie możemy wejść frontowymi drzwiami. – Zaśmiał się krótko. – Kilku starych by pewnie mogło. Ale my musimy się zbliżyć do niego po kryjomu.

– Starych? Kto to jest?

Caldan wypatrzył zadumę na twarzy Kristofa. Zaraz znikła, zastąpiona przez obojętność.

– Dotknięci, którzy żyli setki lat temu, oraz ci przed nimi. Oto, od jak dawna służymy cesarzowi. Zapiski mówią, że ich umiejętności znacznie przewyższały nasze. Coś sprawia, że nasze talenty wytracają się z pokolenia na pokolenie, jakby miały z czasem zupełnie zaniknąć. Nie jest to rzecz, którą my powinniśmy się martwić. To kłopot tych, którzy nadejdą długo po nas. Nie ma sensu tracić czasu na myślenie o tym, czego nie jesteśmy w stanie zmienić.

I znów ta krew, zdumiał się Caldan. To przecież takie proste, a jednak Kristof i inni tego nie widzieli. Dzieci Dotkniętych dziedziczą tylko część ich umiejętności. Chyba że oboje rodziców jest Dotkniętymi.

Caldan nagle zrozumiał.

– Arcymagowie zachęcają was, byście pobierali się między sobą, prawda?

– Tak. Trafiłeś w sedno. Musimy chronić naszą tajemnicę, a dodatku szukanie partnerów w naszym własnym gronie jest mniej ryzykowne. A jednak wielu decyduje się szukać gdzie indziej. Prowadzimy trudne życie i większość szuka wytchnienia poza naszymi szeregami.

Ciekawe – po raz pierwszy Kristof choć wspomniał o tym, że Dotknięci nie we wszystkim są zgodni z arcymagami.

Za kilka pokoleń rysy na powierzchni łączącego ich sojuszu mogą znacznie się pogłębić. Arcymagowie nie mogli wyjawić Dotkniętym prawdy o mocy drzemiącej w ich krwi, bo wtedy wyjawiliby im, jak bardzo jest cenna. Ale stawiało to też arcymagów w niekorzystnej pozycji. Dotknięci powoli, lecz nieuchronnie stawali się coraz mniej efektywni, zarówno w pojedynkę, jak i jako oddział. Może to zająć wieki, jednak przecież gołym okiem widać, że są zgubieni, a moc, którą arcymagowie kontrolowali poprzez ich krew, z czasem wyczerpie się do szczętu. Chyba że arcymagowie zmuszali Dotkniętych do chowu wsobnego...

Caldan westchnął i przetarł oczy. Jak się nie obrócić, tyłek zawsze z tyłu.

Szli wzdłuż rzeki w kierunku wschodnim, patrząc od przystani. Im dalej odeszli od miasta, tym bujniej rosła wkoło roślinność, ale nigdy nie dziczyła zupełnie. Wciąż byli zbyt blisko dużego miasta. Widzieli rozsiane wśród pól domy i małe miasteczka, choć większość opustoszała ze względu na jukarów.

Kristof poprowadził Caldana wąską, błotnistą dróżką. Wysoka trawa po obu stronach smagała ich po nogawkach mokrymi od rosy źdźbłami. Długo szli ścieżyną, a Kristof okazjonalnie oglądał się za siebie na Starorzecze, jakby chciał ocenić, jaki pokonali dystans. Gdy rzeka zwróciła się w kierunku miasta, a potem ostrym wirażem skręciła ku wybrzeżu, tworząc literę S, wielkolud kazał Caldanowi zejść z traktu.

Przy samym nurcie natknęli się na kępę wierzb. Do jednej z nich przywiązana była wiosłowa łódź. Gdy się zbliżyli, z cieni wyłonił się jakiś mężczyzna o aparycji zbira. Miał na sobie brązowo-zielone ubranie, które miało zapewne pomóc mu zlać się w jedno z otoczeniem, oraz nasunięty na oczy kapelusz z rondem. Na ile Caldán potrafił stwierdzić, nie był Dotkniętym ani nie miał przy sobie talizmanów.

– Nie wiedziałem, że będzie was dwóch – powiedział mężczyzna tonem zdradzającym nieufność.

Kristof rzucił mu dukata. Obracająca się w powietrzu złota moneta zalśniła w świetle gasnącego dnia. Mężczyzna złapał pieniądź w powietrzu, a potem schował do kieszeni.

– Miła noc na wiosłowanie – poprawił się weselszym tonem i cofnął od przybyszów. Zaraz zniknął w cieniu pod koronami wierzb.

– Włóż – polecił Kristof. – Umiesz chyba wiosłować?

Caldan pokręcił głową.

– Niezbyt, ale widziałem, jak inni wiosłują, a poza tym trochę o tym czytałem. Na pewno załapię.

Łódź zachybotała się, gdy wszedł do środka, ale szybko złapał równowagę. Usiadł na ławeczce i wyjął wiosła.

– Czytałeś, mówisz? To na pewno była wstrząsająca lektura.

– Jeśli sam chcesz wiosłować, to się nie krępuj.

Kristof potrząsnął głową i dołączył do Caldana w łodzi. Znowu zachybotała się pod nogami, ale Kristof zachował równowagę.

Nie jesteśmy wcale tacy różni, Kristof i ja, uświadomił sobie Caldan. Trudno było nie czuć sympatii do tego człowieka, choć Caldan wiedział, że nim skończy się noc, będzie musiał jakoś obronić przed nim Gaziję i istniało ryzyko, że jeden z nich nie dożyje do rana.

– Jesteśmy już daleko od doków – wymruczał olbrzym. – Gdy dotrzemy na miejsce, będzie zupełnie ciemno.

Na dnie łodzi leżał worek, mokry przez zalegającą w środku wodę. Kristof wyjął z niego linę z przywiązaną kotwiczką.

– Musimy dopłynąć do rufy i za pomocą tego dostać się do kabiny starca. Wtedy robimy, co mamy do zrobienia, i uciekamy.

Caldan przygryzł wargę i przekręcił pierścień na palcu. Kaszka z mleczkiem, zabić kogoś.



**A**idan napał ramieniem na drzwi celi. Złamana ręka wybuchła bólem, który wydarł jęk z jego ust. Drzwi drgnęły, ale to tyle.

– Zostaw – powiedział Vasil. – Nie wydostaniemy się stąd, a ty zaraz zaprzepaszysz wysiłki Gerharda.

– Zdrajca – wypluł Aidan. – Otumaniał nas, żeby nas tu zamknąć. I za co niby? – Kopnął w drzwi. – Hej! – krzyknął. – Za co nas zamknęliście? Ja mam glejt od cesarza!

Odpowiedziała mu cisza.

Vasil siedział na jednej z dwóch rozklekotanych pryczy, nakrytych wytartymi, brudnymi kocami. Zapach pleśni i uryny był na tyle silny, żeby skutecznie zniechęcić do oddychania przez nos. W kącie stały dwa wiadra, jedno ze stęchlą wodą, drugie puste. Małe, zakratowane okno wpuszczało trochę światła. Akurat tyle, by widzieć karaluchy.

– Długo byliśmy nieprzytomni? – chciał wiedzieć Aidan.

Vasil wzruszył ramionami.

– Skąd mam wiedzieć? Kilka godzin? Cały dzień?

– Jak możesz być taki spokojny?

– Nie zrobiliśmy nic złego. To musi być pomyłka.

Aidan prychnął śmiechem.

– Żadna pomyłka. Coś jest na rzeczy. To może być demonstracja władzy... lub coś innego. Tylko kto miałby zyskać na wtrąceniu nas do paki? To przecież nie ma sensu.

Raptem zadrżały w zawiasach kopnięte od zewnątrz drzwi.

– Stańcie w głębi celi. Drugi raz nie poprosimy.

Ton strażnika mówił jasno, że sprawa nie podlega dyskusji.

Aidan cofnął się o dwa kroki, rozglądając się bezskutecznie za czymś, czego mógłby użyć w charakterze broni, ale zaraz zrezygnował. Nie wykaraskają się z tego przemocą.

W zamku obrócił się klucz. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł otyły i łysy strażnik. Na brudne, przepocone pod pachami szare ubranie miał narzucony skórzany fartuch. Pokazał w uśmiechu brązowe zęby.

– Jeszcze głębiej, panowie więźniowie. – Uniósł okutą metalem pałkę i machnął złowroźnie. – Ale już.

Vasil jęknął, wstając na nogi i opierając się plecami o zimną ścianę. Aidan dołączył do niego, ze złości zaciskając pięści. Po wszystkim, co przeszedł, po wszystkim, co zniósł dla cesarstwa, wtrącili go do lochu jak byle zbója! Niby człowiek wiedział, że nie ma w cesarstwie sprawiedliwości, a jednak się łudził.

Nadzorca nie spuszczał z nich oczu, oddzielając się od aresztantów wyciągniętą pałką. Odsunął się na bok i do środka weszła ostrożnym krokiem zakapturzona kobieta w płaszczu. Miała w ręce drewniany kostur, którym się podpierała. Szła wolno, jakby

każdy ruch sprawiał jej ból. Spod kaptura dobiegało ciche rżenie, a cęła z wolna wypełniała się zapachem kwiatowych perfum.

Aidan zastanawiał się nad tym, kto mógłby chcieć go uwięzić, ale nikt nie przychodził mu do głowy. To była jakaś nowa gra, ale on wolałby w ogóle do niej nie przystępować. Nie teraz, gdy cesarskie wojsko było w stanie daleko posuniętego rozkładu, a jukarowie czyhali na progę. Wraz z Vasilem i cęł Rauem powinni być teraz na górze i z nimi walczyć.

– Jakie zarzuty mi postawiono? – rzucił. – Nie zrobiłem nic złego. Pokaż twarz, bym wiedział, z kim rozmawiam. Posiadam cesarski glejt, nie podlegam więc prawom, które obejmują innych.

Zza pleców kobiety wyłonił się Anshul cęł Rau i wszedł do cęli. Zmierzył Aidana pogardliwym spojrzeniem, krzywiąc usta, po czym oparł się o framugę, krzyżując ramiona na piersi.

– Cęł Rau! – zawołał Aidan. – Co tu się dzieje?

Kobieta uniosła szczupłe dłonie. Ujęła kaptur drżącymi palcami i odrzuciła go na plecy.

Caitlyn.

Aidan wybałuszył na nią oczy, czując, że załamują się pod nim nogi. Padł na kolana, gdy dały za wygraną. Ściany, podłoga i sufit naparły na niego ze wszystkich stron.

Przecież ona nie żyje. Sam widział, jak pada na ziemię z bełtem w piersi. Sam zwolnił cięciwę kuszy. Miała wychudłą, wręcz wyjałowioną twarz, jakby o mało co nie pochłonęła jej śmiertelna choroba. W oczach kobiety migotała szaleńcza iskra.

– Glejt ci już nie pomoże, mój drogi Aidanie – zamruczała Caitlyn głosem nieudolnie skrywającym nienawiść. – Cesarz ofiarował go mnie. Nie muszę ci chyba mówić, jak kończą ci, którzy sprzymierzają się ze złem. Byłeś z nim w znowie, tylko ja dostrzegłam to zbyt późno. Nie wiem, kiedy zaprzedałeś duszę, ale wiedz, że odpowiesz za swoje winy. – Potrząsnęła żałośnie głową. – Odkryte zło należy wypalić gorącym żelazem. Za wszelką cenę. Wiesz o tym dobrze.

Aidan zaszlochał i ukrył twarz w dłoniach.

– Musiałem – wyskrzecztał rozdzierająco. – Przepraszam.

Cęł Rau nigdy mu nie wybaczył, a teraz, gdy Caitlyn wróciła do żywych, szermierz stanął po jej stronie.

– Teraz ci przykro, co? Dopiero teraz, gdy zostałeś schwytyany i czeka cię kara? Cóż mogę rzec, masz chwilę czasu, którą powinienesz spożytkować na pokutę. A potem, gdy już spotkasz swoich przodków, wytłumaczysz im, w którym momencie zboczyłeś ze ścieżki prawości i jaka była tego przyczyna. – Caitlyn dwukrotnie stuknęła kosturem w podłogę, a potem zachichotała. – Nie będę słuchać twoich wymówek. Za kilka dni zostaniesz stracony. Pogódź się z tym.

– Ale przecież Vasil – Aidan wskazał towarzysza – jest niewinny. Nie miał nic wspólnego z...

– Z próbą zamordowania mnie? Owszem, ale ma inne grzechy na sumieniu. Cel Rau powiedział mi, że to on wskazał Chalayanowi mroczną ścieżkę, która doprowadziła czarownika do zagłady. Nie. Vasil bynajmniej niewinny nie jest.

Kobieta bez słowa odwróciła się i, utykając, wyszła z celi. Cel Rau wycofał się z przejścia, by ją przepuścić. Za nim wyszedł na korytarz strażnik i zatrasnął drzwi. Zgrzytnął zamykany zamek, a dźwięk odbił się echem w pomieszczeniu, niczym kropka kończąca ostatnie zdanie.



**C**aldan zadrzał. Nie miało to nic wspólnego z zimną bryzą, która niosła się nad rzeką, oraz jego przepoconym ubraniem. Wiosłowanie to ciężka praca, a on szybko się rozgrzewał.

Chłód nie miał nic wspólnego z temperaturą tej nocy. To przez strach. Bał się, że dzisiaj umrze. Albo z ręki Kristofa, albo Gazii, jeśli jego przypuszczenia o mocy starca się potwierdzą.



Szukał więc jakiegoś wyjścia, szansy na wytłumaczenie Kristofowi, że popełnia błąd. Problem polegał na tym, że niestabilna łódź nie była dobrym miejscem, żeby konfrontować się z wielkoludem. Caldan skłął się w myślach za to, że nie przedsięwziął czegoś wcześniej, gdy stali jeszcze na brzegu rzeki. A potem skłął się znowu, tym razem za głupotę – bo co by niby zrobił? I jeszcze raz, bo miał już tego wszystkiego dość.

Trochę użerał się z wiosłami, nim się połapał, jak należy nimi manipulować, by nie rozcinać tafli wody z pluskiem. Utrzymywał powolne, ale miarowe tempo, powiedziałwszy Kristofowi, że nie chce hałasować, ale tak naprawdę grał na czas w nadziei, że coś wymyśli, a przynajmniej odwlecze nieuniknione. Westchnął bezgłośnie.

– Wszystko będzie dobrze – szepnęła Kristof. – Wprawdzie twoja pierwsza misja nie należy do łatwych, ale od czego masz mnie?

Od tego, żebyś mnie zabił, kiedy odmówię jej wykonania, pomyślał Caldan z przekąsem.

– Gdy już będzie po wszystkim – podjął Kristof – Devenish odarzy cię zaufaniem. Wtedy naprawdę staniesz się jednym z nas.

– Wystarczy zabić jakiegoś starca? – wypalił Caldan, zanim zdążył ugryźć się w język.

– Trzeba to zrobić. Lepiej nie zawracać sobie głowy szczegółami.

– I tak żyjesz sam ze sobą? Po prostu nie zawracasz sobie głowy tym, kim się stałeś? Bo mnie się zdaje, że trudno upaść niżej niż ktoś, kto morduje starszków.

Kristof długo milczał. Jedynym dźwiękiem zakłócającym ciszę nocy był łagodny plusk wioseł i dochodzące z brzegu cykanie świerszczy. Wreszcie odpowiedział:

– Nie próbuj mnie osądzać, Caldanie. Czasem cesarz potrzebuje twardych mężczyzn do trudnych zadań. – Przychylił się do chłopaka i puknął go palcem w pierś. – Dopiero się okaże, czy nadajesz się do Dotkniętych. Ale nie tracę nadziei. Pokazałeś już, że jesteś wojownikiem. A jeśli dodatkowo znasz się na czarach... no cóż... Przydasz nam się bardziej, niż ci się wydaje. Myślę, że niebawem Devenish będzie szukał zastępstwa dla mnie, a teraz znalazł kogoś, kto jest zarówno Dotkniętym, jak i czarodziejem.

– Prawda, jestem jednym i drugim. Ale co, jeśli nie chcę do tego być skrytobójcą?

Kristof wzruszył ramionami.

– Zrobisz, czego będą od ciebie wymagali arcyomagowie. Możesz marudzić i jojczyć albo możesz zaakceptować swój los i pogodzić się z tym, czym jesteś. Łatwiej by ci było, gdybyś przyjął do wiadomości, do czego najlepiej nadają się twoje talenty, a nie filozofował o moralności. I pozwól się ostrzec: nie próbuj mnie wygrzyźć, Caldanie.

Chłopak wciąż czuł miejsce, w które Kristof dźgnął go palcem. Bolało bardziej, niż powinno, jakby przypominając mu o podobieństwach i różnicach między nimi.

– Nie próbuję cię wygrzyźć. Bo nie jestem pewien, czy ja w ogóle chcę być tobą.

Kristof milczał, lecz wyraz jego twarzy powiedział Caldanowi, że przyjął jego słowa do wiadomości. Łódź posuwała się coraz dalej.

– Zwolnij odrobinę – polecił dowódca. – Światła przed nami. To pewnie okręty zacumowane w dokach.

Przykucnęła i wbił wzrok w noc.

– Nikt nas nie widzi. Odbij lekko w prawo. Musimy podpłynąć od tyłu.

Caldan wykonał polecenie, garbiąc się pod ciężarem rozpaczony. Zaczynało się. Przynieś, podaj, pozamiataj. Zabij. Ucapił drewno tak mocno, że rozboleła go ręce.

Czy zdoła wyrwać wiosło z dulki i ogłuszyć Kristofa, nim dotrą do okrętu? Nie. Nie, kiedy siedzi przodem do niego. Zasób możliwości kurczył się w zastraszającym tempie. Nie zostało mu już żadne dobre rozwiązanie.

Kristof zaczął rozwijać linę z kotwiczką.

– Wyhamuj. Nie chcemy stuknąć o rufę i ściągnąć strażników.

Caldan obejrzał się przez ramię na okręt Gazii. Był bliżej, niż myślał. Na pokładzie migotało kilka świateł, ale nie widział żadnych wartowników. Pewnie na pomoście kręciło się kilku strażników, jednak nie patrolowali pokładu. Za dużym oknem na rufie, gdzie mieściła się kajuta Gazii, nie paliło się światło. Może go tam nie było?

Wtedy mogliby odpuścić i wrócić do obozu...

Jasne. Nie ma tak łatwo.

Caldan nie wiosłował już i łódź powoli toczyła się z nurtem. Prąd przy dokach był łagodny, lecz wyczuwalny. Będzie musiał przysunąć

się bliżej, jeśli chce...

Nie skończył tej myśli, bo Kristof rozkręcił linę i rzucił wysoko kotwiczka, która przemknęła łukiem ponad nadburciem i ze stłumionym stukotem uderzyła o pokład. Szybko zwinął luźną linę, a wtedy metalowy hak zaczepił się o poręcz. Pociągnął za linę, a potem obwiązał nią knagę w łodzi.

– Ty pierwszy – powiedział.

Caldan odetchnął głęboko i pokiwał głową. Sprawdził przez materiał, czy wciąż ma rzemyśliwa w kieszeniach, poprawił pochwę z nożem, by nie dźgał go w nogę, a potem złapał linę i podciągnął się na samych rękach.

W kilka chwil zrównał się z bulajem w kajucie Gazii. Był otwarty na kilka cali. Caldan oparł ciężar ciała na nogach, sięgnął jedną ręką i otworzył szerzej.

Wszedł do środka. Trzeszczenie liny i ciche szuranie oznaczało, że Kristof zaczął się wspinać.

Caldan musiał coś zrobić. Pytanie tylko: co? Kristof lada moment tu będzie.

Po drugiej stronie kabiny poruszył się nakryty grubymi kocami kształt na koi. Caldan podkradł się do drzwi, by się upewnić, że są zamknięte. Następnie podbiegł do posłania i szarpnął Gaziję za ramię.

– Obudź się! – wyszeptał nagłaco. – Jesteś w niebezpieczeństwie!

Osoba na koi zajęczała, obróciła się na drugi bok...

I spod zaspanych, półprzymkniętych powiek i potarganej grzywki spojrzała na Caldana Miranda.

– Mmm? – wymruczała.

Przerażony Caldan cofnął się o krok. Nie. Nie powinna tu być. Nie może tu być...

Spojrzał na okno w chwili, gdy noga Kristofa złączyła się z podłogą.

Miranda usiadła, przyciskając koc do piersi. Spojrzała na Caldana rozwartymi szeroko oczami.

Skąd ona się tu wzięła? Na przodków! Quiss chciał jej pomóc. Przekonał uzdrowicielkę, by mu ją powierzył? Czy może porwał dziewczynę? Czy ci przekłęci kupcy są wszechmocni? Czy nie ma drzwi, których nie otworzą ich pieniądze?

Jeśli porwali Mirandę, to opory Caldana przed zabiciem Gazii gwałtownie stopnieją.

– Kristof – powiedział Caldan. – Nie możemy tego zrobić.

– Jak to? Przecież jesteśmy już w środku. Mamy rozkazy od Devenisha. Nie wiem, co to za dziewczyna, ale trzeba ją uciszyć. Nikt nie może się dowiedzieć, że tu jesteśmy. No już, zrób to!

– Ooo! – zajęczała Miranda. Najwyraźniej nikt jej jeszcze nie uleczył, wciąż nie potrafiła mówić, ale nawet w swoim stanie rozumiała, że grozi jej niebezpieczeństwo.

Caldan zasłonił dziewczynę przed Kristofem.

– Nie pozwolę ci jej skrzywdzić.

Kristof postąpił krok w jego stronę.

– Zejdź mi z drogi, Caldanie. Wykonajmy zadanie, a nie powiem Devenishowi, że stchórzyłeś.

– Myślisz, że obchodzi mnie Devenish? Bardziej obchodzi mnie ta niewinna dziewczyna!

Za nim zaszurały koce, ale Caldan nie mógł oderwać oczu od wielkoluda. Było mu gorąco, lecz ten żar nie miał nic wspólnego z tym, który ogarniał go, kiedy brał go we władanie szal Dotkniętego. Wiedział, że nie może teraz polegać na swoich zdolnościach. Zastanawiał się, czy aby Kristof nie ma pełnej kontroli nad swoimi... Caldan nie wiedział i nie miał zamiaru czekać, by się przekonać. Jego palce wyciągnęły się w kierunku tarczy.

Kristof złapał wzrokiem ruch jego ręki. W jednej chwili stał przy bulaju, a w drugiej uderzył w Caldana całym ciężarem ciała.

Nogi chłopaka oderwały się od ziemi, a impet wydusił mu z płuc całe powietrze. Przeleciał przez kajutę i grzmotnął o ścianę. Żołądek i pierś zapłonęły bólem, i mógł tylko osunąć się bezwładnie na podłogę.

– Głupi gówniarz – wysyczał Kristof. – Naprawdę myślałeś, że możesz się ze mną równać?

Caldan usiłował jęknąć, ale brakowało mu powietrza. Przetoczył się na brzuch, próbując wstać. Ból wybuchł z lewej strony jego ciała, gdy z rozmachu wbił się w nią buciór Kristofa. W kajucie rozbrzmiał trzask pękających żeber.

Caldan słyszał zza zasłony bólu syk powietrza, które wciągnęła do płuc Miranda, by krzyknąć. Kristof uderzył ją w twarz na odlew.

Opadła na koję i znieruchomiła.

Miranda!

Wielkolud złapał Caldana za kark i wbił mu twarz w podłogę.

Chłopak jakoś zdołał wziąć płytki wdech, ale żebra bolały go tak, jakby przejechał go wóz. Zachłysnął się powietrzem, a z kącików oczu popłynęły mu łzy.

Poczuł na plecach ciężar. Kristof docisnął go do podłogi kolanem.

Dotknięty przysunął się do twarzy Caldana.

– Nie możesz mnie pokonać. Mam więcej doświadczenia i znacznie dłużej trenowałem. Poddaj się. Nauczysz się przestrzegać zasad i robić, co ci każe. Małe zabójstwo jest czasem konieczne, żeby obronić cesarstwo przed wrogiem.

Caldan próbował prychnąć śmiechem, jednak z jego ust dobyło się tylko zduszone rżenie. Wypełnił płuca powietrzem.

– Robisz to... bo Devenish uważa... że Gazija upokorzył go... przy ludziach... To jedyny powód... dla którego... chce go zabić... Choć przecież... przyprowadził najemników... by pomogli cesarzowi...

– To nie jest człowiek. Gazija i jego pobratymcy to wybryki natury. Przecież to widać gołym okiem, ty też przecież widzisz. To nie jest normalne.

– Osądzę człowieka... po czynach... nie słowach... ani zdaniu innych.

Kristof napał na jego kark, odcinając dopływ powietrza.

– A więc jesteś głupcem. Ostatnia szansa, chłopcze. Jesteś z nami? Kiwnij głową, jeśli tak. A jeśli nie... idziesz pod nóż. Mój nóż.

Caldan próbował go dosięgnąć, ale ramiona miał unieruchomione. Nie mógł też aktywować tarczy, nie dotykając jej. Była to wada, o której nie pomyślał, gdy ją wytwarzał. Jeśli zasili żuka, a potem zerwie kotwicę, zniszczy całą kajutę łącznie z samym sobą i Mirandą.

Caldan zamknął oczy. Był bezradny.

Otworzył studnię mimo wszystko, rozpaczliwie chcąc jakoś się ratować. Ale co niby mógł zrobić bez rzemyśliwa? Musiał posłużyć się magią bez korzystania z niego. Przypomniał sobie, jak w Anasomie pierwszy raz wymknął się z rąk Dzwonkom. Jego papierowe rzemyśliwo spaliło się, gdy popadł w desperację, ale i tak stopiło metalową ramę, pieczętując drzwi.

Rzemyślenie bez papieru.

Zamazało mu się przed oczami, ciemność pochłaniała jego pole widzenia.

Coś trzasnęło i po podłodze rozsypała się potrząskana ceramika. Kristof zawył i Caldan poczuł, że nacisk zelżał. Wciągnął haust powietrza i obrócił się na plecy. Nad powalonym Kristofem stała Miranda z uchem od dzbanka w ręce.

Dowódca zerwał się na nogi i trafił Mirandę w szczękę. Poleciała przez kajutę i uderzyła o koję.

Caldan sięgnął po tarczę... za późno. Kristof poruszał się z niesamowitą szybkością i w okamgnieniu znowu przygniótł Caldana do ziemi.

Chłopak poczuł na gardle świecący nóż Kristofa, zimny i twardy.

– Musisz podjąć decyzję, Caldanie. Słucham. Powinność czy tchórzostwo?

Zza pleców Kristofa dobiegł wrzask Mirandy. Coś metalowego błysnęło w jej dłoni, gdy uniosła rękę i wbiła w plecy olbrzyma mały nóż. Dotknięty skrzywił się i jego uścisk zelżał. Miranda zatoczyła się do tyłu i upadła na podłogę ze szklistymi oczami.

Ale to powinno wystarczyć. Kupiła Caldanowi trochę czasu, kilka oddechów, których nie miał zamiaru zmarnować. Uspokoił się i zaczął zastanawiać, czym tak naprawdę były rzemyśliwa – przedmiotami, które mogły nosić runy i wytrzymać korodującą moc magii jego studni. Ale w ostatecznym rozrachunku były tylko przekaźnikami. A więc... czy nie oznaczało to, że jego umysł może kształtować runy samoistnie? Spełniając tym samym funkcję rzemyśliwa?

Caldan nerwowo zbierał myśli.

Intuicyjnie zaczął wydzielać strumienie i formować z nich runy wokół swojej studni, łącząc, buforując, kształtując. Mieszanka zniewalającej i destruktywnej magii. Pozlepiany na słowo honoru wypadek, który tylko czekał, by móc się zdarzyć.

Albo to zadziała... albo mózg upiecze mu się w czaszce jak w piecu.

Teraz albo nigdy. Potrzebował tylko cienkiego strumyka.

Zalał swoje prowizoryczne rzemyśliwo niszczycielską mocą ze studni i pokierował surową, destruktywną magią. Ze studni wyłoniło

się włókno.

Kristof warknął. Zakaszłał.

I ciepła wilgoć prysnęła na twarz i koszulę Caldana.

Uścisk na jego karku zwiotczał, a Dotknięty zakołysał się i uderzył o podłogę.

Caldan wciągnął powietrze do płuc, z trudem łapiąc dech. Wił się, zrzucając z siebie nogi Kristofa i ignorując ostry ból żeber. Coś pociekło mu z nosa do ust. Wypluł krew i ścisnął nozdrza. Pochylił głowę i syknął. Miał obolały umysł, jakby wysiłek posiniaczył mu mózg.

Kristof leżał na podłodze, gapiąc się w sufit nieruchomym wzrokiem. Spieniona krew lała się z wypalonej w jego gardle dziury wielkości dukata i drugiej, takiej samej, ziejącej w jego piersi.

Caldan poczołgał się do Mirandy, walcząc z mdłościami i bólem głowy. Leżała na kocu i nie ruszała się.

– Mirando – powiedział, dotykając jej twarzy. Poszukał palcami pulsu.

Oddech ulgi wycisnął mu z płuc szloch. Żyła. Usłyszał kroki na korytarzu. Pięści załomotały o drzwi.

– Co się dzieje? Otworzyć!

– Z drogi. Przepuście mnie.

Znał ten głos. Gazija.

Caldan powłókł się do drzwi na nogach jak z waty i uniósł zasuwę. Drzwi wyrznęły o framugę. Zachwiał się, oparł o ścianę i osunął na podłogę.

– Nic jej nie jest – powiedział wątłym głosem. – Żyje.

Quiss przeciął podłogę, biegnąc prosto do Mirandy.

Gazija pokuśtykał za nim z wypisaną na twarzy troską.

– Wyczuliśmy magię. Twoją, jak mniemam? Czy wiesz, jaką głupotę zrobiłeś? Mogłeś ugotować sobie mózg.

Caldan przytaknął i znowu jęknął z bólu. Przycisnął ramiona do piersi. Drżał na całym ciele.

– Może to właśnie zrobiłem – wymamrotał. – Nic innego nie mogłem wymyślić. Wiedziałem, że to może mnie zabić, ale alternatywa... – spojrzał na Mirandę – była o wiele gorsza.

Na twarzy Gazii zajaśniało zrozumienie.

– Już ja wiem, co tu zaszło.

– Caldan ma rację – powiedział z ulgą Quiss. – Miranda jest poobijana, ale cała. Obudzi się z bólem głowy i siniakiem na policzku. Ale w jej stanie nie będą jej zanadto dokuczać. – Zwrócił się do Caldana. – Co to wszystko ma znaczyć?

– Wszyscy mamy pytania do Caldana – powiedział Gazija, rzucając intruzowi groźne spojrzenie.

Chłopak uniósł dłoń.

– Nie miałem zamiaru wykonać zadania. Gdy mnie zaatakował, nie wiedziałem, co robić. Ale... skąd tu Miranda?

Wróciły do niego słowa Quissa, jakby wyszeptał mu je do ucha: „Zrobię, co w mojej mocy, by jej pomóc”. Czyli znacznie więcej, niż potrafią arcyomagowie. Ale za jaką cenę? Doświadczenie podpowiadało Caldanowi, że w życiu nie ma nic za darmo.

– Quiss przyszedł do mnie z twoim problemem i uradziliśmy, aby pomóc tej biednej dziewczynie. Uznał, że będzie jej wygodniej w większej kajucie, a ja się zgodziłem. A kim jest ten człowiek? – Gazija trącił ciało Kristofa laską. – Rozumiem, że Devenish go wysłał? Kim on jest, jednym z ich czarodziejów? – Gazija wypluł to słowo z pogardą.

– Nie – odpowiedział Caldan. – Kimś innym.

Gazija warknął coś niezrozumiale. Quiss ułożył Mirandę z powrotem na koi. Najwyraźniej rzeczywiście chciał jej pomóc. I tym zaskarbił sobie wdzięczność Caldana.

Lecz to nie zmieniało jego położenia. Jak wytłumaczyć im wszystko tak, by zrozumieli? Ciało Kristofa może posłużyć za argument przemawiający za niewinnością Caldana, ale ktoś nie bez racji mógłby stwierdzić, że chłopak po prostu bronił Mirandy, Gaziję mając w głębokim poważaniu. Cokolwiek by mówić, zakradł się tutaj z nożem. Nie winiłby ich, gdyby doszli do własnych wniosków. Przyszedł mu na myśl vormag z minionej nocy – i martwy człowiek leżący teraz przed nim. Czy bardzo by się pomylili?

Mam tylko nadzieję, że to nie przełoży się na ich stosunek do Mirandy, pomyślał, patrząc na nieprzytomną dziewczynę.

Przodkowie mu świadkami, nie wyglądało to dobrze.





**Z** jakiegoś powodu mu uwierzyli. Wyjaśnił, co robił w kabinie na rufie – oraz czemu próbował zapobiec – a dwaj gęstszy mężczyźni uwierzyli mu na słowo. Wtedy zrobił się podejrzliwy. Quiss odjął ręce od jego głowy. Caldan wciąż nie wiedział, co myśleć o tym, że tak łatwo się to odbyło.

– Nie odniosłeś żadnych permanentnych obrażeń – powiedział czarodziej. – Miałeś szczęście. Wielkie szczęście.

– Sprawdzales godzinę temu...

– I sprawdzę jeszcze za godzinę. Mogłeś permanentnie usmażyć sobie mózg, jak jajko na patelni. Widziałem to na własne oczy. Zarówno jajko, jak i mózg – dorzucił z niewyraźnym uśmiechem na ustach. – Mówię poważnie: to drugie to nic przyjemnego. Kości czaszki nie wytrzymują ciśnienia. Po prostu wybucha ci głowa.

Caldan przełknął ślinę i nerwowo przekręcił pierścień na palcu.

To prawda, nie brzmiało to szczególnie przyjemnie. Bezskutecznie usiłował wypchnąć tę myśl ze swojej obolałej głowy.

– Byłem zdesperowany. – Jego głos we własnych uszach brzmiał jak gaworzenie dziecka.

– Wspominałeś. Rozumiem, ale więcej tego nie rób.

– Nie zrobię. Masz moje słowo.

Quiss spojrział na niego z ukosa.

– Bo jeśli to zrobisz, najprawdopodobniej umrzesz.

– Obiecałem, że tego nie zrobię... Czego jeszcze chcesz?

– Może tego, żebyś nie przyprowadzał skrytobójców do kajuty Pierwszego Wybawiciela. – Kolejny niewyraźny uśmiech, ale tym razem zaprawiony powagą. – A może porozmawiałbyś ze mną chwilę o tym, co widziałem tamtego dnia w obozie?

– To znaczy o czym?

– No, skoro już tu jesteś, to opowiedz mi o swoich konstrukcjach i o tym, na jakiej zasadzie działają.

Otóż i właśnie. Oto powód, dla którego postanowili pomóc Mirandzie. I kto wie czy to nie dlatego uwierzyli w to, co powiedział o Kristofie. Po prostu czegoś od niego chcieli, a miało to związek z jego rzemyśleniem. Zastanawiało go tylko, co on może wiedzieć, o czym oni nie mają pojęcia.

– Przejdźmy do rzeczy – mówił dalej Quiss. – Chciałbym dowiedzieć się, co dokładnie zrobiłeś, żeby ukształtować magię destruktywną, której użyłeś na Kristofie, a potem, żebyś opowiedział mi o swoich konstrukcjach. My... no cóż, po prostu nie umiemy zrobić tego co ty. – Quiss wydawał się zakłopotany, prawie poirytowany.

– Najpierw ty opowiedz mi o Mirandzie. Gdzie teraz jest i co z nią robicie?

Quiss westchnął.

– Mówię poważnie – skrzywił się Caldan. – Nie odpowiem na żadne twoje pytanie, dopóki ty nie odpowiesz na moje. Grałem w tę

grę z arcymagami i zobacz, co z tego mam.

- Odrobinka zaufania, czy proszę o zbyt wiele?
- Nie możesz mieć o to do mnie pretensji.
- Chyba nie.

Lecz Caldan z jakiegoś powodu czuł, że może zdobyć się wobec Quissa na tę odrobinę. Gdy więc czarodziej podjął, postarał się słuchać z otwartym umysłem.

– Próbuje jej pomóc, tak jak obiecałem. Ona też mocno oberwała w głowę. Biedna dziewczyna, opiekują się nią teraz nasi uzdrowiciele. Od dawna jest w tym stanie?

- Kilka tygodni – odrzekł Caldan. – Została ranna w walce.
  - Magia zniewalająca?
- Caldan potaknął.

– Z początku nie wiedziałem, co to jest. Tylko to, że uszkodziło umysł Mirandy.

– Tego się obawiałem.

– Chcę być na miejscu, gdy będziesz próbował ją leczyć. Po prostu... chciałbym mieć oko na to, co się dzieje.

Quiss wyduł usta i skrzywił się, wyglądając tak, jakby miał ochotę odmówić. Ostatecznie pokiwał głową.

– Dobrze – powiedział. – Ale nie zrozumiesz wiele z tego, co będzie się działo. Nasze czarowstwo różni się od tego, czego ty uczyłeś się tu całe życie.

Caldan niemal prychnął śmiechem. Nie wierzył, że mogą być aż tak inni. Quiss pokazał mu już wcześniej swoją studnię, a skoro mieli studnię, to ich magia musiała działać tak samo jak magia Caldana. Może mieli inną metodologię, ale też musieli przecież jakoś kształtować energię i korzystać z niej.

Ale tylko skinął, jakby zgadzał się z Quissem.

– Kiedy to zrobisz?

– Kiedy weźmiemy się za leczenie? Bardzo niedługo. Teraz śpi. Uznałem, że lepiej zrobię, jeśli najpierw zaopiekuję się tobą.

– Nie potrzebuję opieki. Błagam, czy mógłbyś po prostu ją uleczyć?

Quiss spojrział na niego ze współczuciem, a potem westchnął.

– Dobrze. Chodź ze mną.



– Kluczowe są wzory. Każdy ulega ustawicznej przemianie. Jedne szybciej od drugich, niektóre prawie w ogóle się nie poruszają. Rzucają w umyśle ciemne i ostre cienie. I wszystkie mają swoje funkcje, zarówno kolorowe włókna, jak i cienie, które rzucają. Kiedy więc włókna się poruszają, pojawia się nowy wzór: barwa i mrok. Jedno naprzeciwko drugiego, ale ściśle związane ze sobą i tworzące większą sekwencję.

Quiss przemawiał uspokajającym, prawie hipnotyzującym tonem. Osłonięty koksownik przeznaczony do użytku na pokładzie emanował przyjemnym ciepłem, odpędzając chłód nocy. Ciasna kajuta na rufie miała okno, które Quiss ciągle trzymał otwarte. Caldan czuł się zawieszony między jasnym ciepłem a ciemnym chłodem.

Siedział ze skrzyżowanymi nogami na kocu rozłożonym na wąskiej pryczy, oparty plecami o ścianę. Kobieta, jedna z pomocników Quissa, dołączyła do nich po tym, jak marynarze ułożyli Mirandę na pryczy naprzeciwko. W odróżnieniu od Quissa kobieta wyglądała niemal... normalnie. Również nieco gęstsza, ale nie tak wychudzona jak czarodziejka Gazii.

Kobieta nachyliła się nad Mirandą. Była młoda, długie włosy miała splecione w warkocz. Jej koszula i spódnica ozdobione zostały haftowanymi fioletowymi kwiatami i niebieskimi ptakami. Położyła rękę na czole Mirandy, potrząsnęła głową i cmoknęła.

– Możecie to zrobić? – spytał Caldan. – Możecie ją uzdrowić? – Nie chciał, by jego słowa zabrzmiały w ten sposób, ale nie mógł powstrzymać emocji. – Mam trochę dukatów, ale niewiele więcej, obawiam się...

Kobieta obrzuciła go urażonym spojrzeniem, a potem wróciła wzrokiem do Mirandy. Quiss zdjął koc z pryczy i nakrył Mirandę od stóp do pasa.

– Ale tam! Wkrótce się przekonasz, że masz całkiem sporo do zaoferowania. A teraz cisza. Mamy skomplikowany czar do rzucenia.

– Nie strasz go, Quiss – powiedziała kobieta. Mówiła cichym, pewnym tonem. – Na pewno już i tak się martwi.

– Wybacz, Adrienne. Ale on musi wiedzieć, że to się wiąże z ryzykiem. Obrażenia spowodowane przez magię zniewalającą są trudne do zaleczenia już wtedy, gdy władą nią wprawny czarodziej. Jeśli jest skrewiona, pojawiają się dodatkowe komplikacje. W dodatku umysł tej dziewczyny wygląda, jakby ktoś próbował leczyć ją... nie wiem czym. Co oni narobili? Tylko wszystko poplątali.

Adrienne zmarszczyła nos.

– Gorzej, niż poplątali.

Caldan przekręcił pierścień na palcu i zagryzł wargę.

– Joachim... znaczy jeden z arcymagów. Próbował ją uleczyć. Przypatrywałem się, ale... widziałem tylko splątaną masę włókien. Nie dostrzegłem w nich żadnego porządku, a kiedy patrzyłem zbyt długo, to mnie mdliło. Stworzył własny strumień, biały, i wsunął go w tę plątaninę. Odciągnął kilka zagmatwanych włókien od innych. Dla mnie wyglądało to tak, jakby je porządkował.

– Raczej usztywniał – powiedziała Adrienne. Pokiwała głową. – Co za prostactwo. Żeby tak grzebać w czymś, czego się nie rozumie.

Quiss prychnął.

– Korzystają ze zdobyczy swojej wiedzy. Każde czarodziejstwo od tego się zaczyna. Od eksperymentów i weryfikacji.

– Fałszywa ścieżka.

– Ale oni o tym nie wiedzą.

Adrienne lekko wzruszyła ramionami.

– W końcu się nauczą. Ale dość o tym. Skupmy się na tej ślicznej młodej damie przed nami. Za nic nie chciałabym jej zostawić w tym stanie. Bierzmy się do pracy, Lupidernie.

Uklękła przed Mirandą i wyciągnęła rękę do Quissa. Ten ujął dłoń i dołączył do Adrienne, również klękając na podłodze.

Caldan przechylił się na prawo i zobaczył, że oboje zamknęły oczy. Palcami trącił dzwoneczek w kieszeni i otworzył studnię. Krótką myślą połączył się do kotwicy rzemyśliwa. Ściany kajuty straciły kolor i świat zajaśniał spraną szarzyzną. Barwę zachował tylko umysł Mirandy: skłębiona, splątana masa włókien. Tak jak ostatnim razem, żołądek Caldana zaprotestował i natychmiast

ogarnęła go fala mdłości. Uczucie było jeszcze silniejsze niż poprzednio.

Ostatnim razem wyczuł, że jeśli będzie przyglądał się włóknom dostatecznie długo, odsłoni się przed nim jakiś wzór. A Quiss potwierdził jego przypuszczenia. Rzeczywiście rysował się przed nim jakiś układ, tylko nie potrafił go jeszcze ogarnąć. Caldan zebrał się w sobie i zdusił mdłości. Przyciągnął kolana do piersi, bujając się w przód i w tył. Czekali długo.

Tak jak wtedy, gdy przypatrywał się kombinacjom Joachima, zauważył jakiś ruch na skraju umysłu Mirandy. Dwa włókna. Nie białe, ale wielokolorowe, niczym rybnie łuski świecące w słońcu. Całkiem podobne do ulepszonej tarczy, którą potrafił wygenerować. Wiele kolorów oznaczało wiele włókien ze studni, przynajmniej trzy albo cztery. Nie umiał stwierdzić, nie chciał też badać teraz studni Quissa i Adrienne, by nie zaburzyć ich koncentracji.

Ich włókna były znacznie cieńsze niż te Joachima. Wręcz delikatne. Caldan zastanawiał się, jak oni rozplączą tę gęstwinę, jeśli zamierzają siłować się z nią tak cienkimi niteczkami. Wtedy przypomniał sobie, że Adrienne powiedziała, iż nie tędy droga.

Więc co ci czarodzieje chcą zrobić?

Kolejny ruch i dwa wielokolorowe włókna dołączyły do pierwszych. A potem kolejne dwa. Caldan zacisnął usta i wciągnął powietrze do płuc, gdy zaraz pojawiły się dwa kolejne – to razem osiem. Strumieni musiało być minimum dwanaście na czarodzieja, ale mogło ich być znacznie więcej – Caldan czuł, że wyprowadziliby je z łatwością, gdyby tylko chcieli. Po tej stronie umysłu Mirandy kolorowe włókna drgnęły lekko, a odstęp między nimi i operującymi strumieniami czarodziejów wolno, wolniutko rósł. Jakby coś je odpychało, tak jak żelazo odsuwało się od niektórych magnetytów.

Wielokolorowe strumienie poruszały się razem, wplatały się i wyplatały z gęstwin, opływały wzajemnie. Na oczach Caldana rysowały wzory podobne do rzemyślniczych run, formy, które prawie potrafił odczytać, choć nie do końca. Dwa włókna tworzyły zarys, aż wyłoniły się z niego cztery konfiguracje. A potem wszystkie złączyły się ze sobą w znacznie bardziej skomplikowany wzorec, prawdziwą falę strumieni.

Caldan wstrzymał oddech. Przez długi czas siedział i czekał. Wtedy po drugiej stronie umysłu Mirandy pojawiły się dwa kolejne zniewalające strumienie. I znowu, z dwóch zrobiły się cztery. Potem sześć. Potem osiem.

Caldan zdusił jęk. Dwadzieścia cztery strumienie – oszacował. Co najmniej. U każdego z osobna.

Potęga oraz biegłość tych czarodziejów zdumiała go.

– Kim wy jesteście, ludzie? – wymamrotał, oczarowany, ale Quiss i Adrienne milczeli, całkowicie pochłonięci pracą i nieruchomi jak posągi.

Po raz drugi magowie utworzyli ze swoich strumieni skomplikowany wzór podobny do pierwszego. I znowu, zniewalająca magia, która uszkadzała umysł Mirandy, cofnęła się. Teraz strumienie zajmowały najwyżej połowę przestrzeni, którą zagarniały wcześniej. Zmacony splot w środku stał się jeszcze bardziej chaotyczny i rozedrgany.

Caldan patrzył, jak dwa wzory rozciągają się i wydłużają, aż w końcu tworzą półkule, niemal w całości otulające umysł Mirandy. Dwa brzegi zetknęły się i błysnęła iskra energii, która szybko spaliła się i znikła. Dwie półkule zespalały się dalej, z początku wolno, potem coraz szybciej. Wkrótce dwa wzory stopiły się w jedną wielokolorową sferę. W środku pulsowała zniewalająca magia Dzwonków, ściśnięta jeszcze mocniej w ciasną i zbitą kulę, którą sfera wyciągała poza obręb umysłu Mirandy.

Runy i wzory utkane z czystej energii. Caldanowi wydawało się, że dostrzegł wśród nich kotwicę. Proces kształtowania był mu zupełnie obcy, ale domyślił się, że spełni tę samą funkcję. Jednak bardziej interesowało go co innego – na własne oczy widział bowiem działanie magii, która nie potrzebowała fizycznego rzemysliwa, jakie mogłoby wziąć na siebie i wytrzymać korodujące siły studni. Kojarzyło mu się to z tym, co sam wywnioskował z niszczycielskiej magii arcymagów.

Dostrzegł też podobieństwo do tego, co sam zrobił Kristofowi, i aż się zdumiał, gdy to do niego dotarło. Quiss i Adrienne tworzyli rzemysliwo wewnątrz głowy Mirandy, czyli tam, gdzie nie mogli skorzystać z fizycznego przedmiotu. A jednak zdawali się pewni co

do tego, że nie zniszczą w ten sposób jej umysłu, przed czym Quiss ostrzegał Caldana po tym, jak chłopak zabił Kristofa surową magią.

Caldan mimo to i tak się zamartwiał. Znajdująca się wewnątrz kula zaczęła się kurczyć, a wraz z nią gmatwanina ściśniętej magii.

Miranda jęknęła. Caldan oderwał uwagę od wysiłków czarodziejów, gdy jej ciało drgnęło pod kocem. Dziewczyna uniosła ręce do głowy, wczepiła palce we włosy.

– Nie ruszaj się – wyszeptał do niego Quiss.

Caldan uświadomił sobie, że siedzi pochylony naprzód, a rękami ściska krawędź koi. O mało nie zerwał się i nie przyskoczył do Mirandy. Walczył ze sobą przez długą chwilę, która w jego umyśle ciągnęła się jak godzina, zanim w końcu usłuchał Quissa. Zmusił się, by znowu przykleić plecy do ściany.

Miranda zaskrzeczała z bólu, wyprężyła się na posłaniu, zrzucając z siebie koc.

– Zostaw! – rozkazał Quiss.

– Przecież... – Caldan przełknął ślinę, znowu podrywając się w jej kierunku.

Zacisnął pięści z zamiarem uderzenia z mocą w drewniane deski za swoimi plecami. Ale ból nie pomógłby mu rozproszyć myśli, a poza tym przypomniał sobie, że nie wolno przeszkadzać czarodziejom. Jeden fałszywy ruch i mogą nieodwracalnie uszkodzić umysł Mirandy.

Przodkowie, dodajcie mi sił...

Caldan oderwał spojrzenie od dziewczyny, która teraz leżała już spokojnie, ale z jej rozchylonych ust dobywał się wątpy, żalony jęk. Caldan zamknął oczy i zmusił się do tego, aby skupić się na magicznych machinacjach dwojga czarodziejów.

Gdy ponownie zajął się głową, spostrzegł, że kula jeszcze się obkurczyła. Ale jej wpływ na zniewalającą płataninę zelżał. Wydawało się, że magii obecnej w umyśle Mirandy nie da się już bardziej skompresować. Sieć wielokolorowych włókien, która ją oplatała, zaciągała się coraz bardziej...

Błysk.

Zmarszczył brwi. Co się stało?

Kolejny.



Coś wyroiło się z kuli magii Dzwonków i wniknęło do otaczającej ją czarodziejskiej sfery Quissa i Adrienne.

Wiedząc już teraz, czego ma szukać, lepiej rozumiał, co magowie właściwie robią. Zmieniało się ułożenie sfery. Usiłowali odwzorować ułożenie niszczycielskiej magii. A gdy już im się to udało, korodujące włókna zostały wyssane z kuli, jakby przyciągnął je silniejszy wzór. Sfery o identycznym układzie nie odpychały się, ale przyciągały.

Quiss i Adrienne włókno po włóknie rozbrajali splątane pozostałości magii zniewalającej.

Caldan nie miał pojęcia, jak długo im to zajęło. Godzinę? Może dłużej? Wiedział tylko, że nie może oderwać wzroku. Świadomość Mirandy odtwarzała się na jego oczach, gdy kawałek po kawałku i krok po kroku rozplątywał się supeł w jej głowie. Czarodzieje co jakiś czas przerywali pracę, jakby musieli odczekać z dalszym rozplątywaniem włókien, a potem harmonicznie i jednocześnie ją wznawiali. Caldan nie rozumiał, czemu służyły te przestoje, lecz z każdym kolejnym ruchem umysł Mirandy był coraz bliżej normy. Może chcieli, żeby uleżało się to, co zrobili, zanim przystąpią do kolejnego etapu prac.

Caldan wmawiał sobie, że nie żywi nadziei, ale tylko się oszukiwał. Wreszcie ostatnie kolorowe włókno złączyło się z wielokolorowym strumieniem i znikło. Sfera rozrosła się do swojego pierwotnego rozmiaru, a potem, nim Caldan zdążył mrugnąć, rozpląnęła się. Włókna zniknęły, gdy Quiss i Adrienne zamknęły swoje studnie.

A umysł Mirandy został oczyszczony z wpływu magii Dzwonków.

Adrienne jęknęła i dźwignęła się na nogi. Quiss otarł twarz zroszoną potem i rozmasował kark. Również wstał, lekko się potykając, a potem jego spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem Caldana.

– Przez jakiś czas będzie spała – oświadczył Quiss. – Zrobiliśmy, ile się dało. Powinna wrócić do zdrowia niemal całkowicie.

– Niemal? Co to znaczy? Wydawało mi się, że odsączyliście z jej umysłu całą magię.

– I zrobiliśmy to. Ale to nie takie proste – odpowiedziała Adrienne. – Jej umysł będzie potrzebował czasu, żeby to wszystko przetrwać. W końcu od wielu tygodni tkwił w stanie pomieszania.

Pewnych rzeczy... może nie pamiętać. Przez jakiś czas będzie też miała trudności z chodzeniem. Powinieneś zostać tu z nią. Wystraszy się, jeśli obudzi się sama w ciemności.

– I to wszystko? Tylko zmieszanie i dezorientacja?

– Miejmy nadzieję, że tak.

– Ale...

Quiss ruszył do drzwi.

– Później przyślemy jedzenie i wodę. Może nieco wina? Chyba przydałby ci się łyceczek.

– Tak. Dziękuję. I dziękuję za uleczenie Mirandy. Jesteśmy... waszymi dłużnikami.

Słowa same wytoczyły się z jego ust, i były najzupełniej szczerze. Jeśli Miranda rzeczywiście jest uleczona, to nie ma rzeczy, której nie zrobi dla tych ludzi. Quiss rozciągnął usta w uśmiechu całkowicie wolnym od cwaniactwa, lecz jego rysy naznaczone były smutkiem.

– Tak.

To powiedziawszy, on i Adrienne opuścili kajutę, zamykając za sobą drzwi.

Miranda zrzuciła z siebie koc, który leżał teraz skopany na wysokości jej kolan. Caldan nakrył ją pod szyję i zamknął okno. Zrobiło się jeszcze chłodniej i koksownik nie dawał już rady.

Po chwili zorientował się, że klęczy przy dziewczynie. Odgarnął jej włosy za ucho i wsłuchał się w rytm oddechu. Po raz pierwszy od Anasomy wydawała się spokojna.

Caldana piekły oczy, otarł je więc. Ciężar, który dźwigał, od kiedy Miranda została skrzywdzona, wreszcie spadł mu z barków. Czuł się, jakby ktoś uwolnił go z klatki. Poczucie winy sprawiło, że zrosł się z nim, a teraz w końcu ktoś zdarł to brzemień z jego duszy. Drżał na całym ciele, nie mogąc dojść do ładu z samym sobą.

Potrząsnął żałośnie głową. Nie uświadamiał sobie, do jakiego stopnia stan Mirandy ćmił jego zdolność osądu. Spojrzał wstecz na wszystkie swoje decyzje od opuszczenia Anasomy. Wiedział, że nie wszystkie były dobre. Niektóre kompromisy i rozwiązania jawiły mu się teraz jako niedoskonałe lub wręcz durne.

Były to rzeczy, które człowiek gotów jest zrobić tylko dla kogoś... kogo kocha.

Wstał i poprawił koc. Miranda poruszyła się, ale nie obudziła.

Caldan usiadł na drugim posłaniu i zaczął zastanawiać się nad swoim kolejnym posunięciem. Teraz gdy mógł już przestać zamartwiać się o Mirandę, mógł w końcu zająć się sobą. Kłopot w tym, że trwała wojna. Po jednej stronie jukarowie i vormagowie, po drugiej Indryallanie, a w środku cesarska armia. I gdzieś na obrzeżach kręcił się Gazija ze swoimi ludźmi.

Oczywiście, nie mógł też zapomnieć o arcymagach. Teraz gdy Kristof zginął z jego ręki, będzie musiał zmierzyć się z konsekwencjami.

Bo Devenish na pewno tak tego nie zostawi...



**K**ap.

Kropla wody spadła z sufitu na podłogę.

Kap.

Vasil przyglądał się każdej kolejnej rozbryzgującej się na podłodze kropli. Po trzechsetnej stracił rachubę. Od ich śledzenia bolały go już oczy. Z jękiem rozmasował kark jedną ręką.

Na przodków, ależ by się napił. Zjadłby też kurczaka w przyprawach, cebulowy placek, a na deser truskawki w cukrze

i gorący budyń z wanilią i toffi. Zaburczało mu w brzuchu na samą myśl.

Nie zanosilo się na to, by ktoś miał ich uwolnić. Strażnicy przychodzili i odchodzili, mijali zamknięte na głucho drzwi. A po wczorajszej wizycie nawet Caitlyn zostawiła ich w spokoju. Ich cela była pozbawiona okien. Czas odmierzali rytmem wypróżnień, zmianami wart i dostarczaniem im posiłków – zwykle mamałygi w brudnych miskach.

Vasil przeciągnął się, krzywiąc się na ból, który zakradł się do zeszywniałego kręgosłupa.

– Dzięki, że wstawiłeś się za mną u Caitlyn – powiedział Aidan z urazą.

– Co niby miałem zrobić? To wariatka. Cel Rau zresztą też.

– Tak. Ta biedna kobieta oszalała. Ale przecież ją postrzeliłem. Budynek płonął. Powiedzieli mi, że nie żyje...

On nie chce już stanąć z nią twarzą w twarz, dotarło do Vasila. Wciąż dręczy go to, co jej zrobił.

– Biedna kobieta, powiadasz? – spytał głośno. – Ty chyba też postradałeś zmysły. A co z nami?

– Nie rozumiesz. Ja znałem ją wcześniej. Kiedy była zdeterminowana, kiedy była idealistką.

Vasil ujął Aidana za ramiona. Twarz wojownika wyrażała troskę, gdyby nie zaciśnięte w wąską linię usta.

– Dawnej Caitlyn już nie ma – powiedział Vasil. – Osoba, która rozpoczęła krucjatę przeciwko złu i niesprawiedliwości... przestała istnieć dawno temu. W sądzie napatrzyłem się na takich ludzi. Takich, którzy zaczynali z dobrymi intencjami, a potem zbaczali z właściwej drogi przez jedną złą decyzję, która wywoływała lawinę jeszcze gorszych decyzji. I tak to się kręci. Poniewczasie orientują się, że znaleźli się w sytuacji bez wyjścia, za którą mogą winić wyłącznie siebie.

– Nigdy nie sądziłem, że tak się zmieni – utyskiwał Aidan. – Ona była silna, niezłomna.

– Może tobie pokazała tylko siłę i niezłomność. Ludzie właśnie dlatego noszą maski, by zakryć nimi swoje prawdziwe oblicze. Nigdy nie poznałeś jej myśli. Każdego dręczą jego własne demony.

– Prawdziwe oblicze powiadasz. Sam się o tym przekonałem. Niektóre demony są gorsze od innych. Może niepotrzebnie ją postrzeliłem? A co, jeśli to ja zostałem zwiedziony?

– W to nie uwierzę – odpowiedział Vasil. – A swoim życzeniowym myśleniem nic nie osiągniesz. Przeszłości nie da się zmienić.

Aidan odepchnął od siebie ręce Vasilę i wstał. Otrzeptał spodnie i koszulę, ale nie udało mu się pozbyć brudu, którym obaj obrośli od chwili zamknięcia w celi, ani wygładzić zmiętego ubrania.

– Nie – powiedział Aidan. – Ale można zmienić przyszłość. Musimy wydostać się stąd i zająć się Caitlyn.

– Ostrożnie, kolego. Lepiej, żebyś nie podążył tą samą drogą.



Oczy byłej dowódczyni świeciły szaleństwem. Tam gdzie wcześniej – zanim Aidan umieścił beł w jej piersi – pełgał tylko ukryty płomyk, coś ulotnego jak iskra na wietrze, teraz był wściekły płomień. Gdy krzyczała, drobinki śliny tryskały z jej ust, a twarz wykrzywiała nienawiść.

– Chodziło o złoto? Czy o co? Może o władzę?

Aidan siedział na podłodze oparty plecami o ścianę i kręcił głową. Przecierał oczy. Czuł w głowie tępy ból. Caitlyn waliła w niego ze wszystkich dział. To była jej trzecia wizyta u niego, za każdym razem z cel Rauem u boku. I za każdym razem nie robiła nic innego, jak tylko miotała oskarżeniami o zaprzeczenie duszy złu, nie zważając na ciągłe protesty Aidana. Strażnik przyjął od niej kilka dukatów, a w zamian nie wspomniał nikomu o wizytach, sam trzymając się z daleka. Caitlyn była tak pogrążona w toku swoich myśli, że nie zauważyła, że Aidan wywraca oczami na jej pokraczną argumentację – ale cel Rauowi nic nie umykało. Vasil bladł, ilekroć spoczął na nim wzrok szermierza.

Jak zwykle podczas wizyt Caitlyn, Vasil wycofał się na tyły celi i udawał posąg.

– Byłaś martwa – udało się wtrącić Aidanowi. – Zabiłem cię. Powiedzieli mi, że nie żyjesz.

– Po prostu wykonywali moje rozkazy. Kazałam im powiedzieć, że nie żyję. Bo gdybyś wiedział, że przeżyłam, tobyś mnie dobił. Widzisz teraz? Że mimo twoich oskarżeń wciąż byli wobec mnie lojalni? Nie każdy jest zdrajcą. Nie każdy jest poplecznikiem zła. Ale ty owszem, więc z chęcią zobaczę, jak dyndasz na szubienicy, ty draniu.

Słowa Caitlyn trafiły w dziesiątkę i poruszyły coś w duszy dowódcy. Jeśli czegoś nie zrobi – i to szybko – to może się okazać, że rzeczywiście sprawi Caitlyn tę przyjemność i zawisnie na sznurze jak szynka u rzeźnika.

– To ty to zrobiłaś – powiedział.

– Co? Przyznaj się, a ja zadbam, żeby byli dla ciebie łaskawi. I żeby zabili cię szybko.

– To ty to zrobiłaś – powtórzył Aidan, tym razem głośniej. Siła zaczęła na powrót wsączać się do jego ciała na myśl o tym, by jakoś odpowiedzieć na oskarżenia i pretensje Caitlyn. – To twoje czyny zawróciły mnie ze ścieżki, którą podążałaś.

Caitlyn prychnęła śmiechem.

– Kłamstwa, jeszcze więcej kłamstw. Czy ty kiedyś powiedziałeś do mnie słowo prawdy?

– Pogubiłaś się – podjął Aidan, jeszcze podnosząc głos. – Całe to zło, z którym walczyliśmy... na które musiałaś patrzeć dłużej ode mnie... ono cię zmieniło. Na początku zauważałem drobnostki... pobicie rolnika celem zdobycia informacji... Nie podobało mi się to, ale uznałem, że nic takiego się nie stało. Nie doznał żadnych trwałych uszkodzeń. No i dostaliśmy to, o co nam chodziło. Ten drobny wyrzut sumienia się opłacił. Łatwo było usprawiedliwić się rezultatami. Bezsenna noc to nic takiego. Ale z czasem było coraz gorzej i gorzej. Torturowałaś ludzi, Caitlyn. Ludzi niewinnych.

Caitlyn zerknęła na Vasila.

– Nie ma ludzi niewi...

– Są. Owszem, są. Twój moralny kompas cię zawiódł. Już dawno temu. Po prostu długo tego nie dostrzegałem. Zaślepiła mnie nasza sprawa i nasze osiągnięcia.

– Zło to choroba, której nie da się wyleczyć. Trzeba ją wypalić, wyciąć, wyniszczyć.

– Ale nie wraz z tymi, którzy zetknęli się z nią przypadkiem. I nie z tymi, którzy nie mieli innego wyboru, jak tylko jej ulec.

– Ziarno od plew, Aidanie. Wiesz przecież, jak to działa.

Aidan wyrzucił udręczone westchnienie z płuc.

– Nie każdy jest taki silny jak ty. Albo ja. To są zwykli ludzie, którzy chcą tylko, żeby zostawić ich w spokoju. Żeby mogli żyć jak ludzie.

– Zostawić ich w spokoju, żeby pomagali jukarom i vormagom?

– Nie, dla bezpieczeństwa ich rodzin. Ich żon. Ich dzieci. Czasem musisz ulec, żeby chronić tych, którzy są ci najdrożsi.

– Ja nigdy nie uległabym złu.

Aidan uświadomił sobie, że ona ma rację. Nigdy by się nie ugięła. Nigdy nie poszłaby na najmniejszy kompromis. Nigdy nawet nie przeszłoby jej przez myśl, żeby się zastanowić, czy aby na pewno cel uświęca środki. Śmierć i zniszczenie, jakie po sobie zostawi, nie miały dla niej znaczenia. I dlatego właśnie musiał ją zabić. Dlatego prawie ją zabił...

I dlatego musi skończyć to, co zaczął.

– Zostaw mnie – zażądał Aidan.

– Wyjdę, kiedy...

– Wynocha! Nie będę dłużej słuchał tego paplania wariatki! Zostaw nas samych.

Cofnęła się o krok.

– Jutro będzie po tobie, Aidanie. Jutro.

Caitlyn odwróciła się do niego plecami, z rozmysłem poruszając się jak najwolniej, a następnie opuściła celę. Zostawiając ich samych z cel Rauem.

Sędzia wcale nie odczuł ulgi; wbił plecy głębiej w kamienną ścianę i splótł palce rąk.

– Aidanie – zaczął cel Rau.

Dowódca serce żywiej zabiło w piersi. Był gotów do walki.

– Zdaje się, że opowiedziałeś się po jej stronie – powiedział. – Czego ode mnie chcesz?

– Cel Rau – jęknął rozpaczliwie Vasil – wydostań nas stąd! Nie wiem, kim była kiedyś dla ciebie Caitlyn... Ale ona nie jest zdrowa na



umyśle!

Cel Rau zerknął na Vasila, a potem odskoczył wzrokiem, jakby nie uważał go za stronę w tej dyskusji. Skupił zimny wzrok na Aidanie.

– Caitlyn nie zdecydowała się, by sama to powiedzieć, ale cesarz potrzebuje zarówno jej, jak i ciebie.

Aidan nie wierzył własnym uszom.

– A więc to wszystko gra?

– Żadna gra. Jest zaprzysięgłym wrogiem zła. Ja też. Zresztą każdy powinien.

– O przodkowie... – wyszeptał Vasil.

– Rzucono ci koło ratunkowe. Dołącz do Caitlyn i odzyskaj honor. Wtedy znów razem zapolujemy na zło. I wyjdziemy z tej walki zwycięsko. Nie byłeś dość twardy, by oprzeć się zepsuciu, z którym walczyła – powiedział szermierz, lekko kiwając głową. – Słabi śpią w rowach. Tylko silni potrafią oprzeć się słabości, która drzemie w ludzkich sercach, i przeć niestrudzenie naprzód.

Przodkowie, pomyślał Aidan, jakby to głos Vasila odbił się echem w jego sercu. Czy oni wszyscy powariowali? Nie. Cel Rau był w pewnych sprawach jeszcze bardziej zacięty od Caitlyn.

– Jakie są warunki?

Cel Rau przeciągnął się, jakby dokuczająca mu sztywność w ramionach.

– Ponownie sprzymierz się z Caitlyn. Bądźmy znowu tym, co kiedyś. Ona cieszy się względami cesarza. Jest latarnią, która prowadzi nas przez ciemność.

Iście teatralny melodramatyzm, pomyślał Aidan. Jednak cel Rau był śmiertelnie poważny.

– A jeśli odmówię?

Cel Rau wzruszył ramionami.

– To umrzesz jutro. A Vasil razem z tobą.

– Przecież on nie ma z tym nic wspólnego!

– Cesarz zdecydował o twoim losie. Jeśli chcesz żyć, lepiej przyznaj się do swoich grzechów.

Cel Rau wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Kłamał – stwierdził Vasil. – Tylko nie jestem pewien, w której sprawie. Musiałbym dokładniej go wypytać.

– Wiem, Vasilu. Nie musisz mi tego mówić.

– Co powinniśmy zrobić? Nie znam nikogo, kto mógłby nam pomóc.

– Cesarz tu jest – rzekł Aidan. – To dlatego Gazija przysłał cię tu wraz z nami. Nie miałeś czasem spotkać się z nim i za pomocą swojego talentu przekonać go, że jest w niebezpieczeństwie i że Gazija może mu pomóc?

– Ten plan posypał się, gdy zaczęliśmy uciekać przed jukarami. Dotarliśmy tu zbyt późno, by ostrzec kogokolwiek. Cel Rau dopiero co powiedział, że cesarz darzy względami Caitlyn. Nie, ta droga jest dla nas zamknięta.

– A nawet jeśli zdołamy uciec – powiedział Aidan – to ona nigdy się nie podda. Będzie na mnie polować. I na ciebie też, bo mi pomagałaś. Jeśli już stąd wyjdziemy, będę musiał obmyślić sposób, jak się z nią rozprawić. Do tego potrzebna mi sprawna szyja. A więc będziemy kłamać. Kłamstwem kupimy sobie kolejny dzień życia.

Zignorował Vasil, który zareagował na tę ironię uniesieniem brwi.



Gdy Caitlyn przyszła znowu, Aidan uklęknął przed nią na jedno kolano. Słowa same wytoczyły się z jego ust. Vasil nie słyszał ich, gdyż zagłuszył je szum w jego uszach. Cel Rau jak zwykle stał za plecami Caitlyn niczym cień. Tym razem przyniósł ze sobą miecz Aidana oraz resztę ekwipunku, jakby to było oczywiste, że były dowódca znów do nich dołączy.

Nie powinno tak być, myślał Vasil. Ale musi.

Caitlyn promieniała, gdy kłamstwa wartkim potokiem spływały z ust Aidana.

Vasil ujrzał, jak przed potworem klęka dobry człowiek i jak z klęczek wstaje człowiek wielki.



**C**aldan wstał z koi, gdzie bezskutecznie próbował złapać choć trochę snu. Sprawdził, jak się ma Miranda, chyba po raz setny.

Spała spokojnie z uniesionymi lekko kącikami ust, jakby się uśmiechała. Przodkowie, oby śniło jej się coś dobrego.

Przez bulaj widział rzekę nakrytą całunem mgły, białą chmurą wiszącą nad taflą, opromienioną mętnym światłem budzącego się dopiero słońca. Mniejsze łódki rybackie wypłynęły na wodę, pojawiły się też statki kupieckie, wpływające i wypływające ze

Starorzecza. Poruszały się powoli i ostrożnie, jakby zawieszono we wczesnoporannym bezruchu, choć jukarowie rzadko zbliżali się do rzeki.

Pukanie do drzwi poderwało go z miejsca. Miranda drgnęła, ale nie obudziła się. Otworzył drzwi i znalazł za nimi Quissa trzymającego w ręce nakrytą tacę, a w drugiej parujący dzban. Caldan poczuł zapach miodu, ryb, jajek i kawy. Czarodziej uniósł jedno i drugie i rzucił mu wyczekujące spojrzenie.

– Można?

– A tak, proszę.

Caldan odsunął się od drzwi, Quiss postawił tacę w nogach pustej koi, a dzbanek kawy na wąskiej półce powyżej.

– Jak ona się miewa? Dziwne, że jeszcze się nie obudziła.

– A powinna? – spytał zaniepokojony Caldan. – Coś jest nie tak?

– Nie, wszystko dobrze. Tyle że powinniśmy niebawem dać jej coś do jedzenia i picia. Właściwie im szybciej, tym lepiej. Mocno schudła, powinna odzyskać siły. Jest...

Miranda ziewnęła i otworzyła oczy. Gdy Caldan podszedł do niej, ziewnęła ponownie i potarła twarz.

– Caldan – zaskrzeczała. – Aj... gardło mnie boli. Gdzie jesteśmy? – Uśmiechnęła się do niego, pokazując dołeczki w policzkach.

Gula narosła Caldanowi w gardle. Po tygodniach wpatrywania się w nieruchomą twarz Mirandy zapomniał już, jak ona potrafiła wyglądać.

Ona żyła. Jej twarz tchnęła życiem.

I była piękna.

Sięgnęła do niego, a on ujął jej rękę.

– Mam wrażenie, że wieki cię nie widziałam. Ale... Anasoma. Uciekaliśmy. To było wczoraj. Co się stało?

Quiss oczyścił gardło.

– Wybacz, Mirando, lecz twoje pytania muszą poczekać. Mamy tu dla ciebie miskę owsianki z duszonymi jabłkami. Zjedz, póki gorące.

Miranda skrzywiła się, a Caldan o mało nie zaszlochał z ulgi. Widzieć ją świadomą, mówiącą, widzieć jej uśmiech i zmarszczone brwi... Cofnął się o kilka kroków i opadł na kolę, gdy ugięły się pod nim nogi.

– Pan Quiss? Co pan tu robi? Caldanie, a z tobą co? Czegoś mi nie mówisz.

Quiss zdjął chustę z tacy i podał dziewczynie miszkę.

– Caldanie, pomóż Mirandzie usiąść, żeby zjadła.

Gdy Miranda podniosła się do siadu, Quiss zadbał o to, by zjadła przynajmniej połowę zawartości miski, nim ktokolwiek się odezwie, wszelkie rozmowy tłumiąc w zarodku groźnym spojrzeniem.

– Już nie mogę – oświadczyła Miranda, odmawiając kolejnej łyżki i unosząc dłoń. – Chyba coś mnie bierze – dodała z zaniepokojoną miną. – Czuję się strasznie słaba.

– Dobrze – powiedział Quiss. Odstawił naczynie na tacę i przyniósł Mirandzie drewniany kubek. – Obawiam się, że dla ciebie kawy nie mam. Ale jest to, lepiej wypij do dna. Pomoże ci wrócić do zdrowia.

Miranda podejrzliwie zajrzała przez zrąb.

– Co to? A przede wszystkim powinniście chyba powiedzieć mi, co tu się dzieje.

Quiss skinął na Caldana.

– Wyjaśnienia zostawię jemu. Wróć niebawem z kolejnym posiłkiem. A tymczasem pij, proszę. Przysięgam, jest to coś, czego twoje ciało potrzebuje.

– Dobrze. Ale nie chcę już tej mamałygi! Tylko coś bardziej treściwego. Mięso i jajka, i trochę chleba, jeśli macie.

– Jak panienka sobie życzy.

Quiss wyszedł dyskretnie i zamknął za sobą drzwi.

Miranda wymierzyła w Caldana spojrzenie swoich penetrujących, zielonych oczu.

– Co się dzieje? Włosy... ci urosły. Jakim cudem? To przecież niemożliwe. – Skrzywiła się, zakłopotana. – Masz brązowe, gdybyś nie wiedział.

Chłopak przełknął ślinę. Nie miał pojęcia, jak opowiedzieć Mirandzie o jej stanie i o wszystkim, co wydarzyło się od opuszczenia Anasomy. Ale wiedział jedno – nie będzie dłużej ukrywał przed nią prawdy. Nie chciał, żeby były między nimi jakiegokolwiek tajemnice. Zasługiwała, żeby wiedzieć wszystko, nie tylko przez wzgląd na to, co przeszła, ale też dlatego... że uświadomił

sobie, jak wiele Miranda dla niego znaczy. Nie chciał przysparzać jej cierpień. Jeśli to możliwe, chciał ich ująć.

Trącił ją ramieniem, by zrobiła mu miejsce, i usiadł obok na koi. Otoczyła go ramieniem, a on czuł, jak bardzo drży. Czy to osłabienie, czy emocje – tego nie wiedział.

– Ta koja nie jest zbyt duża – powiedziała. – Ale nie odchodź. Jakoś mi... straszno. – Przekrzywiła głowę i oparła ją na ramieniu Caldana. Jej długie, ciemne włosy spłynęły po jego skórze jak jedwab.

– Jaka jest ostatnia rzecz, którą pamiętasz?

Kolejne ziewnięcie wyrwało się z ust Mirandy i zmarszczyła nos.

– Padam z nóg – wymruczała.

– Wiem. Masz, wypij. – Usłuchała, ale skrzywiła się na okropny smak wywaru. – A teraz spróbuj sobie przypomnieć.

– Dobra. No to tak, byliśmy w tunelach pod Anasomą. Była drabina... a potem już nie pamiętam.

Caldan westchnął, nie wiedząc, jak ona zareaguje na to, co zaraz jej powie.

– Dobra. Opowiem ci o wszystkim, co wydarzyło się od tego czasu...



Miranda spała z włosami rozrzuconymi na poduszce i spływającymi poza krawędź koi. Caldán okrył ją szerszej kocem, żeby czasem nie zmarzła. Następnie sięgnął po jedzenie na tacy. Pochłonął obsypane przyprawami jajka, grzyby smażone na maśle i w ziołach, trzy wypchane zieleniną ryby nieznanego mu gatunku, każda długości jego dłoni, oraz kurczaka w panierce. Wytarłszy otłuszczone ręce, opróżnił dzbanek wystudzonej kawy, oszczędzając jedynie brązowe męty na dnie. Niedobór snu i brak odpoczynku po ryzykownym użyciu destruktywnej magii coraz bardziej dawały się we znaki i Caldánowi kręciło się w głowie.

Zerknął przez bulaj na wiszące już wysoko na niebie słońce, które wypaliło do szczytu mgłę. Ruch na rzece zelżał i już tylko kilka

osamotnionych łódek wiosłowało w sobie tylko znanych kierunkach.

Wciąż miał tyle do zrobienia... ale nie chciał zostawiać Mirandy samej. Przede wszystkim zamierzał rozmówić się z Quissem. Później musiał wrócić do miejsca, gdzie ukrył swój kościany talizman. Jeśli nie kręcili się tam już jukarowie, należało zaryzykować i spróbować go odzyskać. Wtedy wydawało mu się, że to dobra kryjówka, ale teraz dręczyły go wątpliwości. Vormagowie byli nieprzewidywalni, podobnie zresztą jak arcymagowie. A jeśli dodać do tego tłum jeszcze Quissa i jego ludzi, to trzeba przyznać, że robiło się tłoczno. Sen z powiek spędzała Caldanowi obawa, że ktoś wyczuje ukryty talizman i rzemyśliwa. Natknę się przypadkiem na niespodziewane znalezisko i Caldan utraci wszystko, co zostało mu po rodzicach. Choć jego kościany pierścień był jedynym niemetalowym talizmanem, o jakim słyszał, wartym prawdopodobnie niemałą fortunę, dla niego przedstawiał wartość niewymierną.

Musiał także wymyślić, jak postąpić z Devenishem, który z pewnością zacznie go szukać, skoro Kristof nie wrócił, a Gazija dalej żyje. No cóż, ponieważ nie da się tego przełożyć na później, lepiej od razu mieć to z głowy.

Przypomniawszy sobie, że Quiss poprzedniego dnia wysłał kogoś po rzeczy, które Caldan zostawił w wynajętym pokoju. Chłopak złapał za swoją torbę, by sprawdzić, czy niczego w niej nie brakuje. Wszystko było na miejscu. Spojrzał skrzywiony na rzemyśliwa Mahsonna. Były dla niego prawie bezużyteczne, podobnie jak talizman znaleziony w siedzibie Joachima.

Ruszył wąskimi korytarzami, ostrożnie odtwarzając w głowie trasę z wczorajszej nocy, gdy przyniesiono Mirandę do kajuty. Wreszcie wyszedł na pokład. Oprócz żeglarzy wypatrzył kilkoro chudych mężczyzn i kobiet ubranych w przeróżne, dobrane na chybił trafił ubrania. Niską kobietę w żółtej spódnicy i czerwonej koszuli, które zupełnie do siebie nie pasowały, o wyglądzie ususzonej jaszczurki nadzianej na patyk, żeby stała prosto. Nieopodal mężczyzna w brązowych, wełnianych spodniach i płaszczu patrzył w słońce, przesuwając dłonią przed oczami, na przemian zasłaniając je i odsłaniając. Caldan postanowił unikać tych dziwnych ludzi i ruszył prosto w stronę burty. Co to za oryginały, ten facet i kobieta...

Zerknął na rzekę i sięgnął do nich zmysłami. I zaraz odskoczył jak oparzony. Oboje byli czarodziejami; czuł wyraźnie ich moc, z którą bynajmniej się nie kryli, ale... nie mieli studni. Niemożliwe, pomyślał natychmiast, choć przecież nie mógł zaprzeczyć temu, co widział na własne oczy. Quiss miał studnię. Caldan zbadał ją wcześniej... Zaraz, ale czy na pewno? Może to tylko zmyłka. Jakim sposobem wyczuł, że ci dwoje to czarodzieje, skoro nie mieli studni? Wtedy przypomniał sobie słowa Kristofa: Gazija i jego pobratymcy to wybryki natury.

To oznaczało, że Kristof także zauważył tę ich osobliwą gęstość. Caldan zawsze myślał, że ma ona magiczne podłoże, ale... istniała też inna możliwość, która zaczęła mu się wydawać coraz bardziej prawdopodobna: że to on widział ich w ten sposób dzięki temu, że był Dotkniętym.

– Caldanie? Tutaj jesteś.

Quiss podbiegł do niego.

– Szukałem cię. – Złapał Caldana za ramię i odprowadził na bok. – Poszedłem zobaczyć, jak się czuje Miranda, i nie znalazłem cię w kabinie. Chodź za mną pod pokład. Musisz się z kimś spotkać. Mamy też do ciebie kilka pytań. I chcemy coś zaproponować.

Zaintrygowany Caldan ruszył za nim, z żalem zostawiając za sobą świeże powietrze górnego pokładu. Jego wcześniejsze doświadczenia z okrętami ograniczały się tylko do „Loretty”. Ruszyli w kierunku kapitańskiej kajuty, ale Caldan nie sądził, by owym kimś miał się okazać kapitan.

Stanęli przed pokostowanymi dębowymi drzwiami i Quiss zapukał delikatnie. Nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka i gestem kazał Caldanowi podążać za sobą.

Kabina była umeblowana podobnie do tej należącej do kapitan Charlotte. Stał w niej stół zasłany mapami przytrzymywanymi w miejscu przez co popadło, pod jedną ścianą piętrzyły się skrzynie, a w kącie Caldan wypatrzył wygodną koję, niemal dwukrotnie szerszą od tej w jego kajucie. Olbrzymie okna wpuszczały do środka mnóstwo światła, nic więc dziwnego, że właśnie to pomieszczenie wybrał Gazija, by zażyć kąpieli słonecznej. W pokoju unosił się słodki, mdlący zapach kadzidła.

Z tak bliska siedzący na krześle starzec wyglądał na jeszcze starszego niż tamtego dnia w przystani. W bladych, poznaczonych



wątrobianymi plamami dłoniach trzymał kawałek papieru i mrużył nad nim zatopione głęboko w czaszce oczy. Jego skóra była tak cienka, że prawie przezroczysta. Caldan widział wszystkie znajdujące się pod spodem żyły.

Gazija skierował wzrok w jego stronę. Caldan skulił się pod tym świadrującym spojrzeniem, ale zmusił się, by stać nieruchomo i nie zdradzić się z emocjami, oprzeć się nagłej potrzebie ucieczki z kajuty. Miał wrażenie, że stary czarodziej przejrzał go na wylot i potępił wszystko, co Caldan uczynił od narodzin aż do dzisiaj.

W końcu mag oderwał od niego spojrzenie.

– To ten sam człowiek? – mruknął do Quissa, widocznie rozzarowany.

– Tak. Jego rzemy...

Gazija uciął wypowiedź ruchem ręki.

– Sam go wypytam.

Złożył list i odłożył go na biurko. Popukał w papier, jakby wciąż zastanawiał się nad jego zawartością. Caldan poderwał wzrok na czarodzieja. Ich spojrzenia znów się zetknęły, a chłopak nie bardzo wiedział, co ma o nim myśleć. Stary mag potrafił za pomocą magii wyssać ciepło z powietrza, a taki pokaz mocy był czymś, o czym nie słyszano od czasów Zdruzgotania. Potem pokonał Devenisha w magicznym pojedynku. Pokonał to mało powiedziane – zrobił z pierwszego arcymaga patentowanego głupca. W dodatku uczynił to bez krztyny strachu i z całą pewnością rozmysłnie.

– Czego ode mnie chcesz? – spytał Caldan z ociąganiem. – I dlaczego akurat ode mnie?

Gazija zacharczał śmiechem.

– Nawet nie podziękujesz za ocalenie swojej damy?

Krew uderzyła Caldanowi do twarzy, spuścił wzrok i odbiegł nim na bok.

– Nie chciałem cię obrazić. Jestem wdzięczny, naprawdę. Gdyby nie Quiss i Adrienne... Miranda pewnie nigdy nie wróciłaby do zdrowia.

– Na pewno nie pomogliby jej w tym arcymagowie – rzekł Gazija. – Do szczętu zniszczyliby jej umysł. Na szczęście ty zrobiłeś coś, co jej pomogło. I tutaj przechodzę do mojego pierwszego pytania. Dlaczego?

Caldan zawstydział się, jakby stanął przed Gaziją nago.

– Znaczący... pytasz, czy ją kocham?

– Och! Nie. To nie moja rzecz. Pytam, dlaczego powierzyłeś uzdrowienie jej arcyomagom?

– Rzeczywiście, poprosiłem ich o to, a właściwie jednego z nich. Arcymaga imieniem Joachim. Był jednym z najpotężniejszych czarodziejów, jakich spotkałem w życiu... i nawet on nie potrafił jej pomóc. Chciałem poprosić o to i innych arcyomagów, bo nie miałem wyboru. Ale...

– Ale co? Straciłeś wiarę we własnych ludzi?

– W jakim sensie?

– Jesteś przecież jednym z nich, prawda? Coś cię z nimi łączy.

– Bynajmniej. Byłem praktykantem u Protektorów. Tyle mnie łączyło z gildią czarodziejów. Przynajmniej jak dotąd.

– Przynajmniej jak dotąd – powtórzył Gazija. – A kim jesteś dla arcyomagów?

Caldan wrócił myślami do kościanego pierścienia. Musiał trzymać karty przy samej piersi. Choć ci ludzie uleczyli Mirandę, nie miał zamiaru zdradzać im wszystkich swoich sekretów. Musiał nabrać pewności, że oni także nie zechcą się nim posłużyć.

– Moi rodzice i być może dziadkowie mieli z nimi jakieś powiązania. Ojciec i matka nie chcieli już służyć cesarzowi. Chciałem dowiedzieć się, jaki był tego powód. Jak pan widzi, ja sam mam czarodziejski talent, a arcyomagowie chcą mnie przy sobie zatrzymać, zwłaszcza odkąd zobaczyli, jak radzę sobie z jukarami. Ale dla nich jestem jedynie narzędziem, niczym więcej.

Narzędziem... i fiolką pełną krwi. Caldan może i był przydatny dla Gazii, ale nie wiedział, jak stary mag zareaguje na wieść, że jest także Dotkniętym.

– Krok po kroku dochodzimy do prawdy – stwierdził czarodziej. – Quiss powiedział mi, że wyrzemyśliłeś owada. Masz go przy sobie?

– Tak – odparł Caldan, sięgając do kieszeni. Wyjął rzemyśliwo i przytrzymał kciukiem i palcem wskazującym.

Gazija wyciągnął do niego rękę i chłopak położył na niej żuka. Jeśli tylko tyle liczą sobie za pomoc Mirandzie, pomyślał, to niech go biorą razem z serdecznym błogosławieństwem i pocałowaniem w rękę.

Wiekowy mag przesunął palcami po zapisanym runami pancerzu i mruknął.

– Taki tusz jest nietrwały – stwierdził. – Nie najlepsza metoda, nie sądzisz?

Caldan przytaknął.

– To wszystko, co miałem do dyspozycji, i zważywszy na okoliczności, myślę, że poradziłem sobie całkiem nieźle.

Z jakiegoś powodu zaczął się bronić. Zupełnie jakby starzec na krześle był egzaminatorem w Gildii Czarodziejów. Caldanowi przyszło na myśl, że choć nie aplikuje na praktykanta, pewnie mógłby wiele się nauczyć od Quissa i Gazii, którzy po ekspercku analizują jego konstrukt.

Na twarzy starca zajaśniała konsternacja. Trącił żuka palcem i uniósł płytkę pancerza.

– Metalowe elementy, nogi i skrzydła, poruszają się same, prawda? Ale potrzebują zasilania.

– Czarodziej musi podłączyć się do żuka, w przeciwnym razie się nie uruchomi.

– A więc połączyłeś wytwór mechaniczny z magią. W całkiem zmyślny sposób, jeśli wolno dodać. – Gazija zerknął na Quissa. – Taki, na który sami nie wpadliśmy.

Caldan nic nie wyczuł, ale runy pokrywające jego żuka błysnęły światłem i owad obrócił się o ćwierć okręgu na dłoni Gazii, gdy zawirowały zębatki mechanizmu. Machnął skrzydłami raz, dwa, trzy razy.

Gazija podniósł dłoń do ust i zakaszłał, aż cały się zatrząsł. Quiss zrobił krok w stronę starca, a potem stanął, jakby stwierdził, że Gazija odrzuci wszelką pomoc, jaką ma do zaoferowania.

Gdy mag przestał kaszleć, zamknął oczy na chwilę, a potem przetarł twarz drżącą dłonią.

– Gazija... – zaczął Quiss.

– Nie teraz! – odwarknął starzec.

Jego wybuch przyniósł ze sobą nową falę kaszlu. Quiss podał czarodziejowi kubek stojący na bocznej szafce. Mag popijał po łyku między kaszlnięciami, aż te ustały, a wtedy odsunął od siebie Quissa.

– Nie wiś tak nade mną. Nic mi nie będzie.

Na szyi młodszego maga pojawiły się żyłki, a pięści się zacisnęły. Ale tylko pokiwał głową.

– Jak sobie życzysz.

Gazija poprawił się na krześle.

– Wracając, Caldanie. Co właściwie robi ten twój owad?

– To prosty projekt, więc poprawną odpowiedzią na to pytanie jest chyba: niewiele. Czarodziej może patrzeć jego oczami i słyszeć dzięki runom na jego bokach.

– Tak, tak. Trzy... jak wy to mówicie, strumienie, podpina się do nóg, oczu i uszu. Dwa kolejne do skrzydeł i dość prymitywnej tarczy. Ale po co on właściwie jest?

Caldan wzruszył ramionami.

– Zwiad? Obserwacja? Pilnowanie tyłów? Gdyby konstrukt był mniejszy, mógłby szpiegować. Miałem zamiar przetestować inne możliwości u tych, które skonstruuje w przyszłości. Ten przydał się w walce z jukarami i vormagami. Podrzucałem im za jego pomocą magiczne ładunki, które potem detonowałem.

Gazija mruknął z dezaprobatą i potrząsnął głową.

– Siermiężne toto. Ale przydatne w walce z tymi, którzy nie są biegli w sztuce magicznej.

Caldan posłał mu mętny uśmiech.

– Jak już mówiłem, miałem kilka pomysłów, które chciałem w przyszłości rozwinąć.

Gazija obrzucił go zagadkowym spojrzeniem, a potem zachichotał.

– No pewnie, że tak. Zmyślny z ciebie chłopak. Mówisz, że widziałeś arcymagów w akcji, gdy walczyli z tą indryallańską czarodziejką? Pewnie nieźle się zdziwili.

Caldan dosłyszał w tonie czarodzieja nutę rozbawienia. W jego uszach zabrzmiała jak dysonans.

– Bawi cię to? Zginęły setki ludzi.

– Ależ wiem o tym, młody człowieku. Ale arcymagowie chodzili wkoło jak ślepcy, podobnie zresztą jak ten wasz cesarz. Dopiero teraz otworzyli szeroko oczy na zagrożenie... a jednak niezupełnie je dostrzegają. Wciąż są zbyt pewni siebie. Bezpiecznie umoszczeni w mocy, którą zagarniają dla siebie od stuleci.

Quiss poruszył się nerwowo za plecami maga i włoski na karku Caldana stanęły dęba. Gazija był zdecydowanie zbyt zadowolony z tego, co się wydarzyło. Przybyli z najemnikami akurat w tym momencie, akurat w odpowiedniej chwili, by obrócić walkę z jukarami i vormagami na swoją korzyść. Niezłe wycucie czasu, jak stwierdził Devenish.

Ostrożnie, upomniał się Caldan. Nie rzucaj się na cienie. Nie oni pierwsi obrali tak okrutną strategię. Naczytał się o podobnych sytuacjach w „Zdrajcach i zdradach” Caedmina Martorela, który szczegółowo opisywał historyczne przypadki brzemiennych w skutki kręctw i szalbierstw. A wiele partii dominionu rozgrywanych przez czterech lub więcej zawodników kończyło się zwykle zwycięstwem tego ze szczególnie smykałą do oszustwa.

Caldan nie sądził, by Gazija był człowiekiem tak bezwzględny, kimś, kto był gotów iść do celu po trupach. Ale nie mógł też przecież udawać, że nie zwrócił uwagi na tak doniosły zbieg okoliczności.

Caldan idealnie panował nad twarzą. Jeśli byli łasi na jego żuka – niech go sobie biorą. Materiały za kilka złotych dukatów to niewielka cena za uzdrowienie Mirandy.

Może wtedy ci dziwni ludzie odczepią się od niego na zawsze.

– Są jeszcze dwie runy łącznikowe – powiedział Caldan, przerywając wiszącą między nimi ciszę. – Miałem dodać inne funkcje, zawładnąwszy większą liczbą strumieni.

Gazija przyjrzał mu się uważnie.

– Na przykład? Niewątpliwie masz na myśli destruktywną lub zniewalającą magię.

– Myślałem raczej o jakimś mechanizmie, który umożliwiałyby żukowi samodzielne funkcjonowanie, bez konieczności ciągłego sterowania. Gdybym miał czas na eksperymenty, myślę, że zbudowałbym taki konstrukt, który wykonywałby drobne zadania samoistnie.

– To możliwe, nie mam co do tego wątpliwości. Ale nas interesuje innego rodzaju potencjał twoich konstruktyw.

O czym on mówi? – zastanawiał się Caldan.

– A konkretnie?

Gazija skwitował pytanie ruchem ręki.

– To na razie nieważne. Ale te runy... są zbyt kruche. A więc także skrzydła i nogi owada. Zaś jego ciało jest puste.

– Zegarmistrzyni, od której kupiłem części, wykonywała ptaki i inne zwierzęta, które poruszały się same wyłącznie za sprawą mechaniki. Większość elementów, których użyłem przy konstrukcji żuka, była wcześniej elementami tego typu urządzeń. Oni nie marnują materiałów, jeśli tylko mogą tego uniknąć. I gdybym miał czas, użyłbym innej metody przy runach kształtowania. Odląlbym je lub wyrył. W filigran bym się nie bawił.

– Te runy są bezużyteczne. Wystarczy zadrapanie lub odprysk tuszu, a cały wzór na nic.

Caldan zdusił przyływ frustracji. Przecież przed chwilą o tym mówił.

– Tak. Ale, jak już wspomniałem, tylko tyle mogłem zrobić. To był eksperyment.

Gazija pokiwał głową, jakby spodziewał się tych słów.

– W torbie masz jeszcze jeden.

Pewność w jego głosie zdradziła Caldanowi, że nie domyśla się, a wie. Może Quiss przeszukał torbę, nim mu ją oddał. Z jakiegoś powodu Caldan szedł o zakład, że starzec wyczuł runy łącznikowe, gdy bawił się żukiem. Wiedział już, do czego jest zdolny Gazija, więc to pewnie dla niego drobnostka.

Caldan położył torbę na podłodze. Sięgnął do niej i wyjął człekokształtną metalową lalkę. Sięgała od łokcia do nadgarstka. Podobnie jak u żuka, jej mosiężna powierzchnia pokryta była runami wyrysowanymi tuszem. Z pozbawionej wyrazu twarzy spoglądała para granatowych oczu.

– Nie miałem żadnego planu, przystępując do tego rzemyślenia – wyjaśnił Caldan. – Po prostu dodawałem runy łącznikowe. Robiłem to na wycucie i szło dobrze, więc nie przerywałem. Oczywiście, ten konstrukt nie lata, za to widzi i słyszy jak żuk. Ma też lepszą tarczę, taką z wieloma łącznikami i kotwicami. Prawda jest taka, że... nie bardzo wiedziałem, dokąd właściwie zmierzam z tymi konstruktami. To raczej hobby niż cokolwiek innego. Zaczynałem od składania papieru, potem przeszedłem do trwalszych materiałów.

– Pokaż, proszę.

Gazija oddał mu żuka, a Caldan postawił na jego dłoni niby-człowieka.

– Dziesięć run łącznikowych? – spytał Gazija, unosząc brew. – Iloma strumieniami teraz władasz?

Caldan nie odrywał wzroku od owada na swojej dłoni.

– Nie jestem pewien. Gdy jestem rozluźniony, może sześcioma. Ale... – zawiesił głos.

– Ale pod presją ta liczba się zwiększa – dokończył Gazija.

– Gdy o nich nie myślę, dochodzą kolejne. Gdy walczyłem z jukarami za murami Starorzecza, musiałem utrzymać chyba z dziesięć. Nie miałem wtedy czasu na myślenie. Musiałem działać, inaczej bym zginął.

Gazija mruknął pod nosem.

– I co myślisz? – rzucił Quiss niespodziewanie, aż Caldan podskoczył. Był tak cicho, że chłopak prawie o nim zapomniał.

– To może zadziałać – odpowiedział Gazija. – Ale to nie będzie łatwe życie.

Quiss splótł palce i potrząsnął głową.

– Zrobimy, jak powiesz...

– Niektórzy zrobią – poprawił Gazija smutnym tonem. – Bo na pewno nie wszyscy. O czym dobrze wiesz.

Caldan patrzył to na jednego, to na drugiego, nie rozumiejąc, o czym mówią. Wyłapywał jakieś złowróźbne tony, jednak nie umiał ulepić z nich zrozumiałej całości. Musiał dowiedzieć się, co się dzieje. Dopóki mu czegoś nie wyjawią, będzie kluczył po omacku.

Opadło go jątrzące uczucie, że chcieli od niego o wiele więcej niż rzemyśliwa. Odchrząknął i obaj czarodzieje skierowali na niego spojrzenia. Choć zupełnie się tak nie czuł, usilnie pozorował spokój, wędrując po kajucie i spoglądając przez okno. Ponieważ drżały mu ręce, złączył je ze sobą.

Lypnął na Gaziję. Wątył starzec. Słabnący z każdym dniem. Czy oni byli tylko złaknionymi mocy czarodziejami. Arcymagowie przedłużali sobie życie, pijąc krew Dotkniętych. Czy ci tutaj także sięgali po nieśmiertelność?

Zbyt późno się zorientował, w jakie bagno wdepnął. W takie mianowicie, z którego może już nie wyjść.

Po co te dramatyczne porównania? – upomniał się w myślach. Wychodziłeś już z o wiele bardziej niebezpiecznych sytuacji. No, może nie o wiele. Ale choćby i chcieli obu rzemyśliw – co z tego? Kiedy już odejdę stąd wraz z Mirandą, mogą z nimi zrobić, co zechcą.

– Jestem wdzięczny za to, co zrobiliście dla Mirandy. – Zwrócił się twarzą do magów. – Mam nadzieję, że te rzemyśliwa wystarczą za podziękowanie.

– Bynajmniej, ale to dobry początek – stwierdził Gazija. – Ale nie sprzedawaj się ani tego, co twoje, tak tanio.

Więc chodziło o talizmany Caldana? Czy Gazija wiedział także o kościanym pierścieniu? O krwi?

Gazija podniósł metalową figurkę, zakołysały się wiszące luźno ręce i nogi.

– To rzemyśliwo to dobry początek... Wezmę je na razie. Lecz potrzebne nam też twoje umiejętności. Pokaż Quissowi, jak działają w zespoleniu rzemyśliwa i mechaniczne elementy. Mógłby dojść do tego sam, ale oszczędzisz nam nieco czasu. Skontaktujesz go też z tą zegarmistrzynią, o której wspomniałeś.

– Zrobicie więcej konstruktów? Po co?

– Wybacz, ale to już nasza sprawa. Pamiętaj, że jesteś naszym dłużnikiem. Jesteś teraz z nami związany i...

A więc nie – nie ufali Caldanowi. Więc dlaczego on miałbym ufać im?

– Dość – powiedział z naciskiem. – Męczy mnie już to przestawianie z pola na pole, jakbym był figurą na planszy. Nie jestem związany ani z wami, ani z nikim. I nie mam zamiaru robić nic wbrew własnej woli. Oddaję wam konstrukt. Dług uważam za spłacony. Zgoda?

Gazija skrzywił się i zerknął na Quissa.

– Zgoda – rzekł w końcu. – Tyle że masz teraz na karku arcymagów. Będziesz potrzebował ochrony. Nie możesz ot tak wrócić do Starorzecza. Zabiją cię.

Oczywiście, Caldan wiedział o tym, ale teraz dotarło do niego, że nigdy dotąd nie pomyślał o drugiej połowie równania. Stary czarodziej miał rację: jakkolwiek by patrzeć, rzeczywiście był teraz z nimi związany.



– Jeśli oferujecie ochronę, to ją przyjmę – rzekł Caldan. – Ale nie będę niczym sługą. Jeśli mamy się sprzymierzyć, musimy być wobec siebie szczerzy.

– Dobrze...

– Chcę też, żebyście uczyli mnie magii destruktywnej i zniewalającej.

– Zgoda – przystał Gazija, nieco zbyt szybko jak na gust Caldana. – Prędko jednak odkryjesz, że w porównaniu do waszej magii, nasza jest nieporównanie bardziej skomplikowana.

– Każda magia jest taka sama. Każdy z talentem może zrobić to samo, co inny.

Gazija otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Obdarzył Caldana cierpkim uśmiechem.

– Masz rację. – Starzec odchylił się na krześle i zamknął oczy. – Quiss, zabierz Caldana z powrotem do kajuty. Jestem zmęczony. Muszę się przespać.

Młodszy mag przywołał Caldana gestem i zostawili Gaziję samego z rzemyslniczym konstruktem w zwiędłej dłoni.



**Q**uiss wskazał Caldanowi kajutę obok Mirandy, gdzie rozsiedli się wygodnie na kojach po przeciwnych stronach pomieszczenia.

– Jak ukształtowałeś magię, którą zabiłeś Kristofa? – spytał Quiss.

– To był... wystrzał surowej energii – powiedział Caldan. – Zniewalające runy uformowały ją, wykoślawiając i przekierowując energię z mojej studni.

– Zgaduję, że zrobiłeś to instynktownie. W desperacji, sam nie wiedząc do końca jak.

– Tak... i nie. Zacznę od początku.

I tak właśnie zrobił... Wytłumaczył wszystko od samego początku. Wyłożył Quissowi swoje spostrzeżenia i opisał doświadczenia związane z magią destruktywną. Opowiedział o ucieczce z celi z Senirą i o tym, jak zginęła, będąc pod jego opieką. O tym, jak próbował zamknąć drzwi Gildii Czarodziejów i jak magia utrzymała się, choć papier uległ dezintegracji, nadmieniając przy tym, że to wydarzyło się, gdy był wystraszony i spanikowany. Wspomnił o Dzwonkach generującej destruktywną magię oraz o odpowiedzi arcy magów. Opowiedział, jak czarodzieje ukierunkowali surową, niszczycielską moc swoich studni i jak posłużyli się magią bez użycia fizycznego rzemyśliwa. Rzemyśliwa tworzącego niewidzialną energię odporną na korozję, za której pomocą następnie roztoczono kontrolę nad magią destruktywną. To było... niesamowite.

– Nie próbowałeś od tamtej pory replikować swojej magii?

– Wtedy gdy uciekałem przed Dzwonkami, niezupełnie rozumiałem, co dokładnie robię. Nie myślałem jasno. Po prostu biegłem przed siebie. Próbowałem przeżyć. Nawet teraz nie potrafiłbym pogodzić jednego z drugim: zniewalającej, ochronnej i destruktywnej magii złączonych w jeden strumień, niepotrzebujących fizycznego rzemyśliwa...

Quiss podrapał się w podbródek, marszcząc brwi.

– A więc można powiedzieć, że władasz taką magią tylko w chwilach wielkiego zagrożenia? Kiedy sytuacja cię przytłacza? I właściwie nie wiesz, jak to się dzieje?

Dlaczego ta kwestia była dla Quissa tak istotna? Caldan czuł, że już na to pytanie odpowiedział, a jednak mag cały czas naciskał. Czy Gazija i Quiss chcą go przekonać, że ta magia jest niebezpieczna, bo naprawdę taka była, czy może dlatego, że uważali to za swój sekret, który on przypadkiem odkrył? A może sami nie byli w stanie nią władać i chcieli poznać jego metodę?

Ale Caldan przestrzegł Gaziję, że nie będzie kluczył po omacku. Jeśli chcieli czegoś od niego, mogli po prostu zapytać.

– Niezupełnie – skłamał Caldan. – To się po prostu stało raz, a potem drugi raz. Nie mogłem myśleć o niczym, tylko o przetrwaniu. Miałem otwartą studnię. Nie wiedziałem, co trzeba zrobić. Zresztą... to się wydarzyło tak szybko.

A jednak dokonał tego i było to niesłychanie trudne. Mógł tylko przekierować moc, nim usmażyła mu mózg. Quiss warknął pod nosem i spojrzał na Caldana spod przymrużonych powiek. Chłopak zaśmiał się nerwowo i, miał nadzieję, autentycznie.

– Jeśli to wydarzy się ponownie, to najprawdopodobniej w sytuacji, gdy będzie groziła mi śmierć, więc... pewnie i tak zginę, jak sam zresztą powiedziałeś. Po prostu muszę zadbać o to, by nigdy już nie znaleźć się w takiej sytuacji, gdy desperacja zmusi mnie do takiego ryzyka.

– Łatwo powiedzieć – skwitował czarodziej. – Ale mimo to nie rób już tego więcej. Nawet w ramach eksperymentów. Nie chcesz chyba, żeby Miranda znalazła cię tutaj martwego na podłodze? Z głową roztrzaskaną jak upuszczony arbuż?

– Nie – odparł Caldan, nie musząc dokładać starań, by zabrzmiało to szczerze.

Możliwe jednak, że tak jak czarodziej może nauczyć się wyprowadzać ze studni więcej strumieni, tak samorodny talent może zdecydować o przewadze nad innym czarodziejem, który ma tego talentu mniej, choć posiadał wiedzę. Mogli istnieć czarodzieje, którzy posługiwali się magią w ten sposób, wcale się nie męcząc. Na tym etapie wszystko już było możliwe.

– Świetnie. Wróćmy do konstruktów. Sądzimy, że masz talent do tej dziedziny magii, którego nie posiadamy ani ja, ani Gazija. Chcemy... – Quiss zawahał się nagle, jakby powiedział za dużo – żebyś ulepszył figurę, którą dałeś Gazii.

Którą Gazija wziął jako zapłatę.

– Oczywiście.

– I żebyś użył do tego magii zniewalającej.

Caldan rozdziawił usta.

– Zniewalającej, mówisz? W jakim charakterze? Znacząco chcecie, żebym zrobił?

– Tym się na razie nie frasuj. Ułożyliśmy kilka wzorów runicznych, ale nam się nie zająbiają. Wiemy, że coś nam umyka. Nie nawykliśmy do pracy z rzemysliwymi kowalotwórczymi. Czasem nasza magia po prostu nie wchodzi w interakcję z konstruktami. Rzuć na to okiem, proszę.

Caldan popatrzył uważnie na podsunięte przez maga papiery. Skoro są w tak zaawansowanej fazie eksperymentów, to musieli już wcześniej mieć do czynienia z jego rzemyśliwami.

– Szperaliście w moich rzeczach? – spytał wprost.

– Jasne, że tak – odparł Quiss bez śladu poczucia winy. Zaczął rozkładać arkusze na koi w kilku równych plikach. Każda stronica pokryta była diagramami i zasypana drobnym maczkiem notatek.

Musieli nad tym pracować długie godziny, uświadomił sobie Caldan. I na pewno więcej osób niż tylko Gazija i Quiss. To musi być dla nich ważne.

Caldan pokiwał głową, czując na sobie wyczekujący wzrok chudzielca.

– Spojrzę. Może znajdę błąd.



18

**F**elice nie odejmowała oczu od Izaka, który machnął pełną szklanką w jej kierunku. Zawartość przelała się przez zrub naczyń i strużka alkoholu zwilżyła mu palce.

– Czarna góra, która rozplynęła się w powietrzu? – powiedział. – A raczej przelazła przez krawędź przepaści i zniknęła? Moja droga Felice, coś ty piła i czy mogę łyka?

– Przede wszystkim coś mi się widzi, że masz już dość. Wiem, co widziałam. To nie był człowiek. Gdyby to nie było niemożliwe,

powiedziałabym, że to był jakiś stwór ze Zdruzgotania.

Izak zadrżał.

– Dobrze, że nie mogą opuszczać Spustoszonych Ziemi. Ale kto wie co jeszcze się na nich ukrywa? Poszukiwacze skarbów przynosili stamtąd niestworzone historie. Na przykład jeden powiedział mi...

– Dość, nic już nie mów. I przestań pić. To poważna sprawa i musisz mi z nią pomóc.

Izak zajrzał do szklanki, rozmyślając o złotym płynie z zielonymi drobinkami, który w niej pływał. Z westchnieniem odstawił naczynie na marmurowy blat i zanurzył się głębiej w fotelu.

Tego wieczora znaleźli się w drogiej karczmie w centrum Pięciokwiatu. Zatrzymają się tu na jedną noc, potem ruszą dalej. Odkąd uwięził ją Savin, Felice nie spędziła w jednym miejscu więcej niż dwóch nocy.

– Racja. Piję, kiedy się denerwuję. Albo gdy jestem nieszczęśliwy. Lub szczęśliwy.

– W najbliższych dniach będziesz musiał mieć głowę w stanie używalności, więc przystopuj. Musimy spotkać się z Rebecci. Ona będzie wiedzieć, kim jest ten ktoś. W końcu to ona umówiła to spotkanie. Ukrywała przede mną informacje, a ja, jeśli mam doprowadzić tę sprawę do końca, muszę wiedzieć wszystko.

– Wciąż nie wiem, jak oni zrobili to Savinowi. Wyssali mu umysł, jakby opróżniali butelkę.

– Nie musimy rozumieć, co mu zrobili. Potrzebujemy tylko, żeby to zadziało. A najwidoczniej działa.

– Byłem tylko ciekawy.

Wydawał się urażony.

– Zainteresuj się tym, co ważne: Kelhakiem. On przywłókł tu Indryallan, a oni ślepo poszli za nim. A przynajmniej większość. Bo tych opornych... po prostu stracił.

Izak spochmurniał.

– Też słyszałem plotki. Mówią, że oni sami zupełnie się tego nie spodziewali. A niektórzy z tych, co za nim poszli, teraz zaczynają powątpiewać.

– I dobrze, powinni. Nie wiem, co dzieje się poza murami Anasomy, ale jestem pewna, że zdobyli miasto, żeby wykorzystać je

w charakterze pułapki. Jeśli uda nam się pokrzyżować tę część jego planów, uznam, że zrobiliśmy wszystko, co się dało.

– Krążą plotki, że indryallańscy żołnierze przeszukują podziemia miasta. Wiesz, że Anasomę wzniesiono na gruzach innej metropolii, która istniała tu przed Zdruzgotaniem?

– Coś słyszałam – odrzekła, przypomniawszy sobie słowa asasyna z Popielnego Wzgórza. – Ale przyjęto, że miasto zostało pogrzebane dawno temu. I że istnieją mapy zapomnianych tuneli, które zbudowano setki lat temu. Domyślasz się, czego tam szukają?

– Nie mam bladego pojęcia. Ale może to jeden z powodów, dla których zajęli Anasomę. Sama powiedziałaś, że to bez sensu, zdobyć miasto i w nim siedzieć. Nawet jeśli potrzebują go w charakterze pułapki.

Felice wciągnęła powietrze przez zęby i wstała z krzesła.

– To przecież... Zaraz...

Oczywiście! Niby w jakim sensie odgródzone miasto miałyby stać się pułapką? Pułapką na kogo? Ta gadanina o pułapce to przykrywka. Muszą czegoś szukać. W tych starych tunelach. Jak ten skrytobójca to ujął? Przed tym miastem było tu inne miasto. To tutaj pradawni magowie stworzyli jukarów... i nie tylko ich.

– Izaku, mogłabym cię wycalować.

Izak wyszczerzył się szelmowsko i pogładził bródkę.

– Trudno, skoro musisz...

– Jestem pewna, że szukają tu czegoś konkretnego – skonkludowała Felice. Zaczęła chodzić w kółko po grubym dywanie.  
– To jedyna ewentualność, która ma krzytną sensu.

Pstryknęła palcami na Izaka.

– Co?

– Musisz potwierdzić te plotki i dowiedzieć się więcej. Pogoń swoich informatorów do pracy. Chcę wiedzieć, ilu Indryallan jest zaangażowanych w poszukiwania i gdzie one mają miejsce.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Tylko o tyle śmiem prosić. Czuję, że jesteśmy na dobrym tropie. Czuję to w kościach. No to jak, gotowy?

Izak spojrział tęsknie na to, co ostało się jeszcze w szklance, a potem odwrócił wzrok i westchnął. Wstał i wygładził płaszcz.



– Tak. Zobaczymy, co ma do powiedzenia Rebeci teraz, gdy już spotkałaś się z tym... skrytobójcą.



**A** co z ciałem?  
Caldan wzruszył ramionami, krzywiąc się na myśl o zwłokach Kristofa.  
– A ja wiem? – odpowiedział Mirandzie. – Przecież nie mogę teraz wrócić do arcymagów. Zabiją mnie za to, co zrobiłem, a co zrobią ze mną Dotknięci, to lepiej nie myśleć.  
– Nie możesz do końca życia uciekać i przed nimi, i przed arcymagami. Dopadną cię prędzej czy później.  
Caldan rozłożył ręce z bezradności.

– Mógłbym zwrócić im ciało Kristofa...

– I powiedzieć im, że Gazija zabił go destruktywną magią?

– Nie. To tylko bardziej nastawi ich przeciw Gazii. Będę musiał przyznać się, że to ja zrobiłem. W obronie własnej. Że próbowałem mnie zabić.

Miranda złapała go za ucho i szarpnęła w dół.

– Głupku jeden! – wykrzyknęła. – Nie możesz wrócić ani do arcy magów, ani do Dotkniętych. Czy chcemy, czy nie, trzymamy teraz z Gaziją.

Caldan sięgnął ręką do jej palców, żeby się wyswobodzić. Rozmasował delikatnie pulsującą tęnym bólem małżowinę. Miranda szybko wracała do zdrowia.

– Więc co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

Dziewczyna błysnęła uśmiechem.

– „My”. Podoba mi się, jak to brzmi. Myślałeś, że arcy magowie zdołają mi pomóc, ale teraz to już nieaktualne. Dzięki Quissowi wróciłam do zdrowia. Dotkniętych możemy zignorować, bo są pod całkowitą kontrolą arcy magów. To na nich musimy się skupić.

Caldan kiwnął głową. Miranda miała rację. Prawdziwym kłopotem byli arcy magowie i cesarz. Caldan usiadł bliżej Mirandy, a ona oparła mu głowę o bark. Otoczył ją ramionami i zaczął głaskać po włosach.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział, sam w to nie wierząc. – Przebyłem daleką drogę od Anasomy. Moja magia jest teraz znacznie potężniejsza i władam nią o wiele sprawniej. Nie jestem już tym naiwnym chłopcem, który wszedł na pokład „Loretty” – powiedział i zerknął w dół na malujący się na jej twarzy maleńki uśmiech. – Mogę wiele się nauczyć od Quissa i Gazii, jeśli tylko zechcą mnie uczyć. Lada moment może się okazać, że arcy magowie nie są już dla mnie zagrożeniem.

– Sam w to nie wierzysz.

– Muszę w to wierzyć. Nie wolno mi się poddać. Nie ma sytuacji bez wyjścia, trzeba je tylko znaleźć.

Caldan ścisnął ją mocniej.

– Delikatniej – wykrzyknęła. – Bo mnie rozkwasisz.

– Wybacz. – Wcale nie było mu przykro. – Kristof i Devenish nie rozstali się w najlepszych stosunkach. W powietrzu można było

zawiesić siekiere. Wydaje mi się, że już od jakiegoś czasu Devenish przebąkiwał o przejściu Kristofa na emeryturę. Ciekawe, czy uda mi się to jakoś wykorzystać...

Miranda dała mu sójkę pod żebro.

– A o arcymagach pamiętasz? Przecież to na nich mieliśmy się skupić.

– Devenish... Muszę założyć, że wszyscy arcymagowie są... amoralni. Postępują jak zwyrodnialcy i robią to z rozmysłem. Trzeba ich powstrzymać.

Miranda poruszyła się, wtulona w jego pierś. Uniosła rękę i mocno trzepnęła Caldana w ramię.

– Nie o tym mówię. Nie masz iść na wojnę z arcymagami. Po prostu wymyśl, jak zrobić, żeby oni nie poszli na wojnę z tobą. Nie zdołasz sam naprawić wszystkiego, co jest nie tak z tym światem.

– Ktoś musi coś zrobić.

– A Indryallanie? – powiedziała Miranda i zacisnęła usta. – Zapomniałeś o nich? Oni są największym zagrożeniem. Mówiłeś mi o rzeczach, które potrafi Kelhak... I cesarz... Gdy o tym pomyślę, krew ścina mi się w żyłach. – Pokiwała głową. – Tak, ktoś powinien coś zrobić... ale nie my. To nie nasza liga. Proszę, Caldanie. Przyjdzie czas na rozrachunki, ale nieprędko i na pewno nie teraz. Zostaw to. Skup się na znalezieniu wyjścia z tego bałaganu, w którym się znaleźliśmy. Nie uporządkujemy go, możemy tylko spróbować się z niego wyplątać. Arcymagowie nie odpuszczą, będą cię ścigać. Powiedz, że poprosisz Quissa i Gaziję o pomoc. Nie, nie powiedz, tylko mi przyrzeknij.

Caldan gapił się prosto przed siebie.

– Musimy zrobić wszystko, żeby przeżyć. Jasne, że poproszę ich o pomoc. Nie mam teraz innego wyjścia.

– Kolejny fałszywy krok i będzie po wszystkim. Bardzo nie chcę... cię stracić. Znajdziemy wyjście.

A jednak Caldán nie mógł uwolnić się od uporczywej myśli. Właściwie czemu to nie oni mieliby uporządkować ten bałagan? Jeśli on zostawi to i nic nie zrobi... to kim się stanie? Co pomyślałby o nim Simmon, gdyby wciąż żył?

A jednak... wiedział, że Miranda ma rację. To za wysokie progi na jego nogi... Może nigdy nie będzie w stanie ich przestąpić. A przecież

nie tkwił w tej kabale sam. Byli i inni. Miranda cudem ocalała i cudem wróciła do zdrowia.

– Tak się cieszę, że wyzdrowiałaś – wymówił nagle przez ściśnięte gardło. Słowa zabrzmiały w jego uszach zbyt słabo, nie oddawały w pełni ogromu uczuć. Może nie istniały słowa, którymi zdołałby je oddać. Bezgłośnie oczyścił gardło. – Ja też nie chcę cię stracić – wyznał.

Poczuł, jak Miranda rozluźniła się przy nim. Westchnęła i trąciła guzik jego koszuli kciukiem i palcem wskazującym.

– Po prostu... po prostu mi powiedz, że znajdziemy jakieś wyjście. I przytul mnie mocniej.

Caldan pogładził dziewczynę po głowie. Chciał ją pokrzepić, ale jej włosy pod palcami wyostrzyły tylko jego zmysły na tę bliskość. Krew zerwała się do biegu w żyłach, szum w uszach niemal zagłuszył każdy inny dźwięk. Ledwie oddychał. Delikatnie przesunął kciukiem po policzku Mirandy i ze zdumieniem odkrył, że jest mokry.

Łzy. Nie potrafił powiedzieć, czy to ulga, strach, czy może jeszcze coś innego.

– Poradzimy sobie – zapewnił ją. Choć nie miał prawa być tego pewnym.

Arcymagowie, Indryallanie, jukarowie, vormagowie, Protektorzy... nie wspominając Gazii i jego zagadkowych dążeń... Będą mogli mówić o szczęściu, jeśli wyjdą z tego bez szwanku. A jednak teraz, gdy trzymał Mirandę w ramionach, czuł, że mógłby rzucić wyzwanie całemu światu.

– Wiem – odparła drżącym głosem. Otarła twarz i popatrzyła na niego.

Jej zielone oczy ściągnęły jego spojrzenie i Caldan wstrzymał oddech, nie chcąc, by ta chwila przeminęła.

– Pocałujesz mnie czy nie? – spytała z szelmą w oku.

Caldan wsunął palce w ciemne włosy Mirandy i ujął czule tył jej głowy. A potem zbliżył usta do jej warg.



**W**eszli do budynku Kompanii Handlowej Pięciu Oceanów przez boczne, nierzucające się w oczy drzwi.

Felice szła przodem, Izak za nią. Mijali magazyny, skrytki i składziki oraz zapyziałe biura i kantorki, które rozpoznali po zalegających na biurkach drewnianych stojakach na monety i liczydłach. Felice podbiegła schodami na piętro i przeszła przez drzwi prowadzące do gabinetów.

Tam przystanąła. Coś było nie tak.

W powietrzu czuło się dziwną martwość. Nie słyszała zwyczajowych dla tego miejsca dźwięków. Żadnych kroków pracowników, którzy zwykle przemierzali korytarze i uwijali się w gabinetach. Nie płonęła żadna z zapalonych przeważnie oliwnych lamp. Całe światło w korytarzu dobiegało z czarodziejskiej kuli zawieszanej nad wejściem do biura Rebecci.

Z miejsca, gdzie Felice stała, widziała wyraźnie uchylone na grubość dłoni drzwi.

To niepodobne do Rebecci. I bardzo podejrzane.

Obróciła się do Izaka z palcem wskazującym na ustach. Kiwnął głową na znak, że rozumie. Jego ręka popelzła do miejsca na pasie, gdzie zawsze nosił teraz nóż. Nie pasował mu, ale lepiej, żeby go miał. Ostrożności nigdy za wiele.

Wstrzymując oddech, odczekała cierpliwie parę chwil, przenikając wzrokiem półcień korytarza i nasłuchując jakichś dźwięków, które mogłyby dobiec ją z biura Rebecci. Wreszcie nabrała pewności, że jest puste. Skinęła na Izaka, by siedł za nią, a sama zakradła się w kierunku gabinetu, trzymając się ściany, by nie wzbudzić skrzywienia desek podłogowych.

Z rozłomotanym sercem podeszła do drzwi, pchnęła je i weszła do środka. Zachłysnęła się smrodem zgnilizny. Ścisnęła nos palcami i zakryła usta dłonią.

Na biurku znalazła źródło tego fetoru.

Rebecci.

Rozciągnięta na stole z poderżniętym gardłem. Krwawe plamy pokrywały jej szyję, sukienkę i blat. Była przywiązana do mebla szorstkimi linami za ręce i nogi.

Felice przełknęła ślinę. Zza jej pleców dobył się cichy jęk Izaka.

Ktoś przełamał czarodziejskie zabezpieczenia Rebecci i ją zabił. Ale jeśli rzeczywiście była podobna do Savina... to czy naprawdę nie żyła? Czy może pojмали ją, jak ona zrobiła to z Savinem?

Niech to szlag... Diamentowe rzemysłliwo. Gdzie ono jest?

Oderwała oczy od widoku krwi i pomacała klatkę piersiową Rebecci, szukając łańcuszka i wisiorka.

Nie ma. Ktokolwiek ją zabił, zabrał klejnot z Savinem. Co oznaczało, że wiedział dokładnie, gdzie go nosiła i co zawiera.

Owszem, mogli po prostu obrabować czarodziejkę, ale... scena zbrodni nosiła znamiona jakiegoś rytuału. I Felice poważnie wątpiła, czy zwykły złodziej mógłby choć zbliżyć się do kogoś obdarzonego mocą Rebecci.

– Izak, sprawdź biurko. Zobacz, czy znajdziesz tam coś ciekawego.

– Tak... już... – zająknął się mężczyzna i okrążył mebel, po czym zaczął szperać po szufladach i grzebać w szafkach, wertując papiery.

Felice myślała intensywnie. Albo dokonali tego ci dwaj mali czarodzieje, których spotkały w przystani, albo nawet sam Kelhak. W Anasomie nie pozostał żaden inny czarodziej ani Protektor, którzy mogliby to zrobić. Felice potrafiła rozpoznać, kiedy natrafiła na przeciwnika, którego nie ma szans pokonać.

Muszą stąd uciekać. I to szybko.

Ale przecież nie mogli zostawić tak Rebecci.

– Nic – zaraportował Izak. – Tylko rejestry, dokumenty...

Felice krótko skinęła głową.

– Przetnij jej więzy. Niewiele możemy zrobić, ale nie mogę na nią patrzeć w tym stanie.

Ułożyli ramiona Rebecci na piersi i skrzyżowali nogi w kostkach. Izak odciął kawałek materiału z sukienki czarodziejki i zakrył nim poszarpaną ranę na gardle.

Wyszli bez słowa.





**C**aldan zmrużył oczy na słońcu, a potem spojrzał ponad burtą tam, gdzie kolumny Kołczanów i oddziały kawalerii mknęły na pole bitwy, by zluzować utrudzonych towarzyszy.

W środku nocy obudziły go eksplozje i dźwięk przypominający bzyczenie rozwścieczonych szerszeni, który jednak ucichł, zanim Caldan zdążył przetrzeć zaspane oczy. Wyglądało na to, że arcyomagowie napotkali w vormagach godnego przeciwnika.

Cokolwiek się tam stało, Caldan nie wyczuł działania magii, a obie strony gromiły się tylko spojrzeniem przez wąski pas ziemi niczyjej zawalony trupami i porzuconą bronią. Ciężkozbrojni tarczownicy utworzyli szyk przed gromadą łzej opancerzonych włóczników. Między dwiema masami wojowników śmigały sporadycznie strzały. Może kończyła się amunicja? Później gdy zrobiło się jaśniej, walki wznowiono i bitewny zgiełk złał się w uszach Caldana w jeden szumiący puls.

Chcąc odwrócić uwagę, pomyślał po raz nie wiedzieć który. Prawdziwym zagrożeniem był Kelhak. Jukarowie i vormagowie po prostu odciągali arcymagów od starcia z Indryallanami.

Obejrzał się na nadchodzącego Quissa. Czarodziej wyglądał ponuro, ale Caldan ucieszył się na jego widok. Był im dozgonnie wdzięczny za pomoc, jakiej udzielili Mirandzie, a wczoraj, gdy do późnej nocy rozmawiał z Quissem o magii, chłopak po raz pierwszy poczuł się tak, jakby rozmawiał... może nie jak równy z równym, ale przynajmniej z kolegą po fachu.

– Zbliża się do nas grupa ludzi – oświadczył Quiss. – Nie czarodzieje, ale ktoś podobny do ciebie. Czego tu szukają?

Caldan chwilę zwlekał z odpowiedzią.

– Idą po Kristofa – odrzekł po chwili. – Ja mniej ich obchodzę. Założyli zapewne, że Kristof i ja zostaliśmy zabici albo uwięzieni. Albo mnie zabrakło odwagi, by wykonać zadanie. W każdym razie wiedzą, że coś poszło nie tak, i chcą sprawdzić, co się stało.

Quiss położył dłoń na ramieniu Caldana.

– Jesteśmy z tobą. Stawimy im czoła stąd.

– Powinienem oddać im Kristofa. W geście dobrej woli. To niewiele i zniechęca mnie, ale trzeba uniknąć nowego rozlewu krwi. Zorganizujesz mi jakieś nosze? Pójdę po ciało.

– Dobrze – odpowiedział Quiss, jednak wyraz jego twarzy mówił dobitnie, że nie uważa tego za dobry pomysł.

Caldan skłonił się magowi, otarł zwilgotniałe dłonie o spodnie, a potem poszedł po martwego Dotkniętego. Skóra Kristofa była blada i lepka, ale Caldan ku własnemu zdumieniu spostrzegł, że Dotknięty nie zmienił się tak bardzo od chwili śmierci. Chłopak poprosił o pomoc jednego z marynarzy i wspólnie wynieśli ciało na górny pokład. Quiss czekał już na nich przy trapie ze zmajstrowanymi

naprędce noszami. Idące ku nim postacie rosły w oczach. Tuzin mężczyzn i kobiet ubranych w nijakie ubrania, skrzących się od broni i talizmanów.

Quiss miał rację, to byli Dotknięci.

Caldan zmełł przekleństwo i wciągnął Kristofa na nosze. Ciało owinał kocem, tak by zakryć wypaloną w jego piersi dziurę. Druga, ta w szyi, była widoczna. Po chwili namysłu Caldan schylił się i ją również zakrył. Zwlókł ciało po trapie na nabrzeże i tam czekał zdenerwowany na nadejście byłych towarzyszy.

W świetle poranka twarz Kristofa tchnęła spokojem. Czyste powietrze i blade światło słońca wydawały się przydawać doniosłości jego pośmiertnemu powrotowi do swoich. Caldan chciał oddać go towarzyszom z jak największym szacunkiem. Niewiele więcej mógł zrobić.

Myślamy zahaczył Mirandę i to, co wydarzyło się między nimi. Nigdy jeszcze nie czuł czegoś podobnego. Nie chodziło tylko o fizyczność, ale też o osobliwe wrażenie, którego nigdy wcześniej nie doświadczył. Ekscytacja i spokojne zadowolenie z nutą tęsknoty. To było coś więcej niż pociąg i coś potężniejszego niż zwykły afekt. Nie tylko głębiej zastanawiał się nad niebezpieczeństwem, w które, chcąc nie chcąc, wplątał także Mirandę, ale i w dwójnasób był teraz zdeterminowany, aby osiągnąć swoje cele. Zyskają wolność tylko wtedy, gdy zaczniesz się jeszcze bardziej starać i odważnie podejmować trudne decyzje.

Dlatego właśnie postanowił w pierwszej kolejności spotkać się z Dotkniętymi, żeby to im pokazać ciało. Opowiedzieć swoją wersję wypadków. Pokazać, że arcymagowie i to, co robią, jest złe. Wiedział, że nawet bez dowodów wielu mu nie uwierzy. A inni, choćby pokazać im dowody, zanegują je, mimo że ujrzą je przecież na własne oczy. Ale jeśli by uwierzył mu tylko jeden z nich – uznał, że warto to zrobić.

Gdy zbliżyli się na tyle, by mógł rozpoznać ich po twarzach, odkrył z zaskoczeniem, że nie ma pośród nich Devenisha. Może Devenish sądził, że jego obecność będzie równoznaczna z przyznaniem się, że to arcymagowie stali za nieudaną próbą skrytobójstwa? A kolejna konfrontacja była ostatnią rzeczą, której potrzebował teraz pierwszy arcymag. Nie był przecież głupcem.

Lecz ktoś mógłby to uznać za oznakę słabości. Było tak, jakby Devenish już wyczuł, co się stało, ale też wiedział, że nic nie może na to poradzić.

Machinacje szły pełnym pędem, aż Caldana rozboleła głowa. Westchnął i odjął wzrok od zbliżającej się procesji. Jeśli miał jakieś złudzenia co do tego, że ścieżka, którą wybrali wraz z Mirandą, jest najeżona niebezpieczeństwami, te opuściły go teraz całkowicie.

Dotknięci zbliżyli się i stanęli w pewnej odległości, a Caldan czuł na sobie ich wzrok. Podniósł ramiona noszy i umieścił je przed nimi.

Wśród Dotkniętych znaleźli się Lisanette i Edelgard oraz uzdrowicielka Tamara. Cała trójka wyszła naprzód.

– A więc do tego doszło... – powiedziała Lisanette ze smutkiem.

Caldan zobaczył, jak Tamara otwiera szeroko oczy, rozpoznając Kristofa. Odwrócił wzrok, nie mogąc znieść wyrazu przerażenia i rozpacz, który pojawił się na jej twarzy.

Lisanette wbiła się spojrzeniem w ciało Kristofa, obejmując ramionami brzuch. Łzy ciekły jej po policzkach.

Caldan zaczął odwiązywać Kristofa od noszy, rzuciwszy na ziemię koc, którym Dotknięty był przykryty.

– Lepiej, żebyś miał dobre wytłumaczenie – zawarczała Lisanette łamiącym się głosem.

Zerknął na nią. Wrogość w jej oczach sprawiła, że niemal się cofnął. I wtedy zrozumiał, że ujawnienie im prawdy to tylko pobożne życzenia. Nie miał szans na to, by przełamać ich zwątpienie i nieufność, którą go teraz darzyli.

I ta myśl wzbudziła w nim złość. Caldana zacisnął pięści tak mocno, że aż zbieleły mu knykcie. Mógłby w kilka zdań wszystko im wytłumaczyć. Wyjaśnić im ich położenie, olśnić co do arcymagów i ich machinacji... ale oni już odcięli się od niego. Twarze Dotkniętych mówiły jasno, że nie są w nastroju do słuchania wyjaśnień, a już na pewno nie przyjmą rewelacji, które roztrzaskają ich mały świat w drobny mak.

Nie, Dotknięci sami będą musieli zatroszczyć się o siebie. Kto wie czy lata temu rodzice Caldana nie doszli do podobnych wniosków. Chłopak czuł, że ma rację. Czuł w sercu, że jego myśli biegną właściwym torem, że wyciągnął właściwe wnioski. Są sprawy i zależności, przeciw którym nic nie wskórasz, choćbyś wypruł sobie

żyły. Jeśli Dotknięci chcą dalej toczyć swoją przekłętą egzystencję – droga wolna. On sam wraz z odzyskaniem Mirandy zyskał nową nadzieję i roztaczała się przed nim zupełnie inna droga.

Czując na sobie nienawistne spojrzenia, zdumiał się, słysząc, że ktoś odchrząknął, jakby miał zamiar coś powiedzieć. Uświadomił sobie, że zamarł w bezruchu, klęcząc przy noszach z rękami wczepionymi w węzeł. Rozwiązał go i odstał do tyłu, jakby składał Dotkniętym cichą ofiarę, a potem podniósł wzrok na nich i na Tamarę.

Na wszystkich twarzach malowały się złość, smutek, wrogość i niedowierzanie. Dokładnie tak, jak życzyłyby sobie tego Devenish. Niech będzie przeklęty.

Tysiąc myśli, choć właściwiej byłoby nazwać je wymówkami, rozbłysło w głowie Caldana. Ale żadnej nie warto było wypowiadać. Dotknięci i tak najchętniej już utopiliby go w łyżce wody, nie było więc sensu dodatkowo ich antagonizować.

Czuł jednak, że to nie wystarczy. Musiał przestać kłamać i poważać się na trudne decyzje.

Caldan obejrzał się na Quissa i innych czarodziejów stojących przy burcie. Jeśli źle to rozegra i Dotknięci go zaatakują, wszyscy zginą. A Caldan jeszcze ściślej zwiąże się z Gaziją i Quissem.

Pierwsza ciszę przerwała Lisanette.

– Trzymaj się z daleka od niego, Caldanie. Zabierzemy go. Dobrze, że przynajmniej nie wrzuciłeś zwłok do rzeki. Zasłużył na więcej.

Jej głos był zdarty od emocji. Caldan kiwnął głową i cofnął się jeszcze o krok. Edelgard wyjął z sakwy złożoną tkaninę i szal. Nakrył Kristofa do ramion, a szalem owinął szyję, żeby zasłonić poczerwiałe rany. Gdy skończył, stanął przed Caldanem.

– Jak do tego doszło? – powiedział tylko beznamiętnym tonem, jakby pytał o pogodę.

Caldan zebrał się w sobie.

– Devenish dał nam misję – zaczął cicho. – Ale zanim ruszyliśmy, Kristof i Devenish posprzeczekali się. Kristof stwierdził, że Devenish uważa, że ten się starzeje... i że chce zastąpić go kimś innym. Kristof się z tym nie zgadzał. Devenish zapewnił go, że nic podobnego nie zamierza. I tak to zostawili.

– Ten drań Devenish – zakłęła Lisanette pod nosem, a Tamara obrzuciła ją zdumionym spojrzeniem. – On nigdy nie wie, kiedy...

– Dość, Lisanette! – rozkazał Edelgard. – Pozwól Caldanowi mówić.

– Dlaczego? Żeby dalej lał nam do uszu wierutne kłamstwa?

– Żebyśmy dowiedzieli się, co ma do powiedzenia, a potem obwinili o taki obrót spraw tego, kto rzeczywiście na to zasłużył.

Lisanette ustąpiła, ale wyraz nienawiści nie opuścił jej twarzy.

– Dziękuję, Edelgardzie – rzekł Caldan.

– Nie dziękuj mi – odwarknął tamten. – Mów, jak było.

Caldan kiwnął raptownie głową, wciąż patrząc gdzieś w bok. Wiedział, że mogą odebrać to jako przyznanie się do winy, lecz mimo to żywił nadzieję, że odczytają jako skruchę.

– Popłynęliśmy łódką, którą Kristof załatwił wcześniej. Czułem, że jest rozdrażniony. Oskarżył mnie o to, że próbuję wygrzyźć go z pozycji przywódcy, albo przynajmniej podejrzewał, że Devenish planuje zastąpić go mną, bo jestem zarówno Dotkniętym, jak i czarodziejem.

Tamara odchrząknęła i zabrała głos:

– Kristof nie chciał, żeby ktokolwiek z was wiedział, ale teraz... to już bez znaczenia. Potrzebował silnych środków przeciwbólowych, żeby w ogóle wstać z łóżka. Przygotowywałam mu eliksir, który wypijał prawie do dna, zanim wychodził z namiotu. Uznałam, że... powinniście znać prawdę.

– Dziękuję, Tamaro – rzekł Caldan i podjął: – Gdy weszliśmy do kajuty, znalazłem w niej kobietę... którą kocham. Kristof chciał ją zabić, żeby nie było żadnych świadków. Nie mogłem mu na to pozwolić. Więc walczyliśmy.

Edelgard zmrzążył oczy, a Lisanette rzuciła Caldanowi spojrzenie przesyczone nienawiścią.

– To ty go zabiłeś! – zasyczała jak żmija.

Caldan wolno rozłożył ramiona.

– Nie miałem wyjścia. Był silniejszy ode mnie. Szybszy. Dusił mnie. Nie chciałem umrzeć.

– Kłamca!

– Nie kłamię. Przygniótł mnie do ziemi. Jeszcze chwila i bym zemdlał. Powtarzam: nie miałem wyjścia.

– Zawsze jest wyjście – powiedział Edelgard.

Kiedyś w to wierzyłem, pomyślał Caldan ze smutkiem. Dziś wiem, że to iluzja.

– Nie wiem, w co się wplątałem, ale postanowiłem nie dać się zabić.

Lisanette spojrzała na niego jak na znalezionego w łóżku pająka.

– Jesteś czarodziejem. Nic dziwnego, że Devenish cię lubi.

– Nic bardziej mylnego. Lubi mnie tak jak i wy. I nie dlatego, że jestem czarodziejem, tylko ze względu na to samo, co szczególnie lubi w was. Czyli krew.

– A więc masz kłopoty – stwierdził Edelgard.

Caldan mógł tylko potwierdzić skinieniem.

– Na czym polegała misja? – chciała wiedzieć Lisanette.

– Jeśli chcesz się dowiedzieć, spytaj Devenisha.

– O, zapytam z całą pewnością. Możesz być tego pewien. Tylko nie mogę mieć pewności, czy powie mi prawdę.

Tamara znów zachłysnęła się powietrzem, a Edelgard stanął obok Lisanette i położył jej dłoń na ramieniu. Próbowwała się odsunąć, ale on nie puszczał.

– Spokojnie, Lisanette. Nie wolno mówić o Devenishu w ten sposób.

Obrzuciła Edelgarda gniewnym spojrzeniem, ale nic nie powiedziała. Bezceremonialnie zrzuciła z siebie jego rękę i ruszyła w stronę Caldana.

– To jeszcze nie koniec – syknęła. – Devenish może dołączyć do przodków, nie dbam o to. Już ja się dowiem, co się naprawdę wydarzyło.

– Powiedziałem prawdę. Wydarzyło się właśnie to i nic innego.

Kobieta skwitowała to prychnięciem i odwróciła się plecami do Caldana.

– Tamaro – powiedziała – idź i powiadom tylu Dotkniętych, ilu tylko znajdziesz. Na pewno zechcą oddać hołd Kristofowi, zanim przyjdą po niego arcymagowie. Ci się zawsze spieszą.

Caldan domyślał się czemu. Chcieli jak najszybciej położyć łapę na ciele Kristofa.

Tamara poszła w swoją stronę, strzepnąwszy spódnicę. Lisanette jeszcze raz strzeliła wzrokiem do Caldana, nim uklękła przy ciele

Kristofa. Edelgard wpatrywał się w nią przez kilka chwil.

Jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Caldana i Dotknięty wyrzucił z siebie zniesmaczone westchnienie.

– Jak my ci mamy zaufać po tym wszystkim?

Caldan przymknął oczy.

– Nie wiem jak. Ale może pomoże wam to, że nie jestem przecież jednym z was. Nigdy nie chciałem być i nigdy nie będę. Mogłem zabić Kristofa, żeby zająć jego miejsce, ale ja nie chcę jego miejsca. Więc z jakiego powodu miałbym go zabić, jeśli nie w obronie własnej?

– A kto to wie? Sam powiedziałaś, że nie jesteś jednym z nas, więc nawet nie próbowałbym wejść w głowę kogoś, kto potrafił zabić naszego przyjaciela. Zresztą to nieważne, co ja myślę. O twoim losie zadecyduje Devenish. Ale teraz musimy zająć się Kristofem. Idziemy, zanim Lisanette zrobi coś głupiego. Ale, Caldanie, zgadzam się z Lisanette w jednej sprawie: nie chcemy cię już nigdy widzieć na oczy. Czy to jasne?

Caldan wbił wzrok w drewnianą nawierzchnię nabrzeża.

– Tak, rozumiem.

Patrzył, jak wszyscy kolejno klękają przy ciele Kristofa i oddają mu hołd, a potem biorą nosze i odchodzą.

Był pewien, że Dotknięci nie uwierzyli w ani jedno jego słowo, ale kto wie, może udało się zasiać choć ziarno zwątpienia. Może był to pierwszy krok do odzyskania ich zaufania oraz ujawnienia, co naprawdę knują arcyomagowie.

Zanim Caldán zdołał zwrócić się w stronę okrętu, pomiędzy drzew wyszli Devenish i Thenna. Pierwszy arcyomag szedł w asyście swoich blondwłosych strażniczek.

– Och, na przodków – zaklął Caldán. Czekali, aż Dotknięci sobie pójda.

Uświadomił sobie, że mogą przecież chcieć go zabić. Podniósł podbródek i wyprostował się, czekając na ich nadejście. Devenish zerknął na odchodzących Dotkniętych, jakby chciał się upewnić, że znaleźli się poza zasięgiem słuchu.

Jedną myślą Caldán otworzył studnię i podłączył się do tarczy. Zamrowiła go skóra, gdy opłynęła go fala mocy. Strażniczki



Devenisha cofnęły się o krok z zaciętymi minami. W jednej chwili je także otoczyła wielokolorowa osłona.

– Nie chcę z wami walczyć – warknął Caldan. I rozwarł studnię szerzej, jak tylko potrafił najbardziej. Pływ mocy zasilił jego tarczę. Dzwoniły mu zęby od zgromadzonego potencjału, aż musiał zacisnąć szczęki, żeby się opanować. Powietrze wypełnił przenikliwy zapach cytryny i gorącego metalu. – Wiecie już, do czego jestem zdolny – rzekł z mocą i zgasił osłonę. – Jestem i Dotkniętym, i czarodziejem. Czas, żebym zaczął zachowywać się jak oni.

Trzymał studnię otwartą, nawet jeśli nie podczepił się do tarczy. Powtórzył w myślach konstrukcję wzorca, jednego z tych, których nauczył go Quiss. Podobny, a jednak całkiem inny od tarczy, którą właśnie wygasił. Ten utworzony był z czystej magii zniewalającej i miał za zadanie chronić jego świadomość. Ukrył pod tą osłoną swoje myśli i poczuł, jak ona ogranicza je, zaciskając się w jego głowie. Quiss powiedział mu, że z czasem przyzwyczai się do tego uczucia.

– A więc Kristof... nie żyje – odezwał się Devenish.

Słowa arcymaga zawisły w powietrzu. W pojęciu Caldana stanowiły one pierwszy krok na ścieżce, z której nie da się już zejść. Twarz arcymaga nie wyrażała zupełnie niczego. Długo wpatrywał się w Caldana, a potem spojrzął ponad jego ramieniem na Quissa i jego ludzi, którzy obserwowali ich z okrętu.

Ciszę przerwała w końcu Thenna.

– Mówiłam ci, że będą z nim kłopoty. Powinniśmy go zabić i...

– Dość! – warknął Devenish.

– Ale...

– Jeszcze słowo, a wrócisz do obozu. Milcz i daj mądrzejszym od siebie pomyśleć.

Thenna zamknęła usta i zgromiła Caldana morderczym spojrzeniem. Devenish stanął trzy kroki przed nim, a potem ku zaskoczeniu chłopaka wyjął koszulę ze spodni i zdjął ją przez głowę, stając przed nim rozebrany do połowy. Pierś arcymaga pokrywały cienkie blizny, blade na tle brązowawej skóry. Widząc, że Caldan wodzi wzrokiem po szramach, obrócił się wokół własnej osi. Plecy wyglądały jeszcze gorzej. Miał tam więcej blizn niż zdrowego, nietkniętego ciała. Skazy nie wyglądały poważnie, były na tyle

głębokie, by upuścić zaledwie kilka kropel krwi, ale ich mnogość budziła odrazę. Co mu się stało?

– Byłem kiedyś taki jak ty – zaczął arcymag. Uśmiechnął się cierpko, dotykając palcami pierścieni-talizmanów na drugiej ręce. – Uparty. Dumny. Głupi. Nie wiedziałem, co było dla mnie dobre, a co złe. Miałem talent... i to spory. Ale byłem też samolubem. Potrzebowałem czasu i kary, aby zrozumieć, że to, czego ja chcę... no cóż, na listach innych zajmuje pozycję ósmą lub dziewiątą. Jeśli w ogóle obchodzą ich moje pragnienia. – Devenish zamilkł. Wciąż patrzył na Caldana, ale wzrok mu się zamglił, jakby spoglądał przez niego gdzieś w dal. – Niektórzy trudniej przyswajają lekcję o tym, że są rzeczy ważniejsze od ich potrzeb. A jednak przyswoić ją musimy wszyscy. Nie chcę, żeby inni musieli przejść to, co ja. Więc spytam cię tylko raz. Jak zginął Kristof?

– Nie mogłem pozwolić mu wykonać misji. Nie wiedziałem, co robić, dopóki nie natknęliśmy się w kajucie na niewinną kobietę. Kristof chciał ją zabić. Obroniłem ją.

– No proszę – mruknął Devenish.

– Kłamie – wypluła Thenna.

Devenish skrzywił się, a potem zerknął na Caldana, który milczał. Chłopak wyczuł, jak otwiera się studnia Thenny, podłączył się więc zarówno do swojej tarczy, jak i do zniewalającego rzemyśliwa Dzwonków. Magiczka wwiercała się w niego nienawistnym wzrokiem.

– Tylko ktoś winny aktywowałby teraz tarczę.

– Ostrożność nie zawadzi – odparł spokojnie Caldan. – W razie konieczności będę się bronił. Tak jak wtedy, gdy zaatakował mnie Kristof.

Devenish skrzyżował z nim spojrzenie pełne namysłu. Cisza się przeciągała. Milczeli.

– Devenishu – zaczęła Thenna – daj mi...

Devenish uderzył.

Caldan poczuł napływ magii na ułamek chwili przed tym, nim w niego uderzyła. Wzmocnił tarczę i niemal zachwiał się na nogach, gdy została całkowicie zignorowana. Czarodziejska sieć oplotła jego umysł i zacisnęła się, chcąc nim zawładnąć. Uderzenie zniewalającej magii grzmotnęło w pospiesznie postawioną tarczę, która zatrzęsła

się od impetu. Caldan jęknął, przekierowując pływ magii do osłony broniącej umysłu.

Na twarzy Devenisha zajaśniało zaskoczenie, które prędko zostało zastąpione przez pełną namysłu determinację. Jego natarcie spotężniało i kolejna fala naparła na barierę Caldana.

Chłopak wyciągnął ze studni, ile tylko zdążył, zasilając osłonę, którą postawił z pomocą nauki Quissa. Trudno mu było się skoncentrować, tyle miał strumieni do utrzymania. A natarcie nie ustawało, uderzenia mnożyły się, łomotały o tarczę jak sto kowalskich młotów.

A jednak Caldan uświadomił sobie, że to nic więcej, jak tylko brutalna siła. Natarcie arcymaga było pozbawione krztyny finezji. Miało się nijak do elegancji, którą mógł obserwować podczas kuracji, jakiej Quiss i Adrienne poddali pomieszany umysł Mirandy. Devenish władał magią zniewalającą w sposób prymitywny. Caldan musiał tylko wytrzymać jego atak, wiedząc, że gdy ten się załamie, Devenish nie zdoła już objąć nad nim kontroli. A do tego wystarczy mu wyłącznie siła, a więc coś, czego miał pod dostatkiem. Co miał we krwi.

Raptem atak ustał. Tym razem Caldan rzeczywiście zakołysał się na nogach, tak nagle urwała się nawałnica ciosów. Pot kapał mu z twarzy. Jego magia wytrzymała napastliwy atak Devenisha. To musiało zmartwić arcymaga, ale też dostarczyło mu z pewnością materiału do przemyśleń. Musiało dotrzeć do niego, że Caldan jest o wiele cenniejszy żywy niż martwy. Pewnego dnia, który musiał kiedyś nadejść, Devenish zemści się za to upokorzenie.

A przynajmniej spróbuje.

Niech dobrze to sobie przemyśli, pomyślał Caldan. Czuł wyraźnie obecność Quissa i jego ludzi na okręcie za jego plecami. Zgromadzili moc, ale trzymali się z tyłu, czekając, aż będzie ich potrzebował.

Caldan utrzymał studnię otwartą i nie zdejmował osłony na wypadek kolejnych ataków. Ale te nie nastąpiły. Chłopak podniósł wzrok i ujrzał skrzywioną twarz Devenisha. Thenna stała teraz przy boku zwierchnika z ustami wygiętymi w szyderyczy uśmiezek.

– Razem moglibyśmy...

– Nie, Thenno. Caldan pokazał właśnie, że jest dość dobry, aby zasilić nasze szeregi.

- Jest niebezpieczny.
- Otóż to. A teraz nas zostaw.
- Ale...
- Zostaw nas, powiedziałem!

Thenna wymierzyła w Caldana gniewne spojrzenie, nim bez słowa odeszła w stronę obozu. Po kilkunastu krokach zatrzymała się, objęła ramionami i wczepiła nieruchome spojrzenie w Caldana.

- Mój umysł należy wyłącznie do mnie – oświadczył Caldán. – A więc co teraz będzie? Powiedziałem ci prawdę.

Devenish machnął niedbale ręką.

- Nieistotne. Jesteś dość silny, żeby ukryć, cokolwiek tam zaszło. Twoja wersja wypadków jest teraz jedyną prawdziwą i niepodważalną.

- Więc tak to działa?

- Tak to działało zawsze. Wszędzie, nie tylko wśród czarodziejów. Arcymagowie, Kołczany, Protektorzy, cesarz... Prawda jest tym, co ci uchodzi na sucho.

- Nie wierzę.

Devenish wzruszył ramionami, a potem z jego ust wydostał się krótki śmiech.

- Nieistotne, w co wierzysz. Tak kręci się świat i już, twoja wiara lub niewiara nie mają żadnego znaczenia. Lepiej zrobisz, przyzwyczajając się do tego. – Włożył koszulę przez głowę i wsunął w spodnie. – Prawda jest taka, że nie bardzo wiedziałem, co mam z tobą zrobić. A teraz decyzja podjęła się sama. – Devenish obdarzył Caldana cienkim uśmiechem. – Dołącz do nas. Wyszkolimy cię. Zawładniesz mocą, o jakiej ci się nie śniło.

- Nie – odpowiedział Caldán.

Devenish uniósł brwi i zerknął na okręt za Caldanem, gdzie ponad nadburciem widniała postać Quissa.

- Cesarz potrzebuje twoich talentów. Odmawiając mnie, odmawiasz i jemu. Jeśli ze mną trudno ci się walczyło, to lepiej nie czekaj, aż cesarz sam się do ciebie pofatyguje. Jest czarodziejem nieporównanie potężniejszym ode mnie. Czy rozumiesz, co mówię?

Caldán pokiwał głową na znak, że owszem.

- Świetnie. No to idziemy.

- Nie.

Devenish obrzucił go spojrzeniem, niemal w równej mierze zdumiony, co rozzłoszczony. Raz jeszcze spojrzął na Quissa, a na jego twarz wypłynął grymas zapiekłej wściekłości.

– Pożałujesz.

– Możliwe. Ale nie sądzę.

Odwrócił się od arcymaga i wszedł po trapie na pokład. Devenish mógł tylko odprowadzić go wzrokiem.



**R**ebecci chciała zobaczyć na własne oczy, jak asasyn zabija Kelhaka – powiedział Izak.

Nie mógł usiedzieć spokojnie. W jednej chwili był przy kominku, w drugiej przy Felice, wyłamując sobie palce i patrząc na nią takim wzrokiem, jakby znała odpowiedzi na wszystkie jego pytania. Tymczasem Felice czuła się tak, jakby urodziła się wczoraj. Gdy tylko dotarli do mieszkania, Izak złapał za pełną szklanę, ale upił jedynie kilka łyków. Chyba chciał po prostu trzymać coś w ręku.

Felice namyślała się nad odpowiedzią.

– Zakładam, że chciała pojmać Kelhaka, jak pojmała Savina. Ale to teraz bez znaczenia. Savina odbito, a Rebeci nie żyje.

– Czy zabicie Kelhaka... wystarczyłoby, żeby odebrać mu życie?

– Pytasz, czy nie znalazłby sobie innego ciała? Nie wiem. Ja w ogóle niewiele wiem, jak się okazuje. I niestety, jedyna osoba, która mogłaby odpowiedzieć na to pytanie, nie żyje.

– Może ocalał ktoś z jej ludzi? – podsunął Izak.

– Tak, ale teraz, gdy zeszli do podziemia, znalezienie ich graniczy z cudem. Zdaje się, że jesteśmy sami. Znowu sami.

Izak posłał jej uśmiech – niewyraźnie zarysowany, niepewny, w założeniu pocieszający, choć w praktyce zupełnie nie.

– Więc Rebeci naprawdę nie żyje? A może jednak przetrwała?

– Nie wiem – przyznała na ciężkim wydechu sfrustrowana Felice.

– Nie mam pojęcia i doprowadza mnie to do rozpacz. Czy ich, czarodziejów, da się w ogóle zabić? Czy może da się ich tylko pojmać?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Słowa Izaka były twarde jak kamienie; nigdy nie słyszała u niego takiego tonu. Inwazja wstrząsnęła nim do głębi, jednak to śmierć Rebeci na dobre go odmieniła.

– Prześpijmy się – zarządziła. – Mamy kilka godzin do następnego spotkania ze skrytobójcą.

– On ma jakieś imię, ten skrytobójca?

Felice pokręciła głową.

– Jeśli ma, ja go nie znam. A chętnie bym je poznała.



**S**trażnik zatrzasnął za nimi drzwi z hukiem, który poniósł się jazgotliwym echem po korytarzu. Vasil próbował dociec, dlaczego Caitlyn zwróciła Aidanowi miecz, i wymyślił tylko dwa możliwe powody.

Albo była pewna, że Aidan dał się przekonać do jej sprawy i że będzie wobec niej lojalny, albo pewność pokładała w Anshulu, który w razie czego zetnie Aidana jak trzcinę. Gdyby Vasil miał zgadywać, obstawiałby to drugie.



Caitlyn i cel Rau eskortowali ich wilgotnymi korytarzami, gdzie mieściły się kolejne cele. Z niektórych dobiegały jęki i żałosne skamlenie. Vasil próbował do nich nie zaglądać. Cel Rau podsunął Caitlyn ramię i pomógł jej wspiąć się po schodach.

Vasil zamrugał w zbyt jasnym świetle i kichnął. Otarł nos i zauważył, że jego ubrudzona ręka drży.

Byli wolni. Wypuszczono ich z więzienia, uniknęli śmierci. Tylko za jaką cenę? Nie dano im wyboru. Alternatywą dla wymuszonej służby u Caitlyn była egzekucja. Cóż, przynajmniej nie gniją teraz w celi.

Czterokonny powóz z polerowanego palisandru czekał już na nich na dziedzińcu, otoczony Kołczanami, najwidoczniej stanowiącymi eskortę. Żołnierze zasalutowali Caitlyn, gdy wyszła z budynku więzienia, a jeden pospieszył do niej, chcąc jej pomóc. Krótkim gestem odprawiła go, a potem zwróciła się do Aidana:

– Zrobimy przystanek po drodze. – Spojrzała na ich brudne ubranie i pociągnęła nosem. – Pewnie widywał ludzi w gorszym stanie.

– Dokąd jedziemy? – chciał wiedzieć Aidan. – Vasil i ja potrzebujemy kąpieli, świeżej odzieży i porządnego posiłku albo dwóch.

– Wszystko w swoim czasie – padła odpowiedź. – Bo na razie mamy spotkanie z cesarzem.

Vasil zachłysnął się, nim zdołał się opanować. Mam nadzieję, że mnie nie pamięta, pomyślał spanikowany.

– Niechaj żyje wiecznie – mruknął cel Rau.

Caitlyn zwróciła badawczy wzrok na Vasila.

– Właśnie tak – potwierdziła własne słowa. – Cesarz mało komu udziela audiencji. Więc trzymajcie język na wodzy i zachowujcie się. Cesarz wie o twojej zdradzie, ale najwyraźniej dotarli do niego wieści, że uczyniłeś też nieco dobra, walcząc z jukarami i vormagami. To on przekonał mnie, żeby dać ci ostatnią szansę. Mądrość cesarza nie zna granic.

Vasil pokiwał głową, wolał się nie odzywać. Caitlyn nie mówiła całej prawdy, ale dopóki nie zada konkretnych pytań, nie będzie w stanie ocenić, gdzie kobieta kłamie. Później, postanowił. Będzie jeszcze czas dokopać się do prawdy.

Aidan odchrząknął.

– Jesteśmy ci za to wdzięczni.

– Nie dziękujcie mnie – powiedziała Caitlyn. – Podziękujecie samemu cesarzowi. Miejcie się na baczność. Mógłby zmiażdżyć was samą tylko myślą.

Choć odrzuciła zaoferowaną pomoc, Caitlyn nie była w stanie wejść do powozu o własnych siłach. Odniesione rany ograniczały jej zakres ruchu i po kilku nieudanych próbach w końcu z irytacją kiwnęła na Anshula, by jej pomógł. Gdy Vasil wsiadł do środka za Caitlyn, dostrzegł w półcieniu pojazdu jej bladą i ściągniętą twarz, jakby ten drobny wysiłek wyssał z niej wszystkie siły.

Cesarz nie obozował już wraz ze swoją armią na równinie. Przeniósł się do bezpieczniejszej lokalizacji za murami Starorzecza.

Przez jakiś czas jechali drogą, nim zatrzymali się przed okazałym gmachem, który musiał być domem jakiegoś szlachcica, gdzie mieściła się tymczasowa siedziba cesarza. Przeszli przez wypiełgnowane ogrody otaczające trzypiętrowy, biały budynek o dachu wyłożonym terakotowymi płytkami. Ścieżki wysypane rzeczonym żwirem rozwidlały się, prowadząc do różnych części ogrodu, a daleko po ich lewej stronie równo przystrzyżona trawa i rośliny przechodziły w dzikszy krajobraz. Idąc, Vasil usłyszał ryk dzikiego kota, a potem krzyk pawia. Tylko najbogatsi możni mogli pozwolić sobie na własną menażerię.

Cesarz nie bez powodu zaszczylił to miejsce gościąną.

Gdy już znaleźli się w środku, Caitlyn rozmówiła się z kilkoma urzędnikami i przekierowano ją wraz ze świtą do komnaty audiencyjnej cesarza. Korytarze, które pokonywali, były pełne służby, żołnierzy, innych urzędników i cesarskich pochlebców. Powietrze pachniało zleżałym potem i gorzkim winem, a także kurzem i brudem. Dywany były brudne od błota i trawy, zapewne przez nieustanną krzątanie, która nie pozwalała na sprzątanie. Ściany pokryte zostały freskami, farba już spękała i pociemniała ze starości. W kinkietach tkwiły czarodziejskie kule, zalewające korytarze zimnym światłem.

Caitlyn mruzczała coś pod nosem ze wzrokiem wlepionym w drzwi. Cel Rau stał blisko niej, ale oczu nie odejmował od Aidana i Vasila. Dowódca nerwowo przestępował z nogi na nogę. To musiała

być jego pierwsza audyencja. Vasil dobrze go rozumiał. Cesarz był źródłem tysięcy plotek i legend.

W głębi serca Vasil zdawał sobie sprawę, że nie muszą one być prawdziwe. Sam spotkał już wcześniej władcę Cesarstwa Mahruzańskiego. Spotkanie okazało się rozstrajające i miał nadzieję nigdy go już nie powtórzyć. Martwiło go co innego – otóż powód, dla którego uciekł ze stolicy, był o wiele bardziej złowieszczy, niż można by pomyśleć. Było to coś, o czym nigdy nikomu nie powiedział, bo Vasil bał się, że jeśli ktoś połączy z nim tamtą sprawę, zostanie zabity.

Gdy Vasil został wrobiony przez cesarskich doradców w akcję mającą na celu udaremnienie skrytobójczego ataku, który im zagrażał, a operacja zakończyła się sukcesem, ci skwapliwie zgodzili się, aby w ramach nagrody za jego trudy przedstawić go cesarzowi. Krótka audyencja, zaledwie kilka chwil. I następnego dnia Vasil dołączył do tłumu gapiów, którzy zawsze gromadzili się wokół cesarskich audyencji. Wówczas jeden z arcymagów zbliżył się do władcy, oskarżając go o porwanie i zabicie obiecującego praktykanta oraz, nie wiedzieć jakim sposobem, wchłonięcie jego studni.

Cesarz zaprzeczył, a wtedy, co niepokojące, arcymag dostał zawału serca i zmarł chwilę później.

Tylko że cesarz kłamał.

Vasil uciekł do Anasomy, ciesząc się, że w ogóle udało mu się ujść z życiem. Gdy wrócił do domu w jednym kawałku, z całego serca podziękował przodkom.

Teraz też mu się uda – jeśli tylko ponownie dopisze mu tak wielkie szczęście.

Jego myśli wróciły do cel Raua. W jednej chwili jego towarzysz broni stał się nieledwie obcym człowiekiem. Razem przeżyli walkę z jukarami, a Aidan znał go od lat i całkowicie mu ufał.

Zdaniem Vasila poziom tego zaufania w minionych dniach znacznie opadł.

– No proszę – powiedział ktoś zza jego pleców.

Vasil obrócił się i stanął twarzą w twarz z Gaziją. Z trudem panował nad twarzą. Starzec jest tutaj? Akurat teraz? To nie może być przypadek. Vasil zerknął na Aidana, który wpatrywał się w Gaziję z dłonią opartą o rękojeść miecza.

Gazija szedł wolno, jakby każdy krok przeszywał go bólem. Zastukał o podłogę dwiema laskami i dźwięk ściągnął na niego uwagę Caitlyn.

– Czarodzieju – powiedział cel Rau – co tu robisz?

Zmienił pozycję, zasłaniając Caitlyn przed starcem oraz szukając miejsca w tłumie, by swobodnie dobyć mieczy.

Vasil zrobił krok w tył.

– Przybyłem spotkać się z cesarzem – wyjaśnił Gazija. Pomachał w powietrzu kartką, na której odbita była wyglądająca na bardzo oficjalną pieczęć. – Oto moje zaproszenie. Zakładam, że wy przybyliście tu w tym samym celu? Aidanie, Vasilu? Widzę, że los was nie oszczędzał.

Caitlyn wyszła przed cel Raua, który nie wyglądał na zadowolonego z tego powodu.

– Słyszałam o tobie – powiedziała. – Nie myśl sobie, że kilku najemników zmywa z ciebie grzech czarnej magii.

Gazija skrzywił się, choć kąciki jego ust uniosły się ku górze.

– Tak. Nie wątpię, że cel Rau powiedział ci, co wie. Ja także słyszałem o tobie, lady Caitlyn. Nieustraszona pogromczyni zła. Lub tego, co uważa za zło.

– Umieć rozpoznać zło zawsze i wszędzie.

– Nie wątpię – skomentował Gazija suchym tonem. Spotkał się spojrzeniem z Aidanem, a potem łypnął na Caitlyn. – Chciałbym zamienić kilka słów z Vasilem – powiedział cicho. – I chciałbym to zrobić w cztery oczy.

Aidan skrzywił się, a potem wybałuszył oczy na starca, gdy dotarło do niego, co się dzieje. Opanował się, skinął krótko, a potem zwrócił się do cel Raua.

– Musimy pogadać – powiedział. – Caitlyn, chcę prosić o wybaczenie.

– Nie teraz, Aidanie – powiedziała kobieta.

– Tak. Natychmiast. – Aidan ujął ją za łokieć.

Spomiędzy warg szermierza dobył się syk i Vasil uświadomił sobie, że jeden miecz ma do połowy wyjęty z pochwy.

Aidan puścił Caitlyn i uniosł pojednawczo dłonie. Odszedł w głąb korytarza.

– Nie chcę, żeby słyszeli, jak błagam. Wstyd mi...

Caitlyn zwięzła powieki, ale po pauzie przyzwoliła skinieniem.

– Dobra. Nie wiem, jak długo każą nam czekać, a chcę usłyszeć, co masz do powiedzenia.

– Dziękuję, pani – powiedział Aidan, gestem prosząc, by Caitlyn podążyła za nim. Cel Rau trzymał się blisko nich, jakby spodziewał się, że lada moment Aidan rzuci się na nią, by skrócić jej kark.

Wykorzystując moment nieuwagi, Gazija zamknął kościstą dłoń na ramieniu Vasila i przyciągnął go bliżej do siebie.

– Nie obawiaj się – rzekł mu na ucho. – I proszę, pospieszmy się, bo nie mamy czasu do stracenia.

– Co się dzieje? – indagował Vasil. Spojrzał w zaczerwienione oczy Gazii, cały czas łowiąc uchem ciche słowa, które wymieniali Aidan i Caitlyn.

– Pozornie jestem tu, żeby dać cesarzowi podziękować sobie za kompanie najemników, które okazały się wielce pomocne w walce z jukarami. Ale chodzi też o coś więcej. A kluczem, mój Vasilu, jesteś ty.

Sędzia pokręcił głową.

– Gazijo, to dobry moment, żebyś wyjaśnił, co tu jest grane. Od samego początku pchałeś mnie ku cesarzowi i lada moment rzeczywiście stanę przed nim. Powiedz mi, co tu się dzieje, u diaska.

– Dobrze – zgodził się mag. – Czas prawie już nadszedł. Muszę wiedzieć, czy mogę ufać cesarzowi. Zrobi, co będzie najbardziej korzystne dla niego i dla imperium, co do tego nie mam wątpliwości. Muszę tylko wiedzieć, czy uhonoruje umowę, którą zaraz z nim zawrę. Vasilu, ty mi to powiesz. Gra idzie o większą stawkę, niż ci się zdaje. Świat balansuje teraz na skraju przepaści, to jedno, a drugie, że moi ludzie muszą przetrwać nadchodzącą katastrofę. Nie będę mógł zadbać o ich bezpieczeństwo, jeśli zostaną uwięzieni albo jeszcze gorzej, gdy już będzie po wszystkim.

Albo gorzej...

Vasil zerknął na Aidana, Caitlyn i cel Raua. Były dowódca gestykulował – kłamiąc – podczas gdy Caitlyn kiwała twierdząco głową i mówiła coś, czegoś Vasil nie słyszał – ale również kłamiąc.

– Musisz mi pomóc – przekonywał Gazija. – Musisz pomóc nam.

– Dlaczego? – indagował Vasil. – Okłamywałeś nas od samego początku. Powiedz mi prawdę, wtedy zadecyduję, czy ci pomóc.

– Powiedziałem ci prawdę.

Vasil wbił wzrok w Gaziję, mając nadzieję, że pokaże w sugestywny sposób całą głębię swego niezadowolenia.

– Całą prawdę.

Gazija oklapł, jakby nie miał już siły się kłócić. Skinął krótko.

– Jesteśmy czarodziejami, tyle już wiesz. I jesteśmy bieglejsi w magii niż arcymagowie. Potrzebują nas do walki z Indryallanami, wspomagamy ich nie tylko naszą magią, ale i najemnikami. To czyni ich naszymi dłużnikami. Obawiamy się jednak, że cesarzowi nie spodoba się to, że istnieją na świecie czarodzieje potężniejsi od jego arcymagów. A kto jest martwy, ten nie domaga się zwrotu długu.

Prawda.

– Myślisz, że cesarz wykorzysta was i waszych najemników, a potem się was pozbędzie? To szaleństwo! Przecież wszyscy by się o tym dowiedzieli.

– I co z tego? – zasyczał Gazija. – Obejdzie to kogoś? Nikt mu słowa nie powie. Wszyscy żyją w strachu przed cesarzem. Tylko dlaczego? Bo uważają, że jest zbyt potężny, żeby z nim walczyć. Przebył niebezpieczną ścieżkę, aby zdobyć taką moc, ale ona nie wystarczy do pokonania Kelhaka. A jeśli cesarz przejmie jeszcze kilku, może przekroczyć granicę.

– Przejmie? Co niby przejmie? – spytał Vasil, obawiając się, że już zna odpowiedź.

– Przejmie jeszcze kilku czarodziejów.

A więc starzec znał sekret cesarza. Jakimś sposobem dowiedział się o tym, o czym cesarz kłamał wszystkie te lata temu. Ale... jak?

– Co wiesz na ten temat? – zainteresował się Vasil.

Gazija pociągnął nosem.

– Wszystko i nic.

– Starcze, to nie czas na gierki.

– Wiem tyle – podjął natychmiast Gazija – że mamy małą szansę na pokonanie Kelhaka, a i to tylko wtedy, jeśli dopisze nam szczęście. Ale, jak każdy przywódca, staram się sięgnąć wzrokiem dalej. Do tego, co się wydarzy, kiedy już będzie po wszystkim. – Wwiercał się spojrzeniem w Vasila. – Czy mogę zaufać cesarzowi? Czy pozwoli nam odejść, gdy już Kelhak i Indryallanie zostaną pokonani? Czy

dopełni warunków umowy? Oto pytania, na które muszę znać odpowiedź. Po to właśnie Quiss dostarczył mi ciebie.

– O czym rozmawiacie?

Vasil podniósł wzrok na utykającą w ich stronę Caitlyn, za którą szli Aidan i cel Rau.

– O złu – odpowiedział Gazija. – I o rozmaitych formach, które przybiera.

– Niezależnie od formy esencja zła rzuca się w oczy każdemu, kto ma je szeroko otwarte – odpowiedziała Caitlyn. Gazija spotkał się spojrzeniem z Vasilem, a potem Aidanem.

– Jak człowiek długo patrzy, to we wszystkim doszuka się zła. Może, lady Caitlyn, czas poszukać w ludziach dobra?

Zanim kobieta zdążyła odpowiedzieć, drzwi do komnaty audiencyjnej otworzyły się i wyszedł z nich udręczony urzędnik.

Łysiejący mężczyzna rozejrzał się, gromiąc poirytowanym spojrzeniem tłum petentów.

– Kupiec Gazija z Kompanii Handlowej Pięciu Oceanów – powiedział. – Zapraszam.

– Tu jestem – zgłosił się Gazija. – Wejść razem z lady Caitlyn i jej świtą. Czekala dłużej ode mnie.

Caitlyn posłała mu podejrzliwe spojrzenie, zerknęła na cel Raua, który nic nie powiedział, a potem wzruszyła ramionami.

– Zgoda – powiedziała. – Im szybciej tu skończymy, tym prędzej wrócimy do pracy.

– A cóż to za praca? – spytał zaczepnie Gazija.

– Tym się nie frasuj, czarodzieju.

Urzędnik zbliżył się do nich i otaksował ich uważnie. Vasil raptem zaczął się wstydzic złachanego ubrania.

– To tak się przychodzi na audiencję z cesarzem? – warknął mężczyzna. – Noszę się z myślą, żeby...

Wielokolorowa tarcza rozblęśla wokół Gazii i czarodziejskie kule na ścianach pojaśniały jak miniaturowe słońca. Po korytarzu poniosły się szepty.

– Wprowadź nas – wyrzekł Gazija władcym tonem. Jego tarcza zgasła. – I milcz, chyba że o coś spytam.

– Cel Rau! – zawołała Caitlyn.

Szermierz rozłożył ciężar ciała na obie nogi, ale nie ruszył się z miejsca.

– To tylko na pokaz – rzucił beznamiętnym głosem.

Urzędnik aż kłapnął ustami.

– Cesarza bronią jego arcymagowie. Lepiej, żebyś...

– Czy masz mnie za głupca, młody człowieku? – przerwał mu gniewnie Gazija. – Do środka, już.

Ruszyli za skołowanym mężczyzną do wielkiej sali audiencyjnej. Olbrzymia komnata oświetlona była czarodziejskimi kulami zwieszającymi się z trzech potężnych żyrandoli, które opromieniały obrazy wiszące na ścianach oraz posągi zdobiące rozliczne alkowy.

Kończany obstawiały przejście wiodące od drzwi wejściowych aż do podestu, wokół którego stał tłum możnych oraz gapiów, a także ich służby i ochroniarzy. Na podwyższeniu zasiadał na wyściełanym krześle cesarz. Choć był człowiekiem wiekowym, siwizna nie tknęła nawet jego platynowych włosów.

Gdy przekroczyli próg, tuzin arcymagów w czarnych szatach wyszedł im na spotkanie, by utworzyć barierę między nimi a władcą.

– Wyczuliśmy was – powiedział jeden z nich, mężczyzna w średnim wieku o krótko przyciętej czarnej brodzie. – W tej komnacie rzucanie cesarów jest zabronione. Karą za złamanie tej reguły jest śmierć. Czy to jasne?

– To był tylko pokaz – uspokoił go Gazija. – Przekonałem się, że znacznie ułatwia dialog z uparciuchami. Takimi jak wasz Devenish.

Arcymag mruknął coś pod nosem, a potem pogładził brodę, jakby zastanawiał się, czy ten wiekowy petent stanowi dla cesarza jakieś zagrożenie.

– Pozwólcie im przejść – z głębi komnaty dobiegł męski głos, a Vasil, tak samo jak lata temu, zdumiał się, słysząc dźwięczny i przenikliwy ton cesarza. – On nie jest dla mnie zagrożeniem – mówił dalej władca. – Ale może być dla was.

Po tłumie przebiegł chichot, a arcymagowie rozstąpili się, żeby ich przepuścić.

Poszli za urzędnikiem tam, gdzie zasiadał cesarz. Szum rozmów, który brzmiał głośno, kiedy wchodzili do pomieszczenia, teraz przycichł do szeptu, a potem w pomieszczeniu zapadła cisza tak



całkowita, że gdyby Vasil zamknął oczy, mógłby przysiąc, że jest w nim sam.

Zerach-Sangur – mahruzański cesarz – machnął ręką, a urzędnik skłonił się i wycofał.

Gazija postąpił krok naprzód i również się skłonił. Caitlyn zerknęła wymownie na starca i uczyniła to samo. Robi co może, by nie zrazić do siebie cesarza, pomyślał Vasil. Uznał to za dobry znak.

Cel Rau opadł na jedno kolano, a po chwili Vasil i Aidan poszli w jego ślady.

– Lady Caitlyn – rzekł cesarz – będziesz musiała zaczekać, dopóki... nie rozmówię się z Gaziją. Chyba nie masz nic przeciwko.

Caitlyn trzymała głowę pochyloną.

– Nie mam, Wasza Cesarska Wysokość.

– Podejdź bliżej, kupcze – nakazał władca.

Gazija zawahał się, a cesarz wyprostował się na krześle, mierząc go niezadowolonym spojrzeniem fioletowych oczu.

– Próbuję jak najmniej forsować te stare gnaty, Wasza... Cesarska Wysokość – odpowiedział Gazija, stukając laskami o podłogę. – Z pewnością wybaczysz mi także to, że nie klęknąłem.

Cesarz uśmiechnął się.

– Oczywiście. Powiedziano mi, że to tobie należy dziękować za najemników, którzy przyłynęli rzeką i którzy bardzo nam pomogli w walce z jukarami. A więc... masz naszą wdzięczność.

– Cieszę się, że mogłem pomóc, Wasza Wysokość. Moi najemnicy...

– Zostaną przekazani moim dowódcom do jutra.

Cisza długo wisiała w powietrzu.

– Jak sobie życzysz, panie – zgodził się w końcu Gazija.

– Jukarowie są uciążliwi, ale wierzę, że szybko się z nimi uporamy. Bardziej martwią mnie Indryallanie i ich władca, Kelhak. Istnieją niezliczone powody, dla których to właśnie na nim powinniśmy się skupić. – Z ust cesarza wydobył się ton rozbawienia; ledwie załątek śmiechu. Ciżba zachichotała posłusznie. Ale Vasil dosłyszał zdenerwowanie w ich głosach, jakby pogodny nastrój wcale nie gwarantował pozytywnego finału audiencji.

– Może powinienesz zostawić Indryallan nam, a sam zająć się swoimi interesami, które z pewnością są ci zdecydowanie bliższe niż

wojaczka – powiedział cesarz. – Arcymagowie mają Kelhaka pod kontrolą, a niedawno ja sam utarłem mu nosa. Szybko się go pozbędziemy.

Vasil wstrzymał oddech. Kłamstwo. Cesarz kłamał. Nie wierzył, że arcymagowie będą w stanie cokolwiek zdziałać, a on sam ani nie pokonał, ani nawet nie zranił Kelhaka. Serce Vasila szarpnęło się w piersi.

Gazija przekrzywił głowę.

– Jak by to rzec, Wasza Wysokość... – zaczął.

– Teraz ja mówię – przerwał cesarz ze skrzywioną twarzą. – Chcę spytać, Pierwszy Wybawicielu... – słysząc swój tytuł, Gazija drgnął, jakby użądliła go pszczoła – czy ty i twoi czarodzieje zrobicie, co w waszej mocy, by pomóc arcymagom pokonać Kelhaka?

Chwila milczenia, w czasie której Gazija ostrożnie dobierał słowa.

– Tak, Wasza Wysokość.

Cesarz błysnął w uśmiechu równymi, białymi zębami.

– Doskonale.

– A potem? – zapytał Gazija.

– Potem będzie później – padła odpowiedź.

– Obawiam się, że to dla nas za mało – odrzekł Gazija.

Ktoś zachłysnął się powietrzem, ktoś zdusił okrzyk. Coś uderzyło w podłogę za Vasilem. Gdy się obrócił, zobaczył, że zemdlała jakaś szlachcianka.

– Potrzebne mi zapewnienie – mówił dalej starzec – że po tym, jak ci pomożemy, to znaczy arcymagom, oczywiście, uporać się z rozlicznymi zagrożeniami przedstawianymi przez Kelhaka, pozwolisz nam odejść w pokoju. Nie będziemy niczyją własnością. Ani arcymagów, ani nawet twoją.

– Pierwszy Wybawicielu Gazijo – rzekł cesarz głosem zimnym i złowróżbnym – nie będziesz stawiał mi warunków. O nie. Warunki stawiam tylko ja, a wszyscy dostosowują się do mojej woli, i tak jest zawsze od dnia, w którym wstąpiłem na tron.

– Niechaj żyje wiecznie... – wymamrotali ludzie wokół Vasila.

– Jeśli nie będziecie mi posłuszni, ściągnę na was magię tak niszczycielską, że mięso spłynie z waszych kości. Wasze miasta spłoną, skały rozpękną się i obrócą w pył. Złoto, które z trudem zgromadziliście, popłynie ulicami niczym rzeka. A ktokolwiek

ucieknie z pożogi, tego będę ściagał po horyzont! Zostaniecie zmieceni z powierzchni ziemi, a pamięć o was wypali słońce. Lud będzie drżał, wspominając wasz los.

Vasil zadrżał, wstrząśnięty przemową cesarza. Powiedział bowiem prawdę i dusza Vasila obwiedła pod naporem furii i potęgę tego człowieka, a także całkowitej pewności, że zdoła co do joty spełnić swoje przyrzeczenie.

Tyle że Gazija oparł się tej fali płomiennych słów. Zniósł tę nawałnicę grozy, nie uginając się i nie okazując strachu.

– Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość – powiedział. – Jesteśmy tu, by pomóc na wszelki możliwy sposób. Kelhak musi zostać pokonany. Wierzę, iż wszyscy mamy tego świadomość.

– Spotkasz się teraz z moimi arcymagami. Odpowiesz na wszystkie zadane przez nich pytania. Powierzysz im swoich ludzi, a oni bezbłędnie wykonają ich rozkazy. Upewnisz się, że podejmą bezdyskusyjną i pełną współpracę z arcymagami pod groźbą całkowitego unicestwienia. A o tym, co będzie później, porozmawiamy w stosownym czasie. Z chęcią powitałbym wśród nas kogoś takiego jak ty, twoich ludzi także. Wspólnie zapewnimy Cesarstwu Mahruzańskiemu przetrwanie i pomyślność.

Kłamstwa. Słowa cesarza brzmiały w uszach Vasila jak syk węży. Gazija już był martwy.

– Lady Caitlyn – rzekł cesarz, zakończywszy przemowę – dziękuję, że zgodziłaś się poczekać.

Kobieta wstała wolno na nogi, krzywiąc się z bólu.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. Przyprowadziłam ze sobą Aidana i Vasila, ludzi, o których ci opowiadałam.

– Nie obchodzą mnie. – Kłamstwo, poznał Vasil. – Są teraz twoimi podwładnymi. Jeśli okażą nieposłuszeństwo, zajmij się nimi odpowiednio. W nadchodzących czasach będzie sprawą najwyższej wagi, aby każdy robił, co do niego należy. – Trudno było nie wyczuć groźby w jego głosie. Dłonie Vasila drżały, złączył je więc i ścisnął mocno.

– Odtąd będę trzymać Aidana przy nodze – zadeklarowała Caitlyn. – Przydałby mi się też człowiek o talentach Vasila. Będą robić, co do nich należy, lub poniosą konsekwencje. Musimy walczyć ze złem...

– Tak, oczywiście. A teraz musimy skupić się na Kelhaku. Wkrótce otrzymasz zadania do wypełnienia, lecz jest jeszcze jeden powód, dla którego cię tu wezwałem.

Cesarz pstryknął palcami i podeszła do niego długowłosa arcymagiczka. Podała mu fiolkę wielkości kciuka wypełnioną ciemnym płynem. Pokój wypełnił się pomrukiem zaskoczenia. Ucichł jak ucięty nożem, gdy cesarz podniósł wzrok.

– Oto moja nagroda dla ciebie – rzekł. – Wypij. Tutaj. Teraz. Na moich oczach.

Kobieta podeszła do Caitlyn i podała jej fiolkę. Vasil zauważył, że moiżni wczepili się wzrokiem w buteleczkę, po raz pierwszy odrywając go od cesarza. Na ich twarzach dominowało nieskrywane łaknienie, ale znalazły się i wykrzywione przez gniew.

Pożądam tego, pomyślał Vasil. Niektórzy zastanawiają się, dlaczego cesarz daje to Caitlyn. Co to jest?

Dowódczyni skrzywiła się, widocznie zmieszana.

– Czy to jakiś eliksir?

– Czy nie cieszy cię mój dar? – spytał cesarz.

Caitlyn pochylila głowę, a na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Oczywiście, że cieszy, Wasza Wysokość. Lecz nie trzeba mnie nagradzać. Walka ze złem jest nagrodą samą w sobie.

Vasil mógłby przysiąc, że Zerach-Sangur powstrzymał cisnący się na usta uśmiezek. Caitlyn była... niepewna. Nie wiedziała, jak zadziała ten płyn. Ale z całą pewnością wiedzieli to moiżni i zazdrościli jej na potęgę.

– Jest to dar, którego z pewnością pragniesz – powiedział cesarz. – Nie kaź mi się powtarzać.

– Oczywiście, Wasza Cesarska Wysokość.

Przyjęła fiolkę i wyjęła z niej srebrną zatyczkę. Spojrzała na cel Raua i podniosła ją do ust. Ręka jej drżała, gdy piła. Skrzywiła usta, gdy poczuła smak tajemniczego trunku, ale zaraz zmusiła się do neutralnego wyrazu twarzy.

Czarodziejka wzięła od niej pustą buteleczkę i odeszła.

Zerach-Sangur uśmiechnął się.

– Do smaku przywykniesz. I na pewno przypadnie ci do gustu działanie. Wiele wycierpiałas, mimo że nie zasłużyłaś na cierpienie.

Mam nadzieję, że ta nagroda uświadomi ci, jak bardzo cię cenię. Otrzymasz także z powrotem cesarski glejt. Nie zgub go tym razem.

Półprawdy, ocenił Vasil.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – powiedziała Caitlyn. – Czy wolno mi spytać, jak dokładnie działa ten eliksir?

– Zobaczysz. Możecie odejść. Audiencja skończona – powiedział cesarz tonem wykluczającym dyskusję.

Gazija kaszlnął i skłonił się nisko. Stukając laskami o podłogę, zwrócił się do wyjścia i gestem pociągnął za sobą Vasila i Aidana, jakby to on, a nie Caitlyn, był ich dowódcą.

– Chodźcie – rzekł. – Jego Wysokość ma rację. Audiencja skończona.



**A**merdan obudził się i odkrył, że nie ma na sobie koszuli, a jego pierś pokryta jest zadrapaniami, jakby przebiegł nago przez krzewy jeżyny. Splótł palce na karku i zakołysał się w przód i w tył.

Tylko nie to. Nie teraz. Miał umorusane ziemią palce, brud wszedł mu pod paznokcie, jakby kopał gołymi rękami. Będzie musiał porządnie je wyszorować, żeby się go pozbyć. Przynajmniej wciąż miał spodnie i buty.

Serce podeszło mu do gardła, gdy sięgał po talizman na szyi. Bez niego nigdy nie stanie się tym, kim miał się stać. Bez niego będzie zgubiony. Naczynia będą wszędzie wokoło, a on nie będzie mógł ich wchłonąć. Jego palce napotkały łańcuszek, a potem talizman i zacisnęły się na nim. Amerdan przytknął oczy z ulgą. Potem sprawdził, gdzie jest Kropka. Była tam, gdzie ją zostawił przed snem. Wciśnięta między fałdy koca. Bardzo się bał, że zgubi ją w trakcie któregoś ataku. Minęły lata, odkąd tak się ostatnio nasiliły.

Dlaczego teraz?

Nigdy nie pamiętał, co robił w czasie tych zaćmień. Pomijając ten jeden raz w Melirorze w Sotharlańskiej Unii Miast, ale to tylko dlatego, że nikt o niczym innym nie mówił. Nigdy nie odkryli, kto wpadł w ślepy szal i pozabijał tych wszystkich ludzi. Amerdan zachichotał na tę myśl, choć wspomnienie miało już wiele lat.

Otworzył oczy, gdy poza jego kryjówką rozległ się jakiś dźwięk – może dzika świnia lub jakieś inne zwierzę. Leżał w płytkiej jaskini wyłobionej przez erozję w skalnej ścianie, która wyłoniła się spod ziemistego pagórka. Cuchnęła jakimś zwierzęciem, ale ono musiało już dawno opuścić legowisko, zostawiając po sobie tylko stare, wysuszone odchody i ślady pazurów na nagim kamieniu. Na chuście leżało pół bochenka chleba i sucha kiełbasa, a obok dwie butelki wody. Prowiant, który ukradł z jakiegoś gospodarstwa kilka dni temu. Butelki zawierały alkohol, który z obrzydzeniem wylał, a naczynia napełnił wodą ze strumienia. Poza tym miał tylko koc.

Natknął się na jaskinię drugiego dnia po ucieczce ze Starorzecza. W mieście zrobiło się dla niego zbyt niebezpiecznie. Amerdan nie wiedział, do czego dokładnie byli zdolni arcymagowie, popełniłby więc głupotę, czekając w miejskich murach, aż przekona się na własnej skórze. Uznał, że najlepiej zrobi, gdy przyczai się, aż sprawa przyschnie, po czym wróci do Starorzecza i odnajdzie Caldana. A potem cesarza. Sądził, że Dzwonki stanie się jego przepustką przed jego oblicze, ale – jak się okazało – okłamała go.

Dobrze, że ją zabił.

Amerdan wiedział na pewno jedno – cała masa talentów tylko czeka, by je pochłonął. Wystarczyło sięgnąć, żeby nasycić się ich rozkoszną aurą. A teraz, ze swoimi studniami i nowo zdobytą wiedzą o magii, Amerdan był już prawie nie do zatrzymania.

Ach, to tam rzucił koszulę. Podniósł ją, otrzepał z kurzu i wygładził, a potem włożył przez głowę. Przyprasował do ciała otwartymi dłońmi, wyjmując wczepione w materiał drobne gałązki i rzepy. Westchnął z zadowoleniem, wsunął Kropkę za kołnierz i umiejscowił przy sercu.

Kolejne warknięcie czy może pomruk, a potem szelest w krzakach i na podłożu z suchych liści, jakby coś się poruszało.

Sięgnął po oba noże. Nadstawił ucha i czekał. Coś tam było. Z trzaskiem pękła gruba gałąź i dobiegł go niski, gardłowy warkot.

To nie świnia.

Amerdan wstał i podszedł do wąskiego przejścia. Zamrugał, czekając, aż oczy przyzwyczają się do jasnego światła na zewnątrz. Minęło kilka chwil i opuścił jaskinię.

Coś stało do niego plecami. Było wielkie, szaroskóre, z głową porośniętą czarną szczeciną. Kreatura trzymała w jednej ręce miecz, który w potężnej łapie wyglądał jak sztylet.

Nie czekając, Amerdan rzucił się na jukara i wbił mu nóż w plecy. Potwór zawył, a Amerdan wraził drugi sztylet pod żebro. Owinął tors bestii ramieniem, i raz po raz wbijał ostrze w bok jej szyi.

Wreszcie jukar przestał się szamotać i upadł na ziemię, upuszczając miecz. Gęsta, czarna krew lała się z jego ran. Szponiaste łapy drapały grunt coraz wolniej, aż w końcu znieruchomiały. Amerdan cofnął się od trupa, marszcząc się na utyłane krwią ręce.

Brudne bydlę. Poszedł do strumienia u stóp wzgórza, żeby się umyć. Ziemia zasypana była suchymi liśćmi i gałązkami. Amerdan usiłował iść bezszelestnie, ale na tym podłożu było to niemożliwe. Nad strumieniem wolno i dokładnie wyszorował dłonie i ramiona piaskiem, raz po raz opłukując. Umył też twarz i szyję, a potem się napił.

Od strony klifów niesło się hałłakowanie i jęki. Ktoś lub coś znalazło zabitego jukara. Pewnie jego pobratymcy. No cóż, i tak miał już dość tej jaskini. Postanowił ruszyć dalej.

Amerdan wstał, obrócił się... i stanął twarzą w twarz z kolejnym stworem. Skrzywił się, otworzył studnię i wziął we władanie swoją moc. Polegał na swojej tarczy, ale nie podobało mu się to, że nie usłyszał, że ktoś się do niego skrada. To coś było niższe od jukarów,



ciemniejsze i otoczone złowróżbną aurą. Szare strąki zlepionych błotem włosów opadały mu poniżej ramiona.

Vormag.

Skóra potwora była pomarszczona i poznaczona wątrobianymi plamami, znamionującymi wiek. Nosił pierścienie i medaliony pokryte czarodziejskimi runami. Amerdan zorientował się, że domyśla się ich znaczenia, ale były dziwnie wyrysowane, zupełnie nie po liniach, które wpoila mu Dzwonki.

Zbadał studnię vormaga. Chropowata i ostra, niczym wybita młotem dziura do innego, obcego miejsca. Wydawała się... sztuczna.

– Wyczułem... wyczułem cię – wyszczał stwór ku zdumieniu Amerdana. Jego mowę trudno było zrozumieć. Wydał z siebie sekwencję pozornie niepowiązanych ze sobą dźwięków, jak zwierzę pijące wodę. Ale był w nich zawarty sens, co stawiało przed Amerdanem ciekawy dylemat.

Czy powinien go zabić, czy może posłuchać, czy ma do powiedzenia coś ciekawego?

Amerdan postanowił na razie powstrzymać rękę. Przekrzywił głowę i podszedł bliżej do bestii. Vormag miał blisko osadzone oczy, ale pełgała w nich jakaś inteligencja. Jego ubranie z niewyprawionej skóry było porządnie wykonane, podwójnie przesyte i funkcjonalne, choć brudne. Metalowe sprzączki dowodziły, że stwory obrabiały metal lub potrafiły kraść.

Vormag cofnął się o pół kroku, wpatrując się w Amerdana z obawą w oczach.

Amerdan zrobił pełny krok naprzód.

– Jak to: wyczułeś?

Vormag poruszył się i przejechałem fioletowym językiem po kłach.

– Magia. Jak u... Przedwiecznych. Czy jesteś Przedwiecznym?

Amerdan nie korzystał ze studni, odkąd postanowił ukryć się przed arcymagami i uciec ze Starorzecza. Co oznaczało, że vormag wyczuł magię jego talizmanu. Co z kolei oznaczało, że musi umrzeć. Ale... co to za Przedwieczni?

– Tak – skłamał. – Jestem Przedwiecznym.

Vormag padł przed nim na kolana i czołobitnie pochylił głowę, odsłaniając kark. Szeptał coś przyciszonym głosem i Amerdan

potrzebował chwili, żeby się domyślić, że to jakaś rytualna mantra.

Wtem słowa urwały się i potwór dźwignął się na nogi. Łzy płynęły z jego ślepi, rysując linie na brudnej twarzy.

– Długo czekaliśmy na ten dzień – wybełkotał. – Chodź. – Vormag zrobił dwa kroki w miejscu, obracając się na południe. – Chodź. Oddamy ci cześć.

Kto? Takie śmiecie jak wy? – szydził w duchu Amerdan. Mógłby zabić stwora tu i teraz, a potem zawładnąć jego studnią. Mógł też pozwolić zaprowadzić się tam, gdzie obozowali jego pobratymcy, a potem za ich pomocą zemścić się na Caldanie i na cesarzu. Decyzja podjęła się sama.

– Czy masz jakieś imię?

Stwór wyszczerzył się, pokazując żółte kły przetknięte zupełnie ludzkimi zębami.

– Gamzegul. Gamzegul Wyznawca. Myślą, że obrażają mnie tym przezwiskiem. Ale niebawem ukaże im się prawda.

Amerdan uniósł rękę.

– Prowadź.

Gamzegul powiódł go bokiem wzgórza, a potem skręcił ledwie widocznym w trawie szlakiem wydeptanym przez zwierzęta. Amerdan odnotował z zainteresowaniem, że vormag często dotykał liści i pni, czasem zatrzymując się też, żeby dotknąć ziemi, nieustannie coś mamrocząc.

– Wysłali cię samego – stwierdził Amerdan. Pierwsze słowa, jakie zostały wypowiedziane od blisko godziny.

Gamzegul zatrzymał się, przekrzywił głowę i spojrzał na niego bladopomarańczowymi oczami.

– Samego, tak.

– Czemu?

– Inni nie wierzą.

Amerdan mruknął coś pod nosem. Chyba zaczynał łączyć fakty.

– Inni nie wierzą, że Przedwieczni przeżyli Zdruzgotanie? – upewnił się.

– Ja wierzę.

– I tym lepiej dla ciebie. Powiedz, komu służysz?

– Służę?

– Tak. Kto dowodzi? Kto wydaje rozkazy?

– Szponica Xarlasa. Jest... z linii Przedwiecznych... ale sama nie jest Przedwieczną.

Vormag położył akcent na słowo „szponica”, nadając mu uroczyste brzmienie.

– Co to za tytuł: szponica?

– Ona jest... szponicą, a oni szponami.

– Oni? A więc nie są jednymi z was, nie są jukarami?

Vormag pokręcił głową.

– Jukarowie to wojownicy i niewolnicy, i sługi.

A więc mają różne kasty, notował w pamięci Amerdan.

– Czym w takim razie jest szponica Xarlasa?

– Ona jest szponicą. – Vormag skłonił się kilkukrotnie. – Właśnie. Szponica Xarlasa to... to szponica Xarlasa. Po Wielkim Wstrząsie szpony uratowały nas wszystkich. I jukarów, i vormagów.

Szpony żyją od czasów Zdruzgotania, które ten potwór nazywa Wielkim Wstrząsem, podsumował w duchu Amerdan. Niemożliwe. Lecz Amerdan wielokrotnie przekonał się już, że wiele rzeczy uznawanych powszechnie za niemożliwe okazywało się czasem najzupełniej możliwe.

Na przykład ktoś nieobdarzony studnią mógł zostać czarodziejem.

– A więc Xarlasa i jej pobratymcy rządzą wami od tysiący lat, tak? Gamzegul mrugnął.

– Tak. Gdy wściekle płomienie Wielkiego Wstrząsu zostały zdeptane, ostało się na ziemi wiele tłących się jeszcze iskier. Jestem pewien, że szpony powitają cię w swoich włościach.

Na pewno.

Choć właściwie wcale nie wydawał się przekonany. Iskry z czasów Zdruzgotania... jukarowie, vormagowie i te całe szpony. Kto wie co jeszcze przeżyło do naszych czasów?

– Ciężko zrzec się potęgi i wpływów po tak długim czasie. Rozumiesz to?

Gamzegul pokiwał z namysłem głową.

– Tak.

– Powiedzą, że wcale nie jestem Przedwiecznym. Rozumiesz?

– Tak. Ale z czasem przejrzą na oczy. Jesteś dowodem.

– Jeśli sprawią, że zniknę, to nie będzie żadnego dowodu. A ciebie zabiją razem ze mną.

– Nie...

– Tak. Zanim się im pokażę, będziesz musiał znaleźć jak najwięcej wiernych. Musimy upewnić się, że nie rzucą nam wyzwania. Dopiero wtedy Xarlasa i jej pobratymcy będą mogli dowiedzieć się o mnie. Musisz zrozumieć, że nie ma innej drogi.

Stwór wymierzył w niego spojrzenie, które Amerdan mógł zinterpretować jedynie jako mieszanekę ostrożności i ferworu, a potem Gamzegul powoli przytaknęła.

– Są inni, którzy myślą jak ja. Oni pomogą.

Pewnie inni przygłupi vormagowie uczeplieni pradawnych mitów i przesądów o Przedwiecznych. Zasadnicze pytanie brzmiało: jak najlepiej wykorzystać tę sytuację? Nic nie wymyśli, dopóki nie dowie się więcej. Ale opóźnienie... Czy może sobie na nie pozwolić? Wciąż wołała go Anasoma. Kuracja jego siostry...

Uzdrowiciel Zakariusz będzie wkrótce domagał się kolejnej transzy dukatów, inaczej przerwie leczenie i odmówi opieki nad dwojgiem dzieci, które uratował – Annie i Pieterem. Amerdan nie pozwoli na to, żeby skończyły same i przerażone, tak jak on i jego siostry.

– O Przedwieczny... musimy iść dalej.

Amerdan wyrzucił z głowy wspomnienie klatek czarodzieja i machnął na kreaturę, by wskazała drogę.

Przedarli się przez rzadki las i wyszli na łąkę porośniętą polnymi kwiatami i trawą oraz krzaczastymi roślinami, których nie rozpoznawał. Gamzegul przystawał co rusz, patrząc na słońce i węsząc w powietrzu. Stwór bynajmniej nie próbował się skradać. Szponiaste stopy szeleściły na podłożu zasłanym suchymi liśćmi i gałęziami. Ten obszar musiał znajdować się pod kontrolą jukarów, czy raczej szponów, którym służyli.

Vormag zatrzymał się nagle, unosząc rękę. Powąchał wiatr i wyszedł z suchego koryta rzeki, którym podążali od dłuższego czasu. Przepchnęli się przez gęste krzewy i zatrzymali przy czarnej plamie po dawno wygaszonym ognisku. Wszędzie leżały suche bryłki odchodów, podobne do szczurzych bobków, ale o wiele od nich większe. Powietrze przepełniała woń zgnilizny i nozdrza

Amerdana wydęły się samoistnie. Z zimnych popiołów sterczały czarne kości, a nieopodal wałały się pokryte czarnymi plamami strzępy materiału. W powietrzu brzmiało bzyczenie much i każda taka plama była obleziona przez ruchliwe owady. Larwy, uświadomił sobie Amerdan. Pasą się na zgniłym mięsie.

Gamzegul warknęła, obchodząc wypalony splachetek ziemi. Kopnięciem rozrzucił zarobaczone szmaty, sypiąc larwami.

– Powinni byli zaczekać – mruknął.

Uwagę Amerdana zwróciła słomiana figurka – lalka zrobiona z suchej trawy związanej ciasno kawałkami tkaniny. W miejsce oczu wszyto dwa guziki. Dokładnie przyjrzał się kościom. Niektóre były za małe, by należeć do dorosłej osoby.

Sięgnął po noże. Pod koszulą poruszyła się Kropka. Krawędzie jej łat drapnęły go w skórę.

Jeszcze nie – powiedziała głosem, który tylko on słyszał. Wkrótce. Teraz tak trzeba.

Amerdan zagryzł zęby. Jego palce zacisnęły się mocniej na rękojeściach sztyletów, gdy vormag łąził po ognisku, klnąc w swoim gardłowym narzeczu.

Zamknąwszy na chwilę oczy, Amerdan rozpędził czerwoną mgłę pod powiekami. Puścił sztylety, palec po palcu otwierając dłonie.

– Powinniśmy ruszać – powiedział cicho. – Daleko jeszcze?

– Niedaleko. Zamknięte. Głupie jukary. Ukarzę ich. Mieli czekać.

Amerdan wbił wzrok w vormaga, który nie wiedział nawet, jak krótko jeszcze pożyje, i który wciąż dreptał w kółko i gadał.

– Nie martw się tym.

Wkrótce każdy z was nazre się śmiercią aż po korek.



**W**raz z deszczem spadło na Felice mrozące krew w żyłach przeczucie, że wydarzy się coś złego. Zaczęło się od mżawki, która z czasem spotężniała i przerodziła się w ulewę, oberwanie chmury, grożące zatopieniem ulic. Okropne wrażenie utrzymywało się nieustannie, niczym tkwiący w niedostępnym miejscu na ciele cierń, którego nie mogła się pozbyć.

Może wstrząsnęła nią śmierć Rebecci, może nie przepracowała jeszcze okaleczenia i morderstwa Avigdora. Bezwzględne okrucieństwo obu tych zabójstw dręczyło Felice jak zmore. Niezależnie od powodu wiedziała, że nie może pozwolić tej zmore zamieszkać w jej głowie. Zdusiła uczucia, ugniotła z nich małą kulkę i schowała ją gdzieś z tyłu umysłu, gdzie na razie pozostanie.

Albo taką miała nadzieję.

Przez niebo przemknęła błyskawica, na mgnienie oka oświetlając cmentarz. Strumienie wody płynęły pomiędzy grobami, lały się z płyt na rozmiętkłą, błotnistą ziemię, wybierając dla siebie koryto po linii najmniejszego oporu. Większość spadała za krawędź przepaści, gdzie bryzgał deszczem wiejący niemiłosiernie wiatr.

Felice schowała głowę głębiej w kapturze, by nie dosięgnęły jej lodowate krople. Podskoczyła, słysząc grom. Przodkowie, ależ była dzisiaj nerwowa.

Przecież błysnęło, powinna się była spodziewać, że zaraz huknie.

Coś wyczuwalnego wisiało w powietrzu.

Czuli to oboje. Zwykle temperamentny Izak stał za jej plecami nieruchomy jak słup. Nie powiedział słowa, odkąd dotarli na cmentarz. Może udzieliła mu się atmosfera tego miejsca. Już sam cmentarz nocą potrafił być upiorny, a co dopiero w ulewnym deszczu, który zmywał z materii kolor i formę, jakby nie wiedzieć kiedy wkroczyli do świata koszmaru, gdzie wszystko było podobne do rzeczywistości, ale nic jej nie przypominało. Powietrze cuchnęło rozkładem i czymś jeszcze gorszym.

Dość już o tym, nakazała sobie. Gdzie był asasyn? Czyżby przyszli za wcześniej? A może to on się spóźnił? Nie umiała oszacować godziny, nie widząc przysłoniętych chmurami gwiazd i księżyca. Powinna była kupić sobie drugi zegarek kieszonkowy, zgubiwszy jeden podczas indryallańskiej inwazji. Ale te małe mechanizmy były bardzo drogie.

– Felice – syknął Izak.

– Teraz postanowiłeś się odezwać? Co jest?

– Obejrzyj się, proszę.

Głos Izaka najeżony był pośpiechem. I przerażeniem.

Felice obróciła się powoli. Asasyn stał niepełne trzy kroki od niej. Musiała unieść głowę, by spojrzeć mu w twarz ukrytą pod

obszernym kapturem. Znowu śmignęła po niebie błyskawica, na krótki moment opromieniając cmentarz.

Felice przełknęła ślinę, gdy nagle zaschło jej w ustach.

Tak jak poprzednim razem, skrytobójca miał na sobie niewiele więcej niż oberwane szmaty – wystrzępione i sprane ubranie, z którego wisiały nici i skrawki materiału. Czy to mu nie przeszkadzało? Nie potykał się o nie? Był tak cicho, że nie dostrzegła go, dopóki sam nie postanowił się ujawnić. Stał zaraz za nią, mając w zasięgu ręki jej odsłonięte plecy. Felice zadrżała, i to bynajmniej nie z zimna.

– Spóźniliście się.

– Doprawdy? To pewnie przez deszcz. I mój zegarek kieszonkowy. Zgubiłam go gdzieś, gdy... – Felice zawiesiła głos. Asasyna nie obchodziły wyjaśnienia, a ona sama nie chciała się przed nim tłumaczyć.

– Następnym razem będziecie na czas.

Felice pociągnęła nosem i otarła kapiącą z policzków wodę.

– Nie będzie następnego razu.

Góra szmat zakołysała się w przód i w tył. Zabrało jej to chwilę, ale w końcu Felice zorientowała się, że zabójca się śmieje.

– Zawsze jest następny raz.

Izak okrążył grób, którego pęknięta płyta wpadła do środka. Stał teraz przy niej z nożem w garści. Asasyn się nie poruszył. Nie była nawet pewna, czy w ogóle zauważył Izaka. Ależ oczywiście, że zauważył. Po prostu nie uznawał go za zagrożenie.

– Izaku – powiedziała spokojnie – odłóż to. Jesteśmy wśród... przyjaciół. – Niemal zakrztusiła się tym słowem.

Izak niechętnie schował broń. Ale nie odstąpił od niej, choć Felice była pewna, że jeszcze kilka tygodni temu by to zrobił. Izak wyhodował sobie kręgosłup.

Szmaty asasyna poruszyły się i przed Felice wylądował worek.

– Zapłata.

Felice przeszukała płaszcz i znalazła trzy talizmany: kolczyk w kształcie syreny, broszkę uformowaną na podobieństwo splecionego węża oraz płaski talerz wielkości jej dłoni przedstawiający owocowe drzewo. Rzadkie znaleziska warte fortunę, ale dziś mało kto miał na nie pieniądze. Rynki w Anasomie



schły w oczach przez napaść i nikt się raczej nie wychylał. Talizmany były zarazem trudno i łatwo dostępne. Ponieważ dowiadywanie się sekretów należało do obowiązków Felice, wiedziała dobrze, że wielu anasomskich możnych miało pochowane skarby. Musiała więc tylko znaleźć dwóch możnych, którzy niedawno zmarli, a potem ograbić ich skrytki.

Włożyła talizmany do worka i podała zabójcy.

Szaty wyciągnęły się w jej stronę i otoczyły dłoń, nieprzyjemnie szurając o skórę. Oparła się naglej potrzebnie, by zabrać rękę. Gdy poczuła, że asasyn ciągnie worek w swoją stronę, puściła i uszyte ze szmat ramię cofnęło się do właściciela.

– Świetnie. Chodź za mną.

Felice zadrżała.

– Jak brzmi twoje imię? – spytała.

Asasyn zwrócił się ku niej, ale jego twarz wciąż niknęła w głębi kaptura.

– Nie pamiętam.

Wariat, zdecydowała Felice. Choć wyjątkowo skuteczny, jak wieść niesie. I lepiej, żeby tak było, bo nalatała się za zapłatą dla niego.

– Więc jak cię zwać?

Przez długi czas nic się nie poruszało, nie rozlegał się żaden dźwięk, jeśli nie liczyć szumu wiatru i deszczu.

– Dotąd nazywałaś mnie asasynem.

– Dobrze więc. Zatem: asasyn. A co dalej?

– Za mną.

Felice zwróciła się do Izaka.

– Słyszałeś naszego gospodarza. Naprzód.

– Pewna jesteś?

– Proszę, nie deliberuj. Ale musimy coś zrobić, i to szybko. Zdaje się, że to jedyna droga. Rebecci też tak myślała.

– I zobacz, gdzie jest teraz – wycedził Izak.

Felice ściągnęła brwi.

– Jeśli tego nie zrobimy, zginiemy. Po to właśnie tu przyszliśmy. Żeby nie podzielić jej losu. Kiedy zabijemy Kelhaka, Indryallanie pójdą w rozsypkę. Obgadaliśmy to przecież. Nie możemy się teraz wycofać.

– A chociaż porządnie zastanowić?

Felice uśmiechnęła się wbrew sobie.

– Obawiam się, że na to też już za późno. Jesteśmy w tym do samego końca. – Przelotnie ścisnęła ramię Izaka, a potem zwróciła się do skrytobójcy: – Co zrobisz z talizmanami?

– Co zrobię? Uwolnię je ze służby.

Wariat, jak nic. Szalony jak alchemik, który opił się rtęcią. Jeśli Rebeci pokładała w nim wszystkie nadzieje... to może powinni rozważyć inne możliwości.

Pomyślała tak, choć wiedziała, że nie ma żadnych innych możliwości. Pozostało jej westchnąć i przetrzeć oczy.

– Prowadź.



**T**o niemożliwe!

- Musimy go ukryć! Szponica będzie zła.
- To już tak długo. Prawie straciliśmy nadzieję.
- Zwoje nie kłamały!

Nocne powietrze drżało od rozmów. Vormagów było teraz czterech. Wszyscy siwi i pomarszczeni, starzy, jak Gamzegul.

Gdy jego przewodnik powiedział mu, że prawie dotarli już na miejsce, Amerdan nalegał, by poczekać do zmierzchu, bo wtedy mniej będzie ich widać. Nie chciał, żeby ta cała Xarlasa dowiedziała się o nim za szybko. Przynajmniej dopóki nie ugruntuje swojego poparcia wśród tych przygłupich bestii. W oddali słyszał stłamszony

przez znaczną odległość ryk bitwy. Jukarowie bili się z Kołczanami. Dźwięk napływał i odpływał niczym fala, tak jak uczucie nocy, gdy Amerdan wyprawiał się na samotne łowy.

Gdy słońce opadło ku horyzontowi, Gamzegul polecił Amerdanowi zawiesić talizman na szyi tak, by było widać.

– Znak – wyjaśnił.

Amerdan nie czuł się komfortowo, obnosząc się z nim. To był jego sekret.

Ale jeśli tym sposobem ma przekonać do siebie tych dzikusów, może to przez jakiś czas tolerować. W końcu niebawem i tak wszyscy umrą. Amerdan nie miał wątpliwości, że wojska cesarskie zatryumfują nad jukarami. Pytanie brzmiało: dlaczego jukarowie nie zdają sobie z tego sprawy? Czy może mieli jakąś tajną broń, która odwróci przebieg bitwy? Magia, czy może zmierzające ku nim w tajemnicy posiłki?

Niektórzy jukarowie nosili ślady walki: pospiesznie opatrzone rany i ciemne plamy krwi na ubraniach. Dokoła leżały potrzaskane fragmenty pancerza i broń, jakby jukarowie na bieżąc porzucali je, zamieniając na te, które jeszcze trzymały się kupy. Amerdan widział kilka bestii z otwartymi ranami.

– Musimy zabrać go do szponicy Xarlaszy – powiedział jeden z vormagów. – Jak odkryje, że ukryliśmy przed nią Przedwiecznego, wszystkich nas zabije.

– Ja zabiję cię tu i teraz – warknął groźnie Amerdan – jeśli nie zrobisz, jak każę.

Rozszczelnił studnię i zasilił strumieniem rzemyśliwo Dzwonków. Czarna tarcza okryła go, a potem znikła. Wyczuł w okolicy magiczne błyski innych vormagów i był całkiem pewien, że nikt nie zauważy kolejnego.

Widząc tę demonstrację, zgromadzeni przy nim zasyczeli i zawarczeli. Niektórzy cofnęli się, wystraszeni, a inni padli na kolana.

– Ciemność Przedwiecznych! – zawył jeden. – A więc to prawda!

– Cicho! – wrzasnął na nich Gamzegul i inne potwory cofnęły się.

Ciekawe, pomyślał Amerdan. Uznali tę gęstą tarczę za zdolność Przedwiecznych. Zdusił śmiech. Jak zwykle dopisujące mu szczęście było niemal namacalne. Talizman, rzemyśliwo, pokaz pewności

siebie, demonstracja władczości – tyle wystarczyło, by bestie sprzed Zdruzgotania ugięły się przed nim. Żałosne stwory. Ale czego spodziewać się po tych wybrykach natury. Czy one w ogóle żyły, czy raczej były tylko ulepionymi z mięsa golemami, jedynie imitującymi mowę?

– Opowiedzcie mi o szponach – nakazał Amerdan. – Jak bardzo różnią się od was? Czy także są czarodziejami...? – Zawiesił głos, gdy któryś z vormagów obrzucił go dziwnym spojrzeniem. Wtedy pojał swój błąd. Jako Przedwieczny powinien to przecież wiedzieć. Byli głupi, ale posiadali ograniczoną zdolność krytycznego myślenia. – Wszystko ulega przemianie wraz z upływającym czasem – zaimprovizował. – Muszę wiedzieć, jak zmienili się oni, by móc się z nimi ułożyć.

– Oczywiście – powiedział Gamzegul. – Jedni czarują, inni nie. Mają inne moce. Niektórzy umieją się ukrywać, inni są silni, inni szybcy. Tylko Strażnicy są czarodziejami.

Na dźwięk tego słowa inni vormagowie wymamrotali coś pod nosem. Gamzegul uciszył ich spojrzeniem.

Amerdan powstrzymał westchnienie.

– Strażnicy?

Inny vormag potwierdził skinieniem. Ten miał tylko jedno ucho.

– Strażnicy przechowują artefakty Przedwiecznych, czekając na ich zwycięski powrót.

Głowę dam, że szpony widzą to inaczej, pomyślał Amerdan.

– Dlaczego tylko Strażnicy władają magią?

– My nie... my nie wiemy.

– Hmm. Czy wszystkie szpony mają talizmany takie jak ten? – Amerdan dotknął swojej srebrnej klatki.

Gamzegul potrząsnął głową.

– Tylko...

– Tylko Strażnicy. Szpony-czarodzieje. Oczywiście. A ilu jest tych szponów? I ilu z nich jest Strażnikami?

Obrzydzenie brało go na myśl, że takie ohydne stwory mogą posiadać talizmany podobne do jego. Nie powinno się plugawić tak cennych artefaktów. Jedynie wybrańcy mogli nimi władać.

Jedynie on.

– Niewielu... kilkudziesięciu. A spośród nich tylko trzech jest Strażnikami. Może są inni na pustkowiu. Żyje tam wiele klanów rozproszonych na wielkiej powierzchni.

Gamzegul wydawał się czymś zafrasowany. Gdyby vormagowie wiedzieli, co Amerdan zaplanował, na frasunku by się nie skończyło.

– Xarlasa jest Strażniczką, zgadza się?

Gamzegul potwierdził skinieniem.

Amerdan nie mógł już tego znieść. Kropka zawierciła się przy jego skórze, czy chcąc ostrzec brata przed realizacją jego zamiarów, czy może go ponaglić – tego nie wiedział, bo nic nie mówiła.

Wsunął talizman z powrotem za koszulę. Cierpliwość była mocną stroną Amerdana, ale po tym, jak uciekł z pola bitwy, a potem krył się po kniejach, bardzo chciał coś w końcu przedsięwziąć.

Tylko że czasem cierpliwość była bezproduktywna. Już raz powinęła mu się noga. A jeśli vormagowie przejrzą jego blef i domyślą się, że nie jest żadnym Przedwiecznym, zanim Amerdan wykona swój ruch, to sprawy mogą się skomplikować...

– Zabierzcie mnie do Xarlasy. Natychmiast.



**G**azija natknął się nad rzeką na jakąś nową dziwnostkę. Osobliwe futrzaste zwierzę wbiegło na pień drzewa, wpijając się pazurkami w chropowatą korę. Wskoczyło na zwieszającą się nisko gałąź, przycupnęło i wbiło w niego otwarte szeroko, wystraszone oczy. Czarodziej przyglądał mu się w świetle księżyca. Nie przypominało żadnego widzianego dotąd zwierzęcia, ale przecież większość rzeczy

w tym świecie była inna i obca. To żerujące nocą stworzenie, tak jak wiele innych, przypominało im tylko, że nie są tu u siebie.

Wszystko tu jest takie dziwne, pomyślał. Nic dziwnego, że tylu nas tu wariuje.

Nie dość, że wciąż nie dźwignęli się z rozpaczyny po ojczystym świecie, to jeszcze ten świat robi, co może, by przydać człowiekowi udręki. I to, jak zmuszono nas do przetrwania... Gazija niemal zwymiotował na samą myśl. To nie będę znowu ja, przyrzekł w duchu z determinacją. Już nigdy nie pozwolę sobie tego zrobić.

Quiss chciał towarzyszyć mu w czasie przechadzki, ale Gazija zbył go wymówką, że potrzebuje o czymś pomyśleć. A tak naprawdę potrzebował być pewnym. Pewnym, że wybrał właściwą drogę i podjął słuszne decyzje. Ale jako człowiek piastujący swoją pozycję już całkiem długo wiedział, że czasem można było wybierać tylko między złem większym a mniejszym.

Ktoś spierałby się, że zło to zło, a kto wybiera zło, ten sam jest zły.

Jednak w oczach swoich ludzi Gazija uchodził za zbawcę. On sam wiedział, że jest nikim. Sprowadził na nich wielkie nieszczęście. I to takie, które bez ustanku drążyło ich serca.

Zaczął ciężko oddychać. Wspiął się niskim wzniesieniem na szczyt wzgórza. Właściwie żadne wzgórze, ledwie wystająca ponad poziom gruntu wypukłość, ale szło mu się ciężko. Jego laski nie pomagały mu już tak bardzo jak wtedy, gdy dopiero zaczął ich używać. Już chciał w bezsilności skląć te przekłete kije, lecz się powstrzymał. Powinien raczej przeklinać swoje stare ciało. Tak wątpła rzecz, podatna na wszelkiej maści ohydne schorzenia.

Na szczycie wzniesienia Gazija dłuższą chwilę odpoczywał, pozwalając się schłodzić wiejącemu znad rzeki wiatrowi. Przynajmniej niektóre uczucia i wrażenia budziły skojarzenia z tymi w ojczystym świecie, ale przynosiły też ze sobą wspomnienia o tym, co było, a nie jest. O tym, co bezpowrotnie utracili. I każde takie przyjemne wrażenie było podszyte rozpaczą.

Obrócił twarz ku rzece i skupił spojrzenie na dokach i okrętach. Większość jego ludzi znajdowała się tam. A on był tutaj, bo miał do podjęcia decyzję.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął rzemyśliwo, które odebrał czarodziejowi Caldanowi. Z mosiężnej twarzy figury spoglądały na



niego klejnoty oczu. Caldan to nazwał konstruktem. Magiczna maszyna. Poruszająca się samoistnie, potrafiąca wykonywać proste polecenia. Młodzieniec pewnie nie zdawał sobie sprawy, jak bliska zniewalającej jest magia, którą zaprzągnął do pracy przy tworzeniu swoich dzieł. Któryś z jego poprzednich mistrzów może miał tę świadomość, mimo że Gazii zdawało się, że mało kto z tutejszych czarodziejów miał o tym choć cień pojęcia. Uznawali magię zniewalającą za coś niegodnego i złego, a inni korzystali z niej tylko po to, by ujarzmić innych. Przesądni ignoranci i prostacy.

Gazija nałożył na urządzenie nowe runy. Te, które wyrysował Caldan, były nietrwałe. Teraz metalowe powierzchnie konstruktury pokryte były wyraźnym, pięknym rysunkiem sporządzonym przy użyciu delikatnej magii niszczycielskiej. Gazija utrwalił nią runy Caldana, zaprawiając je własną magią, tak złożoną i potężną, że zmieniła przeznaczenie konstruktury oraz samą jego naturę. Między runami i kształtami znajdowały się teraz, zbyt małe, by pochwycić je gołym okiem, dodatki uczynione magią zniewalającą, ale stary mag użył jej w zupełnie nowatorski sposób.

Może zadziała, a może nie.

Nie dowie się, póki nie spróbuje. Tylko że ryzyko porażki było znaczne... a konsekwencje potencjalnie katastroficzne. Nie mogli pozwolić sobie na utratę kolejnego świata.

Gazija usiadł na trawie, nie przejmując się wsiąkającą w spodnie rosą. Siedział tak, a księżyc wędrował nad jego głową.



**F**elice potknęła się o czaszkę i zachwiała na nogach, opierając się ręką o ścianę, i natychmiast odskoczyła od niej, oblepiona pajęczyną. Czaszka potoczyła się po kamieniach i roztrzaskała w drobny mak, rozsiewając wkoło drobinki kości.

– Niech szlag trafi wszystkich przodków i przodkinie!

Izak aż krzyknął, słysząc jej klątwy.

– Cicho! – szepnęła Felice.

Izak obrzucił ją spojrzeniem i wytarł o siebie dłonie, także chcąc pozbyć się z nich pajęczyny.

– Gdybym wiedział, że zapuścimy się przez krypty w same trzewia ziemi, to przyniósłbym lampę.

– Musimy się jakoś bez niej obejść. Asasyn twierdzi, że zna drogę przez kanały i stare tunele, a my musimy mu zaufać.

Izak odmruknął coś, ale Felice nie dosłyszała.

– Co powiedziałaś?

– Nic.

Idący przed nimi skrytobójca przystanął, czekając, aż go dogonią. Jedynym źródłem światła w ciemnicy była jego czarodziejska kula.

Przewiązał ją rzemieniem i niósł na plecach odrobinę poniżej linii wzroku Felice. Asasyn albo znał te tunele na tyle dobrze, by swobodnie poruszać się po nich nawet z zamkniętymi oczami, albo jakimś sposobem widział w ciemności. Obie możliwości były im bardzo na rękę, nawet jeśli ta druga budziła w Felice nieokreślony niepokój. W każdym razie miło z jego strony, że mimo wszystko zadbał o jakieś źródło światła, żeby ona i Izak nie połamali sobie nóg

Szlachcic nachylił się do Felice i powiedział jej na ucho:

– Stawiam dziesięć złotych dukatów, że nas zabije.

– Nie masz dziesięciu złotych dukatów. A poza tym gdyby rzeczywiście chciał, to nie zadawałby sobie tyle trudu i pewnie już dawno by to zrobił.

– Też prawda. – Izak szarpnął się za bródkę. – Może więc czeka nas coś gorszego od śmierci. Pięć dukatów, że wyda nas Kelhakowi.

Felice uśmiechnęła się szeroko.

– Ten zakład przyjmę. Jeśli wygrasz, możesz odebrać sobie dukaty od mojego martwego ciała.

– Będzie musiało mi wystarczyć przekonanie.

Ze sterty szmat przed nimi poniósł się warkot i oboje umilkli.

Felice spojrzała na przeciwległą ścianę tunelu. Widniały tam ułożone warstwami kości, tworzące rozmaite wzory zwieńczone zatkniętymi na samej górze czaszkami. Puste oczodoły obserwowały ich beznamiętnie od dobrej godziny. Głęboko pod Anasomą znajdowały się opuszczone i potwornie stare krypty.

Gdy pokonali kamienny korytarz, znaleźli się w ociosanym z grubsza, biegnącym przez litą skałę tunelu, który zaprowadził ich

do kolejnego. Ktoś spędził mnóstwo czasu, łącząc jedne z drugimi. To musiało zająć kilkadziesiąt lat, a wszystko wskazywało na to, że prace zakończono dawno temu. Gruba warstwa kurzu osiadła w nowszych tunelach, co powiedziało Felice, że „nowe” to one były setki lat temu.

– Słyszałem plotki o jakichś stworach bytujących w starszych, głębiej położonych tunelach.

Felice prychnęła śmiechem.

– Izaku, to są opowieści, którymi straszy się niegrzeczne dzieci albo które snuje się późną nocą w karczmach.

– Znałem faceta, który znał kobietę, która zeszła do kanałów. Była młodą złodziejką, która szukała...

– Plotki – skwitowała Felice. – Bujdy, dopóki nie znajdzie się jakiś dowód.

Izak dla żartu obszukał kieszenie, a potem obrzucił ją zdumionym spojrzeniem.

– Musiałem zostawić dowody w swojej letniej rezydencji.

W świadomość Felice wdarł się jakiś cichy dźwięk. Jakby łopoczący na wietrze materiał. Podobny do oddechu powiew powietrza prześliznął się po jej policzku. Idący przed nimi asasyn zniknął. Na kamiennej podłodze leżała czarodziejska kula.

– Felice – odetchnął Izak głosem nabrzmiałym trwogą.

Znów miał w ręce nóż.

– Czekaj – powiedziała.

Przed nimi widniał odbiegający w bok tunel – czarny otwór w ścianie pochłaniający światło kuli. Wyczuła kolejny, niemal niezauważalny ruch powietrza. A potem wrzask, jakby ktoś obdzierał kota ze skóry. Niósł się korytarzem przez kilka chwil, nim nagle ucichł.

Izak zaczął spazmatycznie oddychać.

– To nie wróży nic dobrego.

Felice uniosła rękę, usiłując zachować spokój, choć serce podeszło jej do gardła, a głos w jej głowie kazał złapać kulę i uciekać.

– Spokojnie. Powiedziała: czekaj.

Znowu ten łopot trącanego wiatrem materiału. Ruch powietrza. Z bocznego korytarza wyłonił się cień. Asasyn.

Cofnęła się o dwa kroki i spojrzała na niego, zadzierając głowę. Kapturem niemal dotykał sufitu. Był wysoką istotą o niemal bezszelestnym kroku. Cenna umiejętność w jego branży. Stał twarzą do nich z czarodziejską kulą zaraz przy nogach. Nakryta kapturem głowa niknęła w ciemności wysoko przy suficie. Dopiero wtedy zauważyła, że z ostrza w jego ręce kapie na kamienie jakaś ciemna ciecz. Kropelki spadały zaraz obok kuli. To musiała być krew, ale... nie była czerwona. Tylko czarna. Wróciła spojrzeniem do sztyletu i dojrzała runiczny wzór wytrawiony w metalu tam, gdzie broń niknęła pod szmatami. Albo rzemyśliwo, albo talizman.

– Strzeż się. Tutaj... coś mieszka... w najstarszych, najgłębszych tunelach.

Felice skrzyżowała spojrzenia z Izakiem. Posłał jej błagalne spojrzenie, które krzychało: „Ratunku!”. Pokiwała głową.

– Co to za stworzenia, o których mówisz? – rzuciła do asasyna. Zerknęła pod kaptur, raz jeszcze usiłując dostrzec twarz skrytobójcy. Bezskutecznie. Ostrze zniknęło z widoku, choć Felice nie wychwyciła spojrzeniem żadnego ruchu.

– Zapomniane. Ścierwojady.

– Jak zdołały przeżyć tutaj? Wiesz coś na ten temat?

Cisza długo wisiała w powietrzu.

– Niektórzy... zrzucają trupy tutaj...

Znowu ten dziwny nawyk powtarzania ich słów. Było to zarówno denerwujące, jak niepokojące. Miał pewnie na myśli ludzi, którzy pozbywali się w tunelach ciał. Zbiry i złodzieje, mordercy i rzezimieszki.

Zabójca obrócił się nagle, aż zawirowało jego oberwane ubranie, i puścił naprzód tunelem. Prawie nie wzburzył zalegającego na podłodze pyłu. Felice i Izak ruszyli za nim i zatrzymali się dopiero godzinę, lub może trzy godziny później. Na podłogę spadł bukłak z wodą.

– Pijcie – nakazał zabójca.

Felice wyjęła korek. Była rozpaczliwie spragniona i zupełnie nieprzygotowana na taką wyprawę. A bardzo nie lubiła czuć się nieprzygotowana i zdana na łaskę kogoś innego. Powąchała gwint i łyknęła oszczędnie. Rzeczywiście woda, pomyślała z ulgą, wciąż nie

wyzbywszy się obaw. Mimo to pociągnęła kilka głębokich łyków, po czym podała bukłak Izakowi.

– Już prawie... dotarliśmy.

Felice skrzywiła się. Z jej szacunków wynikało, że jeszcze kawał drogi przed nimi, nawet wzięwszy pod uwagę, że ciemność tuneli zaburzała rachubę czasu. Cały czas szli mniej więcej prosto przed siebie i choć nie widzieli tu ani księżycy, ani słońca, to przecież niemożliwe, by w te parę godzin pokonali tak wielką odległość.

– Wątpię – skomentowała. – Jak daleko jeszcze twoim zdaniem?

– Kilkaset... kroków.

– Kilkaset? To znaczy ile?

– Trzysta.

Nie. Niemożliwe.

– To przecież...

Przerwało jej jakieś metaliczne dzwonięcie. Dwa sztylety asasyna spadły na podłogę. Smukłe, cienkie ostrza długości ręki. Ale... pokryte wzorami. Nachyliła się, by przyjrzeć się bliżej. Jakieś pnącza lub może drzewo. Rękojeści uformowane były w kształt pni, a główica przypominała kulę ugniecioną ze srebrnego drutu.

Felice przygryzła dolną wargę. Talizmany?

– Bierz... na Kelhaka.

Schyliła się i podniosła sztylety. Teraz wiedziała na pewno: talizmany pełną gębą. Ten drut nie był ze srebra, tylko z jakiegoś srebrnego stopu. Kolekcjonerzy zaśliniliby się po brodę na ich widok i chętnie obsypali kontrahenta dukatami. Przyjrzała się uważnie główicom. Było w nich coś znajomego. Dostrzegła między zwojami drutu dwa drogie kamienie, przezroczyście, zapewne diamenty.

Wtedy dotarło do niej, na co patrzy. Rebecci uwięziła Savina w rzemyśliwie takim jak te dwa.

Dreszcz zbiegł jej po plecach, tak jak w chwilach, gdy rozgryzłszy taktykę przeciwnika w dominionie, orientowała się, że znalazła się w niebezpieczeństwie. Jakimś sposobem przebyli o wiele większą odległość, niż jej się wydawało. Asasyn był wysoki. Właściwie nigdy nie widziała człowieka tak wysokiego jak on. Miał przy sobie kowalotwórcze rzemyśliwo, może nawet talizman. Żądał zapłaty w talizmanach. I miał wiadomą reputację. A teraz jeszcze te dwa

ostrza, które – jeśli jej myśli biegły dobrym torem – mogły mieć tylko jedno przeznaczenie.

Ten człowiek... ten skrytobójca był czarodziejem, ale i kimś więcej. Nie musieliby mu nawet zapłacić. Chciał, by się tu z nim znaleźli. Zrobiliby to, o co go poprosili, nawet gdyby nie poprosili.

Do diaska.

– Masz swój własny powód, żeby zabić Kelhaka, prawda?

Szmaty poruszyły się.

– Rebecci i ja. Doszliśmy do porozumienia.

– Czego ono dotyczyło?

Okryta kapturem głowa pochyliła się nad nią.

– To jest liczem. Inhibitorem. Pożeraczem.

Dobór słów asasyna tylko wzmógł niepokój Felice. Zupełnie jakby Kelhak nie był człowiekiem. Tylko że ona spotkała go przecież. Grali w dominion i mogłaby przysiąc, że to człowiek z krwi i kości. Co to za „licz”, co to znaczy? Wyglądało na to, że Rebecci wraz z asasynem uznali, że Kelhak jest w jakimś względzie podobny do Savina.

– Kelhak – zaczęła Felice, wolno wymawiając słowa – nie jest tym, kim wydaje się być, prawda? Nie jest Kelhakiem. Ktoś nim zawładnął.

– Już... mówiłem.

Stojący za Felice Izak wciągnął powietrze do płuc. A więc ta sprawa miała drugie dno, do którego musiała się dokopać. Asasyn niechętnie dzielił się informacjami, ale musiała spróbować coś z niego wydobyć.

– Tak naprawdę wcale go nie zabijemy, zgadza się? Uwięzimy to coś, co go opętało.

Jeśli spodziewała się od skrytobójcy jakiejś odpowiedzi lub potwierdzenia, zawiodła się. Nie poruszył się, nie wydał z siebie najmniejszego dźwięku.

– Do czego jesteśmy ci potrzebni? Sam zakradłbyś się do niego łatwiej, niż ciągnąc za sobą nas.

Milczał, ale właściwie już nie musiał nic mówić. Nie zostałyby szpiegiem, gdyby nie umiała kojarzyć faktów. Czy on potrzebuje nas, byśmy odwrócili uwagę Kelhaka? Nie... do tego nadałby się byle kto. On po prostu nie jest pewien, czy uda mu się wykonać to zadanie. Mamy stanowić zabezpieczenie. Co oznacza, że mamy większą

wartość niż byłe mięso armatnie. To plan awaryjny Rebeci. Na wypadek gdyby zginęła.

– Odpowiedz mi więc: co usiłujesz zyskać, wykonując tę misję? Jeśli nie odpowiesz, wychodzimy.

– Czas najwyższy... – wymamrotał Izak.

Felice czekała. Potem prychnęła z pogardą i już zaczęła zbierać się do wyjścia, odłożywszy sztylety na podłogę, gdy skrytobójca przerwał ciszę.

– Mistrz nakazał mi to zrobić.

– Kim jest twój mistrz? Gdzie jest?

– Nie ma go. Nie żyje.

– A ty wciąż wykonujesz jego polecenia? – zapytała Felice.

Oberwany skrytobójca nie poruszył się, lecz Felice wydawało się, że raptem urósł, wypełniając sobą cały korytarz. Dało się słyszeć jakiś pomruk, który umknąłby jej, gdyby uważnie nie słuchała asasy. Felice przełknęła ślinę. Czuła całą sobą złowróżbną aurę skrytobójcy. Emanował namacalną siłą, odkładającą się na duszy realnym ciężarem, ale Felice nie miała zamiaru się ugiąć, zebrała się więc w sobie i pozwoliła, by moc spłynęła z niej jak woda.

– Mistrz posiadał mądrość, której inni mędracy tego świata mogli mu tylko zazdrościć.

Felice przyjrzała się asasynowi. W jej głowie zrodziła się myśl, a potem wybuchła, rozpędzając mrok zalegający w kątach jej umysłu. Niemożliwe... A jednak, wszystko pasuje. Zachwiała się i oparła o mur. Ściany tunelu naparły na nią. Zmusiła się, by zaczerpnąć kolejny oddech. Oddychaj, niech cię szlag... – obsztorcowała się i zaśmiała wątle.

A gdy już zaczęła, nie mogła przestać. Izak powiedział coś do niej, ale nie zrozumiała.

Nie pozwól, by cię to zniszczyło. Weź się w garść.

Wreszcie atak śmiechu przeszedł, pozostawiając na jej ustach wyprane z wesołości skrzywienie. Już знаła prawdę. Rozpostarła się przed nią w sposób tak oczywisty, jak mogła to uczynić tylko przed umysłem wprawionym w zawilości i zagadki dominionu. Opuściły ją wszelkie wątpliwości.

– Jesteś... – Machnęła ręką, nie bardzo umiając dopasować słowo do rzeczywistości. – Jesteś stworzeniem sprzed Zdruzgotania. Nie



jukarem i nie vormagiem. Mam rację?

O przodkowie, on musiał mieć tysiące lat! Ile wiedział? Jak wiele mógł jej powiedzieć? Usiłowała, jak tylko mogła, zdusić swoje łaknienie wiedzy.

– Stworzono mnie, tak. Ale też uczyniono ze mną coś więcej. Odbarżono życiem. Jestem szponem.

Felice pokiwała głową, choć nie wiedziała, co to znaczy.

– Wypełniasz polecenie swojego nieżyjącego mistrza. Który zginął w czasie Zdruzgotania.

Stwór poruszył się. Teraz Felice nie próbowała już zajrzeć pod kaptur.

– Jak wszyscy czarodzieje.

Wszyscy? Nie, to akurat bzdura.

– Nieprawda. Żyją przecież czarodzieje, na porządku dziennym korzystają z magii i robią to od Zdruzgotania.

– Nie tacy jak Przedwieczni, jak licze. Czarodzieje, których ty znasz, przyszli na świat później.

Okres rozciągający się od kataklizmu na dwa milenia był w rzeczy samej słabo udokumentowany i niewiele było o nim wiadomo. Jeśli asasyn mówił prawdę, to co spowodowało śmierć wszystkich żyjących czarodziejów?

– Jak oni zginęli?

– Zabił ich mój mistrz.

Ta odpowiedź uderzyła w Felice jak młot. Ogrom, niewyobrażalna rozpiętość wydarzenia, o którym jej opowiadał. Co za niezmiernie okrucieństwo, jaki potężny, wszechogarniający rozmach mordu, którym ów mistrz objął wszystkich magów na świecie. Ale czy był to akt malewolentny, czy może jakaś rozpaczliwa konieczność?

– Dlaczego ich zabił? – szepnęła Felice.

– Gromadzili moc. Złą moc. Wszyscy przeobrazili się w licze i należało ich powstrzymać. Powybić.

Znowu to obce słowo. Stwór – szpon – użył go w odniesieniu do Kelhaka. Licz.

– Czym jest Kelhak? Co to jest licz?

– Istota, która odbiera. Gromadzi. By urosnąć w siłę. Więzi innych... A potem czuje już tylko głód i nie pragnie niczego innego,

jak tylko przetrwać.

Przekłęci przodkowie. Rzemyśliwo Rebecci. Ludzkie dusze, ich esencja – istniał sposób, by wyciągnąć ją z ciała.

I wykorzystać.

Felice zasłoniła na chwilę twarz dłońmi, przetarła oczy.

– Kelhak wysysa z ludzi ich siły życiowe, najpewniej po to, by przedłużyć własne życie. Jest też potężnym czarodziejem. Jak możemy go pokonać?

– Tak... i tak. Kelhak jest wieloma i wielu jest Kelhakiem.

Licz. Na przodków!

Dotarło do niej coś jeszcze.

– Iloma studniami dysponuje?

– Wieloma.

Felice westchnęła.

– Rozumiem. Nazwałeś go inhibitorem. Zgaduję zatem, że Kelhak coś spowalnia lub powstrzymuje. Co dokładnie?

– Śmierć.

– Swoją własną?

Kaptur poruszył się w lewo i w prawo.

– Innych... Tych, którymi zawładnął.



**C**aldan przebył wreszcie ten krótki dystans, który dzielił go od Starorzecza. Natychmiast odnalazł wynajęte kilka dni wcześniej mieszkanie i zebrał te ze swoich rzeczy, których nie spakował Quiss – ubrania i kilka drobiazgów.

W rzeczywistości nie dbał o te rzeczy, ale potrzebował pretekstu, żeby odzyskać swój kościany talizman. Nie był wcale pewien, czy Gazija nie każe go śledzić. Szczerze mówiąc, mógłby spodziewać się tego także po Devenishu, nie zdziwiłby się również, napotkawszy po drodze żądną zemsty Lisanette. Z drugiej strony czuł, że jeśli szybko się uwinie, prawdopodobnie nic się nie stanie. Zadbał o to, by wszystkie rzemyśliwa mieć pod ręką. Wychodząc, otrzymał od

gospodarza śniadanie – owsiankę z miodem i pieczoną jaszczurkę w jogurcie. Najwidoczniej jakiś lokalny specjał. Caldan odmówił – nie był głodny – ale z wdzięcznością przyjął kubek parującej herbaty. Była gorąca, słodka i pyszna.

Znajdująca się nieopodal brama miejska już była zapchana ludźmi, którzy na wozach lub z koszami w rękach przechodzili do środka lub na zewnątrz.

Irytował go gwar tłumu, co powiedziało mu, że najwidoczniej wstał dziś lewą nogą. Prawdę mówiąc, na chwilę obecną nie miał żadnego planu. Improwizacja nie była jego mocną stroną, zwłaszcza gdy gra szła o wysoką stawkę.

Upłynęło trochę czasu, nim Caldan wreszcie przedostał się przez bramę. Przybycie cesarskiego wojska nieco uspokoiło mieszkańców miasta, nawet jeśli tuż za progiem wciąż gorzał bój z jukarami, i teraz korzystali z chwili względnego spokoju, by wznowić handel, zanim znowu zmaleje popyt na ich towary. Na drodze tłoczyły się konie, woły i wozy. Wielu ludzi spierało się ze strażnikami i między sobą. Caldana głowa już bolała od tyłu bodźców. Zaciśnięła szczęki i przepchnęła się siłą w tłum.

Odetchnął z ulgą, gdy któryś z Kołczanów machnął w końcu i na niego, by minął bramę i dołączył do cizby wylewającej się ku dokom. Zmrużył oczy w słońcu i przystanął, łapiąc oddech, choć wiedział, że tak naprawdę próbuje odwlec nieuniknione.

Rzykował, ale jukarowie zostali odepchnięci na tyle daleko, że żaden nie powinien plątać się po drodze tam, gdzie schował swój pierścień.

Zaniósł krótką modlitwę do przodków, prosząc o to, by łaskawie odpedzili od niego zbłąkanych jukarów, i Kołczany oraz arcymagów także.

Dopisało mu dzisiaj szczęście, bo bez przeszkód dostał się do opuszczonej wioski. W niebo pięły się chmury kurzu, znamionujące wznowienie bitwy, ale na tyle daleko, że okrzyki i wycie ledwo było słyhać. Tak szybko, jak tylko potrafił, podbiegł do studni, raz jeszcze rozglądając się, by się upewnić, że jest sam. Nikogo nie widział ani nie wyczuł w okolicy żadnego czarodzieja. Był całkiem pewien, że rzeczywiście jest sam. Prędko wspiął się na murek i opuścił w dół studni, trzymając się poprzeczki, a następnie opierając ręce i nogi

o ścianki. Pogrzebał ręką w mule, usiłując wymacać wrzuconą do środka paczuszkę.

Tu jest.

Wygramolił się na zewnątrz i rozerwał pakunek.

Talizman był w środku. Co za ulga.

Szybko zawiesił sobie pierścień na szyi i schował pod koszulą. Raz jeszcze się rozejrzył. Cisza jak makiem zasiał, nie licząc niosącego się z oddali tumultu bitwy. Szybkim krokiem opuścił wioskę i niebawem znowu zobaczył przed sobą bramę Starorzecza oraz stłoczoną przed nią kolejkę.

Słońce przyćmiła chmura, rzucając na niego cień. W tej samej chwili wyczuł coś... Ulotne niczym babie lato wrażenie zagrożenia, tłące się gdzieś na granicy postrzegania. Dziwne. Zaraz, jeszcze przed momentem niebo było bezchmurne. Podniósł wzrok i ujrzał na horyzoncie ciemny obłok. Na jego oczach chmura całkowicie przysłoniła rozjarzoną kulę słońca. Było w tym coś... nienaturalnego. Nawet z tej odległości widział, jak jasne rozbłyski rozchodzą się po szarym obłoku, ale nie były srebrne, jak kiedy na burzowym niebie szaleją błyskawice.

Tylko zielone i fioletowe.

Znowu magia. Od strony Anasomy. To musieli być Indryallanie. Najwyraźniej nie chcieli już czekać, aż pofatygują się do nich Mahruzańcy.

Cokolwiek nadchodziło, będzie potężne i niebezpieczne, pomyślał. Ktoś pozbawiony tarczy lepiej by zrobił, chowając się pod dachem. Przodkowie wiedzą, czy i tarcza wystarczy, by oprzeć się atakowi.

– Uciekać! – krzyknął do stłoczonych wokół ludzi, wskazując nadchodzącą naważnicę. – Ciągną ku nam niszczycielskie czary. Szukajcie schronienia wewnątrz murów.

Wybuchły okrzyki przerażenia, gdy ludzie po raz pierwszy spostrzegli sunący po niebie masyw.

Miranda. Przede wszystkim musiał zadbać o jej bezpieczeństwo. I tak nic tu nie poradzi. Gazija i Quiss powinni poradzić sobie z dowolnym czarem, który tamci rzucą na Starorzecze. Zostawiwszy za sobą spanikowaną ciżbę, Caldan puścił się biegiem i zboczył z drogi, kierując się prosto do doków.

Gdy dotarł do okrętu Gazii, burza zaciągnęła już pół nieba, a wiatr wzmógł się i szarpał ubraniem. Kurz i liście leciały mu do oczu, więc osłonił twarz przedramieniem.

Na pokładzie uwijali się marynarze, przygotowując jednostkę do starcia z wichurą. Czarodzieje zebrali się w grupie pod rozkazami Quissa.

Mag powiedział coś do nich, ale słowa porwał wiatr, nim dotarły do uszu Caldana. Inni czarodzieje zrozumieli go jednak i kilku pokiwało głowami. Dwaj oderwali się od oddziału i przebiegli obok Caldana, by trappem zejść na nabrzeże.

– Quiss! – przekrzyczył tumult Caldan, podchodząc do maga. – Gdzie jest Miranda?

– Pod pokładem. – Quiss złapał go za ramię. – Nie widziałeś gdzieś Gazii?

– O czym ty mówisz? Nie widziałem. Zaginął?

Quiss opuścił głowę.

– Tak. Znowu poszedł gdzieś sam. Nie powinienem był go puścić.

– To nie twoja wina.

– Moim zadaniem jest go chronić.

– On sam umie zadbać o swoje bezpieczeństwo.

Quiss pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się. Widziałem to już wcześniej. To... to nic dobrego. Martwię się.

– Gdzie to widziałeś? Co możemy zrobić?

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Osłonimy okręt jak najlepiej umiemy. Powinno nam się udać ocalić jednostkę i najemników.

Oby, pomyślał Caldan. Byle przeżyć kolejny dzień. W tej chwili tylko to się liczyło.

– Muszę znaleźć Gaziję – powiedział Quiss. – Czuję, że gdzieś na północy gromadzi się więcej magii, a jeszcze więcej na zachodzie. Jednym ze źródeł tej magii może być Gazija, ale nie wiem, co on tam niby robi.

Caldan się zawahał. Pomiędzy obrazy Mirandy, które dominowały w jego głowie, wdarł się Gazija i Kelhak.

– Jesteś pewien, że Mirandzie nic nie grozi? – spytał.

Quiss pokiwał głową. Wiatr szarpał mu włosy.

– Tak.

– A więc idę z wami.

Może pewnego dnia dotrze do mnie w końcu, że sam nie naprawię całego świata, pomyślał z goryczą.



**S**trach był jak klatka, która krępowała jej ruchy. Felice bardzo nie lubiła tego uczucia.

Z każdy krokiem miażdżyła stare, suche gnaty.

Szli teraz korytarzami, w których próżno było szukać porządku zaobserwowanego uprzednio; ułożone równiutko kości były rozrzucone po podłodze, jakby ktoś lub coś w przyływie szału wyrzucił korytarz do góry nogami. Grube dębowe drzwi wisały otwarte na zawiasach, a za nimi rozciągało się we wszystkie strony pomieszczenie wielkie jak grot. Światło czarodziejskiej kuli najpierw pociemniało, a potem zgąsło zupełnie, nim wydobyło z mroku biegnące po bokach ściany. Odcinek podłogi wyłożony był



pokrytą kurzem mozaiką, przedstawiającą scenę z polowania – mężczyźni i kobiety prymitywną bronią masakrowali fantastyczne bestie.

Mijając drzwi, zwróciła przelotnie uwagę na pordzewiałe, połamane zawiasy. Deski podłogowe były prastare, desenie wyrysowanych na nich run dzieliły głębokie szczeliny i pęknięcia. Felice rozpoznała kilka magicznych znaków. Nie dzięki temu, że napatrzyła się w życiu na magię, lecz dzięki temu – i to odkrycie ją zaskoczyło – że przewijały się w dominionie. Jak na przykład ten krzywy kwadrat otaczający siedmioramienną gwiazdę, która z kolei zamykała w okręgu maleńką twarz. O, a tamten znak zawsze zdobił szatę figury Cybele – kobiety mającej uosabiać życie i potrafiącej postawić na planszy nową figurę.

Zatrzymała się, by zastanowić się nad znaczeniem rytów. Oznakowane nimi drzwi bynajmniej nie były zwykłymi drzwiami. Po co ozdabiać tak zawiłymi wzorami coś tak przyziemnego?

– Myśleli, że te znaki odpędzą zmarłych – odpowiedziała na własne pytanie.

Zaszeleścił materiał, gdy szpon poruszył się, słysząc te słowa.

– Patrzysz i widzisz – pochwalił ją.

Felice przełknęła ślinę.

– Czy w tamtych czasach trzeba było bronić się przed zmarłymi?

– Niekiedy... lecz nie tutaj.

A więc to przesąd. Ale przed jakimi zmarłymi chcieli się obronić? Ech, na przodków. Rebecci, czemu cię tu nie ma? Nie radzę sobie. Gdzie ty kroczyłaś pewnie, ja wlokę się po omacku.

Przechodząc, musnęła palcami runy. W zastale powietrze tuneli wniknął jakiś świeższy zapach. Felice łapczywie zaczerpnęła tchu. Nie uświadamiała sobie dotąd, że oddycha martwym powietrzem, bezwonnym, jeśli nie liczyć nuty kurzu. I nic dziwnego – takie powietrze zalegało w trumnach i grobach.

Źródło światła zniknęło za lewym rogiem wraz z niosącym je szponem. Izak szedł obok Felice, również miażdżąc po drodze stopy kości.

– Coś – powiedział – lub może ktoś rozrzucił te stare gnaty po podłodze.

Mogła tylko kiwnąć głową. Potwierdzał jej własne myśli.

Zawiasy były doszczętnie zeżarte przez rdzę, drzwi nie dało się więc zamknąć. I to coś o tym wiedziało. Czy użyło tych kości w charakterze... ostrzeżenia? A może miał to być alarm? Ale przecież leżały one na warstwie kurzu na podłodze, a na nich samych spoczywała tylko cienka warstewka, zupełnie jakby zaległy tak całkiem niedawno.

Felice przygryzła dolną wargę, przypomniawszy sobie, że szpon zabił jakiegoś stwora. Przewodnik powiedział wtedy, że to jeden z wielu. I możliwe, że była to jakaś istota obdarzona świadomością. Po tylu latach w ukrytych głębiach pod Anasomą byli na tyle wystraszeni, że postarali się o jakiś system ostrzegawczy – prymitywny, bo prymitywny, ale jednak. Tylko czego się tak bali?

Jakaś częśćka Felice chciała osadzić nogi na kamiennej podłodze i nie ruszyć się ani o krok, dopóki szpon nie wyjawí wszystkiego, co wie.

Inna częśćka wiedziała, że byłaby to głupota. Wcześniej nie uświadomiła sobie, jak bardzo nagli ich czas. Nigdy nie traciła jego rachuby, co czyniło z niej tak dobrą planistkę, lecz wędrówka po podziemiach wybiła ją z rytmu i teraz do jej ruchów i myśli zakradł się zgubny pośpiech.

– Daleko jeszcze? – spytała szpona.

– Niedaleko. Już jesteśmy blisko.

– Blisko czego?

– Końca.

– Masz na myśli Kelhaka?

– Tak.

Słowa szpona powinny były ją uspokoić, lecz Felice podskórnie czuła, że kryje się w nich jakieś rozmyślnie ukryte drugie dno. Nie wątpiła, że Bóg-Imperator jest gdzieś blisko, ale z jakiegoś powodu nie mogła uwierzyć w ich mające rychło nastąpić spotkanie. Znaleźli się przodkowie tylko wiedzą, jak głęboko pod ziemią, a wszelkie otrzymane przez Felice raporty mówiły, że Kelhak nigdzie nie rusza się bez obstawy swoich strażników. Czyżby szpon miał wiedzę, że tym razem tak nie będzie...?

– Dość tego. Natychmiast gadaj, co wiesz – zażądała. – W jaki sposób planujesz odwrócić jego uwagę?

Izak skrzywił się, nie rozumiejąc. Jeszcze za nią nie nadążył.

– Licz splata czar – wyrzekł szpon.

Felice burknęła coś pod nosem.

– Na pewno szczególnie potężny.

– Tak... postanowił się ujawnić. Jego ludzie zostaną odesłani.

– Skąd to wiesz?

– Rebecci to zaaranżowała. Jej przywódca również się ujawni.

Licz nie zdoła się oprzeć takiej przynęcie. Kelhak da się zwabić i będzie osłabiony.

A więc to na tym polegał plan Rebecci. Jej przywódcą był oczywiście Gazija. Czarodzieje wstąpili na niebezpieczną ścieżkę. Felice nie mogła nie podziwiać jej odwagi. Kelhak będzie sam, w dodatku rozproszony skomplikowanym i wymagającym zaklęciem. Doskonale. Ale, ma się rozumieć, niezależnie od tego, jak przemyślany jest plan, i tak sto rzeczy może pójść nie tak.

Ręka Izaka spoczęła na jej ramieniu. Jego dotyk był krzepiący i ciepły. Nakryła ją własną dłonią.

– Poradzimy sobie – zapewnił ją. – To jest plan Rebecci, a ona miała łeb na karku. Zaufała temu... szponowi. Obmyśliła sposób na odwrócenie uwagi wroga.

Felice posłała mu przelotny uśmiech. Izak jest dobrym człowiekiem, uznała. Ale dotąd zginęło już wielu dobrych ludzi, którzy nie zasłużyli na śmierć. Prawda, Rebecci nie była głupia. A my?



– Tutaj...

Izak zrobił krok naprzód i wyjrzał przez wielkie okno. Felice zamknęła za nimi drzwi.

Szpon stał w kącie przy beczce z soloną wołowiną, na której wyrysowano dwa rogi i trójkąt. Skrytka była niewielka i niewiele się w niej znajdowało. Felice przestąpiła z nogi na nogę. Stała dość blisko szpona, by czuć zapach jego szmat. Stara, gnijąca tkanina. Kurz. Cuchnął jak coś pradawnego.

– Na zewnątrz nie ma nic, na co moglibyśmy się opucić. Jesteśmy na drugim piętrze. – Izak oderwał wzrok od okna. – Jeśli zeskoczymy, źle się to dla nas skończy. Musimy dostać się na dół jakimś innym sposobem.

Felice pokręciła głową.

– Nie idziemy w dół. Idziemy na górę.

Komnaty Kelhaka znajdowały się na szczycie budynku. Była tam, więc choć tyle wiedziała na pewno.

– Ale jeśli zdecydujemy się pójść tam schodami i korytarzami, natkniemy się na zbyt wielu strażników. O czarodziejach nie wspominając.

Szpon znalazł się za jej plecami. Nie usłyszała go ani nie zobaczyła, po prostu nagle wyczuła jego obecność. Serce Felice opuściło jedno uderzenie. Powoli obróciła się twarzą do niego. Uniosła głowę i zajrzała w mrok wiszącego nad nią kaptura.

– Słucham. Zakładam, że tę część planu też masz obmyśloną.

– Tak. Jak mówisz, idziemy na górę.

– Jak?

Otoczyły ją cuchnące szmaty i Felice pisnęła. Przekleństwo Izaka dobiegło do niej jak zza ściany. Nagle poczuła, że mknie w kierunku okna. Starła się zdusić krzyk, nie chcąc, by ktoś ich wykrył, ale silne ramię skrytobójcy wydusiło jej powietrze z płuc. Zahaczyła stopami o parapet, a potem szpon wraz z nią wyskoczył przez okno.

Spojrzała w dół i zobaczyła tylko swoje majtające nogi, a niżej płyty dziedzińca. Szarpnęło i pomknęła w górę. Wiatr uderzył ją w twarz i zburzył włosy.

Szpon z oszalamiającą prędkością wskoczył na gzyms budynku i tam się zatrzymał tak raptownie, że żołądek Felice podskoczył i musiała zdusić mdłości. Stali przed kolejnym oknem. W odróżnieniu od poprzedniego to było oszklone. Po drugiej jego stronie znajdował się ciemny pokój. Szmaty przywarły do framugi i trzasnęła metalowa zasuwka. Okno otworzyło się do wtóru cichego skrzypienia zawiasów. Felice szarpnęła się w tył, gdy szpon wszedł do pomieszczenia i bezceremonialnie opuścił ją i Izaka na podłogę. Upadek został zamortyzowany przez luksusowy dywan. Dłoń Felice zatopiła się w nim niemal do połowy, gdy dźwigała się na nogi.

Szpon już stał w kącie, jakby brzydził się tym, że musiał ich dotknąć.

No cóż, wzajemnie.

– Jak on to zrobił? – Izak wstał, mrużąc coś pod nosem. – Czy to była magia? – Potarł ramiona i wygładził koszulę, co rusz zerkając na szpona. – Matko, co za prędkość... – uciał, kręcąc głową.

Felice wciąż czuła na ciele ścięgna, mięśnie i kości ramienia, które trzymało ją mocno podczas lotu. Na przodków... Wzięła głęboki wdech. Szpon miał więcej niż dwie ręce. Inaczej nie mógłby jednocześnie trzymać ich i wspinać się po ścianie. Dreszcz zbiegł jej po plecach. Co jeszcze kryły oberwane szaty?

Właściwie... Może lepiej nie wiedzieć.

– Tak – powiedziała Felice, czując, że zasycha jej w ustach. – Magia.

Izak mógłby pęknąć jak bańka mydlana, gdyby poznał prawdę. I tak już byli mocno wstrząśnięci. Izak nadrabiał miną, a Felice była gotowa się założyć, że myślał, że robi to przez wzgląd na nią. Niezależnie od powodu, widziała już na jego masce niewzruszenia pierwsze rysy. Nie wiedziała, na ile szlachcic przyda się podczas konfrontacji z Kelhakiem, ale wiedziała, że ona potrzebuje przy sobie drugiego człowieka, kogoś poza szponem, bo wtedy łatwiej jej będzie utrzymać w ryzach samą siebie. Bo przecież to, na co się poważali, było szalone. Zaufała tej kreaturze tylko dlatego, że zrobiła to Rebecci. Ponieważ nie miała już żadnych wątpliwości: w przypadku szpona nie mogło być mowy o pustym wizerunku, za którym nie stały prawdziwe umiejętności. Od stroju i wzrostu poczynając, a na ekspertyzie w zabijaniu i oszłamiającej prędkości kończąc, niepokojąca i groźna osobliwość przenikała wszystkie aspekty jego jestestwa. Był dokładnie tym, kim wydawał się być na pierwszy rzut oka.

– Felice?

Izak przerwał tok jej myśli.

– Tak? Przepraszam, zamyśliłam się.

– Nie zastanawiałaś się aby, co teraz zrobić?

Oboje zwrócili się do szpona. Gdzieś pod warstwami szmat zapłonęła czarodziejska kula. Znajdowali się w sypialni. Pod jedną ścianą stało olbrzymie, zdobione rzeźbami łóżko z czarnodrzewu,

oflankowane kredensem i komodą. Ze ścian zwieszały się kosztowne draperie, a w rogu stała pięknie wykonana plansza do dominionu.

Felice nie zdołała się powstrzymać. Podeszła do niej i dotknęła kilku figur. Gdy odjęła palce, znalazła na nich kurz. Ktokolwiek wykończył to pomieszczenie, miał w bród dukatów. A tego, kto tu mieszka, dawno nie było. Może nie żyje, może został uwięziony, a może uciekł. To bez znaczenia.

– Czy Kelhak jest na tym piętrze?

– Nie. Jedno pod nami.

Dobry pomysł. Nikt nie będzie się spodziewał ataku z góry. Na pewno nie po tym, kiedy służba oczyściła górne piętra i upewniła się, że są puste.

– Prowadź więc. Izaku, jesteś gotów?

Rozłączył nerwowe palce. Jedną ręką przeczesał dłonią włosy, a druga znalazła się przy szyi.

– Tak. Gotowy na... na cokolwiek mamy do zrobienia. Dla Anasomy.

Zaskoczył ją. W tej niepozornej piersi jednak biło mężne serce. Dobrze.

– Tak... Dla Anasomy.

Spodziewała się, że stawka jest jeszcze większa od Anasomy.

Koła zębate tego mechanizmu zależności miały własne drobne kółeczka, które pracowicie obracały się we wszystkie strony. Mechanizmy wewnątrz mechanizmów, machinacje współzależne z innymi machinacjami.

Wyszli drzwiami na wyłożony drewnianymi panelami korytarz, wyścielony kolejnym dywanem. Szli bezszelestnie za szponem, dopóki nie zatrzymali się przy szerokich schodach wiodących w dół.

– Czekaście... – powiedział skrytobójca.

Izak złapał za nóż-talizman. Denerwował się. Felice dobyła własnego. Była pewna, że wie, co ostrze robi – pochłonie esencję Kelhaka. Ale co zrobią z tą esencją, gdy już nią zawładną? Należało jej pilnie strzec. Może ukryć? Zatopić w oceanie?

A wszystko to zależało od tego, czy uda im się podejść na tyle blisko, żeby sztylet zadziałał, a potem uciec na tyle daleko, aby nie zabił ich nikt niezadowolony z faktu, że właśnie ukradli mu Boga-Imperatora.

Dołączyła do Izaka i usiadła na dywanie. Skoro już muszą czekać, niech przynajmniej będzie im wygodnie.

– Mam nadzieję, że nam się uda – wyszeptała Felice.

Izak uśmiechnął się do niej. Był to uśmiech niepewny, ale nie całkiem wyprany z nadziei.

– Uda się. Wtedy będziesz mogła wrócić do szpiegowania wszystkiego, co się rusza, a ja do zabawy.

– Nie szpieguję wszystkiego – zaoponowała.

– Ale mogłabyś.

Musiała się roześmiać.

– Może i tak. Na szczęście nie ma takiej potrzeby. Uważnie przyglądam się tak naprawdę tylko kilku osobom.

– Dla ciebie ludzie są figurami na planszy, prawda?

Felice chciała zaprotestować, lecz coś ją powstrzymało. Naprawdę tak właśnie myślała? Czy uważała ludzi za bierki w swojej grze? Rzeczywiście zastanawiała się nad tym przez chwilę, aż wreszcie odważyła się odpowiedzieć sobie zgodnie z prawdą.

Nie. Ale czasem tak potrafili się zachowywać. Coś się wydarza, ludzie reagują w określony sposób. Jeden tak, drugi inaczej. A więc nie, nie wszyscy byli jak dominionowe figury. Ale wszyscy byli do pewnego stopnia przewidywalni.

– Po prostu dostrzegam wzory zachowań, ciągi przyczyn i skutków, ot i wszystko.

Cieszyła się, że Izak nie odpowiedział, pozwalając jej przeanalizować dokładniej własne myśli.

Felice nie była pewna, jak długo czekali. Po jakimś czasie musiała wstać, by przywrócić krążenie w nogach. Chwilę potem szpon poruszył się.

– Już niedługo... – charknął.

Usłyszawszy jego głos, Felice zrozumiała, że coś się zmieniło. Stopniowo narastała presja, była wyczuwalna niczym wiszący w powietrzu zapach nadchodzącej burzy, a jednak dopiero teraz zdała sobie z niej sprawę. Ledwie uchwytne, ciepły powiew wiatru wpłynął do pomieszczenia klatką schodową. Zapachniało płonącym drewnem i rozgrzanym metalem.

Mocno ujęła sztylet, gestem każąc Izakowi wstać. Usłuchał i oboje skierowali wzrok na szpona, czekając na jakiś znak. Izak nieustannie

przestępował z nogi na nogę. Słyszała, jak płytko i szybko oddycha przez usta.

Szmaty poruszyły się.

– Idziemy.

Stwór, nie spiesząc się, zszedł po stopniach, zamiatając je strzępami szaty. Zatrzymał się na dole. Widzieli poruszający się w lewo i w prawo kaptur skrytobójcy, jakby czegoś szukał.

Przed nimi znajdował się kolejny wyłożony dywanem korytarz. Ciemność w głębi rozjaśniła plama światła.

Szpon cofnął się i zrobił kilka długich kroków do ściany po ich prawej stronie. Stuknął metal i ścienny panel wysunął się na grubość palca. Szpon poszerzył szparę i otworzyło się tajne przejście.

Ruszyli za szponem wąskim tunelem, skręcili w lewo, a potem długo szli prosto. Korytarz przeszedł w alkowę, w której ledwie mieścili się we troje, z czego większość przestrzeni zajmowali wielki asasyn. Przez kilka punktów w ścianie przed nimi prześwitywało światło. Wykonano ją z drewnianych elementów pokrytych cienką warstwą tynku. Felice odgadła, że po drugiej stronie musi znajdować się jakiś fresk z ukrytymi otworami, przez które można podglądać ludzi.

Felice przyłożyła oko do jednego z nich.

I ujrzała klęczącego w środku pomieszczenia Kelhaka. Był nagi i lśniący, niczym marmurowy posąg jakiegoś bohatera. Z jego ciała ściekał pot i zbierał się w kałuży u jego stóp. Znajdował się wewnątrz okręgu zakreślonego grubą, plecioną liną zrobioną z... nie wiedziała, co to, ale mieniło się srebrem i złotem. Dostrzegła w tym splocie jakieś zgrubienia, niby zawiązane supły. Były to klejnoty wielkie jak kurze jaja.

Felice na chwilę zapomniała o niebezpieczeństwie, gdy ogarnęła wzrokiem postać Boga-Imperatora. Choć minął najwyżej tydzień, odkąd widziała go ostatnim razem, zapomniała już... jak niesłychanie pięknym mężczyzną jest Kelhak. Tylko że to już nie jest Kelhak, przypomniała sobie. Kimkolwiek był Kelhak, tej osoby już nie ma.

Postać otaczały rzemyślnicze kule. Było ich dosyć, aby w pomieszczeniu było jasno jak w dzień. Ściany rzeczywiście zostały pokryte malunkami – scenami ze Zdruzgotania, głównie



katastroficznymi, luźno opartymi na słynnych ilustracjach z „Kodeksu Paluruka”, starej księgi nieznanego autorstwa. Odnaleziono ją setki lat temu na Spustoszonych Ziemiach i była najstarszym znanym zapisem historycznym czasów kataklizmu.

Malowidło na obszernej ścianie przedstawiało bitwę czarodziejów z ich sługami. Nieprzeliczone szeregi vormagów i jukarów walczyły w szyku utworzonym przed oddziałami magów, a za nimi stali mężczyźni i kobiety o świecących rękach i oczach.

Zaraz... Felice widziała już kiedyś podobne malunki w księgach o kolorowych ilustracjach. Stanowiły one zapis różnych historii z czasów Zdruzgotania. Coś drgnęło w niej na widok wysokich czarodziejów dowodzących jukarami. Wśród uczonych panował konsensus co do tego, że byli to magowie, ale nikt nie wiedział, dlaczego górowali nad potworami. Mówiło się, że to zabieg estetyczny. Artyście chodziło o to, żeby przedstawić ówczesnych czarodziejów jako potężnych i groźnych.

Jednak Felice wiedziała, że to nieprawda.

Zerknęła na asasyna za swoimi plecami, z trudem na krótką chwilę odrywając oczy od Kelhaka. To szpon był jednym z tych, których wyobrażono na malowidle, a nie żadni wyolbrzymieni czarodzieje.

Wróciła wzrokiem do obrazu i przyjrzała się uważniej zakapturzonym postaciom, które wyraźnie dominowały na polu bitwy.

Więc dlaczego asasyn żył pod Anasomą? I co robił teraz tutaj? Co zyska, zabijając licza?

Jego moc.

Rebeci położyła zaufanie w szponie, ale co, jeśli się pomyliła? Lub co, jeśli miała rację i również chciała, aby szpon przejął moc licza, bo z jakiegoś powodu było jej to na rękę? Tyle że Rebeci już nie było. Była za to Felice, stojąca teraz raptem kilka jardów od Kelhaka, którego planowała zabić.

Bijąc się z myślami, aż do krwi zagryzła wargę.

– Popatrz na to! – syknął Izak ledwie słyszalnym szeptem.

Kaptur podskoczył na ten dźwięk, a jego ciemne wnętrze obróciło się ku Izakowi, który przełknął ślinę i uśmiechnął się niewyraźnie. Kaptur zastygł w bezruchu na krótką chwilę, a potem stopniowo

zwrócił się z powrotem ku ścianie. Pewnie szpon również obserwował Kelhaka przez dziurę.

Felice zignorowała ich. Kelhak wciąż nie ruszył się z miejsca. Tym, na co zwrócił uwagę Izak, była osobliwa aura otaczająca Boga-Imperatora. Powietrze wokół niego drżało niczym nad spieczoną ziemią pustyni, jednocześnie świecąc. Felice widziała, że niosło coś ze sobą. Zmrużyła powieki, chcąc dostrzec, co to było. Wyłapała spojrzeniem połyskliwe, kolorowe włókna – zielone, niebieskie i fioletowe. Gdy już je dostrzegła, zaczęły rzucać się w oczy. Opełzały Kelhaka jak węże, wijąc się i sunąc tuż nad jego skórą.

Czuła, że to, co się zaraz wydarzy, będzie czymś szczególnie doniosłym i brzemiennym w skutki dla wielu, wielu osób. Nie prowadziła jeszcze gry o tak wysoką stawkę. Wysoka stawka, pomyślała. Niedopowiedzenie to mało powiedziane. Wcześniej wydawało jej się, że to, co planują, odbije się szerzej niż jedynie na Anasomie. Teraz wiedziała to ponad wszelką wątpliwość.

Nie doprowadziła jej do tego wniosku magia Kelhaka, która sprawiała wrażenie trzymanej w ryzy nawałnicy, czekającej tylko, by spuścić ją z łańcucha. Nie zrobiła też tego obecność szpona, który zastygł obok niej w gotowości do ataku. Nie miała z tym nic wspólnego jej spotniała dłoń zaciśnięta mocno na sztylcie-talizmanie. Ta chwila miała własny ciężar i smak, które Felice wyczuwała intuicyjnie, jakby jej jaźń rozumiała to, co jej umysł dopiero próbował przetworzyć.

I ta myśl ją przeraziła. Nie wiedziała jeszcze, co dokładnie i na jakich spoczywa szalach... A musiała wkroczyć do akcji uzbrojona jedynie w ślepe nadzieję, że to, czego spróbuje dokonać, przeważy na jej korzyść tę właściwą.

Zerknęła na szpona, który wciąż tkwił przy otworze jak przyklejony. Potem na Izaka, który już odsunął się od swojego. Siedział na podłodze z kolanami przy piersi, dysząc ciężko jak schorowany pies. Posłał jej wątpy uśmiezek, który zbyt szybko spelzł mu z ust. Ale widziała, że wciąż trzyma sztylet. Dobry znak.

To była jedna z tych chwil, których bardzo się obawiała. Chwila, w której należało przełknąć wszystkie swoje strachy, zaciąć twarz w nieprzeniknioną maskę i zrobić, co było do zrobienia.

Presja rosła z każdym uderzeniem serca.

Sięgnęła do Izaka i złapała go za ramię.

– Dasz radę – powiedziała samymi ustami i kiwnęła głową.

Izak odpowiedział krótkim, niepełnym skinieniem – ale odpowiedział.

Wróciła wzrokiem do Kelhaka. Nic się nie zmieniło. Może świecące włókna poruszały się energiczniej, choć tak naprawdę nie umiała stwierdzić.

Okutana szmatami ręka spoczęła na jej ramieniu i Felice aż podskoczyła. Powoli zwróciła się do szpona. Pochylił się i przysunął do niej, tak że jego kaptur znalazł się zaraz przy jej uchu. Strzęp materiału musnął policzek i szyję, aż zamrowiła ją skóra. Nozdrza Felice wypełniła woń stęchlizny.

– Czekaj... – Pauza pozbawiona oddechu. – Wkrótce...

Szmaty cofnęły się i Felice zassała z mocą powietrze.

W komnacie coś strzeliło, jakby grom rozplątał drzewo. Serce o mało nie wyrwało jej się z piersi.

Szpon nie poruszył się, tak jak i Kelhak.

Felice jeszcze mocniej ujęła szyję. Po rękoności spłynęła na jelec kropla potu. Oblizwała usta, czując słony smak na języku.

Kolejny trzask. Powietrze wokół Kelhaka buchnęło światłem, a otoczone nim ciało zafalowało jak fatamorgana.

Wkrótce cała jego postać zatarła się i rozmyła w ruchliwą plamę koloru. Wibracja wprawiała w drżenie zęby Felice, a powietrze wypełnił basowy pomruk.

Buchnęło oślepiające światło. Felice odskoczyła od dziury i klapnęła na tyłek, mruganiem wyciskając z oczu łzy. Było za ciemno. Nic nie widziała. Po tak silnym rozbłysku jej oczy będą musiały na nowo przyzwyczać się do światła.

Popęzła w lewo, szukając ręką szmat asasyna.

Pomruk przybierał na sile. Wibracja była na tyle potężna, że zaczynały ją boleć kości.

– Wkrótce...

Wkrótce co? Mieli wpaść tam na ślepo? Ale czuła, że jej oczy powoli oswajają się z mrokiem. Widziała już dziury we fresku i przyłożyła do jednej oko. Kelhak był prawie niewidzialny. Otaczała go połyskliwa magia, która zasłaniała wszystko, co działo się w kręgu.

W jednej chwili wibracje, hałas i ruch ustały.

Felice rozdziawiła usta. A z ust Izaka posypała się litania przekleństw.

Kelhak zniknął.

Na przodków.

– Gdzie on się podział? – syknęła do szpona.

– Poszedł... – dobiegł ją głos z ciemnej otchłani kaptura.

– Widzę, że gdzieś sobie poszedł. Pytam: dokąd?

Szmaty zafalowały. Felice odgadła, że szpon wzruszył ramionami.

Izak zachichotał nerwowo.

– No nie, cóż za zawód. Przydałby mi się zimny napitek i gorąca dziewczka.

– Mamy czekać – powiedział szpon. – Uderzymy, gdy licz wróci. Rebeci zamierzała zaburzyć jego magię i zmusić go, by wrócił do siebie osłabiony.

– Ale Rebeci nie żyje.

– Zaczekamy.

Felice otarła czoło wierzchem przedramienia, co nic nie dało, bo jedno i drugie ociekało potem. Tłamsiła irracjonalną wesołość, która wzbierała jej w gardle, obawiając się, że jeśli zacznie się śmiać, to nie będzie mogła przestać. Siadła na zakurzonej kamiennej podłodze, spięta i roztrzęsiona. I czekała.



**Z**nowu huknął grom i Caldan zdrzął. Wiatr wzmógł się i zaciągnął niebo kłębiącymi się złowróżbnie chmurami. Błyskały w nich niebieskie i fioletowe błyskawice, budzące skojarzenie ze świecącymi węzami, ścigającymi się pośród dymu.

Caldan i Quiss potykali się na nierównym gruncie, brodząc w trawie i błocie, w miarę możliwości omijając śliskie, zdradliwe kamienie.

W oddali zabrzmiały rogi Kołczanów, przedzierając się przez tumult bitwy. Domyślili się, że to sygnał do odwrotu. Caldan wątpił, aby byli w stanie zdziałać cokolwiek przeciw wzbierającej magicznej

nawałnicy, chyba tylko skulić się gdzieś i poczekać, aż przejdzie. Ale ta burza była osobliwa; nie czuło się w niej bezmózgiej chęci siania zniszczenia, wydawała się bardziej skoncentrowana, jakby miała inny zamiśl niż tylko śmierć i pożoga.

Quiss skierował na Caldana dzikie spojrzenie.

– To musi być on – przekrzyzczał wiatr. – Teraz gdy jesteśmy bliżej, czuję wyraźnie jego piętno.

– Daleko? – spytał Caldan, również podnosząc głos, by jego słów nie porwał wiatr.

– Jakieś sto jardów.

Caldan zmrużył oczy. Wiatr sypał w nie pył i piach, oślepiając. Kawalek dalej we wskazanym przez Quissa kierunku rosła przy brzegu strumienia kępa drzew.

Quiss przyspieszył, a Caldan ruszył za nim, próbując nadążyć. Wysoko ponad ich głowami kołowały chmury, a Caldanowi bardzo się nie podobało to, jak wyglądają. Masyw nie wisiał nad wojskiem cesarskim, lecz jakimś sposobem zdawał się ciągnąć tam, gdzie zdaniem Quissa znajdował się Gazija.

Co tu się działo, na wszystkich przodków?!

Caldan poczuł, jak budzi się magiczny pływ, a zaraz potem dobiegł go okrzyk Quissa. Drzewa nakryła kopuła tarczy, nie czarna jak ta Dzwonków, lecz przejrzysta niczym woda w szklanym naczyniu. Gdyby patrzyli z większej odległości, mogliby jej nie zauważyć.

Quiss i Caldan puścili się biegiem naprzód i zatrzymali na obrzeżu tarczy. Quiss przyłożył do niej ręce, jakby chciał wepchnąć się do środka.

– Co ty...

– Cicho! – rzucił Quiss. – Tak, to Gazija. – Czarodziej zerknął na chmury, a potem zaklął w nieznanym Caldanowi języku. – Tędy!

Pobiegł wzdłuż krawędzi kopuły, a Caldan za nim. Quiss cały czas spilił wzrokiem barierę. Nagle się zatrzymał.

– Tu! Patrz!

Caldan popatrzył między drzewami. Na pniu zwałonego drzewa siedziała przy strumieniu niewielka postać.

Gazija.

Widzieli, jak podnosi na nich zawstydzony wzrok, niczym wzrok dziecka przyłapanego na kradzieży cukierków. Następnie odwrócił twarz.

Znajdował się zaledwie piętnaście kroków od nich, ale nie mogli się do niego dostać.

– Głupiec! – pieklił się Quiss. – Tkwimy w tym przecież razem!

Caldan złapał go za rękę.

– Co się dzieje?

Quiss zwrócił się do niego. Miał minę ojca zabitego dziecka. Łzy spłynęły mu do połowy policzków, nim porwał je wiatr.

– Gazija jakimś sposobem zwabił do siebie Kelhaka. Musi mieć jakiś plan. Myśli, że go pokona.

– Jak przebić się przez tarczę? Możemy mu jakoś pomóc?

Quiss pokręcił głową.

– Nie. Możemy tylko patrzeć.

Obejrzeni się, aby spróbować raz jeszcze wzrokiem przeniknąć tarczę, a w tym samym momencie Gazija sięgnął w dół i wyjął coś z worka u swoich stóp: człekopodobną figurę Caldana. Ale była jakaś inna. Chłopak wyczuwał, że zaszła w niej jakaś zmiana. Wszędzie rozpoznałby swoje własne dzieło, a to było znajome i jednocześnie obce. Runy wyrysowano na nim liniami cienkimi jak włos, a wiele symboli zmieściłoby się na ziarenku piasku. Gazija zmodyfikował dzieło Caldana, uzyskując w rezultacie konstrukt nieporównanie bardziej skomplikowany. Stary czarodziej doprowadził je do jego logicznej konkluzji.

Dmuchnął wiatr i Caldan osłonił oczy przed pyłem i liśćmi. Większość poleciała dalej, ale niektóre drobinki uderzyły z taką siłą, że odczuł je jak ukąszenie komara. Powietrze wypełnił ciężki, metaliczny zapach. Caldan odchylił głowę i zmrużył oczy na potężniejsze chmury. Błyskały wśród nich lśniące włókna magii, zielone, niebieskie i fioletowe. Caldan wiedział, że poruszają się podług jakiegoś wzoru, ale nie potrafił objąć go rozumem.

Zamknięte w cyklonie chmury były już w połowie drogi do ziemi. Na jego oczach raptem gwałtownie przyspieszyły. I z mocą werżnęły się w grunt po drugiej stronie strumienia, wirując.

Coś skręciło się w żołądku Caldana, gdy rzeczywistość targnęła się, jakby szarpnięta gwałtownym porywem wiatru. Złożył się wpół,

przyciskając ręce do brzucha. Zwymiotował żółcią. Nie pomogło. Krztusząc się, miotany mdłościami, postąpił kilka niepewnych kroków, nim padł na kolana.

A wtedy, tak nagle, jak się pojawiło, wrażenie znikło. I na Caldana spłynął spokój. Liście i drobinki piasku już nie kłuły jego skóry. Wiatr ustał zupełnie, jakby ktoś zamknął dwa okna na przestrzał domu.

Caldan klęczał, usiłując zebrać się do kupy. Otarł usta wierzchem dłoni i splunął.

– Niewolniku! – zahuczał jakiś głos.

Caldan zerwał się na nogi, trzęsąc głową, by się w niej przejaśniło.

– Jest tu – powiedział Quiss z rozpaczą w głosie. – Licz tu jest.

Licz? Po drugiej stronie strumienia, naprzeciwko Gazii, stał człowiek.

– Kelhak – wydyszał Quiss.

Bóg-Imperator był wysoki i muskularny, a jego niebieskie oczy lśniły, jakby płonęły zimnym ogniem. Nagi jak noworodek, nie miał na sobie ani jednego rzemyśliwa, ani jednego talizmanu.

– Ik'zvime – wypluł Gazija, wstając.

– Tak. – Kelhak wpatrywał się w niego z całkowicie neutralnym wyrazem twarzy.

Caldan otworzył studnię. Magiczny zmysł powiedział mu, że męczyzna jest odmieniony, że stanowi coś na kształt czarodziejskiego konstruktum umieszczonego w ciele człowieka. Wyczuł w nim kursujące po ciele Kelhaka linie mocy, oplatające jego formę przewody energii, które nigdzie się nie zaczynały ani nigdzie nie kończyły. Ale przecież musiały. Z kolei jego studnie... Caldan wzdygnął się, nie mogąc się powstrzymać. Dwadzieścia cztery... Nie, trzydzieści sześć... Też nie, jeszcze więcej. Przestał liczyć, nie umiejąc i nie chcąc oszacować ich całkowitej liczby.

Na cóż takiej istocie rzemyśliwa i talizmany? Kelhak dyszał magią. Istniał w skupisku niewyobrażalnej mocy.

– Dlaczego to robisz? – wyskrzecztał Gazija.

– Nie zdołałbyś tego pojąć, niewolniku.

Starzec wyprostował się.

– Nie jestem już niewolnikiem.



– Nikt nie umknie przed własną naturą.

– Chcesz zemścić się na mnie. A za co, jeśli wolno spytać? Po co ścigasza nas od stuleci i tak daleką drogę przebywasz po naszych śladach?

Licz skrzywił usta w pogardliwym uśmiechu.

– Nikt nie umknie przede mną.

– A więc zrób, co masz do zrobienia.

– Rosnę w siłę, władam mocą, jakiej nie umiesz sobie wyobrazić. Gdzie są twoi ludzie? Odnajdę ich potem i pochłonę wszystkich, tak jak pochłonąłem Savina po tym, jak zawiódł mnie i został uwięziony. A ten świat należeć będzie do mnie.

– Ale po co to wszystko? Jesteś niczym. Żyjesz bez sensu, tylko po to, by żyć.

Caldan nie wiedział, na co liczy Gazija, kłócąc się z Kelhakiem. Może próbował odwlec swoją nieuniknioną śmierć. Ale nie... Tu też działał jakiś wzorzec. Owszem, Gazija miał jakiś plan. Tak potężny czar musiał osłabić licza – to na pewno istotny element tego planu. Gazija zmusił go do pojawienia się tutaj. Kelhak miał stanąć z nim do walki i wyjść z niej osłabiony.

Gazija zacisnął na laskach swoje drżące dłonie. A z jego ciała buchnęła magia połączona z maleńkim rzemyśliwym wiszącym na jego szyi.

– Wiadomość – wymruczał zdumiony Quiss. – Sygnał. Ale do kogo?

Gazija przygarbił się i pokręcił głową. Zwrócił do Caldana i Quissa twarz ściągniętą strachem.

Cokolwiek zaplanował, nie działało. Najwyraźniej spodziewał się, że coś się stanie, ale się nie stało.

– Rebeci nie żyje – powiedział Kelhak. – Powinieneś być się domyślić. Powiedziałem ci przecież, że pochłonąłem Savina. To ona go uwięziła. Jak zawsze jesteś dwa kroki za mną.

Kelhak nie podążył za spojrzeniem Gazii, ale niespodziewanie skotłowane chmury i ciemność spadły jak grom na Caldana i Quissa. Caldán czuł, jak jego tarcza ugina się pod naporem magii, a rzemyśliwo rozgrzewa się, paląc skórę. Strumienie ognia płynęły po czarodziejskiej barierze, wypalając w niej ciemne ślady. Caldán jęknął i zasilł osłonę większą dawką mocy. Ale na nic się to nie

zdało. Błysnęły światła i zewsząd uderzyły w jego tarczę magiczne pociski, jakby stu kowali okładało ją młotami.

Caldan wiedział, że długo tak nie wytrzyma. Metalowa powłoka tarczowego rzemysliwa zaczynała rozgrzewać się ponad miarę.

Mijały kolejne chwile, w czasie których uderzały w niego fale gorąca. Powietrze drżało. Magiczny pływ był dla chłopaka zbyt potężny.

Caldan mógł tylko czekać, aż jego tarcza pęknie.

I zrobiłaby to, gdyby wyjąca magia nagle się nie rozmyła. Napór na umysł Caldana zelżał.

Quiss wciąż stał przy nim, obłożony własną tarczą. A kopuła chroniła teraz ich obu. Wyczuł, że źródłem czaru jest Gazija.

Stary czarodziej wbijał się spojrzeniem w Kelhaka z ustami skrzywionymi w bolesnej determinacji. Po kopule przemykały wyładowania magicznej energii i choć Gazija z trudem opierał się destruktywnej magii Kelhaka, zdołał jeszcze zwrócić się do Quissa i Caldana:

– Ratujcie się. Nic tu nie zdziałacie.

Magia Kelhaka rozproszyła się. Kopuła chroniąca Caldana i Quissa zgasła. Gazija uratował ich przed pewną śmiercią, ale wyczerpał rezerwy mocy. Opary spalonej trawy i ziemi unosiły się wokół nich jak mgła.

Caldan przyłożył rękaw do twarzy. Gdy go odjął, materiał był wilgotny od potu i brudny od popiołu. Obaj żyli tylko dzięki interwencji Gazii, który prawdopodobnie podpisał w ten sposób na siebie wyrok śmierci.

Caldan poczuł, jak Kelhak ściąga więcej mocy. Pierwszy raz widział, by ktoś zgromadził jej aż tyle. Dwudziestu czarodziejów nie stanowiło teraz dla niego wyzwania.

– Licz go wchłonie – powiedział Quiss. – Nic nie możemy zrobić. Och, Gazijo...

Kelhak postąpił w kierunku starca.

– Dlaczego nie błagasz o życie, niewolniku?

Gazija potrząsnął głową i cofnął się. Wydobył się z niego kolejny magiczny sygnał.

– I co mi z tego przyjdzie?

Śmiech Kelhaka wbił się w Caldana niczym klinga miecza.

– Wszystkie naczynia błagają, gdy przychodzi ich koniec. Żalose, skamlące zwierzęta.

Gazija otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale zaraz je zamknął. Przez powłokę własnej tarczy Caldan widział, jak twarz starca ściąga się w grymasie bólu, a ręka wypuszcza jedną łaskę, by powędrować do serca. Gazija zachwiał się i padł na kolano, wciąż trzymając konstrukt Caldana. Starzec dyszał, z wysiłkiem łapał powietrze. Otworzył oczy.

Kelhak zbliżył się do niego.

– A więc czujesz to. Czujesz strach. Pamiętam... Eony temu byłem kimś takim jak ty.

Gazija zamrugał szybko powiekami, po jego policzkach płynęły łzy.

Wie, że zawiódł, pomyślał Caldan. Wie, że już nie żyje.

– Zrób to! – ryknął Gazija.

Odpowiedziała mu cisza. Włoski na ramieniu Caldana podniosły się, gdy wokół niego wzbudziła się moc.

Licz ruszył wolno w kierunku Gazii. Jego oczy lśniły wewnętrznym blaskiem. Gdy znalazł się blisko, jego usta otworzyły się i dobyło się z nich światło, jakby żarzył się w nich węgiel.

Gazija zachwiał się w tył z ręką zaciśniętą na Caldanowym konstrukcie. Przepłynęła przez niego moc.

– Nie – wyszeptał Quiss.

Nagły hałas prawie ogłuszył Caldana. Za plecami starca powietrze rozpękło się na dwoje. A przez szczelinę przeląła się fala palącego żaru, gryzący opar siarki i zgnilizny. Nawet z tej odległości Caldan odczuł na skórze dzikie gorąco.

I swoim czarodziejskim zmysłem wyczuł, że Gazija otworzył studnię poza własnym umysłem.

– A więc uciekaj! – krzyknął Licz. – Tam nic nie żyje. Wiem, o czym mówię. Spaliłem ten świat, nim przyszedłem po ciebie. Twoja esencja nie przeżyje, jeśli nie chwyci się czegoś żywego.

Gazija rzucił się tyłem w płonąca wyrwę.

Quiss krzyknął z przerażenia i złości.

Wrota zatrzęsły się z ogłuszającym hukiem, a po studni Gazii nie ostał się nawet ślad.

Tarczowa kopuła zniknęła i Quiss postąpił naprzód, jakby chciał rzucić wyzwanie Kelhakowi, lecz tego nie zrobił.

Licz zawył z radości. Przeróżający dźwięk brzmiał, jakby dobył się z wielu gardeł naraz. Ponad Kelhakiem czarodziejski wzorzec nałożył się na siebie jak zwoje wielkiego węża. Caldan wyczuł, że czar tęższe niczym cięciwa napinanego łuku. Który zaraz wypuści strzałę.

Kelhak uniósł ramiona i wyrzucił z siebie moc, która dołączyła do potężnego jej skupiska w sercu burzy. Wielki chmurzasty lej spłynął w dół i porwał licza w górę. Po raz trzeci tej nocy rzeczywistość nagięła się do woli czarodzieja.



**W**ibracja narosła raz jeszcze, o wiele potężniej, niemal wrywając Felice zęby z dziąseł. Uczucie było tak okropne, że aż się wzdrygnęła. Przeklęta magia.

Przyłożyła oko do dziury. Szpon także się poruszył. Powróciły wijące się włókna. Od złoto-srebrnej liny biło oszałamiające gorąco. Jeden odcinek szarpnął się do góry, popłynął po długości sznura jak fala. Przeszyła go błyskawica, a potem zakreśliła łuk nad okręgiem, jakby rysowała w powietrzu szkic kopuły.

Felice odwróciła wzrok akurat przed kolejnym oślepiającym rozbłyskiem.

W magicznym kręgu zmaterializował się Kelhak. W jednej chwili komnata była pusta, a w drugiej liczył kłęczał w środku, krzycząc z bólu, z rozrzuconymi rękami i rozdziawionymi ustami. Osunął się płasko na podłogę, zaciskając mocno powieki, i łapiąc powietrze jak wyrzucona z wody ryba.

– Teraz.

Szpon przebił się przez ścianę. Drobinki tynku i biały pył pokryły jego postrzępioną szatę i wypełniły powietrze jak śnieżna kurzawa. Ostre na podobieństwo brzytwy talizmany-sztylety pomknęły ku zwiotczącej postaci Kelhaka.

Felice zagryzła zęby i ruszyła za nim. Kątem oka zobaczyła, że Izak zrobił to samo.

Szpon wrzasnął głosem dzikim i potężnym jak grom. Z ust Felice okrzyk wyrwał się samoistnie, jakby nagromadzona w jej ciele presja znalazła w końcu wentyl.

Srebrne ostrze pędziło tam, gdzie odznaczało się w półmroku lśnienie odsłoniętego ciała. Kelhak otworzył oczy. Dwaj czarodzieje wyrzeszczeli obce, osobliwe słowa. Kelhak i szpon. A w powietrzu położyły się połyskliwe, chaotyczne linie i uformowały precyzyjny, geometryczny wykres. Trysnęły iskry, gdy linie zwarły się ze sobą, tocząc zaciekle bój.

Felice pomknęła naprzód, spodziewając się, że ciało Kelhaka okryje magiczna tarcza, a potem on sam zabije całą trójkę. Nagle pomieszczenie wypełnił przeraźliwy krzyk Izaka.

Sztylety zetknęły się z ciałem i zatopiły w nim aż po jelce. Dwa szpona, jeden Felice i jeszcze jeden Izaka.

Kelhak ani drgnął. Uniósł dłoń i góra szmat pofrunęła przez pomieszczenie. Trzasnęły kości, gdy bezwładne ciało asasyna grzmotnęło z impetem o kamienną ścianę. Freski poszły w drzazgi, pył i odpryski farby buchnęły w powietrze niczym zarodniki purchawki.

Felice usiłowała wyszarpnąć sztylet, by zadać drugi cios, ale ten ugrzązł w ciele Boga-Imperatora.

Kelhak uśmiechnął się do niej. Z jego ust kapłała krew.

Ktoś zakwilił na podobieństwo dziecka. Felice rozpoznała swój głos. Talizman wysunął się z ciała z ohydny, mlaskliwym dźwiękiem.

Izak wycofał się z twarzą napiętowaną strachem, ściskając w ręku umazany krwią sztylet. Na korytarzu za drzwiami załomotały ciężkie buty.

Już po nich. Plan Rebecci zawiódł. Cztery talizmany, które miały uwięzić Kelhaka, nie odniosły efektu.

Felice cofnęła się o krok. Uciekaj! – nakazała samej sobie. Dokąd? – odpowiedział ten sam głos. Z rozłożonej na podłodze liny buchnęło wulkaniczne ciepło, parząc jej plecy.

Wtedy znikąd wbiła się w Kelhaka sterta szmat, zwalając go z nóg. Musnęła ramię Felice i ona sama upadła na ziemię.

Kelhak uderzył o ścianę i osunął się na podłogę. Jednak natychmiast odzyskał równowagę i zaryczał z wściekłości. Felice odnotowała z mieszkanką zaskoczenia i strachu, że cztery kłute rany przestały krwawić.

Felice owionęła cuchnąca wilgoć. Fetor sprawił, że szarpnęło ją w żołądka i zakręciło się w głowie.

Czuła się dziwnie, niby złożona na pół jak kartka. Rzeczywistość stanęła na głowie. Felice zatoczyła się, a myśli obijały jej się w głowie. Mroczki zamigotały jej przed oczami, a potem zgasły.



Leżała twarzą do ziemi. Nie mogła oddychać. Wolno otworzyła oczy. Znajdowała się gdzieś na zewnątrz. Ziemia zasypana była suchymi liśćmi i porastała ją rzadka trawa. Obok niej drapał podłoże Izak, wciągając do płuc hausty powietrza.

Felice wgramoliła się do pozycji stojącej. Otaczał ich czarny, wypalony w ziemi i wciąż dymiący okrąg.

Gdzie oni się znajdowali? I co się stało z Kelhakiem?

Jakiś głos dobiegł zza jej pleców, a po nim szelest szmat. Szpon. Stał w samym środku wypalonego kręgu. Ich plan się nie powiódł.

Kelhak miał ich zabić, ale szpon w ostatniej chwili zrobił coś i przeteleportował ich tutaj.

Uratował im życie.

– Ty idioto! – wrzasnęła Felice, kuśtykając do niego, zła jak osa. – Powiedziałeś, że dasz radę go zabić! Co się stało?

Szmaty zafalowały. Szpon podniósł głowę i spojrział w niebo. Nad nimi wirowały ciemne chmury.

– Osłabiliśmy go.

– Na tyle, żeby móc dokończyć sprawę?

Długa pauza.

– Może. Pozyskaliśmy trochę jego mocy.

Izak wstał na nogi.

– Felice. Czy... jesteś cała?

Pokiwała głową.

– Nic mi nie jest. – Uświadomiła sobie, że ściska w ręce sztylet-talizman, podobnie jak Izak. Nie widziała, by szpon miał przy sobie broń. Obejrzała się za siebie. Podała asasynowi swoją. – To chyba twoje.

Kaptur poruszył się w lewo i w prawo.

– Zachowaj go. Przyda ci się.

– Gazija! – dobiegł ją krzyk. Męski głos.

Zaszeleściły szmaty i zanim Felice zdążyła cokolwiek powiedzieć, szpon odskoczył od nich. W kilka chwil zniknął między drzewami.

– Lady Felicienne!

Felice obróciła się ku temu, kto wymówił jej imię.

Szli ku niej dwaj mężczyźni, oddzieleni strumieniem. Jeden wysoki i chudy, a w tym drugim rozpoznała Caldana.

Felice opadła na kolana. Nie zdołała się opanować. Łzy polaty jej się z oczu i wstrząsnął nią szloch i śmiech. Co za ulga.





**S** pustoszony krajobraz zasnuty był dymem i zasypany odłamkami skał i żwirem – szarzyzna, czerń i nuda. Ze szczelin w ziemi wydobywały się gazy, pomarańczowe światło i gorąco. Z ciemnych, skłębionych chmur strzelały błyskawice, ale deszcz nie nadchodził.

Nie była to magia, ale i nie było to naturalne. Jak okiem sięgnąć, ziemię znaczyły kratery, w których zbierała się niezdatna do picia woda. I widać też było rozproszone po pustkowiu czarne, gładkie jak szkło koła. Pustka. Nie poruszało się nic poza wiatrem i dymem. Nie było tu zwierząt. Ani mrówek, ani innych owadów. Ani kępy trawy. Ani śladu życia.

Jeden z kraterów powstał niedawno. Wystający ponad poziom gruntu zrąb utworzony z popiołu nie został jeszcze rozwiany przez wiatr ani rozmyty kwaśnym deszczem.

W środku zagłębienia lśniło coś złotego – coś metalowego pokrytego grubą warstwą ziemi. Wirujący lej powietrza zdmuchnął ją i odsłonił przedmiot.

Ten zaś poruszył się, strącając z siebie resztki pyłu. Lśniące, pokryte runami ramiona drgnęły i uniosły się.

Konstrukt usiadł, a klejnoty jego oczu zbudziły się do życia.



Gazija popatrzył po sobie. Przez długi czas kontemplował otoczenie: jego świat, zdruzgotany. Starca ogarnęła rozpacz, która popchnęła go na granicę furii. Rozpłakałby się, gdyby potrafił jeszcze płakać. Gdyby miał głos, po wzgórzach niesłyby się jego krzyki. Wściekłość w końcu przeważała nad rozpaczą, która o mało go nie pochłonęła. Odepchnął ją na bok. Nie miał już siły walczyć. Gdy wróciła, odepchnął ją znowu.

Zostaw mnie, wykrzyczał w duchu. Daj mi spokój.

Ale wściekłość nie chciała ustąpić. Czepiała się go, drażniła, nie pozwalała o sobie zapomnieć jak bolący ząb.

Jego świat był martwy, pochłonięty swoim własnym zdruzgotaniem.

Ale on wciąż żył.

Wreszcie zdołał ściągnąć myśli z powrotem do ciała. Kelhak miał rację. Nie było tu żadnego życia zdolnego podtrzymać jego esencję. Zostało mu już tylko jedno. Nie wiedział, czy czar zadziała. Znał sposób na wydzielenie esencji czarodzieja, ale pozwolił schwytanemu czarodziejowi, by zawładnął swoim więzieniem – to niebezpieczna sprawa.

Ulepszenia, które wprowadził do konstruktu Caldana, pomogły utworzyć z niego swoiste naczynie, choć stary czarodziej wzdrygnął

się, gdy przyszło mu do głowy to właśnie słowo – naczynie. Pasowało, jednak przypominało mu o liczu.

Gazija uniósł ramię i przypatrzył się swojej mosiężnej, pokrytej znakami kończynie.

Dźwignął się na nogi i zachwiał, wyprostowany.

Rzeczywiście był teraz naczyniem. A czy był jeszcze Gaziją?



**C**aldan stanął na obrzeżu czarnego, wypalonego w ziemi kręgu. Zdziczałe chmury nad jego głową już się nieco rozproszyły. Intensywna woń magii wciąż trzymała się w powietrzu, tak skoncentrowana, że przechodziło nią odzienie: gorący metal i cytryny, a także coś jeszcze... zgnilizna.

Quiss był zrozpaczony. Chodził po okręgu, darł włosy z głowy i koszulę na grzbiecie. Z jego ust lały się słowa w obcym dla Caldana języku.

Felice wyglądała, jakby spadła z jadącego wozu i długo toczyła się drogą. Nie wiedział, czy w istocie tak nie było, pojawiła się w końcu nie wiedzieć skąd, ale w zasadzie miał pewność, że przeżyła coś

znacznie gorszego. Ubranie miała wyświechtane, a każdy widoczny kawałek ciała brudny. A tam? Czy to nie... tak, kawałek starej, strzaskanej kości wystawał z nogawki jej spodni. Co to było? Łzy poznały umorusaną twarz smugami. Izak wcale nie wyglądał lepiej. Oboje mieli zdziczałe, ale i przepełnione zmęczeniem oczy, jakby nie spali całą noc, a nad ranem ujrzeni przed sobą ducha przodków.

Tak Felice, jak i Izak trzymali srebrne sztylety-talizmany z osadzonymi na rękojeściach klejnotami. I oba ostrza były zaplamione krwią.

– Co się stało? – skierował pytanie do Felice.

Uniosła rękę, prosząc, by dał jej chwilę. Wzięła kilka głębokich wdechów i otarła łzy z policzków.

Caldan na wszelki wypadek rozpostarł swój czarodziejski zmysł i przeszukał okolicę, przeczesał myślą drzewa i krzewy. Nic. Z wyjątkiem jego i Quissa nie było w okolicy ani jednego czarodzieja. Skupił uwagę na talizmanach w ich rękach... które aż skrzyły się od magicznej energii, ale, tak jak w przypadku innych talizmanów, nie potrafił doszukać się znajomych wzorców ani run, do których mógłby się podczepić. Zawarta w nich moc smakowała jakoś inaczej... nigdy w życiu jeszcze takiej nie widział. Zaciekawiony Caldan zajrzał głębiej. Wysokiej klasy kowalotwórstwo... gęsty, zbity metal ukształtowany ręką mistrza.

Poszczególne elementy wytworzono tak, by należały do siebie nawzajem...

Tak, na tym właśnie polegała różnica. Ostrze pełniło funkcję kanału... przewodu. Prowadzącego dokąd? Podążył jego śladem, ale im dalej się zapuszczał, tym robiło się trudniej. Rzemyśliwo miało właściwości korodujące, opływało jego umysł jak żrący kwas. Ale Caldan nie odpuszczał i siłą przepchnął się tam, gdzie nie istniało nic poza nim samym i magią.

Włókna mocy prowadziły od ostrza do jelca i dalej, kończąc się na klejnocie osadzonym w głowni. Caldan pozwolił zmysłom otoczyć kamień. Pod względem strukturalnym był niemalże doskonały. Dopatrzył się tylko kilku drobnych niedoskonałości na kryształowej siatce. Ale było też coś jeszcze... Kamień spowijała efemeryczna moc. Caldan czuł się tak... jakby trafił do zamkniętego pomieszczenia.

Chciał dokładniej zbadać klejnot, lecz jego żrące właściwości zanadto dały mu się już we znaki i stwierdził, że dłużej nie wytrzyma. Zassał głośno powietrze i wrócił do siebie, by się otrząsnąć. Czuł się wyciśnięty jak mokra szmata.

Te sztylety okazały się szalenie interesujące. Nie tylko dlatego, że były w posiadaniu Felice i Izaka, lecz także ze względu na ich funkcję. Coś innego niż tylko zabijanie.

Coś o wiele groźniejszego...

– Caldan!

Chłopak szarpnął się w kierunku, skąd dobiegł go podniesiony głos.

Felice.

Zamrugął, rozproszony.

– Wybacz. Akurat... Zresztą nieważne. Lady Felicienne, co się... Skąd się tu wzięłaś?

– Nie jestem pewna – zająknęła się Felice. Jej włosy wyglądały, jakby wiatr wiał jej prosto w twarz. Były w nich liście i jakiś biały pył. Popatrzyła wokół, jakby coś zgubiła lub jakby spodziewała się, że zaraz ktoś wyskoczy z krzaków. – Gdzie my właściwie jesteśmy?

– Starorzecze.

– Starorzecze? – Popatrzyła na Izaka. – Psiakrew – syknęła.

Izak zakaszłał w pięść, wyraźnie się uśmiechając.

– Nie wiedziałem, że da się coś takiego zrobić czarami – powiedział. – Niezła sztuczka.

Felice zmrużyła groźnie powieki.

– Tak. Niezła sztuczka.

– O czym wy... – zaczął Caldan.

– Później – przerwała mu Felice. – Daj nam chwilę, żebyśmy stanęły na ziemi. Sporo się ostatnio wydarzyło.

Przebiegła palcami po włosach, wyplątując z nich liście i strzepując pył.

Caldan podszedł do Izaka. Szlachcic uśmiechnął się tak, jak mógłby się uśmiechać ktoś bardzo chory. Caldan klepnął go w ramię.

– Dobrze cię widzieć, Izaku.

– I ciebie – odpowiedział szlachcic słabowitym tonem. – Cieszę się, że w ogóle przeżyłem. Znajdzie się tu jeden głębszy?

Caldan nie mógł się nie uśmiechnąć, szczerze uradowany tym, że Izak nie stracił swojej wrodzonej wesołości.

– Raczej nie, ale kiedy już będziemy wszyscy bezpieczni, to zobaczymy. Czy jest z wami sir Avigdor?

Na dźwięk tych słów Izak spochmurniał.

– Avigdor... nie przeżył.

– Zabili go – włączyła się Felice. – Odrąbali mu nogi i zostawili, żeby umarł.

Caldan poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Jej słowa niosły ze sobą dobitność ostatniego gwoźdźcia do trumny.

– Kto mu to zrobił? – powiedział, gdy odzyskał mowę.

– Czarodziej imieniem Savin.

Quiss zawisł nad Felice z twarzą wykrzywioną żalem.

– Powiedziałaś: Savin? Gdzie jest? – spytał nagłym, nieznoszącym zwłoki tonem.

– Uwięziła go inna czarodziejka, Rebecci. – Felice zmierzyła Quissa wzrokiem. – Wyglądasz jak ona. Jak ktoś na wpół zagłodzony. Zgaduję, że zwiesz się Luphidern Quiss?

Quiss podszedł bliżej do Felice, wykręcając nerwowo palce.

– To bardzo ważne: gdzie jest teraz Savin? – wysyczał, ignorując jej pytanie.

– Rebecci schwytała go, ale potem ktoś ją zabił i zabrał jej rzemysliwo, w którym go przetrzymywała.

Quiss spuścił ramiona i zgarbił się jak człowiek dokumentnie pokonany.

Gazija nie żyje... Rebecci nie żyje... Savin uwięziony w rzemysliwie...

Domysły i wrażenia zazębiły się w umyśle Caldana jak części układanki i w końcu coś kliknęło mu w głowie. Rzemyslnicze sztylety, więzienie za pomocą rzemysliw, ta osobliwość Quissa przy ich pierwszym spotkaniu...

– Jak został pojmany ten Savin? – wymówił Caldane.

– Sztylety – powiedział Quiss, potwierdzając jego przypuszczenia.

– Nie sztylety, a diamenty w rękonożkach – poprawiła Felicienne.

– Co...

Quiss zrobił jeszcze krok w stronę Felicienne i wyciągnął rękę. Powoli oddała mu broń, jakby nie chciała się z nią rozstawać.

– Patrz – mówił dalej czarodziej, pokazując talizman Caldanowi. – To musiała być część planu Gazii i Rebeci. Istnieje sposób na pochwylenie czyjegoś umysłu za pomocą magii zniewalającej. Próbowali złapać w ten sposób Kelhaka. Ale nie mam pojęcia, skąd się wzięły te talizmany. Gazija myślał, że jest wśród nas zdrajca, który donosi Savinowi, dlatego najwyraźniej nie podzielił się z nikim swoim zamysłem. – Na jego usta wypłynął smutny uśmiech. – Z wyjątkiem Rebeci. Gazija wiedział, że gdybym poznał jego plan, nie pozwoliłbym mu odejść samemu. Wyłączył mnie z niego... żeby upewnić się, że jeden z nas przeżyje.

– Przykro mi – powiedziała lady Felicienne. – Sztylety otrzymaliśmy od... przyjaciela.

Izak posłał jej zdumione spojrzenie. Z pewnością kryła się za nim jakaś opowieść. Caldan zapisał sobie w głowie, by później wypytać Izaka. Szlachcic podszedł bliżej, zerkając przez ramię tam, skąd przyszli Caldan i Quiss.

– Przepraszam bardzo, ale... kto to jest?

Ku nim podążała szybko grupa ludzi. Mężczyźni i kobiety w czarnych szatach. Arcymagowie.

Caldan natychmiast sięgnął do nich magicznym zmysłem. Przynajmniej pięć studni. Nie chciał jeszcze wchodzić w konfrontację, ale oni najwidoczniej nie mieli nic przeciwko temu.

Jedna studnia była szczególnie szeroka i gładka – ta należąca do Devenisha. A skoro pierwszy arcymag tam się znajdował, z całą pewnością zaraz obok biegła Thenna.

Gdy grupa znalazła się bliżej, rozdzieliła się na dwie mniejsze: czarodziejów i Kołczany. Na każdego arcymaga przypadali dwaj uzbrojeni po zęby żołnierze. A więc pięciu czarodziejów i dziesięciu weteranów. Zdawało się, że Caldanowi i reszcie nie pozostało nic innego, jak tylko czekać na ich nadejście. Uciekając lub walcząc, daleko nie zajadą, najpewniej prosto do grobu.

Tak jak odgadł Caldan, Devenish prowadził grupę, a krok za nim szła Thenna. Kołczany rozszerzyły szyk, chcąc wziąć ich w kleszcze.

– No proszę – powiedział przywódca arcymagów. – Przybyliśmy, gdy tylko wyczuliśmy z tego miejsca potężną magię, ale nie spodziewaliśmy się znaleźć tu ciebie, Caldanie. – Wskazał



zdawkowym gestem Quissa. – I widzę, że jest tu także twój nowy właściciel. Czyżbyś biegał za nim jak mały piesek?

Thenna gromiła Caldana wzrokiem i wyglądała, jakby ostatkiem sił powstrzymywała się od komentarza.

– Lepiej trzymaj na smyczy własną suczkę – odpowiedział Caldan, wskazując podbródkiem Thennę. – Wygląda, jakby chciała się zerwać.

– Jak śmiesz...

– Cisza! – warknął na Thennę Devenish. Zwrócił się do Caldana. – Widzę, że wyrosły ci kły.

– Zawsze miałem kły, Devenishu. Po prostu nieprędko mi do gryzienia się, w odróżnieniu od was.

Devenish roześmiał się na te słowa.

– Och, chłopcze, ależ wyszedłbyś przy mnie na ludzi. – Pokręcił głową. – Powiedz mi, co, po raz kolejny zresztą, robisz w samym środku zamieszania, od którego powinieneś raczej trzymać się z daleka?

– Także wyczuliśmy tu magię. Ruszyliśmy bez zwłoki, ale się spóźniliśmy. Nie wiem, co tu się stało, ale znam tych ludzi z Anasomy.

Devenish nieufnie zmrużył powieki. Może kupił tę historyjkę, a może nie? Zwrócił się ku Felicienne.

– Wyglądasz znajomo, pani. Poznaliśmy się?

Kobieta posłała mu chłodny uśmiech.

– Owszem, Devenishu, przelotnie. Jestem lady Felicienne Shyrise, Trzecia Arbiter cesarza. Żądam natychmiastowej audiencji. Zakładam, że przybył tu wraz ze swoją armią?

Przez twarz Devenisha przebiegł strach, lecz zaraz zniknął. Wodził po grupie ostrożnym wzrokiem, a potem pochylił głowę, najwyraźniej przyjmując do wiadomości słowa Felicienne.

– Tak. I oczywiście możesz się z nim zobaczyć, pani. Wszyscy zaraz się z nim spotkamy.

Caldanowi nie podobało się, jak wypowiedział to zdanie. Ale po ich stronie była Felice, która najwyraźniej miała wpływ na Devenisha, Caldanowi nie wydawało się więc, aby ze strony arcymagów groziło im jakieś niebezpieczeństwo. Niezależnie od tego, jakie snuli plany względem Caldana lub Quissa i jego ludzi,

mieli przecież na głowie Indryallan. Musieli zdawać sobie sprawę, że w takiej sytuacji nie warto łapać wielu srok za ogon, nawet przy całej swojej niebotycznej arogancji. Co oznaczało, że choć Caldan czuł, jak skręca mu się żołądek na samą myśl, powinni teraz pracować razem, ramię w ramię. Żywiąc nadzieję, że nie pozabijają się nawzajem.



– O przodkowie... – westchnął Izak. – Te tutejsze Kołczany są głupsze niż dziecięły na metalowym słupie. – Odwrócił głowę i kaszlnął w pięść.

Arcymagowie też, rzuciło się na myśl Caldanowi. Pomijając Devenisha i Thennę, w bliskiej okolicy było przynajmniej dziesięć studni. Pozostali trzej arcymagowie, którzy towarzyszyli Devenishowi, odeszli gdzieś przed powrotem do Starorzecza, rozmówiwszy się szeptem ze swoimi towarzyszami.

Reszta nie mówiła wiele w drodze do miasta. Caldan zakładał, że nikt nie wie, komu może ufać. Nawet Izak niechętnie otwierał usta, a Caldan zrezygnował z nawiązania rozmowy po kilku nieudanych próbach.

Żelaznej bramy osadzonej w potężnym murze pilnowało dwunastu żołnierzy, a kolejni rozstawieni byli w krótkich odstępach wzdłuż prowadzącej do niej szerokiej drogi. Jeszcze sześciu żołdaków pilnowało frontowych drzwi wielkiej posiadłości, które stały otwarte na oścież. Rozliczni urzędnicy i posłańcy krążyli po korytarzach w obie strony. Długa kolejka petentów ciągnęła się od drzwi komnaty audiencyjnej na korytarz i dalej na dwór.

Devenish szedł na przedzie, widocznie czując się tu jak w domu, a Felice nie odstępowała go na krok. Thenna odpłynęła na tyły grupy i Caldan mógłby przysiąc, że wwierca się spojrzeniem w jego plecy.

Choć Izak należał do stanu szlacheckiego, wyraźnie był nieswój i spoglądał nerwowo to tu, to tam. Po twarzy spływał mu pot.

Idąc za pierwszym arcymagiem, trafili w końcu do bocznej salki i tam zaoferowano im poczęstunek. Schłodzony cydr i wino oraz świeże owoce. Przyniesiono też kilka mis i ręczników, by mogli się odświeżyć. Czwórka ze wzgórza skwapliwie skorzystała z okazji.

Devenish bacznie ich wszystkich obserwował. Jego Kołczany rozstawiły się po pokoju.

– Rozluźnijcie się, napijcie. Kto wie jak długo będziemy czekać. Cesarz jest bardzo zajęty. Może to dobra okazja, żebyś opowiedziała mi, co się z tobą działo, lady Shyrise.

Felice pokręciła głową. Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale zmilczała, gdy do pokoju wkroczyła kobieta z dwoma strażnikami. Była w podeszłym wieku, ale tryskała młodzieńczą energią. Caldana zabolowało serce na jej widok. Domyślił się, że ten sprężysty krok i uśmiech nie są naturalne, lecz stanowią efekt kuracji, za którą płacili Dotknięci. Była nieskazitelnie ubrana w minimalistyczną, jasnoszarą suknię i miała cienką, niemal przezroczystą skórę, ale nie luźną jak u starszej kobiety, lecz ciasno opinającą członki, jak u osoby kilka dekad młodszej. Caldana nie umiał ocenić, ile ma lat, ale z całą pewnością co najmniej sześćdziesiąt. Jej obstawa mierzyła zebranych obojętnym wzrokiem, a ich twarze nic nie wyrażały. Każdy Kołczan miał przy pasie miecz w wysłużonej pochwie.

Kobieta weszła do pomieszczenia na kilka kroków, omiatając je władcym spojrzeniem. Samą swoją obecnością wzięła komnatę we władanie. Znalazła wzrokiem pierwszego arcymaga i powiedziała:

– Dobrze, że przyszedłeś, Devenishu. Właśnie mieliśmy po ciebie posłać.

– Lady Porhilda – przywitał się Devenish. – Nie wiedziałem, że tu jesteś. Co...

– Z pewnością jest wiele rzeczy, których nie wiesz – ucięła Porhilda. – Choćby o tym, że cesarz szuka cię od kilku godzin, a nie było cię w twoim namiocie.

Devenish skrzywił się.

– Musieliśmy zbadać pływ magicznej energii...

– Masz od tego ludzi. Czy ten pływ spowodował jakies zniszczenia? Czy ktoś zginął?

– Nic mi o tym nie wiadomo. A jednak...

– Więc dlaczego zająłeś się tym osobiście? Nie, nic nie mów. Oszczędź mi swoich wyjaśnień. To on zdecyduje, jaka jest prawda.

Devenish skłonił się z szacunkiem.

– Wedle życzenia.

Lady Porhilda nie była czarodziejką, musiała jednak mieć znaczną władzę, skoro publicznie ganiła pierwszego arcymaga jak byle smarkacza.

– Za mną – poleciła z naciskiem szlachcianka. – Natychmiast.

– Doskonale. – Devenish zwrócił się ku Felice i Caldanowi. – Nic nie mówcie, póki nie zostaniecie zapytani...

– Tylko ty – przerwała mu Porhilda. – Cesarz zobaczy się z wami pojedynczo. Osobno. Indywidualnie.

Na twarzy arcymaga zajaśniała irytacja, ale zaraz zgasła.

– Jak sobie życzysz – odpowiedział.

– To nie ja sobie życzę – skorygowała kobieta. – Tylko on. I jemu, nie mnie, będziesz tłumaczył tę karygodną zwłokę.

Devenish pochylił głowę i opuścił salkę wraz z Porhildą i jej strażnikami.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, Izak z sykiem wypuścił powietrze z płuc.

– Kto to był? – spytał Quiss Felice.

– To lady Porhilda. Pierwsza Konkubina i Pierwsza Doradczyni.

– Konkubina? – spytał Izak. – Nie jest na to trochę... zbyt leciwa? Bynajmniej nie zestarzała się jak wino.

Caldan brzydził się nieprawością, która pełniła się w szeregach arcymagów z rozkazu samego cesarza. Nalał sobie cydru, by przepłukać usta i uspokoić żołądek.

– Niby dlaczego chce zobaczyć się ze mną? – rzucił Izak głosem zdradzającym zdenerwowanie. – Przecież ja nic nie wiem.

– Uspokój się, Izaku – poradziła mu Felice. – Poręczę za ciebie. Bez wątpienia w następnej kolejności cesarz pośle po mnie. Po prostu mów prawdę, a nic ci nie będzie.

– Czy powinniśmy powiedzieć mu wszystko? O szponie? I o liczu?

Uszy Caldana wychwyciły te dwa słowa. Izak wypowiedział je tak, jakby były to miana znamionujące ważność. Quiss zbladł i zgarbił się pod ich ciężarem.

– Najwyższy czas, byś powiedział nam więcej o Kelhaku i o tym liczu – rzekł Caldan, wystraszony i więcej niż tylko zaniepokojony reakcją Quissa.

Czarodziej jakby obwiedł. Opadł na pobliskie krzesło i schował twarz w dłoniach.

– Najpierw powiedz mi, ile sami wiecie – powiedział słabym głosem. – Nie wiem, czym jest ten szpon, ale o tej drugiej sprawie... wiem aż za dużo.

Izak szukał przyzwolenia na twarzy Felice. Uniesieniem ręki zabroniła mu mówić, a sama zaczęła chodzić w kółko.

– Po pierwsze – powiedziała – Izaku, powiedz cesarzowi wszystko, co wiesz. Trzeba go o wszystkim powiadomić. I mów mu tylko i wyłącznie prawdę. Bo jeśli skłamięs, domyśli się. Niczego nie przemilczaj. Jeśli mam rację, to stawką jest przyszłość cesarstwa.

Nie było czasu na „po drugie”, bo zaraz drzwi się otworzyły i do środka weszła Porhilda. Bez Devenisha. I wskazała Izaka.

– Teraz ty.

– Nie – zaprotestowała Felice, stając dwa kroki przed kobietą. – Lepiej, żeby teraz zobaczył się ze mną. Wiesz, kim jestem, lady Porhildo. Mam informacje, które muszę mu dostarczyć. Mogą oszczędzić wiele czasu i uratować tysiące istnień.

Porhilda przez długą chwilę taksowała Felice bystrym okiem. Ostatecznie kiwnęła głową.

– Zgoda, lady Shyrise. Ale lepiej, żebyś tego nie pożałowała.

Drzwi znów się zamknęły i Izak, Quiss i Caldan zostali sami, jeśli nie liczyć Kołczanów. Słyszeli, o czym rozmawiali, ale Caldanowi nie wydawało się, by cokolwiek rozumieli.

Następnie poproszono na audiencję Izaka, a potem Quissa. Caldan został sam ze strażnikami. Oszczędnie sączył cydr, przełknął kilka kawałków owoców i dwa orzechy, ale był zbyt zdenerwowany, by zjeść więcej. Zaraz miał dostąpić audiencji u samego cesarza. Co oznaczało, że niebawem stanie twarzą w twarz z wcieleniem kłamstwa.

Pokręcił głową i prychnął pod nosem. I co z tego? Przecież i tak nie mógł uciec. Mógł tylko odpowiadać zgodnie z prawdą na pytania cesarza. Devenish powiedział już mu pewnie wszystko, co sam wie.

Zapewne jego doradcy też wszystko słyszeli. Więc nie ma sensu, aby Caldan skąpił mu informacji.

Podniósł wzrok, gdy otworzyły się drzwi i stanęła w nich Porhilda. Rzuciła mu współczujące spojrzenie.

– Chodź ze mną.

Caldan wstał i odstawił kielich na stół. Poprawił koszulę i przebiegł dłonią po włosach.

– Gotowy? – ponagliła go niecierpliwie szlachcianka.

– Tak.

Zebrał się w sobie, postanawiając otworzyć studnię, gdy tylko wyczuje choćby drobną oznakę niebezpieczeństwa. Był całkiem pewien, że gdyby przyszło co do czego, wytrzymałby starcie z Devenishem, tak jak poprzednio, ale cesarz to zupełnie inna klasa czarodzieja. Jego obrona na nic by się nie zdała, ale gdyby już doszło do walki, tanio skóry nie sprzeda.

Opuściwszy salkę, Caldan złapał wzrokiem plecy wychodzącego z budynku Quissa, nim Porhilda poprowadziła go wyścielonym dywanem korytarzem. Minęli małe oddziały Kołczanów i stanęli u wielkich podwójnych drzwi. Porhilda otaksowała go i cmoknęła.

– Niech już będzie – powiedziała. – Niektórzy wyglądali jeszcze gorzej od ciebie, zwłaszcza lady Shyrise i ten koleżka Izak. Nie wiem, gdzie się szlajali, ale cuchnęli cmentarzem.

Caldan tylko pokijał głową, nie mogąc skupić się na jej słowach. Porhilda uniosła brwi, a potem otworzyła drzwi, którymi wszedł do wielkiej sali balowej przysposobionej na okoliczność audjencji. Pomieszczenie oświetlały trzy wielkie kandelabry i niezliczone czarodziejskie kule wszelkich rozmiarów. Po jego prawej stronie, za stojącymi na baczność Kołczanami, znajdowały się zakryte kotarami okna, wychodzące zapewne na werandę lub ogrody.

Długi szereg żołnierzy ciągnął się od drzwi po lewej do drzwi po prawej stronie. Kilku miało w rękach łuki ze strzałami na cięciwach. Dalej stali czarodzieje z różnymi studniami. Dość, by Caldana zaświerzbiała skóra i zamrowiły zęby. Talizmany były znacznie rzadsze od zwykłych rzemyśliw, a wyczuwał ich tutaj całe mrowie. To chyba zrozumiałe, uznał. W końcu muszą tu być najpotężniejsi i najbogatsi ludzie w całym cesarstwie.

Na końcu oddziału Kołczanów znajdował się półkolisty podest, przeznaczony chyba dla muzyków, na którym teraz stało podobne do tronu krzesło wyściełane czerwonym aksamitem. A na nim siedział mężczyzna w luźnym białym bawełnianym ubraniu. Cesarz. Jego ciemna skóra zdradzała powinowactwo z mieszkańcami spalonych słońcem południowych ziem, co Caldan uznawał za ciekawe, bo niewiele tam było, nie licząc Spustoszonych Ziem.

Otoczali go z obu stron i z tyłu ludzie, których Caldan uznał za cesarskich doradców: mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, nawet kilkoro czarodziejów.

Caldan wyczuwał jego studnie, które budziły na granicy świadomości osobliwe mrowienie.

Cesarz wydawał się o wiele młodszy niż tamtego dnia, kiedy Caldan pierwszy raz starł się z jukarami. Był szczupły i imponująco umięśniony. Miał jędrną skórę i był gładko ogolony, jego głowę porastały platynowe włosy, jeszcze nietknięte siwizną. Mężczyzna o wiele za młody, by mieć za konkubinę kogoś w wieku lady Porhildy.

Tyle że Caldan wiedział doskonale, dlaczego cesarz tak wygląda. Gdy nawiedziła go ta myśl, mistrzowsko zapanował nad twarzą.

Oto przyczyna okropnego losu, który czekał każdego Dotkniętego. Cesarstwo wzniesiono na krwi niewinnych. Ale przecież każde imperium buduje się na trupach. Wojny, zabójstwa, nieustanny konflikt... Czy istniała jakaś różnica?

Tak. Caldan był pewien, że tak.

Porhilda odchrząknęła znacząco i Caldan poderwał głowę, nagle boleśnie świadomy, że gapi się na cesarza. Gestem kazała mu przejść między szeregami Kołczanów i zbliżyć się do władcy.

– Przepraszam – powiedział. – Jestem... onieśmielony.

– I słusznie.

– On jest taki... młody. Znacząco młodszy, niż się spodziewałem.

– Cesarz i jego rodzina zostali pobłogosławieni długim, owocnym życiem. To dzięki temu na nas, wiernych poddanych, spłynęły rozliczne łaski i szczęście.

Porhilda uśmiechnęła się przelotnie i Caldan wyłapał smutną nutę w jej głosie.

– No, chodźmy – podjęła. – Cesarz bardzo nie lubi czekać. Oczywiście rozumie się to samo przez się, ale i tak pozwolę sobie doradzić ci, abyś miał się na baczności. Cesarz nie stroni od czynów, gdy zawodzą słowa. A już choćby cień podejrzenia potrafi doprowadzić do decyzji, których wszyscy później żałują. Jeśli jeszcze żyją.

Caldan przełknął podchodzące do gardła serce i tylko pokiwał głową.

– Tak. Oczywiście.

Gdy podchodzili do tronu, cesarz poprawił się i wsparł podbródek na dłoni.

– Stój – rozkazała Porhilda, gdy stanęli na dywanie przed podestem.

Caldan zatrzymał się, mocno świadomy uzbrojonych Kołczanów i czarodziejów z otwartymi studniami. Wiedział, że lepiej teraz nie otwierać swojej, gdyż zostałyby to uznane za oznakę wrogości.

Nie miał pewności, dlaczego martwił się tylko konfrontacją z Devenishem. Oczywiście, że władca był w obstawie całej armii strażników, czarodziejów i arcymagów. I choć od czasów klasztoru Caldan bardzo rozwinął swój talent i miał na własny użytek złożoną tarczę, prawdopodobnie nie zdążyłby nawet otworzyć studni, zanim ludzie cesarza by go zmiażdżyli.

Ale jeśli pozostanie zamknięta, nie będzie mógł choć próbować obronić się przed ewentualnym atakiem.

Byle czar zniewalający nie napotkałby żadnego oporu.

Pewnie o to właśnie chodziło.

Caldan oblizał usta. Wbijając wzrok w podłogę, klęknął na jedno kolano. Nie znał protokołu, ale chyba lepsze to, niż stać jak słup soli. Ręka Porhildy spoczęła na jego ramieniu.

– Powstań – poleciła.

Caldan usłuchał, zerknąwszy na władcę. Zaraz odwrócił wzrok, widząc, że cesarz taksuje go świdrującym spojrzeniem bładoniebieskich oczu. Caldan stanął nieruchomo, nie ośmielając się ruszyć choćby palcem. Czekał. Cisza rozciągała się w nieskończoność. Jedyнным słyszalnym dźwiękiem była dyskretna krzątanina dworzan i Kołczanów, szelest ubrań i podzwanianie pancerzy. Ktoś kaszlnął.



– Devenish wspomniał mi o tobie – przemówił cesarz. Słowa spłynęły z jego języka jak zaprawiony miodem grom, głęboki i dźwięczny. – Chcę, abys opowiedział swoją historię własnymi słowami. Zostaniesz wyniesiony do rangi arcymaga i zgodnie z moim życzeniem będziesz pracował na większą chwałę cesarstwa.

A więc Devenish naopowiadał cesarzowi kłamstw.

Caldan nie wiedział tylko, jak wiele – ani nawet co właściwie – wie cesarz, ale wzięwszy pod uwagę ostrzeżenie Felice, postanowił powiedzieć władcy prawdę i tylko prawdę.

Spojrzał mu w oczy.

– Moi rodzice służyli cesarstwu. Jedno z nich lub oboje byli czarodziejami, może nawet arcymagami, ale nie mam pewności. Jedno lub oboje byli Dotkniętymi. Z jakiegoś powodu porzucili cesarstwo... a potem zostali zabici.

Z tłumu dało się słyszeć stłumione okrzyki zdumienia i szepty. Caldan poczuł, że stojąca obok Porhilda tężeje. Gwar przybrał na sile. Kilku Kołczanów podążyło spojrzeniem do cesarza i jego doradców, czekając na sygnał do interwencji. Caldan stał napięty jak struna. Jego myśli skradały się ku studni na wypadek, gdyby miał jej potrzebować. Nic się nie wydarzyło.

Caldan przełknął ślinę. Gardło wyschło mu na pieprz, ale mówił dalej:

– Wychowali mnie mnisi na wyspie Samotnicy. Niedawno... wygnali mnie za zranienie syna szlachcica. Wtedy przeniosłem się do Anasomy. Tam zostałem przyjęty do Protektorów. Uczył mnie mistrz Simmon, który... – język nie chciał go słuchać – który zginął podczas indryallańskiej inwazji. Uciekłem do Starorzecza, gdzie dowiedziałem się, że jestem nie tylko czarodziejem, ale i Dotkniętym.

Spodziewał się jakiejś reakcji, ale zarówno cesarz, jak i doradcy milczeli. A więc pierwszy arcymag powiedział im przynajmniej tyle.

– Devenish uznał, że moje zdolności mogą mu się przydać – mówił dalej Caldan. – Chciał uczynić mnie arcymagiem.

Postanowił na tym zakończyć. Jeśli cesarz zechce dowiedzieć się więcej, będzie musiał zapytać.

Władca raptownie podniósł się z krzesła. Cichy gwar ustał jak ucięty nożem. Cesarz był wysoki, o kilka dobrych cali wyższy od

Caldana, a podest czynił go jeszcze wyższym. Z namysłem spoglądał na Caldana.

– Twoja szczerość mile zaburza rutynę – rzekł z cieniem uśmiechu na ustach. – Ale to tylko suche kości opowieści, na których nie ma zbyt wiele mięsa. Zwykle muszę uciszać tych, którzy rozgadują się ponad miarę. W twoim przypadku muszę zrobić coś odwrotnego. Jak nazywali się twoi rodzice?

Serce Caldana ścisnęło się w piersi. Robił co mógł, żeby emocje nie odznaczyły się na jego twarzy. Czuł, że grozi mu niebezpieczeństwo, a zupełnie nie był pewny swojej pozycji. Jeden fałszywy ruch, nieudolnie sformułowana wypowiedź, która zostanie odczytana jako obraza, i skończy w lochu albo jeszcze gorzej.

– Moje nazwisko rodowe brzmi Wraythe – powiedział ostrożnie, czując uwierające w żołądku ziarno strachu. – I z tego, co mi powiedziano, przynajmniej jedna z moich przodkiń, Karrin Wraythe, służyła cesarstwu. Otrzymała talizman, noszony teraz przeze mnie.

Cesarz wybałuszył na niego oczy, a potem zwięził powieki.

– Czy pierścień na twoim palcu to wszystko, co ci po nich zostało? Nic więcej?

Pytał o kościany talizman, tak jak Felice w Anasomie.

– Wasza Wysokość, to wszystko, co zostało z mojej rodziny. Na Samotnicy zabito moich rodziców i siostrę, gdy byłem mały.

Cesarz wolno zamrugał. Nieznacznym uśmiechem podkreślił kąćki jego ust. Popatrzył ponad Caldanem na masę ludzi zgromadzonych w komnacie.

– Jest to koniec, którego mogą być pewni wszyscy zdrajcy – wyrzekł donośnym głosem. A potem dodał łagodniej: – Ale żałuję, że zginęła także twoja siostra. Z pewnością byłaby taka jak ty: użyteczna.

Przez długą chwilę Caldan wolał się nie odzywać. Krew szumiała mu w uszach, a pomieszczenie wirowało przed oczami. W jego sercu kotłowały się emocje, wściekłość i nienawiść, i strach, i pragnienie zemsty. Zacisnął pięści, aż paznokcie wcięły się w skórę. Gdy już opanował uczucia i odważył się przemówić, z jego ust dobył się zduszony charkot.

– Dobro cesarstwa jest najważniejsze. – Zemdliło go od tych słów, ale miotaniną niczego by nie osiągnął.

– W rzeczy samej – potwierdził cesarz. – Powiedz mi więc, młody arcymagu Caldanie, który jest zarazem Dotkniętym: czego pragniesz?

Pragnę odzyskać moją rodzinę, to było pierwsze, co przyszło Caldanowi na myśl.

Przez ułamek chwili rozważał, czy nie poprosić o uwolnienie od arcymagów i Dotkniętych. Zdawało mu się, że Devenish przedstawił go władcy jako osobę wciąż związaną z obiema kastami, choć podczas zwrócenia ciała Kristofa Caldana jednoznacznie wyjaśnił, że nie chce mieć z nimi nic wspólnego. Arcymag przemilczał więc „zdradę” Caldana, co oznaczało, że chłopak będzie musiał zadeklarować ją ponownie, tym razem przed samym cesarzem.

A był to ruch, którego z pewnością pożałuje, gdy tylko słowa opuszczą jego usta.

Bo przecież nie było takiej możliwości, żeby cesarz pozwolił komuś takiemu jak on po prostu odejść. Przyłożył rękę do śmierci rodziców Caldana i wcale się z tym nie krył. Ta myśl znowu rozbudziła w chłopaku wściekłość, która o mało go nie pochłonęła. Uspokoił się i wziął kilka głębokich wdechów.

Walczyć z Devenishem to jedno, ale rzucać wyzwanie komuś takiemu jak cesarz? Caldanie czuł promieniującą od niego moc i niezależnie od tego, jak Zerach-Sangur bał się Kelhaka, z pewnością nie obawiał się młodzieńca, który dopiero uczył się panować nad swoimi zdolnościami.

Co oznaczało, że niewątpliwie nie zniósłby impertynencji, o zdradzie nie wspominając.

Caldanie zmarszczył brwi, zwlekając z odpowiedzią. Bo gdy strumień przemyśleń przepłynął już przez jego głowę, zostało w niej tylko jedno pytanie:

Dlaczego o to pyta? Przecież mógłby wydać rozkaz, wyrzucić mnie z sali lub zabić i nikomu nie mrugnęłyby powieki. To musi być sprawdzian, tylko czego? Lojalności? Bystrości?

O przodkowie...

Wir myśli niemal wytrącił go z równowagi. Czy cesarz oferował mu coś, czego pragnie? Nie, to chyba mało prawdopodobne. Na pewno głupio by zrobił, domagając się zemsty za śmierć rodziców i siostry. Czego więc może pragnąć?

Mirandy.

Caldan chciał tylko żyć w spokoju. Niezależnie od wyniku wojny cesarstwa z liczem, na zawsze zmieni ona oblicze świata. Jeśli licz wygra, to, jeśli wierzyć Quissowi, niewiele z tego świata zostanie. A jeśli zostanie pokonany, Caldan wciąż będzie tkwił pod obcasem arcymagów i cesarza. Co pozostawiało mu tylko jedną odpowiedź.

– Chcę – zaczął z ociąganiem – wrócić do nauki. Rozwinąć swoje rzemyślenie. I żyć w spokoju. Ale... jeśli w pierwszej kolejności będę musiał pomóc pokonać Indryallan, niech tak będzie.

– Pokojowo nastawiony arcymag i Dotknięty... – powiedział cesarz oschle.

Tłum zachichotał, a Caldan poczuł gorąco na twarzy. Odpowiedział szczerze. Tylko głupiec spodziewałby się szacunku od ludzi przyzwyczajonych do ukłonów i uległości, ale wciąż szczypał go tak jawny jego brak.

– Powiedz mi, mój młody Caldanie, czy twoi rodzice byli w posiadaniu pierścienia zrobionego z kości?

Chłopak zamarł i już miał zmusić się do neutralnej miny, gdy nagle przeraził się, że tym właśnie zdradzi się przed cesarzem, więc zamiast tego przywołał na twarz maskę zmieszania. Schowany za koszulą pierścień palił go w pierś, jakby został wykuty z żywego ognia.

– Nie – wydusił. – Nie wydaje mi się. Oni zginęli... kiedy byłem mały. Wiem o nich bardzo niewiele.

– A jednak wywnioskowałeś coś z pierścienia-talizmanu na swoim palcu.

Caldan uniósł rękę z pierścieniem.

– Z tego? Tak, to jedyne, co mi po nich pozostało. Dali go mnichom na przechowanie i do zbadania, a oni byli na tyle dobrzy, że wręczyli mi go, nim odszedłem.

Cesarz patrzył Caldانowi w oczy, a on z trudem znosił to spojrzenie. Ostatecznie władca skinął głową.

– Co wiesz o liczu?

Znowu pytanie. Nagła zmiana tematu wstrząsnęła Caldانem. Ale przynajmniej w tej sprawie mógł być całkowicie szczerzy.

– Niewiele, tylko tyle, co powiedziała mi Feliciene, znaczy lady Shyryse, oraz sir Quiss. Jeśli to prawda, to musimy coś przedsięwziąć.

– I cóż radzisz przedsięwziąć? – zaciekawił się cesarz z widocznym na twarzy rozbawieniem.

Caldanowi język stanął kołkiem.

– Nie... Nie wiem. Zabić go? Pojmać?

– To rezultat, pozostaje tylko obmyślić proces. Zresztą nieważne, nie spodziewam się, aby ktoś tak niedoświadczony wiedział, jak uratować cesarstwo. – Komnata wybuchła śmiechem i Caldan był całkiem pewien, że jest nieco wymuszony. – Zresztą wiemy o liczu od jakiegoś czasu. Devenish realizuje już pewne plany. Niebawem spodziewamy się zwycięstwa.

Zwycięstwa? Zerach-Sangur ledwie dał sobie radę z Dzwonkami, a chciał rzucić wyzwanie Kelhakowi, przed którym umykał jak wystraszone dziecko? Robi dobrą minę do złej gry, uświadomił sobie Caldan. Cesarz był potężny, dało się to wyczuć z daleka, ale istniała też inna potęga, taka jak ta, którą emanowała lady Porhilda. Człowiek, który nie potrafił omotać całego narodu czarem zniewalającym, musiał pokładać wiarę w tej właśnie magii. Gdyby cesarz okazał słabość, zaraz znaleźliby się ci, którzy zechcieliby ją wykorzystać.

A jednak nie zmieniało to faktu, że Zerach-Sangur miał Caldana w garści. Chłopak pokiwał więc wolno głową.

– Tak jest.

– Świetnie. Pamiętaj, Caldanie, że jesteś Dotkniętym, a więc będziesz korzystał ze swoich zdolności dla mnie i dla cesarstwa. A jako czarodziej będziesz współpracował z arcymagami, nawet jeśli ta myśl jest ci wstrętna. – Popatrzył na Caldana ze smutkiem na przystojnym obliczu. – Obawiam się, że tacy jak ty nie mogą liczyć na spokojne życie. W czasach takich jak te, gdy wojna podnosi łeb, twoje umiejętności stają się cennym surowcem, a surowce należy pozyskiwać. Lady Felicienne zna moje dekryty; pod moją nieobecność zaaranżuje pewne posunięcia. – Cesarz strzepnęła upierścienioną dłonią. – A teraz odejdz.

– Ale...

– Cicho bądź – syknęła Porhilda.

Złapała go za ramię i skierowała do wyjścia. Caldan zrobił, jak kazała, i razem ruszyli do drzwi.

Myśli obijały mu się w głowie. Był w potrzasku. W pułapce bez wyjścia. Cesarz, arcymagowie, Dotknięci – wszyscy będą mieć na niego oko, dbać o to, żeby ani na krok nie zboczył z wytyczonej dla niego ścieżki. Choćby buntował się i miotał, znajdą sposób, aby zmusić go do uległości. Mógłby po prostu uciec, ale jego rodzinie to nie pomogło. Zostali zabici. Musiał znaleźć sposób, by nie mogli go ścigać. Na dobre wyplątać się z tej gęstwiny i zostawić ją daleko za sobą.

Ten człowiek nie miał pojęcia, jak zniszczyć Kelhaka, a więc zamiast tego zamierzał zniszczyć życie Caldanowi.

Porhilda wyprowadziła go z budynku. Przy drzwiach wyjściowych przystanęła, by przyjrzeć się Caldanowi.

– Czasem to, czego pragniemy od życia, nie ma dla życia żadnego znaczenia. – Odbiegła wzrokiem na bok, a na jej twarzy zajaśniały tęsknota i cierpienie. – Rób, czego chce od ciebie cesarz, a będziesz miał dobre życie. Pieniądze, wiedzę, szacunek... Będą cię szkolić uzdolnieni czarodzieje. Wszystko będzie twoje. Wielu zazdrościłoby ci twoich zdolności. Ciesz się, że je masz. – Jej spojrzenie stwardniało. – Chyba nie chcesz skończyć jak twoi rodzice?

Z tymi słowami obróciła się na pięcie i zostawiła Caldana samego.

Czuł się wykończony, wyciśnięty jak szmata. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jego skóra jest gorąca, jakby ktoś wsadził go do pieca, i pokrywa ją warstwa potu. Jak mógł najszybciej, ruszył ścieżką do bramy. Musiał znaleźć Felice i się z nią rozmówić. I Quissa. I Izaka.

I Mirandę.



**A**merdan szedł za vormagiem Gamzegulem po obrzeżu wzgórza. Podążali przetartą ścieżką, aż znaleźli się między jukarami. Powitały ich warknięcia dobywające się z zaślinionych paszczy osadzonych w cętkowanych, szarych twarzach.

Z łbów kreatur wisały druciane włosy, pozlepiane w sztywne od brudu strąki. Gamzegul warknął na jukarów w ich chrzęszczącym, prymitywnym narzeczu. Stwory wycofały się, jedne wyjąc, inne

węsząc w powietrzu, jakby to Amerdan rozsiewał w nim nieprzyjemny zapach. Zwierzęta, jeszcze gorsze od bezużytecznych naczyń, między którymi kroczył zwykle Amerdan.

Idąc naprzód, był boleśnie świadomy zamykającego się za nim tłumu potworów. Obejrzał się, panując nad twarzą, tak by nie zaalarmować tych kreatur. Wyglądało to tak, jakby wszyscy jukarowie, którzy go zobaczyli, ciągnęli za nim jak jedna liczna wataha. Cudaczna, pstrokata masa potworów obleczona w niedopasowane fragmenty pancerza i uzbrojona we wszelkiego rodzaju broń – włócznie, miecze, sztylety i maczugi, topory i kije. Był to asortyment odzwierciedlający ich stopień zorganizowania – lub raczej jego całkowity brak. I nieprzesadnie dbali o czystość, o czym świadczyły chropawe plamy rdzy zdobiące każdy kawałek broni i pancerzy.

Ale brzeszczoty były czyste i naostrzone.

Jeden z odważniejszych jukarów podszedł do Amerdana od lewej strony i szedł równo z nim. O głowę przewyższał pozostałe potwory i wyraźnie górował nad Amerdanem. Człapał przed siebie z przerzuconym przez ramię olbrzymim toporem. Gamzegul szczeknęła na niego, ale ten nie dał się odpędzić.

Skośnawe żółte ślepia wwiercały się w Amerdana. Wiedział, że vormag usiłował go zastraszyć, tak jak robią to samce w zwierzęcych stadach. Rozważył, co z tym fantem zrobić, i postanowił na razie zignorować zwałistego jukara.

Jukarowie zacieśnili krąg wokół niego i zaczęli trącać Amerdana łokciami, niektórzy dość mocno, więc musiał stawiać stopy szerzej, żeby się nie przewrócić. Był zręczny, zatem nie upadł, nawet złapany w pół kroku.

Gamzegul zatrzymał się i ryknął. Jukarowie stanęli i utkwili w vormagu spojrzenia. Dokoła brzmiało szczekanie i warczenie.

Amerdan zdusił westchnienie. Te bestie rozumiały tylko jedno: brutalną siłę. Gamzegul tracił kontrolę nad sytuacją. Jeśli wkrótce Amerdan czegoś nie zrobi, utraci ją zupełnie. Jukarowie byli zbyt głupi, by uświadomić sobie, że istnieje ważny powód, dla którego Amerdan do nich przybył. Rozumowali w prymitywny sposób i pojmowali tylko najprostsze koncepty. Najchętniej potraktowaliby go jak każdą inną ofiarę.



Amerdan charknął, a wielki jukar zwrócił twarz w jego stronę. Uśmiechnął się do niego, pokazując zęby. Jukarowie wokół zahuczeli, chyba dając upust wesołości. Dryblas milczał. Był tak wielki, że z łatwością zmiażdżyłby dorosłego mężczyznę. Amerdan znowu charknął... I splunął na niego.

Flegma dosięgła celu i plasnęła na odsłoniętym ciele. Amerdan trącił palcami rękojęści sztyletów tak ostrzych, że można się było nimi golić. Ich zimna twardość była dla niego krzepiąca.

Gamzegul gapił się na niego z rozdziawionymi ustami. Olbrzymi jukar zawahał się, a wszelkie głosy zamarły i zapanowała otępiąca, wyczekująca cisza. Stwór zamrugał, wyraźnie zdumiony, i przez krótką chwilę Amerdan myślał, że na tym się skończy.

Niestety.

Stwór zaryczał, obnażył kły i zaatakował. Amerdan rzucił się na prawo, unikając szerokiego cięcia monstrialnym toporem. Głownia zaszumiała nad jego głową, chybiając o włos. Jukar był szybszy, niż przewidywał. Ale w niczym mu to nie pomoże. Noże dawno już wyfrunęły z pochew, ale Amerdan zwlekał z zadaniem ciosu. Chętnie uporałby się z przeciwnikiem szybko, ale choć sztylety były spragnione krwi, to temu jukarowi – i wszystkim jego pobratymcom – należało przede wszystkim pokazać, że z Amerdanem nie ma żartów.

Okręcił się, uskakując przed kolejnym morderczym ciosem. Głownia topora wżarła się w ziemię i jukar warknął. Amerdan cofnął się dwa kroki. Jukar nie odejmował od niego oczu, gdy wydobywał broń z gruntu. Ostrze było oblepione ziemią.

Potwór ponowił atak, lecz tym razem ostrożniej. Wymierzył w Amerdana cios trzymanym oburącz drzewcem, chybiając ponownie. Zamarkował kolejny, badając reakcję przeciwnika. Amerdan pozwolił ramionom opaść do boków i stanął na rozstawionych na szerokość barków nogach, jakby zapraszał przeciwnika do rozplątania go na dwoje. Stwór chyba pojął intencję i złapał drzewce oburącz. Amerdan uskoczył w bok i zrobił krok naprzód, wchodząc w pole rażenia broni. Ale tym razem już się nie wstrzymywał. Dał susa naprzód i rozorał bok jukara obiema klingami, raz, a potem drugi. Hartowana stal zachrobotła o żebra. Szukała serca bestii.

Amerdan wylądował miękko na nogach. Spomiędzy czarnych warg jukara wyrwał się bulgotliwy charkot. Zaplamiła je czarna piana. Bestia zatoczyła się na nogach, a jej twarz znalazła się na równi z Amerdanem. Ten błyskawicznie wbił jukarowi sztylet w oko. Żółte oko prysnęło jak zbite jajko i śluz popłynął po policzku. Amerdan wyrwał broń z oczodołu, a jukar grzmotnął o ziemię.

Leżał w pyłe porysowany strugami czarnej krwi, lejącej się z ran, którymi naznaczyły go bliźniacze sztylety. Dokoła rozległo się hałakowanie i warczenie. Jukarowie rzucili się w jego stronę, a potem szybko wycofali. Gamzegul wrzasnął na nich, wskazując Amerdana palcem.

Oni nie potrzebują już wyjaśnień vormaga, pomyślał Amerdan. Widzieli na własne oczy, co potrafię. Choć byli idiotami, zrozumieli, kto jest silny, a kto słaby. W końcu leżało to w ich naturze.

Amerdan schylił się i otarł noże o poszarpaną koszulę powalonego potwora. Będzie musiał później dokładniej je umyć. Wsunął sztylety do pochew. Przesunął wzrokiem po jukarach, zaglądając każdemu w oczy z obojętnym wyrazem twarzy.

Gamzegul podszedł do niego.

– Niemądre – syknął stwór.

– Niezbędne – odparł Amerdan.

– Szponica dowie się o tym.

Amerdan wzruszył ramionami. To bez znaczenia. Czy ten przygłupi vormag tego nie rozumie?

Gamzegul musiał odebrać jego milczenie za odpowiedź. Gestem poprosił Amerdana, by poszedł za nim, a następnie przepchnął się przez ścianę jukarów. Gdy mężczyzna podszedł do przerwy w szeregu, ta poszerzyła się na tyle, że zrozumiał: boją się. Dobrze. Może czują respekt przed magią vormaga, ale nic nie przeraża zwierząt tak bardzo jak zakrwawiona stal i śmierć. To przemawiało do nich w pierwotny sposób, który rozumieli najlepiej.

Zostawili za sobą zaszlachtowanego jukara, którego broń i pancerz już rozkradali pobratymcy. Gamzegul przyspieszył kroku i wkrótce tłum się przerzedził.

Odnajdowali drogę między małymi ogniskami i śpiącymi na ziemi jukarami. Niektórzy walczyli o ochłapy pieczonego mięsa. Zwykle wygrywał największy z jukarów. Choć usiłowali piec mięso,

było zwęglone z wierzchu, ale surowe w środku. Amerdan zdumiał się na widok stert brudnych bulw, które wysypywały się z koszy wraz z innymi warzywami, owocami i orzechami. Może nie są aż tak dzicy? – pomyślał. Choć okoliczne farmy całkiem ograbiono z jedzenia, to fakt, że jukarowie w ogóle zawracali sobie nimi głowę, wiele o nich mówił. Może głęboko na Spustoszonych Ziemiach mieli własne farmy?

Amerdan wciąż zastanawiał się nad tym, gdy Gamzegul dał mu znać, aby się zatrzymał. Przed nimi stały dwa szeregi jukarów, wielkich i groźnych. A raczej jeszcze większych i groźniejszych od pozostałych. Wszyscy nosili pancerze, które nie wyglądały już, jakby dobierano je na chybił trafił. I wszyscy dzierżyli włócznie oraz mieli przy pasie sztylety.

– Szponica Xarlasa tu jest – wydyszał Gamzegul. – Ja będę mówić. Ona... musi mnie posłuchać.

Vormag wcale nie brzmiał, jakby był pewny.

– Chodź – powiedział stwór. – Xarlasa cię sprawdzi. Jesteś gotów?

Amerdan pokiwał głową. Im szybciej się z tym upora, tym lepiej. Miał na razie tylko zaczątki planów. Wciąż nie wiedział, co powinien zrobić, lecz co do jednego miał pewność – nie musiał już ukrywać tego, kim jest, ani hamować się podczas walki. Jukarowie i vormagowie uważali go za jednego z Przedwiecznych. I dobrze, niech uważają. Jeśli dzięki temu łatwiej roztoczy nad nimi wpływ, to tym lepiej. A gdyby rzeczywiście zdołał nimi zawładnąć... to co by zrobił? Miał ich za nic, a jednak sytuację uważał za zabawną.

To może być ciekawe, mieć na posługi armię potworów.

Na środku okrągłego placu stało krzesło o wysokim oparciu. Otaczał je okrąg z kamieni wielkości głowy, stanowiący prowizoryczną granicę, której żaden jukar nie śmiał przekroczyć. Wewnątrz stali vormagowie, którzy rozmawiali przyciszonymi głosami, trzymając jakieś rzemyśliwa, które zwisały im z szyj – medaliony, amulety i tym podobne.

Gamzegul ruszył naprzód żwawym krokiem, nie dając po sobie poznać dotychczasowej niepewności.

Jeden z vormagów – cherlawy łysulec – wyszczał w jego kierunku kilka ostrych słów, a słysząc je, Gamzegul podniósł głowę.

Warczenie i chropawe słowa wypełniły powietrze tak samo jak ich okropny fetor.

Gamzegul spierał się z bezwłosym pobratymcem. Wtem przewodnik Amerdana tupnął nogą, a jego oponent zaśmiał się przenikliwie. Gamzegul chyba nie miał posłuchu wśród swoich. Ale w końcu przyznał się do tego, kiedy się spotkali.

– Dość!

Słowo poniosło się po placu. Zabrzmiała w nim potężna nuta, jadowita obcesowość, dotkliwa jak cios prosto w szczękę. Wypowiedziała je jakaś nowo przybyła kreatura, która stała poza kamiennym kręgiem. Amerdan uznał, że to musi być ta cała Xarlasa. Wielka, zwalista postać, która jednocześnie budziła skojarzenie ze strachem na wróble, odziana w połataną szmaty związane sznurkiem. Jej twarz krył obszerny kaptur, a jednak Amerdan był pewien, że postać obserwuje każdy jego ruch. Ze szmat zwisały setki drobnych kości i metalowych przedmiotów. Gdy ruszyła w kierunku krzesła, słychać było ich stukot i dzwonienie.

Gdy już zasiadła na krześle, Xarlasa uniosła długie ręce o smukłych palcach zakończonych szponiastymi paznokciami. Właśnie szpony drapieżnego ptaka przypominała ta ręka i teraz Amerdan rozumiał, skąd nazwa.

Xarlasa odrzuciła kaptur na plecy i wyjrzały spod niego głęboko fioletowe oczy pozbawione brwi.

Zdumiony Amerdan wpatrywał się w tę nieznaną istotę. Twarz Xarlasy miała kobiece rysy. Nieco skośne oczy, tak jak jukarowie, ale pełniejsze usta i ostrzej zarysowane kości policzkowe. Amerdan rozejrzał się i spostrzegł, że wśród jukarów i vormagów także znajdują się stwory o delikatniejszych rysach. Miały większe oczy i nieco dłuższe włosy.

Nie byli więc tym, co zostało z istot żyjących przed Zdruzgotaniem, lecz przedstawicielami osobnych ras. Jeśli dodać do tego ich nowe rzemysliwa i urozmaiconą dietę...

Stawało się jasne, że musieli wytworzyć cywilizację głęboko na Spustoszonych Ziemiach.

O co im chodzi? Czego chcą? Zresztą czy to ważne?

– Spocznij – powiedziała Xarlasa, wykonując gest w kierunku Amerdana. Miała ochrypy głos, kojarzący się ze skrobaniem sztyletu

o metalową blachę.

Amerdan popatrzył wokół, nie bardzo wiedząc, jak miałby „spocząć”. Nie było tu żadnych innych krzeseł ani pni, na których mógłby usiąść. Postanowił, że mimo wszystko spocznie, i usiadł w siadzie skrzyżnym na ziemi. Niech widzą, że nie uważam ich za zagrożenie, pomyślał. Niech zobaczą, że nie robią na mnie wrażenia.

Jukarowie mamrotali, huczeli i warczeli, ciągle ruchliwi, zajęci tym lub tamtym. Kręcili się, szli gdzieś, potem wracali, drapali się, przepychali w kierunku pierwszego rzędu gapiów. W odróżnieniu od nich vormagowie byli praktycznie nieruchomi. Ich zwierzęce oczy patrzyły na niego z podejrzliwością i podziwem.

Xarlasa wykonała gest w kierunku świty jukarów i vormagów, a ci usiedli na ziemi.

Kropka wierciła się pod koszulą Amerdana, aż ten nakrył ją dłonią, żeby się uspokoiła. Milczała, czego nie znosił. Ostatnio coraz mniej z nim rozmawiała.

Amerdan przebiegł wzrokiem po Xarlasie, szukając jej mocnych i słabych punktów. Nie miał pojęcia, czym ona była i dlaczego tak się różniła od innych istot. Wyczuł, że jest czarodziejką... i to go zmartwiło. Nosila rozmaite rzemyśliwa, których zastosowania nie potrafił odgadnąć.

Dostrzegł coś na jej szyi... Pustkę... nie... płonąca otchłań.

Xarlasa skinęła na vormagów, którzy pochylili głowy. Musieli uznać jej gest za przyzwolenie, bo zaczęli rozmawiać szeptem. Wielu zerkalo na Gamzegula. Ale nie ruszali się z miejsc.

Ta otchłań... Czy to może być talizman? Amerdan nawet z tej odległości wyczuwał jego puls. Jasny płomień, tak intensywny, że czuł, jak odbija się w jego własnej piersi.

Między dwoma vormagami wybuchła sprzeczka. Trysnęły magiczne iskry. Szponica wstała z krzesła, wysoka i władcza, i trzepnęła obu w bok głowy. Vormagowie rozdzielili się, obrzucając się posępnymi spojrzeniami.

Xarlasa uniosła rękę nad głowę. Zapadła cisza tak głęboka, że Amerdan słyszał bzyczenie much.

Gamzegul wyszedł naprzód.

– Szponico Xarlaso, przyprowadziłem do ciebie jednego z Przedwiecznych. Powrócił do nas...

– Milcz.

Gamzegul przełknął ślinę i wbił wzrok w Amerdana. Wśród vormagów podniósł się gwar, niektórzy jukarowie huczeli i wyli, czując narastające napięcie.

Amerdan nie mógł oderwać myśli od pulsującego żaru, który wisiał na szyi szponicy. Czeluść, a jednocześnie coś na kształt sinej blizny. Był tak blisko tego czegoś, że bolała go jego własna pierś. Złapał przez koszulę swój talizman i zaraz odjął rękę, czując gorąco. Jego talizman płonął, jakby nawiązał jakieś połączenie z tym na szyi Xarlasy.

Amerdan syknął pod nosem. Nie lubił niespodzianek, chyba tylko takie, które były dla niego korzystne. A trudno mu było ocenić, czy uda mu się obrócić to na swoją korzyść.

Xarlasa wlepiła w niego czujny wzrok. Zsunęła z szyi poszarpany materiał. Sięgnęła szponiastym palcem, zaczęła go o czarny, metalowy łańcuch i podniosła przedmiot, na który patrzył Amerdana. Horda potworów zamilkła.

Amerdan widział teraz, że był to talizman w kształcie kuli. Xarlasa pozwoliła mu opaść na gors i przedmiot zagrzechotał. Taki sam dźwięk, jaki wydawał talizman Amerdana.

Bolała go klatka piersiowa. Czuł się, jakby tkwił ściśnięty w imadle. Niemożliwe. Ale to nie on decydował, co jest możliwe, a co nie. Talizman szponicy wyglądał na mniejszy od jego własnego, ale może to tylko ze względu na jej rozmiary? Nie, rzeczywiście był mniejszy. Ten na jego szyi miał rozmiary orzecha, talizman Xarlasy nawet nie połowę tego.

Szponica postąpiła w jego stronę.

– Gamzegul twierdzi... że jesteś... Przedwiecznym. – Postukała w kulę paznokciem. – To dowód, że kroczyłam pośród nich. Że mi ufali. Pilnuję należącego im miejsca. Czekamy na ich powrót.

Amerdan niemal się zaśmiał. Jej talizman był mniejszy, musiał więc być pośledni względem jego własnego. Co innego mogła znamionować różnica rozmiarów? Ale ten palący ból, to osobliwe połączenie... To też nie mogło być pozbawione znaczenia. Pozostawało je odkryć.

Wstał wolno i otrzepał kurz ze spodni. Skrzyżował spojrzenie ze szponicą, kopiując jej ruchy. Jednym palcem wyciągnął zza koszuli

swój własny sekret, talizman, i również pozwolił mu opaść na pierś.

Z ust vormagów wyrwał się okrzyk, jukarowie drgnęli i zajęczeli między sobą, wstrząśnięci zamieszaniem wśród magów, ale najwyraźniej nie rozumiejąc, co się dzieje.

To nawet nie są zwierzęta, uznał Amerdan. Jukarów w ogóle nie musiał brać pod uwagę w swoich kalkulacjach. Vormagowie i szponica – to co innego. Obawiali się go – i nie bez powodu. Ale wyczuwał też, jak bardzo wyczekują powrotu Przedwiecznych. I jak bardzo chcą, by Amerdan okazał się tym, za kogo się podaje.

Ale widział, że Xarlasa się waha. Oblizła wargi fioletowym językiem. Na co jeszcze czekała? Cechowała ją niepewność. Przedwieczni byli czarodziejami o wielkiej mocy. A więc... demonstracja.

Amerdan otworzył studnię i podłączył strumień do tarczy odebranej Dzwonkom. Na moment owionęła go czern, a potem osłona stała się przezroczysta. Uniósł ramiona i obrócił się wokół własnej osi. Jukarowie padli na twarz, ukorzyli się przed nim. Amerdan uśmiechnął się, rozkoszując się uczuciem, jakiego doznał na ten widok.

Vormagowie zgięli kolana i pochyłili nisko głowy.

Tylko Xarlasa stała prosto. Długo wpatrywała się w Amerdana. Niemal słyszał, jak rozważa i odrzuca możliwości. Lecz ostatecznie ona też przed nim uklękła. Pochyliła na moment głowę, przykładając pięć do ziemi. Wstała, podrywając podbródek.

Jej oczy wypełnione były nienawiścią.

Amerdan zaśmiał się. Małeńki świat Xarlasy sypał się na jej oczach. Szponica utraciła władzę i nie podobało jej się to uczucie.

Tym gorzej dla niej.

Xarlasa wsunęła talizman pod szmaty. Gdy podeszła bliżej, Amerdan poczuł bijący od niej fetor. Zasnęty pot i zgnilizna. Stęchlizna długo zamkniętego pomieszczenia. Pochyliła się do niego.

– Nie jesteś... prawdziwy – wyszeptwała złowróżbnym tonem. – Nie ma już... Przedwiecznych. – A potem głośniejszym głosem rzekła: – Przedwieczny... powrócił! Cieszymy się!

Jukarowie wyli i szczekali. Vormagowie wgnietli się jeszcze głębiej w ziemię. Xarlasa czekała, aż gwar przygaśnie, a potem uniosła rękę, zarządzając ciszę.

– Lecz najpierw... trzeba poddać go... sprawdzianowi...

O, cwana bestia. Lecz Amerdan się nie obawiał. Na twarzy Gamzegula malował się tryumf. Kreatura wymierzyła palec w łysego vormaga, który rzucił wcześniej wyzwanie.

– Tego – wyskrzecztał. – Weź tego!

Wyrównuje rachunki, domyślił się Amerdan. Nieodłączny element walki o władzę. Inni vormagowie skoczyli na cherlaka. Stwór kopał i krzyczał, bezskutecznie szamocząc się w uścisku wielu łap.

– Nie! – charknęła Xarlasy i zgiełk ustał. Wskazała pazurem Gamzegula. – Ten zostanie złożony w ofierze.

Twarz Gamzegula pobladła, a oczy o mało nie wyszły mu z orbit. Vormag pokręcił głową.

– Nie! To ja przyprowadziłem ci Przedwiecznego!

– Zabrać go – zarządziła Xarlasy.

Stopy zaszurały o ziemię i vormagowie rzucili się na pobratymca. Stwór opierał się, ale nie miał szans. Amerdan tylko stał i patrzył.

Zerwali z maga ubranie i odebrali wszystkie rzemyśliwa. Następnie zawlekli go nagiego i drżącego przed oblicze Xarlasy i Amerdana.

Inne stwory rzuciły go na kolana i boleśnie wykręciły ręce. Stwór utkwiał w Amerdanie błagalne spojrzenie.

– Proszę – zaskomlał. – To ja cię znalazłem.

Xarlasy posłała Amerdanowi szyderczy uśmiezek.

– Pokaż... nam.

Gamzegul nie był godzien pochłonięcia. Vormagowie byli sztucznymi istotami. Niedoskonałymi, delikatnie mówiąc. Amerdan przełknął ślinę. Nie obchodził go los Gamzegula. Martwił się, bo nigdy jeszcze nie wchłonął takiego naczynia. Jak to na niego wpłynie? Czy się zanieczyści? Czy jakaś mała cząstka Amerdana zostanie... zainfekowana?

Amerdan spojrzał na skrzywione kpiąco usta Xarlasy. Szponica pragnęła śmierci Amerdana. Jeśli zawali sprawdzian, spróbuje go zabić. Z vormagami na usługach może nawet jej się to uda. Nie wiedział, co robić, i to właśnie wzbudziło w nim strach, jakiego nie czuł od dawna. To prawda, że nikt go jeszcze nie pokonał. Ale ta sytuacja była dla niego zupełnie nowa.



Była też... smakowita, bo co, jeśli to zadziała? Czego będzie mógł dokonać, mając za sobą armię potworów? Lub w sobie?

Spojrzał na Gamzegula. Nakrapiana skóra vormaga ociekała potem. Wiedział, co musi zrobić. Istniał tylko jeden sposób, aby im pokazać. Amerdan dobył noża.

Gamzegul zaszamotał się w uścisku i zawył rozpaczliwie.



**C**aitlyn wyprowadziła ich z miasta i ruszyła w kierunku obozu. Wyglądało na to, że osoba o jej pozycji mogła wziąć od Kołczanów, co tylko zechce. Wybrała sobie miejsce z kilkoma pustymi namiotami.

Vasil domyślił się, że od początku walki zginęło wielu Kołczanów.

Właściwie było to mądre posunięcie. Nastął środek nocy i Vasil wątpił, by zdołał ująć dwa kroki, zanim nie przyczepiłby się do niego jakiś strażnik. Zapisał sobie w pamięci: wariaci nie muszą być

zarazem głupi. Cokolwiek się teraz stanie, cokolwiek nie postanowi, będzie o tym pamiętał.

Bo jeśli zapomni, najpewniej dołączy do Chalayana na łonie przodków.

Dokoła oddziały Kołczanów szykowały się na spoczynek. Większość pobierała posiłek z wielkich, przenośnych kuchni, które ciągnęły się za armią, choć Vasil czuł też dobiegający skądś blisko zapach pieczonego królika. Kołczany śmiały się z żartów, piły z dzbanów, polerowały broń i zbroje lub padały wycieńczone na posłania.

Vasil roztarł ramiona, czując coraz większe zdenerwowanie. To nie miejsce dla mnie, myślał. Oddano mnie komuś, przehandlowano jak krowę. Jak jakąś starą chabetę, która jeszcze raz zaorze pole, zanim trafi do rzeźni. Był pewien, że wcielono go do oddziału Caitlyn, by tam dokonał żywota. Jeśli nie prędzej, to z całą pewnością później.

– O czym tak dumasz? – zaczęła go Caitlyn, nie siląc się na uprzejmość. – Nie myśl, że wykręcisz się sianem. Jesteś teraz jednym z nas. Cel Rau zdradził mi twój sekret. Bardzo pomoże nam w naszej walce.

Vasil pokręcił głową i spojrzał na nią ponad płomieniem ogniska. Aidan siedział na stołku, zadowolony, że może tylko patrzeć w ogień i rozmyślać o swoim losie. Cel Rau krzątał się po obozie: zaciskał liny namiotów, zbierał liście i gałązki, które wrzucał do ogniska, dokonywał inspekcji wyposażenia swojego i Caitlyn. Teraz cerował jej koszulę, całkiem zręcznie radząc sobie z igłą i nitką.

– Przydałby mi się porządny posiłek – powiedział Vasil.

– Dostaniesz potrawkę. – Wskazała podbródkiem kocioł stojący na węglach. Spod pokrywki wydobywała się para. – Musisz stwardnieć, inaczej nie przetrwasz długo tam, dokąd się wybieramy.

Vasil wyprostował się.

– Swoje już powalczyłem z jukarami i vormagami. Spytaj cel Raua.

Te słowa brzmiały słabo nawet w jego własnych uszach. W czasie walki był przerażony. Aidan i Anshul przejrzą jego bluff.

– Swoje? – wypluła Caitlyn. – Zło nie dba o to, czy powalczyłeś dosyć, czy nie dosyć. Masz zamiar odwieść miecz na kolek, bo

zabiłeś jednego jukara? – Zachichotała. – A może pomyślisz o emeryturze po zabiciu dwóch lub trzech?

– Nieważne, zapomnij, że w ogóle coś mówiłem – uciał temat Vasil. Nie da się z nią dogadać.

– Aidan cieszy się, że do nas dołączyłeś – stwierdziła Caitlyn. – Nasz własny wykrywacz kłamstw. Teraz będziemy mogli dociekać prawdy i wykorzeniać zło, nie przelewając tyle krwi. Zawsze był mięczakiem, ale chyba teraz w końcu się dogadamy. Prawda, Aidanie? – Kaszlnęła i zasłoniła usta dłonią, a potem charczała długi czas, nim odzyskała zdolność mowy. – No, Aidanie? Prawda czy nie?

– Prawda – odparł Aidan, ale skłamał. Spojrzał Vasilowi w oczy. – Jedna wielka, szczęśliwa rodzinka.

Cel Rau zawiązał supeł i przegryzł nić przednimi zębami. Wsunął igłę do małego skórzanego woreczka z przyborami.

– Vasil myślał pewnie o ucieczce. Dobry w tym jesteś, nie? W uciekaniu?

– Wiesz co, Anshul? – odrzekł sędzia. – Bywało, że życzyłem sobie, żebyś częściej się odzywał. Ale ostatnio, gdy tylko otwierasz gębę, to wolę, byś ją zamknął.

Słowa same posypały się z jego ust, a pięści zacisnęły samoistnie w oczekiwaniu na odpowiedź cel Raua. Wypalił bez zastanowienia, rozdrażniony sytuacją, w której znalazł się wbrew swojej woli. A wiedział, jak bezwzględny potrafi być Anshul...

Aidan buchnął śmiechem. A potem, ku zdumieniu Vasila, zachichotał też cel Rau. Caitlyn spojrzała na nich z wyrysowanym na wargach ciasnym uśmiechem.

– Ja też potrafię ocenić, czy ktoś kłamie – powiedział cel Rau, wstając.

A w następnej chwili Vasil poczuł na gardle zimną stal. Nawet nie zauważył, że Anshul dobył miecza. Sędzia odrzucił głowę do tyłu, ale szermierz złapał go za włosy drugą dłonią i przytrzymał. Vasil poczuł, jak ciepła kropla spływa mu po skórze, a miejsce, gdzie wojownik przystawił miecz, zaczyna szczypać. Chciał przełknąć ślinę, ale zrezygnował.

– Siadaj, Aidanie – rozkazała Caitlyn.

Przez krótki czas panowała cisza, zaburzona jedynie przez przyspieszony oddech Vasila. Skrzywienie skóry i drewna

wskazywało na to, że Aidan, który poderwał się z miejsca, usłuchał dowódczyni. Vasil mrugnął, chcąc pozbyć się z oczu spływającego do nich potu.

– Sędzia zrobi, co trzeba – powiedział cel Rau. – No nie, Vasilu? Jesteś zbyt wielkim tchórzem, żeby uciec. A teraz masz szansę stać się częścią czegoś ważniejszego niż ty sam.

Vasil syknął z bólu, gdy szermierz mocniej zacisnął pięść na jego czuprynie.

– Dobrze – wydyszał. – Zrobię, co należy.

– Zrobisz, co ci każemy – powiedziała Caitlyn.

– Zrobię, co mi każecie – powtórzył Vasil.

Cel Rau warknął.

– No cóż, nie zeszczaleś się w portki, więc może mówisz prawdę. Z drugiej strony, może mój talent nie jest tak dobry jak twój.

Drań.

– O, potrawka doszła – powiedziała wesoło Caitlyn.

Vasil poczuł, że cel Rau go puszcza, a miecz odsuwa się od jego gardła.

Szermierz wytarł ostrze o spodnie i schował do pochwy. Vasil otarł krew z szyi.

– Nałożysz, cel Rau? Jestem jakaś nie w sosie. Od dłuższego czasu źle się czuję. Od kiedy Aidan próbował mnie zabić.

Cel Rau skoczył wykonać rozkaz, jakby poparła go cesarskim glejtem. Wziął cztery miski i drewnianą łyżkę, a potem zdjął kocioł z węgla.

– Ja... chyba dziękuję – powiedziała Caitlyn. – Nie czuję się zbyt dobrze. – Pot wystąpił jej na czoło, otarła go rękawem.

– To ta „nagroda”, prawda? – spytał Aidan.

Caitlyn wstała i zachwiała się na nogach. Trzymała się za pierś.

– Musiałam to wypić.

– Co było we fioletce? – spytał Vasil.

Spojrzała na niego dzikim wzrokiem.

– Nie wiem.

– Ja też nie – odparł Aidan.

– A ja wiem – powiedział cicho cel Rau. – Cesarz ma pewien eliksir i tylko on zna formułę. Poi nim tych, którzy zasłużą. Okazał ci łaskę, Caitlyn. Przywrócił do służby, powierzył zadanie.

Prawda, ocenił Vasil.

Caitlyn podeszła do cel Raua, złapała go za koszulę i oparła się na nim.

– Piecze! – syknęła. – Krew pali moje ciało jak kwas. Cel Rau, co on mi zrobił?

Szermierz otoczył ją ramieniem i wziął na ręce.

– Twój organizm był wyniszczony. Poprosiłem cesarza, żeby cię uleczył. A on w swojej niezmierzonej łaskawości spełnił moje życzenie. Nie nadawałaś się na dowódczynię ze swoimi ranami. Gdyby nie to, porzuciłby cię. Nie mogłem na to pozwolić. W walce ze złem byłaś jak strumień jasnego światła.

Cała przemowa, jeśli wziąć pod uwagę, że wypowiedział ją milczek cel Rau. W dodatku dość zagadkowa. Czyżby cesarz był mu dłużny przysługę? Za co? Co ich łączyło?

Caitlyn wyraźnie zemdliło. Jej głowa przetoczyła się na prawe ramię.

– Wody... Dajcie mi pić.

Cel Rau utkwiał spojrzenie w Vasilu.

– Oczywiście. – Sędzia wziął bukłak z wodą i wlał nieco do ust Caitlyn. Przelknęła ją chciwie, roniąc kilka kropel na koszulę.

– Daj – powiedział cel Rau.

Vasil przewiesił pasek bukłaka przez głowę szermierza.

– Jeśli uciekniesz, Kołczany cię złapią – przestrzegł go cel Rau. – A potem stracą.

Nie czekał na odpowiedź, po prostu poszedł z Caitlyn do jej namiotu. Wkrótce potem ze środka dobiegły krzyki. Niebawem do ich części obozu wpadły poirytowane Kołczany, domagając się wyjaśnień i ciszy. Cel Rau wymaszerował z namiotu, zgromił ich wszystkim surowym spojrzeniem, zagroził przemocą i pomachał przed nosem glejtem Caitlyn, nim żołnierze rozpięchli się, mamrocząc pod nosem.

Caitlyn krzyczała do późnej nocy.



Vasil wytoczył się z namiotu o świcie, przecierając niezmrużone tej nocy oczy. Nad horyzontem jaśniała luna budzącego się dopiero słońca. Ziewnął. Wkrótce zaczęli się krzątać po obozie żołnierze. Z rozpalonych ognisk rosły ku niebu kolumny dymu, mężczyźni i kobiety kaszleli i pluli, gdzieś bulgotała gotująca się woda.

Cel Rau kucnął przy ognisku i zamieszał w kotle dochodzącą owsiankę. Na zewnątrz napełnił dwie miski, a resztę zabrał do namiotu dowódczyni.

Chyba siedział przy niej całą noc. Może byli teraz kochankami? A może po prostu próbował ująć jej bólu.

– Tam było dość jedzenia dla dziesięciu – marudził Vasil.

– Że co proszę? – powiedział Aidan, akurat wychodząc z namiotu.

Zdaniem Vasila wyglądał lepiej. Już nie taki zmarnowany. W dodatku umył twarz i włosy. Vasil ze wstydem spuścił wzrok na własne brudne ręce. Nawet nie pomyślał o tym, żeby się odświeżyć. Bo i po co?

Poczuł, jak silna ręka Aidana unosi mu twarz.

– Nie zatrać samego siebie – poradził mu były dowódca. – To wszystko, co masz. Wszystko, co każdy z nas ma.

– Jasne – powiedział Vasil odruchowo.

– W moim namiocie jest woda i szmaty. Umyj się i zjedz coś.

Niedługo później Vasil wyszedł z namiotu, czując się już nieco lepiej. Aidan miał rację. Póty życia, póki nadziei. Jeśli zaczniesz desperować, to już po nim.

Podszedł do ognia i podniósł obie miski. Jedną podał Aidanowi, który siedział na stołku wpatrzony w węgle.

Z niesmakiem zajrzał do miski.

– Owsianka – powiedział. – Chyba już nigdy nie wezmę jej do ust.

– Opróżnił miskę do ognia i rozejrzał się. – Może ktoś podzieli się śniadaniem?

– Może – odpowiedział Vasil, pałaszując swoją. Był to posiłek lepszy od wszystkiego, co jedli przez kilka ostatnich dni, nie wyłączając wczorajszej potrawy. – No to co teraz?

– Czekamy – odpowiedział Aidan, wzruszając ramionami. – Na chwilę obecną jesteśmy na łasce Caitlyn. Będziemy zmagać się ze wszystkim, co nam rozkaże, a jednocześnie... będziemy mieć oczy

otwarte. Może niebawem nadarzy się okazja, żeby wypłatać się z tych tarapatów.

– Powinniśmy pogadać z Gaziją. Jest po naszej stronie. Może zdoła nam pomóc.

Aidan zacisnął usta.

– Myślę, że przede wszystkim jest po swojej stronie. Ale masz rację, on może być naszą jedyną nadzieją.

Vasil chciał spytać, jak mogliby skontaktować się z Gaziją, gdy nagle z namiotu Caitlyn wynurzył się cel Rau. Sędzia kłapnął ustami i łyknął jeszcze owsianki.

– Zjadła i teraz śpi – powiadomił ich szermierz. – Bardzo cierpiała minionej nocy i teraz musi nabrać sił.

Sędzia i Aidan milczeli.

– Cesarz dał jej wspaniały dar – podjął cel Rau. – Niewielu ma takie szczęście. Spłynęło na nią błogosławieństwo i teraz będzie mogła kontynuować służbę.

Vasil nie był pewien, o czym on mówił, ale wierzył w każde słowo.

– Co jej się stało? – spytał Aidan.

Skrzywienie ust Anshula było bladym cieniem uśmiechu.

– Została uleczona. Cesarz przywrócił jej zdrowie. Niechaj żyje wiecznie.





**C**aldan zerknął na Felice raz i drugi, gdy wracali do okrętów Gazii. Cesarz przesłuchał ich i puścił wolno. Devenisha nigdzie nie było widać; pewnie po audiencji szybko wrócił do swoich.

Quissa też brakowało. Przy boku Felice siedł Izak, który zdał się Caldanowi jakby bardziej wyprostowany. Gdyby miał zgadywać, powiedziałby, że szlachcic sporo przeżył – znacznie więcej niż tylko spotkanie z cesarzem – i że go to wzmocniło.

– Chodźcie – odezwała się Felice. – Znajdę nam jakiś nocleg. Jeśli...

– Nie – zaproponował Caldan. – Muszę porozmawiać z Quissem. I ty też. Jest kilka spraw, o których musicie wiedzieć. Nic nie wskóramy osobno i niedoinformowani. Najlepiej chodźmy prosto do niego.

Felice uniosła brwi i otaksowała go uważnie.

– Dobrze – powiedziała po pauzie. – I tak muszę go o coś spytać.

Caldan powiódł ich zatłoczoną ulicą w kierunku doków.

– A on na pewno chętnie usłyszy twoją historię. Na przykład ten jej fragment, kiedy pojawiaasz się w tym samym momencie, w którym znika Kelhak.

– Byle tylko było tam coś do picia – powiedział Izak. – Ostatnio jestem kłębkiem nerwów. Nie wiem, jak Felice, ale mnie przyda się coś na uspokojenie. W życiu bym nie pomyślał, że spotkam cesarza.

Ani ja, pomyślał Caldan. A gdyby się okazało, że nigdy więcej nie zobaczę go już na oczy, wcale bym nie płakał po nocach.

Jednak czuł w kościach, że to mało prawdopodobne. Stawka okazała się zbyt wysoka, a cesarz był nieodzownym elementem każdego planu mającego na celu pokonanie Kelhaka. Czy się go boi, czy nie, to nie miało znaczenia.

Felice milczała, gdy lawirowali zatłoczoną ulicą. I dobrze, bo Caldan miał w końcu chwilę, żeby trochę pomyśleć. Dopiero gdy minęli bramę, przechodząc pod podniesioną kratą, i znaleźli się na obrzeżu dzielnicy portowej, powiedziała:

– Cesarz nakazał mi zebrać jak najwięcej informacji, byśmy mogli je przyswoić i pomóc mu w walce z Kelhakiem.

Mówiła powoli i dobitnie. Caldan zastanawiał się przez chwilę nad tym, co powiedziała. Pomimo niezaprzeczalnej inteligencji Felice, tak samo jak reszta, nie rozumiała prawdziwej natury cesarza.

– I te informacje mamy zgromadzić u Quissa, tak? Jak mniemam, także u arcymagów i Kołczanów. I Dotkniętych także. Nie zazdroszczę ci tego zadania, Felice. Wszyscy oni skrywają zbyt wiele tajemnic, którymi niechętnie się dzielą.

– No cóż – skwitowała Felice – odkrywanie tajemnic to moja praca. I choć może zabrzmi to nieskromnie, jestem w tym dobra.

Przed nimi stał przy trapie Quiss. Felice zatrzymała się, a Izak przysunął się bliżej, jakby miał zamiar ją chronić.

– Wyczułem, że nadchodzicie – rzucił na powitanie wychudzony czarodziej.

– Jesteś nam winien wyjaśnienia – rzekła Felice bez ogródek.

Quiss kiwnął głową.

– Wy mnie także. Straciliśmy dziś naszego przywódcę, a ja sam przyjaciela. Z jakiegoś powodu zataił przede mną swoje plany. Może nie był pewien, czy jestem zdrajcą, czy nie. W każdym razie wiecie, co zaszło w Anasomie.

– Owszem.

– Powiedzcie mi – ponaglił Quiss. – Mówiłaś, że znałaś Rebecci. Czy zdradziła ci plan Gazii?

Felice pokręciła głową.

– Nie znałam całości. Wiem tylko tyle, że Rebecci skontaktowała się ze... – Zerknęła na Izaka. – Ze skrytobójcą, któremu chciała zlecić zabicie Kelhaka. Myślę, że Gazija chciał, żeby Kelhak zużył sporo magii na podróż tutaj, a potem na powrót do Anasomy. A po powrocie Rebecci miała go zabić wraz z wynajętym zabójcą.

– A więc rozumiem, że ponieważ Rebecci została zabita, postanowiłaś wykonać jej plan za nią?

– Nie było nikogo innego – wyjaśniła Felice.

– Zrobiliśmy, ile się dało – dodał Izak. – Asasyn dał nam rzemyslnicze sztylety. Ale Kelhak okazał się za silny.

– Tak – powiedziała Felice. – Nie był tak osłabiony, jak przewidywała Rebecci.

Quiss nachmurzył się.

– A zatem jest o wiele potężniejszy, niż się nam zdawało.

Caldan rozmasował sobie kark. Uważnie przysłuchiwał się rozmowie, ale jeszcze jedna sprawa nie dawała mu spokoju. Powęszył w powietrzu, ściągając na siebie nierozumiejące spojrzenie Felice. Pod zwyczajowym smrodem rzeki oraz wyłowionych z niej ryb dało się wyczuć zapach gorącego metalu... tylko jakiś dziwny, jakby cierpki.

Caldan otworzył studnię, wystawiając się na działanie jej mocy, jak zwykle przed podłączeniem się do rzemysliw, ale nie zaczerpując z niej energii. Sięgnął wokół magicznym zmysłem, szukając źródła swojego niepokoju. Czuł, że Quiss robi to samo. Caldán prześliznął się obok czarodzieja i zatoczył zmysłem szeroki krąg, omiatając nim

okręty i okolice rzeki. W powietrzu wisiało jakieś napięcie... ciemność wypełniona magiczną mgłą. Gdzieś na wschodzie. To przecież tam...

Caldan zachłysnął się powietrzem. Prawie to przeoczył.

– Coś nadchodzi – szepnął pod nosem, zanim uświadomił sobie, co właściwie wyczuł.

Powiew wiatru zmarszczył powierzchnię wody, a potem owionął ich nogi. Kelhak sposobił się do ataku. Ale... tak szybko? Przecież niedawno wyrzucił z siebie tyle magii, jakim cudem wrócił do sił?

Caldan zwrócił się do Quissa, Felice i Izaka:

– Idzie kolejna burza.

Sięgnął do studni, nie zamykając jej, trzymając moc na podorędziu.

Quiss zwrócił się na wschód i zmrużył porażone wiatrem oczy. Caldán wyczuwał czarodzieja coraz słabiej, kiedy Quiss kierował uwagę coraz dalej i dalej.

– Myślę, że on ma rację – powiedział Quiss.

Ponad miastem zahuczał grom. I znowu powiew, ten o wiele bardziej porywisty, rzucił im w twarz drobinki ziemi z taką mocą, że musieli zasłonić oczy rękami.

– Co się dzieje? – zapytała Felice. – Co wyczuwasz?

– Nie ma zbyt wielu chmur – odparł Caldán. – Ten grom był wynikiem nagromadzenia magicznej mocy.

Felice znieruchomiała, a na jej twarz wystąpił ponury grymas.

– Potrzebuję więcej danych. Co dokładnie się dzieje?

– Idzie w naszą stronę – rzekł Quiss. – Ale nie może zdecydować się na jeden cel.

W te kilka wymienionych przez nich zdań wiatr wyczuwalnie się wzmógł. Wciąż było jeszcze dość jasno, by Caldán dostrzegł gromadzące się na wschodzie chmury. Czuł w oddali potężniejącą magię. Czuł ją wyraźnie pomimo odległości. Poprzednia burza to była tylko próbka, sprawdzian ich siły. Kelhak chciał wybadać, na co ich stać. A teraz ponad horyzontem potężniała masa skłębionej magii, jakiej Caldán nigdy jeszcze w życiu nie widział. Czy właśnie tak to się zaczęło tysiące lat temu? Czy to tak wyglądało Zdruzgotanie? Czarodzieje walczący o moc, zaślepieni potęgą na tyle, by nie przewidzieć rezultatów swoich czynów? Magowie broniący

się przed napaścią i odpowiadający pięknym za nadobne, niekłopotujący się tym, ile zniszczą po drodze?

Jak okiem sięgnąć, wszędzie nad linią horyzontu wznosiła się ściana czarnych, pokreślonych srebrnymi wyładowaniami chmur. Wisiała tam, złowróżbna, groźna i... głodna. Skóra Caldana aż mrowiła od nagromadzonej energii. Omyła go wzbudzona w oddali fala tej potęgi, a potem się wycofała.

Ale zostawiła coś po sobie. Jej emanacja przyczepiła się do niego jak klej. Zimny impuls, który wzbudził na ciele gęsią skórę.

– A to co? – myślał na głos Caldana. – Quiss, też to czujesz?

Mag pokręcił głową.

– Nie wyczuwam nic niecodziennego. A co...

Ostry ból poraził umysł Caldana, gdy magiczne ciernie wbiły się w jego studnię. Złapał się za głowę i zatoczył na nogach. Poczł z tyłu jakieś trzymające go w pionie ręce.

– Caldana, co ci? – dobiegł go krzyk Izaka.

– Coś złapało jego studnię – rzucił Quiss. – Spróbuję ją oswobodzić.

Przeraźliwy ból w głowie Caldana nieco zelżał, ale wciąż czuł się tak, jakby ktoś młotkiem wbijał mu w czaszkę gwoździe. Zamknął oczy i odetchnął głęboko.

– Złagodziłem działanie czarnej – rzekł Quiss. – Ale mocno wczepił się w Caldana i nie daje się rozproszyć. Ja jestem niepodatny, bo nie posiadam studni.

– A więc tu chodzi o studnię – powiedziała Felice. – Cokolwiek to jest, właśnie ją bierze na cel.

– Oczywiście – potwierdził Quiss. – Caldana, zamknij ją. Już!

Chłopak jęczał z wysiłku, ale w końcu udało mu się to zrobić. Gwoździe natychmiast wysunęły się z jego głowy, a resztki bólu szybko się rozwiały. Cokolwiek go zaatakowało, odpuściło.

– A więc celem tego ataku nie jest armia cesarza – wymówił nie bez trudu. – Tylko czarodzieje. On zamierza uderzyć w arcymagów.

– Ma to sens – stwierdził Izak. – Kończony już i tak ledwo zipią. Gdy upora się z arcymagami, vormagów trudno będzie powstrzymać.

Felice ucałowała Caldana za ramię.

– Musimy ich ostrzec.

Miała rację. W najbliższych dniach czarodzieje będą szczególnie użyteczni. Ale...

– Miranda potrzebuje mojej ochrony – powiedział Caldan. – Może jej się stać krzywda, gdy celem ataku będzie ktoś obok niej.

– Tym się nie przejmuj – odparł Quiss, kręcąc głową. – Cokolwiek wyczarował Kelhak, nie dosięgnie moich ludzi. Będzie z nimi bezpieczna.

Felice pociągnęła Caldana za rękę, kierując się do obozu arcymagów.

– Chodźmy!



Nim dotarli do armii, magia stała się jeszcze potężniejsza. Minęli kilka ognisk i namiotów, przeważnie pustych, bo Kołczany walczyły z jukarami. Obóz arcymagów znajdował się ładny kawałek dalej, ale chmury już wisały nad nim jak walący się z nieba klif. Srebrne linie wyładowań pełzły po jego powierzchni, raz po raz wzbudzając eksplozje jasnego światła, które rozchodziło się po ciemnym masywie niczym pajęczyna.

– Musimy biec szybciej! – Caldan musiał prawie krzyzczeć, by nie zagłuszył go wiatr i pomruk magii.

Truchtający obok Felice Izak rzucił mu przerażone spojrzenie. Caldan wyczuwał, że Quiss mocno trzyma się swojej mocy – skądkolwiek ją czerpał – i wyglądało na to, że gromadzi jej wielką ilość. Jego tarcza czepiała się skóry i ubrania, ale ramiona miał przygarbione, usta otwarte, a dłonie roztrzęsione.

Caldan obawiał się, że on i Quiss nie zdołają oprzeć się temu, co sprowadzi na nich Kelhak. Wiedział, że gdyby miał stanąć z liczem twarzą w twarz, ten zmiażdży go jak pustą skorupkę jajka. I arcymagów także. Zabiłby ich wszystkich.

Caldan rzucił się do biegu, ponaglając pozostałych. Wysforował się naprzód i spojrzał w tył, chcąc sprawdzić, czy dalej za nim podążają, a następnie pochylił głowę i zmusił się do szybszego pędu.

Przebiegł między namiotami, młóćąc butami ziemię i zadeptaną trawę.

Zza jego pleców poniosł się krzyk. Izak lub Quiss, ale pewności nie miał.

Zwolnił, wszedłszy na nierówność skopaną końskimi kopytami. Przystanął na chwilę, by złapać oddech. Reszta została w tyle, ale nie mógł teraz na nich czekać. Zaryzykował szybkie spojrzenie tam, gdzie rozciągał się obóz arcymagów. Wyczuł otwartą studnię silnego czarodzieja i kolejną, słabszą, kilkaset kroków dalej. Nad jego głową wirowała masa chmur, a czarna ściana, którą widział na horyzoncie, przysunęła się bliżej. Niebawem nadejdzie.

Strzeliła błyskawica, a kilka chwil później powietrze rozdarł huk gromu. Spadł deszcz. Krople były z taką mocą, że aż piekły. Caldan musiał cały czas mrugać, żeby wycisnąć wodę spod powiek. Biegł naprzód, osłaniając twarz ręką. Z wrzącej masy wydobywały się niebieskie i fioletowe łądygi. Wyciągnęły się w kierunku arcymagów niczym żywe, inteligentne stworzenia, których jedynym celem jest niszczyć.

Chmury zakotłowały się, formując wypukłe koło, które zaburzało płaski przestwór. Caldan oderwał wzrok, czując, jak skręca go w żołądku. Świat zawirował mu przed oczami. Nie zdołał się powstrzymać i zaraz znowu wrócił wzrokiem do formującego się na niebie cyklonu. Lej obracał się coraz szybciej, przybierał na masie i kumulował moc. Nagle opuścił się z chmur, jak kość wystająca z otwartego złamania. Ziejąca paszcza złakniona krwi. Zakręciła się leniwie, z wolna się wydłużając. A potem stanęła niczym wilk wężący za ofiarą. Wielki lej stale opadał w kierunku ziemi, niczym formujący się na oczach chłopaka czarny stalaktyt. Okręcał się, celując prosto w dwie studnie, które wyczuł Caldan.

Lej zetknął się z gruntem. Caldan zachwiał się, gdy zatrzęsała się ziemia. Uderzyła w niego fala ciśnienia, a potem huknęły tysiące gromów. Wzdrygnął się i o mało nie padł na kolana, gdy naparł na niego wielki ciężar. Ten stale narastał i w końcu Caldan ugiął się pod nim. Jęczał w ogłuszającym szumie deszczu, wbijając ręce w trawę. Czuł ostry zapach cytryn i spieczonego metalu, tak silny, że niemal duszący.

Detonacja. Na krótką chwilę czas się zatrzymał. Zapadła cisza. A potem znowu rozbrzmiał hałas. Gorący deszcz lał się z nieba i palił skórę. Caldan czuł w piersi żrący ból. Pomruk magii był tak potężny, że wzbudzał drzenie w każdej kości jego ciała. Przez zgiełk i tumult przedarły się wrzaski. Zlały z nim w jedną ogłuszającą kakofonię.

Przed chwilą stało się coś okropnego. Coś rozdarło tkaninę czasoprzestrzeni.

Ciężar uniósł się z jego ramion. Caldan dzwignął się na nogi i ogarnął wzrokiem to, czego dokonała mordercza magia.

Tam gdzie jeszcze przed chwilą widział trawę i namioty, i wozy, widniało teraz wielkie czarne koło. Z gładkiej, lśniącej powierzchni, przypominającej tafłę jeziora, unosiła się para. Okrąg rozciągał się na setki jardów i zasysał światło. Caldan poszukał zmysłem dwóch studni, ale ich nie znalazł. Po prostu przestały istnieć. Zmiecione z powierzchni ziemi.

Oczyszczona ziemia.

Ostateczna czarodziejska broń, magia destruktywna, z której korzystano w ostatnich fazach Zdruzgotania. Czarodzieje, którzy nie mieli już nic do stracenia poza własnym życiem, stworzyli coś niesłychanego, a potem rzucili to na swoich wrogów.

To, co wcześniej było konfliktem kilku nacji z magami u sterów, stało się teraz walką o przetrwanie. Walką toczoną przez Caldana, cesarstwo, czarodziejów i samą ziemię. Kelhak oszalał.

Jakaś ręka złapała go za ramię. Quiss.

– Tak zaczyna się Zdruzgotanie. – Przez tumult przebił się głos czarodzieja. Na jego twarzy widniała nabożna trwoga. – Widziałem to już. Dzika magia spuszczone z łańcucha. Potężny czar rzucony bez myślenia o konsekwencjach. Trzeba to udaremnić!

Caldan nie zdołał się powstrzymać, bo choć wyrzut mocy budził przestrach, nie mógł zupełnie zrezygnować z ochrony. Otworzył studnię i obłożył się tarczą.

Dobiegli do nich Felice i Izak. Felice miała włosy przyklejone do twarzy i oboje z trudem szli pod wiatr, ale miny mieli zacięte.

Czarne sklepienie chmur wyrzuciło się i w kierunku ziemi popłynął kolejny lej. Zawisł w powietrzu, poruszając się w przód i w tył jak wąż. Zapulsował i obrócił się, a Caldan spojrzał prosto w ziejącą w jego środku dziurę, gdzie kłębiła się fioletowa masa...



Na przodków! Caldan zatrzasnął studnię. Jego tarcza wyparowała. Stał w płonącym deszczu, zbyt przerażony, żeby choć oddychać. Czy zdołał zamknąć studnię, nim magia wzięła go na cel?

Otchłań zdawała się zaglądać prosto do jego duszy. Czuł jej zatrważającą moc – rozszalały ból i połyskliwe ostrza głodu.

Lej odwrócił się od niego. Caldan oklapł, zdjęty częściową ulgą, wciąż jednak owładnięty przerażeniem. Patrzył, jak lej obraca się ku obozowi arcymagów. Trzeba ich ostrzec, że znajdują się w niebezpieczeństwie, jeśli odpowiedzą na atak lub aktywują tarczę. Każdy właściciel otwartej studni może być wzięty na cel. A jeśli już magia skieruje się na nich, to zginą też wszyscy w promieniu stu jardów.

Zrobił kilka kroków i zawahał się. A gdyby tak arcymagowie sami zajęli się sobą? Im nie drgnęłaby nawet powieka, gdyby dla własnych celów wrzucili Caldana w ogień. Gdyby zdziesiątkowała ich magiczna burza, może łatwiej by mu było wydostać się z ich szponów? Być może, ale nie mógł przecież zostawić ich na pastwę losu. W końcu będą potrzebni do walki z Kelhakiem, a poza tym przecież też byli ludźmi. Caldan nie widział szans na powodzenie misji, jeśli sił nie połączą zarówno Kołczany, Protektorzy, ludzie Gazii, jak i arcymagowie. Magia Kelhaka okazała się zbyt potężna, by którakolwiek z tych grup mogła mierzyć się z nią w pojedynkę, bez pomocy, bez wsparcia innych.

Torowali sobie drogę przez ogarnięty chaosem obóz. Między namiotami wałały się części ekwipunku, ulewa zgasiła ogniska i z rozmoczonych węgla spływała czarna, smolista maź. Rwące potoki zalewały rozłożone na ziemi posłania i porzucone koce. Dokoła roiło się od rażonych strachem twarzy pomalowanych fioletowym i zielonym światłem. A ponad tym wszystkim brały niebiosa we władanie skotłowane czarne chmury, z których biły w dół trzy wijące się ciemne leje. Kołczany wpadały na siebie i przepychały się, rzucając się do panicznej ucieczki. Tylko że nie wiedzieli, dokąd właściwie uciekać. Gdzieś brzmiały rogi. Przekleństwa i krzyki, wołanie o pomoc i o litość, wrzaskliwe ostrzeżenia wypełniły powietrze, które drżało, jakby wstrząsało nim echo rozłomotanych kotłów.

Ktoś w mundurze Kołczana szarpnął Caldana za rękaw – kobieta o brązowych włosach, która wbijała w niego zalęknione spojrzenie wybałuszonych szeroko oczu.

– Ty, ty jesteś czarodziejem! – przekrzyczyła tumult. – Zrób coś!

– Nie mogę! Oni celują do czarodziejów. Uciekaj! Znajdź schronienie!

Caldan zostawił ją tam, bezradną i opuszczoną, wpatrzoną w jego plecy. Ale nie mógł nic wskórać przeciw magii takiej jak ta. Czy ktokolwiek był do tego zdolny? Chyba nawet ludzie Gazii nie mogli się mierzyć z czymś takim.

Felicienne, Izak i Quiss deptali mu po piętach, gdy przepychał się przez tłum w rozszalałej ulewie, pochylając głowę jak szarżujący byk, bo tylko wtedy mógł zobaczyć przed sobą cokolwiek. Krzyki przerażenia ściągnęły jego uwagę na prawo. Kołujące chmury pomknęły ku ziemi w stronę samotnej postaci w czarnych szatach, okrytej wielokolorową tarczą i z hardo wzniesionymi ku niebu twarzą oraz ramionami.

Błysnęło i huknęło, i choć Caldán miał zamkniętą studnię, poczuł, jak wstrząsa nią wyładowanie morderczej energii. Ziemia szarpnęła się pod nim i zachwiał się na rozkołysanych nogach. Miażdżący ciężar opadł mu na ramiona i przygniótł do ziemi. Po niebie przetoczyło się echo eksplozji. Powietrze na ułamek chwili stanęło w płomieniach. Cisza. Caldán syknął przez zaciśnięte zęby. Poczuł, że coś wysysa moc z jego studni, a potem ta rzuciła się z powrotem do niej, niczym naciągnięta i spuszczone cięciwa łuku. Roziskrzył się w nim szaleńczy, dziki płomień. Natychmiast oddzielił barierą swój umysł i studnię, żeby napływ mocy nie zanurzył jego umysłu w żrącym kwasie. W piersi znów odezwał się palący skurcz i Caldán zasyczał, gdy jego ciało zaskwierczało jak wrzucone do ognia.

Uderzenie bólu szybko minęło i chłopak z jękiem podniósł się na nogi. Nawet nie zauważył, kiedy osunął się na ziemię. Gdy stanął, pomógł wstać Felicienne.

Izak i Quiss zmagali się z potęgą nawałnicy, z mozołem dźwigając się do pionowej pozycji. Ich ubrania były przemoczone i utyłane błotem.

Kolejne koło oczyszczonej ziemi rozciągało się tam, gdzie jeszcze przed momentem stał arcymag. Czarna plama na krajobrazie.

Czarna magia. Czary wyniszczające życie. Było w tej tafli czarnego szkła coś drapieżnego, co boleśnie drażniło czarodziejską świadomość Caldana.

Wył chór ochrypłych głosów – Kołczany wiły się na ziemi, trzymając za głowy i wyrrywając włosy. Z ich nosów i uszu ciekły szkarłatne smugi krwi.

Serce szamotało się w piersi Caldana. Miał wrażenie, jakby pompowało nie krew, ale płynny metal. Jego pierścień-talizman wbijał się w skórę tysiącem gorejących igiełek. Ale prawie nie czuł bólu. Wszystko wokół i wewnątrz niego kazało mu stąd uciekać. Jednak nie mógł uciec. Istniały rzeczy ważniejsze od pojedynczego człowieka i choć cele arcy magów bynajmniej nie były zbieżne z jego własnymi, to oni sami wydawali się niezbędni w nadchodzącej batalii.

Postąpił zgodnie z radą, której sam udzielił żołnierce Kołczanów – pobiegł naprzód, trzymając wiszący u pasa miecz za rękojeść, by broń nie zaplątała mu się w nogi.

Od namiotu Devenisha oddzielała go świeżo powstała oczyszczona ziemia. Caldan obiegił ją, cały czas zmagając się z natarczywą drapieżnością tego magicznego spaczenia, które zdawało się wysysać ze świata życiowe siły i magię. Czuł, że próbuje wciągnąć go w otchłań, jakby ostrzyło sobie zęby na jego studnię. Miał wrażenie, że znalazł się na pełnym morzu, a zaraz obok niego otworzył się wir. Ponad jego głową wirowały chmury i skrzyło się powietrze.

Przemknął pomiędzy przerażonymi Kołczanami, ignorując ich krzyki o pomoc, tratował obutymi nogami kałuże i strumyki. Zrozpaczone twarze rozmazywały mu się przed oczami, gdy gnał na złamanie karku.

W namiocie Devenisha panował zgiełk i poruszenie. Grupy arcy magów rozbiegały się od niego we wszystkie strony. Musieli zebrać się tam, wyczuwszy nadchodzącą burzę, a teraz rozpraszała się po okolicy, żeby zdezorientować przeciwnika wieloma rozrzuconymi celami. Devenish stał przed namiotem, wykrzykując polecenia i pokrzepiając oddelegowanych arcy magów.

Podbiegając, Caldan wyczuł aktywujące się tarcze. Czarodzieje nie byli tak skołowani jak Kołczany, ale i tak, nie wiedząc o tym,

mknęli na spotkanie pewnej śmierci.

Pierwszy arcyomag kłócił się z Thenną. Dotknęła jego ramienia, ale on wysunął się spod jej dłoni. Wywrzeszczał coś, ale zagłuszyły go wiatr i ulewa.

Padła przed Devenishem na kolana, wpatrując się w niego i mówiąc coś z przejęciem, odgarniając za ucho strąki zlepionych deszczem włosów.

Caldan zatrzymał się ślizgiem na błotnistym podłożu i oboje skupili na nim wzrok.

– Nakaż czarodziejom, żeby nie używali magii! – krzyknął. – Inaczej wszyscy zginą!

Usta Devenisha uformowały ponury uśmiech.

– Nie zginą, już ja o to zadbam.

– Nie, Devenishu! – dyszała Thenna. – Nie możesz...

– Mogę i zrobię to! Thenno, ty uciekaj! Idź z innymi. – Przeniósł wzrok na Caldana. – Zabierz ją. Zabierz ją stąd!

Thenna z trudem dźwignęła się na nogi.

– Nie zostawię cię.

– Musisz. Nie zdołam cię ochronić.

Thenna zaklęła z pasją. Wbiła w Devenisha zrozpaczone spojrzenie i cofnęła się o krok. Jakikolwiek tarcze i mury skrywało jej wnętrze, teraz rozpękły się na tysiąc kawałków i czarodziejka wbiła wzrok w ziemię.

Devenish zwrócił się do Caldana:

– Ty także uciekaj. Weź ze sobą Thennę. Pomóż jej, inaczej nie zdąży. Ruszajcie!

Caldan kiwnął głową. Wywnioskował, że Devenish ma jakiś plan, który zakładał, że musi sam zmierzyć się z nawałnicą. Ale co mógł wskórać sam? Czyżby skrywał jakiegoś asa w rękawie?

Arcymagowie nie formowali szyku, jak wcześniej Caldano założył, lecz uciekali. Devenish najwyraźniej chciał się poświęcić. Ale czy może w ogóle żywić nadzieję na to, że uda mu się stawić czoła martwym otchłaniom oczyszczonej ziemi?

Zanim Caldano zdołał poruszyć się lub coś powiedzieć, z Devenisha wyłoniła się moc. Tornado ognia i ciemności. Impakt odbił się echem w studni Caldano. Devenish okrył się tarczą

i strumień mocy jeszcze się wzmógł. Ściągał na siebie całą furie nawałnicy.

Caldan nie czekał. Złapał Thennę w ramiona i puścił się biegiem. W tym stanie niemal nie stawiała oporu. Przycisnęła twarz do piersi Caldana i zaszlochała.

Pędził, nie zatrzymując się, aż minął kilka grup arcymagów. Dopiero wtedy Thenna zaszamotała się w jego uścisku i krzyknęła, by się zatrzymał. Obejrzała się na Devenisha.

Z lewej Caldán zobaczył Quissa, Izaka i Felicienne, biegnących w ich stronę.

Thenna była przemoczona, jej szata na wysokości kolan była brudna od błota. Ona także zwróciła zażawioną twarz w kierunku, z którego nadbiegali towarzysze Caldana. Przycisnęła ramiona do piersi i kiwała się w przód i w tył.

Devenish stał nieruchomo, zaledwie drobinka na tle szarego krajobrazu. Ale Caldán wyczuwał bijący od niego puls magicznej energii.

Wtem buchnęło od Devenisha jasne światło i arcymag stanął w płomieniach. Caldán zassał powietrze i stężał, ale Thenna nie zareagowała. Po chwili uświadomił sobie, że wciąż czuje moc Devenisha. A więc ten wyrzut energii to nie atak, to on chciał zwabić do siebie burzową zawieruchę.

Maga otoczyły lśniące kule światła. Chłopak czuł, że z każdą kolejną studnia pierwszego arcymaga rośnie w siłę.

Z ust Thenny wyrwał się krzyk rozpaczny.

Od Devenisha płynęły fale mocy. Chmury skupiły się nad nim, krążyły wkoło jak ławica wężących krew rekinów. Wszystkie trzy leje wyciągnęły się w jego kierunku.

Od arcymaga rozeszły się promieniście błyskawice magicznej energii, gdy wypuścił z siebie cały ogrom swojej mocy. Lśniące złotym światłem łodygi sięgnęły do serca burzy, gdzie napotkały fioletowe włókna, które owinęły się wokół nich i unieruchomiły je. Caldán po raz kolejny dopatrzył się leżącego pod spodem wzoru. Rzemyślnicza moc została wykorzystana, by utworzyć barierę energii, zdolną wytrzymać napór destruktywnej magii. Ta sama moc w ułamku chwili zniszczyłaby dobrze wykonane rzemyśliwo.

Jeden z lejów opuścił się jeszcze niżej, żeby otoczyć Devenisha. Thenna krzyknęła pustym z rozpaczy głosem, pewna, że arcymag zginie.

Kolejna wzburzona fala mocy. Bezgłośny błysk, a potem ogłuszający grom. Ciśnienie prawie przygięło Caldana do ziemi. Do jego nozdrzy wdarł się zapach cytryny i topionego metalu. Wrzask Thenny przybrał na sile. Caldan uświadomił sobie nagle, że leży twarzą do ziemi. Zdusił pierwotną, zwierzęcą potrzebę krzyku.

Nacisk zelżał i oboje z Thenną poderwali się na nogi. A potem kobieta zadławiła się szlochem. Tam gdzie stał Devenish, rozciągało się czarne koło. Arcymagiczka osunęła się na kolana, ściskając dłońmi głowę, jakby ta miała zaraz pęknąć.

Ale koło nie było kompletne. W jego środku znajdowała się nietknięta przez czarne szkło łąta. Devenish.

– Przeżył – zająknął się Caldan.

A burza uspokoiła się nieco, co Caldan zauważył dopiero teraz. Z każdym następnym kołem nawałnica malała, jakby atak kosztował ją znaczną część mocy.

Thenna poderwała głowę i zaczerwienionymi oczami odszukała lśniąca kulę otaczającą Devenisha. Zanim zdążyła zareagować, w tarczę wbił się kolejny lej.

Jasne, bolesne dla oczu światło. Ziemia zatrzęsa się z taką mocą, jakby ścierały się płyty tektoniczne. Oczyszczona ziemia pękła, zasnuwając niebo kurzawą czarnych drzazg. Na pierwsze koło nałożyło się drugie, stapiając ze sobą potrzaskane odłamki.

A Devenish wciąż stał pośrodku, tym razem otoczony przestworem kolczastego szkła. Skóra na piersi Caldana paliła niczym naznaczona rozpalonym żelazem. Spojrzał na światło przebijające spod koszuli.

Kościany pierścień.

Szarpnął za łańcuch na szyi i artefakt wyskoczył na wierzch. Płonął złotym światłem. Leżąc w błocie z rozdziawionymi ustami, Caldan próbował dociec, dlaczego tak się dzieje.

Wcześniej był całkiem pewien, że kościany talizman jest tylko tarczą. Poprzednio zareagował, gdy zawiodły inne środki obronne. Ale teraz odpowiadał na zew oczyszczonej ziemi.

Złoty blask podobny był do tego, który otaczał Devenisha. Caldan jakimś sposobem czuł, że jego talizman chciał odpowiedzieć tym samym. Czuł płynącą przez niego, poszukującą czegoś moc, a także wściekłość – zupełnie jakby kościany pierścień wyczuł gdzieś w okolicy rywala.

Talizman okazał się więc także bronią, i to dlatego był tak pożądanym przez arcymagów i cesarza.

Caldan domyślił się po reakcji pierścienia, że jakiś jego odpowiednik musi znajdować się też w posiadaniu Devenisha.

Został już tylko jeden lej i Caldan pozwolił sobie rozdmuchać iskierkę nadziei. Nawałnica znowu zelżała. Oberwanie chmury zmieniło się w mżawkę.

Devenish przetrwał dwa ataki. Cała nadzieja w tym, żeby wytrzymał trzeci. Burza znacznie osłabła, a zatem większość bitwy potoczyła się po myśli pierwszego arcymaga i zwycięstwo musiało znajdować się w zasięgu ręki. Jednak w tym, co się przed chwilą wydarzyło, było też coś bardzo, ale to bardzo niepokojącego.

Caldana zemdliło, gdy uświadomił sobie, dokąd to zmierza. Uderzenie za uderzenie. Wymiana ciosów. Devenish skupił się na Kelhaku i chciał odpowiedzieć mu pięknym za nadobne. A jeśli Kelhak to przetrwa, uderzy ponownie. Ta bitwa będzie ciągnąć się w nieskończoność. Magia rozszaleje się na dobre i nastąpi drugie Zdruzgotanie.

Ostatni lej wirował w niebie niczym niebotyczny świder, mknąc w kierunku pierwszego arcymaga. Wtem odskoczył, odwinął się na bok niczym pijawka szukająca dogodnego miejsca do zatopienia przyssawek. A potem wycofał się. Wycofał się z powrotem w chmury i rozplynął. Zupełnie jakby Kelhak doszedł do wniosku, że kontynuowanie starcia jest bezcelowe.

Kościany talizman na piersi Caldana zgasł.

Thenna wciąż stała tyłem do niego. Chłopak wsunął pierścień z powrotem za pazuchę, nie myśląc już o poparzonej piersi. Zaciśnął zęby, gdy ta przypomniała o sobie spazmem bólu. Może i kościany, ale jakimś sposobem pierścień wytrzymał temperaturę, która topi metal.

Caldan wstał na nogi i przez kilka uderzeń serca mógł tylko gapić się na sterzące odłamki czarnego szkła otaczające kulę jasnego

światła. Devenish pośród pustkowia. Władający talizmanem, którego nie powinien nigdy dotykać żaden człowiek. Tyle Caldan rozumiał na pewno.

Musiały zostać zniszczone, oba. Zrozumiałby to każdy, kto poczuł śmiertelną pustkę oczyszczonych ziemi, której korzenie tkwiły w pierwotnym spaceniu wszelkiego stworzenia. A jednak... Devenish rozumiał to z całą pewnością.

Thenna krzyczała ze szczęścia. Puściła się biegiem w stronę arcymaga. Wokół Caldana arcymagowie i żołnierze leżeli na ziemi, klęczeli lub ślaniai się na ostatnich nogach. Wszyscy wpatrywali się w lśniącą kulę Devenisha i rzednące chmury.

Opromieniało ich teraz światło słońca. Lśnił porzucony w błocie metal, mieniły się nieruchome kałuże i twarze przemoczonych do suchej nitki żołnierzy i magów.

Caldan zamrugał, gdy jego oczy poraził snop słonecznego światła.

– Caldanie – powiedziała Felice, podchodząc – co się stało?

Izak wlepił wzrok w parujące koło czarnego szkła, a wyraz twarzy Quissa mówił o skrajnym przerażeniu.

Caldan znów zamrugał, ogarniając wzrokiem splącheć dymiącego gruntu i czarną lunę wiszącą nad świeżo powstałymi oczyszczonymi ziemiami. Niemal płakał, tak bardzo chciał uciec i nie oglądać się za siebie, a to pragnienie toczyło w jego sercu bitwę z poczuciem obowiązku. Nie wolno mi uciec, postanowił, mam tu coś do zrobienia.

Obrócił się i zobaczył odchodzących gdzieś dalej Kołczanów, którzy bali się podejść tam, gdzie magia dokonała takiego spustoszenia. Na obrzeżach czarnych kół leżały płonące zwłoki.

Spojrzał na zniszczone obozowisko arcymagów.

Nie odpowiedział na pytanie Felice, tylko pobiegł slalomem między słupami dymu i rozrzuconym ekwipunkiem. Między osłupiałymi Kołczanami o twarzach wykrzywionych strachem.

– Ja żyję! – krzyczał w niebo Devenish. – Pokonałem go!

Arcymag krwawił z wielu ran na nogach i rękach, których nabawił się, przedzierając się przez sterczące odłamki. Ale na jego twarzy malowały się tryumf i euforia. Thenna parła w jego stronę, nie zważając na własne rany.



Caldan zatrzymał się na granicy oczyszczonej ziemi. Tej nieprzypominającej żadnej innej. Strzaskany obsydian wznosił się ponad jego głowę. Z tak bliska czuł to wyraźnie: otchłań, pustka, świętokradztwo.

Rozproszone po okolicy Kołczany z wolna wracały do obozu. Arcymagowie ciągnęli w kierunku Devenisha.

A ten bredził jak w malignie.

– Jestem jedyną nadzieją cesarza! Tylko dzięki mojej potędze stoicie tu teraz! Inaczej bylibyście martwi!

– Tak! Mój umiłowany! Mój wybawiciel!

Obłąd. Devenish postanowił wykorzystać niewiedzę Thenny i z pewnością zrobi to samo z innymi arcymagami i Kołczanami. To nie moc Devenisha go ocaliła, tylko talizmanu. Cesarz się na to nie nabierze.

Co więcej, Devenish postawił się właśnie na równi z cesarzem. Szkopuł w tym, że w pewnym sensie miał rację. Bo tak jak cesarz, wcale nie był dość silny, by postawić się Kelhakowi. Chodził o kuli, która w każdej chwili mogła się złamać. Devenisha porwał nurt magii i gdyby pozostawić go samemu sobie, pewnie narobiłby więcej zła niż dobra.

A teraz Devenish myślał, że może wygrać wojnę. Choć tak naprawdę doprowadziłyby tylko do większych zniszczeń.

Wiatr nie ustępował, przeszywał mokre ubranie Caldana i ziębił do żywego.

Bzyczały owady, a nad polem bitwy krakały kruki. Życie toczyło się swoim torem.

Thenna nie odstępowała Devenisha. Wyprowadzała go teraz z oczyszczonej ziemi. Łata nietkniętego gruntu, gdzie bronił się przed nawałnicą, znajdowała się w środku koła. Tam wciąż mógł dosięgnąć swojej studni, ale tutaj, pośród martwego pustkowia, żaden czarodziej nie miał mocy. Rzemyślenie było niemożliwe.

Caldana zdjął zimny dreszcz. Sięgnął do klamry pasa i odpiął ją. Miecz zsunął mu się na biodro. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy nie ma w okolicy żadnych arcymagów. Żadnego, jedynie kilku Kołczanów, ale ci nie stanowili dla niego zagrożenia. Nie teraz, nie po tym, czego się nauczył.

Zorientował się, że oddycha ciężko.

Thenna i Devenish ciągnęli w jego stronę na poranionych stopach, znacząc szklaną taflę kroplami krwi.

Lzy nabiegły Caldanowi do oczu. Czy zrobiło mu się żal arcymagów, czy opłakiwał swoją utraconą niewinność, czy zasmucił go los tego niewydarzonego świata – nie umiał powiedzieć. Czy on zwariował? Czy to, co przeżył, rozregulowało jego moralny kompas?

Devenish i Thenna zatrzymali się. Patrzyli na niego podejrzliwym wzrokiem. Za dziesięć kroków opuszczą oczyszczoną ziemię.

Poza jej obrębem arcymag znów będzie dzierzył broń, która rozpruła tkaninę życia, nie przejmując się konsekwencjami.

Setki czarodziejów i wojowników słyszały, co mówił przed chwilą o cesarzu. Oświadczył, że nie czuje się zobowiązany do dopełnienia złożonych mu przysięg i że jest dość silny, by samowolnie porwać się na Kelhaka. Rojenia zapatrzonego w siebie szaleńca, któremu magia namieszała w głowie.

Kombinacja, która musiała skończyć się tragicznie. Dowód mieli właśnie przed sobą...

A właściwie pod sobą. Devenish nie rozumiał, jakie mogą być konsekwencje jego arogancji, ale Caldan owszem: zagłada.

I on nie mógł na to pozwolić.

Spuścił ciężkie spojrzenie na rękojeść miecza, zobaczył, jak Devenish oblizuje usta, a Thenna ściąga brwi.

– Możesz do nas dołączyć – powiedział czarodziej.

– Zostań jednym z nas – zawtórowała mu Thenna.

– Dotknięty arcymag – mówił dalej Devenish. – Potężny ponad wyobrażenie.

Narzędzie, nic więcej, odpowiedział Caldan w myślach. Użyteczny niewolnik, którego w końcu zajadą na śmierć, tak jak pozostałych.

Nie... nie tak jak pozostałych. Stanie się narzędziem w rękach szaleńca.

Devenish postąpił krok naprzód, błagalnie wyciągając do Caldana rękę.

– Osobiście będę cię trenował. Zawładniesz magią zniewalającą i destruktywną. A pewnego dnia staniesz się potężniejszy ode mnie i zostaniesz mianowany pierwszym arcymagiem.

Thenna wbiła w Devenisha nierozumiejące spojrzenie. Caldan nie wierzył w ani jedno jego słowo. Devenish nie miał mu nic do zaoferowania. Po pierwsze, w życiu nie zrezygnowałby ze swojej pozycji. Nigdy nie pozwoliłby, aby ktoś stał się potężniejszy od niego i rzucił mu wyzwanie.

Po drugie, Devenish nigdy nie da Caldanowi tego, co mu przyobiecwał, bo do tego czasu świat stanie się jałowym pustkowiem.

– Nie – odpowiedział Caldan.

Devenish zbliżył się o krok. Thenna usiłowała przepchnąć się obok niego, ale nie pozwolił jej na to.

Caldan dobył miecza i uniósł świeżo naostrzoną klingę. Słońce prześliznęło się po wypolerowanym ostrzu.

– Caldanie... opuść miecz.

Kolejny krok.

– Stój – powiedział Caldan, krzywiąc się na słabość w swoim głosie. Zza pleców dobiegł go krzyk Felicienne. Zaraz do niego dobiegnie.

Devenish posunął się naprzód o pół kroku.

– Wspólnie odkryjemy niezbadane rubieże magii. Czarowstwo, o jakim nie śniło się czarodziejom! Ale musisz dołączyć do nas, zarówno ciałem, jak i duchem. Nie da się zrobić tego na pół gwizdka, Caldanie. Przystać do nas. Czy nie o tym zawsze marzyłeś? Będziemy razem eksplorować umiłowaną przez nas magię.

Kojący głos Devenisha trafił w czułą strunę. Rzeczywiście chciał tego, co oferował arcymag. Nie... Chciał tylko pewnej części tego. Bo wszystkie inne były zbyt okropne, żeby w ogóle je rozważać. Sam przetrze dla siebie szlak i dotrze tam, gdzie nie dosięgną go ani arcymagowie, ani cesarz. Podąży nim razem z Mirandą.

To prawda, że na jego drodze do szczęścia stoi Kelhak. To również prawda, że to Devenish odparł atak Kelhaka. Caldan wiedział, że jeśli sprzymierzy się z arcymagiem, Kelhak może zostać pokonany. Ale jeśli to Devenish był skałą, o którą rozbiła się magia Boga-Imperatora, była to skała pusta i spękana. A tylko głupiec budowałby na takiej skale. Żeby zapewnić sobie i Mirandzie pokój, Caldan musiałby zająć jego miejsce.

Devenish zbliżył się o krok. Bardziej podsunął dłoń, błagając Caldana, by ją przyjął.

Chłopak podszedł na kraniec potłuczonej tafli, czując, jak jej ostrza wbijają się w podeszwy jego butów.

– Nie – szepnęła Thenna.

Devenish skulił się, rzucając wokoło spanikowanym spojrzeniem. Nie znalazł nikogo, kto mógłby mu pomóc. Jego studnia była zablokowana przez oczyszczoną ziemię. Byli tu tylko arcymagowie i Caldan.

I jego miecz.

Klinga spadła ze świstem. Thenna odskoczyła, gdy zszokowany Devenish upadł na ziemię. Miecz wbił się w jego ramię. Z rany lała się krew. Caldan wyszarpnął broń i patrzył, jak Devenish zwija się na ziemi, a światło w jego oczach gaśnie.

Thenna wrzasnęła, a jej wrzask odbił się echem pośród szklanego lasu.

Caldan chlasnął ją w skroń płazem miecza, tak jak wtedy Dzwonki w jaskiniach pod Anasomą, wieki temu.

Thennę ścięło z nóg i zaległa na ziemi z krwawą plamą na czole. Caldan był pewien, że później pożałuje, że oszczędził jej życie, lecz mimo to w tej chwili nie mógł się zdobyć, by ot tak ją zabić.

Caldan wytarł miecz o koszulę Devenisha i schował do pochwy, mając zamiar odepchnąć od siebie wszystkie myśli o tym, co właśnie zrobił. Wziął na ręce nieprzytomną Thennę i wyniósł ją spomiędzy sterczących odłamków. Potem położył na ziemi i sprawdził rany, aby się upewnić, że żadna nie jest na tyle głęboka, by zagrażała życiu. A jeszcze potem wrócił do Devenisha. Na szyi arcymaga znalazł talizman na srebrnym łańcuszku. Devenish nosił go tak samo jak Caldan. Kościany pierścień. Bliźniaczo podobny do tego, który odziedziczył. Zerwał go z szyi arcymaga i zawiesił na własnym łańcuszku.

Następnie opuścił oczyszczoną ziemię, otworzył studnię i wypełnił tarczę energią. Właśnie zabił Devenisha, przywódcę arcymagów i człowieka, którego mieli za swojego wybawiciela. Może niektórzy spośród nich zrozumieliby, dlaczego to zrobił, ale nie wystarczająco wielu, żeby mógł liczyć na dogadanie się z arcymagami.

Żołnierze wokoło nakładali strzały na cięciwy, inni stali z wycelowanymi w niego włóczniami. Gdzieś z tyłu ktoś wołał.

Arcymagowie patrzyli na Caldana, a potem strzeliła w jego stronę skoncentrowana wiązka energii.

Z tarczy, którą się osłonił, posypały się iskry. Połyskliwy ogień spalił trawę dookoła, ale Caldan stał nietknięty przez płomienie. Spadły na niego strzały. Większość odbiła się od tarczy, rozległ się trzask pękających drzewc i żelazne groty posypały się na ziemię. Atak żołnierzy nie wyrządził Caldanowi krzywdy, tylko go zirytował. Jego umiejętności znacznie się rozwinęły i wielowarstwowa tarcza bez trudu poradziła sobie z natarciem.

Nie zważając na atakujących, Caldan poszedł na wschód, w kierunku rzeki i okrętów Gazii. Bał się, że jeśli tu zostanie, będzie musiał zabić kilku Kołczanów, żeby w końcu się od niego odczepili.

– Dość! – ryknął Caldan na idących ku niemu żołnierzy. Niektórzy zrejterowali i deszcz strzał ustał. – Nie atakujcie mnie! Bo pożałujecie.

Jakby wyczuli prawdę w jego słowach, przerwali ostrzał.

Caldan wznowił marsz w stronę nabrzeża, nie przejmując się, czy idzie za nim Felice i reszta.

Miał nadzieję, że Miranda wybaczy mu to, co zrobił.



**A**merdan siedział na trawie. Wśród tych dzikusów tylko szponica i vormagowie mieszkali w namiotach. Szponicy służyła za posłanie sterta szmat, a obok niej stała drewniana skrzynia szeroka na dwie stopy i głęboka na jedną. Nie licząc tego, namiot był pusty.

Amerdan zerknął na kufer. Był wyposażony w ciężki zamek, którego nie ośmieliłby się forsować. Nie umiał sobie wyobrazić,

jakiej własności tych bestii on sam mógłby pożądać. W powietrzu czuło się stęchłą woń, a pod nią smród gnijącego mięsa.

Xarlasa wpuściła go do środka, a potem poszła porozmawiać ze swoimi podwładnymi. Amerdan był wdzięczny losowi za tę chwilę spokoju, bo wciąż kręciło mu się w głowie od darów, które otrzymał za pośrednictwem swojego talizmanu. Jakikolwiek by one były. Miał nadzieję, że dostał studnię Gamzegula. Naczynie nie będzie już jej potrzebować, skoro Amerdan poderżnął mu gardło. Próbował szukać w sobie nowej studni, ale na próżno. Talizman wpłynął jakoś na jego umysł i Amerdan nie mógł teraz skoncentrować się na czarownictwie.

Za to rozciągały się przed nim szerokie perspektywy. A wraz z nimi mnóstwo potencjalnych korzyści.

Jednak w pierwszej kolejności musiał podporządkować sobie jukarów i vormagów.

Załopotała płachta materiału, zasłaniająca wejście do namiotu, i do środka wpadł powiew wiatru, a wraz z nim ostry zapach piżma. Tkanina zawinęła się, wpuszczając do wnętrza wąski snop światła, w którym tańczyły drobinki kurzu. Z zewnątrz dobiegały Amerdana zwyczajowe odgłosy obozowej krzątania. Ktoś szedł w kierunku namiotu, szurając po ziemi stopami owiniętymi pasmami niewyprawionej skóry. Dzwoniły metalowe elementy pancerza i stukotały o siebie kości. Wyczuł szponicę po drugiej stronie płachty. Sięgnął do niej magicznym zmysłem, badając jej studnie. Oblizał usta i zaczął liczyć. Siedemnaście. Miała siedemnaście studni! Z tym że wszystkie zablokowane. Kilka z nich zmagало się z barierą oddzielającą umysł stwora od źródła energii. Ściany studni miały niejednorodną grubość, jakby coś wydrapało je od środka. Dwie miały dziury, ale małe. Wyciekał przez nie tylko cienki strumyk energii. Co oznaczało, że Xarlasa pozyskiwała studnie tak samo jak on, tylko nie potrafiła uporać się z blokadami. Amerdan nie wiedział, czy to przez różnice między ich talizmanami, czy niedostatek magicznych umiejętności. Niezależnie od powodu szponica kroczyła, choć niepewnie, tą samą drogą co Amerdan. A przecież była to droga przeznaczona wyłącznie jemu. Nie mógł na to pozwolić.

Jak ona śmie?

Trwał w bezruchu, nawet gdy szponica podeszła tak blisko, że musnęła szmatami jego plecy. Amerdan nie wiedział, jakie były jej cele, ale ponad wszelką wątpliwość jego były ważniejsze.

– Chcę dowiedzieć się więcej o tobie – oznajmiła Xarlasa, siadając w swoim legowisku. Złożyła pazurzaste dłonie na kolanach i wbiła w Amerdana spojrzeń, nie mrugając fioletowymi oczami.

Była niepewna.

Amerdan skoncentrował się. Oto okazja, którą może wykorzystać, lecz i tarapaty, w które zbyt łatwo wpaść. Ze wszystkich konfrontacji, jakie zdarzyły się w jego życiu, żadna nie była bardziej obiecująca i bardziej niebezpieczna.

Kropka zawierciła mu się przy piersi i Amerdan uśmiechnął się.

– Jestem Przedwiecznym.

Xarlasa zmarszczyła się, nim się opamiętała i na powrót wygładziła rysy.

– W jakim mieszkaleś mieście? Kto był twoim mistrzem? Jakie szpony były twoje?

Amerdan nie znał odpowiedzi na te pytania. Ale i nie musiał ich znać. Do jakiego traktowania przywykły stworzenia takie jak te? Od czasów Zdruzgotania musiały obejmować dowodzenie i gromadzić dla siebie jakieś skrawki władzy. Ale przedtem... były sługami.

– Głupia! – wyszczał. – Nie miałem żadnego mistrza! Jestem o wiele potężniejszy od nich!

Szponica poruszyła się na posłaniu, zacisnęła i rozluźniła palce. Amerdan rozszyfrował ją. Setki lat temu rzeczywiście była niewolnicą, lecz teraz od dawna cieszyła się wolnością. Nie uda mu się skłonić jej do niczego, czego sama nie zechce. Cokolwiek sobie zamyśliła, jest nieuniknione.

– Nie możesz mnie zabić – powiedział mimo to. – Ukrywam się od eonów, gromadzę moc. Poddaj mnie testowi, jeśli musisz. Ale wiedz jedno: jeśli mi się sprzeciwisz, zabiję cię. Pochłonę cię, jak pochłonąłem wielu innych.

– Nie chcemy znów służyć.

– Przecież od tego jesteście. Po to zostaliście stworzeni. Wiesz o tym doskonale. Nie przystoi ci udawanie, że tak nie jest.

Xarlasa zadrżała, jakby poczuła na ciele zimne łańcuchy i zaciskające się na szponiastych rękach kajdany.



– Nie będziemy już...

– Będziecie.

Utkwiła wzrok w ziemi, a wyraz jej twarzy stał się nieprzenikniony. Nagle podniosła się i podeszła do skrzyni. Spośród wielu metalowych i kościanych przedmiotów zawieszonych na swojej szyi wybrała klucz. Wtedy przystanęła, jakby chciała jeszcze raz przemyśleć, co zaraz zrobi, a potem otworzyła kufer.

Powinien ją – to – zabić. Kropka potarła skórę na jego piersi. Ostatnio była milcząca. Mówcie do mnie! – poprosił swoje siostry.

Xarlasa zamarła, trzymając w dłoniach półotwarte wieko, i odwróciła się do Amerdana.

– Mówiłeś coś?

– Nic nie mówiłem. Otwieraj skrzynię, szponico. Co jest w środku, co tak bardzo chcesz mi pokazać?

Broń? Coś, co go zabije? Nie. Gdyby rzeczywiście o to jej chodziło, zrobiłaby to już dawno.

Zresztą nieważne, później dowie się, co jest w środku. Kiedy już szponica zginie, będzie mógł do woli patrzeć na zawartość skrzyni. Bo to właśnie chciał zrobić: zabić Xarlasę. Jego talizman sobie tego życzył. Czuł to wyraźnie. Sięgnął za koszulę i wyjął go. Kulisty wisior spoczywał w jego zaciśniętej dłoni. Światło przeniknęło przez jego skórę i dłoń zaświeciła czerwienią. Potrzeba wypełniła go całego. Zadrzał z rozkoszy.

Szponica stała teraz plecami do niego. Albo się go nie bała, albo przedsięwzięła jakieś środki ostrożności. Ale nie magiczne, wnioskując z jej zacopowanych studni.

Ostrze Amerdana w jednej chwili znalazło się przy jego boku, a w drugiej w jej boku. Kreatura upadła niemal bezgłośnie, krztusząc się własną krwią. Dopchnął ją do ziemi i usiadł na niej okrakiem. Szponica zajęczała słabo, a z jej ust popłynęła spieniona krew. Twarz Xarlasy jaśniała coraz większym blaskiem, a Amerdan czuł, że moc jego talizmanu bierze we władanie esencję szponicy. Uniósł rękę, gdy włókno połyskliwego światła wyłoniło się z talizmanu i popłynęło, falując, w kierunku naczynia. Światło pojaśniało, narosło, spotężniało. Po włóknie wędrował w kierunku Amerdana puls, przekazując mu esencję Xarlasy. Ból wstrząsnął jego ciałem

i mężczyzna zacisnął szczęki, z których wydobył się jedynie wątył jęk. Dobrze. Rósł w siłę.

Na jego oczach skóra pokrywająca twarz naczynia traciła kolor, przybierała szarą barwę trupa, a potem zaczęła pękać, gdy opuszczały ją ostatki witalności.

Która teraz należała do niego.

Włókno rozmyło się w powietrzu, odcinając Amerdana od ekstazy i agonii. Utracił połączenie tak nagle, że nieobecność bólu sprawiła mu więcej cierpienia niż sam ból. Zachłysnął się powietrzem i dygot zbiegł mu po plecach, aż naprężyły się ścięgna jego szyi. Charknął i zwalił się na osuszone szczątki, ciężko dysząc.

Jego uszu dobiegło jakieś poruszenie na zewnątrz. Vormagowie spierali się przyciszonymi tonami. Jukarowie wyli i hańkowali.

Amerdan dźwignął się na nogi. Sztyletem odpiłował szponicy głowę, bezczeszcząc zwłoki na potrzebę następnej zaplanowanej czynności, która była przeznaczona tylko dla niego. Mięso wyglądało jak uwędzone. Otarł nóż o szmaty szponicy, raz jeszcze przyrzekając sobie, że później dokładnie go umyje. Kreatura cuchnęła rozkładem i płytkim grobem. Łańcuszek z talizmanem zsunął się z jej szyi i Amerdan podniósł go, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Czuł, że woła do niego. A może odwrotnie? To on wołał do talizmanu?

Spontanicznie wyjął swoją kulistą klatkę i podsunął ją do wisiora szponicy. Przeskoczył między nimi impuls energii, iskierka tak mała, że wydawało mu się, że ją sobie wyobraził.

Ale teraz... wyraźniej wyczuwał drugi talizman. Wiedział, gdzie jest i że nie jest związany z żadną istotą.

Talizman szponicy został zniewolony przez talizman Amerdana. Nie zdołał się powstrzymać i wybuchnął śmiechem. Otwierały się przed nim nowe możliwości.

I uprzytomnił sobie coś jeszcze: tam gdzie jest jeden, muszą być i inne. Podobne i niepodobne do tego, który był w jego posiadaniu. Mógłby dać jeden swojej siostrze w hospicjum. Czy zdoła ją uleczyć? Czy absorpcja zawartości naczynia będzie dla niej lekarstwem? A dla niego zbawieniem?

Trudno rzec na pewno. Jednak po raz pierwszy od wielu lat Amerdan czuł, że ma misję.

Zawartość skrzyni leżała w cieniu, z dala od światła wpadającego do środka przez szczelinę odchylonej płachty. Kilka polerowanych kamieni. Skrawki metalu z dziwnymi runami. Kawalek skóry pokryty pradawnym pismem. Wysuszony kwiat? Jakies osobiste drobiazgi.

Szmelc.

Dlaczego Xarlasa tak bardzo chciała otworzyć skrzynię? Czy zapisany runami metal był jakąś rzemyslniczą bronią? Amerdan prychnął pod nosem. Nic podobnego. Takie zabawki na nic mu się nie przydadzą.

Zostawił skrzynię. Talizman szponicy włożył do sakwy przy pasie. Vormagowie musieli wiedzieć, gdzie są pozostałe szpony. Zabicie Xarlasy i zajęcie jej miejsca to dopiero początek. Vormagowie będą się wahać. Będą niepewni. Musiał roztoczyć nad nimi kontrolę.

Muszą zacząć się go bać.

Amerdan otworzył studnię i wyszedł z namiotu.



**P**rzez otwarte okno wpadła do środka chłodna bryza, ziębiąc odsłoniętą skórę Caldana. Kajuta kapitana. Może i mała, za to wygodna. Siedział na krześle, przez którego oparcie przewiesił wcześniej pas z mieczem. Był wykończony zarówno emocjonalnie, jak i mentalnie, zwiesił głowę, a łokcie wspierał na kolanach.

Quiss stał przy oknie. Jak zwykle wychudzony i blady, wpatrywał się w noc nieruchomym spojrzeniem.

Rozległo się pukanie do drzwi i zgrzytnął skobel.

– Wejdźcie – powiedział mag ze swoim zwyczajowym, osobliwym akcentem.

Gdy się odezwał, Caldán podniósł wzrok. Czarodziej ocierał złane łzami policzki. Wybałuszył oczy, widząc Felice.

Kobieta wbiła w Caldána badawcze spojrzenie, zauważając rozcięcia na jego skórzanych butach oraz pierścień-talizman na palcu. Gdy sięgnął ręką za koszulę, żeby dotknąć pierścieni na szyi, bacznie mu się przyglądała.

– Muszę wiedzieć czemu – oświadczyła głosem wypranym z emocji. – Devenish wziął na siebie atak, a potem ty go zabiłeś, gdy brakowało mi do ciebie zaledwie kilkudziesięciu kroków. Potem odszedłeś spokojnie, kiedy arcymagowie i Kołczany walili w ciebie, czym mogli.

Caldán zaśmiał się cicho.

– Zastanawiasz się, czy aby nie stałem się zagrożeniem. Powiedz mi, Felice, czy ten niewinny młodzieniec, z którym siadłaś do dominionu, był groźny?

– Niespecjalnie, ale ludzie się zmieniają. Arcymagowie myślą, że Devenisha zabił samowolny czarnoksiężnik. Szpieg na pasku Kelhaka, jeśli wierzyć plotkom. Młodzieniec, który dopiero niedawno pojawił się w Starorzeczu. Fałszywy Protektor z Anasomy. Ty. Tylko że... ja wiem, że nie jesteś żadnym szpiegiem. I że nie jesteś zdrajcą. Co stawia pytanie: dlaczego tak postąpiłeś? – Uniosła rękę, nie chcąc słuchać cisnącej mu się na usta odpowiedzi. – Na pewno miałeś dobry powód. Taki, który uważałeś za słuszny. – Zerknęła znacząco na Quissa. – Ile wie nasz towarzysz?

– Wszystko.

Felice westchnęła.

– Muszę wiedzieć, Caldanie...

– Nie – odwarknął. Wstał z twarzą wykrzywioną ledwie powstrzymywaną furią. – To ty powiesz mi, co wiesz o kościanych talizmanach. Natychmiast.

Felice cofnęła się o krok i przełknęła ślinę.

– Podczas Zdruzgotania – zaczęła – lub może jeszcze wcześniej, nikt nie wie na pewno, czarodzieje stworzyli talizmany o wielkiej mocy. Wśród rozlicznych ich rodzajów o jeszcze bardziej rozlicznych

zastosowaniach znalazły się i takie, które można opisać jako antytezę magii, którą, jak wiadomo, cenili oni ponad wszystko. Służyły one do oczyszczania z magicznej energii większych lub mniejszych obszarów. Niszczenia życia. I czarodzieje nie wahali się ich używać.

– Zdruzgotanie – wyszeptał Caldan.

Felice kiwnęła głową.

– Tak.

– Po części – włączył się Quiss.

– Co masz na myśli? – zaciekawiała się Felice.

– Było niezupełnie tak, jak mówisz – powtórzył Quiss. – Ale kontynuuj.

Spojrzała na niego, zmieszana, a potem wróciła wzrokiem do Caldana.

– Cokolwiek stało się te tysiące lat temu, świat uległ prawie całkowitemu zniszczeniu. Grupa dzielnych mężczyzn i kobiet, nie zważając na wielkie zagrożenie, rzuciła się do walki i zdobyła te talizmany. Ratując nas wszystkich. A potem jeden spośród nich zdradził resztę i zagarnął artefakty dla siebie. Zabił ich wszystkich i, jeśli wierzyć legendzie, zniszczył talizmany.

– Kto to był? – zapytał Caldan i zaraz pokręcił głową. – Zresztą nieważne, kto...

– Ależ ważne. Bo to był cesarz.

Caldan wlepił w nią niedowierzający wzrok.

– Cesarstwo powstało setki lat po Zdruzgotaniu. Jak miałyby...

– On już wtedy znał sekret Dotkniętych.

– A więc ty też wiesz, jakie właściwości ma ich krew – wymówił Caldan.

– Tak.

– I nic z tym nie zrobiłaś?

– A co miałam zrobić? – syknęła. – Popełnić samobójstwo? Może ci się wydawać, że znasz prawdę, ale tak naprawdę znasz tylko jej wycinek. Prawda często ginie, zatratowana przez politykę, młodzieńcze.

– A więc cesarz zabrał kościane talizmany. – Quiss usiłował nawrócić rozmowę na właściwe tory.

– Tak. Myślałam, że został już tylko jeden taki artefakt. Myliłam się.

Caldan pokiwał głową, wreszcie rozumiejąc. Usiadł na krześle z ręką przy mieczu. Quiss spoglądał na niego beznamiętnym spojrzeniem.

Felice podjęła:

– Moja mistrzyni nazwała talizman Marnotrawcą Życia. Powiedziała mi o nim, ile mogła, zanim zmarła... nie powiedziała tylko, że istnieje ich więcej niż tylko ten jeden.

Caldan natychmiast połączył fakty. Mistrzyni Felice trafnie opisała aurę oczyszczonych ziem, tę martwość i pustkę.

– Marnotrawca Życia – zamyślił się. – Tak, to by się zgadzało.

Nic dziwnego, że Felice od razu skojarzyła to z jego talizmanem. Wiedziała, że skłamał, mówiąc, że takiego nie posiada.

Cisza wisiała w powietrzu, zaburzał ją tylko chłopot wody omywającej kadłub.

Felice podjęła:

– Powiedziała mi, że jeśli kiedykolwiek nadarzy się okazja, żebym pozyskała lub zniszczyła taki talizman, to mam to zrobić. Nie bacząc na koszt. Ty, Caldanie, posiadasz jeden z takich talizmanów, kościany pierścień. Twoja rodzina kilkadziesiąt lat temu ukradła go cesarzowi. Strzegli go... usiłowali nie dopuścić, żeby wpadł w niepowołane ręce. A arcymagowie mają, a właściwie mieli, taki sam. Magia, która nie zabija, ale całkowicie unicestwia. Nie wiedziałam, jaką formę ma ten pradawny artefakt, tylko tyle, że musi być w posiadaniu arcymagów. Nie korzystali z tej wiedzy, po prostu pilnowali talizmanu na wypadek, gdyby okazał się potrzebny.

– Potrzebny – prychnął Caldán. – To tylko jeden sposób na określenie, jaki on może być. A więc teraz rozumiesz już, dlaczego musiałem zabić Devenisha.

Felice pokiwała głową i przełknęła ślinę.

– Tyle że stawia mnie to w trudnej sytuacji.

– I co teraz ze mną zrobisz? Oddasz mnie arcymagom? Myślisz, że pójdę po cichu?

– Nie, nie spodziewam się tego po tobie. Nie po twojej demonstracji. Wiele wiem o magii, zarówno o tym, co uchodziło za wiedzę powszechną, jak i o tym, o czym nie wiedział nikt. Wiem

o sprawach, o których nie powinnam wiedzieć. – Felice wykręciła palce. – O naprawdę okropnych sprawach. Ale... to, co zrobiłeś, przeraziło mnie. A teraz odkryłam, że okłamałeś mnie w sprawie Marnotrawcy. Cały ten czas miałeś go przy sobie.

Caldan rozłożył ramiona. Z jakiegoś powodu czuł wstyd.

– Nie wiedziałem, komu ufać. Wciąż nie bardzo wiem.

– A ufasz temu człowiekowi? – Wskazała Quissa, a przez twarz Caldana przemknął uśmiech.

– Bardziej niż tobie.

– Wtedy nie wiedziałam jeszcze, co to jest – powiedziała. – Teraz wiem. I uważam, że zabiłeś Devenisha, żeby pozyskać jego Marnotrawcę. Ale ponieważ nie próbowałeś od razu objąć pozycji nowego przywódcy arcymagów, to chyba mogę być spokojna, że to nie była żadna zagrywka siłowa, ale coś, co uznałeś po prostu za konieczne. Człowiek, który ogrzał mnie w dominion, chciał poświęcić życie jedynie studiowaniu rzemyślenia i wstąpić do Protektorów. Tylko że ten człowiek już wówczas posiadał Marnotrawcę, którego jego rodzina ukrywała od dekad. A potem natknąłeś się na drugiego Marnotrawcę. Musiałeś pójść w ślady rodziców, dopełnić waszej rodzinnej misji... ukryć artefakt o tak zatrważającej mocy przed tymi, którzy zechcieliby użyć go do złych celów. Więc dopuściłeś się morderstwa. A teraz możesz już tylko uciekać.

– Mam już dość uciekania – skontrował Caldan. Poprawił się na krześle.

– Tak – powiedziała Felice. – Będziesz potrzebny, żeby walczyć z Kelhakiem. Jak my wszyscy zresztą...

Caldan dostrzegł, że drżą jej wargi, a nogi ma jak z waty. Dręczący go wstyd tylko się wzmógł. Ale musiał dowiedzieć się tego, co wie ona. Sama przyszła się z nim skonfrontować, choć wiedziała, co zrobił z Devenishem. Nie sądziła, by Caldan chciał ją zabić. Może rzeczywiście stała po jego stronie...

– Masz teraz przy sobie Marnotrawcę Devenisha, nie mył się? – powiedziała Felice.

Caldan przytaknął.

– Mam też swojego.

– Uważaj. Nie nazywaj go swoim tak niefrasobliwie. A wracając do Devenisha: powiedz mi wreszcie, dlaczego go zabiłeś.



Poczucie winy skrzyło żołądek Caldana i gula narosła mu w gardle. Przełknął ślinę.

– Devenish nie zdołałby się powstrzymać. Prawda, osłonił arcy magów i Kołczany przed burzą Kelhaka i przed oczyszczoną ziemią. Ale miał... skazę. Pragnął tylko potęgi. Ktoś musiał go powstrzymać. Więc kto, jeśli nie ja?

– A jakim prawem ferujesz takie wyroki?

– Ja nie jestem nikim szczególnym, Felice. Chciałbym, żeby tak pozostało.

Kobieta wwiercała się w niego spojrzeniem. Chłopak sam czuł się jak na rozprawie. Jakby Felice miała wydać na niego wyrok. Przypomniały mu się spojrzenia mnichów, gdy zorientowali się, że Caldan posiada studnię. Patrzyli na niego wówczas jak na kogoś znaczącego. A teraz dotarło do niego w końcu, że kimś takim właśnie jest. Od momentu opuszczenia klasztoru kroczył przez życie nie swoją ścieżką. Jego krew, destruktywna i zniewalająca magia – wszystko, co mu się od tamtej chwili przydarzyło, przydarzyłoby się niezależnie od obranej przez niego ścieżki. Oczywiście, że tak. Byłby głupcem, gdyby myślał inaczej. Toczył się naprzód, nie dostrzegając malującej się przed nim przyszłości. Był zadowolony, mogąc żyć dniem dzisiejszym i podążać z prądem, będąc tylko widzem we własnym przedstawieniu.

Teraz wydawało mu się niepojęte, że nie uświadomił sobie tego wcześniej. Zabicie Devenisha rozjaśniło mu myśli. Odtąd płynęły z bystrością, której im uprzednio brakowało. Klarownością, jaka może zaistnieć tylko w głowie człowieka, który ma do stracenia wszystko i nic.

– Ja...

– Przynosisz ze sobą konflikt, gdziekolwiek się znajdziesz – dokończyła za niego Felice. – Jesteś i czarodziejem, i Dotkniętym. Kimś więcej niż tylko sumą swoich składowych.

Przez kilka chwil nie słyszał nic poza własnym chrapliwym oddechem i dzikim rytmem rozpędzonego w piersi serca.

– To samo powiedział Devenish. Łaknął moich zdolności.

– I twojej krwi.

– Tak. Zrozumiałem to dzięki Elpidii. Nie wiedziała o Dotkniętych, ale poznała się na mocy, jaka krąży w moich żyłach.

– Kto to Elpidia? I gdzie jest teraz?

– Nie żyje. Amerdan ją zamordował.

Felice skrzywiła się.

– A to kto?

– Sklepikarz. Nie... Ktoś więcej. Przede wszystkim jest groźny.

– Dla kogo? Dla ciebie? Czy dla nas?

– Dla nas? – powtórzył. – Mówisz o Cesarstwie Mahruzańskim i cesarzu?

– Oczywiście.

– Cesarstwo jest zepsute do szpiku kości. Nie ma żadnych „nas”, bo cesarstwo troszczy się wyłącznie o siebie. A jeśli wciąż twierdzisz, że jesteś jego częścią, to nie mamy o czym rozmawiać. – Jego słowa ociekały jadem.

Felice skrzywiła się i pokręciła głową.

– Czynimy wiele dobra. Pomagamy ludziom. Bez silnej władzy zapanowałby chaos.

– To nie cesarstwo czyni dobro, tylko ludzie. Przy czym na pewno nie cesarz ani jego zauszniczy. Arcymagowie są skorumpowani. Protektorzy może się kiedyś liczyli, ale teraz są tylko narzędziem. I cały ten układ jest zawieszony na jednej tajemnicy, którą musi chronić za wszelką cenę, żeby przetrwać, nawet za cenę czyjegoś życia. Starzy i starzejący się ludzie uczeni władzy i jedyne go sposobu, jaki znają, aby odpędzić starość i choroby. Cena nie gra dla nich roli, bo to nie oni ją płacą.

– Caldanie, gdyby nie było cesarstwa, zalaliby nas jukarowie i vormagowie. Wszyscy byśmy zginęli. Dzisiaj nie miałby z nimi kto walczyć, rozumiesz?

– Nie wierzę w to. Ludzie znaleźliby sposób na to, żeby przeżyć. Spójrz na Sotharlańską Unię Miast i na południowe królestwa. Czy choćby na Indryallę.

Felice popatrzyła na niego z litością.

– Myślisz, że oni nie wiedzą o właściwościach krwi Dotkniętych? Przejrzyj na oczy, Caldanie. Oczywiście, że wiedzą! Wiele z nich jest jeszcze gorszych niż nasze cesarstwo.

– Więc mam być wdzięczny za to, że chcą mnie wykorzystać i wyniszczyć? – wypluł Caldanie. – A potem spuścić ze mnie krew jak z wieprza?

– Nie o to mi chodzi...

– Dość. Może sobie tego nie uświadamiasz, ale dokładnie to właśnie mówisz. Jedyne użycie, jakie mają dla moich umiejętności, to kazać mi zabijać i niszczyć w ich interesie, a potem umrzeć, żeby mogli wypić moją krew.

Quiss wszedł między nich.

– To nie czas na kłótnie. Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Z wyjaśnień Caldana wynika, że nie macie jak się obronić przed powstaniem tych oczyszczonych ziem, jak je nazywacie. Postąpił pochopnie, ale jest wielce możliwe, że zapobiegł znacznie większej katastrofie. Przyznaję, że nie wiem, jak powstaje to czarne szkło, ale już prędzej ja to rozszyfruję niż wy.

Felice zacisnęła usta.

– Arcymagowie zabiją was wszystkich, gdy tylko się o tym dowiedzą. Właściwie to dziwię się, że jeszcze ich tu nie ma. A ja nie pozwolę wam zawładnąć talizmanami.

Śmiech Quissa wypełnił kabinę.

– Nie masz wyboru. Jak niby chcesz mnie powstrzymać?

– Zabiłam już kiedyś jednego z was.

– Ach, masz na myśli Savina. Słyszałem, słyszałem. I wiem, że właściwie wcale go nie zabiłaś. A w tym, czego dokonałaś, pomogło ci szczęście.

– Ja pomagam własnemu szczęściu.

Quiss przekrzywił głowę.

– A ja swojemu. W każdym razie Caldan zgodził się wypożyczyć mi talizman, żebym mógł go zbadać. Prawda, dotąd nie zwracaliśmy większej uwagi na wasze rzemysliwa i talizmany. Nie są dla nas zbyt użyteczne. To tylko kule dla tych, którzy z trudem chodzą o własnych siłach.

– Tylko on może nam pomóc – powiedział Caldan. – Pracę, która nam zajęłaby kilka miesięcy, Quiss wykona dwa razy szybciej.

Felice wolno pokiwała głową. Wyraz jej twarzy nic nie mówił i Caldan domyślił się, że kobieta bije się z myślami. Prawdopodobnie rozumiała, że nie może w żaden sposób odebrać im pierścienia, postanowiła więc uciec się do jakiegoś innego sposobu.

– To już się zaczęło – powiedziała głosem podszytym strachem.

Quiss przytaknął, ale nic nie odpowiedział. Caldan także rozumiał, o czym mówi Felice.

– Drugie Zdruzgotanie – powiedział to na głos. – Ale to możemy powstrzymać, zanim dojdzie do skutku. Prawda, Luphidernie?

Czarodziej wzruszył ramionami. Minę miał ponurą.

– Może. A może nie. W naszym świecie nie zdołaliśmy powstrzymać licza. To nie jest człowiek. Może kiedyś nim był, choć nikt tak naprawdę nie wie. Zawładnął Kelhakiem, którego ciało jest teraz naczyniem wypełnionym przez obcy byt, tak jak kubek można wypełnić wodą. W jakiś sposób nauczył się wchłaniać innych ludzi. Ich talenty i zdolności. Ale niebezpiecznym i potężnym ponad wyobrażenie czyni go umiejętność wchłaniania studni. Pozyskuje je dla siebie.

Caldan zachłysnął się powietrzem.

– Odbiera czarodziejom studnie? – powtórzył. – Ile? Przecież to chyba niemożliwe, żeby korzystał ze zbyt wielu naraz.

– Setki – powiedział Quiss. – I masz rację, nie kontroluje ich w sposób absolutny. Ale ten stopień kontroli, jaki nad nimi roztacza, wystarczy mu w zupełności.

– Czego on chce? – spytała Felice. – I jak możemy go powstrzymać? Czego próbowaliście wcześniej?

– Wcześniej? – powtórzył Quiss, obrzucając ją spojrzeniem. Pokręcił głową. – Wcześniej mogliśmy tylko uciec, żeby ratować życie. Ktoś może próbował bronić się surową magią. Nie muszę chyba wspominać, że nic nie zadziałało.

– Jak na kogoś, kto wie więcej od nas, masz mało przydatnych informacji – dogryzła mu Felice.

– Musi być jakiś sposób! – wykrzyknął Caldan.

– Jeśli jest, to ja go nie znam – odparł Quiss. – Gdyby tylko był tu Gazija... lecz niestety, nie ma go. Trzeba pokonać licza, inaczej przyjdzie po nas. Macie teraz talizmany, a więc arcyomagowie nie zatracą się w swojej mocy i nie wywołają drugiego Zdruzgotania.

Caldan sięgnął za koszulę i zdjął łańcuszek z szyi. Rozpiął go i zsunął kościany pierścień Devenisha. Był podobny do jego własnego, ale lśniący, wypolerowany, jakby pieściło go wiele rąk. Wstał i podał talizman Quissowi. Felice wczepiła się w pierścień wzrokiem.

– Weź go – powiedział Caldan. – Musimy szybko nauczyć się z niego korzystać. Ja mam swój od miesięcy i wciąż jest dla mnie zagadką. Ale gdy nie będziesz go badał, chcę, żeby wracał do mnie.

Quiss przyjął talizman, a potem strzepnął niedbale ręką.

– Talizmany to tylko bardziej skomplikowane rzemyśliwa. Ale dobrze, skoro nalegasz, niebawem rozpocznę badania. A teraz zajmijmy się inną pilną sprawą.

Felice uśmiechnęła się, tak jak matka mogłaby uśmiechnąć się do błądzącego dziecka.

– Słuchamy – powiedziała.

– Mamy inny kłopot i to być może od niego powinniśmy zacząć. Moi ludzie są o wiele wrażliwsi od waszych czarodziejów i wyczuli pewną niepokojącą aktywność.

– Jaką aktywność? – spytała Felice. – Masz na myśli czarowstwo?

– Zgadza się – potwierdził Quiss. – Nie... Najlepiej powiedzieć to wprost. Jest jeszcze jeden licz.

Jeszcze jeden! Caldana ogarnęła niemoc. Powietrze w kabinie zrobiło się ciężkie jak ołów, przygniotło go do ziemi, aż z trudem oddychał.

– Może więcej niż jeden – kontynuował Quiss.

– Psiakrew... – syknęła Felice.

– Gdzie? – spytał Caldan. – I gdzie one są? Czy są tak potężne jak Kelhak?

– To wszystko bardzo dobre pytania – rzekł Quiss.

– Mam jeszcze jedno: jakie są ich intencje?

Luphidern pokręcił głową.

– Nie wiemy, kim są, a więc nie mamy też pojęcia o ich intencjach. Ale wiemy, że nie są tak silne jak Kelhak.

Felice odwróciła się do Caldana. Chłopak spojrzał jej w oczy i nie znalazł tam strachu, lecz determinację.

– Po wszystkim, co nas spotkało, wciąż żyjemy. To też przetrwamy.

– Quiss – zwrócił się do maga Caldan – te inne licze... Powiedziałeś nam o nich, bo obawiasz się tego, czym mogą się stać.

– Tak.

Jak w dominionie – zawsze zaczyna się od pierwszego ruchu. Zaś dziecko powinno zacząć od łatwiejszych gier, nim weźmie się za coś

tak trudnego jak dominion. Dla Caldana stało się jasne, co powinni teraz zrobić.

– W pierwszej kolejności musimy znaleźć te pozostałe licze, dopóki są słabe. Może dowiemy się od nich czegoś, co ułatwi nam pokonanie Kelhaka.

Felice kiwnęła głową.

– Zgadzam się. Powiedz nam więcej – dodała, kierując spojrzenie na Quissa. – Co dokładnie wiesz?

– Wiem wiele. A jednocześnie mało.

Felice prychnęła śmiechem.

– Nie jesteśmy dziećmi, czarodzieju. Nie musisz nas chronić.

Quiss zrobił pauzę, a potem kiwnął głową, doszedłszy najwyraźniej do jakiegoś wniosku.

– Dobrze. Proces wrywania studni jest bardzo bolesny. Aby go wykonać, trzeba wielkiej mocy i ogromnej biegłości w magii. Pogłos odbija się echem w powietrzu, gdy wydobyta z czarodzieja studnia zostaje... wprawiona w kogoś innego. Słyszeliśmy te pogłosy wielokrotnie. Niektóre były słabe i dochodziły z daleka. Założyliśmy, że to Kelhak lub może ktoś inny.

Albo cesarz, pomyślał natychmiast Caldan.

Quiss mówił dalej:

– Ale kilka razy ten pogłos dobiegł skądś znacznie bliżej. Jeden odebraliśmy, płynąc do Starorzecza. To odbyło się gdzieś w obozie cesarza. Uznałem, że miała tu miejsce czarodziejska bitwa.

Caldan zacisnął dłonie, żeby ukryć, że się trzęsą.

– To była rzeź. Wszystko cuchnęło magią.

– Coś jeszcze? – podjął Quiss. – Nie wydarzyło się nic osobliwego?

Magiczna eksplozja. Hekatomba. Wysuszony trup o długich włosach z wplecionymi dzwoneczkami. Amerdan zasłonięty czarną tarczą.

Pomyślał o Amerdanie. Gdy pierwszy raz się spotkali, Caldana aż odrzuciło. Czuł, że coś z nim jest nie tak, a potem on, pośród burzy niszczycielskiej magii, ujawnił się jako czarodziej.

Chłopak podniósł wzrok na Quissa i Felice, i spostrzegł, że oboje wpatrują się w niego. Czekali na jego odpowiedź.

– Amerdan – wyrzekł. – Sklepikarz, który uciekł z nami z Anasomy. On był... osobliwy. Początkowo myślałem, że jest

Dotkniętym. Miał podobne zdolności do moich. Wtedy jeszcze nie był czarodziejem, nie miał studni. Potem gdy dotarliśmy do Starorzecza, zniknął, a następnie pojawił się u boku Dzwonków. I wtedy już potrafił tworzyć tarczę. To musi być on.

– A więc... Dotknięty i czarodziej. Tak jak ty – podsumowała Felice.

Caldan spotkał się z nią spojrzeniem.

– Tak. Ale skoro nie był wcześniej czarodziejem, jakim sposobem przywłaszczył sobie czyjąś studnię? Choć Dzwonki miała swoje za uszami, to nie sądzę, żeby była w stanie posunąć się do czegoś tak okropnego, jak wyrwanie komuś studni i oddanie jej Amerdanowi.

– A więc musi mieć talizman, który to robi.

Bardzo możliwe. Ale czy nasunęło się to Felice dopiero teraz, czy może wiedziała już wcześniej?

– Jeśli czarodziej potrafi to zrobić – powiedział Quiss – to z pewnością można wykonać talizman o podobnym działaniu.

Myśli Caldana gnały na złamanie karku. Ile tak naprawdę wiedzieli Quiss i Felice? Co przed nim taili? W końcu każdy miał sekrety i każdy trzymał je blisko.

– Jeśli to Dzwonki go uczyła, to nie żyje. Jeśli to talizman, to wciąż go ma. A więc musimy skupić się na tym, żeby odnaleźć tego Amerdana. Jeśli rozgryziemy, jak działa ten proces, może będziemy mogli liczyć na to, że uda nam się pokonać Kelhaka.

Felice kiwała głową, a Caldana naszła myśl, czy czasem nie rozmyślnie naprowadziła go na ten wniosek. Ale nie, skąd miałyby wiedzieć o Amerdanie? Przecież dopiero co jej o nim powiedział. Uprzytomnił sobie, że to jedna z umiejętności Felicienne: zaszczepianie w ludziach przekonań i poczucia misji.

Quiss odkasznął.

– Nieobecność Gazii trochę miesza nam szyki. Ale moi ludzie i ja znajdziemy tego człowieka. Wiemy przecież, czego szukać: wielu studni skumulowanych w jednej osobie. Zajmie nam to nieco czasu, ale jest wykonalne.

– Jak dużo czasu? – chciała wiedzieć Felice.

– Dzień. Może dwa.

– To lepiej bierzcie się do roboty.

Caldan uśmiechnął się, choć wcale nie miał na to ochoty. Był zmęczony i najchętniej by się przespał.

Miranda czekała na niego i Caldan marzył, żeby wziąć ją w objęcia. Potrzebował pocieszenia.

– Nie myślałem, że moje życie skreśli w tym kierunku – wycedził z goryczą. – Nie jestem materiałem na bohatera. Polowanie na licze to chyba najszybsza droga do rozstania się z życiem. Ale trzeba to zrobić.

Quiss kiwnął głową.

– Trzeba.

Felice uśmiechnęła się uśmiechem kogoś, kto zna prawdę, która jest ukryta przed innymi.

– Przez życie wiedzie wiele ścieżek, Caldanie. To tak jak w dominionie. Czarowstwo, wojna, decyzje. Ty lepiej niż wielu widzisz, która ścieżka dokąd prowadzi. Niektóre wymagają od wędrowca ofiar. Droga, która wydaje się łatwiejsza, często wiąże się z ryzykiem. Na takiej drodze więcej spraw może pójść nie tak. Spokojną rzekę łatwiej zmacić. Przecież dobrze o tym wiesz.

Dawniej gdy Caldan był jeszcze naiwniakiem, zgodziłby się z Felice. Kiedyś uwierzyłby jej na słowo, a radę przyjął jak ważną lekcję, którą powinien przyswoić. Ale od tamtego czasu wiele się zmieniło. Felice przyszła sama i nieuzbrojona do miejsca, gdzie roiło się od niebezpieczeństw. To było wykalkulowane posunięcie. Bo, jak sobie uświadomił Caldan, wszystko, co robiła, było wykalkulowane. Postawiła się na drodze niebezpieczeństwa, pięknie oferowała pomoc, opowiadała o uratowaniu cesarstwa i podzieliła się wiedzą, której im brakowało. Ale czy Caldan mógł wierzyć jej na słowo? Dawny Caldan by uwierzył.

Teraz po prostu skinął głową, tak jak zrobiliby to dawniej. Ale z wiarą jeszcze się wstrzyma.

– Co się tyczy ciebie, Quiss – podjęła Felice – bardzo dużo wiesz o tych liczach. Czy jest jeszcze coś, co i my powinniśmy wiedzieć?

Mag odbiegł spojrzeniem.

– Licze i te sztylety-talizmany, które otrzymaliście... Coś podobnego przydarzyło się nam. Coś podobnego wyrządziliśmy sobie sami.



Felice patrzyła na niego beznamiętnym spojrzeniem. Caldan zmarszczył brwi. Wiedział, że ci czarodzieje są dziwni, ale... Quiss właśnie przyznał, że ich świadomość była uwięziona.

– Co chcesz powiedzieć? – zapytał.

Quiss westchnął, a jego ramiona opadły do boków.

– W końcu i tak byście się dowiedzieli. Nie jesteśmy stąd. W miejscu, z którego przybyliśmy do waszego świata, także bytował lic. Ten sam, który teraz jest w Kelhaku. I to on zniszczył nasz świat.

Caldanowi zakręciło się w głowie. Oni pochodzą z innego świata! A Kelhak przybył tu za nimi. Felicienne potakiwała, jakby wiedziała od dawna.

– Czy to dlatego... – zaczął Caldan. – Znaczący... twoi ludzie. Zawsze wydawali mi się dziwni. Jakby gęstszy.

– Masz rację – przyznał Quiss. – Głównie ma to związek z naszymi esencjami zamieszkującymi ludzi z waszego świata. Nie jesteście dość silni, żeby utrzymać nasze esencje, i dlatego... robi się przeciek.

Zwrócił na Caldana błagalne spojrzenie, jakby obawiał się jego reakcji.

– Odkryliśmy sposób, żeby uciec – mówił dalej mag. – Umknęliśmy przez nasze studnie, ale w trakcie ucieczki magia zerwała mięso z naszych kości. Znaleźliśmy jednak metodę umożliwiającą naszym esencjom przetrwanie. Musieliśmy przejąć kogoś innego. Zamieszkać w ich ciałach.

– To przecież... – Słowa nie potrafiły oddać głębi obrzydzenia, które targnęło Caldanem. I on skumał się z takimi ludźmi? Przecież oni byli jeszcze gorsi od arcy magów.

Felice odchrząknęła.

– Rozumiem. Ciekawe.

Jak to: ciekawe?

– Odrażające, chciałaś powiedzieć. – Głos Caldana załamał się na ostatnim słowie.

Na przodków, czy nic już nie jest tym, na co wygląda? Popatrzył na Quissa, który wbiął wzrok w deski pokładu, a na jego twarzy malowała się całkowita skrucha. Wydawało się, że kurczy się, zapada w siebie.

– Zrobiliśmy, co było trzeba, żeby przeżyć – powiedział Quiss głosem jednocześnie błagalnym i wyzywającym. – Pracujemy nad rozwiązaniem.

– A na razie rozwiązaniem jest mord, tak?

– Nie! Znaczy... – Westchnął. – Chciałbym, żeby Gazija wam to wyjaśnił. On myślał, że wie jak, ale...

Caldan walczył z obrzydzeniem i pragnieniem dowiedzenia się więcej.

– Co właściwie się z nim stało? Czy Kelhak rzeczywiście go zabił?

– Gazija przepadł. – Głos Quissa brzmiał beznamiętnie, ale w głębi pełgała rozpacz. – Zabił się, żeby nie zabił go Kelhak. Po drugiej stronie nie ma nic, w co mógłby przenieść swoją świadomość. Gazii już nie ma. – Quiss z wysiłkiem wyrzucił powietrze z płuc. – Co za noc. Prawdziwy czas objawień. Każdy z nas odkrył przed pozostałymi wiele skrywanych dotąd kart, aby pokazać, że jest godny zaufania. Lecz dopiero nadchodzące dni pokażą, na ile silne są łączące nas więzy.

Caldan wstał z rozmachem, aż zawadził głową o niski sufit kajuty.

– Anasoma upadła. Wśród arcymagów panuje zamęt. Kołczany są zajęte walką z jukarami, a przecież powinni się teraz skupić na Kelhaku. Jesteśmy osłabieni, a machinacje licza niebawem wydadzą owoce.

– To prawda – przyznał Quiss. – Ale co on właściwie planuje? Zakładasz, że musi mieć jakiś cel, lecz twoje założenia wyrastają z niezrozumienia. Czymkolwiek licz był kiedyś, teraz... nie jest bardziej ludzki od byle jukara. A nawet powiedziałbym, że jest jeszcze mniej ludzki od nich. Kogokolwiek opętał, ten ktoś stał się marionetką na jego sznurkach. Ciało Kelhaka to teraz tylko skorupa, naczynie.

– Więc co proponujesz? – zapytała Felice.

Caldan podejrzewał, że dobrze wie. Jego zdaniem usiłowała subtelnie wskazać im pożądany dla siebie kierunek działania. Kilka pozornie obojętnych słów, tu zniechęcenie, tam zachęcenie. I dobrze wiedział, dlaczego to robi.

Felice myślała, że nadchodzi koniec. Kolejne Zdruzgotanie. I była gotowa oddać życie, by do tego nie dopuścić.

I Caldan wiedział, że temu może wierzyć, że temu może ufać.  
Bo on sam był gotów zrobić to samo.



**Z**alóż, że wiedzą dokładnie, co się dzieje. – Miranda była rozeźlona i prawie podniosła głos. – Wtedy nie dasz się zaskoczyć.

W ciągu minionej godziny Caldan opowiedział jej o wszystkim. Słuchała go uważnie, przerywając tylko wtedy, gdy nasunęło jej się pytanie. Gdy skończył opowieść, czuł się wymęczony, lecz wygadanie się przyniosło mu ulgę.

Przytulił ją mocniej. Siedział na wąskiej pryczy z plecami przy ścianie. Miranda ułożyła się tak, że prawie siedziała mu na kolanach. Karmił się ciepłem jej ciała. Jej włosy łaskotały go w nos, a on wciągał ich kojącą woń. Bawiła się materiałem koszuli i guzikami. Powęszyła w powietrzu, stężała na moment, a potem zmiękła.

Uważa, że śmierdzą, skonstatował. Powoli jej się uczył. Czuł się dziwnie, będąc tak blisko niej. Wstydził się swoich reakcji, a jednak... nie pragnął teraz niczego innego. Im bliżej siebie się znajdowali, tym bardziej pragnął zostawić to wszystko za sobą – arcymagów, Dotkniętych i cesarza też.

Miranda uszczypnęła go w ramię.

– Wiesz, martwię się o ciebie.

Z jakiegoś powodu myśl o tym, że Miranda troszczy się o niego, wiała mu do serca niepewność.

Mogliby dokądś uciec, zostawić za sobą to przeklęte miejsce. Fantazjował o tym, choć wiedział, że Felice ma rację. Jego ścieżka rysowała się wyraźnie u jego stóp, a czasem nie dało się zakończyć gry bez poświęcenia kilku bierek. Wszystko będzie dobrze, jeśli poświęci tylko tyle czasu, ile będzie absolutnie konieczne, żeby pomóc Quissowi i Felice pokonać Kelhaka, a zaraz potem ucieknie przed arcymagami tam, gdzie nigdy go nie znajdą.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział jedynie. Sam uznał, że nie zabrzmiało to przekonująco.

Miranda zadrżała, jakby zrobiło jej się zimno, choć w kajucie było dość ciepło, a w dodatku siedziała wtulona w Caldana.

– Znasz się na magii lepiej ode mnie. Myślisz, że oni złapią Amerdana? I że dzięki temu znajdą sposób na pokonanie Kelhaka?

– Nie wiem. Ale wiem, że trzeba spróbować.

– Tak myślałam, że powiesz coś w tym guście.

– A co, nie zgadzasz się?

Miranda wzruszyła ramionami, a potem westchnęła.

– Jeśli Quiss i jego ludzie podejmą współpracę z arcymagami, to po co im jeszcze jeden czarodziej?

– Czarodziej i Dotknięty. To prawda, że dopiero zaczynam się uczyć swoich zdolności, ale całkiem możliwe, że mój udział w tym przedsięwzięciu będzie kluczowy.

Ta świadomość wypełniała Caldana przerażeniem, ale i czymś na kształt podniecenia. Przerażeniem, bo wiedział, że korzystanie z własnych umiejętności przyspieszy jego śmierć i że los świata może spoczywać w jego rękach. Lecz z drugiej strony nie mógł się już doczekać... tego uczucia szczęścia. Bo to właśnie czuł podczas praktykowania magii. Kowalotworzenie jakiegoś zmyślnego artefaktu, czerpanie energii ze studni, a potem kontrolowanie tej energii. Jego talenty kwitły jak kwiaty wiosną i Caldan chciał, a właściwie potrzebował głębiej je zbadać.

– Tego nie wiesz.

– A może wiem!

Miranda trzepnęła go w udo.

– W takim razie musimy się dobrze przygotować. Dobra, pomyślmy, co my właściwie możemy zrobić? Czego ci trzeba? Jak ja mogę ci pomóc?

Caldan wyłapał jej frustrację; czuła się bezużyteczna. Jej smykałka do handlu nie zda się tu na wiele. Ale wciąż może okazać się pomocna.

– Nie wiem, ile czasu zajmie Quissowi szukanie Amerdana. Ale jest pewien projekt, który zacząłem i który chciałbym skończyć. Kolejny konstrukt. I muszę coś przetestować. Przy najbliższej bramie jest kuźnia. Myślę, że mają tam wszystko, czego mi trzeba. Muszę tylko skombinować surowce.

– Dziś w nocy – powiedziała Miranda. – Chcesz zacząć dziś w nocy.

Zawsze szybko chwyciła.

– Tak.

– Co mogę zrobić?

– W mieście jest zegarmistrzyni. Zaraz powiem ci gdzie. Ma potrzebne materiały i wykonała dla mnie kilka części. Może poszłabyś po to, a ja przygotowałbym palenisko? Będziesz musiała ją obudzić.

– Zrobię to.

– Kuźnia będzie już zamknięta na noc, ale ktoś pewnie otworzy. Będą tam praktykanci i pracownicy. Przekonam kogoś, żeby mnie wpuścił. Tam się spotkajmy.

– A musimy... iść już teraz?

Caldan poruszył się. Jaka ona ciepła... Poglaskał dziewczynę po włosach.

– Za chwilę.

Miranda wypuściła powietrze z płuc i zatonała głębiej w jego objęciach. Oczyściła gardło i odwróciła się, by na niego popatrzeć. Miała ciemne oczy, głębokie i poważne, choć uniesiony szelmowsko kącik ust zaburzał tę powagę.

– Caldanie – wyszeptala.

Usiłował coś powiedzieć, lecz słowa ugrzęzły mu w gardle. Nie przestawał jej głaskać, nie chciał przerywać.

Miranda sięgnęła i ułożyła dłoń z tyłu jego głowy. I przysunęła usta do jego ust.



Caldan zapukał do drzwi kuźni. Cofnął się o krok i powiódł wzrokiem po pustej ulicy. Było dobrze po północy, ale główna arteria wciąż roila się od ludzi. Znikąd stanęła mu przed oczami Miranda, jej nagie ciało lśniące od potu... Potrząsnął głową i załomotał ponownie do drzwi.

Zgrzytnął metal i otworzyły się, ukazując chłopaka o rozespianym spojrzeniu. Zamrugął, a potem wybałuszył oczy na dukata, którego Caldán podsunął mu pod sam nos.

– Chciałbym skorzystać z kuźni. Miałem przyjść w dzień, ale byłem zawalony robotą. Chcę popracować teraz.

Chłopak przełknął ślinę i zerknął za siebie. Skinął na Caldana i zabrał monetę.

– Dobra. Za stanowisko jeszcze dwa srebrniki.

– Załatwione. Zapłacę po robocie.

Drzwi rozwarły się szerzej i chłopak wpuścił go do środka. Caldán minął praktykanta i wyszedł na ubite podwórze. Tam znajdował się duży budynek, zapewne niegdyś magazyn, gdzie mieściło się teraz kilka małych, oddzielonych drewnianymi ściankami kuźni, z których każda wyposażona była we własne

kowadło i zestaw kowalskich narzędzi. W pomieszczeniu najbliżej środka budynku usypano stos rozżarzonych węgla. Za zewnętrzną kamienną ścianą widział obracające się młyńskie koło. A po wewnętrznej stronie znajdował się wielki, napędzany tym kołem kowalski młot. Tego urządzenia używano przy wykuwaniu większych elementów i do cięcia długich sztab na mniejsze, łatwiejsze w obróbce kawałki.

Caldan wyjął z torby czarodziejską kulę i umieścił ją wysoko, by opromieniała cały boks. Odwrócił się i napotkał wpatrzonego w nią chłopca.

– Paleniska pewnie wygaszone? Mógłbyś rozpaścić mi jedno, tak żeby dało się topić metal?

– Już się robi. – Praktykant potknął się o własne nogi, wciąż zaspany, ale rozbudzający się za sprawą otrzymanego dukata.

W pierwszej kolejności Caldan musiał stworzyć przedmiot wspomagający magię. Pisanie run i wzorów na metalowych powierzchniach to ciężka i czasochłonna robota, a tusz nie był zbyt trwałym surowcem, wolał więc skorzystać z innej techniki. Jednak świtał mu już w głowie pewien pomysł. Mógłby uporać się z grawerunkiem szybciej, gdyby miał do tego stosowne rzemysliwo. Musiałoby być wykonane dokładnie i uważnie, ale chyba da sobie radę. Najważniejsze części konstruktowi wciąż będzie trzeba kowalostworzyć przy użyciu magii celem utrzymania łączników i przepływu mocy ze studni do czasu, aż nie okrzepną. Ale te mniej istotne można po prostu wygrawerować, a przy konstrukcji tych rozmiarów należało możliwie skrócić proces twórczy, który w bardziej dogodnych warunkach mógłby rozwlec się na kilka tygodni.

Nim dostosował miejsce pracy do swoich potrzeb, a chłopak rozpaścił palenisko, znowu rozległo się pukanie do drzwi. Caldan pobiegł do nich i wpuścił do środka Mirandę.

Dziewczyna spuściła na ubitą ziemię dwa ciężkie wory i rozmasowała nadgarstki.

– Nie powiedziałeś mi, że to będzie takie ciężkie!

– Wybacz. – Z jakiegoś powodu Caldan nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Nawet ubrana rozpraszała go ponad miarę.



Cieszył się, że jest tak gorąco. Łatwiej będzie wytłumaczyć rumieniec.

– A do czego to wszystko? – spytała Miranda. – Widziałam twój żuk. Obłądny! Ale te metalowe płyty? Nie mam pojęcia, po co ci one.

Caldan otworzył worki i zaczął wyjmować metalowe elementy. Ostrożnie rozłożył je na stole warsztatowym. Najpierw te małe, łatwiejsze, potem coraz większe.

– Żuk jest tylko niezły – powiedział. – Funkcjonalny, robi, co mu każe. Ale... nie budzi przestrachu. To błahostka, nic więcej. Chciałbym stworzyć coś, co będzie odstraszać przeciwników. Mam nadzieję uniknąć w ten sposób konfrontacji.

– Przecież arcyomagowie domyślą się, czym jest i jak działa. Więc i tak będzie bezużyteczny, jeśli...

Caldan wiedział, czemu zawiesiła głos. Arcyomagowie chcieli jego śmierci. Nie był tak naiwny, by liczyć na to, że uda mu się wiecznie ich unikać, nawet z Felice i Quissem po swojej stronie. Miranda obawiała się, że go zaatakują. I miała ku temu podstawy. Ale gdyby odwrócić ich uwagę konstruktem...

– To nie taka prosta sprawa, oszacować moc i zdolności innego czarodzieja. Niektórzy magowie potrafią wyczuwać studnie, ale nawet studnia nie zdradza wszystkiego. Wiele zależy od wrodzonych zdolności i rzemyśliw, które czarodziej ma na podorędziu... Jak już mówiłem, jeśli mi się uda, nawet arcyomagowie powinni dać się omotać. Uznają, że potrafię wygenerować potężną tarczę i kontrolować konstrukt. I wtedy będą wiedzieli, że nie warto ze mną zadzierać.

– Wciąż nie rozumiem. Nie mogą zrobić tego samego? Nie odkryjesz przed nimi zbyt wielu kart?

– Strumienie – powiedział Caldán. – Lub włókna.

– Co z nimi?

– A, przepraszam. W skrócie chodzi o to, kto włada większą ich liczbą. Częścią egzaminu na czeladnika jest sprawdzian podzielności studni. Musisz potrafić wyprowadzić z niej dwa strumienie. Dzięki temu możesz aktywować potężniejsze rzemyśliwa. Mistrzowie potrafią wydzielić ze swoich studni trzy lub więcej. Podsumowując, im więcej strumieni kontrolujesz, tym silniejszych rzemyśliw możesz

używać. Ale im więcej ich masz, tym trudniej je kontrolować. To jak z podzielnością uwagi. Istnieją granice ludzkiej percepcji, możesz robić tylko kilka rzeczy naraz, potem zaczynasz się gubić.

– Czyli... twierdzisz, że jeśli będziesz miał na sobie tarczę i jednocześnie kontrolował konstrukt, to czarodziej zorientuje się, że masz moc mistrza?

Caldan wyszczerzył się do niej.

– Lepiej. Ja już umiem to, czego nie umie wielu czarodziejów: utrzymać potężną tarczę. Ta, której użyłem po raz pierwszy, gdy uciekaliśmy z Anasomy, to była tylko zabawka w porównaniu do tego, co umiem wygenerować teraz. A do tego umiem wyprowadzić ze studni więcej strumieni. Sam żuk potrzebuje ich od trzech do pięciu. Ten konstrukt będzie potrzebował... – Pokręcił głową. – Jeszcze nie wiem ilu. Co najmniej kilku więcej.

– Cztery strumienie, osiem. To już chyba niewielka różnica.

– Właśnie że wielka! Im więcej trzymasz, tym bardziej są śliskie.

Caldan wyjął z worka kwadratową mosiężną blachę.

– A więc ile możesz utrzymać?

– To zależy. Udało mi się wyprowadzić aż osiem, ale byłem pod dużą presją i nie miałem czasu myśleć o tym, co robię. Po prostu to zrobiłem.

Caldan rozłożył ręce, nie wiedząc, jak to prościej wytłumaczyć.

Miranda usiadła na stole. Światło czarodziejskiej kuli migotało w jej oczach.

– Kiedy długo coś trenujesz – powiedziała – w końcu staje się to drugą naturą. To jak z walką mieczem. Mistrzowie miecza zwykle odruchowo reagują na zagrożenia. Ich ciało... porusza się samo z siebie. Z tym musi być podobnie.

– Tak. To coś takiego. Ale tu liczą się też wrodzone umiejętności. Każdy element musi pracować w harmonii z pozostałymi, żeby stworzyć coś większego niż tylko suma tych elementów.

– Tak jak w walce, tak i w przypadku magii oraz twoich zdolności Dotkniętego. Gdybyś zdołał je ze sobą zgrać, to byłbyś... najpotężniejszym czarodziejem od Zdruzgotania.

Caldana zmroziło. Jak to ujął Devenish? Mówił, że będę potężniejszy, niż umiem sobie wyobrazić – przypomniał sobie. Ale tak naprawdę Devenishowi chodziło o to, że Caldan będzie potężnym

narzędziem w rękach arcymagów. Słowa Mirandy były jak echo słów pierwszego arcymaga i chłopak poczuł, jak dreszcz zbiega mu po kręgosłupie, nawet jeśli wiedział, że Mirandzie nie może przecież chodzić o to samo. Naszło go uczucie, jakby stał sam pośrodku mroźnego pustkowiecia i nie miał gdzie się schronić.

– A to oznacza, że nigdy nie przestaną mnie ścigać.

Miranda spojrzała na niego ze współczuciem. Przygryzła dolną wargę i odwróciła głowę. Włosy zsunęły się jej na twarz, gdy wbiła wzrok w grunt między nimi.

– Znam jedną taką opowieść – powiedziała. – O kupcu, który podjął kilka złych decyzji. Nawet bardzo złych. Był winien wielu ludziom całą masę pieniędzy. Część bankom, część szczególnie wrednym lichwiarzom. Pewnego dnia jego dom spłonął, a w środku znaleziono jego zwęglone ciało. Na szczęście żona i córka spędziły tę noc u rodziny.

Caldan pokiwał głową, słuchając jednym uchem. Wyłożył na blat sporządzone wcześniej szkice: runy i wzorce umożliwiające stworzenie destruktywnego rzemysliwa. Ale nie takiego, które miało zabijać, tylko takiego, które umożliwi mu grawerowanie metalu.

– Wszyscy wiedzieli, że to on – kontynuowała Miranda. – Bo nosił charakterystyczną biżuterię. Dość unikatową.

Caldan mruknął coś niezrozumiale.

– Może powinien był ją sprzedać i spłacić część długu.

Zaczął nanosić tusz na mosiężną płytę.

– Prawda? Już nie pamiętam, co to było, medalion czy może coś innego. W każdym razie znaleźli ciało w takim stanie, że nie dało się go rozpoznać, zidentyfikowali więc kupca dzięki tej biżuterii. Ludzi, którym był winny pieniądze, oczywiście uradowała wieść o jego zgonie. Nie można było wykluczyć, że to oni go zabili. Tylko po co? Przecież w ten sposób upewniliby się tylko, że nigdy nie zwróci im długu. Wedle wszelkiej logiki lepiej zostawić dłużnika przy życiu. Jego żona i córka zostały z niczym. Kobieta musiała więc pójść do pracy... i robić rzeczy, do których nigdy dotąd nie musiała się zniżyć. Wszystko po to, by nakarmić córkę. Ale to już inna historia.

Caldan przerwał pracę.

– Chyba już wiem, jak się kończy ta opowieść. Znaleźli faceta całego i zdrowego? Żyjącego gdzie indziej pod innym imieniem?

Miranda pokręciła głową i wsparła łokcie na kolanach.

– Nie wierzyciele. Gdy córka nieco podrosła, zaczęła kojarzyć ze sobą fragmenty informacji: opowieści matki, jakiego rodzaju interesami parał się jej zmarły ojciec, kim byli jego przyjaciele i współpracownicy, oraz gdzie byłoby mu... powiedzmy, najwygodniej, gdyby zechciał gdzieś się zaszyć. Widzisz, była wściekła. Była wściekłą, pełną złości dziewczynką.

– Chcesz powiedzieć, że powinienem wykreścić podobny numer? Uciec, upozorowawszy własną śmierć? – Właściwie to nie byłoby takie złe wyjście. Jedyne szkopuł w tym, że Caldan nie miał nic, co mógłby po sobie pozostawić. Jego talizman był zbyt cenny, żeby się z nim rozstawać...

Zerknął na Mirandę. Patrzyła na niego z głębi nasuniętego na oczy kaptura.

Odkrył, że sam bezwiednie obraca pierścień na palcu, więc przestał. Nie powinna go o to prosić. To była jedna z dwóch rzeczy, które zostały mu po rodzicach. Jedyne, co łączyło go z przeszłością. Caldanowi nasunęło się pytanie, czy w ogóle warto było grzebać w swojej przeszłości. Im więcej o sobie wiedział, tym mniej życzył sobie wiedzieć. Z drugiej strony metalowy pierścień przedstawiał dla niego większą wartość niż tylko tę, którą miał jako talizman. Wzmacniał umiejętności Dotkniętego i ograniczał ich szkodliwe konsekwencje. Bez niego ciało Caldana starzałoby się znacznie szybciej. Wrócił do pisania.

– To jest... Zastanowię się nad tym – powiedział. Kątem oka zobaczył, że Miranda kiwa głową.

– Tylko o to proszę.

Problem polegał na tym, że to rzeczywiście był dobry pomysł. A gdyby poświęcił ten pierścień, jego upozorowana śmierć stałaby się o wiele bardziej wiarygodna. Gdyby jedynie zdołali uciec niepostrzeżenie. Musieliby udać się gdzieś daleko. Trzeba by porządnie obmyślić szczegóły.

Tyle że Caldan wcale nie chciał uciekać. Wiedział, że to samolubne, bo ucieczka znacznie zwiększyłaby bezpieczeństwo Mirandy, ale jakiś głos mówił mu, że Caldan jest potrzebny właśnie tu, gdzie jest. I że nie może po prostu uciec jak tchórz.

– Co było dalej z tym facetem i jego córką? – spytał.

Miranda zaśmiała się półgłosem, aż poderwał na nią wzrok.

– Córka znalazła go w innym mieście. Mieszkał w ładnym domu z inną żoną. Wesoly jak szczypiorek na wiosnę. – Pochyliła głowę. Włosy opadły, zakrywając jej twarz. – Zabiła go. Zabrała, co mogła łatwo sprzedać. I wróciła do matki. Caldan wyraźnie słyszał cierpienie w jej głosie. Opuścił pióro i podszedł do niej. Drżała w jego objęciach, od czasu do czasu szlochając. Wreszcie odsunęła się od niego i otarła łzy wierzchem dłoni. Uśmiechnęła się niewyraźnie, bardzo próbując przybrać hardą minę.

– Przodkowie.... – wydyszał Caldan.

– Przepraszam. Może to nie najlepszy czas na taką opowieść. – Miranda westchnęła z głębi duszy. – Nigdy nikomu o tym nie powiedziałam. Nawet matce. Wiedziała tylko tyle, że zarobiłam gdzieś kilka dukatów i że dzięki temu żyło nam się lepiej. Nie musiała się już poniżać. Nie pytała, jak dokładnie je zarobiłam. Wtedy nic jej już nie obchodziło. Znasz teraz mój najpilniej strzeżony sekret. Rety, co ty sobie o mnie pomyślisz...

Caldan otoczył Mirandę ramionami, ignorując jej protesty. Gdy dotarło do niej, że nie da się odepchnąć, rozluźniła się.

– Czasem musimy podejmować trudne decyzje. Po prostu cieszyć się, że wyszłaś z tego cało.

Miranda zatopiła twarz w jego piersi.

– Tego bym nie powiedziała. Ale powoli uczyć się zapominać.

– A co z twoją matką?

– Ona... potem umarła. Myślę, że chciała od dawna, ale nie mogła ze względu na mnie. Gdy uznała, że mamy dość pieniędzy na życie... po prostu dała sobie spokój. Była już bardzo schorowana.

Długo się przytulali, aż w końcu Miranda się odsunęła.

– Dość już tego – powiedziała stanowczo. – Masz robotę.

Caldan niechętnie odstąpił od niej i wznowił pracę. Gdy na nią spojrział, dostrzegł rozpacz i poczucie winy. Samotne, porzucone dziecko. Matka i córka wrzucone w tryby okrutnego świata.

– Porozmawiamy jeszcze o tym – zapewnił ją. On też musiał wytłumaczyć jej pewne sprawy ze swojej przeszłości. Nie spędzali ze sobą dość czasu. Może nigdy nie będzie go dość.

– Może – odrzekła Miranda ze smutnym uśmiechem wyrysowanym na ustach.

Caldan mógł tylko kiwnąć głową. Nie chciał siłą otwierać jej ran.

– Jak sobie życzysz.

Musieli się z tym uporać jak najszybciej. I zostawić daleko za sobą. Amerdan, Kelhak, arcymagowie, wyrecytował w pamięci Caldana. Wiodąca do wolności ścieżka, którą należało w końcu podążyć. Uwolnić się od tego, w kogo się przemieniał. W tym celu musiał tylko pokonać potwora, którego nie udało się pokonać Gazii. Na myśl o którym drżeli ze strachu arcymagowie i cesarz.

Łatwizna.

Wrócił do pracy i uwinął się w kilka minut. Dość prymitywne rzemyśliwo, prawda, ale jego jedynym zastosowaniem była pomoc przy stworzeniu konstruktów.

Caldan zaczął składać symulakrum. Wtykał pręty w przypisane im gniazda, łączył ze sobą elementy za pomocą przegubów i śrub. Nasunęło mu się skojarzenie z trójwymiarową układanką. Surowa robota, ale zegarmistrzyni znakomicie wywiązała się ze swoich zadań. Gdy już złożył konstrukt, cofnął się i ogarnął całą maszynę wzrokiem. Chciał wyposażyć ją w skrzydła, takie jak u żuka, ale była za ciężka, żeby wzbić się w powietrze. Przed nim stał kolejny nibypies, podobny do tego zniszczonego pod Anasomą. Ale ten był o wiele bardziej złożony. Nie tak cienki i patykowaty, lecz okryty ochronnym pancerzem. Nawet leżąc na stole, wciąż odstawał od blatu na dwie stopy. Był piękny, jeśli nie liczyć nietkniętej powierzchni pancerza.

Pozbawionej run i wzorów, dzięki którym zbudzi się do życia.

Caldan rzucił okiem na Mirandę, która siedziała cicho jak mysz. Błysnęła uśmiechem i gestem kazała mu kontynuować.

– Miło mi się na ciebie patrzy – powiedziała, przyjemnie krzywiąc usta. – Zapomnij, że tu jestem, i twórz sobie.

Odpowiedział uśmiechem, szczerze ucieszony jej słowami i konstruktem. Skupił uwagę na mosiężnej płycie, wziął ją w ręce i otworzył studnię, podłączając ją do symulakrum.

Z początku niepewnie, a potem coraz śmieiej wlewał swoją moc w ścieżki i wzory. Zaczął od podstaw: runa łącznikowa.

Tryskały iskry, a metal wyl jak potraktowany ściernicą. Powietrze wypełniło się zapachem cytryn. Przerwał, zbadał rezultat zarówno dłonią, jak i magicznym zmysłem. Wzór wykonany był doskonale.

Sięgał w głąb metalu na grubość paznokcia. Łącznik był silny, choć donikąd jeszcze nie prowadził.

Przynajmniej na razie.

Uskrzydłony sukcesem Caldan ze zdwojonym zapalem rozpoczął kolejny etap prac. Noc powoli bladła, a on stracił dziś sporo czasu. Musiał skończyć i zmyć się z kuźni przed wschodem słońca. Praca w tym tempie była wyczerpująca, ale nie chciał, żeby ktoś zdybał go tutaj, z dala od bezpieczeństwa, jakie zapewniał okręt Quissa. Zapewne nie umiałby się teraz obronić.

Robota zajęła godzinę, lecz ostatecznie nawet sam Caldan musiał przyznać, że efekt jest zadziwiający.

Metal nie był lśniący, a matowy. Znaczyły go piękne, ciemne linie, wybuchające okazjonalnie skomplikowanym runicznym wzorem, jak kwiaty kwitnące na winorośli. Przebiegł po nich ręką. Były ciepłe w dotyku, ale szybko studziło je nocne powietrze. Spoiny wciąż było widać, jednak podczas rzemyślenia ukształtował je w przyjemne dla oka kształty, więc nie rzucały się w oczy jako niedoskonałość. Wyglądały raczej jak ozdoba niż niezbędny element konstrukcyjny. Wilk – bo taki kształt chciał uzyskać Caldan – miał dwa gwiazdzone szafiry wprawione w miejsce oczu. Były one kluczowe dla projektu, ale też umożliwiały kontrolującemu symulakrum czarodziejowi widzenie. Quiss dał je Caldanowi bez mrugnięcia okiem, gdy ten poprosił o jakieś szlachetne kamienie na swoje kowalotwórcze potrzeby.

– Wygląda jak zbroja dla wilka – skomentowała Miranda. – Naprawdę niesamowita rzecz.

Dosłyszał podziw w jej głosie i z miejsca oblał się rumieńcem.

– Czy to coś jak twoje papierowe ptaki? – podjęła. – I żuk? Potrafi się sam poruszać jak one, prawda?

– To jest... coś więcej – wyszeptał Caldan. – Dzięki temu, czego nauczyłem się od Quissa, co od niego podpatrzyłem... ma cechy, o których nawet nie śniłem, gdy mieszkałem w klasztorze. A przy tej liczbie run łącznikowych mało kto będzie w stanie nim zawładnąć.

– Mówisz o liczbie strumieni?

– Tak – odparł Caldan z uśmiechem. – W klasztornej bibliotece była taka księga, „Urządzenia i mechanizmy”. Znalazłem w niej pełno schematów i ilustracji sprzed Zdruzgotania. Wtedy myślałem,

że to tylko fantazja, ale uwielbiałem czytać tę księgę i patrzeć na diagramy. Teraz myślę, że one były zupełnie realne do wykonania. I że autor wiedział znacznie więcej, niż zawarł w tej księdze. Powinienem go odnaleźć.

– Może kiedyś.

– Tak, kiedyś.

– A więc skończyłeś? Chciałabym zobaczyć go w akcji. Ale chyba ludzie będą się go bać.

Caldan kiwnął głową.

– Mam nadzieję. Zanim jednak pokażę ci, jak działa, musimy jeszcze coś zrobić. Dzisiaj jest dzień odkrywania tajemnic. Zobaczmy, czy uda się odkryć kolejną.

– Co masz na myśli?

– Talizmany. Chodź ze mną.

– A konstrukty?

– Zostawimy go tu na chwilę.

Gdy Miranda zsunęła się ze stołu, ujął jej rękę. Wspólnie przecięli dziedziniec i podeszli do wielkiego młota zasilanego młyńskim kołem. Caldan pociągnął za kilka dźwigni. Drewno zatrzeszczało i jęknęły naprężone liny, a woda zaczęła mozolnie obracać urządzenie.

– Caldanie, nie możesz! – zachłysnęła się Miranda, odgadując jego intencję.

Wyjął z kieszeni pierścień znaleziony w kryjówce Joachima. Nie wiedział, jak działa i ile jest wart. Przez głowę przemknęły mu rozmaite pomysły na to, jak mógłby działać, ale żaden talizman, jaki widział w życiu, nie był pokryty rzemyślniczymi wzorami. A przynajmniej na zewnątrz. Wiele nosiło symbole, których znaczenie zaginęło w mroku dziejów, ale miały się one nijak do skomplikowanych rysunków, których wymagało czarowstwo.

– Stop, z którego wykonuje się talizmany, jest niesamowicie twardy i chyba już wiem dlaczego. Żeby ukryć to, co znajduje się pod spodem.

Położył pierścień na kowadło, nieco z boku.

Miranda zrobiła pół kroku naprzód.

– Caldanie...

Spojrzał na nią z uśmiechem.



– Jeśli mamy przetrwać i wyrwać się z łap arcymagów, to musimy być gotowi do poświęceń. To będzie pierwsze.

– Ludzie zabijają się za talizmany, a ty po prostu... – Machnęła krótko w powietrzu otwartą dłonią, jakby rąbała mięso.

Pokiwał głową.

– Muszę wiedzieć, czy mam rację.

– Czemu? Nie wystarczy ci, że się domyśliłeś?

– Nie. – A jednak zawahał się, zdjęty nagłym poczuciem winy.

Zamierzał zniszczyć bezcenny artefakt sprzed Zdruzgotania.

Zrób, co trzeba zrobić, nakazał sobie.

Dłonią uderzył w następną wajchę i rozległo się rytmiczne stukanie. Olbrzymi młot unosił się z każdym kolejnym drgnięciem masywnej zębaki. Wzniósł się ponad ich głowy i zawisł w powietrzu nad wielkim kowadłem. Jedna strona obucha miała zaostrzoną krawędź kowalostworzoną z hartowanej stali. Caldan czuł pod stopami ciepło ziemi, a na twarzy delikatne tchnienie wiatru. I czuł przy sobie Mirandę.

Z szerokiego paleniska po jego lewej stronie biło pomarańczowe światło, a żar wyciskał pot z ciała, choć w nocy nikt go nie podsyczał.

Jednym palcem Caldan przesunął pierścień na ostry kraniec kowadła. Znow się zawahał, ogarnięty trwogą i poczuciem straty. Ale zaraz wzruszył ramionami i wstrzymał oddech...

I spuścił młot.

A ten pomknął w dół. Ciężki obuch opracowano tak, by spłaszczał nawet najcięższe sztaby metalu. A jego obrzeże tak, by potrafiło przeciąć nawet najtwardszą stal. Potężne narzędzie, w którym drzymało dość siły, by od jego uderzeń rozpękała się ziemia. I to właśnie ono przecięło pierścień na dwoje.

Dwa półokręgi spadły z kowadła. Caldan spodziewał się czegoś więcej... jakiegoś wyładowania energii.

Nie musiał długo czekać.

Zrobił krok w kierunku jednej połówki i zachłysnął się przez ostry fetor cytryny. Sięgnął do studni i okrył się tarczą, a potem zasłonił ciałem Mirandę i błyskawicznie rozszerzył tarczę, żeby objęła także i dziewczynę. Nie miał nawet czasu odetchnąć z ulgą, gdy eksplozja odbiła się echem w jego kościach.

Buchnął płomień. Caldan zamknął porażone jasnością oczy. Magia uderzyła w jego tarczę, chcąc ją przełamać. Żar nadciągał falami od przepołowionego talizmanu, zostawiając po sobie pęknięcia w ubitej ziemi. Caldan zajęczał, zaczerpnął ze studni więcej energii i zasilił nią tarczę.

Miranda uczepiła się go kurczowo. Wydawało mu się, że przez hałas przebił się jej przeraźliwy krzyk.

Wreszcie światło przygasło, a hałas przycichł. Wszystko wkoło poczerniało od ognia, a powietrze zasnuwał dym.

Caldan zaczął szukać kawałków pierścienia. Unosiły się z nich blade resztki dymu, jakby wyparowała z nich cała moc.

Z bezpiecznej odległości gapili się na nich zaczerwienionymi oczami strwożeni praktykanci, widząc, jakie zniszczenie przetoczyło się przez kuźnię ich mistrzów. Caldan chwycił szczypce, podniósł obie połówki pierścienia i złożył je w stojącym nieopodal tygłu.

Odciągnął Mirandę od młota i kowadła. Czuł, że w tarczę wciąż bije niewygaszony do końca żar. Odeszli dalej, wciąż roztrzęsieni, a kiedy tarcza nie musiała już czerpać z jego studni, Caldan zerwał połączenie.

Omyło ich chłodne powietrze i oboje wzięli głęboki wdech.

Praktykanci podbiegli do nich, zasypując pytaniami i krzycząc jeden przez drugiego.

– Co się stało?!

– Żyjecie?!

– Ale się mistrzowie wkurzą...!

Caldan nie odpowiedział. Zwrócił się do Mirandy i kiwnął głową w kierunku drzwi, którymi przyszli.

– Wynośmy się. Arcymagowie na pewno już wyczuli, co tu zaszło. Zaraz kogoś wyślą.

– Czy coś... czy coś z niego wyszło?

– Nie wiem. Może. Chodźmy, szybko.

Ale to przecież bez sensu, główkował Caldan. Niby dlaczego talizmany przechowują energię? Przecież to byłby bardzo ograniczony jej zasób, a Caldan nigdy nie słyszał, by talizman przestał działać lub się wyczerpał. Może Quiss będzie wiedział, co się stało. Będzie musiał go zapytać.

Przecisnęli się między protestującymi praktykantami. Caldan złapał swoje rzemyśliwo do grawerunku i czarodziejską kulę, po czym włożył je do kieszeni. Potem sięgnął do konstruktów swoim magicznym zmysłem. Sześć strumieni wystarczyło, by metalowy wilk wstał i zeskoczył ze stołu. Posłał go pomiędzy wybałuszających na niego oczy chłopców i skierował do bocznych drzwi.

– Uciekaj! – rzucił do Mirandy.

I pomknęli przed siebie.



Gdy zostawili za sobą mury Starorzecza, Caldan wziął dwie połówki pierścienia do ręki. Tygiel odrzucił na pobocze. Stop, z którego wykonany był pierścień, zrodził się w podobnym tyglu, gdy stopiono metal, którym następnie wypełniono formę.

Caldan rozejrzał się, by sprawdzić, czy są sami na drodze, po czym wyciągnął czarodziejską kulę. Spojrzał na dwie części pierścienia. Obie były takie same.

Zewnętrzna powłoka utworzona została ze srebrnego stopu, surowego metalu, którego nie potrafił wytworzyć żaden czarodziej, ale rdzeń wykonano z jakiegoś innego, ciemniejszego surowca. Pierścień w pierścieniu. Rzemyśliwo zamknięte w rzemyśliwie. Miał rację. Talizmany nie były niczym więcej jak tylko skomplikowanymi rzemyśliwami ukrytymi w niepozornych przedmiotach.

Caldan prychnął pod nosem. Niczym więcej, parsknął w duchu. Jakby to było mało.

Wyładowanie energii, które towarzyszyło przecięciu pierścienia, oznaczało, że istnieją elementy tej układanki, z których istnienia nie zdawał sobie wcześniej sprawy. Nie wiedział, jak to możliwe, ale one także zawierały źródła mocy. Tylko to jedno wytłumaczenie miało sens.

Arcymagowie na pewno zbadają miejsce, gdzie doszło do wybuchu, i magiczną zawieszynę, która nie zdążyła się jeszcze rozwiać.

A praktykanci na pewno podadzą im szczegółowy rysopis  
Caldana i Mirandy.

Zaśmiał się ponuro.

– Coś nie tak? – spytała Miranda.

Caldan pokręcił głową.

– Nic.

Teraz arcymagowie mieli kolejny powód, żeby go zabić. Jakby  
potrzebowali kolejnych.



**M**łoda kobieta o wychudłych policzkach i ramionach weszła do kabiny i kazała Caldanowi podążyć za sobą. Powiedziała, że nowy przywódca kompanii chce z nim porozmawiać.

Nie budząc Mirandy, wyszedł z koi i ruszył za kobietą, ale gdy dotarli na miejsce, nie znalazł nigdzie Quissa.

– Zaczekaj w środku – powiedziała kobieta. Jej puste oczy były niemal tak ciemne, jak oczy Mirandy.

Zamknęła za nim drzwi. Maleńki bulaj wpuszczał do środka dość światła, by wydzielić z ciemności cieniste bryły. Po krótkiej chwili jego oczy Dotkniętego przyzwyczyły się do ciemności i Caldan skorzystał z okazji, by przyjrzeć się otoczeniu. Nagie. Tylko to określenie przyszło mu do głowy. Jakieś ubranie złożone w kostkę i spiętrzone na taborecie. Na koi dawno nikt nie spał, a ponieważ zbliżał się świt, było jasne, że czarodziej zarwał noc.

Caldan obrócił się plecami do okna i klapnął na koję. Zatrzeszczała pod jego ciężarem, a potem jeszcze trochę, gdy się mościł.

Miranda wciąż jeszcze spała, a Quiss się nie pojawiał, Caldan uznał więc, że spożytkuje czas jak najlepiej.

Sprawdził po kolei wszystkie swoje rzemyśliwa pod kątem uszkodzeń, które mogłyby zagrozić ich integralności. Chciał uniknąć sytuacji, w której niezauważona skaza uczyni je bezużytecznymi w chwili, gdy będzie ich najbardziej potrzebował. Jego moc krążyła po tarczowym medalionie, gdy sprawdzał łączniki, bufory i kotwice. Wszystko wydawało się być w porządku. Stop był mocny i odporny, a jakoś procesu kowalotwórczego gwarantowała trwałość rzemyśliw. Tak, wszystkie są w najwyższym stopniu funkcjonalne. Tylko żuk nosił oznaki zużycia: metal miejscami tracił kolor i wyszczerbiły się cieńsze fragmenty blachy. Caldan nie był zaskoczony, tylko rozczarowany. Użył zbyt miękkiego metalu i wiedział, że symulakrum nie wytrzyma długo. Mimo to jak dotąd żuk dobrze mu służył. Uratował go i cel Raua oraz tego faceta imieniem Vasil przed hordą jukarów. Caldan wciąż miał także przy sobie rzemyśliwa posokowca Mahsonna, ale tylko jedno przyda mu się do czegoś, gdy już nauczy się kontrolować więcej strumieni.

Gdy pracował, jego myśli same z siebie wróciły do Dotkniętych. Byli większymi bohaterami, niż sobie uświadamiali. Choć stanowili elitarną jednostkę i podziwiała ich cała armia, zawsze działali dyskretnie, zadowolając się tym, że mogą zaprząć swoje wyjątkowe umiejętności do pracy na większą chwałę cesarstwa. Arcymagowie dopracowali do perfekcji historijkę, którą sprzedawali młodym rekrutom.

Jesteście wyjątkowi. Uzdolnieni.

Warto by wykorzystać te zdolności w jakimś słusznym celu, prawda?

Pokażemy ci, jak ich używać. Nie, nie dziękuj. Ale skoro cesarstwo pomaga tobie, może ty zechcesz pomóc cesarstwu, ostoi prawa i sprawiedliwości?

Patrz, mamy tu dla ciebie garść talizmanów. Dostaniesz je, tylko rób, o co prosimy.

Miranda miała rację. Istniał tylko jeden sposób, by się od tego uwolnić, a mianowicie uciec gdzieś za siódmą górę i rzekę. A ona pokazała mu to jaśniej niż ktokolwiek... Ale czy Caldan rzeczywiście się na to poważy? Czy chytrych arcymagów da się wykiwać? Tylko jedna rzecz na świecie zdołałaby przekonać ich, że Caldan rzeczywiście nie żyje – jego kościany pierścień. Przebiegł palcami po powierzchni, czując pod opuszkami wytrawione w metalu wzory.

Amerdan, Kelhak, arcymagowie. Uciec, powiedział pod nosem. Ależ wymyślił rozwiązanie. Zawstydził się. Nie tego uczyli go mnisi.

Zmień, ile możesz. Pomóż, komu zdołasz.

Dopiero wtedy, jeśli wcióż będziesz żył, myśl o sobie. I o Mirandzie.

Ktoś bez pukania wszedł do kajuty. Quiss. Czarodziej wyglądał na wyczerpanego. Włosy miał w nieładzie, a oczy podkrążone. Ubranie pogniecione, jakby w nim spał, ale Caldan wątpił, by Quiss znalazł pół chwili, żeby zmrużyć oko. I śmierzdział magią na odległość. Gdy tylko wszedł do pomieszczenia, Caldana zaświerzbila skóra. Quissa otaczała miazmatyczna zawiesina czarów, kojarząca się z ozonem wiszącym w powietrzu po burzy.

Quiss skinął Caldanowi na powitanie. Zdjął ubranie ze stołka i rzucił je na podłogę. W jednej ręce trzymał kilka kromek chleba, w drugiej kawałek sera. Ugryzł i zaczął wolno żuć, widocznie zamysłony.

– Znaleźliście Amerdana – stwierdził Caldan.

Quiss zmrużył oczy i pokiwał głową.

– Wykryłem magiczne pływy niedaleko stąd. Nic szczególnie osobliwego w tych niespokojnych czasach. Wszędzie są vormagowie i ich prymitywna, plugawa magia. Tylko że ta była... inna. Bardziej skupiona. I złożona.

– Może to kolejny czarodziej Kelhaka?

– Nie są tak nieuważni. Nie ryzykowaliby czarowania tak blisko cesarza i arcymagów.

– Zdajesz się tego pewny.

– Bo jestem. Rzemyśliwo było zbyt skomplikowane nawet jak na nich. Więc to musiał być talizman. Poszliśmy tam, dokąd zaprowadził nas zapach... – Caldan zastrzygł uszami, słysząc to słowo. Czyżby Quiss i jego ludzie potrafili wywęszyć magię, tak jak on? – ...i uważamy, że to mógł być Amerdan. Fetor wydzieranej studni jest dość specyficzny. A w tym przypadku nałożyło się na niego wiele otwieranych jednocześnie studni. A więc kolejny licz.

– Dzwonki miała tylko jedną studnię – powiedział Caldan. – Swoją własną. To wiem na pewno. Gdyby wiedziała, jak kraść je innym czarodziejom, na pewno miałyby ich więcej. Obawiam się, że masz rację. Musi używać talizmanu, jak podejrzewaliśmy. To jedyne sensowne wytłumaczenie.

Quiss znowu pokiwał głową. Potarł podbródek, a na jego twarzy zajaśniał dziwny wyraz.

– Jeśli ten talizman umożliwi korzystanie z magii zniewalającej... to jest to wynaturzenie, którego należy się pozbyć.

Caldan łypnął na niego spode łba. Jakie znaczenie ma typ magii, którą włada się za pośrednictwem rzemyśliwa lub talizmanu? Zdaniem Caldana żadne, ale Quiss najwyraźniej uważał inaczej.

– Wiemy, gdzie jest – rzekł Caldan. – Nie zwlekajmy. Powinniśmy jak najszybciej go dopaść.

Zebrał się, by wstać, ale zaraz wrócił na miejsce, bo Quiss powiedział:

– Jest wśród jukarów i vormagów.

Do świadomości Caldana zaczęła dobijać się niepokojąca myśl.

– A więc próbuje jakoś nimi zawładnąć.

Quiss potaknął.

– Też tak uważamy. Kołczany i arcymagowie odepchnęli ich w głąb lądu. Jukarowie wycofują się i na pewno niebawem pójda w rozsypkę. Wydałem rozkazy. Zbieramy oddział. Pójdzie z nami kilku najemników. Uderzymy jak najszybciej.

– Jak? Muszą być całe mile stąd. Ponowne ich odnalezienie potrwa, nawet jeśli wiemy, gdzie mniej więcej się znajduje.



– Istnieje sposób, żeby dostać się tam szybciej. Nie będzie to łatwe, ale w czasach takich jak te nie można się oglądać na koszty.

Quiss mówił o jakimś specyficznym rodzaju magii. Korzystał z niej Kelhak i cesarz. Caldan podejrzewał, że była to umiejętność zarezerwowana dla posiadaczy wielu studni, choć najwyraźniej się mylił. Co oznaczało, że przydatna była surowa moc.

– Jak mogę pomóc?

Quiss wymierzył w niego świdrujące spojrzenie.

– Chodź z nami. Korzystaj z magii. Walcz. Nie wiem, co się wydarzy, ale twoje zdolności mogą okazać się nieocenione. Stajesz się coraz potężniejszy, Caldanie. I niebezpieczny. Człowiek zawsze prędzej czy później staje przed tym czy innym wyborem. Niektóre podejmuje się łatwiej, inne trudniej.

Tutaj, wśród ludzi Quissa, Caldan nie musiał obawiać się arcy魔ów. Tyle że nie mógł wечно się przed nimi ukrywać.

Musiał powiedzieć Mirandzie, dokąd idzie, i pożegnać się. Ale...

– Kiedy wyruszamy?



Oddział Quissa zgromadził się na brzegu rzeki o świcie. Oddział to właściwie dość szumne określenie. Grupa nie była liczna, z pewnością, żeby nie ściągać uwagi cesarskich żołnierzy.

Caldan stanął z boku z jedną ręką przy rzemysliwach, a drugą przy klamrze pasa z mieczem, który wisiał ukośnie na plecach z klingą przy biodrze. Kawalek dalej stała grupa najemników, potężnych, zaprawionych w boju zakapiorów w pancerzach dokooptowanych z wielu różnych zestawów, noszących ślady wielu bitew. Byli uzbrojeni po zęby w miecze, sztylety, topory i oszczepy. Każdy miał przy sobie prostokątną tarczę, dość wysoką, by mogli się o nie opierać. Najemnicy trzymali się na uboczu, okazjonalnie odzywając się do siebie przyciszonymi głosami. Kawalek dalej stało dwoje wychudzonych czarodziejów, ewidentnie kolegów po fachu Quissa. Brązowowłosa kobieta wyglądała na schorowaną, miała

wymizerowaną i bladą twarz. Mężczyzna wcale nie miał się lepiej, choć nie był tak chudy. Czarodziejka sprawiała wrażenie, że byle zefirek może obalić ją na ziemię.

Caldan zabrał za sobą swojego wilka na wypadek, gdyby miał się przydać. A sądził, że się przyda. Nie chcąc nikogo wystraszyć, kazał mu czekać za splątanymi krzewami czarnej porzeczki. Symulakrum mogło podążać za nimi w dyskretnym tempie, gdyby zaszła taka potrzeba.

Caldan wychwycił wzrokiem idącego ku grupie od przystani przysadzistego mężczyznę w średnim wieku. Okrywała go obszerna szata, przewiązana szarfą na obfitym brzuszysku. Uśmiechnął się do Caldana i przecesał ręką siwiejące włosy.

– Zwę się Mazoet Miangline – powiedział, skłaniając się w pas.

Caldan wyraźnie wyczuwał jego studnię, a także coś jeszcze: przestrzeń wokół umysłu mężczyzny była rozmazana, jak powietrze nad spieczoną ziemią. Studnia Mazoeta nie była zamaskowana, tak jak wyczuta przez Caldana studnia mistrza Simmona. Była całkowicie ukryta.

– Jesteś człowiekiem Quissa – stwierdził Caldán i zmierzył mężczyznę wzrokiem. – Ale ty jesteś...

– Gruby? – dokończył Mazoet z drwiącym uśmiechem. – Niektórzy z nas radzą sobie z przemianą inaczej niż inni.

Caldan nie był pewien, czy dobrze go zrozumiał.

– A Quiss nie idzie z nami?

Mazoet pochylił się do niego.

– Wkrótce tu będzie. Kończy... rzemyśleć.

– Jak zdołałeś ukryć swoją studnię? – wypalił Caldán po chwili.

– Ciekawski jesteś, co? Quiss mnie ostrzegał. Dobrze, powiem ci, to w sumie nic takiego. Odpowiedź brzmi: magia zniewalająca. Czy to dla ciebie problem?

– Nie, niezbyt.

Ale zaraz wrócił myślami do pierwszego zetknięcia się z ukrytą studnią. Mistrz Simmon. Czy jego stary mistrz znał magię zniewalającą? A może nie zorientował się, że to ona? Jakże Caldán życzyłby sobie, żeby Simmon był tu z nim teraz. Może i nie zdawał sobie sprawy, że cesarstwo go wykorzystywało, ale był kimś, na kim Caldán mógłby polegać. W odróżnieniu od ludzi, którzy go teraz

otaczali. Mimo wszystko nie chciał mieć wroga w Mazoecie, więc dodał tylko:

– Na pewno nie do tego stopnia, co kiedyś. Teraz wiem o niej trochę więcej.

– Dobrze. A więc zaczynajmy.

– Zaczynajmy co?

– Nauczmy cię blokować twoją studnię.

– Naprawdę?

Caldan aż zamrugał.

– Chcesz się tego nauczyć, nie?

– No jasne! Ale... tutaj, teraz?

– Nikt nie zobaczy. A najemnicy, nawet gdyby zobaczyli, to nie zrozumieją. – Mazoet wskazał gestem dwoje wychudłych czarodziejów. – Zaś moich kolegów to nie obejdzie. Mamy chwilę, więc do roboty.

Caldan posłusznie otworzył studnię i poczuł, że studnia Mazoeta również stoi otworem. Musiała, bo mężczyzna tryskał mocą. Objął swoim zmysłem dwóch jego znajomków i odkrył, że oni także. Nie wiedział, po co im teraz tyle mocy, ale mieli na podporządku jej olbrzymie rezerwy. Czyżby Caldanowi coś umykało?

– To tak naprawdę dość proste – zaczął Mazoet.

Caldan podłączył się do swojego zniewalającego rzemyśliwa i przygotował się do wykonania instrukcji Mazoeta. Jak się okazało, rzeczywiście nie było to trudne. Podstawowy wzór, a właściwie sieć wzorów ułożona w pewien regularny sposób i zakotwiczona dookoła studni w taki sposób, że ją zasłania. Do postawienia tej osłony trzeba było trzech strumieni, co oznaczało, że pozostawała poza zasięgiem większości czeladników, a nawet niektórych mistrzów. Ale nie arcymagów ani nie ludzi Quissa. Dzwonki powiedziała mu, że magia zniewalająca wymaga od czarodzieja większej liczby strumieni niż tylko trzy. Jeśli się myliła w tej sprawie, mogła się mylić i w innych.

– Powiedziano mi, że do tego rodzaju magii potrzeba o wiele więcej strumieni – rzekł Caldan. – Widzę, że to nieprawda.

– Właściwie to prawda, ale tylko do pewnego stopnia. Stosowanie magii zniewalającej na samym sobie jest o wiele prostsze niż na innych, nie wymaga też takiego wysiłku przy utrzymywaniu czaru przez długi czas.

Miało to sens. Caldan musiał mieć otwartą studnię, ale do zniewalającego rzemyśliwa potrzebował tylko cieniutkiego strumienia.

Fart, że spotkał na swojej drodze tego całego Mazoeta. Przyswoił niezwykle praktyczną umiejętność, i to zupełnie za darmo. Caldan był pewien, że okaże się ona nieoceniona, gdy będzie uciekał przed arcymagami.

– Caldanie.

Spojrzał na człowieka, który niepostrzeżenie stanął obok niego. Quiss. Caldan nie usłyszał go ani nie zobaczył. Chłopak spuścił wzrok. Musiał przyznać się przed sobą: przestraszył się. Szli po trawie. Jego buty były mokre od rosy, tak jak buty Mazoeta i Quissa. Odkąd się obudził, ta sama zimna wilgoć zakradła się do środka jego ciała. Robił właśnie wielki krok naprzód, którego może nie być w stanie cofnąć, dopóki nie zginie Kelhak. Albo Caldan.

– Już czas? – spytał.

Quiss obdarzył go ciepłym uśmiechem. W jednej ręce trzymał materiałową torbę.

– Widzę, że Mazoet nauczył cię, jak ukrywać swoją moc. Wiele mógłbyś się od nas nauczyć, gdybyśmy tylko znaleźli wolną chwilę. Tak, już czas.

Zaledwie strzęp wiedzy. Albo chcieli okazać mu przyjaźń, albo zwabić w sidła. Caldan żałował, że w nich zwątpił, ale w takim świecie teraz żył. Wszystko kwestionuj. Nikomu nie wierz.

– Ale – wznowił Quiss – muszę cię ostrzec. To niebezpieczna sprawa i choć widzisz, co robimy, niemądrze byś postąpił, usiłując kopiować nasze działania. Mazoet ma do tego talent, więc to on nas zabierze.

– Chcesz, żebym przysiągł?

Quiss pokręcił głową i złożył usta w ciasny uśmiech.

– Nie chcę zmuszać cię do nowych przysiąg. Rób, jak uważasz.

Dał torbę Mazoetowi, a czarodziej otworzył ją i wydobyl długi i cienki łańcuch o złotych ogniwach. Wprawiono w niego w regularnych odstępach fasetowane klejnoty wielkości paznokcia – rubiny, szmaragdy, szafiry, diamenty.

Caldan nigdy nie widział czegoś tak kosztownego. Przy każdym klejnocie znajdował się mały płaski dysk z kutego srebra, każdy

pokryty runami.

Przełknął ślinę na ten widok. Zdumiał się, chłonąc wzrokiem całe to złoto i drogie kamienie. Taki łańcuch musiał kosztować krocie. Patrzył, jak Mazoet go rozplątuje. Łańcuch musiał mieć z trzydzieści stóp długości.

– Rzemyśliwo ulegnie zniszczeniu, gdy już znajdziemy się po drugiej stronie – powiedział Mazoet. – Nie możemy ryzykować, że ktoś je znajdzie.

Caldan aż zamrugał.

– Ależ... to straszne marnotrawstwo.

Za taki łańcuch on i Miranda nie musieliby troszczyć się o pieniądze do końca życia. Ich dzieci też nie. Zaraz. Skąd ta myśl się wzięła?

Mazoet wzruszył ramionami.

– Nie przykładamy wagi do bogactwa.

Mag ostrożnie ułożył klejnot na ziemi. Stał teraz w środku utworzonego przez niego kręgu o średnicy dziesięciu kroków.

– Nie mówileś czasem, że mało wiesz o rzemyśliwach? – spytał Caldan.

Ten złoty sznur przeczył tym słowom.

– Mazoet jest naszym ekspertem – odparł Quiss – To rzemyśliwo ułatwi mu część pracy. – Wzruszył niedbale ramionami. – Prymitywne narzędzie, ale działa.

Quiss poświęcił całą uwagę najemnikom i dwóm swoim czarodziejom. Przywołał ich do siebie gestem.

– Podejdźcie. Wchodzimy wszyscy do środka.

Caldan sądził, że najemnicy zasypią go pytaniami, ale wykonali rozkaz bez szemrania. Robili to już wcześniej, domyślił się. A to ciekawe.

Wewnątrz okręgu nie było za dużo miejsca, więc cała grupa potrzebowała czasu, by nikt nie wystawał poza obręb łańcucha. W tym ścisku Caldan czuł pot najemników, zapach stali i oliwy. Chłopy na schwał, wszyscy co do jednego. Choć robili wrażenie zaradnych i niewzruszonych, Caldan spostrzegł, że łypią w jego stronę. Zastanawiając się pewnie, po co Quiss wziął go na tę misję.

On główkował nad tym samym.

Sam zajął miejsce na obrzeżu.

– Bądź gotowy na wszystko – powiedział poważnie Quiss. – Nie opuszczaj kręgu, dopóki nie będzie po wszystkim.

Jeden z najemników znowu przywarł do niego wzrokiem. Miał na sobie łuskowy napierśnik i wielki miecz na plecach. Do tego splecioną w warkocze brodę i niezadowolony grymas.

– A jak będziesz rzygał, to z dala od nas!

Jego kamraci zarechotali, a Caldan sam się sobie dziwił, że kpina nie wywołała u niego rumieńca.

– Mam na imię Caldan. – Wyciągnął rękę do dryblasza z mieczem.

Najemnik patrzył chwilę na nią, a potem wzruszył ramionami i podał mu swoją.

– Selbourne. Kapitan Zapomnianej Kompanii. – Pochylił się do chłopaka i szepnął mu do ucha: – Jeśli skrzywdzisz Mirandę, to znajdę cię i zatłukę.

Krew zaszumiała Caldanowi w uszach. Wbił wzrok w oczy najemnika. Nieustępliwe, bezczelne oczy oswojone z przemocą i przyzwyczajone do brania tego, na co spojrzą. Skąd on zna Mirandę? Choć może powinien inaczej sformułować kielkujące mu w głowie pytanie: kim tak naprawdę była Miranda? Jeśli się zastanowić, Caldan wiedział o jej przeszłości bardzo niewiele. Z całą pewnością nie była pierwszym lepszym marynarzem.

– Nigdy bym jej nie skrzywdził – odpowiedział. – Oddałbym za nią życie.

Szczerłość tej deklaracji wstrząsnęła Caldanem do żywego. Mówił prawdę. Ale nie chciał, by najemnik myślał, że udało mu się go zastraszyć. Caldan miał już dość bycia popychadłem. Utrzymał kamienny wyraz twarzy.

– A szukając mnie, znalazłbyś tylko śmierć.

Selbourne skrzywił się do niego, a potem wybuchł śmiechem. Po chwili zaśmiali się pozostali najemnicy. Selbourne przestał się śmiać.

– Miałem już wcześniej do czynienia z czarodziejami. Sam mam na podorędziu kilka przydatnych sztuczek. – Zamilkł i zwęził powieki, patrząc na miecz Caldana. – Ale niewielu z nich nosiło miecz. Właściwie to żaden. Umiesz go używać?

– Uczyłem się walki, ale mistrzem nie jestem.

– A więc nie jesteś też dla nas wyzwaniem.

Caldan wzruszył ramionami i uznawszy konfrontację za zakończoną, skierował wzrok przed siebie.

Mazoet przysunął się bliżej do nich

– Stawiam złotego dukata na Caldana! – ogłosił.

Quiss prychnął.

– Już wystarczy, Mazoecie. Nie podpuszczaj ich.

Otyły mag zignorował go i spojrzał na najemników.

– Nikt się nie zakłada? Trudno.

– Taką wiarę w niego pokładasz? – spytał Selbourne rozbawionym głosem.

– Pewnie. Nie dość, że jest czarodziejem, w dodatku niezłym, to jeszcze Dotkniętym.

Na dźwięk tych słów najemnicy rozdziawili usta. Jak na komendę utkwili wzrok w Caldanie. Kilku wykonało gesty, których nigdy wcześniej nie widział. Chyba byli przesądni. Pewnie obłożyli się jakimis̄ błogosławieństwami lub odpędzali zły urok albo coś w tym guście.

Selbourne bezwiednie cofnął się o krok, a gdy się zorientował, wyszczerzył się cierpko. Spojrzał Caldanowi w oczy i skinął mu głową krótkim, formalnym gestem.

– A zatem jesteś wśród nas mile widziany.

Inny najemnik charknął śmiechem.

– Zostaw nam jakichś jukarów!

Caldan posłał im szyderczy uśmieszek.

– Coś mi się widzi, że wystarczy dla każdego.

– Pewno – zgodził się Selbourne. – No, chłopcy, szykować broń. Quiss na nas czeka.

– Dziękuję, Selbournie – rzekł cierpko czarodziej. – Wszyscy w środku? Dobrze. Mazoecie, zaczynaj.

Caldan otworzył studnię i podłączył się do swojego mechanicznego wilka. Konstruktor wyskoczył z kryjówki i puścił się pędem po nierównej ziemi. Rozległy się okrzyki zdumienia, gdy zwolnił przed samym okręgiem i usiadł przy nodze Caldana.

– Nie bójcie się – uspokoił towarzyszy chłopak. – Nie gryzie.

Quiss prychnął śmiechem, a Mazoet uniósł na niego brew.

Rzucił czar bez ostrzeżenia. Caldan poczuł, że głowa mu pęka na dwoje, że nogi nie dotykają już ziemi. Rzeczywistość się zakrzywiła,

rozległ się głośny trzask, a potem do nozdrzy Caldana wtoczył się ostry swąd gorącego metalu i cytryny. Mało brakowało, a zwróciłby ostatni posiłek. Wszystko zrobiło się szare i świat zamazał mu się przed oczami. Zatoczył się i potknął, bojąc się, że nagle wyjdzie z rzemysłniczego okręgu. Tylko że wciąż nie czuł gruntu pod nogami. Miał wrażenie, że lata. Kolejny trzask. I jeszcze jeden.

Przed jego oczami zamigotały iskry, zalewając szarość kolorem, a potem zgasły.

Uderzył głucho o coś miękkiego. Otworzył usta, by zaczerpnąć tchu, ale nie mógł wciągnąć powietrza do płuc. Drapał palcami ziemię. Wreszcie odetchnął płytko, a potem znowu, nieco głębiej. Zakrztusił się powietrzem. Gdzieś obok ktoś wymiotował. Caldan dźwignął się do siadu. Leżał na ziemi zasłanej suchymi liśćmi. Nigdzie nie było śladu rzeki, okrętów ani Starorzecza. Znaleźli się w gęstym lesie, na tyle gęstym, by drzewa nie przepuszczały słońca.

Mazoet stał obok, patrząc na niego spokojnym, zabarwionym nonszalancją wzrokiem. Selbourne klęczał skulony na ziemi i ścisnął brzuch rękami. Wymiotował jeden z jego kompanów.

Z wypalonego w ziemi okręgu unosił się dym. Caldan oddychał przez nos, żeby pozbyć się z niego fetoru magii. Złapał wzrokiem jakieś kolorowe plamy wokół kręgu. To te kamienie, uświadomił sobie. To stąd ten trzask. Pękały od temperatury. Niszczyła je magiczna energia.

Caldan szybko sprawdził stan swojego symulakrum. Na szczęście nieuszkodzone.

Z daleka dobiegło ich zwierzęce wycie.

– Jukarowie – stwierdził Selbourne. Otarł ślinę z ust i wstał na nogi. – Do broni, chłopcy! To nie czas na zwiedzanie!

Dobyto broni, niektórych szybciej niż innych, a potem najemnicy rozeszli się wachlarzem w kierunku, skąd słychać było wycie. Osłonili się tarczami i ruszyli naprzód, podczas gdy Selbourne trzymał się nieco z boku, pewnie po to, by móc wziąć zamach ogromnym mieczem. Najemnicy mieli ponure miny, ale nie robili wrażenia wystraszonych.

Quiss mówił do Selbourne'a przepraszającym, lekko podniesionym głosem, tak by wszyscy słyszeli.

– Musimy w miarę możliwości powstrzymać się od czarowania.



– Znaczą tylko my będziemy walczyć? – Selbourne nie był tym uradowany.

– Ależ skąd. Jeśli zrobi się niebezpiecznie, pomożemy. Tyle że musimy zadbać o element zaskoczenia. Tam są też vormagowie. Zajmiemy się nimi, a przy odrobinie szczęścia wezmą nas za kolejny oddział Kołczanów ze wsparciem arcymagów.

– Jasne. – Selbourne podniósł głos: – Słyszeliście. Jeśli nawinie wam się vormag, na niego. A jak nie dacie rady, zostawić go czarodziejom. Plan znacie. Przebijamy się i idziemy dalej. Nie oglądamy się za siebie.

Caldan rozpiął klamrę i przełożył miecz na biodro. Nabrał tchu, wyjął miecz z pochwy i otworzył studnię.

Mazoet osadził mu rękę na ramieniu.

– Żadnej tarczy. Vormagowie i liczą ją wyczuwają.

Caldan niechętnie wykorzystał technikę, której nauczył się od czarodzieja, i zamaskował studnię. Ale przysunął do niej część swojej świadomości na wypadek, gdyby sytuacja się pogorszyła i użycie magii stało się nieodzowne.

– W którym kierunku mamy iść?

Czarodziej wskazał na południe, skąd dało się słyszeć skowyt.

– No jasne – mruknął Selbourne, a potem rzucił do swoich: – Oczuj dookoła głowy, panowie. Zostawiłem babę w łóżku i mam nadzieję wrócić, nim się obudzi.

Jeden z najemników prychnął śmiechem.

– I tak byś jej nie obudził tym swoim kozikiem.

Selbourne przybrał maskę urażonej dumy.

– Jestem tylko człowiekiem, a to demonica.

– Jak Charlotte usłyszysz, że tak o niej mówisz, urwie ci śliwki.

– Już ma je w garści!

Kolejna salwa śmiechu, ale już nieco wymuszona. Caldán wiedział, że próbują rozładować napięcie. Nie wiedzieli, gdzie się znajdowali i z iloma jukarami i vormagami przyjdzie im walczyć, a w dodatku gdzieś tam w mroku ukrywał się potężny czarodziej. Caldán nie mógł nie zapalać podziwem dla ich brawury i pewności siebie.

Ale zaraz, czy on powiedział „Charlotte”? Kapitan „Loretty”? Czy to dlatego Selbourne powiedział tamto o Mirandzie? I czy ona wie, że

kapitan jest tutaj?

Najemnicy weszli między drzewa, nie rozluźniając szyku i pilnując odstępów między tarczami. Selbourne posuwał się wraz z nimi z masywną klingą wspartą na ramieniu. Caldan ciągnął za nimi, a za nim Quiss i Mazoet oraz dwaj magowie.

Trącali nogami gąbczaste liście, prawie nie zostawiając śladów.

Pierwszy jukar, na którego się natknęli, stał plecami do nich. Pewien czas wspinali się po łagodnej skarpie, a on stał na szczycie wzgórza, patrząc w przeciwnym kierunku. Na szczęście szli pod wiatr.

Selbourne gestem kazał im się zatrzymać, a sam podkradł się do potwora, tak by sięgnąć mieczem jego odsłoniętych pleców. Stwór nie drgnął nawet wtedy, gdy najemnik stanął za nim i zamachnął się mieczem.

Coś pochłonęło całą uwagę jukara. Ale co?

Stał wżarła się w ciało, gruchocząc kości i przelewając czarną krew. Jukar zwalił się na ziemię, nie wydając dźwięku, z czaszką rozłupaną na dwoje. Selbourne kucnął przy zwłokach i spojrzał tam, gdzie znajdowało się owo coś, co przykuło uwagę potwora. Potem okręcił się przy ziemi i zakradł z powrotem do nich z niebywałą sprawnością jak na takiego olbrzyma.

– Tam w dole jest ich cały obóz. Panuje jakieś poruszenie, ale nie widziałem dokładnie. Widziałem za to vormagów.

– Kogoś jeszcze? Może człowieka? – wydusił z wysiłkiem Quiss.

Selbourne zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. Ale stoi tam namiot, co jest dziwne.

– W jakim sensie? – zaciekawił się Caldan.

– Jukarowie nie używają namiotów. Nie mają za wiele rzeczy. Cokolwiek go zamieszkuje, pewnie nie jest jednym z nich.

Caldan popatrzył na Quissa.

– Myślisz, że to on?

Mag zmarszczył się.

– Może i tak. Musimy się upewnić.

– Tam jest co najmniej kilkadziesiąt potworów. Nie poradzimy sobie z taką masą bez magii. Jeśli dalej upierasz się przy jej braku, to niewiele możemy zrobić.

Caldan bawił się pierścieniem i tarczowym rzemyśliwem. Miał też swojego wilka i żuka... Ten jeden drobny strumyk niezbędnego do zasilenia owada nie powinien zwrócić uwagi vormagów.

– Mogę zbadać namiot – zaoferował. – Zobaczyć, co jest w środku.



Stos szmat. Kępy trawy. Drewniana skrzynia z ciężkim zamkiem. I... Caldán zmrużył oczy w półmroku. Odruch, który niewiele mu teraz pomógł. Widział tylko to, co mógł zobaczyć żuk.

Tam, zaraz przy ścianie namiotu, znalazł coś jeszcze: kolejną, większą stertę szmat, z której wystawały wysuszone kości i metalowe przedmioty. Ale ta sterta była ubraniem... które miała na sobie leżąca tam postać. Zbyt wysoka, żeby być człowiekiem. Stopy owinięte skórą, szponiaste dłonie zaciśnięte w pięści, paznokcie wpite w skórę. Odcięta głowa spoczywała kilka stóp od ciała. Twarz... Daleko od namiotu, w trawie za wierzchołkiem wzgórza, Caldán zdrzął. Podsunął żuka bliżej do nieruchomej postaci. Owad poszedł po ścianie namiotu, wczepiając się ostrymi pazurkami w płótno. Ślepe, fioletowe oczy wyglądały z potwornej twarzy. Przypominała oblicze jukara albo vormaga, tylko większe... bardziej foremne.

Caldán zaczął się zastanawiać: jeśli jukarowie byli żołnierzami, a vormagowie czarodziejami, to kim był ten stwór?

W kącie poruszył się jakiś cień. I z mroku wynurzył się Amerdan. Caldán unieruchomił żuka i wstrzymał oddech.

Amerdan zatrzymał się i zmarszczył brwi. Przechylił głowę na bok i potoczył wzrokiem po namiocie, jakby czegoś szukał.

Caldán zauważył, że Amerdan się zmienił. Osobliwy sklepikarz był nieobecny, a w jego miejscu stał ktoś o wiele pewniejszy siebie i o wiele bardziej niebezpieczny. Lecz przecież Amerdan odpuścił pozory dawno temu, niemal natychmiast po opuszczeniu Anasomy. Jego twarz była beznamiętna, ale słuch znacznie mu się wyostrzył. Usta zastygły w sardonicznym uśmiechu.

Nagle Amerdan wzruszył ramieniem i wysunął coś spod koszuli: szmacianą lalkę, tę samą, którą Caldan widział na półce w jego sklepie. Posadził ją na skrzyni, układając nogi i resztę ciała tak, by się nie przewróciła i obserwowwała wnętrze namiotu. Klęknął przy niej i pocałował w szmaciany policzek. Oparł się na piętach i przez jakiś czas się nie poruszał. Pokręcił głową i machnął ręką.

On do niej mówi, uświadomił sobie Caldan. Zbyt cicho, by dosłyszał słowa przez rzemyśliwo. Wysłał magiczny puls do swojego symulakrum i kazał mu iść wolno po płóciennej ścianie do punktu, gdzie będzie lepiej widziało, co się dzieje, ale zanim żuk tam dotarł, Amerdan wstał. Sklepikarz obrócił się i raz jeszcze przesunął wzrokiem po wnętrzu namiotu. A potem spojrział pustymi oczami prosto na Caldana.

Przodkowie! Caldan wiedział, że został odkryty. Przekierował moc przez kolejny czarodziejski wzór pokrywający skorupę żuka i zamrugał, gdy feeria magicznych błysków w umyśle Amerdana poraziła jego magiczny zmysł.

Studnie. Całe mnóstwo.

Caldan poczuł, że ktoś szarpie jego połączenie z żukiem. Zaklął i sięgnął głęboko do studni, by mocniej ugruntować kotwicę. Czarodziejskie włókno owinęło się wokół jego łącznika i zaczęło się z nim siłować. Caldan o mało nie stracił kontroli nad rzemyśliwem. Miał wrażenie, jakby trzymał w ręku kulę, a ktoś odginał od niej palec za palcem. Opierał się z całych sił, jęcząc z wysiłku. Pot kapął mu z twarzy. Próbował wzbic żuka do lotu i uciec.

Bezskutecznie. Amerdan przejmował nad nim kontrolę. Jeszcze chwila i mu się to uda. A wtedy kto wie czy jak po nitce do kłębka nie podąży za jego strumieniami prosto do ukrytego na wzgórzu Caldana.

Chłopak zerwał połączenie i siły nacierające na żuka ustąpiły.

Strumienie odbiły i chlasnęły go po umyśle jak bicze.

Złapał się za głowę, sycząc z bólu.

Stojący obok Quiss osadził mu na ramieniu trupa rękę. Caldan zorientował się, że odrzut powalił go na kolana.

– Co widziałeś? – spytał Quiss.

Caldan pokręcił głową.

– Straciłem kontrolę...

– Wiem, też poczułem. Ale co widziałeś w namiocie?

– Był sam...

Caldan szybko streścił bieg wydarzeń, nie pomijając osobliwej dyskusji Amerdana z jego szmacianą lalką.

– Zachowywał się... jak wariat – powiedział.

– Jesteś pewny? – spytał Quiss. – A może ta lalka to też jakiś konstrukt? Co, jeśli ma duszę?

– Nie – odpowiedział Caldan. – Gdyby tak było, przecież bym wyczuł. To zwykła lalka. A potem, na końcu, gdy już wiedziałem, że mnie znalazł, usiłowałem sprawdzić jego studnię, byśmy wiedzieli, z czym się mierzymy... – Przeniósł wzrok na Quissa. – Było ich tak wiele.

Quiss zmrużył oczy.

– Ile? Jak silne?

Caldan sięgnął do pamięci i policzył jak umiał najdokładniej. Pogubił się w tej gmatwaninie; studnie zlały mu się w jedną świetlistą masę i musiał się zastanowić, nim udało mu się rozdzielić ją na poszczególne studnie. A z większością z nich było coś bardzo nie tak.

– Przynajmniej piętnaście – powiedział wreszcie.

Quiss zasyczał rozpaczliwie. Dwaj jego czarodzieje zaczęli się sprzeczać. Kobieta uklękała i zaczęła rysować po ziemi patykiem.

– Ale nie wszystkie były funkcjonalne – dodał Caldan pospiesznie. – Większość była zablokowana. Nie wiem czemu. Tylko kilka było otwartych, a nawet te były wyszczerbione. Pozostałe... – Znowu przywołał z pamięci odcisnięty w niej obraz. – Ktoś próbował je otworzyć, usunąć blokady.

Quiss kiwnął głową z namysłem.

– My tego nie potrafimy – przyznał. – Nie wiedziałbym nawet, jak się do tego zabrać. Ale jeśli przeniesione studnie samoczynnie się blokują, to trzeba je odblokować. Ale zaraz, to bez sensu. Niby skąd ten cały Amerdan wie, jak tego dokonać? Powiedziałeś, że nie jest czarodziejem. Czy to robota Dzwonków?

Caldan dźwignął się na nogi i otrzepał kolana.

– A kogóż innego? Ale ona nie żyje, więc nic nam nie powie.

Nic nie zaburzało zwyczajowych odgłosów nocy, co oznaczało, że z jakiegoś powodu Amerdan nie zaalarmował jukarów. Caldan

jednak nie miał gwarancji, że sklepikarz nie domyślił się, że to on. Może pomyślał, że to jakiś vormag usiłuje go podglądać? Widział rzemyślniczego psa Caldana, gdy opuszczali Anasomę, ale nigdy żuka. A teraz miał nad nim kontrolę.

Caldan powiedział o tym Quissowi.

Czarodziej wlepił wzrok w swoje dłonie.

– Jeśli w obozie nie ma zamieszania, to jesteśmy bezpieczni. Przynajmniej na razie.

Bezpieczni? Przecież mówili o Amerdanie! Byli bardzo daleko od bezpieczeństwa. Selbourne podszedł do nich, świdrując ich wzrokiem.

Pewnie chciał wiedzieć, jak przedstawia się sytuacja. Stał bokiem, żeby mieć jedno oko na wzniesienie i las, a drugim popatrywać na Caldana i Quissa.

– No cóż... – podjął Quiss. – Amerdan myśli pewnie, że nic mu nie grozi. Otaczają go jukarowie i vormagowie. Tylko człowiek pozbawiony sumienia mógłby spocząć w takich warunkach.

– On nie przypomina żadnego innego znanego mi człowieka – przyznał Caldane. – Myślę, że także jest Dotkniętym...

– Wspominałeś. Ale może wcale nie jest.

– Co masz na myśli? – wymówił Caldane. – Musi być.

Quiss podniósł rękę.

– Posłuchaj mnie. Ten jego talizman... on przenosi studnie, zgadza się?

– Pewnie tak – odpowiedział ostrożnie Caldane. Rozumiał, do czego zmierza Quiss, ale to wszystko tylko spekulacje. – Czy ty chcesz mi powiedzieć, że on robi coś więcej?

– To by miało sens. Może dopiero niedawno pierwszy raz użył go na czarodzieju. A więc inne jego zdolności pochodziły od zwykłych ludzi. Talizman potrafi przejmować także niemagiczne talenty. Albo ich część.

Caldane łypnął na Selbourne'a.

– Nieistotne. Rezultat jest ten sam. Umie poruszać się tak szybko jak Dotknięty. Ma też siłę Dotkniętego. A także przynajmniej piętnaście studni. Jeśli je odblokuje, mamy przechlapane.

Selbourne potwierdzał skinieniem każde kolejne zdanie Caldane.

– Zgadzam się. Musimy uderzyć od razu. Tak szybko i mocno, jak to tylko możliwe. Napad i wypad.

Wtedy uszu Caldana dobiegł jakiś dźwięk. Cicho zmaćcił odgłosy nocy, ale jednak dał się słyszeć. Caldan znał ten dźwięk... bzyczenie maleńkich, metalowych skrzydełek.

Zmrużył oczy w ciemności i sięgnął wprzód magicznym zmysłem.

– Mój żuk. Leci tu. Szuka.

– Naprzód! – odpowiedział Selbourne. Zwrócił się do Quissa. – Weźmiecie na siebie vormagów? Przynajmniej na chwilę?

Quiss kiwnął głową.

– Zrobimy to. Wy idźcie przodem. My bierzemy vormagów, wy jukarów. Uderzymy w namiot wszystkim, co mamy.

Cierpka ślina napłynęła Caldani do ust. Strach, uświadomił sobie, drżąc.

Ale musieli to zrobić.

Selbourne i jego ludzie ruszyli przed siebie. Pełzli przy ziemi, pokonując wzniesienie. Caldan poszedł za Quissem w lewo. Dwaj czarodzieje deptali im po piętach. Caldan dobył miecza, sprawdził rzemyśliwa i zacisnął pięści, by zdusić dygot. Serce waliło mu w piersi jak bęben. Czuł na wargach własny pot. Głęboko oddychał rześkim nocnym powietrzem.

Igły wbijały się w jego palec. Talizman.

Caldan przyjął ten ból. Musiał go czuć.

Na tej szalonej ekspedycji przyda mu się każda pomoc. Ale z tyłu głowy szeptała do niego natarczywa myśl...

To go zniszczy. Będzie taki jak Miranda. Nie wiedział tylko, w jakim stopniu. Ale musiał to zrobić.

– W porządku? – wyszeptał mu na ucho Quiss.

Caldan pokiwał głową. Kropelki potu spływały mu z twarzy.

Gdzieś przed nimi rozległ się bulgotliwy charkot. Jeden z ludzi Selbourne'a wyskoczył zza drzewa, a zaraz potem martwe ciało jukara zważyło się na ziemię. Caldan widział poniżej zarys namiotu Amerdana.

Ciężkie buciory tratowały trawę, trzeszczały skóry i dzwoniły pancerze, gdy cały oddział puścił się naprzód.

Gdzieś po ich prawej stronie zabrzmiało wycie, a z mroku wyłonił się następny jukar. Był niski i władał prymitywną włócznią, konarem obrąbanym z gałęzi. Ze wszystkich stron odpowiedział mu chóralny skowyt. Jukarowie wiedzieli, że tu są.

Selbourne oddzielił się od grupy i ruszył na pokurcza.

– Do mnie! – zawołał i uskoczył na lewo, nim pała grzmotnęła o ziemię tam, gdzie przed chwilą stał. Błysnęła stal i klinga najemnika wżarła się w kark potwora. Chlusnęła ciemna krew i stwór potknął się, charcząc kaszlem. Wtedy jeden z kompanów Selbourne’a dobił go ciosem w pierś.

Krew Caldana zagotowała się w żyłach, pałac go od wewnątrz jak potok lawy.

Gdy Selbourne zerwał się w kierunku namiotu, pobiegł za nim.

Najemnicy oflankowali ich i odbijali ataki jukarów. Caldan widział, że to twardziele, chłopcy wielkie jak dęby i silne jak woły. Ale jukarowie górowali nad nimi, śliniąc się i potworniejąc w mętnie rozświetlonym mroku. Caldan wyczuł, że Quiss otwiera studnię, i wtedy wokół jednego najemnika buchnęło światło. Jukar zamierzył się na niego toporem. Gdy przyjął cios na tarczę, ta rozpękła się na dwoje. Trysnęły iskry, gdy ostrze spadło na wojownika okrytego tarczą. Głownia nie wbiła się w ciało, ale trzask pękających żeber poniósł się po lesie i najemnik poleciał w tył.

Jukar ruszył naprzód, ponownie unosząc masywną broń. Caldan doskoczył do niego i stanął okraciem nad najemnikiem, gdy ten niezgrabnie zbierał się z ziemi.

Topór pomknął w jego kierunku jak stalowy grom. Caldan zwinął się błyskawicznie i odtrącił ostrze mieczem. Głownia wbiła się w ziemię. Jukar zatoczył się, lecz nim odzyskał równowagę, Caldan ciął go potężnie na odlew. Stwór zacharkotał i zwiotczał.

Caldan obrócił się, szukając wzrokiem Selbourne’a i Quissa. Czarodziej nagle stanął z nim twarzą w twarz, ale cofał się w kierunku Selbourne’a. Najemnicy otarli się o Caldana, przypadając do powalonego towarzysza. Upewniwszy się, że mają go pod pieczę, pobiegł do czarodzieja.

– Idą vormagowie – powiedział Quiss.

Caldan obrócił się i otworzył swoją studnię. Wyczuł kilka innych mknących w ich kierunku, nieregularnych i nienaturalnych, jakby



ktos wyrznanł je nozem w czasoprzestrzeni. Quiss powinien sobie z nimi poradzić.

Za nimi jukarowie przegrupowali się w małe oddziały, nie chcąc nacierać w pojedynkę. Niektórzy usiłowali kasać ich z flank. Zwierzące warczenie i wycie wypełniło powietrze, aż nie było słyhać nic poza krzykami potworów.

– Quiss! – zawołał Selbourne.

Caldan wyczuł gromadzącą się moc.

Połyskliwe światła rozdarły ciemność. Powietrze drżało. Oslepiająco jasne, zakrzywione jak szable włókna magii wiły się w eterze.

Jukarowie i vormagowie zasłonili się rękami, wrzeszcząc. Błysnęło jasne światło i krzyki ustały jak ucięte nozem. Zaskwierczało palone ciało. Powietrze zasnuło się kurzem, a ziemia zajęła ogniem od płonących stworów.

Vormagowe tarcze, osłony wzniesione przeciw stali i magii, rozpękły się pod naporem niszczycielskiej siły. Stwory wiły się i skręcały na ziemi, gdy szła po nie zagłada.

A Caldán zrozumiał. Pojął, jak Quiss to robił. Tarczopodobne łączniki zawierały furię studni. Mitygowały ją. Przypochlebiali się do niej. I kształtowały ją. A rozgorączkowana magia vormagów odpowiedziała na nie. Ale na próżno.

Tarcze rozprysnęły się pod ciosami światła, gdy dzikie pociski vormagów zostały wchłonięte przez czary Quissa.

Vormagowie albo umierali, albo już umarli. Jukarowie zalegali na ziemi, zmasakrowani płomienistym czarem, rozświetlający ciemność jak małe ogniska.

Oniemiały Caldán obrócił się do Quissa i z zaskoczeniem stwierdził, że czarodziej płacze. Łzy spływały mu po policzkach, żłobiąc linie w umorusanej popiołem twarzy.

I Caldán zrozumiał coś jeszcze. To była przerażająca moc, a efekty jej działania budziły odrazę. Plugawiły duszę czarodzieja. Odbierać życie z taką łatwością – czy to jukara, vormaga, czy człowieka – to potworność. Groteskowe nadużycie magii.

I coś jeszcze rzuciło mu się na myśl. Wokół zwęglonych trucheł jukarów i vormagów dymiała i pękała ziemia. Miał wrażenie, że rozpadają się cząsteczki powietrza, a wiatr kręcił chmurami pyłu.

Magia destruktywna nie służyła tylko do niszczenia wrogów. Niszczyła wszystko na swojej drodze. Ciało i kość, trawę i ziemię, nawet powietrze – wszystko zmieniała w popiół i sadzę.

Tak jak to miało miejsce podczas Zdruzgotania – magia, która wymknęła się spod kontroli, zerwała z łańcucha i pożarła cały świat.

Zrównała z ziemią całe miasta. Zdziesiątkowała ludzkość. Wyjałowiła żyzne niegdyś pola i bujne lasy, zatrąła rzeki i jeziora. Czy nie tym były kiedyś Spustoszone Ziemie?

Właśnie temu próbowali zapobiec Gazija i Quiss, ale moc, którą władali, robiła coś zupełnie przeciwnego.

– Dość! – krzyknął do Quissa. Vormagowie i jukarowie już nie żyli. Nie było sensu kontynuować.

Raptem światła zgasły. Quiss potarł policzki. Najemnicy wbijali w niego strwożone spojrzenia. Na twarzy Selbourne'a malował się ponury grymas.

Coś poruszyło się po ich lewej stronie. Amerdan wyszedł z namiotu.

Sklepikarz spojrział na dzieło zniszczenia i uśmiechnął się.

Uśmiechnął się.

Caldan zrobił krok w jego stronę.

A Amerdan puścił się biegiem. W jednej chwili zmienił się w rozmazaną w ciemności smugę.

Najpierw pomknął w ich stronę. Bryzgnęła krew i jeden z najemników zwałił się na ziemię. Wtedy Amerdan uciekł.

Caldan pognął za nim, słysząc tylko szaleńczy rytm swojego serca.

Selbourne ryknął coś, czego Caldan nie zrozumiał. Usłyszał za sobą ciężkie kroki, ale najemnicy nie mogli go dogonić.

Caldan przemknął obok dymiących ciał, nadwęglonych truchel zmasakrowanych potworów. Miażdżył pod nogami poczerniałe resztki, nie wiedząc nawet, co właściwie tratował.

Chłodne powietrze pieściło jego skórę, gdy gonił Amerdana. Zostawił za sobą splacheć poczerniałej trawy. Otworzył studnię i rzucił dokoła magicznym zmysłem.

Tam. Amerdan pędził slalomem między drzewami, co znacznie utrudniało pogoń, a czarowanie wręcz uniemożliwiało.

Caldan wpadł do suchego koryta rzeki i zwolnił. Amerdan wciąż miał przewagę, którą chłopak bardzo chciał zredukować, ale nie zamierzał złamać nogi na niepewnym podłożu. Kamienie stuknęły i osuwały się spod siebie, gdy po nich biegł. Koryto wiło się jak wąż i Caldan złapał wzrokiem Amerdana, nim ten znikł za zakolem. Gdy znów mignął mu na kolejnym zakręcie, Caldan pomknął brzegiem, mając nadzieję, że dobrze ocenił sytuację i uda mu się skrócić dystans między nimi.

Gdy znowu zeskoczył do kamienistego koryta, odkrył, że miał rację – Amerdan był już znacznie bliżej.

Migotliwe światło rozdarło noc. Caldan uchylił się i coś przemknęło nad jego głową. Uderzył w niego żar i zaraz się rozmył. Ale czar nie był tak stabilny jak magia Quissa, raczej chaotyczny, szarpany.

Co miało sens, bo nie licząc czasu spędzonego z Dzwonkami, Amerdan nie miał za wiele okazji, żeby porządnie nauczyć się magii.

Czaruje instynktownie. Ta myśl przeraziła Caldana, bo sam tak właśnie doszedł do swojej mocy.

Pośliznął się na luźnych otoczkach.

Amerdan obejrzał się na niego. W powietrzu dał się słyszeć jęk i Caldan rzucił się na ziemię, z miejsca osłonięty tarczą.

Drugi pocisk przeszedł mu nad głową, a potem kolejny. Zapach cytryny i gorącego metalu. Caldan przetoczył się na bok i chwycił za kamień. Serce waliło mu jak młotem, gdy dźwignął się na nogi i z całej siły cisnął otoczką w Amerdana.

Kamień rozbił się o jego tarczę. Czarną jak noc, oblepającą go niczym druga skóra.

Czarna otchłań w kształcie Amerdana zatrzymała się. Przez moment sklepikarz się nie poruszał.

A potem skoczył w jego stronę.

Strach ucapił Caldana za gardło, lecz chłopak zaraz złapał za miecz i wyciągnął ze studni tyle mocy, ile zdążył. Otoczył się tarczą, która zafalowała, gdy uderzyła w nią nawałnica magii.

Amerdan stanął dziesięć kroków przed nim. Ciemność poruszyła się, tak jak tarcza Caldana, ale leniwie, niespiesznie.

Noże ostre jak szpile wystrzeliły z końców czarnych ramion Amerdana.

Skóra Caldana zapłonęła ogniem. Nagle rozboleła go głowa.

Ostrza noży Amerdana uniosły się i wskazały oczy Caldana. Ten, nie myśląc, uniósł miecz i podłączył się do rzemyśliwa Dzwonków.

Żywcem, pomyślał. Muszę wziąć go żywcem. Musimy wiedzieć, jak to robi, żeby przygotować się na walkę z Kelhakiem.

– Twoi przyjaciele są daleko stąd – poinformował go Amerdan. – Nie pomogą ci teraz.

Caldan rzucił się na niego, wyprowadzając pchnięcie całym ciałem. Sklepiarz odbił klingę i odchylił się na bok. Wtedy lewa pięść chłopaka wbiła się z całej siły w twarz Amerdana. Caldan miał wrażenie, jakby uderzył w twarde, nieustępliwe kowadło, w nadgarstku coś mu chyba pękło, bo poczuł ból. Zaklął.

Noże poleciały w jego stronę. Z łatwością ich uniknął, lecz te nie przerywały ataku, poruszając się coraz szybciej. Jeden zsunął się po jego tarczy, krzesząc iskry.

Amerdan był silny, nawet bardzo silny. Zwinny, obdarzony prędkim refleksem, takim, jakim dysponował teraz Caldan. Ale jak silny i jak szybki jest naprawdę? Jak wypadł w porównaniu z Caldaniem?

Chłopak zmienił taktykę. Jeśli będą się bić na siłę, o wyniku starcia zadecyduje przypadek. A nie miał zamiaru oddawać nic w ręce przypadku. Potrzebował planu, który nie polegał wyłącznie na sile.

Odtańczył poza zasięg sztyletów. Amerdan nie przyskoczył do niego, ale jego noże wciąż rysowały wzór w powietrzu.

Nie, tego starcia nie rozstrzygnie siła fizyczna, zdecydował Caldán. A przynajmniej nie tylko moja własna...

Wydał rozkaz swojemu wilczemu symulakrum i mechanizm wyskoczył z ciemności. A jego szczęki zamknęły się na ramieniu Amerdana. Ciężko zaszałotał się, zamachał czarnymi ramionami i ostra stal drapnęła płytę kowalotwórczego pancerza. Amerdan zatoczył się, a potem wczepił palce w konstrukt. Szarpnął z mocą, ale wilk był wykonany solidnie i wytrzymał kontratak.

Wtedy Caldán wydzielił ze studni trzy kolejne strumienie i podłączył je do symulakrum – do run, które skopiował ze strzał Joachima.

A tarcza Amerdana obwiedła. Caldan niemal się przez nią przebił.

Zacisnął szczęki i wydobył ze studni więcej mocy. Wypłynęła z niego, zapulsowała, biegnąc strumieniami prosto do konstruktu. Poczul, że Amerdan czerpie głęboko ze studni, lecz choć miał ich więcej, były wąskie i chropowate.

Jego tarcza zgasła.

Twarde, ostre, metalowe zęby wbiły się w ciało i skrobnęły o kość.

Amerdan zaszamotał się, okładał pięściami płyty pancerza, a oddech uchodził z niego z sykiem przez zacisnięte zęby.

Zdyszany Caldan rzucił się naprzód, biorąc zamach mieczem. Amerdan okręcił się i obrócił, machnął wczepionym w rękę konstruktem, a ten uderzył z mocą w Caldana. Chłopak poleciał do tyłu, prosto na twarde kamienie. Uderzył plecami o podłoże. W jego polu widzenia rozbłysły iskierki. Stracił połączenie z tarczą.

Amerdan był już na nim, wlokąc za sobą wilka. Przygwoździł Caldana do ziemi całym ciężarem i ścisnął jego boki kolanami. Błysnęła stal.

Caldan w desperackim zrywie wyrzucił ręce w górę. Coś zapłonęło wzdłuż jego ramienia. Nóż rozrzynał mu ciało.

Z całej siły pchnął Amerdana w pierś. Ten warknął, zirytowany oburęcznym ciosem. Caldan czepiał się rozcapierzonymi palcami koszuli Amerdana. Strzeliły zrywane guziki. Chwyciwszy materiał lewą ręką, prawą wyprowadził cios.

Ale Amerdan był niewzruszony. Z nieludzką siłą przygwaździł Caldana do ziemi. Błysnął w uśmiechu zębami zabarwionymi własną krwią.

Caldan w porę ujrzał opadający ku niemu nóż. Zablockował cios zgiętym ramieniem. Klinga zatrzymała się o cal od jego oka. Caldan usiłował odebrać Amerdanowi broń, pchając ze wszystkich sił. Ostrze drgnęło o pół cala, a potem szarpnęło się w lewo i prawo, gdy zmagali się ze sobą, siła mięśni przeciw sile mięśni. Pot Amerdana kapał na twarz Caldana, mieszał się z potem chłopaka i wsiąkał w wysuszone podłoże.

Metalowy wilk górował wysoko nad nimi, przysłaniając gwiazdy. Wciąż trzymał ramię Amerdana, który znowu zamachnął się nim,

chcąc zmiażdżyć przeciwnika jego własnym konstruktem. Wtem paszcza symulakrum otworzyła się i pozbawiona obciążenia pięść wbiła się w twarz Caldana. I znowu.

A potem jeszcze raz.

Caldan poczuł, że coś pęka. Z rozbitego nosa poląła mu się krew. Zawiercił się, zaszamotał, rozpaczliwie szukając okazji, żeby się uwolnić. Ale był w tak beznadziejnej pozycji, że mógłby się szarpać do rana i nic by nie wskórał.

Ponownie spadła na niego pięść Amerdana, twarda i ciężka jak młot.

Świat zamazał się Caldanowi przed oczami, ciemność zamajaczyła na obrzeżach pola widzenia i zaczęła się rozrastać, tłumiąc światło. Rozrzucił szeroko nogi i zebrał się w sobie. Wolną rękę znowu wczepił w koszulę Amerdana. Zacisnął w pięści luźny materiał. Jego magiczny zmysł zamrowił i znajoma wibracja przetoczyła się po nim jak fala.

Talizman. Ten talizman.

Ręka Amerdana zacisnęła się na dłoni Caldana i ścisnęła mocno.

– On jest mój! – charknął.

Caldan postanowił wykorzystać ten moment.

Rzucił Amerdana na bok i potoczyli się po kamieniach. Zdołał złapać rękę ściskającą sztylet i siłą wyprostował Amerdanowi ramię. Przeciwnik znów był górą. Przez chwilę leżeli tak, ciężko łapiąc hausty powietrza, spływając potem, z zaciśniętymi mocno powiekami i obnażonymi zębami, z wykrzywionymi dziko twarzami.

Amerdan zawarczał i Caldan poczuł, że mięśnie sklepikarza drżą z wysiłku. I z każdym kolejnym uderzeniem serca opadał z sił, ustępując pod naporem. Albo Caldan był silniejszy... albo Amerdan szybciej się męczył.

Sklepikarz chyba też to poczuł. Szarpnął się i dopchnął przeciwnika do ziemi, rzucając się jak szalony, ale Caldan trzymał się mocno.

Ścisnął pięść jeszcze mocniej, czując, jak jego pierścień wrzyna się głębiej w ciało. Cokolwiek się działo, umiejętności Dotkniętego, które zdawał się posiadać Amerdan, były ograniczone. Sklepikarz robił się coraz wolniejszy i słabszy.

Caldan szarpnął się i znowu rzucił Amerdana na ziemię. Teraz to on był górą. Ich nogi splotły się, uniemożliwiając ruch.

Z przeciętej wargi Caldana kapąca na Amerdana krew. A jego nóż zawisł złowroźbnie nad twarzą sklepikarza.

Amerdan zaśmiał się, ale wciąż wpatrywał się w swój talizman.

Więc o to mu chodzi, uświadomił sobie Caldan. On nie chce mnie ot tak zabić. Chce odebrać mi studnię, a kto wie co jeszcze robi ten dziwny talizman.

– Nie rób tego – wyrzucił Amerdan. – Jesteśmy podobni. A razem możemy być czymś więcej. Czymś znacznie więcej, Caldanie.

– Zabijesz mnie.

– Nie! Połączymy się ze sobą. I razem będziemy czymś wspanialszym niż osobno.

Amerdan dalej się szarpał, lecz Caldan wyraźnie czuł, że słabnie.

Może to tylko kolejny podstęp? Nie ufaj niczemu, co on robi, napomniał siebie.

Stęając z wysiłku, Caldan dopchnął zakrwawioną rękę bliżej do Amerdana, a wraz z nią nóż z drapieźnie sięgającym ku jego twarzy ostrzem. Sklepikarz zadygotał pod Caldanem, a potem odepchnął od siebie nóż. Ale jeśli odzyskał siły, to tylko na chwilę. Caldan naparł na niego całym ciężarem ciała, aż poczuł, jak rękojeść noża styka się z jego piersią.

A ostry jak igła czubek wpił się w skórę Amerdana. Kropelka krwi wykwitła wokół ranki.

– Nie... – szepnął Amerdan. – Kropka.

Caldan skrzywił się, nie rozumiejąc.

– One się boją! – wrzasnął mu w twarz Amerdan. Osobliwy uśmiech wykrzywił jego wargi, a potem wstrząsnął nim szloch. – Proszę, nie.

Co się dzieje? Amerdan w okamgnieniu zmienił się nie do poznania. Skąd ta nagła przemiana? Wymęczone ramiona Caldana drżały, ale zachował jeszcze sporo siły.

Korytem rzeki poniosły się krzyki. Selbourne i jego ludzie. Amerdan zaszamotał się na nowo. Szarpnął się pod Caldanem, szukając sposobności do odzyskania utraconej przewagi. Nie zwracał uwagi na nóż, który kreślił jego pierś krwawymi kreskami.

Caldan za nic nie pozwalał się zrzucić.

Więcej krzyków. Tym razem dobiegały skądś bliżej.

Amerdan nerwowo zerknął w ciemność. Po czym, nagle, przestał się rzucać. Wbił w Caldana intensywne spojrzenie.

– Jest w Anasomie uzdrowiciel – powiedział, jakby ktoś wywłókł mu te słowa z gardła. – Nazywa się Zakarius i jest łysy. Znajdź go. Opiekuje się moją siostrą i jeszcze dwojgiem dzieci. Obiecuj mi, że zatroszczysz się o nich.

Czy Caldانowi tylko się zdawało, czy rzeczywiście Amerdanowi głos się załamał? I dlaczego prosi go o coś takiego? Czy jest aż tak... zdesperowany?

– Sam się o nie zatroszczysz. My chcemy tylko... zbadać, czym ty jesteś.

Amerdan zaśmiał się, jakby Caldان sypnął niefrasobliwym żartem.

– Przyrzeknij mi.

Zmieszany Caldان kiwnął głową.

– Dobrze, przyrzekam.

Amerdan rozluźnił się nieco.

– Czarodzieje – wysyczał, a Caldان nigdy nie słyszał, by mówił z taką nienawiścią. – To zło wcielone. Zapamiętaj to sobie.

– Wiem coś o tym, ale masz moje słowo, że nie wyrządzimy ci krzywdy – odrzekł Caldان, chcąc go ośmielić. – Uwierz mi.

– Nie jestem niewolnikiem – rzucił stanowczo Amerdan.

– Ależ my nie...

– Nie dam się znowu uwięzić. Ani torturować.

– Amerdanie...

– Jeśli nie mogę mieć twoich talentów, stanę się częścią ciebie.

Co? I wtedy Caldان zrozumiał rozkład sił między nimi: Amerdan na ziemi, on na nim, nóż ostrzem do dołu i krwawe ślady na obojczyku i piersi Amerdana. Jedynym, co powstrzymywało sztylet przed wbiciem się w jego ciało, był opór sklepikarza.

– Nie rób tego – prosił Caldان.

– Staniesz się potężny ponad swoje najśmielsze wyobrażenie. Przeistoczysz się w coś... znacznie silniejszego od człowieka. To ciało to tylko naczynie, ale zawartość, Caldanie...

Choć Amerdan był młodym człowiekiem, jeszcze nie w sile wieku, miał oczy mędrca. To mądrość czy może szaleństwo? A może



jedno i drugie?

Nagły ruch; Amerdan przyciągnął do siebie rękę Caldana. A sztylet wsunął się między jego żebra. Amerdan rozdziawił usta i buchnął oddechem.

Światło i ciepło emanowało z ręki Caldana. Talizman. Usiłował wyciągnąć nóż, ale Amerdan mocno go trzymał.

– Razem – wyszeptał sklepikarz – będziemy jeszcze wspianalsi.

– O czym ty mówisz? Co to w ogóle znaczy?

– Zobaczysz.

Połykujące białe światło pełzło po zaciśniętej pięści Caldana.

Pojedyncze włókno. Falujące na wietrze jak lodyga wielkiego kwiatu. Caldan odskoczył, przerażony. W kilka chwil włókno rozrosło się i wydłużyło, po czym popęzło w kierunku szyi Amerdana. Wczepiło się w niego. Caldan wyczuwał je, wyczuwał jego magię. A potem włóknem popłynął puls. Caldan usiłował otworzyć dłoń i puścić talizman, ale nie mógł. Bo Amerdan trzymał go za rękę. Na twarzy sklepikarza pojawił się uśmiech. Nie był to wyszczerz szaleńca ani złowieszczy grymas zabójcy.

Raczej... ulga?

Gdy zgrubienie lodygi dopełzło do jego ręki, w umyśle Caldan wybuchł oślepiający ból. Wrzasnął, nim zdołał się powstrzymać. Mordercze ciśnienie narosło w jego czaszce. Jakaś siła ścisnęła mu mózg do rozmiarów orzecha. Caldan zawył, gdy drugi puls wybrzmiał w jego ciele. A potem kolejny. Wstrząsnęła nim płomienna agonia. Łzy poląły mu się z oczu. Ból... Caldan nie umiał stwierdzić, jak długo wstrząsały nim paraliżujące spazmy. Ale w końcu zelżały, a potem całkowicie zniknęły.

Caldan padł na rozciągniętego na ziemi Amerdana. Skądś blisko rozbrzmiały krzyki. A zaraz potem na kamienistym podłożu wyschniętej rzeki zadudniły kroki. Caldan otworzył oczy i ujrzał pod sobą groteskowe, stuletnie zwłoki o poszarzałej i wysuszonej skórze. Zupełnie jakby leżały zmumifikowane w jakimś grobowcu, a teraz wyciągnięto je na światło dnia. Zaledwie strzęp człowieka, martwa skorupa pozbawiona wszelkiej witalności żywego ciała.

Caldan odtoczył się na bok, zdyszany i wykończony do tego stopnia, że ledwo miał dość siły, by opierać się na roztrzęsionych

ramionach. Smród trupa powalił go na ziemię, wydusił z niego mdłości.

Selbourne wbiegł w pole widzenia Caldana. Z twarzy najemnika lał się pot. Miecz trzymał w obu rękach. Zwolnił kroku i ostrożnie podszedł bliżej.

– Tutaj! – ryknął.

Z ciemności odezwały się krzyki.

– Żyjesz?

Caldan kiwnął głową. Usiłował coś powiedzieć, ale usta nie chciały go słuchać. Przełknął ślinę. Wreszcie zdołał wykrztusić:

– Chyba tak. On... się zabił.

Kilka kroków dalej stało w bezruchu symulakrum. Pancierz wilka był podrapany i wgnieciony w kilku miejscach. Selbourne mruknął coś pod nosem, skupiwszy wzrok na rękojeści sterczącej z piersi Amerdana.

– Wygląda, jakbyś mu pomógł. Zresztą nie tylko nożem. Zrobiłeś coś jeszcze.

– Wcale nie. To on przyciągnął do siebie ostrze.

– Skoro tak twierdzisz.

Caldan milczał. Nie był w nastroju do kłótni. Zaczynało docierać do niego, co tak naprawdę zrobił mu Amerdan. Miał mętlik w głowie. Czuł się splugawiony, pohańbiony za sprawą ohydnej magii.

Uświadomił sobie, że wciąż ściska w dłoni talizman. Otworzył pięść i znalazł w środku sferyczną metalową kłateczkę wykonaną z wielu ciasno splecionych drutów. Gdy nią poruszył, zagrzecotała. Zmrużył oczy, ale nie mógł zobaczyć, co jest w środku.

Dźwignął się z trudem na nogi i odszedł dwa kroki od zwłok Amerdana. Był jednocześnie wycieńczony i pobudzony. Osobliwe uczucie. Zadrżał, gdy przetoczyła się po nim fala gorąca. Przypominała to, co działo się z nim podczas szału Dotkniętego, ale była jednak zupełnie inna. Tamto uczucie było przypisane do ciała, a to... to było coś zupełnie innego.

Usłyszał stukot otoczków i trzask suchych gałązek. Caldán czekał, aż dołączy do nich Quiss.

Selbourne chyba wyłapał, jak Caldán się czuje, i taktownie milczał. Ukląkł przy trupie Amerdana i dźgnął palcem wybrzuszenie

pod jego koszulą. Sięgnął pod spód i wyciągnął szarą szmacianą lalkę.

Caldan skupił wzrok na poplamionej i połatanej zabawce. Zwykła szmacianka, jaką bawiły się małe dziewczynki. Nie znał historii Amerdana, ale cokolwiek go spotkało, jego umysł źle to zniósł. Jego dusza została upodlona. Zabijał dla przyjemności i po to, żeby zawałdnąć kimś innym. Ostatecznie przywiodło go to do szaleństwa.

Czy Caldana czeka ten sam los? Nie wiedział, jak talizman go zmienił, ale co do tego, że zmienił, Caldán nie miał wątpliwości.

Z mroku wynurzył się Quiss. Caldán ostrożnie sięgnął do własnego umysłu i zaczął szukać. Nie swojej studni, ale innych. I jego oziębiały umysł znalazł je i policzył.

Jedenaście.

Jakimś sposobem dusza Caldána została zespolona z innymi. Burzyły się w jego ciele, mieszały i zmieniały go... Tak samo jak roztopiony metal i bryłki rudy mieszały się w tyglu, wiele dusz kłębiło się w ciasnym naczyniu jego ciała. Wiedział, że były one częściami innych czarodziejów. Ludzi takich jak on, którzy mieli marzenia i nadzieje. I ci wszyscy ludzie zostali zamordowani, gdy już odebrano im źródła ich mocy.

Caldán czuł się brudny.

Stałem się tym, z czym przysięgłem walczyć, skonstatował.

Ale z jakiejś przyczyny nie wszystkie dusze pochłonięte przez Amerdana przeniosły się do jego ciała.

Większość, ale nie wszystkie. Były zablokowane, tak jak Caldán się spodziewał. Zakrywały je twarde i śliskie pokrywy – wszystkie poza jedną, z której wylewał się wąską szczeliną cienki strumień mocy.

Uświadomił sobie, że Dzwonki musiała otworzyć Amerdanowi przynajmniej jedną. Pokazała mu drogę, którą podążył. Po tym pewnie stała się dla niego bezużyteczna, więc ją zabił.

– Caldán!

Quiss. Był już blisko. Caldán wiedział, co musi zrobić. Otworzył własną studnię i ukrył ją, tak jak go nauczono, korzystając ze swojej mocy, aby schować ją i zamaskować, zostawiając tylko mętny cień, widoczny jedynie dla magów. Następnie odciął studnię ze szczeliną i całkowicie ukrył wszystkie pozostałe. Quiss nie może się o nich

dowiedzieć. Nikt nie może się o nich dowiedzieć. Caldan obawiał się, że sam przemieni się w licza lub że jego towarzysze tak go nazwą. Mówili tak przecież o cesarzu i Kelhaku.

Quiss podbiegł do niego, potykając się na nierównym podłożu.

– Znowu wyczułem wybuch złożonej magii. A potem studnie licza zniknęły. Co się stało?

– To musiała być jego tarcza – odparł Caldan, szybko obmyślając kłamstwo. – Była czarna, tak jak kopuła przywołana przez Dzwonki w obozie cesarza. Studnie musiały zniknąć, gdy go zabiłem.

– Dobra robota – pochwalił Quiss. Chyba czuł ulgę. – A gdzie talizman?

O przodkowie...

– Mam go...

– Daj mi go. – Quiss wyciągnął rękę.

– Najpierw stąd uciekajmy. Vormagowie i arcymagowie pewnie już wyczuli, co się stało.

– Dobrze gada. Zmywajmy się – poparł Caldana Selbourne. – Choć główne zagrożenie zostało zneutralizowane, a Quiss poradzi sobie z każdym vormagiem, który się napatoczy.

Quiss zwęził powieki, wpatrując się intensywnie w Caldana.

– Daj mi go – powtórzył.

Zbadanie talizmanu mogło być jedynym sposobem na odwrócenie tego, co zrobił mu Amerdan. A co więcej, może także stanowić klucz do pokonania Kelhaka. Dał Quissowi talizman, choć niechętnie.

Korytem rzeki przetoczył się powiew wiatru, który zmroził spoconego Caldana do szpiku kości. Wyczuł w powietrzu woń pyłu. Amerdan odnalazł okropieństwa i nurzał się w nich z upodobaniem. Odnalazł kielich wypełniony złem i wypił go do dna.

A potem zmusił Caldana do tego samego.

Caldan odwrócił się, nie zważając na Quissa i Selbourne'a. Podbiegli pozostali najemnicy, wreszcie ich doganiając.

Caldan spojrział przez rzekę na staw. Podszedł do niego chwiejnym krokiem. Po drodze zrzucił z siebie koszulę, a potem zdjął buty i spodnie. Stał nagi jak w dniu, kiedy przyszedł na świat.

Wszedł do wody i szedł, aż tafla nie sięgnęła do pasa. Wtedy zanurzył w stawie głowę i spryskał tors i ramiona. Zmył z twarzy krew i przepłukał usta.

Kłopot w tym, że był boleśnie świadomy faktu, że to nie zmyje z niego tego, czym splugawił go Amerdan.



**V**asil z niechęcią opuścił kuchnię Kołczanów i zaczął torować sobie drogę przez obozowisko. Szedł ścieżką wijącą się między skupiskami namiotów i wozów, niosąc tacę z mięsem, warzywami i chlebem.

Caitlyn wydała rozkaz, a on go wykonywał. Sędziego otaczały chmury zapachów: dym, konie, pot. Potknął się o mocowanie namiotu i niemal opuścił jedzenie. Ktoś po lewej zaśmiał się z niego, ale Vasil nie słuchał.

Caitlyn była... odmieniona. Zupełnie nie ta sama osoba. Vasil rozmyślał o tym z zaciekawieniem, ale bez zdumienia. Jak wielką mocą władał cesarz, skoro był w stanie uleczyć kogoś do tego stopnia? To tłumaczyło łaknienie i zawiść na twarzach lizusów i klakierów zebranych tamtego dnia w komnacie audiencyjnej.

Vasil wrócił do obozu i postawił tacę przy ogniu. Aidan podziękował mu skinieniem, ale nie ruszył się z miejsca. Siedział tak cały dzień, odkąd odmłodzona Caitlyn wyszła z namiotu. Wstawał tylko po to, żeby się wysikać i najeść.

Vasil wrzucił więcej torfu do ogniska i usiadł obok. Napiłby się gorącej herbaty. Choć nie było wcale tak zimno, czuł, że marznie.

– Ślepe dziecko obróciłoby tam i z powrotem szybciej od ciebie – obsztorcowała go Caitlyn zza pleców.

Vasil dźwignął się na nogi. Otrzepał ręce, a potem postawił czajnik na węglach.

– Odkryście, co to była za burza wczoraj? To nie było naturalne.

Kłębiące się chmury i tornada pojawiły się znikąd i zakryły słońce, a potem rozległa się kanonada wybuchów i eksplozji, nim wszystko ot tak znikło. Z tego, co podsłuchał u żołnierzy, wynikało, że arcyomagowie zostali zaatakowani i że zginął ktoś ważny.

– Tym się nie przejmuj, Vasilu – odparła krótko dowódczyni. – Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

– To nie jedyna nienaturalna rzecz, która się wydarzyła – warknęła Aidan.

Vasil popatrzył na Caitlyn. Tak jak ostatnio, zadziwiła go jej przemiana. Nie utykała już, nie garbiła się, obwisła wcześniej skóra była jędrna jak u młodej kobiety, a głos miała mocny i władczy.

Nie tylko ozdrowiała, ale kuracja cesarza widocznie ujęła jej lat.

Emanowała wdziękiem i autorytetem. Jej słowa ociekały przekonaniem. Vasil już rozumiał, dlaczego Aidan i pozostali poszli za nią.

– Co to za ważniejsze sprawy? – spytał Vasil. – Gdzie jest cel Rau?

Caitlyn zignorowała go i wzięła z tacy kilka talerzy, a potem usiadła na stołku. Zaczęła pochłaniać jedzenie jak ktoś umierający z głodu.

Od tamtej nocy, którą spędziła, krzycząc, jadła za nich wszystkich.

Jej ciało pewnie wciąż się zalecza, uznał Vasil. Aidan miał rację. To nie było normalne.

Caitlyn z gracją uniosła widelec, przeżuwaszając jedzenie. W drugiej ręce trzymała otłuszczony nóż.

– Rozkaz cesarza. Istnieje coś ważniejszego? Czekamy na jego znak. A potem ruszamy. Dopiero wtedy, nie wcześniej. – Podkreślała wagę swoich słów, rytmicznie machając sztucem.

Vasil wołał się odsunąć. Odkąd cel Rau przytknął mu miecz do gardła, czuł się niepewnie w pobliżu ostrych przedmiotów.

Gdy woda się zagotowała, zalał herbatę i usiadł z powrotem. Niedługo potem do obozu wrócił cel Rau. Wyszczierzony jak wilk.

– Lady Caitlyn – zawołał – mamy misję do wykonania.

Caitlyn odpowiedziała uśmiechem.

– Doprawdy?

– Lady Porhilda nakazała nam spotkać się we wschodnich dokach z lady Felicienne Shyrise.

Vasil westchnął i przetarł oczy. Przełknął dwa łyki herbaty i wrzucił fusy do ognia, gdzie zasyczały i poszły z dymem. Rozejrzał się i napotkał spojrzenie Aidana. Były dowódca skinął lekko głową. Dobrze. Przemiana Caitlyn zdumiała ich obu, ale Aidan ciężko to przeżywał. Od uzdrowionej Caitlyn o wiele trudniej będzie mu uciec. O uporaniu się z cel Rauem nie wspominając. Vasil wskazał gestem ognisko i talerze.

– Ogarniemy się i ruszamy.

Caitlyn zaprotestowała ruchem głowy.

– Jak już mówiłam, mamy ważniejsze sprawy na głowie. Zostawcie wszystko i idziemy.

Vasil wzruszył ramionami.

– Tak jest.





**G**dy Caldan wyszedł ze stawu i stanął, ociekając wodą, na obłych kamieniach, Selbourne podał mu ubranie. Przyjął je, dziękując skinieniem, i zaczął się wolno odziewać. Było brudne od ziemi i potu oraz wcale niemałej ilości krwi, ale przecież nie mógł wejść na pokład nagi.

Zresztą było zimno.

Quiss kucnął kilka kroków od grupy. Wszyscy najemnicy byli zbryzgani czerwienią. Co niespodziewane, brakowało tylko jednego.

Tego, który został zabity przez Amerdana, gdy sklepikarz uciekał.

Quiss przyglądał się talizmanowi Amerdana. Badał go magicznymi zmysłami. Pozostali dwaj magowie stali kawalek dalej, nie odrywając od niego wzroku.

– Zmieniłeś się – rzucił szorstko Selbourne. – Co się stało?

Caldan spojrział na niego i wzruszył ramionami.

– Walczyliśmy. Prawie mnie zabił.

– Stało się coś jeszcze.

Caldan puścił jego słowa mimo uszu.

– Co działo się u was po ucieczce Amerdana? Nie spodziewałem się szybko was znowu zobaczyć, jeśli w ogóle.

– Gdy pogoniłeś za liczem, przegrupowaliśmy się. Okazało się, że nie bardzo było z kim walczyć. Natknęliśmy się na wielu martwych jukarów i vormagów. Jakby starli się z silniejszym przeciwnikiem. Piękny widok, i nie tylko dlatego, że robota okazała się łatwiejsza.

Amerdan ich pozabijał. Bo był szalony? Czy dlatego, że chciał pochłonąć ich swoim talizmanem? Tak czy owak, ostatecznie nie miało to znaczenia. Amerdan nie wiedział, że po niego idą, a jego czyny znacznie ułatwiły im zadanie.

Caldan tylko wzruszył ramionami. To już przeszłość. Teraz musiał skupić się na przyszłości. Na pracy z Quissem, na znalezieniu sposobu na pokonanie Kelhaka, a to wszystko przy jednoczesnym ukrywaniu swoich nowych – i aktualnie bezużytecznych – studni. Co samo w sobie przedstawiało problem, bo czy Caldán powinien w ogóle je otwierać? Już sama myśl przejęła go trwogą, lecz z drugiej strony ten dodatkowy zasób mocy mógł się przydać w walce z Bogiem-Imperatorem.

W klasztorze musiał po prostu wykonywać swoje obowiązki i chodzić na zajęcia, a resztę czasu mógł przeznaczyć na życie. Tam każde pytanie miało przypisaną klarowną i oczywistą odpowiedź. Mnisi wyszkolili go w wielu dziedzinach, ale zapomnieli wspomnieć, że poza murami klasztoru nie ma prostych odpowiedzi.

Bo nawet gdyby chciał odblokować każdą studnię, wiązało się to z koniecznością zawładnięcia dodatkowymi strumieniami – dodatkowymi w stosunku do tych, którymi już władał. Nie był „posokowcem”, jak nazywała ich Dzwonki. Nie posiadał naturalnego

talentu do wydzielania ich ze studni tuzinami. Tu gdzie był teraz, dotarł ciężką pracą.

– Coś cię gnębi? – zaciekawiał się Selbourne.

Caldan przywołał na twarz ciasny uśmiech.

– Im szybciej stąd odejdziemy, tym lepiej. Warto Quissowi przypomnieć. Musimy wracać. Zanadto jesteśmy wystawieni na atak.

Selbourne potwierdził mruknięciem.

Szybko sprawdziwszy, czy studnie rzeczywiście ma schowane, Caldán podszedł do Quissa i Mazoeta. Jeśli czarodzieje usłyszeli jego kroki, nie dali po sobie poznać. Trwali w bezruchu, całkowicie skupieni na talizmanie.

– Zgaduję, że nie domyśliliście się jeszcze, jak działa? – zagadnął Caldán.

Quiss zmarszczył brwi i nos.

– Odkrycie tego zajmie długi czas i będzie wymagało gruntownych analiz. A potem będziemy musieli jeszcze wymyślić, jak wykorzystać zdobytą wiedzę w walce z Kelhakiem.

Mazoet zerknął przelotnie na Caldana, nim wrócił spojrzeniem do talizmanu, a potem zamarł na moment i znowu zwrócił się przodem do chłopaka.

– Wyglądasz inaczej.

Caldan zbył uwagę parsknięciem.

– Selbourne powiedział to samo. Pierwszy raz ktoś popełnił samobójstwo moją ręką.

– Tak, to chyba rzeczywiście rzadkość – przyznał Mazoet.

Muszę pokierować Quissa i Mazoeta na właściwe tory i odwrócić od siebie ich uwagę, spanikował Caldán. Wskazał talizman głową.

– Powiedziałaś, że nie używacie niczego podobnego, dobrze pamiętam?

– Owszem – odrzekł Quiss. – Przyznaję, że jesteśmy ignorantami w sprawie talizmanów i rzemyśliw, których używamy w bardzo wąskim zakresie, jako dodatków przy machinacjach wymagających znacznych nakładów surowej mocy. To chyba jeden z powodów, dla których Gazija był tak zaintrygowany twoimi konstrukcjami.

– To właściwie dobrze się składa – mruknął Caldán.

– Jak to? – nie zrozumiał Mazoet.

– Wybacz, tylko głośno myślę. Ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej dociera do mnie, że talizmany i konstrukty są o wiele bardziej podobne do siebie, niż początkowo myślałem.

– Doprawdy?

– Bo tak samo jak symulakra, talizmany to tylko bardziej skomplikowane rzemyśliwa. Są wykonane z bardzo twardego stopu, ale ostatecznie to wciąż tylko magia.

– Mów dalej.

– Uważam, że ludzie studiowali je od tak wielu lat głównie dlatego, że są cenne. Dosłownie zabijali się o nie. Dlatego nikomu nigdy nie przyszło do głowy, żeby jakiś zniszczyć.

– Ale ty zniszczyłeś, dobrze rozumiem?

– Tak. Znalazłem pewien pierścień. I po wykonaniu mojego ostatniego symulakrum za pomocą kowalskiego młota zasilanego kołem wodnym przeciąłem ten pierścień na pół. Wewnątrz znajdowało się ukryte rzemyśliwo. Sam zobacz.

Caldan przetrząsnął kieszenie i wyjął połówkę talizmanu. Pokazał ją Quissowi. Czarodziej wziął fragment i obrócił go na dłoni. Oczy zaszyły mu mgłą, gdy studiował talizman. Długo stał w bezruchu. Caldan już miał o coś spytać, gdy raptem czarodziej wysyczał z odrazą:

– Ohyda.

– Co jest? – spytał Caldan.

Bez ostrzeżenia Quiss ucapił Caldana go za ramiona, obracając ku sobie.

– Masz tego więcej? – spytał z szaleństwem w oczach. – Talizmanów? Jest ich tu więcej?

– Quissie, co się dzieje? – zaniepokoił się Selbourne.

Caldan odepchnął od siebie maga.

– Tylko jeden. Ale to nie to mieliśmy badać.

– Pokaż mi! – nakazał Quiss, ignorując najemnika.

Caldan z oporami uniósł dłoń, a Quiss zogniskował spojrzenie na jego srebrnym pierścieniu.

– Nie zorientowaliśmy się, o co chodzi. Pochopnie uznaliśmy te zaawansowane rzemyśliwa za niewarte naszego czasu i wysiłków.

– O czym ty mówisz? – nie zrozumiał Caldan.

Quiss zachwiał się w tył. Złapał się Selbourne'a, żeby się nie przewrócić, i przetaił oczy dłonią, jakby raptem ogarnęło go znużenie.

– Jestem na to za słaby – wybąkał.

– Quissie – błagał Caldan – powiedz nam, co widzisz.

– Widzę studnię. Ukrytą. Schowaną. Oczywiście, przecież te przedmioty muszą skądś czerpać energię. Pomyliliśmy się, uznawszy je po prostu za rzemysłliwa.

– One mają w sobie studnię? – powtórzył Caldan.

Quiss pokiwał słabo głową.

– Ale rzeczy nieożywione nie mogą mieć studni – powiedział Selbourne. – Tyle nawet ja wiem.

I Quiss znowu potwierdził skinieniem.

Caldan zakrztusił się powietrzem.

– A więc... każdy talizman musiał wziąć duszę od żywej osoby? Od czarodzieja?

– Wziąć? – Quiss zaśmiał się; szorstki śmiech niedowierzającego człowieka. – Studnia jest częścią ciebie, twoją esencją. Wiesz o tym doskonale. Odebranie jej równa się zabiciu maga. Nie, one nic nie biorą. Istota jest studnią, a studnia jest przedmiotem. Nie da się ich rozdzielić. W odróżnieniu od sytuacji, gdy Rebeci pojmała Savina. W tym przypadku istota została uwięziona. Na zawsze. Nie da się jej uwolnić.

Wtedy Caldan zrozumiał. Każdy talizman zawierał esencję czarodzieja. A dokładniej esencję, która została czarodziejowi odebrana. Ich ciała zostały odrzucone, żeby stworzyć artefakt o magicznej mocy. Żaden czarodziej nie zrobiłby tego z własnej woli. Poświęcić się do tego stopnia? I po co? Dla jakiegoś talizmanu? Nie... nikt nie pytał ich o zdanie. Ich moce i życia zostały im wydarte siłą.

To jak okradanie Dotkniętych z krwi. A on cały czas miał je przy sobie...

Quiss miał rację: ohyda.

Caldan podniósł do oczu swoją zaciśniętą pięść. Na jego palcu lśnił pierścień-talizman, który odziedziczył po rodzicach. Niezależnie od mocy artefaktu i od korzyści, jakie zapewniał, kosztował zbyt wiele. To zbyt... zbyt niemoralne. Złe. Nie mógł znaleźć na to innego określenia.

– Ohyda – powtórzył tępo. Rozumiał. Ale czuł, że nie uświadamia sobie w pełni ogromu tego odkrycia. – Pokaż mi – poprosił Quissa.

A Quiss mu pokazał. Skonstruował czarodziejskie rzemyśliwo, tak jak wtedy, gdy leczył Mirandę. Caldan otworzył studnię i robił to, co robił Quiss. Wysłał swoje zmysły wskazaną przez maga ścieżką prosto do talizmanu.

Magia zniewalająca, oczywiście. Żeby uwięzić czarodzieja lub jego studnię, potrzebne jest więzienie. Wzory były skomplikowane i w ciągłym ruchu. Caldan gubił się w tym, co pokazywał mu Quiss. Widział jednak ukazujące mu się wewnątrz rzemyśliwo, gdy warstwy kamuflażu zdzierały się jedna po drugiej, odsłaniając to, co tkwiło głębiej. Wewnątrz talizmanu biło żywe serce. Repozytorium mocy. Ale to wciąż było rzemyśliwo.

Caldan zawahał się, a potem wysłał swoją świadomość, aby zbadała wnętrze jego kościanego talizmanu. Wewnątrz pierścienia dostrzegł znane, ale wykrzywione wzory, które ukazały się jego oczom teraz, gdy Quiss pokazał mu, jak patrzeć. Te wzory wryły w pierścieniu czarodziej, który doskonale kontrolował magię destruktywną. Tak jak potwierdził Quiss, talizmany były zaawansowanymi rzemyśliwami.

Niezwykle skomplikowanymi wersjami, których wewnętrzne konstrukcje zostały ukryte, zespolone ze studnią jakiegoś nieszczęśnika.

Miało to sens, że funkcja kościanych pierścieni, tworzenie i kontrola oczyszczonej ziemi, to nie jedyny powód, dla którego ich istnienie utrzymywano w ukryciu. Funkcjonowały jako talizmany, ale uczyniono je z tego samego twardego stopu, z którego wykuto każdy inny talizman. Czarodzieje i uczeni wierzyli, że metal stworzono w taki sposób, by wytrzymał działanie korodujących, czarodziejskich mocy i żeby nie dało się go uszkodzić w wyniku codziennego użytkowania. Ale to nie była prawda. Caldan dowiódł, że twardy metal jest wyłącznie przykrywką.

Oderwał zmysły od kościanego pierścienia. Potarł kark, mając świadomość, że się trzęsie.

– To, co powiedział Quiss, to prawda – powiedział odruchowo. – Talizmany to... czarodzieje uwięzieni w metalowej skorupie.

W którymś momencie, zapewne podczas odlewania, gdy ktoś osadzał zniewalające rzemysliwo za pomocą wzoru pierścienia, dusza czarodzieja została uwięziona w artefakcie. Czy twórca dodał duszę do tygła, by mieszać ją z metalem?

Dusze wydarte z czarodziejów i zmuszone do pełnienia funkcji. A co więcej, Caldan był pewien, że arcyomagowie o tym wszystkim wiedzieli. Kristof powiedział, że tylko oni mogli dostarczyć Dotkniętym talizmany, które potrafiły zniwelować efekty uboczne korzystania z ich umiejętności. To dlatego kościany pierścień był tak ważny dla nich i cesarza – ukazywał wszystkim tajemnice talizmanów. Caldan podejrzewał, że potrafili tworzyć talizmany, co oznaczało, że kontynuowali swój zbrodniczy proceder. Kolejna plama na ich honorze. Jeśli w ogóle coś z niego zostało.

Dobrze zrobił, zabijając Devenisha. Ta myśl wstrząsnęła nim do głębi. Dobrze zrobił, zabijając bezbronno człowieka? W kogo on się zmieniał?

W kogoś, kim musiał się stać... jeśli chciał przeżyć.

Kolejna myśl zaświtała mu w głowie.

– Czy te dusze są świadome? – spytał Quissa.

– Nie – odrzekł Quiss. – Nie mogą być.

Caldan nie miał tej pewności. Tak mało wiedzieli. Gdy Miranda cierpiała przez odrzut zniewalających czarów Dzwonków, miała sny, a w jej głowie snuły się myśli – choć mówiła, że były one rozproszone i ulotne.

Są tacy jak ja, pomyślał Caldan. Moi bracia i siostry. Nikt nas nie pytał, czy chcieliśmy zostać czarodziejami. Im także nie dano wyboru.

– Ale nie wiesz na pewno – podsumował Caldan. – Może są świadome. Powinniśmy odszukać talizmany i je zniszczyć. Uwolnić więźniów.

– To zajmie wieki – powiedział Quiss. Spojrzał na połówkę pierścienia na swojej dłoni. – I nie jest to zadanie, do którego chętnie bym się zabrał. Zresztą i tak musiałoby poczekać. Teraz najważniejszy jest talizman Amerdana. W nim kryje się odpowiedź na pytanie, jak pokonać Kelhaka.

– Może – powiedział cicho Caldan. – Zgadujemy tylko, że tak jest.

– To nasza jedyna nadzieja. Gdyby Gazija tu był... Tyle że go nie ma. – W głosie Quissa brzmiało zmęczenie. Widać było, że nie tylko czcił Gaziję, ale też polegał na jego inteligencji i mądrości. Quiss zetknął się z Caldanem spojrzeniem. – Jeśli zawiedziemy, po nas nie będzie już nikogo.

– Więc najlepiej wracajmy do obozu. Wciąż kręcą się tu potwory. Nie ma sensu już z nimi walczyć. Powinniśmy zniknąć stąd, póki możemy.

Quiss odbiegł wzrokiem i pokiwał głową.

– Racja. Zbierz pozostałych. Mamy, po co przyszlismy.

– Poszczyściło się nam. Mogło nam pójść znacznie gorzej.

– Najgorsze jeszcze przed nami.



Odkąd domyślił się, co arcymagowie robili Dotkniętym, w Caldanie płonęła furia. Teraz gdy rozgryźł kolejny ich sekret, dla którego straciła życie jego rodzina, to uczucie uległo przemianie. Stało się głębsze, bardziej jadowite. Była to emocja tak intensywna, że z początku nie domyślił się, czym w istocie była, ale teraz już wiedział. Nienawiść.

Żrąca i toksyczna jak alchemiczny wyziew, jak trucizna krążąca po krwiobiegu. Podobna do żaru, który rozpałały w nim umiejętności Dotkniętego. Uczucie, które potrafiło uderzyć do głowy. I takie, które nie mogło nie skończyć się erupcją przemocy.

Fakt, że arcymagowie popełniali tak okropne czyny tylko po to, by urosnąć w potęgę, był... groteskowy w swojej małostkowości.

I nie chodzi nawet o to, że gromadzili tę moc, by coś z nią zrobić. Po prostu bali się utracić to, co już mieli.

Ale ich siła mogła się przydać w walce z liczem. Czarodzieje Quissa władali wielką mocą, ale sami nie mogli nawet marzyć o pokonaniu Kelhaka. Arcymagowie mogli okazać się siłą, która odwróci przebieg tej bitwy.



Pytanie brzmiało: czy są sprzymierzeńcami, czy mięsem armatnim? Czy należy ich ostrzec, wtajemniczyć we wszystkie ważne sprawy, wspólnie z nimi planować strategię? Czy należy powierzyć im tylko brudną robotę, może dywersję mającą na celu osłabienie Kelhaka, a na końcu rzucić ich na pożarcie Indryallanom?

Problem polegał na tym, że Caldan nie znał odpowiedzi na te pytania.

Jeśli Quiss miał rację i rzeczywiście uda im się opracować sposób na pokonanie licza, to czy powinni uratować arcymagów, czy pozwolić im zginąć wraz z cesarstwem?



Rzeczywistość znów wywróciła się na drugą stronę. Coś targnęło się w żołądka i Caldan poczuł się tak, jakby oberwał w głowę obuchem.

Ziemia usunęła mu się spod nóg, a potem uderzył o nią podeszwami butów, jakby spadł z wysokości. Gdzieś blisko coś zatrzeszczało. Znów buchnął w jego nozdrza intensywny zapach gorącego metalu i cytryny. Świat przed oczami chłopaka poszarzał i pociemniał.

Uświadomił sobie, że leży na plecach z głową w wilgotnej trawie. Wziął głęboki wdech, który przejął go bólem.

Prawie, pomyślał. Otworzył studnię, chcąc wy badać, co zrobili Quiss i pozostali czarodzieje, by rozpocząć przemianę. Użyli przynajmniej dziesięciu strumieni, a moc, którą zaczerpnęli... Caldan uznał, że nigdy nie zdołałby wydobyć jej tyle ze swojej studni.

Zacisnął powieki, przetarł oczy i usiadł. Usłyszał jęki najemników, dzwonienie pancerzy i trzeszczenie skóry. Selbourne zaczął wydawać rozkazy.

Caldan wstał i otrzepał ubranie z trawy i gałązek. Niewiele to dało, bo wciąż było brudne od ziemi i krwi. Wstające słońce opromieniało świat bladym światłem.

Odwrócił od niego głowę.

Quiss wciąż badał talizman i wydawał się nie wiedzieć, co dzieje się wokół niego.

– Wracajmy na okręty – zaproponował Mazoet. – Odświeżysz się trochę, a potem zajmujemy się talizmanem.

Kilka godzin, postanowił Caldan. Tyle mogę im poświęcić, a potem podejmę decyzję, co robić dalej. Umyje się, zmieni odzienie, a co najważniejsze – udoskonali czar maskujący jego studnie. Jego studnie. Mdlilo go na samą myśl. Nie należały do niego, tylko do kogoś innego. Do ludzi, którzy umierali, gdy pozbawiano ich mocy. Czuł je, ilekroć otwierał swoją studnię. A nawet wtedy, gdy była zamknięta. Podobne wrażenie jak wtedy, gdy ktoś stoi za tobą. Nie widzisz go, ale wiesz, że tam jest.

Zadrżał, zerknąwszy na swojego wilka, który siedział na ziemi obok niego.

– Nie chcę, żeby Miranda mnie takiego zobaczyła – powiedział, choć nawet w jego uszach brzmiało to jak pretekst.

Quiss pokręcił głową, odrywając wzrok od talizmanu. Spojrzał na Caldana ze współczuciem.

– Jest silniejsza, niż ci się wydaje. Zabiłeś kogoś... Nie dało się tego uniknąć. Ale to był licz. Ktoś skażony. Pociesz się tym, że gdybyś go nie zabił, pewnie z czasem stałby się drugim Kelhakiem. Choć bardziej możliwe, że szybko ściągnąłby na siebie uwagę Kelhaka, który sam by go wchłonął, a swoimi licznymi studniami zasilił i tak już potężnego Boga-Imperatora. Nie tylko zapobiegliśmy temu, ale teraz sami mamy szansę go pokonać. Niewielką, ale jednak. – Quiss uśmiechnął się bez przekonania. – O cóż więcej możemy prosić, jak tylko o szansę? Jesteś bezpieczny. Przynajmniej na razie.

Caldan zaczerpnął głęboko tchu i przeszedł kilka kroków, usiłując zdusić niepokój. Ale nie mógł wyrzucić z głowy słów Quissa.

Amerdan był skażony.

Czy to znaczy, że ja też jestem? Czy ja również mogę stać się drugim Kelhakiem? Potworem, którego trzeba będzie zabić?

Odepchnął od siebie te myśli, bojąc się, dokąd mogą go zaprowadzić.

Nie on dokonał tego wyboru, i może to się choć trochę liczyło, ale on sam musi zdecydować, jak poukładać to sobie w głowie, tak by móc jutro spojrzeć w lustro. Quiss wypowiadał się o liczach tak

jednoznacznie, że bardziej się nie dało, a teraz wychodziło na to, że Caldan jest jednym z nich...

– Caldan?

– Wybacz. Już mi się w głowie kręci od tego wszystkiego. Tak, masz oczywiście rację. A jednak nie chcę, żeby widziała mnie w tym stanie. Najpierw się umyję, potem do niej zajrzę. Teraz potrzebuję chwili, żeby się ogarnąć.

– Dobrze – przystał Quiss. – Ale lepiej nie zwlekaj. Mamy pełne ręce roboty.

Caldan zostawił Quissa i Mazoeta, a sam podszedł do Selbourne'a i jego ludzi, którzy stali kawałek z boku. Nawet gdyby nie widział najemników, znalazłby ich po śladach zagniecenia w trawie.

Jego palce same pełzły do pierścienia-talizmanu. Teraz wiedział już, jak się je wytwarza. Jak mógł w dalszym ciągu go mieć? Wydał mu się znacznie cięższy na palcu, a ponieważ zawierał duszę innego czarodzieja, nawet trzymając rękę w kieszeni, czuł się częścią zbrodniczego procederu. Niemal czuł, jak zło wyciąga chciwe macki i wpełza mu na palec, a potem wspina się po ramieniu i wnika do serca.

Ale czy to rzeczywiście problem, który on musi rozwiązać? Istniało wiele spraw na świecie, nad którymi nie miał przecież żadnej kontroli. To była jedna z tych rzeczy.

– Dałeś radę – pochwalił go Selbourne. Szarpnął brodę i rzucił Caldanowi szelmowskie spojrzenie. – Możesz dołączyć do nas przy piwie. Świętujemy, że wciąż żyjemy, i wznosimy toast za tych, co polegli.

– Dzięki... Może innym razem. – Caldan obejrzał się na Quissa i Mazoeta, którzy też się powoli zbierali wraz z resztą czarodziejów. Wszyscy byli całkowicie pochłonięci tym, co trzymał w ręce Quiss. Najemnicy ruszyli za nimi, zostawiając Caldana z Selbourne'em.

Przywódca odprowadził ich wzrokiem, z pozoru nie przejmując się wiszącym w powietrzu milczeniem. Wkrótce magowie i wojownicy znaleźli się na pokładzie.

Wtedy Caldan odchrząknął.

– Z tego, co mówiłeś wcześniej, wynika, że znasz Mirandę. Skąd? Gdzie ty...

– Nie mam w zwyczaju tłumaczyć się ani plotkować. Sama ci powie, kiedy ją spytasz.

– Chcę wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Selbourne mruknął wesoło.

– Mądrze. Jeśli ci ufa, to ci powie. Bo ja nie darzę cię zaufaniem.

Caldan chciał zaprotestować, ale najemnik mu nie pozwolił.

– A przynajmniej jeszcze nie – dokończył ostro. – Tam coś ci się przydarzyło. Quiss tego nie widzi, ale on ma sporo na głowie. Ja mam mniej, i widzę. Lepiej zastanów się długo i dogłębnie, czy chcesz coś ukrywać przed tym człowiekiem.

– Przydarzyło się tylko to, że kogoś zabiłem. Zabiłem go dla talizmanu. Jak nazwiesz kogoś takiego?

– Realistą. Trzeba było to zrobić i już. – Selbourne zebrał się do odejścia, ale zaraz obejrzał się na Caldana przez ramię. – Nie wiem, co tam zaszło, ale powiedz Quissowi.

Nie mogę, odparł mu Caldán w myślach.

Jednak tylko pokiwał głową. Jeśli Selbourne powiedział Quissowi, że coś ukrywa, Caldán będzie musiał wymyślić jakąś przekonującą historyjkę. Ale z tym będzie musiał się uporać tylko wtedy, jeśli rzeczywiście się wydarzy.

Poczuł jakiś dotyk w obrębie swojej magicznej świadomości.

Delikatne muśnięcie, jak spadające z nieba ptasie pióro. Zamarł i zmarszczył brwi. Co to było?

Odczekał kilka chwil. Wrażenie się nie powtórzyło.

– Selbourne – powiedział ostrzegawczo Caldán, a najemnik wrócił do niego z trapu.

– Co jest?

Coś było nie tak. Ręka Caldana samoistnie zakradła się do rękojeści miecza, a gdy ją ujęła, uspokoił się nieco. A potem coś przerwało jego strumienie podłączone do wilka. Pod konstruktem ugięły się nogi i padł na ziemię.

Caldán nie mógł się dostać do studni.

Została zablokowana.

Przodkowie... Mold musi być gdzieś tutaj. Musi mieć przy sobie miecz-talizman. Pewnie jest z nim Thenna.

Pośród cieni zarysowały się postacie.

Nie było czasu pobiec na statek, schronić się pod opiekę Quissa.

Selbourne powinien się ratować.

– Biegnij – rzucił do najemnika. – Arcymagowie tu są. Przyszli po mnie.

Najemnik obejrzał się na nich, usiłując przebić mrok spojrzeniem.

– Pomogę ci...

– Uciekaj! – wymówił Caldan. – Nie masz z nimi szans bez Quissa. Szybko, sprowadź go tu!

Selbourne puścił się biegiem, a Caldan cofnął się od okrętów, słysząc własny przyspieszony oddech. Dobył miecza i rozejrzał się uważnie.

Byli tam, czuł ich wyraźnie. Arcymagowie, pewnie wraz ze strażnikami. Obnażone ostrza i otwarte studnie. Czekają na niego. Czary były jego jedyną szansą na ucieczkę, ale teraz nie mógł czarować.

Zacisnął pięść. Pierścień wpił się w jego ciało. Caldan usiłował wzbudzić swoje zdolności Dotkniętego. Snuł mroczne myśli o walce.

Nie udało się.

Schylił się i przywalił pięścią o ziemię. Knykcie zapłonęły bólem. A potem jeszcze raz.

Wciąż nic.

Krew ściekała z palców na ziemię. Usłyszał szuranie ciężkich buciorów na miękkiej trawie. Ledwie wyczuwalny zapach cytryn i rozgrzanego metalu. Pięknie, po prostu wspaniale.

Zmarszczył brwi. Blokada na jego własnej studni była zadziwiająco podobna do tych na dopiero co przejętych studniach. Nieco mniej zbita, ale wzbudzała to samo uczucie.

Wzmażał się zapach cytryn.

– Nie radzę – zawołał w ciemność. – Wiecie, do czego jestem zdolny.

Spomiędzy drzew odpowiedział mu śmiech. Kobięcy głos. Ale tym, kto do niego przemówił, był mężczyzna.

Caldan trafił w dziesiątkę – mistrz Mold, Protektor. To on musiał mieć przy sobie miecz-talizman. Ten sam, który Caldan przyniósł tu z Anasomy.

– Nie możesz teraz rzemyśleć, a wśród nas są ludzie, którzy dorównują ci siłą i szybkością. Zostaniesz pokonany. – Przez chwilę

panowała cisza. – Caldanie, nie stawiaj oporu. Tak będzie dla ciebie lepiej. Thenna powiedziała nam, co zrobiłeś.

Przez krótką chwilę Caldanowi wydawało się, że nie ma żadnej nadziei.

Ale był zmęczony, ranny i zły. Jeśli ma tutaj umrzeć, umrze, powiedziawszy prawdę.

– I co takiego powiedziała? – odkrzyknął. – Powiedziała wam, że arcymagowie zabijają Dotkniętych, gdy nie są już potrzebni?

– Kłamstwa – zasyczała Thenna.

– Powiedziała, że Devenish umiał tworzyć oczyszczoną ziemię? Że chciał rzucić wyzwanie Kelhakowi, nie przejmując się niczym, co zniszczy po drodze? Czy powiedziała wam, że arcymagowie korzystają z magii destruktywnej? Nie musiała, prawda? Przecież dobrze o tym wiecie. A wiecie o magii zniewalającej?

– Brać go! – wrzasnęła Thenna.

Od drzew oderwały się cienie w kształcie ludzi. Arcymagowie i Protektorzy. Dziesiątki. Panczerze i broń lśniły w świetle księżyca.

Caldan pozwolił mieczowi wysunąć się z jego palców. Nie da im więcej pretekstów, by zranić go lub zabić. Protektorzy ruszyli na niego, a za nimi Dotknięci – Lisanette i Edelgard, oboje z okutymi maczugami.

Łąpali Caldana i wykręcili mu ramiona, wcisnęli go w ziemię. Piach zachrząścił mu między zębami. Czuł, że go wiążą. Jakaś ręka brutalnie odgięła mu głowę.

– Zakneblować go – rozkazała Thenna.

Stała przed nim z twarzą wykrzywioną nienawiścią.

Przewiązali mu usta.

Thenna zrobiła krok naprzód i napłuła mu w twarz. Caldan zamknął oczy. Ciepła ślina spływała mu po policzku.

– Już nie taki hardy, co? – wysyczała.

Otoczony przez tylu ludzi? Przecież to oczywiste, że nie miał szans.

– Wystarczy, Thenno – powiedział Mold. – Zostanie postawiony przed sądem.

Czeka już na niego cela...

– Nie – wycharczała Thenna. – Ja się teraz nim zajmę. Zrobiliście swoje. On zabił Devenisha i należy do nas.

– Ależ, Thenno...

– Niedługo w piekłach będzie szukał swoich przeklętych przodków...

Lisanette.

Gruby obcas wbił się w głowę Caldana.



**F**elice czekała na pokładzie okrętu Quissa wraz z Izakiem. Moźni ze Starorzecza zaproponowali kwatery licującą z jej pozycją. Miała prawo się domagać odpowiedniego traktowania, a dla nich zaszczytem było spełnić żądanie cesarskiej Trzeciej Arbiter – ale Felice odmówiła.

Miała zbyt wiele do zrobienia, a stawka była zbyt wysoka, żeby przejmować się takimi błahostkami. W mieście byłyby zbyt daleko od centrum wydarzeń i nie mogłaby trzymać ręki na pulsie,



a musiała wiedzieć, co dzieje się w obozie i jak przebiega walka z jukarami. Nie tęskniła do wygod teraz, gdy zdołała się przebrać i wypełnić kieszenie sakwami pełnymi dukatów przed odszukaniem Izaka. Ucieczka przed audiencją u lady Porhildy nie poprawiłaby jej wizerunku. Musiała się z czegoś wytłumaczyć.

Przeciągnęła się i łypnęła z ukosa na Izaka. Mógł gdzieś pić i lajdaczyć się, a jednak wciąż stał przy jej boku. Może w końcu uświadomił sobie, jak doniosłe jest to, w czym biorą udział. A może próbował zdobyć u Felicienne kilka punktów.

Lub po prostu przerasta go już to wszystko, a Felice to w końcu znajoma twarz.

Z jakiegoś powodu miała nadzieję, że chodzi o to trzecie... może dlatego, że sama była o dwa kroki od czucia się podobnie zagubioną.

Oderwała od niego spojrzenie i przymknęła oczy. Pytania domagały się odpowiedzi. Indryallanie musieli zostać powstrzymani. A szpon... Nie przestała myśleć o szponie od chwili, gdy zniknął. Kim właściwie był? Skąd się wziął? Jaki miał cel? Skąd w tym wszystkim Quiss i jego ludzie? A co z Caldanem?

Pytania piętrzyły się ponad miarę. O wiele za bardzo jak na gust Felice, która od pytań wołała odpowiedzi.

– Tam coś błysnęło – powiedział Izak.

Felice wbiła wzrok w ciemność, ale nic nie dostrzegła.

– Mówię, że błysnęło – powtórzył Izak.

– Wierzę ci.

Po kilku chwilach Izak zwrócił wzrok na wachtowników, a ona podążyła za jego spojrzeniem. Wyglądali jak najemnicy, i to doświadczeni w swym fachu. Wszyscy zdradzali oznaki nerwowości, jakby na coś czekali. Rozbiegane ręce. Przygryzione wargi. Niespokojne spojrzenia. Wszystko jak na dłoni.

– Lady Felicienne – odezwał się Izak – może zamiast czekać tu na Quissa i marznąć, schronilibyśmy się w jakiejś wolnej kajucie? Moglibyśmy ogrzać się, wypić co nieco dla uspokojenia? – Uśmiechnął się do niej i uniósł brew.

Felice nie mogła się nie roześmiać.

– Izaku, czy ty aby nie składasz mi jakiejś propozycji?

Wiele razem przeszli i perspektywa była kusząca.

Tak długo była sama.

– Znaczy... no cóż, owszem.

Pokiwała głową.

– Porozmawiamy, kiedy już będzie po wszystkim.

Izak zerknął na nią z zainteresowaniem.

– Trzymam za słowo. Gdybyśmy...

Uwagę Felice ściągnął jakiś ruch w ciemności.

– Sza – uciszyła go.

Z mroku wynurzyli się opancerzeni mężczyźni, widoczni teraz w świetle czarodziejskich kul, którymi obwieszony był okręt. Dopiero teraz dostrzegła wśród nich pojękujących z bólu rannych i utykających. Za nimi szedł Quiss i dwaj jego ludzie.

Żołnierze – nie, najemnicy – wspięli się po trapie na pokład. Gdy już byli na górze, część padła na deski, a wachtownicy pospieszyli z pomocą.

Quiss wszedł na pokład i znalazł wzrokiem Felice i Izaka.

– Co wy tu robicie? – spytał.

Czarodziej wydawał się wykończony. Twarz miał bladą i jeszcze bardziej wychudzoną niż zwykle, jeśli to w ogóle możliwe.

– Jak poszło? Złapaliście licza? Gdzie jest Caldan? – Felice może i działała powyżej swoich uprawnień, ale cel uświęca środki. Cesarstwo przetrwa, nawet jeśli oznaczało to, że Felice będzie musiała rozegrać własną grę za plecami cesarza, żeby upewnić się, że Kelhak zostanie pokonany.

I wciąż nie była pewna, co zrobić z Caldanem. Już i tak nadstawiła za niego karku w Anasomie, a potem po raz drugi, gdy nie wyspała go po zabiciu Devenisha.

Quiss spojrział w ciemność, jakby spodziewał się kogoś tam zobaczyć.

– Nie ufam ci.

No cóż, przynajmniej jest szczery.

– Są tacy, którzy uznaliby moje czyny za zdradę. Pokładam w tobie wiarę i domagam się dyskrecji. Więc pytam, gdzie jest Caldan? Polują na niego arcymagowie.

– Oddałabyś go w ich ręce? – spytał Quiss.

Felice pokręciła głową.

– W nadchodzących dniach będziemy potrzebować wszystkich. Przeciwno Kelhakowi nic nie wskóramy osobno. Musimy działać

razem albo zginiemy. – Tego chciałby cesarz i to pozwoli oszczędzić nieco czasu. Byłby zadowolony, gdyby wiedział. A jeśli Felice zdoła zbliżyć się do ludzi Quissa i dowiedzieć o nich czegoś więcej, to tym lepiej. Może gdyby im się zwierzyła...

– Posłuchaj – powiedziała. – Cesarz nie przyzna się do tego, że potrzebuje sojuszników, ale jest oczywiste, że cesarstwo i twoi ludzie powinni pracować ręka w rękę. Dlatego tu jestem.

Quiss pociągnął nosem, a potem polecił dwóm czarodziejom zejść pod pokład. Jednemu z nich dał jakiś mały przedmiot, którego Felice nie dostrzegła. Odeszli, zerkając na nich przez ramię.

– Sir Quissie – zaczął Izak – lady Felicienne mówi prawdę. Ja... a właściwie my widzieliśmy na własne oczy... Musimy zebrać siły i zgromadzić informacje. W Anasomie działaliśmy wspólnie z Rebecci, zanim... – Przerwał i odkaslnął w pięść. – Chcę powiedzieć, że możesz nam ufać.

– Czekaście – przerwał mu Quiss, mrużąc oczy. Uniósł rękę. – Tam są czarodzieje.

– Rozumiem, że nie twoi? – zaniepokoiła się Felice.

– Nie, arcyomagowie wiedzą, że nie mogą się z nami równać. Nie ryzykowaliby otwartej konfrontacji, chyba że...

Nagle z ciemności wybiegł potężny mężczyzna. Z jego pleców zwieszał się dwuręczny miecz. Dryblas dyszał jak miech, pędząc w kierunku okrętu.

– Quiss! – zawołał. – Mają Caldana!



Młoda, ciemnowłosa kobieta z trudem łapała oddech, sztorcując Quissa. Gdy krzyki najemnika zerwały na równe nogi cały okręt, wybiegła na pokład i pomaszerowała prosto na czarodzieja.

– Lepiej go znajdźcie! – darła się. – Przyjęliście go do siebie! I po wszystkim, co przeszedł, jeszcze naraziliście na niebezpieczeństwo! To twoja wina, Quiss!

Postawny najemnik, nazwany przez kobietę Selbourne'em, usiłował ją obłąskawić.

– Mirando, Caldán poszedł do nich z własnej woli. – Położył jej na ramieniu masywną dłoń, którą natychmiast strącił.

A więc to jest Miranda, zorientowała się Felice. Już łapie, co Caldán w niej widzi.

Ale chyba na co dzień tak się nie wydziera.

– Myślisz, że będę się z tobą cackać? Nie zostawię go w łapach arcymagów. Zabiją go, jak dwa i dwa jest cztery. Jeśli będę musiała, znajdę go sama. – Miranda wczepiła dłonie we włosy, jej twarz była wykrzywiona zmartwieniem. – Na pewno nie zabrali go do swojego obozu. To zbyt oczywiste miejsce i niezbyt bezpieczne. Więc musi być gdzieś w mieście.

Quiss stał sztywno, prawie w ogóle się nie poruszając. Poruszył zuchwą w namyśle, po czym się odezwał:

– Nie znam dobrze tego miasta, a ponieważ nie wiemy, dokąd zabrali Caldana, niewiele możemy zrobić. Próbowałem szukać jego studni, ale nie znalazłem. Albo ją ukrył, albo nie żyje.

Miranda kopnęła w nadburcie i wyrzeszczała przekleństwo, które wywołałoby pias na twarzy zaprawionego marynarza.

– Nie, on żyje! Mam własne sposoby. Odnajdę Caldana. Selbourne, chodź ze mną do Charlotte. Wiem, że jest gdzieś tutaj, na którymś ze statków.

– Nie rozstałaś się z nią w dobrych stosunkach – zauważył Selbourne.

Miranda skrzywiła usta.

– Wiem. Ale nic tak nie jednoczy rodziny jak kryzys. A to chyba jest kryzys.

Felice uznała to za dobry moment, żeby włączyć się do dyskusji.

– Może ja pomogę? – zaproponowała. Była uparta i nie wahała się robić tego, co uważała za słuszne. Ale w tym przypadku śmiałość mogła zwieść ją na manowce. Gdyby poszła prosto do arcymagów, mogliby źle się z nią obejść i zrobić z niej przykład dla innych, którzy chcieliby zrobić to samo.

Miranda zmierzyła Felice wzrokiem, jakby szacowała wartość wystawionego na sprzedaż konia.

– Ty musisz być lady Felicienne – powiedziała w końcu. – Caldan opowiadał mi o tobie. Chciałaś, żeby wrócił z tobą do domu tamtego wieczora.

Felice zrobiła się czerwona jak rak.

– Ja nie...

Miranda zatrzymała się pół kroku od niej.

– Łapy precz od niego. Przyjmę twoją pomoc, ale on nie jest dla ciebie.

Felice zaśmiała się w głos.

– Można wiedzieć, co cię tak śmieszy?

– Jeśli wiesz o mojej propozycji, to wiesz także, że ją odrzucił. – Zachichotała. Odważna jest, pomyślała o Mirandzie, to na pewno.

– Ja mówię poważnie – wycedziła dziewczyna.

– Ja także. Caldan mnie nie interesuje. Chcę tylko pomóc. Zgaduję – podjęła po pauzie – że ta Charlotte ma w mieście informatorów, którymi zechce się podzielić?

– Tak. A ty znasz kogoś, kto mógłby pomóc?

Felice znów nie zdołała powstrzymać śmiechu.

– Ja? Ja znam samego cesarza.

Miranda nawet nie mrugnęła.

– Dobrze – powiedziała. – W takim razie pomożesz nam go znaleźć. – Zwróciła się do Selbourne'a: – Zbierz szybko kilku ludzi. Idziemy do miasta z lady Felicienne.

Selbourne nie ruszył się z miejsca. Spoglądał na kobiety, jakby zastanawiał się, czy w ogóle chce się w to mieszać.

Miranda klasnęła w dłonie.

– Jazda!

Najemnik kiwnął głową i poszedł.

– A teraz – Miranda na powrót utkwiała spojrzenie w Felice – powiedz, jak możesz pomóc.



**C**aldan miał wrażenie, że język napuchł mu do tego stopnia, że wypełniał całe usta, a migrena rozsadzała czaszkę. Ramiona rwały bólem, jakby płonęły żywym ogniem. Z głowy nie wyparowały mu jeszcze całkiem resztki malarycznych snów. Ich wspomnienie jednocześnie ciążyło jak sztylet i otumaniało jak cios pałką. Pełznąca po tafli rzeki mgła owiewała okręty, jej blade macki pięły się po kadłubach, jaśniejąc dzikim światłem. Hordy jukarów zagrzewanych do walki przez vormagów.

Potwory obwieszono świeżo wykutą bronią. Całe ich watahy ciągnące się po horyzont, rojne jak stada mrówek. A za plecami tego szarego tłumu wyły i ryczały w niebo wielkie, spotworniałe kreatury. Olbrzymie metalowe maczugi młóciły ziemię. Miasto nad morzem: przystań i budynki stłoczone na każdym skrawku przestrzeni, płynące ku dolinie jak wielka fala.

Woda bryzgnęła mu na twarz. Zamrugnął, porażony jasnym blaskiem pochodni. Dokoła poruszały się w ciemności jakieś mroczne postacie. Zimne łańcuchy wpijały się w jego ciało, chrobotwały o kości.

– Zbudził się – powiedział męski głos.

– Sama widzę.

Thenna.

– Wciąż jest słaby. Nie powinnaś...

– Jest jednym z Dotkniętych. Przeżyje. Dopóki nie zostanie zabity.

– Słowa Thenny zawisły w ciszy.

Migoczące płomienie pochodni poruszyły się.

Caldan spróbował sięgnąć do studni... ale nie mógł.

Miecz. Musi być gdzieś blisko.

Okręcił się, żeby przyjrzeć się jednej z postaci w polu jego widzenia.

Poczuł ostry ból.

– Caldanie... – powiedziała Thenna – postaraj się nie ruszać za bardzo. Mocno oberwałeś po głowie. A twoje stawy wcale nie są w lepszym stanie. Ale... założę się, że i tak będziesz robił, co zechcesz.

– Weselość w głosie czarodziejki ociekała jadem.

Caldan był nagi i skuty łańcuchami. Ręce miał rozciągnięte na boki. Jego bosa stopy szurały o kamienną podłogę, ale ledwo. Uniósł pięty i przeniósł ciężar ciała na palce. Ból w ramionach nieco zelżał. Obliznął usta, czując smak potu.

Znajdował się w jakimś wilgotnym, zapomnianym miejscu. Na murze przed nim rósł biały grzyb, a ściany po obu stronach niknęły w cieniu. W regularnych punktach pod sufitem wisiały kolejne pochodnie. Jedna musiała znajdować się zaraz za nim, bo światło padało na spoconą twarz Thenny.

Zablokowali Caldanowi studnię, ale nie wiedzieli, że ma więcej niż jedną. Gdy już unieszkodliwili jedną, nie widzieli powodu, by

szukać kolejnych. Sięgnął do umysłu i musnął zmysłami studnie Amerdana... teraz należące do niego. Stamtąd wciąż wyciekał strumyk energii. Tak. Nie był bezbronny. Przeciwdziałając bólowi, Caldan skonstruował osłonę, by jak najlepiej ochronić swój umysł, a potem ukrył rozszczelnioną studnię.

Thenna uśmiechnęła się półgębkiem, patrząc, jak Caldan strzela dookoła oczami.

– Nie zakneblowałam cię, żebyś mógł mówić. Na pewno już się zorientowałaś, że nie masz dostępu do swojej studni. Protektorzy mają na podorzędziu całą masę artefaktów, niektóre z nich całkiem przydatne. Szkoda tylko, że nie bardzo chcą się z nimi rozstawać, ale wystarczyło im przypomnieć, kto w cesarstwie jest ich zwierzchnikiem, i skłonić ich, żeby pomogli cię schwytać. Twoje czyny dowodzą, że jesteś samowolnym czarnoksiężnikiem i że nie wolno ci ufać. To zresztą bez znaczenia, bo nie masz przy sobie żadnych rzemysłów. Zabraliśmy je wszystkie. Całkiem interesująca kolekcja. Będziesz musiał nam wyjaśnić, co robią. Odzyskaliśmy też talizman Devenisha. – Język Thenny potknął się na imieniu arcy maga i słowo uwięzło jej w gardle. W jej oczach błysnęła nienawiść.

Czarodzieje wokół Caldana zaczęli nerwowo mamrotać.

– A także... pierścień podobny do jego. Wyobraź sobie moje zdziwienie! Cesarz sowicie mnie za to nagrodzi.

A więc mają wszystkie jego rzeczy. Caldan nie miał już nic. Umrę tutaj, uświadomił sobie. I będę umierał tak wolno i boleśnie, jak tylko postanowi Thenna.

Okręcił się w kajdanach i łańcuchach. Metalowe ogniwa wgrzyzły się w jego skórę. Gdy popłynęła krew, zaczęły się ślizgać po skórze. Obnażył zęby. Ostry ból promieniował z nadgarstków przez całe ciało, gdy wil się i krwawił.

Przestał i opadł na pięty, oddychając mozolnie.

Miranda...

Thenna zaśmiała się. Był to okrutny, podszyty szaleństwem rechot.

– Pewnie zastanawiasz się, dlaczego wciąż żyjesz. No nie? Myślę, że nie pokazałeś jeszcze pełni swojej mocy. Nigdy ci nie ufałam i sam pokazałeś, że miałam rację. Może jesteś jednym z Indryallan, może



kupili cię obietnicami? Zaoferowali ci moc i talizmany? Nieistotne. I tak odkryjemy prawdę.

– Prawdę! – wyrzucił Caldan przez ściśnięte i suche gardło. Gdy odzyskał nad nim kontrolę, podjął: – Ty już znasz prawdę. Chcesz tylko pretekstu, żeby mnie torturować. Żeby sprawić mi więcej bólu. Żeby zemścić się za śmierć Devenisha. – Rozejrzał się, znajdując wzrokiem innych arcymagów. – Czy wy nie widzicie, co ona robi? Znęca się nade mną.

Thenna podeszła bliżej i przysunęła twarz do jego twarzy.

– Ależ oni widzą, Caldanie. Myślą podobnie do mnie. Mogę zrobić, co zechcę, i nikt się nigdy nie dowie, co się z tobą stało. Twoje zwłoki skończą gdzieś w błocie, zeżarte przez zwierzęta. Z pominięciem twojej krwi, ma się rozumieć – dodała z uśmiechem.

Caldan potrząsnął głową. Kropelki potu skapnęły na kamienną podłogę. Wbił groźne spojrzenie w Thennę.

Zginiesz za to! – wymówił w duchu. Ale w porę powściągnął furię, nim powiedział to na głos.

– Popełniasz błąd – rzekł najspokojniej jak umiał.

– Doprawdy?

– Mam pewne tajemnice...

– Wiem. Wydobędziemy je z ciebie. Gdy skończymy, twój umysł będzie czysty jak lza. Nic w nim nie zostanie. Jeśli wciąż będziesz w stanie formułować myśli, to zaczniesz błagać o litość. Będziesz nas prosił, abyśmy ukrócili twoje męki.

– Nie takie tajemnice. Odpraw tych ludzi. Pokażę ci, o co mi chodzi. Pozwolę ci spróbować, żebyś zrozumiała.

Skonfundowana Thenna przez chwilę patrzyła Caldanowi głęboko w oczy. Wreszcie warknęła coś pod nosem.

– Jesteś już niegroźny. A ja i tak chciałam spędzić z tobą nieco czasu sama. – Obróciła się i gestem wypędziła z pomieszczenia innych arcymagów. – Wyjdźcie.

– Ależ, Thenno...

– Powiedziałam, wyjdźcie – syknęła dobitniej. – On jest mój. Mogę z nim zrobić, co chcę.

Jeden po drugim arcymagowie opuścili pomieszczenie. Ostatni z metalicznym hukiem zamknął za sobą drzwi.

– Wiem, że grasz na czas – stwierdziła Thenna. – Ale nie ludź się, nikt cię tu nie znajdzie. Nikt nie przyjdzie ci z pomocą. To jest ostatnie miejsce, w jakim się znajdziesz.

– Wcale nie zachęcasz mnie do tego, żebym powiedział ci cokolwiek.

Thenna zaśmiała się szaleńczo.

– Myślisz, że będę się z tobą cackać? Czy ty w ogóle rozumiesz swoje położenie? Powiedz, nie mów, to bez różnicy. Tylko że ty bardzo byś chciał, żeby to robiło różnicę. Kiedy już powiesz mi wszystko, a wierz mi, że tak będzie, ja odrę twój umysł ze wszystkich myśli i wtedy dowiem się, co jest prawdą, a co nie.

Nie wypuści go stąd żywego. Caldan musiał jakoś spowolnić Thennę na wypadek, gdyby się jednak myliła. Quiss na pewno potrafiłby go tu znaleźć. Pytanie brzmiało: czy będzie chciał? Miał już przecież to, o co mu chodziło – talizman Amerdana.

Raptem Caldan poczuł na barkach wielki ciężar, który przejął go zimnym dreszczem. Czuł, jak rośnie w nim panika.

– Zbadałaś moją studnię? – spytał.

– Zakładam, że jest taka sama jak poprzednio. Studnie nigdy się nie zmieniają, choć można je ukryć.

Caldan zaśmiał się wątpliwe i wyprostował. Zajrzał Thennie w oczy.

– Spójrz jeszcze raz, ale nie na samą studnię. Tylko dookoła niej.

– Czemu? Przecież tam nic nie... – urwała i głośno zassała powietrze. Zwężyla powieki, nie rozumiejąc, co właściwie widzi, a potem na jej twarzy odmalowało się zdumienie. – Jak ty...?

– Są zablokowane. Nie mogę ich używać. Ale wiem, jak zachodzi proces przenoszenia ich z jednej osoby do drugiej.

Kłamał, liczył jednak na to, że uda mu się pobudzić zachłanność Thenny i dzięki temu zyskać nieco pola do negocjacji.

– Prędzej czy później bym je dostrzegła – oświadczyła. – Zresztą to bez znaczenia. Wyrwę ten sekret z twojej głowy, gdy ty będziesz wył z bólu i błagał o litość.

– Bzdura. Nie da się wydobyć z kogoś wiedzy torturami. Człowiek przyparty do muru powie wszystko, byle tylko uniknąć cierpienia. Mówi nam o tym magia zniewalająca.

– Kłamiesz.

Caldan wzruszył ramionami. Jasne, że tak.

– Wcale nie. Jeśli się zapędzisz, magia zniewalająca zdmuchnie mój umysł jak świeczkę. A wtedy tajemnica przepadnie na zawsze, a wraz z nią wymknie ci się z rąk twoja upragniona zemsta.

– Niewiele na nich skorzystam, więc chyba jednak zaryzykuję.

– O, doprawdy? Śmiem wątpić. Jeszcze nie mogę otworzyć studni, ale wolniutko posuwałem się do przodu. Wyobraź sobie, że potrafiłabyś dokonać tego sama. Wyobraź sobie tę moc, Thenno. Pomyśl, z jakim podziwem będą spoglądać na ciebie inni arcymagowie...

Będziesz potężna niczym czarodziejka sprzed Zdruzgotania. Potężniejsza ponad wyobrażenie współczesnych ci magów. Ustępująca mocą jedynie samemu cesarzowi.

Thenna cofnęła się o kilka kroków.

– Sprawię, że będziesz wył z bólu.

– Nie możesz pozwolić sobie na takie ryzyko.

– Skorzystam z magii zniewalającej, ale ucieknę się też do tradycyjnych metod: szczypiec, rozgrzanego żelaza, ostrych noży i ząbkowanych pił. Będziesz skamlał o śmierć jak pies z przetrąconym kręgosłupem.

– Nie zrobisz nic podobnego.

Milczała. Z ran na nadgarstkach Caldana ściekała po ramionach krew.

Ciepła u źródła, niżej coraz zimniejsza. Skrzypnęły nienaoliwione zawiasy. Trzasnęły drzwi.

Thenna zniknęła.



Caldan wrzeszczał i krzyczał, aż zdarł sobie gardło.

Stracił poczucie czasu, gdy Thenna wylewnie spełniała swoje przyrzeczenie. Cierpienie i więcej cierpienia. Przez załzawione oczy widział rozmyte czerwone plamy rozgrzanego żelaza. Czuł swąd swojego nadpalonego ciała. Potworny ból. Delikatne czarodziejskie

sieci biegały po jego umyśle, bez troski o to, jakie mogą spowodować uszkodzenia i jakich przysporzą Caldanowi cierpień.

Znajome uczucie gotującej się w żyłach krwi wróciło, gdy tylko zaczęli nad nim pracować, ale nie mógł uwolnić się z łańcuchów. Wiedzieli, kim był, i zadbali o to, by jego zwiększona siła na nic się nie zdała.

Jak dotąd osłony Caldana ochroniły jego umysł przed ich nieporadnymi atakami. Dobrze przyswoił wiedzę przekazaną przez Quissa, ale mając do dyspozycji tylko cieniutki strumyk mocy z częściowo otwartej studni Amerdana, miał na podorędziu jedynie kilka prostych sztuczek, którymi mógł próbować obronić się przed ich zniewalającymi włóknami.

Sfrustrowani własną niemocą, tym chętniej atakowali jego ciało. Caldan szamotał się i wył, wisząc na łańcuchach ze zdartym do krwi gardłem.

Czas mijał. Ale Caldan nie dał się złamać. Nie poddał się.

Zabarykadował się w maleńkiej twierdzy w swojej głowie. Był Dotkniętym. Jego ciało wróci do zdrowia, chyba że umrze lub odniesie trwałe obrażenia. Dopóki się trzymał, jego umysł był bezpieczny. I im dłużej się opierał, tym bardziej rosły ich wątpliwości.

Znów poraził go agonalny ból.

Dopóki się trzymam...

Caldan potrzebował chwili, by zrozumieć, że źródłem bólu jest powracające krążenie. Opuścili go na podłogę. Zadzwonął łańcuch, gdy zwinął się w pozycję płodu, ślizgając się we własnym pocie, krwi i innych płynach.

Cienie wokół niego poruszyły się. Nie miał siły szukać w nich ludzi. Zamknął oczy.

– Caldanie... – wyszeptał głos.

Nienawistny głos, którego nie znosił. Thenna.

– Wiem, że mnie słyszysz. Dałeś popis uporów. Ale oboje wiemy, jak to się skończy. Musisz tylko zdecydować, jak wyniszczony będziesz, gdy w końcu zabierze cię śmierć.

Z ust Caldana wydostał się zduszony kaszel, spazm przeorał jego zdarte gardło, jakby ktoś nasypał tam szkła.

– Bli...sko... – wyskrzeczwał.

– Blisko, mówisz? Do czego? Do odkrycia twoich tajemnic? Do momentu, w którym wreszcie się poddasz? Zdradź mi swoje sekrety, Caldanie. A może odpoczniesz chwilę, nim to się skończy.

Caldan zaśmiał się słabo.

– Blisko... do wzbudzenia... zniewalającej... – Tylko tyle zdołał wydusić. Na tym etapie musieli już chyba mocno powątpiewać w to, co robią.

– Myślę, że kłamiesz.

– Jest słaby.

Inny głos. Męski.

– Ma jeszcze chwilę – zapewniła towarzysza Thenna.

– Albo i nie.

– Nie podawaj w wątpliwość moich słów.

– Na nic nam się nie przyda, jeśli umrze, nim zdradzi swój sekret.

Thenna warknęła, rozzłoszczona własną bezsilnością.

– Długo?

– Wróc za kilka godzin.

Szorstkie palce złapały Caldana za podbródek.

– Do rychłego zobaczenia – powiedziała Thenna. – Przyszedł czas na niekonwencjonalne metody. Nie lubię ich, ale nie dałeś mi wyboru. Gdy się znowu zobaczymy, powiesz mi wszystko. A jeśli nie... to złożę wizytę Mirandzie. Tak, wiem o niej. A kiedy już znajdzie się tutaj, pożałujesz, że nie byłeś bardziej uległy.

Rozległ się odgłos kroków, a potem ucichł w dali.

Miranda... nie.

Inna ręka ujęła jego twarz. Zimna woda spłynęła mu do ust, paląc gardło jak kwas. Caldanie większość wypluł, kaszląc.

– Jeszcze dwa łyki – nakazał mężczyzna.

Wreszcie przelknął. Ktoś spryskał mu twarz wodą i Caldanie zachłysnął się. Na podłodze pod jego głową rosła kałuża. Kolejne cichnące kroki. Pisk zawiasów.

Caldanie jęknął, próbując usiąść. Nie udało mu się. Spróbował ponownie i zdołał podeprzeć się na ramieniu, ale nie miał siły dźwignąć się do siadu, więc leżał podparty.

Otworzył oczy i zamrugał, porażony jasnością pochodni. Wycisnął wodę spod powiek i rozejrzał się. Był sam. Zostawili go samego.

Koksownik stał oparty o ścianę kawalek dalej. Widział w półmroku odstające uchwyty. Spojrzał na swoje łańcuchy. Koksownik znajdował się zbyt daleko, by mógł go dosięgnąć.

Na kajdanach krzepły plamy krwi i Caldan syczał z bólu, ilekroć poruszył rękami. Ale musiał to wytrzymać. Odepchnął się od podłogi i w końcu usiadł. Łańcuchy zachrobotyły o podłogę. Biegły do miejsc w ścianach, gdzie przytwierdzono je bolcami.

Caldan zacisnął zęby i zgiął ręce w łokciach, a potem owinął je łańcuchami. Ból wybuchł w rozoranych nadgarstkach. Zwalczył go i ciągnął dalej, dopóki łańcuchy się nie napięły. Najpierw szarpnął ostrożnie, potem z całej siły.

Nic.

Spróbował raz jeszcze. Szarpał i ciągnął, aż zamazało mu się przed oczami. Przestał. Nic nie działo, jeśli zemdleje.

Zamknął oczy. To na nic.

Zduślił krzyk rozpaczony i zwałił się na kamienną podłogę. Zanurzył twarz w dłoniach i zapłakał.

Nie wiedział, jak długo siedział, nim wreszcie wziął się w garść. Odretwiąłymi, drżącymi rękami otarł piekące oczy.

Dotknięci mieli swoje talizmany, które pomagały im kontrolować ich umiejętności. A teraz był nagi, odarty z rzemyśliw i talizmanów, i nie potrafił sam wzbudzić swoich zdolności – był więc bezradny.

Caldan skłął kajdany i łańcuchy, Thennę i wszystkich arcymagów, którzy chodzili po świecie.

Joachima, Dzwonki, wszystkich i wszystko, co doprowadziło go tu, gdzie tkwił teraz.

Zebrał się w sobie i przygotował do kolejnego starcia z łańcuchami.

A potem zgarbił się i pozwolił głowie opaść na pierś. To bez sensu. Już po nim. Był skończony. Umrze w tym lochu.

Stalowe bransolety na jego nadgarstkach. To wszystko, co oddziało go od wolności i może jakiejś namiastki zemsty przed ponownym schwytaniem. Metalowy okrąg zbyt ciasny, by przecisnął przez niego dłoń.

Caldan niemal się zaśmiał, gdy rozbłysła mu w głowie ta myśl. Czy to rzeczywiście byłoby takie proste? I takie okropne?

Ale narzędzia tortur w mosiężniku znajdowały się zbyt daleko, by mógł ich dosięgnąć.

A nie było w pobliżu niczego innego, czego mógłby użyć.

Zduśli narastającą trwożę, przełknął ślinę i oblizwał słone usta.

Nie było sensu się tym zdręczać.

Ułożył lewą rękę na kamiennej podłodze i uniósł wysoko prawą.

Nie czuł, żeby wymagało to odwagi. Nie ostała się w nim żadna emocja. Po prostu o tym nie myślał, oddzielił myśli od swoich czynów.

Metalowy kajdan uderzył w lewą rękę. Trzasnęły miażdżone kości.

Caldan wrzasnął raz, a potem znowu się zamierzył. Jego ramiona były tak odrętwiałe i nadwyrężone, że nawet tak bardzo nie bolało.

Spuścił rękę. A potem jeszcze raz.

Prawą dłoń zacisnął wokół metalowej obręczy. Oddech syczał mu w zębach, gdy wyjmował z niej dłoń. Lewy nadgarstek wyglądał jakoś dziwnie, nie rozpoznawał go.

– Aaa! – Fala bólu strzeliła w górę ramienia.

Ale uwolnił się.

Z jego gardła wydobył się chrapliwy śmiech. Jedna ręka wolna, mógł teraz dosięgnąć koksownika. Podpełził do niego, chwycił długi metalowy pręt i spojrział na łańcuch przy drugiej obręczy. Prętem można posłużyć się jak dźwignią, choć trudno będzie założyć ją zmasakrowaną ręką. Dlatego umieścił go w zgięciu ramienia i choć biedził się z łańcuchem, w końcu rozerwał jedno ogniwo. Luźny łańcuch zadzwonił o podłogę.

Caldan chwycił pręt zdrową ręką i ruszył do drzwi.

Wyrzucił z głowy wszystkie myśli. Stał się cieniem samego siebie, pozbawioną emocji kopią niezdolną do współczucia. Aby zrobić to, co zamierzał zrobić, potrzeba mu serca niezdolnego do litości.

Arcymagowie byli zepsuci do szpiku kości. Protektorzy pracowali z nimi ręka w rękę. Podobnie jak Dotknięci. Nikt w tym układzie nie był bez winy.

Caldan podszedł do drzwi o żelaznej ramie. Gdzieś po drugiej stronie znajdowały się jego rzemyśliwa i talizman, miecz blokujący jego studnię, a także Thenna.

Szarpnął za rygiel i spojrział w oczy zaskoczonego strażnika. Mężczyzna rozdziawił usta, nieudolnie szukając dłonią miecza przy boku.

Nie ma niewinnych.



Caldan snuł się po korytarzach i komnatach budynku niczym mściwa zjawa. Nienawiść i zemsta podsycaly jego bezlitosny szal.

Wypełniała go ślepa furia. Przelewał krew i łamał kości, tak jak robiłoby to przyparte do ściany zwierzę, nie myśląc o dobru i złu, tylko o tym, żeby przetrwać. Jeśli nie będzie ranił, sam zostanie zraniony. Jeśli nie będzie zabijał, zabiją jego.

Wyszkoleni strażnicy padali pokotem u jego stóp. Gdy rzucał się na nich, byli tak wolni, że miał wrażenie, iż prawie się nie poruszają. Gotująca się w żyłach krew popychała jego umęczone ciało do morderczego wysiłku. Mała część umysłu Caldana zdawała sobie sprawę, że wyrządza swojemu ciału nieodwracalną krzywdę, ale zduślił jej głos. Miał coś do zrobienia.

Przebił się przez niemrawą gardę strażników. Metalowy pręt w jego rękach gruchotał czaszki i karki, Caldán uderzał nim jak młotem lub kijem, zostawiając po sobie korytarze wypełnione krzykiem. Powalił już pięciu. A sądząc po wołaniu, które niosło się korytarzami, inni wiedzieli już, że więzień wydostał się z katowni, i szli po niego.

Choć wszystkie myśli Caldana zostały zredukowane do jednej – tej o przetrwaniu – wciąż rozumiał, że aby osiągnąć swój nadrzędny cel, musi osiągnąć kilka podrzędnych. Zabijać. Znaleźć rzemyśliwa i talizman. Odszukać miecz.

Natrafiał na grupę strażników kryjących się w pokoju wyłożonym dywanem. Pierwszy zginął z prętem zagłębionym w czaszce. Drugi ze strzaskanym nadgarstkiem i własnym mieczem w bebechach.

Trzeci, gdy Caldán tym samym mieczem rozplątał go od ramienia do biodra. Czwarty rzucił się na ziemię i wył o litość z twarzą zalaną



łzami.

Ale on także zginął.

Caldan czuł, że coś zaburzyło czasoprzestrzeń. Strumyk mocy wystarczył, aby dało się wyczuć zbliżające się studnie.

Niech tu przyjdą.

Caldan rzucił pręt i podniósł z dywanu ociekający krwią krótki miecz.

Zostawiał za sobą szkarłatne ślady.

Zbadał dokładniej zbliżające się studnie i wyczuł trzymających się w grupie czarodziejów, niewątpliwie obłożonych tarczami. Protektorzy, arcymagowie, nie miało to znaczenia. Tarcze zatrzymają magię, topór lub strzałę, ale o ile ci czarodzieje nie są o wiele bieglejsi w magii od znanych Caldanowi mistrzów, to ich osłony nie wytlumią impetu uderzeń. Pokaże im, jak bardzo niedoskonałe są ich tarcze. Magia była dla nich tylko wsparciem, kulami pomagającymi im chodzić. Caldan wykopie im je spod nóg.

Zwolnił i zatrzymał się. Jeden z czarodziejów trzymał się za grupą. Chłopak zaśmiał się i ruszył ku studni najbardziej na lewo. Jeśli obejdzie grupę, dostanie się do maga na tyłach oraz do miecza, który niechybnie ma przy sobie.

Tam jest.

Teraz. Przebił się przez drzwi. Buchnęły drzazgi i metalowe okucia zadzwoniły o przeciwległą ścianę. Deski rozsypały się jak domek z kart. Przed nim stała kobieta okryta niebieską barierą. Warknęła i otworzyła usta do krzyku.

Caldan wpadł na nią, wbijając ramię w jej pierś. Miotnęło ją w tył, jakby była szmacianą lalką. Jej tarcza zamigotała i zgasła, a źrenice uciekły w głąb czaszki, gdy zsunęła się po ścianie na podłogę. Zaległa na niej z rozrzuconymi członkami. Gdzieś z prawej strony dobiegły Caldana krzyki.

Puścił się naprzód.

Przed nim pędził samotny czarodziej.

Szybko, ale nie dość szybko.

Krew przodków szumiała mu w uszach.

Zaśmiał się, wykrzykując słowa, których nigdy nie będzie mógł sobie przypomnieć.

Przed nim stał Protektor z zaciętą twarzą. Ścisnął w ręce miecz – srebrzystą w świetle księżycy wstęgę. Otaczała go wielokolorowa osłona przywodząca na myśl rybią łuskę, a na sobie miał pokryty runami pancerz.

Łokiec Caldana wbił się w czoło czarodzieja, nim ten zdołał się poruszyć. Głowa odskoczyła mu do tyłu, a z tarczy strzeliły iskry i mężczyzna padł nieprzytomny na podłogę. Caldan natychmiast poczuł, jak rozpada się blokada jego studni, i błyskawicznie zaczerpnął z niej potężną dawkę mocy.

Puścił swój zdobyczny miecz i sięgnął po rękojęć talizmanu. Nie miał teraz czasu, by dociekać, jak on dokładnie działa. Zresztą to nieważne. Miał teraz dostęp do swojej studni i czuł, jak po jego ciele płynie krew rozpalona jak magma.

Przebiegł palcem po klindze, na opuszcze pojawiła się krew. Odjął od ostrza lepiące, czerwone palce. Wyrysował na klindze miecza-talizmanu serię potężnych symboli i run, permutację elementów powiązanych ze sobą wariacją tarczowego rzemysliwa.

I znowu ujął rękojęć broni.

Studnie szły w jego stronę.

Jedną myślą Caldan podzielił swoją na wiele strumieni. Zebrał moc i wypełnił nią wypisane krwią runy.

I przebił się przez kamienną ścianę, jakby była zrobiona z papieru.

Budynek zatrzęsł się w posadach. Odpryski i pył budulca wypełniły powietrze. Ci, którzy go zaatakowali, nie stanowili dla Caldana wyzwania. Tarcze, osłony doskonalone przez stulecia, rzemysliwa i talizmany o olbrzymiej mocy – wszystkie zawiodły, gdy posiadający je czarodzieje padali u jego stóp. Roziskrzona włókna przeszywały ich ciała.

Rozrywając ciało i zasnuwając powietrze czerwoną mgłą. Gruchocząc kości.

Wyjące dusze powracały na łono przodków.

Caldan mknął przez krwawe dzieło zniszczenia.

Nikt nie jest niewinny. Zniszczyć wszystkich.

Gdy zniknęły wszystkie studnie wokół, Caldan skupił uwagę na rzemysliwach i talizmanach, które wyczuwał magicznym zmysłem. Porzucił te, które wykrył na ciałach magów.

Były prymitywne i nieporęczne, okazały się zupełnie bezużyteczne. Zamiast tego cofnął się tam, gdzie był przetrzymywany, i z łatwością otworzył za pomocą magii zamkniętą skrzynię, w której znalazł swoje rzemysliwa i pierścień-talizman. Wszystko poza swoim kościanym pierścieniem oraz tym, który odebrał Devenishowi.

Musiała je mieć Thenna.

Caldan wciąż był nagi, a jego ciało naznaczone mękami – choć najstarsze z ran już się goiły. Krążył po walącej się ruinie budynku, usilnie szukając kolejnych czarodziejów, na których mógłby wyrzucić pomstę. Ale żadnych nie było.

Mijał rozwalone ściany i okaleczone ciała. Gruz i pył, krew i ciało. Pokłósie jego furii. Czuł przerażenie, ale było ono ściśnięte gdzieś z tyłu głowy. Wydawało się zaledwie echem prawdziwego uczucia, a on sam cieniem osoby, którą kiedyś był. W tej chwili jego duszę wypełniały słuszny gniew i ekstatyczne uniesienie. Gdy się zniszczenie, przez jego umysł nie płynęły żadne myśli. Był oziębiały i działał jak w transie, niemal bez władzy nad własnym ciałem. Zaskoczyła go ta euforia, przyszła niespodziewanie, sam nie wiedział skąd. Pławił się w swojej potędze, w mistrzowskim zastosowaniu skomplikowanej magii destruktywnej swojego autorstwa, zastanawiając się, czy jest na świecie moc, która mogłaby go teraz powstrzymać.

Niesamowita siła pchała go naprzód, ale teraz zaczynała przyćmiewać ją zmęczenie, zarówno fizyczne, jak i umysłowe. Znalazł ułamany dźwigar i przysiadł na nim. Tylko na moment. Nie mógł pozwolić sobie na więcej. Zaraz po niego przyjdą. Arcymagowie i Protektorzy.

Przodkowie – wszyscy po niego przyjdą.

Wreszcie zostawił za sobą walący się w gruzy budynek.

Niedowierzający własnym oczom gapie tłoczyli się w alejach i uliczkach. Obywatele, kupcy, handlarze. Wpatrywali się oniemiałi w obraz zniszczenia oraz Caldana, który wywlókł się ospale z pyłących ruin, tuląc do ciała bezużyteczną lewą rękę. Bolała jak sto piekieł i Caldany czuł wewnętrzny żal, jakby ktoś odjął mu integralną część jego samego. Zresztą może i tak było.

Ignorował wzbierający tłum, patrząc na zachmurzone niebo.

Nieopodal leżało ciało strażnika. Pulchnego mężczyzny o niewidzących oczach. Caldan sztywnymi, nienaturalnymi ruchami zdjął mu spodnie i koszulę, jak najlepiej umiał jedną ręką, i włożył je na siebie.

Były za duże, ale lepsze to niż nic.

Otaczały go prastare kamienne mury, a z pozycji słońca na niebie wyczytał, że znajduje się gdzieś na południe od miasta. Co oznaczało, że Miranda jest na wschodzie.

Caldan uniósł miecz-talizman i oparł go o ramię z klingą blisko szyi. Strażnicy przy bramie pozwolą mu przejść. W każdym razie na pewno nie zdołają go zatrzymać. Pójdzie tam, gdzie cumują okręty Quissa, umyje się i odpocznie. Na rękę będzie musiał spojrzeć jakiś uzdrowiciel. Caldan szybko regenerował uszkodzoną skórę i mięśnie, ale pogruchotane kości to zupełnie co innego. Może zdołają ją nastawić, tak by mógł jej jeszcze kiedyś używać.

Może.

Pochylił głowę i przetarł oczy. Był zmęczony, potwornie zmęczony. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, Caldana omył pływ mocy i zapach cytryny.

Zareagował natychmiast. Tarcza otoczyła go na moment przed tym, nim uderzył w niego magiczny pocisk. Wiry powietrzne wzbily w niebo chmury pyłu, a pośród ruin, które były dziełem wściekłości chłopaka, zatańczyły szaleńczo cienie.

Sięgnął zmysłem tam, gdzie wyczuł nową konstelację studni. Cztery. Nie, pięć. Odziani na czarno arcymagowie dźwigali się ze zgliszczy, kryjąc się za hałdami kamieni.

Była z nimi Thenna.

Caldan rozejrzał się, szukając nowego źródła zagrożenia, gotów zmiażdżyć każdego, kto stanie mu na drodze. Z potraskanych belek uniósł się dym, a kamień pod jego stopami poczerniał, gdy na nowo rozpałała się w nim furia Dotkniętego.

– Dość! – wrzasnął ktoś.

Caldan nie słuchał.

Thenna torturami doprowadziła go do szaleństwa. Zasiąła wiatr, a teraz zbierze burzę.

W obrębie jego pola widzenia poruszył się jakiś cień. Rzucił w niego czarem. Jedna z arcymagiczek kulą. Jej tarcza nie

wytrzymała uderzenia i gdy opadła, ona także wylądowała na ziemi, płonąć żywym ogniem i wrzeszcząc z bólu.

Caldan rozrzucił zakrwawione ramiona, zapraszając do walki jej pobratymców.

– No, chodźcie! – wołał. – Zniszczę was wszystkich!

– Caldanie, dosyć!

Wyczuł kolejną studnię po swojej prawej. Tarcza arcymaga skruszyła się, jakby Caldán porozbijał ją niewidzialnym młotem.

Samego arcymaga też zabrała śmierć, gdy wyrzut niszczycielskiej mocy zmiażdżył mu głowę.

Pozostałe studnie wycofały się i skryły za tym, co zostało ze ścian. Z początku wolno, potem coraz szybciej. Arcymagowie uciekali. Thenna wiedziała, że nie pokonają Caldana. Że zaczęłyby ich gonić, by wyrzucić zemstę.

– Coś taki poobijany?

Caldan zwrócił raptownie głowę i wybałuszył oczy.

Trzydzieści kroków od niego stała na kamiennym bloku lady Felicienne. Toczyła penetrującym spojrzeniem po ruinach dookoła.

– To cię nie dotyczy – wycharczał Caldán.

– Zniszczenie miasta mnie nie dotyczy? Patrzenie, jak ktoś, kogo miałam za dobrego człowieka, zabija arcymagów, też mnie nie dotyczy?

– Nie masz pojęcia, co mi zrobili. Zasłużyli sobie na to. – A jednak już w chwili, gdy to powiedział, ból w jego sercu zmagął się z tym, którym promieniowało jego ciało, oba nieznośnie silne. Niemal zbyt silne, by zdołał to znieść, i teraz niczego tak bardzo nie pragnął, jak tylko zapaść się w siebie i zniknąć.

Gdzieś za plecami Caldana zagrzechotały osuwające się kamienie, a potem objęły go ramiona. Zrzucił je z siebie i uniósł do ciosu miecz...

Miranda.

Lzy spływały jej po policzkach, zostawiając czyste linie na umorusanej twarzy.

– Błagam cię, przestań. – Sięgnęła do niego. Spojrzał na jej rękę. A potem za nią, na zniszczenia, które były jego dziełem. Dotarło do niego, że głos, który usłyszał wcześniej, należał do niej, a on był zbyt pochłonięty furią, by go rozpoznać.

– Arcymagowie mnie uwięzili. Torturowali mnie.

Miranda ze smutkiem pokiwała głową.

– Nie powinni byli tego robić. Ale teraz musisz przestać.

– Ale ja... Niby dlaczego?

Mirandą wstrząsnął szloch.

– Bo to właśnie jest to, przed czym ostrzegałeś. Magia, która wymknęła się spod kontroli. – Postąpiła krok bliżej, nie opuszczając wyciągniętej do niego ręki. – Proszę, Caldanie. Jeśli się nie zatrzymasz, staniesz się tacy jak oni. A znam cię. Widziałam, jak pomagałeś innym, choć mogłeś pomóc tylko sobie. I wiem, jak bardzo pomogłeś mnie. Nie musisz być taki jak oni. Nie musisz zmieniać się w nich. Po prostu... wróc do tej osoby, którą jesteś. Nie zmieniaj się w tą, w którą oni chcieli cię zmienić.

Za Felicienne pojawili się Quiss i Selbourne. Na twarzy najemnika widniał złowrózby grymas, a dłonie miał zaciśnięte na rękojeści miecza.

Stojący obok czarodziej promieniował mocą. A za nimi stała... kapitan Charlotte?

Ręka Caldana drgnęła i uświadomił sobie, że wciąż trzyma gotowy do ciosu miecz, który ośmielił się podnieść na Mirandę. Opuścił ostrze.

– Dziękuję – powiedziała dziewczyna. Zrobiła kolejny krok w jego stronę.

– Zasłużyli na to – wymamrotał.

– Tak. Ale już po wszystkim. Jesteś bezpieczny. Zabierzemy cię na okręt.

– A Thenna? – zwrócił się do Felice. – Co z Thenną? Ona mi to zrobiła.

– Obiecuję ci, że się nią zajmujemy.

Czy mógł jej wierzyć? Może. Spojrzał na Mirandę, ale zaraz odskoczył od niej wzrokiem. Widział, że jednocześnie boi się go i martwi o niego. Nie potrafił znieść tego, że była rozczarowana tym, co zrobił.

– Chodźmy stąd – powiedział, wbijając wzrok w ziemię. Znów oplotły go ramiona Mirandy, a jej głowa spoczęła na jego piersi.

– Wszystko będzie dobrze – powtarzała w kółko.

Caldan syknął, gdy niechcący otarła się o ranę. Świeża krew przesączała się przez ubranie. Delikatnie wyplątał się z objęć dziewczyny, a ona zassała głośno powietrze, dopiero teraz dostrzegłszy krwawe plamy na jego koszuli i spodniach.

Felice, Quiss i Selbourne zbliżyli się, gdy wyłaniał się z ruin wraz z Mirandą.

– Selbourne widział, jak cię łapią – wyjaśniła Felice. – Miranda i ja dzięki cesarskim informatorom i sypanym szczerze dukatom dowiedziałyśmy się, że zabrali cię tutaj. Ale wygląda na to, że spóźniłyśmy się z ratunkiem.

Wbijala w niego przymrużone oczy, jakby patrzyła na wściekłego psa, którego trzeba uśpić. Kto wie, może nim był?

– Idę stąd – oświadczył Caldan. – Byłoby lepiej, gdybyś nie próbowała mnie powstrzymać.

Quiss wymierzył w niego spojrzenie przesycone dezaprobatą, a Selbourne wprost pokręcił głową. Caldan nie zaprzętał sobie nimi głowy.

– Zmieniłeś się – zauważyła Felice.

Caldan kiwnął głową. Bardziej, niż myślała.

– Gdy się poznaliśmy, byłem innym człowiekiem. Teraz jestem silniejszy.

Felice parsknęła śmiechem i klasnęła w dłonie.

– A może raczej kruchy i delikatny?

– Czas pokaże – skwitował Caldan. – Pójdę już.

– Pójdę z tobą – zadeklarowała Felice. – Muszę też rozmówić się z Quissem.

Caldan westchnął i skierował na Felice zamyślane spojrzenie, zirytowany nie wiedzieć czym.

– W porządku, Caldanie – uspokoiła go Miranda. – Pomogła mi cię znaleźć.

– Idź za mną albo nie idź – rzucił do Felice. – Nie dbam o to. Ale jeden fałszywy ruch i pożałujesz.

– Oj, młodzieńcze. Byłam przecież z tobą całkowicie szczerą.

– Albo tylko tak twierdzisz.

– Rzeczywiście się zmieniłeś.

– Zgaduję, że ty także. – Rozdrażniony Caldan ruszył ulicą na wschód. – Obawiam się, że szansę na przetrwanie już dawno

pogrzebaliśmy.

Po tym, jak wybałuszyła na niego oczy, poznał, że rozumie. Bo jak by mogła nie rozumieć? Przecież sama też widziała, co zwiastuje taki rozkład figur na planszy.

Indryallanie. Kelhak. Drugie Zdruzgotanie.

– Dobrze, chodź ze mną – westchnął Caldan. – Spróbujmy ocalić świat, z arcymagami lub bez, z Kołczanami albo bez nich.

Felice zamknęła odstęp między nimi i z aprobatą kiwnęła głową.

– Przyda im się moja pomoc. Mam kilka pomysłów. W końcu tego typu sprawy to moja specjalność.

Caldan prychnął śmiechem, nie przerywając marszu i opierając się na Mirandzie. Tortury Thenny i arcymagów wyostrzyły mu duszę do tego stopnia, że prawie się nie poznawał.

Ale wiedział, że jest tylko pierwszym z wielu odmienionych przez to, co się właśnie działo. Bo liczył Kelhak proklamował właśnie drugie Zdruzgotanie...





**C**aldan bez słowa przyjął kielich podsunięty przez Felice. Chwycił go zdrową ręką, by ta przestała się trząść. Zawartość kielicha parowała, roznosiła ostrą woń alkoholu.

Osuszył naczynie i zassał ostro powietrze.

Miranda siedziała na koi obok niego. Jej ręka spoczywała na jego udzie.

– Na drugą nóżkę? – zaproponowała Felice.

Kiwnął głową zamroczony i zwrócił jej kielich. Płomień w gardle i żołądka przynosiły mu perwersyjną przyjemność.

Felice dołała mu zielonego płynu z butelki, ewidentnie kosztownego destylatu, choć Caldan nie dostrzegłby różnicy między nim a najtańszą portową gorzałką.

Tym razem upił tylko łyk, delektując się ognistym posmakiem w ustach. Jego rany reagowały bólem na byle ruch. Wciąż były świeże i obolałe, choć podejrzewał, że jak zwykle szybko się zaleczą. Felice zmarszczyła nos, gdy zbliżyła się, by napełnić jego kielich. Musiał cuchnąć zastałym potem i krwią oraz dymem i zniszczeniem, które spowodowała jego magia.

Robił wrażenie wyczerpanego, ale nie złożyło się na to rzucenie czaru, które było dziecinnie łatwe. Ostatecznie magia destruktywna okazała się prosta jak konstrukcja cepa. O wiele łatwiej niszczyć, niż tworzyć.

Miecz-talizman spoczywał przy jego nodze. Zerknął na owiniętą skórą rękojeść wyrastającą z odrapanego, pordzewiałego jelca. Niepozorny wygląd skrywał potęgę, która ukazywała się dopiero po tym, jak klinga opuszczała pochwę.

Felice wydawało się, że rozumie istotę przemiany chłopaka. W końcu sama zauważyła, że dzisiejszy Caldan różni się od Caldana sprzed kilku miesięcy. Ale nie miała pojęcia, czym tak naprawdę się stał. Jego potęga dorównywała potędze arcymagów. A nawet ją przewyższała. Tyle pewnie dostrzegła... może nawet przeczuwała, że zmiana zaszła i na innych płaszczyznach, ale jej istota pozostawała dla niej tajemnicą. Człowiek zmienia się całe życie i nigdy tylko z wierzchu – to rozumiał każdy.

– Czego ty chcesz, Felice? – spytał Caldan. Szczerze mówiąc, wolalby, gdyby sobie poszła. Uzdrowiciel już pewnie kierował się w jego stronę. Niebawem zajmie się jego ręką i pozostałymi obrażeniami. Wtedy może zdoła w końcu odsapnąć, najlepiej z Mirandą u boku.

Felice oparła się nonszalancko o ścianę kajuty, kołysząc trzymaną w drugiej ręce butelką.

– Wiem, że sporo ostatnio przeszedłeś, ale to ważna sprawa. Chcę przegrupować nasze oddziały i opracować strategię. Ktoś musi zorganizować obronę.

– Masz chyba na myśli atak. Jeśli skryjemy się za murami, to po nas.

– Ja też tak uważam. Cesarz...

– Cesarz śmiertelnie boi się Kelhaka. Widziałem strach na jego twarzy podczas pierwszego czarodziejskiego ataku.

Felice zamilkła na chwilę.

– Tak czy inaczej, potrzebujemy tylu ludzi, ilu tylko zdołamy zebrać. – Wskazała stertę ubrań na koi oraz pełne do połowy wiadro, szmatę i słoik z maścią. – Quiss zostawił to dla ciebie, żebyś mógł się umyć i przebrać. Ale nie zadawał żadnych pytań. Pomyślałam sobie, że to dziwne. Czemu o nic nie pyta? Czy to dlatego, że coś wie?

Caldan zbył uwagę parsknięciem. Zdjął porwaną i brudną koszulę, świadom spojrzenia Felice, ślizgającego się po ranach na jego piersi i ramionach. Pamiątka po Thennie. Miranda podeszła do wiadra i zmoczyła szmatę, po czym zaczęła go obmywać.

– Jeśli zaboli, to... przepraszam. – Strzeliła wzrokiem do Felice. – Lepiej już idź. Nie będziemy częścią twojego planu. Arcymagowie pokazali już, że nie wolno im ufać.

Felice patrzyła na Caldana długo, aż w końcu łyknęła z trzymanej w ręce butelki.

– Wyjdziemy z tego żywi, tylko pracując ręka w rękę. Mirando, czyż nie znalazłyśmy go wspólnym wysiłkiem?

– Prawie za późno – wymamrotała Miranda.

Zimny węzeł zasupłał się w żołądku Caldana.

– Dowiedziałem się prawdy od Quissa. Jest zdesperowany. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że sądzi, że Kelhaka nie da się pokonać.

– Musimy spróbować...

– Nie powiedziałem, że nie spróbujemy – warknął na Felice. – Ale nie wiemy nawet jeszcze, jak się do tego zabrać. Pracujemy nad czymś, ale jest tak, jakby zostało nam na planszy tylko kilka figur, a Kelhak kontrolował resztę. Jeden fałszywy ruch i czeka nas katastrofa.

Miranda znowu zwilżyła szmatę. Mętna woda złączyła się z tą, która już pływała w wiadrze. Przygryzała dolną wargę i Caldan widział, że widok jego ran wytrąca ją z równowagi.

– Potrzebujemy gwarancji – powiedziała do Felice – że kiedy to wszystko się skończy, zostawią Caldana w spokoju. Że będzie mógł żyć po swojemu. Wolny.

Caldan uśmiechnął się i chwycił rękę Mirandy.

– Obiecuję ci to – zapewniła ją Felice.

– Kłamiesz – odparła Miranda cierpko. – Arcymagowie chcą jego krwi. Dosłownie. A dla cesarza Caldan jest kolejnym narzędziem do ugruntowania jego władzy. Masz nas za głupców?

– Bynajmniej – westchnęła Felice. – Wszystko, co mogę zrobić, to obiecać, że dołożę wszelkich starań.

– To za mało – odparła Miranda.

– Nigdy nie zwyciężymy, jeśli będziemy się spierać – powiedziała z naciskiem Felice. – Arcymagowie, Protektorzy, Dotknięci, Kołczany, nawet najemnicy, każdy będzie miał swoją rolę do odegrania. Dopiero po wszystkim będę mogła ci jakoś pomóc. Cesarstwo musi przetrwać. Przetrwa.

Nie wspomniała o cesarzu... może to dobry znak. Caldan poprawił się na krześle i skrzywił z bólu.

– Arcymagowie to złoczyńcy. Protektorzy to ślepcy. Dotknięci to marionetki. A Kołczanów prawie już nie ma. Ci, co jeszcze żyją, mają na głowie jukarów i vormagów, którzy mają tylko rozproszyć naszą uwagę.

– Wiem to wszystko. A talizmany? Marnotrawcy Życia. Co z nimi? Czy Thenna je ma?

– Sądzę, że ma oba.

Felice zaklęła wściekle.

Caldan przebiegł dłonią po twarzy, czując pod palcami kilkundniowy zarost. Wyrzucił powietrze z płuc, nagle dokumentnie wykończony. Wziął świeżą koszulę, którą dał mu Quiss, i ujął materiał w dwa palce. Gdyby to rzeczywiście była partia dominionu, Caldan już dawno wystrzelałby się ze wszystkich dodatkowych ruchów.

– Mirando, czy wiesz, gdzie jest mój wilk?

Kiwnęła głową.

– Quiss go ma. Arcymagowie albo go nie widzieli, albo ich nie obchodził. Musieli skupić wszystkie wysiłki na pojmaniu ciebie i jak najszybszej ucieczce. Quiss powiedział, że chciał go zbadać.

– A więc odbiorę go od Quissa – postanowił Caldan. To już coś.

Miranda wyżeła szmatę i wstała. Objęła się ramionami.

– Felicienne, z twoich słów jasno wynika, że chcesz, aby cesarstwo trwało. Jesteś lojalna jeśli nie wobec cesarza, to na pewno wobec cesarstwa. Ale my nie możemy zaangażować się w ratowanie go, jeśli fakty wskazują na to, że po wszystkim nas zdradzisz. Co zrobisz, jeśli Caldan odmówi? Znowu go zamkniesz? Widziałas, jak to się skończyło dla Thenny. Tak jak mówiłam: potrzebna nam gwarancja. Obiecuj, że nam pomożesz, że zrobisz, co w twojej mocy.

Caldan kiwnął głową.

– Chcemy jakoś się wydostać z tego bałaganu i potrzebna nam twoja pomoc. Pomożesz nam, Felice?

– Jeśli powiem, że tak, to uznacie, że kłamię. Ale... chyba znam sposób na to, byście mi uwierzyli. Tym sposobem jest pewien sędzia.

Caldanowi przyszło na myśl, że chyba zapomniała o flaszcze w swojej ręce, nim podniosła ją, żeby upić kolejny łyk.

– Jest jeszcze coś – powiedział. – Ktoś jeszcze musi wiedzieć. Chyba mogę ci zaufać w tej sprawie. Złożyłem Amerdanowi obietnicę, nim zginął. Miał w Anasomie siostrę i poprosił mnie, żebym zajął się nią, a także dwójkiem innych dzieci. Jeśli nie przeżyję, jest jeszcze jedna osoba, która może się nimi zaopiekować. Mieszkający w Anasomie uzdrowiciel imieniem Zakarius. Można go poznać po tym, że jest łysy. Znajdziecie go, gdy już będzie po wszystkim? Zajmiecie się nimi?

Felice kiwnęła głową.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie i sam spełnisz swoją przysięgę.

Wtedy drzwi otworzyły się i najemnik wprowadził do środka łysiejącego mężczyznę w średnim wieku. Nowo przybyły miał przy sobie skórzaną torbę podobną do tej, jaką nosiła Elpidia.

– Które z was... – Uzdrowiciel zatrzymał wzrok na stojącym w kajucie, rozebranym do pasa Caldanie, z którego otwartych niechący przez Mirandę podczas mycia ran lała się krew. – Zapewne ty – zakończył.

Miranda przejęła butelkę od Felice i łyknęła porządnie, nie odrywając oczu od poranionej piersi Caldana.

Caldan wyprostował lewą rękę. W świetle jedynej czarodziejskiej kuli wydawała się otoczona niebieskawą poświatą. Jego poobijane palce były napuchnięte jak kielbasy. Miranda podeszła z nim do koi i kazała mu usiąść.

– Zostawię was teraz – powiedziała Felice. – Porozmawiamy, jak wypoczniesz.

Po tych słowach opuściła kabinę. Uzdrowiciel ostrożnie ujął pokiereszowaną rękę Caldana, mamrocząc pod nosem.

– Rana miażdżona? – spytał.

Caldan przytaknął.

– Myślę, że większość kości jest złamana.

Uzdrowiciel podrapał się w głowę.

– Sądzę, że masz rację. Uwaga, teraz zaboli.

Caldan zacisnął zęby, gdy mężczyzna badał jego rękę, chcąc znaleźć punkty złamania kości. Po kilku chwilach pokręcił głową.

– Obawiam się, że mam złe wieści.

– Co jest? – zaniepokoiła się Miranda.

– Ręka nie wymaga amputacji, ale nigdy nie odzyska sprawności. Zbyt wiele kości jest dokumentnie zniszczonych. Bardzo mi przykro. Mogę ją opatrzyć, tak by była unieruchomiona, dopóki ból nie minie.

Miranda spojrzała na Caldana. Jego twarz nic nie wyrażała. Przypuszczał, że tak to się skończy. Jego zdolności Dotkniętego nie na wiele się tu zdadzą. W normalnych warunkach nie wróciłby do sprawności, więc przyspieszanie procesu zdrowienia miało się z celem. Ścisnęło go w żołądku i przez kilka chwil nie mógł oddychać. Jego ręka stała się bezużytecznym ochłapem mięsa. To już lepiej ją uciąć. Łzy napłynęły mu do oczu, zamrugał i otarł je rękawem.

– Dziękuję – powiedział Caldán drżącym głosem. – Mam jeszcze kilka ran ciętych i oparzeń. Chyba nic poważnego.



Felice miała właśnie nalać sobie drugą szklanekę, gdyby nagle rozległo się łomotanie do drzwi. Otworzyły się niemal natychmiast i w szczelinie pojawiła się twarz marynarza.

– Quiss każe iść na pokład. Jesteś potrzebna.

Wspięła się po schodach i zobaczyła przed sobą Caldana wspartego na ramieniu Mirandy. Jego świeża koszula była zaplamiona krwią w miejscu, gdzie go dotykała.

Felice mdliło, gdy patrzyła na Caldana w tym stanie, ale nic nie mogła dla niego zrobić. Przekłęci arcyomagowie. Torturowali go, i to wyłącznie z chęci zemsty. Wyjawiał, że odpowiedzialna za to kobieta nazywała się Thenna. Zapisała to imię na jednej ze swoich szczególnie ważnych list. Wiedziała co nieco o tej arcymagiczce, o jej przeszłości. Nie było tam niczego dobrego.

Twarc Caldana była całkowicie wyprana z wszelkich pozytywnych emocji. Ostało się na niej tylko zmęczenie i nieufność. I nienawiść. To, co przez co przeszedł, innym odbierało rozum. A Felice wcale nie była taka pewna, czy wszystko z nim w porządku. Może tylko ukrywał kielkujące w głowie szaleństwo? Czy Thenna rozpętała coś, czym powinni się martwić?

Felice nie sądziła, że świat obejdzie cierpienie Caldana. Jeśli zwariował i stał się agresywny, to trudno. Mimo to pokieruje nim tak, by przysłużył się jej celom. Po tym, co przeżył, nie był już młodzieńcem, ale wciąż dało się nim sterować.

Spuściła wzrok na miecz, który trzymał w ręce. Nagi miecz lśniący jak tafla rzeki w księżycową noc. Część ostrza pokrywały wyżłobione runy, niektóre wypełnione czerwienią.

Przyspieszyła kroku i podeszła do Caldana.

– Pamiętaj, co ci powiedziałam – mruknęła. – Sekrety zachowaj dla siebie. Musimy obmyślić plan, dzięki któremu staniemy wszyscy w jednym szeregu. Ty z Quissem. Ja z arcymagami, Protektorami i Kołczanami. Więc bądź ostrożny i mów tak mało, jak to możliwe.

Poszli za marynarzem po drabince do miejsca, gdzie na podniesionej części górnego pokładu znajdowało się przy barierce koło sterowe.

Quiss też tam był. Tuż obok monstrualnie grubego mężczyzny o siwiejących włosach i pomarszczonej twarzy. Naprzeciwko nich

stali trzej mężczyźni i kobieta, która taksowała Felice i Caldana, jakby przyglądała się podejrzanemu robakowi na swojej pościeli.

Felice niemal się potknęła. Rozpoznała troje z nich. Widziała ich już wcześniej. Tylko gdzie? Wytężyła pamięć. Jakiś czas temu w stolicy... Pamiętała te twarze...

Kobieta o zimnych oczach. Na pewno już na nią patrzyły.

No tak! Przypomniała sobie. Lady Caitlyn... fanatyczka, która otrzymała cesarski glejt. Felice była przeciwna temu pomysłowi. Nie podobało jej się, że cesarz rozsyłał po świecie bandy zbrojów tym się różniących od tych na drogach, że działali ponad prawem. Dwaj mężczyźni byli w stolicy razem z Caitlyn. Jeden miał dwadzieścia kilka lat, ale spoglądał na nią ponurymi oczami starego weterana. Aidan. I szermierz imieniem Anshul cel Rau, który musiał pochodzić ze Stepów.

Ostatniego mężczyzny z grupy nie знаła, lecz z całej czwórki to właśnie on sprawił, że oddech uwiązał jej w gardle. Mistrz Felice wbił jej do głowy: „Zwracaj uwagę na oczy. Wiele można z nich wyczytać o ich właścicielu”. A oczy tego człowieka były wyjątkowe. Spojrzały na nią, gdy podchodziła, i Felice poczuła się tak, jakby spenetrowały wszystkie zakątki jej duszy. Wiedzące spojrzenie.

Quiss rozmawiał przyciszonym tonem z tą całą Caitlyn. Gdy Felice i Caldana stanęli obok niego, czarodziej zwrócił się ku nim, aby obdarzyć ich dyskretnym uśmiechem.

– Mówicie, że lady Porhilda kazała wam tu przyjść? Dlaczego? I dlaczego pytacie o Gaziję?

– Czyżbyście mieli coś wspólnego z jego śmiercią? – spytał gruby mag.

– Dość, Mazoecie – powiedział Quiss znużonym tonem. – Oczywiście, że nie mają. Byłem tam przecież, pamiętasz? – Zgarbił się, jakby nagle opadło go wielkie zmęczenie. – Felice, Caldanie... Chcę, byście kogoś poznali... Naszych nowych przyjaciół. Aidan, Anshul i Vasil przyłączyli się do nas wkrótce po upadku Anasomy. I jak widać, spotkali dawno zaginioną dowódczynię, lady Caitlyn. – Quiss wskazał kobietę.

Felice przekrzywiła głowę, ale oni wpatrywali się w Caldana, co ani jej nie zaskoczyło, ani nie zmartwiło. Bardzo dobrze, niech myślą, że ona nie stanowi zagrożenia. Musiała przyznać, że Caldana



prezentował się imponująco ze swoją zaciętą szczęką i szalonym spojrzeniem. Zwracał uwagę, podobnie jak miecz, który wciąż trzymał w dłoni.

Felice miała cel – zmusić różniące się od siebie grupy do wspólnej walki z Kelhakiem. Wiedziała, że będzie to równie proste, co tresowanie stada kotów wrzuconych do worka. W sytuacjach takich jak ta rzadko miała przygotowany jakiś konkretny plan. Zwykle przyglądała się ludziom, zadawała kilka pytań, domyślała się, co chcą osiągnąć tym spotkaniem, a potem popychała ich delikatnie w pożądanym przez siebie kierunku.

Zrobiła krok naprzód i podała rękę Caitlyn.

– Miło poznać – powiedziała Felice tonem będącym bladym odbiciem treści jej słów.

Kobieta ją zignorowała.

– Lady Porhilda prosiła, żebyśmy was znaleźli – powiedziała. – Musicie więc mieć przydatne nam informacje.

– Porhilda? – powiedziała Felice. – Ach tak.

Stara manipulatorka musiała domyślić się, gdzie jest Felice, i wydedukować dlaczego. Nic nie umykało tej szczwanej lisicy.

Vasil, człowiek o wiedzających oczach, poruszył się pierwszy. Ujął lekko jej dłoń i trzymał chwilę, nim pochylił głowę.

– Pani – rzekł dwornie. Następnie cofnął się, a jego ręka powędrowała do drugiego ramienia, które musiało być ranne, choć Felice nie widziała żadnej rany.

Dziwne było natomiast co innego – Aidan poruszył stopami i zwrócił tors i bark w bok, jakby chciał chronić Vasila. Ten człowiek zaskarbił sobie jego lojalność, i nie złotem ani nie władzą. To przymierze miało głębsze korzenie.

– Jestem Vasil Lauris. W Anasomie byłem...

– Sędzią – dokończyła Felice, gdy wspomnienia wypłynęły na powierzchnię. Jeśli dobrze sobie przypominała, ten człowiek był wyjątkowo uzdolniony i potrafił odróżnić prawdę od kłamstwa. Miał reputację. Niezupełnie dobrą. – Słyszałam o tobie. Wcześniej byłeś śledczym i doradcą w Gwardii Ministerskiej. Osobą obdarzoną szczególnym talentem.

Izakowi przydałby się ten człowiek w jednej z ucześniejszych przez niego szulerni. Felice zaśmiała się w duchu. Miała nadzieję, że

Izak posłuchał jej rady i nie będzie się wychylał, dopóki ta sprawa się nie rozwiąże. Jeśli Felice wyjdzie z tego cało, postawi mu piwo.

Wyciągnęła rękę do towarzysza sędziego.

– Jestem lady Felicienne Shyrise, Trzecia Arbiter cesarza.

– My zaś jesteśmy wszystkim, co zostało ze specjalnego oddziału działającego z ramienia cesarza – powiedział Aidan. – Tropimy i usuwamy popleczników zła.

– To bardzo chwalebne dążenie – powiedziała tylko. Czy zdoła ich jakoś wykorzystać? Możliwe. Vasil był ciekawą figurą na tej planszy.

– Widziałam cię już kiedyś, dawno temu. – Felice skrzyżowała spojrzenie z Anshulem cel Rauem i tylko wysiłkiem woli udało jej się nie wzdrygnąć. W oczach mieszkańca Stepów wyczytała obietnicę gwałtownej śmierci.

– Tak – powiedziała poirytowana Caitlyn, jakby czuła się pominięta w dyskusji. – Anshul jest niezrównanym szermierzem i nieugięcie zwalcza zło.

Felice zaryzykowała szybkie zerknięcie na Caldana, który stał w ciszy kilka kroków dalej. Wciąż był wstrząśnięty i obolały po tym, czego doczekał się z rąk arcymagów. W ogóle nie powinno go tu być.

Gdy się obejrzała, Vasil pochwycił spojrzenie Caldana i skinął, rozpoznawszy go. Młodzieniec odwzajemnił gest. Oszczędnie. Prawie nie ruszając głową.

Felice podeszła do Caldana i ujęła go za ramiona, siłą ściągnając na siebie jego wzrok. Zadrżał w jej uścisku.

– Zejdź pod pokład – poradziła mu. – Potrzebujesz odpoczynku.

– Za późno na to – rzucił beznamietnym tonem, wymownie unosząc wzrok ponad jej ramię.

Podążyła za jego spojrzeniem. W oddali dostrzegła zbliżającą się grupę ludzi. A właściwie dwie. Jedna nadchodziła od strony Starorzecza, a druga od obozu arcymagów. Obie grupy były ubrane na czarno.

– Wszyscy mają studnie – powiedział Caldan. – Arcymagowie wiedzą, że tu jestem. Przyszli po mnie.

Jego słowa były natchnione jakąś melancholią, jakby wiedział, że ten moment nadejdzie, ale nie spodziewał się go tak szybko.

– Idź! – ponagliła go. – Ukryj się pod pokładem. Ja się nimi zajmę.

– Nie. – Odpowiedź Caldana była natychmiastowa i stanowcza. – Nie będę już uciekał.

– Cالدanie – szepnęła błagalnie Miranda – Felice ma rację.

Quiss zmarszczył brwi, podchodząc do niej.

– Zajmiemy się nimi, Cالدanie. Nie możemy pozwolić, żeby znowu cię pojмали. Musimy porozmawiać jeszcze o twoim konstrukcie. Jesteś dla nas bezcenny, dopóki nie dowiemy się wszystkiego, co sam wiesz.

– Dobrze – przystał Cالدan, a Felice zdumiała się, widząc, jak doskonale kontroluje swój wyraz twarzy i głos. – Mam wobec ciebie dług, Quissie. Ale gdy już będziesz wszystko wiedział, odchodzę. Czy to jasne?

Czarodziej pokiwał głową, ale widoczny za jego plecami Mazoet jakby posmutniał.

Formacje ubranych na czarno czarodziejów zbliżały się do okrętu o wiele szybciej, niż Felice by sobie tego życzyła.

Caitlyn i jej ludzie podeszli do przeciwległego nadburcia, jakby nadchodząca konfrontacja nie miała z nimi nic wspólnego. Ale Felice wiedziała, że niemal każdy ma tu coś do ugrania lub przegrania, nawet jeśli nie zdawał sobie z tego sprawy. Od zgromadzeń takich jak to zależał los cesarstwa.

Odetchnęła głęboko, chcąc utrzymać na twarzy maskę spokoju, choć wewnętrznie biła się z emocjami: złością na arcymagów za tortury, którym poddali Caldana, współczuciem dla niego, ale też irytacją spowodowaną zabiciem przez niego Devenisha. W nadchodzących dniach będą potrzebowali dostępnych czarodziejów, a on ściągnął na siebie uwagę wszystkich arcymagów, którzy powinni zamiast tego być skupieni na Indryallanach. Quiss także grał w jakąś swoją grę, której natury jeszcze nie odgadła, a Vasil i jego towarzysze... Czy oni mieli jakiś własny cel, czy może płynęli z prądem okoliczności?

Arcymagowie prawie już dotarli do trapu. Za nimi ciągnęli inni – uzbrojeni mężczyźni i kobiety. Pewnie Protektorzy.

Quiss i Mazoet podeszli tam, gdzie trap stykał się z okrętem. Stanęli po obu stronach otwartego w burcie przejścia, ale dziesięć stóp od niego, licząc ku osi okrętu. Felice dołączyła do nich. Pokładała wiarę w ich magicznych zdolnościach, które, sądząc po

tym, co zademonstrowała Rebecci, przewyższyły zdolności arcymagów.

Zajęła więc pozycję między dwoma czarodziejami i zrobiła krok naprzód. Ignorując ich pytające spojrzenia, wyprostowała się i przywołała na twarz grymas irytacji. Ktokolwiek reprezentował arcymagów – zapewne Thenna – ją zobaczy pierwszą. A wtedy Felice odezwie się jako pierwsza, stojąc w eskorcie czarodziejów znacznie potężniejszych od cesarskich arcymagów.

Którzy wówczas uznają, że to ona jest tu najważniejsza.

Im bliżej byli czarodzieje, tym głośniej brzmiały ich kroki. Zagłuszały już odgłosy nocy. Czarodziejskie kule oświetlały im drogę, a było ich tak wiele, jakby przynosili ze sobą światło dnia. Ale tłum to tylko tłum, grupa o mentalności stadnej, nigdy zbiór pojedynczych osób. Nie przysliby tu tak, gdyby wciąż dowodził nimi Devenish.

Zdawało się, że kilku arcymagów znało Caldana z widzenia, bo gdy zbliżyli się do okrętu, paru wskazało go palcami i podniosły się rozeźlone głosy. Przez ich szeregi przemknęła namacalna fala emocji o jednolitym odcieniu, którą Felice dobrze rozumiała. Ich przyjaciele zginęli od magii Caldana. To pewnie wszystko, co powiedziała im Thenna. O tym, że pojmała go i dręczyła, mogli już nie wiedzieć.

Felice pokręciła głową. Thenna nie nadawała się na przywódczynię. Weszła na trap, który trzeszczał pod wściekłym rytmem jej kroków.

Spódnica i koszula arcymagiczki były ostentacyjnie obszyte srebrnymi i złotymi nićmi, a każdy srebrny guzik został ozdobiony drogim kamieniem. Niezależnie od jej dążeń i zadań postawionych przed arcymagami, znalazła czas, by zamówić nowe ubranie – i to takie, które wyróżniało ją z grona arcymagów. Wynosiło ponad nich.

I to świadczyło o niej najdobitniej.

Thenna skosiła spojrzeniem Felice, Quissa i Mazoeta, nim wwierciła się nim w Caldana.

Zrobiła krok w jego stronę.

– Stój – powiedziała spokojnie Felice.

A ku jej zaskoczeniu Thenna zatrzymała się i zwróciła gromowe spojrzenie na nią.

– Nie będziesz mi rozkazywać! – wypluła.

Lecz pomimo widocznego oburzenia Thenny Felice zauważyła, że ta przeskoczyła wzrokiem między Quissem i Mazoetem. I nie umknęło jej uwadze drgnięcie ust arcymagiczki. Thenna była niepewna siebie i miała nadzieję, że ukryje to pod pozorami opryskliwości. Wiedziała, że ci ludzie władali potężniejszą magią, nie chciała więc dążyć do konfrontacji.

Dobrze. Czas, by ktoś ją w końcu usadził. Takie rozproszenie było im teraz niepotrzebne. Ostatecznie najważniejsze stawało się wspólne pokonanie Kelhaka.

– Jestem Trzecią Arbitrę cesarza.

Wargi Thenny ułożyły się w gorzki wyraz.

– A więc odstąp. Nie masz nade mną żadnej władzy.

Felice wolno pokręciła głową, jak matka mogłaby kręcić nią na wybryki krnąbrnego dziecka. Inni arcymagowie dostrzegli to i z pewnością zapamiętali.

– Wiem, czemu tu jesteś, Thenno. Ale progi, na które się wspinasz, są dla ciebie zbyt wysokie. Ten człowiek, Caldan, jest pod moją opieką, a także opieką tych dwóch czarodziejów. Czy ośmielił się ryzykować gniew cesarza?

– Reprezentuję arcymagów. Zejdz mi z drogi albo poniesiesz konsekwencje.

– Nie – odrzekła z mocą Felice, robiąc krok w kierunku Thenny. Ryzykowała, ale w końcu miała w odwodzie Quissa i Mazoeta.

Caldan na pewno nie poszedłby z nią po dobroci, a po tym, jak zburzył więzienie, w którym go przetrzymywali, Thennie powinna się zapalić lampka, zanim pójdzie z nim na wymianę ciosów.

– Czego chcesz, Thenno?

Niech powie to na głos.

Thenna wskazała Caldana drżącym palcem.

– Jego. Zamordował Devenisha. Zapłaci mi za to.

Caitlyn utkwiała w Caldanie ciężkie spojrzenie, a ręce Anshula opadły w okolice rękojęści. Felice uznała, że najlepiej działać szybko i rozproszyć animozje między nimi, zanim przerodzą się w przemoc.

– Mnie się wydaje, że już zapłacił za to wysoką cenę – powiedziała. – I to o wiele boleśniej niż śmierć.

– On musi cierpieć.

– Dość już wycierpiał! – zawołała Miranda. – Zobacz, co mu zrobiłaś. Torturowałaś go! Prawie zabiłaś!

– Zgadza się – przyznała Felice. – To, co mu zrobiłaś, zrobiłaś w złości, Thenno. Takie zachowanie nie przystoi członkini szlachetnej kasty arcymagów.

– Jestem nową przywódczynią arcymagów. Ja będę decydować, co przystoi.

– Nie ty, a cesarz.

– On powoła mnie oficjalnie na to stanowisko.

– Czy rzeczywiście? Na pewno nie wtedy, gdy ja mu to odradzę.

– Jesteś tylko Trzecią Arbiter...

– I jako Trzecia Arbiter mogę osobiście dostarczyć mu każdą informację, którą uznam za wartą jego osobistej uwagi. Każdą. Dopóki nie zostaniesz mianowana przez cesarza przywódczynią arcymagów, jesteś na niebezpiecznej pozycji. Lepiej niech to do ciebie dotrze, arcymagiczko.

– Na co czekasz? – krzyknął jeden z czarodziejów na pomoście, a potem rozbrzmiało wściekłe mamrotanie.

Thenna gromiła Felice pogardliwym spojrzeniem.

– Wszyscy znają prawdę. Zostanie osądzony i stracony. – Jej dłonie mimowolnie powędrowały do pierścienia na palcu, a potem amuletu na szyi. Rzemysliwa lub talizmany. W każdym razie ten ruch zdradzał niepewność Thenny.

Oczywiście. Felice ujrzała przed sobą ścieżkę, którą musiała już tylko podążać.

– Nie, nie zabierzesz Caldana. Zapomniałaś się. Porywasz i torturujesz podejrzanego o przestępstwo. Staniesz za to przed sądem.

A co się tyczyło Caldana... on mógł być kluczem do pokonania Kelhaka. Cesarz musiał dowiedzieć się, co się stało, i może ułaskawić Caldana. Przynajmniej dopóki to wszystko się nie skończy.

– Widziałam go. – Thenna strzeliła w Caldana spojrzeniem wypełnionym czystą nienawiścią. – Devenish był bezbronny. Caldan zabił go jak psa.

Problem polegał na tym, że Thenna miała rację. Kątem oka Felice złapała wzrokiem porozumiewawcze spojrzenie, które Vasil posłał Aidanowi.

Anshul zerknął na Caitlyn, a ona kiwnęła głową. Szermierz wystąpił naprzód.

– Bo był psem – powiedział Caldan zza pleców Felice, aż podskoczyła. Nie usłyszała, jak podchodzi.

Thenna syknęła przez obnażone zęby.

– Jesteś martwy. Choćbym musiała...

– Dość, Thenno! – powiedziała Felice. Jeśli nie rozładuje napiętej sytuacji, Caitlyn i jej ludzie mogą zrobić coś pochopnego.

Thenna prychnęła głośno.

– To jakaś farsa. Powtarzam, zejdź mi z drogi albo odczujesz na własnej skórze gniew arcymagów. Spalę was wszystkich na proch i zabiorę Caldana. Nie zdołacie mnie powstrzymać.

– Otworzyła studnię – powiedział Quiss. – Ale nie stanowi zagrożenia.

Miranda stanęła za plecami Quissa.

– Wszyscy spłoniecie żywcem – syczała Thenna.

– Już dobrze, już dobrze... – powiedziała Felice, gdy nagle na pokładzie zadudniły buty, a Caldan przemknął obok Felice i zatrzymał się krok przed arcymagiczką. Stał przed nią prosto, wyprężony jak struna i barczysty, ściskając w ręce obnażony miecz. Thenna strzelała do niego wzrokiem.

Obawia się tego miecza, dotarło do Felice.

– Caldanie – powiedziała z naciskiem – trzymaj się z daleka od tego.

– Nie zamierzam – warknął Caldan.

Przeklęci przodkowie.

– Biorę was wszystkich na świadków – powiedziała Felice na głos, tak by wszyscy słyszeli. – Jako Trzecia Arbiter rozkazuję ci, Thenno, byś odstąpiła. Twoje pragnienie zemsty odebrało ci zmysły.

– Nie masz władzy nade mną! – wrzasnęła arcymagiczka.

Felice przechyliła głowę.

– To prawda – rzekła spokojnie. – Niemniej do moich obowiązków należy łagodzenie sporów, tak długo jak w ich wyniku nie zostało złamane prawo, oraz przedkładanie pilnych spraw samemu cesarzowi. Powołuję się niniejszym na moje prawo do obu tych rzeczy. A potem, Thenno, udamy się do cesarza. I osobiście

zadbam o to, aby wybrał kogoś bardziej odpowiedniego na stanowisko pierwszego arcymaga.

Na dźwięk jej słów wśród arcymagów zaszumiały szepty. Thenna rozejrzała się nerwowo, a potem wygładziła zmarszczoną twarz i przywołała na nią maskę pogardy. Nim odpowiedziała, szepty ucichły. Jej ludzie czekali na to, co teraz powie. Anshul nie poruszył się, ale i nie odjął rąk od rękojeści.

– Zabieramy Caldana – powiedziała Thenna. – Wydajcie nam go, a wszyscy rozejdziemy się w pokój.

Felice pokręciła głową.

– Odmawiam. To niebezpieczne czasy, Thenno. Cesarstwo jest zagrożone. Wisi nad nami zguba z rąk Indryallan i magii, którą ze sobą przynoszą. – Wśród czarodziejów dało się słyszeć głosy aprobaty. – Twoja fiksacja na jednym człowieku przysłoniła twój rozsądek. Nie próbuję usprawiedliwić jego czynów, nie neguję twoich oskarżeń. Ale posunęłaś się za daleko. Teraz odejdz, wrócimy do tego później.

Thenna znowu oblizwała usta, tocząc wzrokiem dookoła.

Felice wiedziała, że Thenna nie ma już na czym się oprzeć. Na pewno nie rozpęta magicznej walki, której nie zdoła wygrać, musi się więc wycofać.

Ale Thenna zamiast tego wycelowała w Caldana oskarżycielski palec.

– Zamordowałeś Devenisha!

Idź w zaparte, Caldanie, pomyślała Felice. Potrzebuję czasu, żeby to poukładać. Spojrzała na niego błagalnie, żywiąc nadzieję, że zauważył.

– I zrobiłbym to znowu – odpowiedział Caldan.

Felice przymknęła oczy. Psiakrew.

Thenna wrzasnęła ze złości. Powietrze wokół Felice zgęstniało i spadło jej na barki wyczuwalnym ciężarem. Wibracja odbiła się w jej kościach. Quiss wziął głęboki wdech. Thennę i Caldana otoczyły migotliwe, wielokolorowe tarcze. Od czarodziejki pomknął w jego stronę strumień światła. Rozbił się o tarczę chłopaka.

Caldan zaśmiał się. Był to śmiech człowieka, który nie ma nic do stracenia, i brzmiała w nim szaleńcza nuta.

Felice mogła tylko odskoczyć od nich i rzucić się na pokład.



Fala gorąca przetoczyła się po jej plecach. Coś zaskwierczało w powietrzu.

Nakryła głowę ramionami, czekając na uderzenie magii. Zamiast tego rozległ się łomot, jakby wielka ręka zastukała w drewniane drzwi. Z ust Mirandy wyrwał się krzyk.

Gdy nic więcej się nie wydarzyło, Felice uniosła głowę i obejrzała się za siebie. Caldan i Thenna leżeli nieprzytomni na pokładzie.

Nad nimi stali Quiss i Mazoet. Okryci tarczami arcymagowie cofnęli się trwożliwie, unosząc ramiona w pojednawczym geście. Wymieniali między sobą nerwowe spojrzenia, krzywili pokryte potem twarze i mamrotali coś pod nosem.

Quiss i Mazoet budzili w nich trwogę.

Ale dwaj magowie nie patrzyli na arcymagów. Zupełnie jakby nie przejmowali się czymkolwiek, co mogliby zrobić. Obaj patrzyli na Caldana z twarzami zastygłymi w wyrazie żalu i odrazy. Miranda przepchnęła się między nimi i padła na kolana przy chłopaku.

Felice dźwignęła się na nogi i otrzepując kurz z ubrania, podeszła ostrożnie do magów.

– Co się stało? – rzuciła do Quissa.

Obrócił na nią zasmucone oblicze. Mrugnął, skrzywił żałośnie usta i wrócił spojrzeniem do Caldana.

– Nie tutaj – rzekł głosem nabiegłym cierpieniem.

Felice złożyła drżące dłonie, chcąc sprawiać pozory spokoju. Ale zupełnie nie czuła się spokojna. Zimna dłoń zacisnęła się na jej żołądku. Była pewna, że zginie, bo przeliczyła się w swoich szacunkach. Powstrzymała śmiech ulgi, który cisnął jej się na usta.

– Czy oni...? – Felice zawiesiła głos.

– Nie – odrzekł Quiss. – Żyją. Musieliśmy ich tylko... unieszkodliwić. Nie mogliśmy dopuścić do wyrzutu destruktywnej magii. Choć mówię to z niechęcią, potrzebujemy arcymagów. I wydaje mi się, że Caldana potrzebujemy jeszcze bardziej. Ten spór między nim a Thenną musi się skończyć.

Felice kiwnęła głową na znak zgody. Schyliła się i przeszukała ubranie Thenny, próbując nie patrzeć na załzawioną twarz Mirandy.

Oto i one.

W sakwie przy pasie znalazła dwa kościane pierścienie. Wsunęła je do kieszeni. Zauważyła, że jeden z arcymagów nie cofnął się, tak

jak pozostali.

Mężczyzna w średnim wieku o jasnej brodzie przetykanej siwymi pasmami. Stał nieco z boku, ale nie okazał strachu.

– Ty – zwróciła się do niego Felice. – Z Thenną wszystko w porządku. Zabierzcie ją i zaopiekujcie się nią.

Arcymag przyglądał jej się spokojnym wzrokiem i Felice niemal słyszała jego myśli. Ostatecznie pokiwał głową.

– Dobrze – rzekł. – Ale śmierć Devenisha...

– Zajmę się tą sprawą – zapewniła go Felice. – Jako Trzecia Arbiter osobiście dopilnuję, żeby ta kwestia doczekała się rozwiązania.

Musiała grać na czas. Jeśli słusznie przewidziała, co się wydarzy, może sprawa rozwiąże się sama. Może wszyscy zginą. Tymczasem potrzebują wszystkich, nawet Thenny.

– Twoje imię? – spytała brodatego arcymaga.

– Bernhard.

– Wydajesz się rozsądnym człowiekiem, Bernhardzie. Więc od dziś to ty będziesz przewodził arcymagom. Zabierz Thennę do cesarza, porozmawiaj z lady Porhildą. Powiedz jej o wszystkim, co się tu wydarzyło, oraz wszystko, co powiedziałam. Dołączę do ciebie niebawem.

– Ale przecież... Thenna...

– Musi być wyznaczona na to stanowisko przez cesarza. Tak jak został wyznaczony Devenish. I jak wszyscy pierwsi arcymagowie przed nim.

Czarodzieje za Bernhardem kiwali głowami. Wiedzieli, że ma rację. Niektórzy z pewnością mieli własne obiekcje co do zagarnięcia władzy przez Thennę. Ci, którzy kiwali głowami, a także wielu innych, wpatrywali się w Bernharda i czekali na jego odpowiedź. To znak, że go poważali.

Dobrze.

Mężczyzna obrócił się do nich i gestem poprosił do siebie kilku krzepkich magów. Wspólnie podnieśli Thennę, starając się jej za bardzo nie poturbować. Bernhard gestem nakazał reszcie zejść po trapie na molo.

– Lady Porhilda – przypomniała mu Felice, gdy sam ruszył do zejścia. – Zakładam, że ją znasz?

Każdy słyszał o cesarskiej konkubinie.

– Tak – odpowiedział arcymag, a potem zawahał się. – Podczas ucieczki Caldana zginęło siedmioro arcymagów i czterech Protektorów. Nie dbam o okoliczności. Ich śmierć domaga się zadośćuczynienia.

Felice przełknęła ślinę i skłoniła się krótko.

– Oczywiście. Powiedz wszystko lady Porhildzie. A potem, gdy się znowu spotkamy, porozmawiamy o tym. Cesarstwu grozi niebezpieczeństwo i wszyscy mają role do odegrania. Reszta może zaczekać.

Spojrzenie Bernharda powędrowało do widocznych w oddali czarnych plam – nowych obszarów oczyszczonej ziemi, z których jeden nastroszony był kolcami jak jeżowiec. Felice napotkała jego spojrzenie i wyczytała z niego strach oraz pragnienie spełnienia obowiązku. Ten człowiek nie różni się tak bardzo ode mnie, uświadomiła sobie.

– Rozumiem – powiedział tylko.

Bernhard wydawał się wiedzieć, co należy zrobić. Wszystkie personalne utarczki trzeba odłożyć na później.

– Idź więc. Dołączę do ciebie niebawem.

Arcymag opuścił pokład i wraz z resztą ruszył w kierunku obozu. Niektórzy czarodzieje oddzielili się od grupy i poszli w kierunku Starorzecza, oświetlając sobie drogę czarodziejskimi kulami.

Felice nabrała tchu i zwróciła się do Quissa:

– A teraz powiedz mi, co się dzieje. Czemu wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha?

– Po prostu... nie mogę patrzeć na Caldana w tym stanie. To, co zrobiła mu Thenna. Cała ta udręka, cierpienie... Boję się, że zmieniło go to na zawsze. Długo będzie dochodził do siebie. Damy mu tyle czasu, ile będzie potrzebował.

– Oczywiście – odparła Felice. Zwróciła uwagę na to, że Vasil skrzywił się, słysząc słowa Quissa. Potwierdził właśnie, że czarodziej kłamie. Aidan także zauważył wyraz twarzy sędziego i spojrzał na niego znacząco, nim na powrót przywołał na oblicze beznamiętny wyraz.

Słowa Quissa, reakcja Vasila i spojrzenie jego towarzysza... Z Caldanem musiało być coś nie tak, ale nie to, o czym mówił Quiss.

Niech to szlag. Powinna zostać tu i dowiedzieć się, o co naprawdę chodzi, ale musiała też iść za Bernhardem i wyjaśnić zamieszanie z Thenną, a następnie przeciągnąć arcymagów na swoją stronę.

Felice zawahała się, nie wiedząc, co wybrać. Najchętniej zrobiłaby jedno i drugie, ale do tego potrzebowała czasu.

Musiała skonfrontować się z Quissem. Jeśli zostawi z nim Caldana, gotowy z nim odpłynąć za siódme morze i tyle z tego będzie.

– Quissie, pozwól na moment – wyrzekła rozkazującym głosem, pamiętając o tym, że staje przeciwko dwóm czarodziejom, którzy rozprawiliby się z arcymagami jedną ręką. – To oczywiste, że Caldan wiele wycierpiał, ale to nie to cię martwi, prawda?

Quiss zmrużył oczy.

Felice postanowiła jeszcze bardziej przyprzeć maga do muru, nim zdąży otworzyć usta.

– No, wykrztuś to, Quiss. Wystarczy już tajemnic. Tu chodzi o losy świata, człowieka.

Zadrzała na dźwięk własnych słów. Rzeczywiście o to właśnie chodzi, uświadomiła sobie. Skąd ona ma wiedzieć, co powinna zrobić w czasach takich jak te? To zbyt wielki ciężar, a kim ona właściwie jest? Kim jest, by decydować, kogo poświęcić w nadchodzącej walce o przetrwanie? Bo ktoś umrze na pewno.

Nie, ciężar był zbyt wielki. Zadrzały jej kolana i niemal wylądowała na deskach.

Ale zaraz zacisnęła pięści, czując wbijające się w skórę paznokcie. Tylko że ktoś musi.

Quiss i jego ludzie nie mogą pozostać w konflikcie z arcymagami. Protektorzy również muszą się z nimi sprzymierzyć, tak jak Kołczany. No i był jeszcze Caldan, z jakiegoś powodu niezastąpiony. Znów wstrząsnął nią dreszcz. Przypomniawszy jej się szpon. Wszyscy byli ze sobą połączeni niczym ogniwa długiego łańcucha. I wszyscy musieli działać ramię w ramię, jeśli chcieli pokonać Kelhaka.

Cały świat rozłożył się przed Felice jak plansza do dominionu, zastawiona żyjącymi, oddychającymi figurami. Po drugiej stronie planszy zasiadał Kelhak. Kto wie ile dodatkowych ruchów zgromadził?

Grożące im niebezpieczeństwo było jak hydra o wielu głowach. Felice musiała stąpać niezwykle ostrożnie.

I w tym momencie dotarło do niej, co musi zrobić. Właśnie tego potrzebuje – kilku dodatkowych ruchów. Szpon. Musi go odszukać.



**C**aldan jęknął i zacisnął mocno powieki, gdy odezwał się ból. Uspokoił się kilkoma głębokimi wdechami. Ostatnim, co pamiętał, była konfrontacja z Thenną na pokładzie okrętu Quissa.

A potem... nic.

Głupiec. Znowu zachował się zatracony, sakramencki głupiec. Tortury popchnęły go do pochopnych decyzji. Po wszystkim, czego nauczył się o magii zniewalającej i destruktywnej, był pewien swoich szans w starciu z arcymagiczką. Nawet nie przyszło mu do głowy, że Quiss może zainterweniować.

Quiss.

Caldan westchnął ostrożnie. Otworzył studnię i nieporadnie obszukał swój umysł. Och, na przodków. Zabezpieczenia, którymi zamaskował dodatkowe studnie, zostały usunięte.

Choć przypłacił to znacznym bólem, szybko postawił je od nowa, sprawdzając ich skuteczność. W końcu nabrał pewności, że badający go zmysłem czarodziej nie wyczuje nic poza tylko tą jedną studnią. Ale nawet robiąc to, wiedział, że już za późno.

Quiss i Mazoet wyczuli pewnie to, co próbował zachować w ukryciu.

Odkryli jego sekret.

Gdy przyszło co do czego, Quiss przebił się przez osłonę Caldana tak łatwo, jakby ten był praktykantem. Ich wiedza o magii tak dalece przewyższała wiedzę Caldana, arcymagów i Protektorów, że nie byli w stanie w najmniejszym stopniu przeciwstawić się tym przybyszom.

Caldan był pewien, że nie pozwolą mu żyć, dowiedziawszy się, że jest liczem.

A więc jak to się stało, że jeszcze żyje? Wtedy sobie przypomniał: jest im potrzebny. Coś w jego symulakrum było dla nich na tyle ważne, że odroczyło wyrok śmierci.

Drżąc, usiadł i zmrużył oczy w przytłumionym świetle. Kolejna kajuta, tym razem malutka. Niewygodna koja, szafka przy przeciwległej ścianie, przejście tak wąskie, że trudno się obrócić. Wciąż był ubrany, a miecz-talizman stał oparty o ścianę.

Odetchnął z ulgą, widząc go tam. Następnie sprawdził, czy ma przy sobie wszystkie rzemyśliwa. Wyglądało to tak, jakby położyli go tu, żeby się ocknął i zebrał myśli, wiedząc, że nie jest dla nich żadnym zagrożeniem.

Mirandy tu nie było. Może to i lepiej. Ale zastanawiał się, gdzie jest i co robi. Nie spodziewał się po niej, że będzie stróżować przy jego boku o każdej porze dnia i nocy, ale miło było mieć ją przy sobie. Uświadomił sobie, że nie lubi się z nią rozdzielać.

Wstał, chcąc znaleźć Quissa, ale zatrzymały go drzwi. Były zamknięte.

Otworzył studnię i poślinił palec wskazujący, by nanieść runy na zamek. Użył większej ilości śliny, niż było to potrzebne. Podłączył strumień do szybko wysychającej runy łącznikowej i pozwolił mocy

przepłynąć do prowizorycznego rzemyśliwa. Zamek się otworzył. Ślina wyparowała.

Pomyślał o tym, jak daleko zaszedł, odkąd przybył do Anasomy. Podpatrzył tę sztuczkę u Dzwonków, gdy próbowała uciec w drodze do Starorzecza. Dowiedział się, że takie prowizoryczne rzemyśliwa są możliwe, ale wymagają kontroli i precyzyjnego dopasowania poziomu mocy oraz szybkości, żeby mag zdążył je wykorzystać, nim zniszczą. Teraz dotarło do niego, że jest coś jeszcze, co należy wziąć pod uwagę.

Miało to związek z korozyjnością studni. To rzemyśliwo wymagało od kontrolującego znacznych umiejętności, to prawda, ale wlał do niego energię ze swojej studni, a ta przepłynęła jak strużka wody – spokojnie i pewnie, lecz bez nadmiernej gwałtowności. Może to dlatego jego papierowe rzemyśliwa tak dobrze znosiły obciążenie. Przypomniawszy sobie, co powiedziała mu Dzwonki przy pierwszym spotkaniu. Że ma nadzwyczajną studnię, że jest gładka i stabilna.

To logiczne, że im mniej gwałtowną naturę ma moc studni czarodzieja, tym dłużej wytrzymują jego rzemyśliwa.

Caldan pokręcił głową. To małe kawałek wielkiej układanki, jaką była magia, w dodatku taki, który niezbyt pomoże mu w obecnej sytuacji.

Złapał za miecz i ruszył na pokład. Dwaj ludzie Quissa opierali się o nadburcie po obu stronach trapu. Było jasne, że postawiono ich tam, by pilnowali, żeby Caldan nie zszedł na ląd, oraz by powiadomili pryncypała o ewentualnym powrocie arcymagów. Caldan zignorował ich i potoczył wzrokiem po pokładzie. Wypatrzył Quissa przy kole sterowym. Rozmawiał z Mazoetem, który pokazywał palcem w kierunku Starorzecza, a potem na wschód, gdzie leżała Anasoma. Gdy to zrobił, zauważył Caldana i opromienił go uśmiechem. Quiss odwrócił się i także się uśmiechnął, ale ten uśmiech nie wypędził smutku z jego oczu.

Wiedzą, że nie mogą pozwolić mi żyć, pomyślał Caldan. Teraz ja muszę ich przekonać, że o niczym nie wiem.

– Gdzie jest Miranda? – zapytał, zbliżywszy się.

– Poprosiliśmy, żeby dała ci wypocząć – odpowiedział Quiss. – Jest na okręcie, więc możesz się z nią zobaczyć, jeśli chcesz.

Caldan odetchnął z ulgą. Wciąż jest bezpieczna.



– A Felice?

Quiss wzruszył ramionami.

– Gdzieś w Starorzeczu. Nie wiemy dokładnie. Prosiła, abyśmy pozwolili jej przeciągnąć arcymagów, Protektorów i Kołczany na naszą stronę.

Caldan prychnął, nim zdążył się powstrzymać.

– Zrobiją, co najlepsze dla nich, nie dla reszty świata.

– Zapewne tak – przyznał Quiss – a jednak będziemy ich potrzebować. Choćby tylko dla odwrócenia uwagi. Gdyby tak nie było, nie byłoby nas tutaj. W ogóle byśmy się nie pokazali.

– Caldanie – zwrócił się do niego Mazoet – kiedy odzyskałeś przytomność? Poczujesz coś?

Caldan zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Przed chwilą. Od razu przyszedłem. A co się stało?

Mazoet długo szpilł wzrokiem Quissa, nim odpowiedział.

– Miał miejsce wyrzut magicznej energii. Gdzieś blisko, ale urwał się, zanim go zlokalizowaliśmy. Nie sądzę, żeby któryś z arcymagów mógł wzbudzić tak potężny wybuch. Był niezwykle skoncentrowany. Smakował podobnie jak czar rzucany przy teleportacji, ale to nie mogło być to. Był na to zdecydowanie za mały.

– Sądzicie też, że gdyby to była sprawka Kelhaka, to nie zawracałby sobie tym głowy i ruszył prosto na was, tak?

– Tak. Dokładnie.

– Czyli musiał to być ktoś inny. Ktoś z Indryallan?

Mazoet warknął pod nosem.

– Nie wydaje mi się. Bo to nie ma sensu. Martwię się.

– To tylko sztuczka. Odwrócenie uwagi – powiedział Quiss. – Musimy skupić się na tym, co ma na celu pokonanie Kelhaka.

Caldan spojrział ku murom Starorzecza, a potem tam, gdzie równiny znaczyły czarne plamy, i zatrzymał wzrok na tej najeżonej kolcami, gdzie zabił Devenisha.

Nie umknęło mu podobieństwo tej sytuacji do tej, w której znalazł się i on.

Mazoet oczyścił gardło.

– Bez Gazii jesteśmy... słabsi, ale wciąż silni. A teraz, dzięki tobie, mamy talizman Amerdana. Wciąż mamy nadzieję rozwikłać

tajemnicę jego poczynań, a zdobytą w ten sposób wiedzę wykorzystać w, hmm, w sprawie Kelhaka.

Caldan wbił wzrok w deski pokładu. Znaczyły je zadrapania i wyszczerbienia. Wiedział, że oni wiedzą. Nie było sensu chodzić na paluszkach.

– Nie wiem, jak to się stało – przyznał się przyciszonym głosem. – Walczyliśmy i on... po prostu się zabił. Wiedział, co się ze mną stanie. Było tak, jakby uświadomił sobie, że przegra, i postanowił przekazać mi to, co zgromadził. Może myślał, że w ten sposób jakaś jego cząstka przeżyje.

Quiss i Mazoet długo myśleli. Małe fale rozbijały się z chlupotem o kadłub okrętu, a z równin niesło się cykanie świerszczy.

W końcu przemówił Quiss.

– To, co ci dał, trudno nazwać darem. W normalnych okolicznościach nie sięgnąłbyś po to.

– W nienormalnych też nie – dodał Mazoet ze smutnym uśmiechem.

Caldan zorientował się, że sam odpowiada mu uśmiechem, choć zdawał sobie sprawę, że dwaj magowie uważają go za narzędzie, które trzeba wykorzystać, a potem porzucić. Tak jak arcymagowie.

– Nie będę próbował ich odblokować – skłamał w żywe oczy.

Bo możliwe, że będzie musiał to zrobić, żeby przeżyć. Gdyby nauczył się kontrolować taką moc, miałby większe szanse w walce z Kelhakiem, a potem – jeśli ją przeżyje – z tymi, którzy rzucą mu się do gardła. Quissa nie wyłączając.

– Naliczyłem jedenaście – powiedział mag. – Do tego twoja własna. Czyli razem dwanaście. Wszystkie możliwe kształty i rozmiary, oczywiście, bo należało się tego spodziewać. Ale dwanaście studni... Myślisz, że oprzesz się pokusie?

– Dotąd wystarczała mi moja własna studnia. Zresztą co miałbym zrobić z jedenastoma? Musiałbym nauczyć się trzymać o wiele więcej strumieni, niż umiem teraz. Czy jesteście w stanie wyobrazić sobie sytuację, w której potrzebowałbym tak wielkiej mocy? Moja własna studnia i mój talent już dorównują tym arcymagów.

Quiss taksował go wzrokiem.

– Ja jestem w stanie wyobrazić sobie taką sytuację. Tę, przed którą stoimy.

Czy on właśnie zachęcał Caldana do stania się pełnoprawnym liczem z pootwieranymi zdobycznymi studniami, żeby potem bez żalu go za to zabić? Oczywiście, że tak. W końcu czym było jedno życie wobec całego świata?

Caldan zorientował się, że ściska rękojeść miecza tak mocno, że boli go ręka. Z trudem rozluźnił uścisk i ostrożnie odjął dłoń. Udając spokój, osłonił oczy od słońca i spojrzął na rzekę. Płynęły nią ptaki o długich dziobach. Jeden zanurkował, by chwilę później wynurzyć się z rybą, którą połknął w całości.

– Poradzimy sobie z tym – powiedział Quiss, ale drżenie jego głosu zdemaskowało kłamstwo. – Miranda pytała o ciebie. Powinieneś się z nią zobaczyć. Jeśli chcesz mojej rady, powiedz jej wszystko.

– Nie! Ona nie może wiedzieć o tym, co zrobiłem.

– Tajemnice między kochankami zwykle prowadzą do kłopotów.

– My nie jesteśmy... Zresztą co was to obchodzi.

– Caldanie, nie bądź głupcem. Zasluguje, żeby wiedzieć.

Żebyście mogli mnie później usunąć, tak? Caldán zaczął kręcić głową, ale zaraz przestał. Może mieli rację?

– Gdzie ona jest? – spytał.

– Gdzieś pod pokładem, z tego, co mi wiadomo.

Caldan skinął głową i zostawił magów samych. Ich spojrzenia wypalały mu dziurę w plecach. Z wysiłkiem równał krok.



Zawahał się przy drzwiach do kajuty, które były teraz zamknięte od środka. Maską obojętności na moment zsunęła mu się z twarzy i wypłynął na nią żalostny wyraz. Potrzebował chwili, by zebrać się w sobie, i dopiero po kilkunastu uderzeniach serca odważył się zapukać.

Miranda otworzyła drzwi i zaprosiła Caldana do środka, a potem znowu je zamknęła. Uściskała go mocno, a potem raptownie odskoczyła, robiąc wielkie oczy.

– Wybacz – powiedziała. – Twoje rany.

– W porządku – uspokoił ją Caldan. – Szybko wracam do zdrowia, a przytulenie mi się przyda.

Pokój był czysty, a koja zasłana. Stary nawyk Mirandy, uznał. Na półce leżała szczotka i grzebień, a obok złożone ubranie. Na stołku postawiono tacę z chlebem, suszonymi owocami i kawałkami mięsa na różnie.

Caldan spoczął na koi i niemal natychmiast zerwał się z miejsca. Jego umysł nie chciał się uspokoić. Był zbyt nerwowy, żeby siedzieć. Potem dotarło do niego, że to coś innego nie daje mu spokoju. Jakieś osobliwe wrażenie na obrzeżach kręgu zatoczonego jego magiczną świadomością. Wcale niepodobne do uczucia, które poprzedziło nadejście nawałnicy Kelhaka.

Magia. Gdzieś blisko. W tej kabinie. Ledwie strumyk, ale wyczuwał go wyraźnie.

Przełknął ślinę i sięgnął po tarczowe rzemysliwo, gotowy otworzyć studnię.

– Mirando, stań przy drzwiach.

– Czemu? Co się dzieje?

Skąd to dochodzi? Sięgnął zmysłami, badał otoczenie.

– Coś tu jest.

Tam jest. Pod kocem na koi. Ledwie dostrzegalne wybrzuszenie. Czy to może być rzemysliwo? Nie, nie sądził, by Miranda posiadała jakieś artefakty, a przynajmniej nie takie, które mógłby wyczuć.

Wybrzuszenie pod kocem poruszyło się.

Caldan zamrugał. Przywidziało mu się czy jak? A może to szczur? Na każdym okręcie było ich pełno... ale to nie miało sensu. Otaczał go nimb magii, a co więcej, ta magia miała znajomy smak.

Złapał mocno za miecz i ruszył naprzód, gotów na wszystko.

Wystawił broń i wsunął ją pod koc, po czym szarpnięciem odgarnął go na bok. I wybałuszył oczy. Zachwiał się i oparł o ścianę, żeby się nie przewrócić.

Na koi leżało kowalostworzone symulakrum w kształcie człowieka. To, które zabrał mu Gazija.

Ale konstrukt różnił się od tego, co Caldan wręczył staremu czarodziejowi. Jego powierzchnia była osmalona i zniekształcona, jakby nadtopiona. Jak zauważył wówczas, gdy widział symulakrum

ostatni raz, zawile runy i wzory pokrywały jego powierzchnię, niekiedy nie grubsze od włosa. Kształty o wiele bardziej skomplikowane niż te autorstwa Caldana.

– Co to jest? – spytała Miranda.

Konstrukt usiadł.

Caldanowi serce podskoczyło do gardła, a Miranda pisnęła. Cofnął się o krok i osłonił tarczą siebie i dziewczynę, wyciskając ze studni całą moc.

*Nie ma się czego bać* – powiedział głos w jego głowie.

Gazija. Wszędzie rozpoznalby głos maga. Ale przecież on nie żyje. Caldán widział, jak starzec umiera...

– Kim... – wyskrzeczwał Caldán drżącym głosem, a potem wziął się w garść: – Czym ty jesteś?

*Tym, co zawsze.* Długa pauza, jakby konstrukt westchnął lub szukał właściwych słów. *Jestem Gazija, Pierwszy Wybawiciel mojego ludu. Po tym, jak cię uratowałem, zaatakował mnie Kelhak i zostałem zmuszony do ucieczki do swojej studni. Przeniosłem swoją świadomość do twojego rzemysliwa. Tylko tak mogłem przetrwać.*

Caldán miał w głowie jego słowa, wciąż szukając jakichś oznak szalbierstwa.

– Caldanie, co się dzieje?

Złapał Mirandę za rękę, chcąc ją uspokoić.

– To do mnie mówi.

– Magia?

Pokiwał głową.

– Tak. Czekaj chwilę, staram się zrozumieć, co się dzieje. – Caldán zwrócił się do konstruktów: – To był twój plan od samego początku, prawda?

*Tak.*

– Ale... warto było? Przeżyłeś, ale czy to można nazwać życiem?

Caldán wiedział, jakim sposobem pobratymcy Gazii przedłużali sobie życie. Uważał ten proceder za potworny i haniebnny. Ale czy to jest dobra alternatywa? Upchać się do rzemyslniczego konstruktów? No cóż, na pewno lepsze to, niż przejmowanie siłą ciał niewinnych ludzi. Co by zrobił Caldán, gdyby był na miejscu Gazii?

Już sama myśl o tym, co stary mag i inni przybysze zrobili tym nieszczęśnikom, wyprowadzała Caldana z równowagi. Odpychał od

siebie myśli o tym, bo potrzebował czarodziejów do walki z Kelhakiem. Ale nie umykało mu to, że decydując się na mniejsze zło z obawy przed większym, wciąż czynili źle.

– Zabiorę cię do Quissa – powiedział Caldan. – Na pewno chcesz mu powiedzieć, że przetrwałeś.

*Żadnych więcej pytań? Myślałem, że mnie nimi zasypiesz.*

Caldan wzruszył ramionami. Niech arcymagowie i Protektorzy zajmują się Gaziją i jego ludźmi. Gdy Kelhak zginie, Caldan będzie musiał zatroszczyć się o siebie. W tej chwili obchodziło go tylko przetrwanie Mirandy i jego własne.

– Może później – odparł. – I tak mam już dość na głowie.

*Obawiam się, że będę musiał dołożyć ci zmartwień. Bo widzisz, Quiss nie może dowiedzieć się, że przeżyłem. A jeśli plan, który ułożyłem, się powiedzie, to będziesz musiał stąd zniknąć. Nikomu nie mów dokąd. Nie zostawiaj po sobie śladów.*



– Muszę zejść na ląd – powtórzył coraz bardziej poirytowany Caldan.  
– Jeśli mam się do czegoś przydać, muszę wykonać rzemysliwo.

– Caldanie, potrzebujemy twojej pomocy z talizmanem Amerdana – powiedział Quiss. – Jeśli mamy mieć jakieś szanse w starciu z Kelhakiem, to musimy rozgryźć go jak najszybciej.

Caldan ostrożnie położył torbę na pokładzie. Zawierała rzemyslnicze surowce i Gaziją owiniętego szmatą. Wciąż był oszołomiony po tym, co powiedział starzec. Jego historia wydawała się niewiarygodna. Zbyt dziwaczna, by ot tak w nią uwierzyć.

A jednak miał przed sobą dowód. Osobowość Gazii rzeczywiście przeniosła się do rzemysliwa, czyniąc z niego samoświadomy talizman. Odrębny i samostanowiący o sobie. Caldanowi nie mieściły się w głowie wszystkie możliwości, jakie to implikowało. Jego własne badania i eksperymenty zmierzały w podobnym kierunku, ale myśli o tym, by porzucić swoje ciało dla życia w metalowej maszynie, przejmowała go dreszczem.

Co nie zmienia faktu, że z pewnością była to lepsza alternatywa niż to, co lud Wybawiciela robił dotychczas. Ostatecznie Gazija nie musiał długo namawiać Caldana do pomocy.

Oczy chłopaka samoistnie powędrowały na wschód, gdzie w każdej chwili spodziewali się ujrzeć zwały ciemnych chmur, zwiastujących kolejną nawałnicę. Na szczęście niebo pozostawało czyste.

Przynajmniej na razie.

– Czy ten talizman nie korzysta z magii zniewalającej? – spytał Caldan. – Jesteś z nią obeznany nieporównanie lepiej ode mnie. W czym ja mógłbym ci pomóc?

*Musisz zejść na ląd, inaczej nie będę mógł ci pomóc* – powiedział w jego głowie głos Gazii.

– Zawsze dobrze jest poznać inny punkt widzenia, Caldanie – przekonywał Quiss. – Może nie rozważyliśmy jeszcze wszystkich perspektyw i możliwości.

Czarodziej uśmiechnął się zachęcająco, ale Caldan nie dał się zwieść. Chcieli upewnić się, że mają go w garści, że go kontrolują. Niczym się w tym względzie nie różnili od reszty.

*Quiss ma dobre intencje* – bronił podwładnego ukryty w worku Gazija. *Próbuje sobie z tym poradzić jak umie najlepiej, ale nigdy nie umiał podejmować trudnych decyzji. Nie ma do tego predyspozycji.*

Caldan rozumiał, co Gazija chciał przez to powiedzieć. Quiss miał skrupuły, których brakowało wielu dowódcom. I wydawało się, że Gazija gotów jest zrobić niemal wszystko, by osiągnąć swoje cele. Jeśli to oznaczało pokonanie Kelhaka, to Caldan z rozkoszą mu to ułatwi. Ale wiedział też, że Gazija bardziej niż losem Caldana przejmuje się własnym. Jeśli chciał zejść na ląd, to dlatego, że miał swoje powody.

Zbierał się, by odpowiedzieć Quissowi, ale zawahał się, gdy trapiem na ostatnich nogach wbiegła na pokład nieznajoma dziewczyna. Miała na sobie brązowe ubranie, coś na kształt munduru, a jej krótkie czarne włosy skrywał kapelusz z szerokim rondem. Dyszała ciężko i była cała spocona. Potrzebowała chwili, żeby złapać oddech, a potem osadziła spojrzenie na Quissie i Caldanie. Sięgnęła za ramię i przerzuciła na brzuch torbę, którą

miała na plecach. Z niej wyłowiła plik kopert. Wysunęła z niego dwie.

– Czy są wśród was niejacy Quiss i Caldan? – spytała.

– Ja jestem Caldan, a to Quiss.

Dziewczyna odchrząknęła, a potem przyjrzała się rewersom obu kopert. Podeszła do Caldana.

– Opis się zgadza, więc proszę. A jeśli kłamiesz, i tak nie dożyjesz świtu. Nie mów, że nie ostrzegałam. Spotkanie jest za dwie godziny. Masz tam być.

Podala Caldanowi jedną kopertę, a Quissowi drugą, potem obróciła się na pięcie i zbiegła po trapie na ląd.

– A to co? – dziwił się Quiss.

Caldan przyjrzał się kopercie. Na awersie widniało tylko jego imię, a z drugiej strony pobieżny opis jego wyglądu. Przełamał woskową pieczęć i wyjął znajdującą się w środku wiadomość.

– To od Felice – powiedział. – Zorganizowała spotkanie z reprezentantami wszystkich frakcji: arcymagów, Kołczanów, Protektorów, a także lady Porhildą. Prosi, bym przyszedł sam. Ty pewnie też, Quiss? Spotkanie jest... z cesarzem.

Quiss gapił się na swój list, jakby to był wąż z obnażonymi kłami.

– To musi być pułapka – powiedział cicho. – Chcą nas zaskoczyć.

– Ale co by im z tego przyszło? Głównym zmartwieniem Felice jest Kelhak i nie robi nic, co mogłoby przeszkodzić w pokonaniu go. Ufam Felice. Na ile w ogóle mogę komuś ufać.

Nie ma tych osób zbyt wiele, dodał w myślach.

– Ale jaki ona ma wpływ na resztę? Oto pytanie, które powinniśmy sobie zadać. Taki jesteś pewien, że Protektorzy niczego nie spróbują? Używamy magii destruktywnej i zniewalającej, a oni o tym wiedzą. I co z Thenną? Na pewno też tam będzie.

– Poradzę sobie z Thenną – uciął Caldan.

– Nie, jeśli będzie miała po swojej stronie arcymagów i uderzą wszyscy naraz.

– Nawet wtedy – powiedział, przypominając sobie swoją ucieczkę z więzienia.

*Dość już tego – syknął Gazija. Powiedz mu, że ja bym poszedł. On wie, że to prawda. Dodaj, że uznalibyśmy, że warto przyjrzeć się tym*



*ludziom i ich planom, choćby po to, by sprawdzić, czy aby nie zaszkodzą mojej misji.*

– Gazija by poszedł – powiedział Caldan ostrożnie, nie odejmując oczu od Quissa. Nie miał pojęcia, jak on zareaguje.

Mag strzelił do niego wzrokiem i zacisnął usta.

– Pojęcia nie masz, co...

– Wiem tyle, że był waszym przywódcą. Że nazywaliście go Pierwszym Wybawicielem. Stawiłby się na tym spotkaniu. Bo chciałby dowiedzieć się z pierwszej ręki, co oni planują. I przekonać się, czy ich plany pomogą, czy może pokrzyżują jego własne. Teraz liczy się tylko Kelhak. Wszystko inne zeszło na dalszy plan.

– Gazii już nie ma. Zostaliśmy tylko ja i Mazoet, i to my troszczymy się teraz o nasz lud. Chciałbym... – Quiss długo wypuszczał powietrze z płuc. – Żałuję, że Gazija nie powiedział nam więcej o swoich planach. Mnie się wydaje, że najlepsze, co możemy zrobić, to zaatakować Kelhaka teraz. Jeśli będziemy zwlekać po to, by spróbować dogadać się z innymi, to przegramy.

*Wcale nie – sprzeciwił się Gazija w głowie Caldana. Musi spojrzeć szerzej. Musi pomyśleć o tym, co się stanie po Kelhaku. Co się stanie, jeśli nam się uda.*

Caldan niedostrzegalnie przytaknął. Rozumiał, o co chodzi starcowi. Sekret Quissa i jego ludzi wyszedł na światło dzienne. Muszą pokazać, że można im ufać, że nie są jakimiś potworami, których trzeba się bać. Arcymagowie, Protektorzy i Kołczany muszą wiedzieć, że nie zamieniają Kelhaka na innego, równie groźnego wroga.

Quiss był w kropce. Trwał w stanie zawieszenia od chwili, gdy zniknął jego mentor i przewodnik. A jego czarodzieje dryfowali bezwładnie jak okręt pozbawiony steru. Lecz Caldan widział teraz wyraźnie, co powinni zrobić, co muszą zrobić.

– Lupidernie, nie jesteś Gaziją – powiedział nieco ostrzej, niż zamierzał. – Ale wiesz doskonale, co Gazija zrobiłby w tej sytuacji. Musisz sięgnąć wzrokiem dalej niż Kelhak. Pomyśleć o tym, co zrobią twoi ludzie, gdy już będzie po wszystkim.

– Gazii już nie ma – odszepnął Quiss. Powiedział to na granicy słyszalności, wyraźnie drżącym głosem. Podniósł wzrok i Caldan ze zdumieniem dostrzegł łzy w jego oczach. – Nie mogę... Kelhak go

znalazł. Licz dopadł Gaziję i albo go zabił, albo pochłonął. Nie ma wielkiej różnicy między tymi dwoma stanami. Nie mogę iść ścieżką, którą kroczył Gazija.

– Quiss, musisz...

– Nie! Nie rozumiesz. – Teraz łzy spływały mu po policzkach. Caldan odwrócił wzrok, by dać Quissowi przestrzeń.

– Więc mi powiedz. Co mi umyka? Czego nie rozumiem?

Caldan czuł, że jakaś część tej historii jest przed nim ukryta. Zawsze jest jakieś drugie dno, na którym zalegać może wszystko, od drobiazgów, których ludzie się wstydzą, do rozkładających się w szafie trupów.

– Gazija... robił rzeczy, do których nikt inny by się nie posunął. Rzeczy, przeciw którym oponowałem. Ale... jest przecież... a właściwie był... Pierwszym Wybawicielem. Wszyscy zawdzięczamy mu życie.

– Zrobiłby to, co uważał za słuszne. Co musiałyby zrobić, ażeby zadbać o wasze przetrwanie?

Do świadomości Caldana zaczęła dobijać się niepokojąca myśl. Co takiego robił Gazija, co tak rozstrajało Quissa? Tok rozumowania Caldana znowu przerwał głos starego maga.

*Quiss ma wielkie serce. Wręcz powiedziałbym, że zbyt wielkie. Musisz sobie uświadomić, Caldanie, że stawką w nadchodzącej bitwie jest nasze przetrwanie oraz przetrwanie całego świata.*

Chłopak zignorował jego tłumaczenia.

– Quiss, powiedz mi.

Czarodziej wbił w niego ciężkie spojrzenie wypełnione udręką i poczuciem winy. Caldan niemal zachwiał się pod jego impetem. To musiało być coś strasznego.

– Jukarowie i vormagowie – wyszeptał Quiss.

– Co z nimi?

*To było konieczne* – wciął się starzec.

– Gazija zrobił to, co czuł, że musi zrobić – wymówił Quiss. – Stwory ze Zdruzgotania, najemnicy... to wszystko pułapka.

*Niezbędna* – zarzekał się Gazija. *Bo tego świata nie da się uratować inaczej.*

Caldan zacisnął pięści. Przecież Quiss chyba nie chce powiedzieć, że...

– To nie Kelhak zgromadził jukarów i napuścił ich na armię cesarską. Tylko my. My to zrobiliśmy. Cesarz i arcyomagowie nie rozumieli, co się naprawdę dzieje. Musieliśmy pokazać im skalę zagrożenia.

Caldan popatrzył uważnie na Quissa i ujrzał, że ten zaciska mocno oczy, a z jego twarzy bije wstyd.

– Nie spodziewaliśmy się, że Kelhak wyprowadzi magiczny atak za sprawą Dzwonków. A jednak wyprowadził, i to w chwili, gdy Kołczany i arcyomagowie byli zaabsorbowani jukarami. Jukarami, których my rzuciliśmy na Starorzecze.

Ilu ludzi zabili jukarowie i vormagowie? – to była pierwsza myśl, która zajaśniała w głowie Caldana. Horda zostawiła po sobie szlak zniszczenia biegnący nieprzerwanie od samych Spustoszonych Ziemi. Stosy trupów, zrównanych z ziemią miasteczek i wsi, wyjąłowionych pól. Zniszczonych żyć. A wśród powodów, dla których czar Dzwonków okazał się tak niszczycielski, było właśnie to, że cała armia była skupiona na bitwie z potworami. Lecz przecież... Dzwonki nie znalazłaby się tam, gdzie musiała się znaleźć, gdyby nie pomógł jej Caldan. On też miał swoje na sumieniu. Wielu ludzi zginęło właśnie dlatego, że nie zabił czarodziejki, tylko ją uwięził. Miranda potrzebowała leczenia, a Dzwonki wydała mu się jedynym ratunkiem. Ale cena, jaką przyszło za to zapłacić...

– Najemnicy – wykrztusił Caldan przez ściśnięte gardło. – Mieli dołączyć do Kołczanów i wszystkich ocalić, tak?

Quiss kiwnął ponuro głową.

Tyle że gdy najemnicy dotarli na miejsce, nie zastali Kołczanów mężnie stawiających czoła wrogowi, tylko żołnierzy zdziesiątkowanych przez magię Dzwonków. I to Caldan ponosił za to winę.

– Lupidernie. Nie możemy teraz martwić się o zmarłych.

Caldan czuł, jak na jego twarz wpełza zimno, jak przenika do oczu. Słyszał to zimno w wypowiedzianych przez siebie słowach. Thenna wypleniła z niego wszystkie emocje. Został wrzucony do paleniska i przekuty na kowadło w coś innego. Nie wiedział, jaki miał teraz kształt, ale bardziej od podkowy przypominał miecz.

– Co się stało, to się nie odstanie. Tych ludzi ma na sumieniu Gazija, nie ty.

I ja też mam ich na sumieniu, dotarło do niego z całą stanowczością.

– Zostaw mnie – powiedział Quiss głosem wypranym z uczuć.

Caldan ruszył w kierunku czarodzieja, ale Quiss odstąpił gwałtownie i unióśł ręce.

– Powiedziałem: zostaw mnie – powtórzył ochryple, tym razem głosem dalekim od beznamietności. Potem utkwiał wzrok w pokładzie, co Caldan odczytał jako milczące przeprosiny.

– Dobra. Dam ci chwilę. Przemysł to sobie. Ale potrzebujesz Kołczanów, arcymagów i Dotkniętych. Nie możesz mierzyć się z Kelhakiem sam. To właśnie chciał osiągnąć Gazija, zjednoczenie wszystkich stronnictw we wspólnej walce przeciw Kelhakowi. Bo jeśli do zjednoczenia nie dojdzie, przegrają wszyscy, a świat ulegnie drugiemu Zdruzgotaniu. I wtedy nie będzie już czego ratować.

Wyrazu twarzy Quissa nie dało się odczytać i Caldan nie wiedział, czy coś do niego dotarło.

– Musimy bezwzględnie stawić się na tym spotkaniu, które zorganizowała Felice – przekonywał. – Zostało nam nieco czasu. Mam zamiar przemyśleć wszystko to, co się wydarzyło. Sugeruję, żebyś zrobił to samo. Quiss... ty też musisz się tam pojawić. Jeśli spróbujesz zawałczyć z Kelhakiem sam, nie wyniknie z tego nic dobrego. Znajdę cię potem i pójdziemy tam razem.

Caldan obrócił się i zszedł po trapie na molo, a potem ruszył przed siebie, łomocząc butami o deski. Kroki kogoś, kto pała gniewem.

*Dobrze – powiedział Gazija w jego głowie. A teraz do roboty. Mamy sporo do zrobienia.*

– Na przodków, człowieku – wymamrotał Caldan ostrym tonem. – Zamilknij albo...

*Albo co? Co niby zrobisz?*

Caldan zacisnął szczęki.

*Kelhak nie może dowiedzieć się, że wciąż żyję. Będę twoim asem w rękawie. Twoim dodatkowym ruchem.*

Kroki Caldana ucichły.

– Wcale nie żyjesz.

*Śmiem się nie zgodzić. Ale to teraz nieważne. Zachowaj mnie w sekrecie, a mamy szansę wyjść z tego cało. A teraz opowiedz mi, co*

*się stało z Amerdanem. Niczego nie pomijaj.*

Caldan milczał. Quiss obnażył skalę perfidii swojego mistrza. Czarodziej miał skrupuły, które nie pozwalały mu beztrąsko zaakceptować czynów swojego przywódcy, a prawda wypłynęła z jego ust prawie bez żadnych nacisków ze strony Caldana. A Caldan zaczął się zastanawiać, czy Quiss w ogóle nadaje się na przywódcę w miejsce Gazii. Czy powinien się cieszyć, że to on dowodzi? Czy raczej być zatrwożony na myśl o tym, że kiedy przyjdzie co do czego, Quiss nie zrobi tego, co trzeba będzie zrobić?

Kiedy znajdą się po niewłaściwej stronie miecza. Kiedy będzie trzeba podjąć decyzję stanowiącą o życiu lub śmierci. I kiedy będą się ważyć losy świata.

Może Gazija wyczuł coś z tego, co myślał Caldán, bo odezwał się znowu:

*Quiss jest dobrym człowiekiem.*

Sens jego słów był oczywisty. Caldán dopatrywał się go nie tylko w słowach starca, lecz także w tym, że nie chciał ujawnić się przed Quissem i resztą swoich ludzi.

– Ale tej bitwy nie wygrają dobrzy ludzie – wymamrotał. – Przed nami trudne wybory, wielu zginie.

*Dokładnie. Pamiętam... unicestwienie mojego świata. Walczyliśmy ze wszystkich sił, ale... umarło wszystko. Rośliny... zwierzęta... dzieci... Wszystko.*



48

**C**aldan siedział sam na brzegu rzeki, kawał drogi od doków Starorzecza. Wiedział, że na okręcie, pośród ludzi Quissa, nie znajdzie prywatności, której teraz potrzebował. Powoli i ostrożnie sięgnął do bariery oddzielającej jego umysł od jednej z nowych studni. Musnął ją, podrapał. Odgłos rozległ się tylko w jego głowie, nie dotykał przecież niczego materialnego. Ale było też coś jeszcze... maleńki wyrzut magicznej energii, tak mętny, że niemal go przeoczył. Jak lekki powiew

wpadający do pomieszczenia przez nieszczęsne okno. Jakby zeskrobał palcem jedną warstewkę cebuli. Ale tak cienką, że musiałby zeskrobać jeszcze tysiąc, nim posunie się naprzód.

*Właśnie tak* – powiedział Gazija w jego głowie. *Dalej, nie przerywaj. Jeśli masz to przetrwać, potrzebujesz sięgnąć po wszelką dostępną pomoc.*

Caldan żałował, że nie może po prostu uciszyć starego czarodzieja.

Od samego początku Gazija naciskał na niego, by otworzył swoje nowe studnie. Ewidentnie miał w tym własny cel, lecz Caldan nie wiedział jaki. Wiedział tylko tyle, że Gazija ma rację.

Rzeczywiście Caldan będzie potrzebował więcej mocy niż ta, którą zdoła wyciągnąć ze swojej studni.

Quiss i pozostali martwili Caldana. Więcej, niż tylko martwili. Quiss i jego ludzie byli dla Caldana jedyną drogą ucieczki przed arcymagami i Dotkniętymi, a teraz ta droga zmieniła się w ścianę.

Nie możesz dać się zwariować, powiedział sobie. To tylko komplikacja. Pokonasz ją. Nie poddawaj się. Z każdej sytuacji istnieje jakieś wyjście. Musisz je tylko znaleźć.

Sęk w tym, że jedyne wyjście, jakie przychodziło mu na myśl, zakładało, że musi zawładnąć mocami drzemiącymi w zablokowanych studniach, które wcisnął mu Amerdan. A obiecał sobie, że nie pójdzie tą drogą.

Musiał też myśleć o Mirandzie. Ścisnęło go w sercu na samą myśl o niej. Tyle już wycierpiała. A jego plan zmusi ją, by poświęciła jeszcze więcej: życie, które dla siebie zbudowała, przyjaciół takich jak Charlotte i wszystko, co posiadała. I będzie czuł się winny, że ją o to poprosił. Będzie borykał się z tym do końca życia.

Choć było ciepło, Caldan zadrzał. Chcę ją poprosić, by poświęciła dla mnie wszystko, uświadomił sobie. Ale trudno, niech przodkowie porwą moje poczucie winy.

Tyle już dźwigał ciężarów, jeden więcej nie robi różnicy.

Złączył dłonie i splótł palce. Tutaj, z dala od przycumowanego w przystani okrętu, nikt nie wykryje jego drapania i podważania. Posłał swoją wolę z powrotem do umysłu, a ona prześliznęła się tam po magicznych prądach, które znali tylko uzdolnieni. Podświadomość była zbyt tajemnicza, zbyt nieokreślona na

cokolwiek innego. Studnia była czymś bardziej skomplikowanym i namacalnym, lecz wciąż jedynie produktem umysłu.

Musiał więc sporządzić w swojej głowie zniewalające rzemyśliwo, by za jego pomocą przebić barierę oddzielającą go od studni. Bo jeśli chce stąd uciec, znaleźć się poza zasięgiem cesarza i Quissa, będzie musiał przekonać ich, że zginął, a potem osiąść gdzieś bardzo daleko.

Plan był niebezpieczny. Ale sensowny. Potrzebne mu było ciało, pierścień-talizman, rzemyśliwo takie jak to, którego użył Quiss, żeby doprowadzić ich do Amerdana, oraz atak niszczycielskiej magii wyprowadzony przez arcymagów – tak silny, aby w zgiełku i harmidrze nikt nie wyczuł jego własnej magii, którą w ukryciu zaprzęgnie do pracy. Dwie części tego planu wymagały większego stężenia magicznej mocy, niż potrafił obecnie wygenerować własnymi siłami: musiał obronić się jakoś przed natarciem arcymagów i skorzystać z rzemyśliwa teleportacyjnego.

Miał więc jedno wyjście: odblokować i skorzystać z dodatkowych studni. Jeśli to zrobi, potwierdzi najgorsze podejrzenia Quissa dotyczące liczy i skaże się na śmierć z jego ręki. Nie było jednak innego sposobu.

Jeśli nie uda im się pokonać Kelhaka, to i tak nie będzie już miało znaczenia. Ale jeśli uda im się wykorzystać tę małą szansę i wygrać, wtedy wszystko musi być gotowe. Druga okazja się nie nadarzy.

Caldan zebrał się w sobie i raz jeszcze sięgnął zmysłami do wewnątrz, tam gdzie znajdowała się zablokowana studnia, nad którą pracował. Blokada była twarda, ale poruszał nią jakiś zmieniający się prąd, najwidoczniej dostrajający się do jakiegoś niewidocznego wzorca po wewnętrznej stronie. Wycofał się, rozważając swoje możliwości. Z czego jest zrobiona ta bariera? Nie widział żadnych komponentów zdradzających związek z magią zniewalającą. Z drugiej strony wciąż się jeszcze uczył i wiele mu brakowało do biegłości w tej dziedzinie. Drapanie w końcu przyniesie efekty i przełamie blokadę, lecz metoda, z której korzystał, pozostawiała wiele do życzenia.

Dotarło do niego, że jest prymitywna. A kiedy się przedrę, co potem? Uzyskam maleńką wyrwę, przez którą przedostanie się tylko wąziutki strumyk magii.



Poszarpany, niestabilny korytarz dla niewielkiej ilości mocy. Nienadający się do rzemyślenia. Potrzebował czegoś więcej. Otwór o tak małej średnicy nie zda mu się na wiele. Jeśli ma przeżyć starcie z Kelhakiem, a potem uwolnić się od swoich ciemźycieli, to potrzebował o wiele większej ilości mocy, niż może mu zapewnić choćby i dziesięć studni.

*Nie przejmuj się tak blokadą – powiedział Gazija. Spójrz na krawędź studni.*

Caldan ponownie wycofał się i zamknął studnię. Łatwo ocenić, która była jego własna, a które obce. Po prostu to wiedział, choć nie umiał tego wytłumaczyć. Wystarczyło, że zapragnął otworzyć tę swoją i zaczerpnąć mocy, a to po prostu się działo. To było dla niego tak naturalne jak oddychanie. Zawsze robił to odruchowo.

Myśl przechodziła w czyn i już znajdował się w studni. Sama z siebie otwierała się dla niego.

Caldan odetchnął głęboko i wzmógł koncentrację, przywołując całą siłę swojego czarodziejskiego zmysłu. Otworzył studnię i ją zamknął. I jeszcze raz. A potem znowu. I znowu. Za każdym razem skupiał się na samym procesie otwierania studni, na czymś, co dotychczas robił nieświadomie.

Powtórzył proces, tym razem usiłując go spowolnić, by dać sobie więcej czasu i dostrzec, co tak naprawdę się dzieje. Zwykle działo się to tak szybko, że nie było stadiów pośrednich – studnia w jednej chwili była zamknięta, a w drugiej otwarta. A jednak coś musiało się dziać, jego własna bariera musiała zniknąć, a potem ponownie się pojawić.

Przysunął swoją świadomość bliżej do krawędzi studni, aż jej zarys wypełnił całe jego pole widzenia.

Otworzył. Zamknął. Otworzył. Zamknął.

Tak jak wtedy, gdy mnisi odkryli jego studnię po raz pierwszy i kazali mu wykonywać ćwiczenia.

Otworzył. Zamknął.

Nie wyjaśnili mu, dlaczego musiał wykonywać to ćwiczenie godzinami, a on był młody i naiwny, więc nie pytał.

Otworzył. Zamknął.

Gdzie się podziała bariera?

Otworzył. Zamknął.

Blokada... tak właśnie o niej myślał. Jak o przeszkodzie, czymś do pokonania. Ale czym była tak naprawdę? Gdy jego własna studnia była zamknięta, to, co ją zakrywało, nie było wcale obce. Po prostu tam było. A potem znikало, gdy ją otwierał.

Przypomniаł sobie coś, co powiedzieli mu kiedyś mnisi, dawno temu, gdy dopiero zbierał pierwsze szlify jako początkujący czarodziej. Przedstawili mu to w formie ostrzeżenia. Żadna magia nie jest doskonała, a moc płynąca przez studnię jest gwałtowna i żrąca jak wrzący kwas. Zdarzało się tak, że nieostrożni czarodzieje spalali się we własnych studniach jak nieudane rzemyśliwo.

Ćwiczenia, które zalecili mu mnisi, miały nauczyć go obchodzić się ze studnią. Wpoić mu pewne nawyki, tak by otwierał studnię odruchowo. Trochę jak uczy się małe dziecko, by nie moczyło łóżka, tylko wstrzymało się do momentu znalezienia toalety. Tyle że tutaj najgorszym możliwym rezultatem niepowodzenia nie była mokra pościel, a upieczony umysł.

Caldan zwięził swój zmysł i przysunął się bliżej do obrzeża jednej z nowych studni. Z tak bliska czuł bijącą od niej obcość, której wcześniej nie wykrył. Jej krawędź ulepiona była z ciemności. Czerni tak absolutnej, że płonęła. Wrzeszczała mu w twarz przekleństwa. Zadrżał, lecz nie odwrócił wzroku. Uformował włókno mocy i, nie myśląc, stworzył rzemyśliwo o zniewalającej naturze, a potem podzielił je na osiem mniejszych.

Przychodziło mu to coraz łatwiej.

Ulepił z mocy sondę, wsunął ją w ciemność i niemal natychmiast napotkał opór, który odepchnął ją z powrotem. Wrażenie budzącej niepokój wrogości powróciło, tym razem dziesięciokrotnie silniejsze. Przetoczyło się po ciele Caldana jak dreszcz i zmroziło jego duszę.

Dlaczego miał wrażenie, że to coś, z czym się mierzył, jest mu wrogiem?

Nie mógł się przez to przebić, nawet zadrapać. A kiedy wsuwał sondę głębiej, owo coś odpowiadało tym samym, stawało się coraz twardsze, zupełnie jakby sonda przydawała temu siły. Coś mu umykało. Drapanie i wiercenie dziur mogło sprawdzić się w przypadku Amerdana, gdy Dzwonki pomagała mu odblokować jego studnię, ale Caldan potrzebował czegoś więcej. Musiał znaleźć inny sposób.

Skrzywił się, dotknięty frustracją.

Jego własna studnia akceptowała go, była jego i tylko jego.

Wtedy właśnie zrozumiał.

Do studni Caldana nie mógł podłączyć się żaden inny czarodziej. A on próbował teraz dostać się do studni innego czarodzieja, do rezerwuaru mocy, który zrodził się w duszy innego człowieka. I był jego i tylko jego. Bariera została po prostu zestrojona z innym magiem. I uniemożliwiała mocom studni uszkodzenie umysłu innego czarodzieja, tak jak bariera Caldana chroniła jego umysł.

Wycofał się i zwrócił uwagę na własną studnię i własną barierę. Była to jakaś forma magii, instynktowna i naturalna, zupełnie odmienna od rzemyslenia. Pochodziła z wewnątrz.

Otworzył. Zamknął.

Caldan pozwolił swojemu umysłowi dryfować i ster własnych działań powierzył podświadomości.

Otworzył. Zamknął. Otworzył. Zamknął.

Podsunał się do jednej z nowych studni i tak delikatnie, jak tylko potrafił, przekierował myśli, aby ją otoczyły, podobnie jak lata temu zrobił to pod nadzorem mnichów.

Otworzył. Zamknął.

Bariera i opór musiały zostać. Umysł czarodzieja nie mógł pozwolić, by ze studni wydostała się niekontrolowana przez niego moc.

Otworzył. Zamknął.

Blokada Caldana objęła obcą studnię.

Otworzył. Zamknął.

Ta wrogość, którą wyczuwał, to musiała być bariera innego czarodzieja. Pieczęć, która została na studni, pomimo tego że sama studnia została wydarta magowi.

Otworzył. Zamknął.

Caldan nakrył ciemność własnym tworzywem. Gdyby miał zgadywać, powiedziałby, że to myśli byłego właściciela studni. Lub może jakieś strzępy jego świadomości. Trzymające się należącej do niego mocy, ograniczające ją. Przecież gdyby tego nie robiły, żrąca magia zniszczyłaby umysł.

Nawet gdy świadomość przepadła, resztką duszy trzymała się pierwotnego pragnienia. Studnia nie mogła wymknąć się spod

kontroli. Ale gdyby Caldan utworzył własną barierę, może poprzednia by się rozpuściła? Jak mógłby skłonić ją, by uwolniła studnię?

Otworzył. Zamknął.

Rozciągnął się jeszcze szerzej, wydobywając ze swojej studni kolejne strumienie: dwa, a potem cztery. Pieczołowicie uformował haki z połyskliwej magii, run i wzorów zlewających się w jedno ze światłem. Uzbroidł własne tworzywo, rozciągnął je tak, by dopasowało się do krawędzi studni.

Otworzył. Zamknął. Otworzył. Zamknął.

Stara bariera odpychała je, ale Caldan wciągnął powietrze do płuc i utrzymał swoją. Było niemal tak, jakby bariera sprawdzała tę wytworzoną przez niego.

Otworzył. Zamknął.

Kolejne pchnięcie, mocniejsze, ostrzejsze.

Ze studni wydobyło się ciepło, najpierw powoli, potem szybciej, coraz gorętsze.

Zaczerpnął więcej mocy i wzmocnił swoją blokadę, a potem zaśmiał się na głos. Wciąż źle się do tego zabierał. Magia zniewalająca to kula, którą można się podeprzeć. Jeśli dalej będzie się tak rozpychał, na pewno nie uda mu się zbyt długo utrzymać tylu strumieni, a już na pewno nie poradzi sobie z kontrolowaniem większej liczby obcych studni niż jedna.

Wycofał się więc, aby uspokoić umysł, który znowu zaczął dryfować. Utworzył kopię swojej bariery i umiejscowił ją nad obcą studnią.

Otworzył. Zamknął.

Gorące rozdarcie. Ignorował je, ale łza spłynęła mu po twarzy. Ostatnie myśli czarodzieja. Tym właśnie były bariery. A on rozbrajał je, pokazując zastałym fragmentom esencji, że teraz jest tu nowa bariera. Która także będzie w stanie poskromić niebezpieczne studnie.

I że ta drzazga świadomości – ta wrogość, którą wyczuł – może w końcu odpuścić.

I wtedy, ot tak, zrobiła to.

Bariera Caldana zespoliła się z krawędziami studni. Ciemność rozmyła się, spaliła i uciekła przed dotykiem jego umysłu.

Utworzona przez Caldana blokada nakryła studnię.

Włókna ciemności falowały na wszystkie strony, rozdzielając się na mniejsze i bardziej wiotkie, aż w końcu rozmyły się i zniknęły. Patrzył, jak ostatnie myśli dawnego czarodzieja znikają na zawsze. Wstrząsnęła nim udręka, wbiła się rozżarzoną klingą w serce i umysł.

Kolejne łązy polały się z jego oczu.

– Przepraszam – powiedział Caldan, wiedząc, że nikt go nie usłyszy.

Otarł powieki palcami, a potem osuszył dłoń o spodnie. Potrzebował chwili, nim wreszcie przejaśniło mu się przed oczami. Myśli Caldana natychmiast wróciły do własnej studni, a on z wysiłkiem odepchnął je na bok. Skierował je ku tej drugiej.

Wypatrzył ją. Wyglądała podobnie jak jego własna, i tak też ją czuł. Wrogość zniknęła, choć bariera wciąż trzymała mocno.

Jego bariera. Podległa jego kontroli.

Caldan postanowił spróbować ją otworzyć.

Zrobił to i zalała go moc. Czysta i rozplomieniona. Żrąca, chaotyczna. Buchająca gorącem, od którego zapaliłyby się drewno i skała. Energia, moc. Błyszcząca i wspaniała. Ujął ją, radując się jej dotykiem.

*Doskonale* – powiedział Gazija głosem skrzącym się od przyjemności.

Ta moc należała teraz do Caldana. A sama studnia... była gładka i szeroka. Ziejąca otchłani w porównaniu z poszarpanymi odwiertami Amerdana.

Skończone. Wynałazł sposób na zawładnięcie obcymi studniami, jakby należały do niego od zawsze.

Szybko ukrył swoją drugą studnię, tak by nie mogły jej wykryć czarodziejskie zmysły innych czarodziejów.

A potem otworzył oczy i potoczył wzrokiem po tafli rzeki.

Płynęły nią łodzie. Wiatr wypełniał żagle i marszczył wodę wzburzaną przez wiosła. Marynarze wołali do siebie przez nurt. Świeciło słońce. Wiatr niósł ptaki o rozłożonych skrzydłach. Dzień jak co dzień.

Caldan stłumił chęć, by roześmiać się głośno i tubalnie jak jakiś wariat.

Nie potrzebował jeszcze bardziej pograżać się w oczach Quissa. Nie dość, że Amerdan wcisnął Caldanowi studnie, to na dodatek on sam nauczył się je odblokowywać. Czy wiele się różnił od Kelhaka? Lub raczej tego, co zamieszkiwało teraz jego ciało? Czy to coś dokonywało podobnych wyborów? Takich, które wydawały się swego czasu właściwe, sprawiały wrażenie bycia jedynym wyjściem z pewnych sytuacji, a ostatecznie doprowadziły licza do zbyt wielkiej mocy, nieludzkiej potęgi, która odarła go z człowieczeństwa?

Ryba wyskoczyła z wody i wróciła do niej. Plusk wyrwał Caldana z zamyślenia. Po wysiłku otwarcia studni potrzebował wszystkich resztek swojej siły i woli, by się podnieść.

Miranda.

Ona była jego kotwicą, gruntem pod jego nogami. Uczepił się imienia dziewczyny jak rozbitek czepia się dryfującego masztu, mruzczał jej imię pod nosem jak dobrą wróżbę.

Coś się w nim zmieniło. I była to zmiana o wiele bardziej doniosła niż otwarcie studni. Ale Caldan o tym nie wiedział.



**Z** Quissem u boku Caldan powlókł się do Starorzecza. Gazija przestrzegł Caldana, że Vasil będzie go uważnie słuchał, może więc się domyślić, że Gazija wrócił do świata żywych, zwracając uwagę na niespójności w wypowiedziach Caldana.

A wtedy wystarczy mu już tylko jedno pytanie, by stwierdzić, czy Caldan kłamie.

Perspektywa kolejnego spotkania z człowiekiem, który praktycznie przyznał się do wydania wyroku śmierci na jego rodziców, przepełniała Caldana trwogą i furią, ale trzymał swoje emocje na wodzy. Musiał skupić się na teraźniejszości. Zemsta – tego pragnął, ale zemsta może poczekać do czasu, aż rozprawią się z Kelhakiem.

Quiss milczał. Nie chciał nic mówić, nawet gdy Caldan zagadywał go lub o coś pytał. Ostatecznie Caldan też zamilkł. Czarodziej zwlekał, zostawał z tyłu, jakby wahał się, czy w ogóle iść na spotkanie z Felice i cesarzem. Caldan musiał co rusz zatrzymywać się i na niego czekać.

Gdy raz przystanął, owiał go mroźny wiatr i Caldan zadrżał, lecz tylko częściowo z zimna. Niebo na wschodzie poszarzało.

Przesunął czujnym wzrokiem po horyzoncie, szukając czegoś, co mogłoby zapowiadać magiczną burzę, ale nic podobnego nie dostrzegł.

Było cicho. Ostatnio nawet zbyt cicho.

*Kelhak coś knuje* – powiedział Gazija.

Zamieszkaną przez ducha starego czarodzieja konstrukcję wisiał na jego ramieniu. Gazija uparł się, że będzie mu towarzyszył.

Caldan mruknął:

– Wszyscy coś knujemy.

Znajdowali się już blisko siedziby cesarza, a ulice były dziwnie wyludnione. Caldan zwrócił na to uwagę, lecz jednocześnie dzięki temu nie obawiał się, że ktoś go podsłucha. Sięgnął do temblaka, na którym spoczywała jego okaleczona ręka. Wciąż pobolewała, ale coraz mniej, a opuchlizna prawie już ustąpiła.

*Powinien niebawem uderzyć ponownie* – podjął Gazija.

– Ja tam się cieszę, że na razie tego nie robi. Ty też powinieneś. To daje nam nieco czasu.

Caldan obejrzał się na Quissa, który z wolna go doganiał. To też dawało mu nieco czasu.

– Nie masz bladego pojęcia, czego on chce, no nie?

*Jego cele w tym świecie wydają się odmienne od tych, które przyświecały mu w moim świecie. Tak, to osobliwe... Jest odmieniony... jakoś.*

Wcale nie brzmiało to dobrze.



– Kelhak, a właściwie liczy, chce czegoś innego, niż chciał u was? A więc może nie chce zniszczyć całego świata?

*Czegokolwiek chce, możesz być pewien, że nie skończy się to dobrze ani dla ciebie, ani dla nikogo. Dlatego właśnie musimy zbadać talizman Amerdana. Quiss musi znaleźć jakąś jego słabość, którą zdoła wykorzystać.*

Kto wie czy nie wykorzysta jej także przeciwko Caldanowi i jego wielu studniom.

*Boisz się tego, dobrze zgaduję? Nie powinieneś.*

Caldan zmusił się, by prychnąć.

– Wcale się nie boję. Niby czemu? To tylko coś, co przyszło mi na myśl. Talizman jest kluczem. Nie rozumiem tylko tego, dlaczego ty go nie badasz.

*Mówiłem ci już, że nikt nie może dowiedzieć się, że ja wciąż żyję. Nikt, nawet Quiss. Im więcej ludzi o tym wie, tym większe zagrożenie, że Kelhak pokrzyżuje wszystkie poczynione przez nas plany. Efekt zaskoczenia może być wszystkim, co nam zostało. Quiss i Mazoet poradzą sobie ze swoim zadaniem. Właściwie mają nawet większą szansę, niż ja bym miał. Zaskoczyłem cię? Przywódcy nie muszą brylować we wszystkim. Jestem pewien, że znajdą coś, czego będą mogli użyć.*

– Mam nadzieję. Nie, nadzieja to za mało. Po prostu musi im się udać.

*W rzeczy samej.*

– Nie powinienem im pomóc? Czemu wybrałaś akurat mnie? Mogłeś ujawnić się przed jednym ze swoich ludzi. Z chęcią by ci pomógł.

*Ponieważ, Caldanie, Quiss nie zdoła zrobić tego, co trzeba zrobić, żebyśmy przetrwali nadchodzącą walkę. Nie mówię, że to jego słabość. Może w innej sytuacji byłaby to siła. Ale nie w tej.*

Caldan żałował, że nie może zobaczyć wyrazu twarzy Gazii. Choć był pewien, że nawet gdyby czarodziej stał teraz przed nim, jego twarz byłaby jak odlana z żelaza. Stary mag wiedział o jego wielu studniach. Chciał to wykorzystać, podczas gdy Quiss usiłował ograniczyć Caldana, a potem zabić, gdy już Kelhak przestanie być zagrożeniem. Kto wie, może Gazija też by go po wszystkim zabił?

Caldan uświadomił sobie, że będzie drugim asem w ich rękawie. Drugim dodatkowym ruchem w rozgrywanej przez nich partii dominionu.

Niemal zaśmiał się na tę myśl. Szaleństwo, wariactwo. Gazija rzucił do walki z Kelhakiem Caldana i samego siebie, mając nadzieję, że tyle wystarczy.

*Wielu byłoby gotowych zabić cię za moc, którą teraz władasz, Caldanie. Powinieneś się nią cieszyć.*

– Wiem. Ale ja nie jestem jednym z tych ludzi. Wolałbym znów być normalny. Niestety, na to nie ma szans.

Ze zdumieniem skonstatował, że tak naprawdę wcale nie jest pewien, że rzeczywiście wierzy w to, co właśnie powiedział. Jego życie na pewno byłoby o wiele prostsze, ale czy on naprawdę chciał prostszego życia? Ze swoją obecną mocą mógł zrobić wiele dobra, być kimś wyjątkowym... Kuszące, ale...

Może dobrze by było mieć życie nie tak najeżone niebezpieczeństwami jak to obecne, pomyślał z goryczą. Chciałbym po prostu móc się uczyć i rozwijać. Budować symulakra i pomagać innym. I być z Mirandą.

Rzecz w tym, że zdawał sobie sprawę, że Gazija i Quiss nie pozwolą mu żyć. Było to dla nich zbyt ryzykowne. Postrzegali Caldana jako niebezpieczeństwo. I tak to właśnie będzie. Mógł więc się i wiercić jak robak nabity na haczyk, ale niczego to nie zmieni.

Albo tak im się tylko wydawało.

Mógł jednak spróbować zawiercić się nieco mocniej. I to właśnie miał zamiar zrobić.

Przed nimi wyrosła potężna żelazna brama do siedziby cesarza. Caldán podszedł do niej zdecydowanym krokiem i wszedł do ogrodu, skinąwszy głową wartownikom. Sługa wskazał im drogę do domostwa. Przy drzwiach do komnaty audiencyjnej czekała już na nich Felice. Jej włosy ufryzowane były w skomplikowany warkocz, a spodnie i koszula miały kolor głębokiej czerwieni. Wlepiała wzrok w Caldana, a on kiwnął jej krótko głową. Odwzajemniła gest, a potem poprawiła kołnierzyk oszczędnym, wyuczonym ruchem.

– Inni są już w środku. Bałam się, że już nie przyjdziecie. Arcymagowie i Protektorzy nie wiedzą jeszcze, w którą przegródkę

was włożyć – dodała, strzepując z ramienia wyimaginowany pyłek. – Ale cesarz będzie wiedział. On zawsze wie.

Quiss wodził spojrzeniem między nią a Caldanem. Rozejrzał się po strażnikach, którymi obstawiony był korytarz.

– Zaczekam i posłucham, co ma do powiedzenia cesarz – rzekł.

– Jestem do twojej dyspozycji – powiedział Caldan do Felice. – Zrobię, co należy.

Felicienne pokręciła głową i wypuściła powietrze z płuc.

– Nie masz „zrobić, co należy”. Masz wykonać zadanie. Za wszelką cenę. – Znacząca pauza podkreśliła wagę jej słów. – Rozumiesz?

Quiss prychnął i pokręcił głową.

– Dokładnie to powiedziałyby Gazija – mruknął.

– Jest tak, jak napisał Rujandis w „Filarach społeczeństwa” – powiedział Caldan. – „Słabi muszą paść u stóp silnych, gdyż potrzeby cesarstwa przeważają nad potrzebami obywatela”.

Choć cesarz pewnie by się z Rujandisem nie zgodził, dopowiedział w myślach. Cesarstwo jest dla niego niczym więcej, jak tylko środkiem do osiągnięcia własnych celów.

Jednak Felice przyznawała mu rację, a przynajmniej tak twierdziła.

– Otóż to. Lecimy prosto w rozwartą paszczę otchłani, Caldanie. Ona chce nas pochłonąć i zetrzeć w pył. Każdy musi odegrać przypisaną mu rolę, ale jedni mogą osiągnąć więcej niż drudzy. Niektórzy spośród nas z pewnością okażą się kluczowi dla powodzenia misji. Wierzę, że ty jesteś jedną z tych osób. – Uśmiechnęła się błado. – Ale ja nie jestem nieomylna.

Przez chwilę Caldan chciał zaprotestować. Kim on niby był, żeby włączać się w grę o tak wielką stawkę? Ba, tyle że to nie jest żadna gra.

Czy mu się to podobało, czy nie, Amerdan zmusił Caldana do zawładnięcia mocą, o jakiej mu się nawet nie śniło, a teraz on musiał sobie jakoś z nią poradzić. Wziął się w garść i wyprostował.

– Zrobię, co w mojej mocy. Indryallan trzeba powstrzymać, a Kelhaka pokonać.

– Dokładnie – powiedziała Felice. – A więc myślę, że jesteśmy gotowi. Powinieneś o czymś wiedzieć: Thenna została

obezwładniona w tym samym momencie co ty. Skorzystałam z okazji i odebrałam jej talizmany. Kościane pierścienie.

Caldan zgromił ją wzrokiem.

– Jeden z nich należy do mnie. Nie powinnaś...

– Należy do cesarza. A teraz ja mam oba. I to ja zdecyduję, co z nimi zrobić. Okłamałeś go. Musiałam zainterweniować, również w twoim interesie. Masz szczęście, że jeszcze żyjesz.

Caldan milczał, ale wzbierała w nim złość. Pierścień był jedynym ogniwem łączącym go z rodziną, a poza tym mógł być bardzo niebezpieczny w niepowołanych rękach. A teraz już go nie było.

Felice gestem nakazała Kołczanom otworzyć drzwi.

Zaskrzypiały metalowe zawiasy, kojarząc się Caldanowi z odgłosem nastawiania wielkiej pułapki na myszy.

Weszli do komnaty. Tym razem była ona opróżniona ze służących i obserwatorów. Nie wypatrzył w niej ani jednego szlachcica, który przyszedł pławić się w blasku bijącym od cesarza. Znajdował się w niej tylko on sam, władca na swoim podobnym do tronu krześle, postawionym na półokrągłym podeście.

Nie miał już na sobie swojego kowalostworzonego pancerza. Ubrany był w dopasowane spodnie i czerwony płaszcz obszyty złotem na kołnierzu i rękawach. Jego proste platynowe włosy opadały mu za ramiona, a fioletowe oczy świdrowały nadchodzących gości.

Grupa ludzi zgromadziła się przy ścianie obok wielkiego mosiężnika. Sięgał do kolan i miał kilkanaście stóp szerokości. Wyglądał na ciężki i na pewno wniosło go tu przynajmniej paru krzepkich służących. Stosik rozżarzonych węgli rzucał pomarańczowy blask, a powietrze nad nim drżało od gorąca.

Pierwszą rozpoznaną przez Caldana osobą był mistrz Mold. Wydał mu się starszy, jakby w tym krótkim okresie twarz Protektora pozoczyła się nowymi bruzdami. Obok niego stał arcymag w średnim wieku, z brodą przyprószoną siwizną. Caldan założył, że to ich reprezentant. Ale skoro tak, to gdzie była Thenna?

Na stołku obok siedziała spowita ponurą aurą lady Porhilda, która tak ułożyła fałdy sukni, by nie dotykały podłogi. Caldan odnalazł też wzrokiem Vasila, który wyglądał na zdenerwowanego i co rusz przenosił ciężar ciała z nogi na nogę. Dwa kroki dalej stał

rozglądający się bacznie Selbourne. Jednego uczestnika narady nie rozpoznawał. Wysokiego mężczyzny o krótko ściętych brązowych włosach. Miał na sobie ceremonialny uniform ozdobiony medalami i orderami, choć materiał był pognieciony i poplamiony. To musiał być jakiś wysoko postawiony oficer Kołczanów. Jego beznamienne, niebieskie oczy obejmowały wszystkich zebranych. Weteran, pewnie dowódca, który przybył do Starorzecza z armią.

*To będzie ciekawe* – powiedział Gazija.

Caldan nie wdawał się z nim w dyskusję, zamiast tego postanowił poobserwować.

Gdy znalazł się w kręgu bijącego od mosiężnika ciepła, zareagowali, tak jak przewidywał: siedząca przodem do niego Porhilda ledwie zmieniła wyraz twarzy, Selbourne błysnął uśmiechem, tak jak uśmiecha się wojownik do towarzysza broni, jednocześnie znacząco i powściągliwie, ale najbardziej uwagę Caldana przykuł mistrz Mold. Protektor zaciął usta w wąską linię, a jego zuchwa pracowała, jakby coś żuł. Patrzył nie tyle na Caldana, co na miecz u jego boku. Mold chciał go z powrotem, ale Caldan ani myślał się z nim rozstawać. Bo wiedział, że ostatecznie zostanie użyty przeciwko niemu. Przyszło mu na myśl, że miecz mógłby powstrzymać go przed użyciem wszystkich studni, a potem wrócił wzrokiem do mistrza. Poczul się niekomfortowo, widząc ponure wejrzenie Molda, ale to wszystko. Caldan zdawał sobie sprawę, że przeszedł daleką drogę, odkąd spotkał się z Protektorem po raz pierwszy. Joachim, Devenish, Kristof i Thenna zadbali, żeby otrząskał się w szerokim świetle. Osadził dłoń na rękojeści miecza-talizmanu i obdarzył Molda uśmiechem.

Gdy mistrz skrzywił się, uśmiech na twarzy chłopaka tylko się poszerzył. Ze wszystkich zgromadzonych tu ludzi Caldan przejmował się Moldem najmniej.

Bardziej przejmowało go osobliwe mrowienie, które czuł na skórze. Cesarz może i nie był obwieszony rzemyśliwami, ale musiał mieć przy sobie niemało talizmanów, niewątpliwie ukrytych pod ubraniem. Caldan wyczuł potęgę, jaka biła od studni władcy, i przełknął nerwowo ślinę, raz jeszcze sprawdzając swój czar maskujący.

Zatrzymali się dziesięć kroków przed cesarzem i Felice opadła na jedno kolano. Caldan i Quiss zrobili to samo.

Czekali długo.

Felice poruszyła się niecierpliwie, dotknęła kolczyka, a potem, gdy zorientowała się, że ręce jej latają, raptownie opuściła je wzdłuż ciała. Ale to nie ją taksował cesarz. Tylko Caldana. Dotyk magicznego zmysłu omiótł studnię chłopaka, po czym zniknął i zaraz wrócił. Caldan zamarł, gdy musnął także ukryte studnie.

Cesarz Zerach-Sangur westchnął głęboko, a potem zaszeleścił materiałem jego płaszcz, gdy dźwignął się z tronu.

– Wstańcie – powiedział gładkim i płynnym głosem.

Usłuchali.

– Racz wybaczyć, Wasza Wysokość – odezwała się Felice. – Chciałam zapytać, gdzie jest Thenna.

– Arcymagiczka Thenna nie żyje. Nieszczęśliwy wypadek.

Caldan widział, że Felice przełknęła ślinę, i sam poderwał wzrok, by skrzyżować spojrzenie z cesarzem. Zabił ją. Pewnie zaabsorbował jej studnię.

Kelhak go martwi, stwierdził ponuro. Cesarz kroczy po ostrzu noża. Zbyt wiele studni i popadnie w szaleństwo, dokładnie jak Kelhak. A jednak nie uronię lzy po Thennie.

Władca wskazał brodatego czarodzieja.

– To jest Bernhard, nowy przywódca arcymagów.

Mężczyzna skłonił się Caldanowi.

– Wiele o tobie słyszałem, młodzieńcze. Widziałem też, co potrafisz. Ale czuj się ostrzeżony. Ja nie jestem Thenną.

Caldan zignorował arcymaga i znów spojrzał cesarzowi w oczy. Mdlilo go już na samą myśl, jak blisko niego stoi.

– Mistrz Mold ma ci coś do powiedzenia, młody Caldanie – rzekł Zerach-Sangur. – Pozwolę mu na to. A potem porozmawiamy wszyscy.

Caldan uprzytomnił sobie, że cesarz się nim bawi. Prawdopodobnie rozgrywał ich wszystkich. To wydało mu się... jakieś dziecinne. Nie mieli lepszych rzeczy do roboty niż skakanie sobie do gardeł dla uciechy cesarza?

Przerażająca i oczywista odpowiedź brzmiała: bynajmniej.

Caldan zwrócił się w kierunku Molda, którego studnia szarpała skraj jego magicznej świadomości.

Była otwarta i Protektor czerpał z niej energię. Coś poruszyło się we wnętrzu Caldana. Zwierzęca część jego osobowości, która zwierzyła zagrożenie.

– Uważaj, Moldzie – powiedział. – Żebyś nie zrobił czegoś głupiego.

Protektor wymierzył w niego jadowite spojrzenie. Caldán został zdradzony przez Protektorów, a potem zabił kilku z nich, uciekając przed Thenną.

A przynajmniej tak przedstawiały się sprawy z perspektywy Molda. Dla Caldana istotne było to, że Protektorzy chodzili na pasku arcymagów, pilnując, by zachowali władzę nad prostymi ludźmi. Oraz to, że to sam Mold pozwolił Thennie go torturować.

Myśl sobie, co chcesz. Nie dbam o to.

– Ten człowiek powinien zostać uwięziony – oświadczył mistrz. – Ma na sumieniu Protektorów i arcymagów, których zabił przy użyciu zakazanej magii. Należy go przesłuchać i ukarać.

– Stracić, chciałeś powiedzieć – odrzekł Caldán.

Mold wbił w niego morderczy wzrok.

– Jeśli będzie trzeba.

– Wisi nad nami wielkie zagrożenie – włączyła się Felice. – Musimy odłożyć niesnaski do momentu, aż uda nam się temu zaradzić. Jeśli tego nie zrobimy, wszyscy zginiemy.

Mold parsknął śmiechem.

– Arcymagowie poradzą sobie z Indryallanami. Devenish pokazał już, że możemy stawić czoła ich magii. Tego samego dowiódł też Jego Wysokość. – Potem wskazał Quissa. – Nie potrzebujemy więc pomocy tych przybyszów nie wiadomo skąd.

*Ten człowiek jest ślepy* – stwierdził Gazija.

Caldán nie mógł odpowiedzieć na głos, ale na myśl rzuciło mu się z mocą: jak oni wszyscy.

– Nie zgadzam się. Cesarz także nie – powiedziała Felice. – Niechaj żyje wiecznie – dodała na tyle głośno, by wszyscy słyszeli.

Zdumiony Mold otworzył usta.

– Co to ma znaczyć? Czyście poszaleli? Ci ludzie uosabiają wszystko to, przeciwko czemu walczyłem całe życie! Z czym

Protektorzy walczą od setek lat!

Porhilda oczyściła gardło.

– Zapominasz się, Moldzie. Uważaj, kogo nazywasz szaleńcem – dodała, zerkając na cesarza, który stał nieruchomo z wyrazem rozbawienia na twarzy.

Mold zbladł.

– Lady Felicienne mówi prawdę – ciągnęła Porhilda. – Arcymagowie... nie wystarczą. Magia przybyszy, którym przewodzi Lupidern Quiss, musi zostać zaprzężona do działania, jeśli chcemy mieć szansę na pokonanie Indryallan.

Mold szybko odzyskał kontenans i teraz świdrował lodowatym spojrzeniem zarówno Porhildę, jak i Felice. Najwyraźniej przez kilka chwil nie mógł dobrać głosu.

– A więc będę z nimi współpracował – wypluł. – Ale nie z Caldanem. Ukradł nam także talizman.

Mold zacisnął pięści. Chwilę później otoczyła go tarcza.

Nie idzie nam zbyt dobrze, przyszło na myśl Caldanowi. Zrobił krok w stronę mistrza. Chłopak wiedział, że będzie potrafił obronić się przed dowolnym czarodziejskim atakiem ze strony Protektora, ale ludzie wokół – z wyjątkiem Quissa i cesarza – już nie.

Caldan postąpił kolejny krok w kierunku Molda i dobył miecza.

Cesarz uniósł rękę, powstrzymując resztę przed interwencją.

– Pozwólcie im – rozkazał. Teraz się uśmiechał, rozbawiony sporem. Gestem dał znak Moldowi, by kontynuował.

– Caldanie – rzekł mistrz – ten talizman należy do Protektorów.

– Użyto go, by mnie poskromić, a potem torturować. Z jego pomocą oddano mnie w ręce Thenny.

– Nawet jeśli... to należy do nas.

Oni myślą, że miecz-talizman może powstrzymać Kelhaka, zrozumiał. Czy rzeczywiście? Któż to wie? Ale jeśli użyją go, a on nie zadziała, konsekwencje będą katastrofalne. Mold musiał wiedzieć, co Thenna zrobiła Caldanowi. I to on powierzył miecz innemu Protektorowi, by odebrać Caldanowi moc. Mold nie był sprzymierzeńcem. Uznał, że Caldan wie zbyt wiele i że należy go powstrzymać. Włamanie chłopaka do biblioteki i używanie magii destruktywnej w oczach Protektorów czyniło go samowolnym



czarnoksiężnikiem. Mold chciał go zabić, tak jak zabija się wściekłego psa.

Zabawne. Caldan wcale nie czuł, że zrobił coś złego. Z jego perspektywy to arcymagowie i Protektorzy stali po niewłaściwej stronie. Perspektywa jest wszystkim, dotarło do niego.

Ten miecz zawierał studnię i esencję czarodzieja. Nie wystarczy, by powstrzymać Kelhaka. Jeśli miecz-talizman miał być kluczową częścią ich planu pokonania Kelhaka, wszystkich czekała śmierć.

– Chcę śmierci Kelhaka – powiedział Caldan. – Jak wy wszyscy. Ale chcę też czegoś więcej, niż tylko przeżyć. Jeśli myślicie, że ten miecz pomoże wam w walce z Kelhakiem, mylicie się. Kelhak jest potężniejszy, niż wam się wydaje.

– Więc daj mi go – zażądał Mold. – Tobie on na nic. Nie umiesz go nawet aktywować.

Mold mówił prawdę. Caldan nie rozpracował jeszcze sposobu, w jaki uruchamia się miecz-talizman. Jeszcze. Ale jeśli nie mylił się i rzeczywiście ostrze miało być bezużyteczne w walce z Kelhakiem, to okaże się też bezużyteczne w walce z Caldanem.

Postąpił w kierunku Molda.

– Dobrze – rzekł. Ułożył klingę na przedramieniu czubkiem do siebie i podsunął rękojeść Protektorowi.

*Jak już wspomniałem – powiedział Gazija – bardzo to wszystko ciekawe.*

Mold zmarszczył brwi, spodziewając się pewnie jakiejś sztuczki. Zerknął na cesarza. Pytał o pozwolenie.

Zerach-Sangur obserwował ich obu z uśmiechem na ustach. Najwyraźniej świetnie się bawił. Obrzucił Molda i Caldana kalkulującym spojrzeniem, po czym skinął głową.

Mold sięgnął po talizman. Jego palce zamknęły się na rękojeści, a Caldan pozwolił mu zabrać miecz.

Następnie otworzył studnię i podłączył się do swojej tarczy. Natychmiast otoczyła go wielokolorowa bariera, a Mold cofnął się o kilka kroków, wciąż łypiąc na chłopaka spode łba.

Caldan zaczerpnął jak najwięcej mocy, żeby zasilić tarczę i żeby energia wylała się z jego studni dzikim potokiem. Włoski na przedramionach stanęły mu dęba. W powietrzu zabrzmiał magiczny

pomruk, a znajomy zapach cytryn i gorącego metalu uderzył Caldana w nozdrza.

Zobaczymy, co potrafi ten miecz.

Studnia Caldana zatrzęsnęła się i potok natychmiast ustał, a tarcza zgasła. Jego umysł szarpnął się i Caldanem targnęły drgawki. Zachwiał się, ale ponieważ tym razem wiedział, co się dzieje, nie upadł, tylko oparł się mdłościom atakującym z podrażnionego żołądka.

Podniósł wzrok i zauważył na twarzy Molda smutek. Kątem oka widział, że cesarz pilnie śledzi, co się dzieje.

Caldan zassał powietrze i wysiłkiem woli wyprostował się.

– Dość! – powiedziała Felice.

– To cię nie dotyczy – wysyczał Mold.

Caldan zaśmiał się słabo. Mold rzeczywiście był ślepy. Trzeba pokazać mu prawdę. Wyjaśnić, że użycie miecza na Kelhaku nie przyniesie efektu oraz że Caldana nie można już... że nie uda się już nigdy zakuć w łańcuchy.

Oderwał spojrzenie od Molda i jednocześnie otworzył drugą studnię. I znów okryła go tarcza.

Protektor wykrzyknął i cofnął się o krok, a potem jego twarz ścięła determinacja. A druga studnia Caldana zamknęła się. Nie zatrzęsnęła, tylko zamknęła powoli, jakby miecz nie mógł sobie z nią poradzić.

Wtedy Caldan otworzył trzecią studnię, a potem czwartą. Dzieląc strumienie, podłączył się ponownie do tarczy. Moc, która przez niego płynęła, budziła przestraszonych.

– Nie... – wystękał Mold. – Nie mogę...

Nagle wszystkie blokady zniknęły.

Mold pokręcił głową, zaciskając szczęki.

– To przecież... niemożliwe.

– A jednak – rzekł Caldan. – Jak oparłem się talizmanowi? Nie. Nie odpowiadaj. Odpowiedz mi na inne pytanie: myślisz, że Kelhak tego nie potrafi, skoro ja potrafię? – Pokręcił głową, nie czekając na odpowiedź. – Jeśli chciałeś użyć miecza na Kelhaku, to lepiej się zastanów. To nie zadziała. Co więcej – podjął, zbliżając się do Molda, ale teraz szepcząc, tak by tylko on go słyszał – wiedz, że jeśli jeszcze raz mnie zaatakujesz, to cię zniszczę.

Mold skrzywił się i Caldan poczuł, jak czarodziejski zmysł Protektora bada jego wnętrze. Wtedy zdjął zasłony z nabytych studni.

Mold zassał głośno powietrze i krew odpłynęła mu z twarzy.

– Masz więcej niż jedną studnię. O wiele więcej.

– Owszem. Tak jak Kelhak.

– Jak to się stało, że nie wyczuliśmy tego wcześniej?

*Teraz stąpaj ostrożnie – przestrzegł go Gazija. Nie wykładaj wszystkich kart na stół. Będą szukać twojego słabego punktu.*

– Ukryłem je – odpowiedział po prostu Caldan. – Nie wiem, co byś zrobił, wiedząc, że mam wiele studni. – Zajrzał Moldowi w oczy. – Pewnie usiłowałeś mnie zabić, tak jak próbowali Kristof i Thenna. Ale im się nie udało.

Felice klasnęła w ręce, ściągając na siebie ich uwagę.

– A więc, Moldzie, plan, który opracowałeś, nie zadziała. Nie muszę chyba mówić, że to niedobrze. Zanim przystąpimy do walki z Kelhakiem, musimy wiedzieć, że mamy szansę na zwycięstwo.

Cesarz odchrząknął i oczy wszystkich zwróciły się na niego.

– Spytałem raz jeszcze – rzekł cesarz dźwięcznym głosem, który odbił się echem w komnacie. – Powiedz mi, Caldanie, mój młody arcy maga i Dotknięty: czego pragniesz? – To samo pytanie, które zadał mu poprzednim razem.

Albo nie uwierzył mi wtedy, albo myśli, że coś uległo zmianie, skrzywił się Caldan w duchu.

– Przecież... – Łypnął na Felice. – Wiemy, czym tak naprawdę jest Kelhak. Liczem. Porzucił człowieczeństwo dawno temu. Teraz żyje tylko po to, żeby absorbować innych czarodziejów, żeby zwiększyć swoją moc i przedłużyć sobie życie. Tym, czego chcę, jest powstrzymanie go. Zabić go, pojmać, cokolwiek będzie konieczne.

Stojąca obok niego Felice pokiwała głową.

Twarz cesarza była kamienną maską. Odkaslnął w pięść.

– A więc każdy człowiek z wieloma studniami jest liczem? Którego należy... zabić lub pojmać?

Caldan pokręcił głową. Ostrożnie, przestrzegł się.

– Nie, Wasza Wysokość. Kelhak jest szaleńcem. Być może to jego moc sprawiła, że postradał zmysły. Ale posiadanie więcej niż jednej

studni nie czyni z człowieka potwora. – Zawahał się, zanim dodał: – Jesteś tego żywym dowodem, panie.

Mold syknął przez zęby, a Porhilda rzuciła Caldanowi takie spojrzenie, jakby nagle zamienił się w węża.

Cesarz skinął głową. Wzrok zamazał mu się na chwilę, zanim wwiercił się nim w Caldana.

– I ty także.

Caldan zamarł na moment.

– Nie wiem, jak do tego doszło – przyznał. – Chodzi mi o sam proces – dopowiedział. – Miałem pewien talizman i...

– Gdzie on teraz jest? – przerwał mu cesarz.

– Ma go Lumphidern Quiss – wtrąciła się Felice. – Przybysze próbują zgłębić tajemnicę jego działania, żeby znaleźć sposób na pokonanie Kelhaka.

Za jej słowami kryła się prawda, co do której Caldan był pewien, że cesarz nie chce jej znać: jeśli ktoś zdoła zniszczyć Kelhaka lub zneutralizować jego moc, będzie mógł zrobić to samo z cesarzem. Mało tego. Jak się okazało, istnieje inny talizman zdolny przekazać czarodziejowi obcą studnię. Artefakt o tym samym działaniu przyniósł cesarzowi moc i wpływy.

Nagle Caldan klęknął na jedno kolano.

Prawda, pomyślał. Ani słowa kłamstwa.

– Ślubuję pokonać Kelhaka. Nie wiem, dlaczego otrzymałem te studnie, ale wykorzystam je, jak będę umiał najlepiej, żeby pokonać Indryallan i ich przywódcę.

Zaczerpnął tchu, czekając na reakcję.

Cesarz milczał przez kilka chwil, nim powiedział:

– Zabiłeś i zraniłeś wielu arcymagów i Protektorów.

Caldana zabolowały wszystkie rany, które zostawiła na jego ciele Thenna. Choć goiły się szybko, wciąż spowiadał je cień cierpienia.

– Tak. Ale nie zrobiłem im więcej, niż oni zrobili mnie. Torturowali mnie – wycedził. – Thenna szczególnie ochoczo. Sprawiało jej to radość. Opętała ją żądza zemsty, bo zabiłem Devenisha, którego kochała. W dodatku chciała zagarnąć dla siebie dodatkowe studnie. Tylko po to, żeby zwiększyć swoją moc.

– A ty nie chcesz?

Caldan spojrzał cesarzowi w oczy.

– Nie chcę.

Władca odczekał dwa uderzenia serca, a potem na jego oblicze wypłynął uśmiech.

– Świetnie. Trzeba nam magów takich jak ty, Caldanie. – Zwrócił się do Felice: – Lady Felicienne, musisz wziąć tego młodzieńca pod swoje skrzydła. Należy udostępnić mu całą wiedzę arcymagów i umożliwić szkolenie w dowolnej wybranej przez niego dziedzinie. A talizman, który znajduje się w posiadaniu mości Quissa, musi trafić do mnie. Dziś. Ja mam największą szansę na rozwikłanie jego zagadki.

– Nie – powiedział Quiss. Wyprostował się i podniósł podbródek.

Po jego odmowie zapadła cisza. Cesarz skrzywił usta w pogardliwym uśmieszku, a Caldanie poczuł, że otwiera tuzin swoich studni. Surowa moc wypełniła ciało Zerach-Sangura. Popłynęło jej tyle, że Caldanie musiał wycofać swój zmysł, bojąc się, że sam zostanie pochłonięty.

– Powtórz to – rzekł cesarz głosem ociekającym groźbą.

Choć to nie on rozsierdził władcę, Caldanie nagle poczuł się zupełnie nieistotny w obliczu takiej potęgi.

Quiss znieruchomiał. Jedną ręką gładził podbródek. Wtedy naprzód wystąpił Bernhard, ale cesarz osadził go w miejscu jednym ostrym gestem.

– Jak sobie życzysz – ustąpił Quiss.

Cesarz wrócił spojrzeniem do Caldanie, jednak studni nie zamykał.

– Muszę wiedzieć, że będziesz mi posłuszny jako swojemu cesarzowi. W końcu okłamałeś mnie w sprawie kościanego talizmanu... Nie możemy pozostać letni, gdy pali się nam pod nogami.

– Tak, panie – odpowiedział Caldanie. – Możesz na mnie polegać.

– To się okaże. A więc powiedz mi: gdzie jest teraz twój kościany pierścień? I ten, który należał do Devenisha?

Caldanie stężał. Powstrzymał odruch, by spojrzeć na Felice.

– Thenna odebrała mi oba.

Irytacja przemknęła przez twarz cesarza i zaraz znikła.

– Nie znaleziono ich przy niej.

– Może więc ma je inny arcymag? – wymówił Caldanie.

– Może. Zresztą nieważne.

Caldan wiedział, że to kłamstwo.

Władca przywołał na twarz maskę cesarskiego dostojęstwa i oznajmił donośnym głosem:

– Słuchajcie wszyscy. Nadszedł czas, abym wyjawiał wam wszystko, co wiem o zamiarach Kelhaka.

Felice zmarszczyła brwi, a Caldan poznał, że usłyszy o tym po raz pierwszy.

– Zbyt długo – podjął cesarz – pozwalaliśmy sobie na rozproszenie i frywolność. Indryallanie, jukarowie, magiczne ataki, które odpędziłem... – Caldan spuścił wzrok. – Wszystko to kupiło Kelhakowi dość czasu, żeby sięgnął po to, czego szczerze pożąda. Tego, co leży pod Anasomą. Wieki temu słyszało się plotki, pogłoski, ale... nie traktowałem ich poważnie. Lecz teraz moi szpiedzy potwierdzili to, czego nie śmiałem uważać za prawdę. Wciąż istnieją na świecie pradawne miasta, teraz już zwykle ruiny kruszejące z upływem czasu. Ale nie wszystkie. Niektóre oparły się zgubnemu wpływowi żywiołów. Są ukryte. Zapieczone. A Kelhak jedno znalazł. Najwyraźniej o to chodziło mu od samego początku. Sądziłem, że takie miejsca przepadły na zawsze, lecz teraz wiem na pewno, że pod Anasomą znajduje się laboratorium. Swoisty warsztat. Gdzie powoływało się do życia przepełnione złem kreatury.

Jukarów i vormagów, uprzytomnił sobie Caldan. On mówi o tym, jak powstają.

– Kelhak wcale nie chce nas zniszczyć – mówił dalej władca. – On chce nas zniewolić. Gdy zdobędzie wiedzę o magicznych procesach, będzie mógł stworzyć nie tylko więcej jukarów i vormagów, ale i innych bestii. Okropnych i zwyrodniałych. Trzeba go powstrzymać. I obawiam się, że jeśli dalej będziemy czekać, aż staniemy się gotowi do konfrontacji, będzie już za późno. Ważą się nasze losy.

Głos cesarza wprowadzał słuchaczy w swoisty trans. Caldan i wszyscy wkoło spijali z jego ust każde słowo.

– Jeśli nie uderzymy od razu, wszystko stracone.

Caldan ważył w głowie słowa władcy. Ale rozumiał też, że ten imponujący człowiek jest tylko zrozpaczonym czarodziejem, który

boi się o własne życie. Nie naraziłby siebie i reszty na niebezpieczeństwo, jeśli nie miałby innego wyjścia.

Dlatego właśnie cały ten czas siedzimy w Starorzeczu. Cesarz jest mocny w gębie, ale już nie tak wprawny w przechodzeniu od słów do czynów.

Nikt nic nie mówił, jakby władca rzucił na nich urok.

– Wyruszamy jutro – ogłosił. – Okrętami najemników popłyniemy do Anasomy. Lady Felicienne zadba o to, byśmy przebili się przez mury... – Caldan mógłby przysiąc, że Felice zakłęła pod nosem. – A potem odbijemy miasto z rąk Indryallan, jednocześnie szukając Kelhaka. Nie możemy już pozwolić sobie na żadne opóźnienia. Trzeba go powstrzymać. Jest pewne... liczy coś tworzy. Już rozpoczął swoje dzieło. Musimy działać teraz, zanim będzie za późno.

Cesarz wrócił na swoje podobne do tronu krzesło, jakby wycieńczyła go ta przemowa.

Felice wystąpiła naprzód, skacząc wzrokiem od twarzy do twarzy, upewniając się, że zetknęła się z każdym spojrzeniem.

– Gdzie jest przywódca Dotkniętych? – spytał Caldan, nim się odezwała.

– Zrobią, co im rozkażę – powiedział cesarz, potwierdzając obawy Caldana.

Dotknięci rzeczywiście byli tylko narzędziami w jego rękach.

– Są teraz pod moją bezpośrednią kontrolą – mówił dalej władca. – Podobnie jak arcyomagowie. Wtajemniczono ich i są gotowi bronić cesarstwa, jak każdy dobry obywatel.

Caldan z niezadowoleniem mruknął pod nosem, nie przejmując się, czy ktoś zauważy. Cesarz nie zwrócił uwagi.

– Jesteście wszyscy tutaj, możemy więc wreszcie zacząć współpracować. Brakowało nam skupienia na celu, zatem niezwłocznie naprawię ten błąd. Nie mogę podkreślić tego dostatecznie mocno: nasze życie i życie wszystkich, których kochamy, jest zagrożone. Nie będę nic przed wami ukrywał. Lecz jednocześnie oświadczam, iż nie będę tolerował zaprzaństwa. Jeśli zamiast skupić się na czekającym nas zadaniu, będziecie trwonić siły na prywatę, ktoś was zastąpi. Choćby dlatego, że jeszcze mniej przydatny od głupca jest stracony skazaniec. Nie możemy pozwolić sobie na krztynę słabości. Musimy wszyscy pracować ręka w rękę

pod moim przywództwem, żeby pokonać licza. Czy to jasne? Muszę to usłyszeć od każdego z was. – Spojrzał na Vasila i gestem kazał mu się zbliżyć. – Sędzio Lauris, potwierdzisz mi, kto mówi prawdę, a kto kłamie.

Vasil zrobił krok naprzód, oblizwał usta i kiwnął głową.

– Wedle życzenia, Wasza Wysokość.

Cesarz utkwiał spojrzenie w starym żołnierzu.

– Marszałku Rakim?

Rakim stanął na baczność.

– Dość czasu zmarnowaliśmy – powiedział krótko i dobitnie. – Masz mój miecz.

Wszyscy podążyli spojrzeniem do Vasila, który potwierdził prawdziwość słów dowódcy Kołczanów. Caldan nie rozumiał, co się dzieje. Z jakiegoś powodu cesarz wierzył sędziemu na słowo.

W dalszej kolejności przemówiła Porhilda.

– Ja także się zgadzam – powiedziała z cieniem irytacji.

Następne skinienie Vasila.

– A ty, najemniku? – zwrócił się do niego cesarz.

– Selbourne. – Zwalisty wojownik pogładził zplecioną w warkocz brodę. – Nasz kontrakt nie zakłada użycia magii na taką skalę – powiedział. – Nie możemy walczyć z czarodziejami, nie mając wsparcia. Jukarowie i vormagowie wciąż stwarzają zagrożenie. Myślałem, że naszym zadaniem będzie pokonanie ich armii, a potem szukanie niedobitków.

– I tak będzie – odparł cesarz. – Ale potrzebny mi oddział zaprawionych wojaków. Około czterdziestu. Takich, którzy nie ugną się, gdy sytuacja stanie się ciężka.

– Grupa uderzeniowa? – upewnił się Selbourne, a cesarz potwierdził. – Chyba wiem, dokąd to zmierza. O jakiej zapłacie mówimy?

Pewnie o dukatach, odgadł Caldan. Selbourne był najemnikiem i negocjował cenę za swoje usługi.

– Rzemyślnicze zbroje i broń dla ciebie oraz twoich ludzi. Dodatkowo po talizmanie na głowę. Ci, co przeżyją, mogą je zatrzymać.

Selbourne parsknął śmiechem, ale wciąż gładził brodę.

– Zobaczę, kto jest zainteresowany – powiedział w końcu.



– A ty, czarodzieju? – Cesarz zwrócił się do Quissa.

Quiss podniósł na niego puste spojrzenie. Wydał się Caldanowi wycieńczony. Tak musiał wyglądać człowiek złamany. Czarodziej władający niewyobrażalną mocą, pierwszy po samym Gazii przywódca swego ludu, siedział nieruchomo ze splecionymi kurczowo na kolanach dłońmi.

Caldan milczał, wolno przesuwając wzrokiem po zebranych.

*Musisz coś powiedzieć, nim Quiss odpowie* – odezwał się nagle Gazija w jego głowie. *On musi połączyć siły z cesarzem. Powiedz mu, że chcesz czegoś więcej, niż tylko przeżyć. Że świat po pokonaniu Kelhaka też musi mieć coś do zaoferowania.*

Nie myśląc wiele, Caldan otworzył usta:

– Pewien mądry starzec powiedział mi kiedyś, że w obliczu śmierci człowiek nie może myśleć tylko o przetrwaniu. – Quiss poderwał głowę i wwiercił się spojrzeniem w Caldana. – Musi myśleć o czymś jeszcze.

Quiss ściągnął brwi i wystąpił naprzód, omal się nie potykając. Na powrót obrzucił Caldana pustym spojrzeniem.

– Jesteśmy z tobą. Ja też nie chcę tylko przeżyć.

*Wiedziałem, że stanie na wysokości zadania* – rzekł Gazija.

Ale Caldan nie bał się o Quissa ani o innych. Tylko o cesarza.



**F**elice stała na werandzie, na którą wychodziło się z komnaty na parterze przez zdobione drzwi. Jedyne cesarz i jego ściśle otoczenie wiedzieli, czym tak naprawdę zajmuje się Felice. Zadbali o to, by mieszkała w luksusie. Apartament uwierał ją jak źle dopasowana suknia, a nie nosiła takich od lat.

Oddziały Kołczanów regularnie patrolowały zadbane okolice posiadłości, należącej do jakiegoś bogatego szlachcica. Który

niewątpliwie myślał, że udostępniając swój dom, wyświadcza Felice przysługę, którą ona chętnie kiedyś odwzajemni. Poza granitowymi ścianami rozciągało się miasto, a poza jego murami wciąż roila się horda jukarów i vormagów.

Oraz Indryallanie. Felice złączyła ręce za plecami i podeszła do skraju wyłożonej mozaiką werandy.

Zerknęła w bok, gdzie stał na baczność Kołczan w pełnej zbroi. Byli tu też inni urzędnicy, którzy bardzo cenili swoją skórę. Pewnie nawet bardziej, niż cenili cesarstwo. Ale nie ona. Czowała się odległa i wyobcowana, a im dłużej tu przebywała, tym bardziej to uczucie się nasilało.

Przeciągnęła się i przeszła przez zasłonięte kotarą drzwi do swoich pokoi.

– Sprawiasz, że się denerwuję – powiedział siedzący w fotelu przy kominku Izak.

– Wszyscy się denerwują – odparła Felice. – Ten plan cesarza... sprawia wrażenie skleconego w pośpiechu. Zupełnie nie tak to sobie wyobrażałam.

– Brzmisz, jakbyś w niego powątpiewała. Ja tam cieszę się, że nie jestem jego częścią. Nie żebym nie umiał zadbać o siebie.

Felice puściła mu złośliwy uśmiezek.

– Ależ jesteś. Będę potrzebować ochroniarza.

– Że co proszę? – wykrzyknął szlachcic. – O czym ty... No nie. Boki zrywać. – Klapnął na fotel, z którego prawie się zerwał.

– Zrobiłeś dość, Izaku. Ale ta misja jest... znacznie bardziej niebezpieczna...

– Mogę pojechać. – Wpatrywał się w nią intensywnie. – Będę cię chronił... jeśli tylko chcesz.

Felice ścisnęło w sercu. Pokręciła głową i westchnęła.

– Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy. Jesteś teraz wolny. Może gdy to wszystko się skończy... Jeśli cesarz uważa, że to nasza najlepsza szansa, to ja mu wierzę.

Ale pozostały pytania, które domagały się odpowiedzi. Felice nie przestała myśleć o szponie od chwili, gdy zniknął. Na stoliku stała misa z owocami i małym nożykiem. Wsunęła go do rękawa – ostrożność nie zawadzi – i postanowiła znaleźć jakiś inny, który łatwiej ukryć.

Przez otwarte okno wpłynęła do pomieszczenia delikatna bryza, a z nią zapach rosnących w ogrodzie kwiatów oraz... stęchlizny.

Niemożliwe. Felice obróciła się błyskawicznie w stronę werandy.

W przejściu stał szpon. Żaden ze strażników nie podniósł alarmu.

– Najwyższy czas, byś w końcu się pojawił – powiedział Izak. Wstał i nalał do szklanki żółtego płynu. Upił łyk i otaksował szpona wzrokiem. – Co ty pijasz?

Postać poruszyła się i stanęła przy ścianie w najbardziej zacienionym miejscu. Czarny owal kaptura poruszał się, jakby szpon oglądał pomieszczenie.

– Heriotza-derrota – odpowiedział. – Jeśli jest.

– Niestety... nie ma. Wybacz.

Izak wzruszył ramionami i opróżnił szklankę, a potem wrócił na wygrzany fotel.

Serce Felice zabiło szybciej i musiała wziąć głęboki oddech, żeby się uspokoić.

– Nie pytam, gdzie byłeś i co knułeś...

– Szukałaś mnie. Nie było to zbyt mądre. Zakładam, że chcesz mi zapłacić za kolejną próbę zabicia Kelhaka?

– Nie – odparła Felice. – No cóż, może tak. Ale chcę też, żebyś powiedział mi o starych tunelach pod Anasomą.

Znacząca cisza długo wisiała w powietrzu.

– Tego się obawiałem.

Izak zerwał się na nogi.

– A więc wiesz! I nie powiedziałaś nam.

Felice chciała uciszyć Izaka, ale właściwie miał rację.

– To może powiesz nam teraz? – powiedziała zamiast tego do szpona.

– Strzegłem pradawnych ruin od wieków. Zawiodłem.

Myśli zawirowały w głowie Felice.

– Możesz nas tam zaprowadzić? Możesz znaleźć Kelhaka?

Kaptur szpona pochylił się i uniósł.

– Jeśli chce sięgnąć po to, czego pragnie, to może udać się tylko do jednego miejsca.



Caldan czekał już jakiś czas. W warsztacie narastał półmrok. Światło dnia mętniało, w coraz większym stopniu zastępowane przez pomarańczowy blask paleniska. Przy drzwiach stało dwóch Protektorów. Wyglądali, jakby tylko czekali, aż coś ukradnie i da im pretekst do zakucia go w kajdany. Wiedzieli, że zabił kilku ich towarzyszy, i nienawidzili go za to, ale słowo cesarza było prawem, a oni byli mu posłuszni. Mold niemal zamordował Caldana spojrzeniem, gdy pojawił się w ich siedzibie. Nie powiedział do niego ani słowa i nie chciał słyszeć choćby jednego, które padło z jego ust. Ale również wykonał polecenie władcy.

Nie mógł sprzeciwić się bezpośredniemu rozkazowi.

Skobel uniósł się, a drzwi otworzyły i do środka weszła mistrzyni. Była niska i przysadzista, a na dłoniach miała blizny świadczące o wieloletniej pracy w kuźni. Caldán widział ją po raz pierwszy.

– Mistrz Mold poprosił mnie, bym się tobą zajęła – powiedziała wypranym z emocji tonem.

Caldan przestąpił z nogi na nogę.

– Dobrze – powiedział, ignorując jej dobór słów: nie „pomóc”, tylko „zająć się”. – Potrzebny mi element pancerza lub broń.

Kobieta uniosła brwi.

– Nie mogę wydać ci żadnego naszego rzemysliwa. Należą do Protektorów i stanowią własność tego, kto je wykonał lub za nie zapłacił. Nawet gdybyś chciał je kupić, cena prawdopodobnie przekroczyłaby twoje możliwości.

Caldan domyślał się, że będą jakoś próbowali obejść rozkaz cesarza. Ale nie przeszkadzało mu to, bo tak naprawdę nie potrzebował żadnego z ich rzemysliw.

– Może bym cię zaskoczył, ale na szczęście nie będzie takiej potrzeby. Potrzebna mi tylko zwykła, najzwyklejsza rękawica. Nie rzemysliwo, zwykły kawałek metalu bez run ani wzorów. Czysty. Na pewno macie coś takiego na stanie.

Mistrzyni pociągnęła nosem.

- Może i tak. Pójdę sprawdzić.
- Pójdę z tobą. Szukam czegoś konkretnego.

Nie chciał, by odsiała co lepsze fragmenty pancerzy i przyniosła mu jakiś rupieć.

Caldan poszedł za mistrzynią do magazynu, a za nim dwaj Protektorzy. Pomieszczenie było małe, strażnicy zaczęli więc przed drzwiami.

Mistrzyni kręciła nosem, ale posłusznie przestawiła kilka skrzyń i zaczęła szperać w leżących na podłodze worach. Wyjęła kilka przedmiotów – pordzewiałych i siermiężnie wykonanych.

– Mamy tylko to. Mogę...

– Zajrzę do tych pudeł – przerwał jej Caldan, ignorując spojrzenie, od którego musiało kwaśnieć mleko w protektorskiej stołówce. Caldan wiedział, że dobry sprzęt nie walałby się w workach na podłodze.

Wkrótce znalazł dokładnie to, czego szukał. Na dnie drewnianej skrzyni leżała rękawica na lewą rękę. Podniósł ją do światła, żeby się dobrze przyjrzeć. Oceniał jakość tworzywa i wykonanie. Będzie musiał uważać, wsuwając do niej swoją zeszywniałą dłoń, ale się nada.

– Tego nie możesz zabrać – sprzeciwiła się mistrzyni. – To przedmiot wykonany na zlecenie bogatego szlachcica.

– Pewien wyżej postawiony szlachcic, a mianowicie cesarz, powiedział, że mogę go zabrać. Powiedz Moldowi... powiedz mu, że mi przykro. Choć wątpię, że go obejdą moje przeprosiny.

Caldan wyszedł z pomieszczenia i żwawym krokiem wrócił do kuźni. Dwaj strażnicy natychmiast popędzili za nim. Nie lubił, kiedy ktoś za nim chodzi, ale i nie przejmował się tym specjalnie. Po prostu skupił się na rzemysłliwie, które miał do wykonania. Nie miał czasu zastanawiać się nad niczym innym. I choć wołałby pracować w samotności, Protektorzy i tak nie byli dość zaawansowani, aby pojąć, co właściwie robi, mógł więc swobodnie przetworzyć rękawicę na ich oczach.

Caldan musiał przyznać, że trafił mu się zacy kawał pancerza. Połączone płyty i porządnie wykonana kolczuga pokrywały całą dłoń i sięgały do połowy przedramienia. Protektorzy rzadko używali ciemnego stopu, bo choć skutecznie opierał się korozji, sprawiał

pewne trudności w rzemyśleniu. Był jednak lekki i elastyczny, co czyniło go idealnym na potrzeby Caldana.

Położył rękawicę na stole. Wyjął mosiężne rzemyśliwo, które stworzył, by nałożyć inskrypcje na swój wilczy konstrukt, który został w kabinie z Mirandą. Za jego pomocą wyrysuje runy w okamgnieniu. Kłopotów mógł nastreczyć proces wpinania kamieni szlachetnych w metalowe gniazda, ale na to też miał już pomysł.

Myśli o talizmanie Amerdana i o zasadzie jego działania wirowały mu w głowie, a wraz z nimi rodziły się pytania o miecz-talizman Molda. Quiss i jego czarodzieje, a także arcymagowie taśmowo produkowali kolejne wariacje tych talizmanów – rzemyśliwa mogące wydierać magom studnie, przechowywać je i blokować. Ale zdrapywanie wszystkich warstw z Kelhaka to będzie długi, czasochłonny proces, a licząc z pewnością zorientuje się, co się święci. Jeśli zdecyduje się porzucić ciało Kelhaka i przywdziać inne, przeżyje. Quiss był pewien, że w razie ucieczki zdołają za nim podążyć, ale Caldan w to wątpił.

Gazija także.

Caldan wyjął kilka zapisanych wzorami i runami stron, schematy opracowane specjalnie na potrzeby rękawicy. Najlepiej by było, gdyby kowalostworzył metal własnoręcznie, lecz do wyruszenia do Starorzecza miał tylko kilka godzin. Cesarz ponaglał ich wszystkich, co oznaczało, że Caldan musiał w miarę możliwości posiłkować się pracą innych.

Nie oznaczało to jednak, że miał za mało czasu, by przetestować nową teorię... związaną z buforami i tarczami. Jeśli ktoś kiedyś całkowicie zablokuje mu studnie, to alternatywne źródło energii może uratować mu życie.

Wyglądził arkusze papieru na blacie, wziął głęboki wdech i zebrał się w sobie. Raz jeszcze otworzył studnię i podłączył się do mosiężnej płytki. Wprowadził do niej moc przez ścieżki i wzory. Metal skwierczał, gdy iskry sypały się na drewno. W nozdrzach Caldana zawiercił gorzki swąd cytryny. Tym razem pracował z większą pewnością siebie i szło mu sprawniej. Nie zatrzymywał się już, by co chwila sprawdzać rezultaty magicznym zmysłem.

Skończył ani się obejrzał. Tak jak w przypadku swojego konstruktu, nałożył na przedmiot grawerunek sięgający w głąb

metal na grubość paznokcia. Każdy palec, każda metalowa płytką pokryta została rzemysłniczymi runami oraz zawiłymi wzorami, które oplatały ją jak bluszcz. Z satysfakcją kiwnął głową i wyjął sakwę, a z niej wysypał na jeden z arkuszy papieru drogie kamienie wielkości ziarenek grochu – „podarunek” od cesarza. Jego mosiężne rzemysłstwo potrafiło wycinać napisy w metalu, ale jeśli nie był dostatecznie ostrożny, potrafiło także łączyć. Tak jak w przypadku sztyletów Felice i Izaka, potrzeba było czegoś, co posłuży jako przechowalnik dla studni. Caldan nie wiedział jeszcze, jak działały te dwa talizmany, ale na tę chwilę będzie musiał polegać na kamieniach.

Ostrożnie przyłożył szafir do tylnej ścianki rękawicy, w samym środku okrągłej runy. Błysk magicznej energii – i gotowe. Przyłączył sześć kolejnych kamieni, aż rękawica wzbudziła skojarzenie z częścią jakiegoś teatralnego kostiumu lub ceremonialnej zbroi, którą jakiś nazbyt bogaty szlachcic mógłby włożyć na paradę.

Różnica polegała na tym, że to rzemysłstwo bynajmniej nie było beзуzyteczną fidrygalką.

Caldan podłączył się do rękawicy i przepuścił moc po runach i wzorach, docierając rzemysłstwo, badając wszystkie jego zakątki i sprawdzając rezultat. Przetestował właściwości ograniczające, przechwytyjące i przetrzymujące – wszystkie funkcje, które nadał metalowi za pośrednictwem kamieni. A na końcu sprawdził magiczny mechanizm przechowywania mocy przez krótki czas, bazujący na buforach i czarodziejskich tarczach, które przestroił do nowej funkcji. Jeśli ktoś znowu ośmieli się przytknąć mu studnie, będzie miał na to sposób. Jeden dodatkowy ruch, ostatni as w rękawie.

Działało.

Wydał polecenie rękawicy i palce drgnęły. Krzywiąc się z wysiłku, wyregulował natężenie mocy oraz odpowiedź artefaktu, aż jeden z palców zgiął się i wyprostował. A potem kazał jej pobiec po blacie jak pająk.

Czując na sobie spojrzenie Protektorów, Caldan włożył rękawicę. Biedził się ze swoimi sztywnymi palcami, ale w końcu trafiły, gdzie trzeba. Metalowe płytki i srebrzysta kolczuga okryły jego zrujnowaną rękę.



Caldan podniósł dłoń i przyjrzał swojemu najnowszemu, stworzonemu w pośpiechu dziełu.

A potem zacisnął pięść.

Uśmiechnął się, szczerze uradowany po raz pierwszy od wielu dni. Jeśli uda mu się zawładnąć rękawicą, tak jak władał konstrukcjami, to może się okazać, że jego lewa ręka wcale nie jest taka bezużyteczna. Będzie potrzebował czasu, żeby roztoczyć nad nią pełną kontrolę, co oznaczało, że zawsze będzie musiał panować nad dwoma strumieniami, ale miał pewność, że trud się opłaci.

Znów był niemal cały. Niemal.



**C**hmury przysłoniły księżyc, ale ogniska i latarnie ułatwiały nawigację przez obozowisko. W wielu jego zakątkach huczało jak w ulu, choć godzina była już późna. Niegdyś Caldan czułby się niekomfortowo, wędrując pośród tak licznej armii. Zwłaszcza wiedząc, że nieopodal rozbili się arcymagowie ze wszystkimi swoimi sekretami i machinacjami, których on nigdy nie zgłębi. Ale to było kiedyś.

Na południe od Caldana i Mirandy wznosiły się mury Starorzecza. Przed nimi znajdował się główny obóz cesarskich żołnierzy, ale wiele namiotów stało pustych, gdyż ich mieszkańcy zginęli w poprzednich potyczkach.

Miranda potknęła się o linę, a Caldan złapał ją za łokieć i pomógł odzyskać równowagę. Obok człapał rzemyślniczy wilk. Caldan popukał w płytę na jego grzbiecie.

– Wszystko w porządku? – szepnął do Gazii, który krył się w konstrukcie.

*Obijam się jak kostka w blaszanym kubku – odwarknęła czarodziej. Im szybciej stąd wyjdę, tym lepiej. Mam nadzieję, że Felice ściągnęła tu Aidana i Vasila. Jeśli mamy stąd uciec, kiedy już będzie po wszystkim, będziemy potrzebować ich pomocy.*

– Kazałem jej ich przyprowadzić, zgodnie z twoim życzeniem – uspokoił go Caldan.

*Miejmy nadzieję, że posłuchała – prychnął Gazija i zamilkł.*

– Na pewno będziemy bezpieczni tam z nimi? – zaniepokoiła się Miranda.

Caldan wzruszył ramionami, ale mogła tego nie zauważyć w półmroku.

– Felice robi, co uważa za słuszne. A prawda jest taka, że chcą mnie wykorzystać. Gdyby cesarz lub arcymagowie chcieli mnie zabić, toby mnie zabili. Thenna mnie nie doceniła. Nie miała pojęcia, jaki potencjał we mnie drzemie... Choć, po prawdzie, ja sam nie zdawałem sobie z tego sprawy.

– Felice musi mieć jakiś plan – powiedziała Miranda, gdy trawersowali między namiotami. – Albo chociaż jakiś załączek planu. Ale to jasne, że trzeba jej informacji. Chyba że ma jakąś sztuczkę w zanadrzu.

– Dodatkowy ruch... jak każdy dobry dominionista. Robi co może, i słusznie. Może i my na tym skorzystamy. Mam kilka pomysłów.

– Więc może zrobimy burzę mózgów i coś wymyślimy. Niezbyt podoba mi się ten plan cesarza. Ten cały frontalny atak.

Caldan ledwie zdusił parsknięcie.

– Mnie też nie. Ale cesarz jest przyzwyczajony do pokazu siły. Właśnie to umożliwiło mu utrzymanie się przy władzy przez tyle lat. To chyba tutaj.

Nieopodal obozu arcymagów wzniesiono otwarty namiot. Caldan już się domyślał, dlaczego Felice wybrała to właśnie miejsce. Była chytrą kobietą – i ostrożną. Chciała zmiękczyć swoją widownię odrobiną obawy. Chciała przypomnieć jej, jak wiele leży na szali i z jak potężnym wrogiem przyjdzie im się zmierzyć. A jakie inne miejsce zademonstruje to lepiej niż świeżo oczyszczona ziemia.

Felice zorganizowała spotkanie tam, gdzie Devenish mierzył się z Kelhakiem. Gdzie przywódca arcymagów przecenił swoją moc, bo wytrzymał dwa uderzenia licza – dwa uderzenia, którymi licza sięgnął tu aż z Anasomy.

Miejsce, gdzie Caldan zabił Devenisha i odebrał mu kościany talizman.

Skąd uciekli przerażeni arcymagowie.

I gdzie zginęło tylu Kołczanów.

W środku ustawiono w kręgu obozowe stołki. Wewnątrz niego płonęło ognisko, tylko kilka trzaskających wesoło polan.

Wokół namiotu nie było strażników. Właściwie to – Caldan rozejrzał się dookoła – najbliższy Kołczan stał kilkadziesiąt kroków dalej. Felice zadbała o to, by nikt ich nie podsłuchał.

Dwa stołki były już zajęte. Siedzieli na nich Vasil i Aidan, którego Caldan dopiero co poznał. Obaj byli wychudzeni i mieli zapadnięte twarze, jakby dawno nie spali. Po drugiej stronie namiotu dostrzegł stojącą w ciszy Felice.

*Ciekawe, czy będzie zaskoczona* – powiedział Gazija.

Caldan zignorował starca. Nie chciał się rozpraszać. Będzie musiał być w pełni sił umysłowych, by wyjść z tego spotkania z tarczą, gdyż prawda była taka, że Felice rzuci go hienom na pożarcie, jeśli tylko stwierdzi, że ocali w ten sposób cesarstwo i resztę świata.

I ja zrobiłbym z nią to samo, pomyślał, wstydząc się, że w ogóle rozważa coś takiego. Coraz mniej lubił człowieka, w którego się zmieniał... lecz niestety, nie miał wyboru. Na kowadle trudnych czasów wykuwają się silni ludzie. Od tego momentu żadna decyzja nie będzie należeć do łatwych.

Caldan ujął dłoń Mirandy. Dał Felice znak, nim wszedł w ciepły krąg światła.

– Spóźniłeś się – zauważyła kobieta.

Aidan i Vasil mruknęli na powitanie.

– Musieliśmy najpierw przedyskutować coś z... przyjacielem – odparła Miranda.

Felice uniosła brwi.

– Przecież powiedziałam wam, żebyście nikomu nie mówili o tej naradzie. Jeśli nie umiecie...

Miranda powstrzymała potok słów machnięciem ręki.

– Wszyscy mamy coś wspólnego. Tak mi przynajmniej mówiono. Chcemy wyjść z tego cało i uciec od tych, którzy mają nad nami władzę. Dla Caldana i mnie tym człowiekiem jest cesarz.

Uśmiechnęła się gorzko do Felice.

– Bez urazy.

– W porządku.

Aidan wstał, masując podbródek.

– Ja i Vasil tkwimy w jednym potrzasku. Jesteśmy owinięci łańcuchami, które niełatwo będzie zerwać. Teraz jesteśmy tu, ale nie możemy zniknąć na godzinę lub dwie, bo... sprawy staną się dla nas bardzo trudne.

– Wysłuchamy was – powiedział Vasil. – Tylko streszczajcie się.

Felice bawiła się kolczykiem. Milczała przez chwilę, jakby uważnie dobierała słowa.

– Znacie zagrożenie, przeciwko któremu stajemy. Brutalna siła może nie wystarczyć, żeby temu zaradzić. Potrzebny nam plan awaryjny... ułożony z pewną subtelnością.

*Tak jak myślałem* – ucieszył się Gazija. *Będzie słuchać.*

– Zgadzam się – powiedział Caldan. – Ale, Felice, jest coś, co musimy ci najpierw pokazać. A raczej kazano nam ci pokazać. Musimy zawalczyć o kilka dodatkowych ruchów, że tak powiem. Mamy kilka pomysłów. I znamy kogoś, kto może nam pomóc. Ale musicie nam wszyscy przyrzec, że nie zdradzicie nikomu, kto to jest. Umowa?

Vasil przytaknął, Aidan potwierdził warknięciem. Felice zmrużyła oczy, po czym także kiwnęła głową.

Zrobi, co będzie chciała, pomyślał natychmiast Caldan.

Wymienił spojrzenia z Mirandą. Dziewczyna wzruszyła ramionami. Nie było już o czym mówić. Droga wybrukowała się przed nimi w momencie, gdy zaakceptowali zaproszenie Felice.

Przywołał swojego wilka i kazał mu usiąść. Na jego polecenie uniosła się boczna płyta i jego humanoidalny konstrukt wytoczył się na ziemię. A właściwie konstrukt Gazii.

Zmieszane spojrzenia zmieniły się w nie mniej zmieszane zdziwienie, gdy symulakrum wstało i podeszło do Felice. W pomarańczowym świetle jego pokryte runami ciało wydawało się nie z tego świata.

Konstrukt zatrzymał się dwa kroki przed Felice.

– To – powiedziała Miranda – jest Gazija, przywódca Quissa. On żyje.

Felice, Vasil i Aidan zachłysnęli się powietrzem. Vasil pochylił się na stołku tak daleko, że prawie się przewrócił.

Wyraz twarzy Felice świadczył o głębokim namyśle, a Caldan wiedział, że zastanawia się, jakie drgania wywoła to w zaplątanej sieci zależności i interesów.

– Z łatwością udowodnisz, że to naprawdę on – mówiła dalej Miranda. – A przynajmniej on tak twierdzi.

Czołem – przywitał się Gazija.

Caldan poznał po minach zebranych, że także usłyszeli w głowie głos starego maga.

*Jak widzicie, wyszedłem cało ze swojej próby. Mało tego, czuję się o wiele lepiej. Już nie potrzebuję lasek do chodzenia. Mogę się bardzo przydać w walce z Kelhakiem. A wy możecie bardzo się przydać mnie. Kelhak otoczy się potężną tarczą, prawie niemożliwą do przełamania. Chroni ona nie tylko przed magią, ale też atakami fizycznymi. Może istnieje sposób, by się przez nią przebić... jeśli wszystko inne zawiedzie. Mam plan, jednak nie jest on zbyt mądry. Możliwe, że przez niego zginę. Ale skoro jesteście przyparci do muru...*

Felice wydeła wargi, a potem wolno powiedziała:

– Zamieniamy się w słuch.



**P**ierwsze promienie słońca nie mogły przebić się przez ponurą aurę poranka, a gdyby zrywający się czasem wiatr nie mącił duszącego rzekę gęstego całunu mgły, kadłuby okrętów niechybnie zaszurałyby o czające się pod niewidoczną taflą mielizny.

Caldan stał na dziobie „Loretty”. Całą noc nie zmrużył oka. Wymknął się z kajuty kilka godzin wcześniej i włączył po pokładzie, owinąwszy się ciasno kocem.

Widział przed sobą pierwszy okręt ich małej floty, który zwolnił tempo, by schować wiosła. Jako jedna z niewielu jednostek został w nie wyposażony, dzięki czemu nie był całkowicie bezużyteczny na rzece. Caldan dowiedział się, że Gazija i jego ludzie korzystali z magii, żeby szybciej popłynąć swoimi okrętami w górę rzeki, ale teraz, gdy poruszali się z nurtem, wspomaganie nie było konieczne. Caldana ciekawiło jednak, jak dokładnie to robią, i stwierdził, że chętnie by się tej sztuczki nauczył.

Za „Loretta” ciągnęły kolejne jednostki, które niemal przemocą wydarli z doków Starorzecza.

Wszystkie wypełniały po burty cesarskie Kołczany i arcymagowie. Górne pokłady jeżyły się postawionymi na sztorc włóczyniami. Niektóre okręty niosły nawet oddziały lekkiej kawalerii, których zadaniem będzie szybko opanować kluczowe obszary miasta i przygotować grunt pod natarcie grup uderzeniowych. Cesarz płynął na okręcie za „Loretta”, gdzie również roiło się od arcymagów. Władca miał nawet przy sobie kilku Dotkniętych.

W dali przed Caldanem kłębiła się mgła, ale złapał wzrokiem mgnienie niebieskiego płomienia, nim na powrót przysłoniła go biel.

Anasoma.

To dlatego okręt na czele zwolnił. Caldan potoczył wzrokiem po jego pokładzie, gdzie przemykały szare duchy. Słyszał trzeszczenie lin i bloczków. Zorientował się, że marynarze spuszczają łodzie na wodę. Kobieta kierująca okrętem zablokowała ster, a potem przelazła przez burtę i zeszła po linowej drabince. Wskoczyła do szalupy i zaczęła wiosłować w kierunku „Loretty”.

Ponieważ okręt na czele miał tylko szkieletową załogę, opustoszał w kilka kolejek przy szalupach. Na rufie widniało imię okrętu: „Mała Pięść”. To będzie jego ostatni rejs.

– Gotowy, Caldanie? – odezwał się Quiss zza jego pleców.

Caldan stężał, ale zaraz rozluźnił ramiona, udając, że się przeciąga.

– Nie. Ale chyba nikt nie jest gotowy. Zrobimy, co w naszej mocy. Miejmy nadzieję, że to wystarczy.

– Myśl o celu naszej misji. Kelhaka trzeba powstrzymać. Wszystko inne schodzi na dalszy plan.



– Na przykład co? Quiss, jeśli coś się stanie... zaopiekuj się dla mnie Mirandą, proszę. – Caldan szykował grunt pod swój plan. Miał nadzieję, że przygotowywana przez niego mistyfikacja będzie dzięki temu bardziej wiarygodna.

– Ona umie o siebie zadbać – odparł czarodziej. – Więc na twoim miejscu nie martwiłbym się o nią. Ale obiecuję ci, że zrobię, co w mojej mocy.

Caldan obrócił się, by spojrzeć Quissowi w oczy.

– Dziękuję.

– Muszę zebrać ludzi. Dołącz do swojej grupy i trzymaj się jej. – Czarodziej zostawił go samego.

Caldan rozluźnił zaciśniętą pod płaszczem dłoń i rozprostował obolałe palce. Selbourne dał mu miecz, który mocno obciążał biodro.

Rzemyślniczą rękawicę miał założoną na swoją zmiażdżoną dłoń. Wciąż czuł dochodzący z jej wnętrza przytłumiony ból, z kolei skóra była w znacznie mniejszym stopniu wrażliwa na dotyk. Przy jego boku stał automatyczny wilk. Caldan wyklepał wgniecenia i poprawił zatarte wzory i runy, ale konstruktor wciąż był mocno poobijany. Wcześniej, pod pokładem, Caldan otworzył kadłub i Gazija raz jeszcze schował się w środku. Wilk znacznie zwiększał jego mobilność, dzięki czemu Caldan nie musiał nosić humanoida przy sobie, jak Amerdan swoją lalkę. A w razie potrzeby Gazija sam mógł sterować wilkiem.

Kobieta podeszła do Caldana z miską wody. Postawiła ją przed wilkiem.

– Masz – powiedziała. – Dobry pies.

– On nie pije wody – poinformował ją Caldan.

– Przecież żyje, nie?

– Nie, niezupełnie.

Podniosła miskę i skrzywiła się.

– To po co on jest?

Caldan wzruszył ramionami, a kobieta obróciła się i odeszła, kręcąc głową.

Podniósł wzrok i zobaczył Mirandę pracującą przy linach. Wraz z trzema innymi marynarzami zwijała żagle. Gdy już wciągnęli je na górę, przytroczyli do poziomych belek masztu. Najwyraźniej nie

zapomniała marynarskiego fachu i została przyjęta z powrotem przez resztę załogi.

Najemnicy zaczęli tłoczyć się na pokładzie, tupiąc buciorami w wąskich korytarzach i po schodach. Zbierali się w małe grupy, sprawdzali broje, tarcze i broń, a po chwili powtarzali oględziny, nie chcąc chyba myśleć o tym, co czeka ich na lądzie.

Caldan wypatrzył Selbourne'a wśród jego ludzi. Wspierał na ramieniu swój wielki miecz, chodząc od grupki do grupki, klepiąc wojaków po plecach i zagrzewając ich do walki dobrym słowem. Dowódca pochwycił spojrzenie Caldana i skinął mu głową.

Kawałek z boku stała jak zwykle bacznie rozglądająca się Felice. Quiss z kilkoma magami koncentrowali się na swoich czarach. Czarodziej porzucił własną jednostkę, by znaleźć się z nimi z przodu konwoju okrętów. Przy sterze stała kapitan Charlotte. Caldan co jakiś czas zerkał na nią i raz nawet pomachał, ale albo była zbyt zajęta, albo unikała kontaktu wzrokowego, bo znajdowała mnóstwo czasu na szeptane pogaduszki z Selbourne'em.

Czyżby nie pochwałała jego związku z Mirandą?

Z przodu, gdzie płynął pierwszy okręt, poniósł się udreńczony jęk. Jednostka przeszła na napęd magiczny. Quiss i jego ludzie pomogli jej rozwinąć imponującą prędkość. „Mała Pięść” sunęła w kierunku żelaznej brony, która przecinała rzekę. Za okrętem pienił się kilwater, a jego burty omywały wielkie fale.

Mgła w końcu zrzedała i Caldan niemal już widział mury Anasomy. W dali przed nim migotało niebieskie światło, malując rozwiewające się kłęby jaskrawym kolorem nieba – indryallańska magia, która uniemożliwiała przebycie murów, choć to właśnie fortyfikacje stanowiły główną obronę.

Caldan podszedł do Selbourne'a, który akurat rozmawiał z przysadzistą, czarnowłosą kobietą z dwoma toporami przy pasie. Miała na sobie skórznę wzmocnioną rzemyślniczymi pierścieniami, na jej plecach wisiała kusza. Dalej przy pasie miała też dwa kołczany z bełtami.

– ...żeby inni skupili się na robocie – skończył zdanie Selbourne. – Nie wolno im zboczyć z wytyczonej drogi.

– Nie lubię tak dzielić oddziałów...

– Wiem. Uderzcie mocno, a potem uciekajcie. Macie wetknąć kij w mrowisko, a potem spadać, zanim się zaroi. Spotkamy się wszyscy w umówionych miejscach i zrobimy przegrupowanie. Będziemy w ciągłym ruchu, więc Indryallanie nie będą mieli czasu nas łapać.

Kobieta skinęła mu nerwowo, a potem wskazała podbródkiem nadchodzącego Caldana.

– On chyba do ciebie.

Selbourne i kobieta uściśniły sobie nadgarstki, a potem ona odeszła, zerkając jeszcze przez ramię na Caldana.

Najemnik pogładził brodę i otaksował Caldana.

– Pozbądź się tego płaszczu. W najlepszym wypadku spowolni cię, w najgorszym zaplącze się w nogi. Tylko głupiec walczy w płaszczu.

Caldan odpiął spinkę i zrzucił odzienie.

– Selbourne – rzekł, podchodząc bliżej – wiem, że masz przygotowane grupy uderzeniowe, które na sygnał skierują się ku różnym dzielnicom Anasomy. Do której ty dołączysz?

– Jak to do której? Będę z tobą i Quissem. Nie da się rozwiązać wszystkich problemów magią. Zresztą będziecie musieli oszczędzać siły na... na później. My spróbujemy spacyfikować zwykłych zbrojnych. Jeśli dopisze nam szczęście, będzie ich niewielu. Przynajmniej dopóki nie znajdziemy Kelhaka.

Po tafli rzeki poniosły się krzyki strażników, którzy spostrzegli już z murów nadciągającą armadę. W kilka chwil rogi zajazgotały na alarm.

– Zaczyna się – stwierdził Selbourne bez emocji. – Trzymaj się mnie. Nie wiem, co tam planuje Quiss, ale mam nadzieję, że zadziała.

Ja też, pomyślał Caldan. Ale nie był wcale taki pewien. Miecz Protektorów nie zablokował wszystkich jego studni i choć Quiss i jego ludzie kowalostworzyli podobne artefakty, to wciąż nie wiedzieli, iloma studniami dysponuje lic. Czy było ich sto? Dwieście? Może więcej? Nie sposób było się domyślić, a jeśli się przeliczą i nie zamkną wszystkich studni licza lub ich rzemyśliwa okażą się zbyt słabe, skończy się to dla nich tragicznie.

– Zaraz uderzy! – krzyknął jakiś marynarz za nimi i Caldan strzelił wzrokiem ku bronie.

„Mała Pięść” mknęła w jej kierunku. Nagle jej dziób wbił się w barierę z ogłuszającym hukiem. Drewno poszło w drzazgi i zajęczał gięty metal, ale blokada wytrzymała.

Caldan roztoczył czarodziejski zmysł, czując gdzieś blisko wielki wyrzut mocy. Niemal niewidoczne włókno rozwinęło się i uderzyło w burtę „Małej Pięści”, a później prześliznęło się po pokładzie.

Łącznik, domyślił się Caldan. A potem na własne oczy mógł podziwiać pokaz czystej magii destruktywnej.

Po włóknie spłynęły jasne jak słońce ładunki energii i rozbryznęły się po okręcie. Górny pokład buchnął pomarańczowym płomieniem, który strzelił wysoko i przypalił krawędzie żagli. Wkrótce cała jednostka płonęła szaleńczym ogniem, a fale gorąca rozgoniły zalegające na rzece strzępy mgły. Na murach wzniecono alarm.

Za plecami Caldana syknęła niezadowolona Felice.

– Nie dość szybko – powiedziała. – Quiss, załatw to. Musimy jak najprędzej dostać się do miasta.

Mag przechylił głowę w jej kierunku. Drugi wyrzut magii; po włóknie przemknęły kolejne energetyczne ładunki. Te wzięły na cel kadłub.

W starych dechach otworzyła się poszarpana wyrwa i przez nią wlała się do środka moc.

Magia Quissa roztrzaskała skrzynie pełne alchemicznych składników dostarczonych przez Felice, a ich zawartość weszła w reakcję, którą dodatkowo przyspieszyła paląca magia.

„Mała Pięść” eksplodowała w kuli ognia.

Odlamki drewna pofrunęły we wszystkie strony. Oba maszty podskoczyły, jakby ktoś podciągnął je na linie, a potem zwaliły się niczym ścięte drzewa. Płomienie sięgnęły nieba, a wraz z nimi wzbił się czarny dym, niesiony falą zabójczego żaru. Fala uderzeniowa pomknęła po rzece w ich kierunku, wzbijając w powietrze chmurę wodnych drobinek.

Caldan sprawdził, czy Mirandzie nic nie jest. Znalazł ją skrytą za nadburciem z kilkoma marynarzami.

– Padnij! – zawołał ktoś.

Caldan kucnął w momencie, gdy dotarło do nich czoło fali.

Huknęło, i masa rozpalonego powietrza przetoczyła się nad jego głową. Pokład zakołysał się, gdy okręt podskoczył i zadrżał. Caldan odczekał chwilę, a potem zerwał się na nogi i spojrzał na Anasomę.

Z brony sterczały powyginane pręty. Mur naokoło popękał i odpadły z niego bryły kamienia, wpadając do rzeki i na brzeg. Ziejącą dziurę pokrywała od góry do dołu bariera niebieskiego ognia. W murze i w ścianie płomieni ziała rozległa wyrwa.

Załoga „Loretty” podniosła wiewat, a w sukurs przyszły jej pozostałe okręty. Charlotte wykrzyczała litanie przekleństw, każąc podwładnym skupić się na swoich zadaniach.

Caldan ścisnął rękojeść miecza tak mocno, że zaboląły go knykcie. To był dopiero początek. Nie sądził, by po następnym etapie planu było się czym radować.

Pokład znów poruszył się pod jego nogami. To wiosłarze wprawili jednostkę w ruch. Caldan rozstawił szeroko stopy i odwrócił się. Selbourne’a nie było. Dowódca najemników stał przy Felice. Mówiła do niego prędko, wykonując dłońmi ruch, jakby rąbała drewno siekierą. Selbourne skinął na tak i odszedł. Kobieta spojrzała na Caldana i zaraz oderwała wzrok, gdy podbiegł do niej jeden z ludzi Quissa.

Caldan zastanawiał się, o co może chodzić.

Dwa oddziały najemników zebrały się po lewej stronie okrętu, każdy złożony z około dwudziestu mężczyzn i kobiet, ubranych w rzemyslnicze zbroje i uzbrojonych po zęby. Żartowali między sobą, ale widać było, że usiłują przykryć zdenerwowanie. Ludzie nawykli do przemocy i do brania siłą tego, czego pragną.

Caldan podszedł do Felice. Strofowała najemnika, który usiłował wcisnąć jej do ręki miecz w pochwie.

– Nie umiem tego używać – powiedziała.

– Potrzebna ci broń – nie ustępował wojownik. – Będzie walka.

– Wiem, że będzie walka! Zaplanowałam tę walkę! Mam nóż, wystarczy. Będę otoczona najemnikami, a mamy jeszcze czarodziejów. Jeśli nie będą w stanie obronić siebie, to i tak po mnie.

Najemnik wzruszył ramionami i wrócił do swojej grupy.

– Felice – zawołał ją Caldan.

Skierowała na niego ciemne oczy.

– Myślisz, że mi się oświadczał? – Felice parsknęła, jakby śmiała się sama z siebie. – Psiakrew, taka szansa przeszła koło nosa. To pewnie przez stres... całe to organizowanie i nerwy, można osiwieć od tego wszystkiego. Nieważne. Masz rzemyśliwo od Quissa?

Caldan poklepał kieszeń spodni, w której znajdował się metalowy dysk. Sprawdził go minionej nocy, tak jak wszystkie pozostałe. Potrafiły zamknąć kilka studni, ale nie więcej. Im węższe i mniej regularne, tym lepiej działał artefakt i tym więcej potrafił zamknąć, ale trudził się ze studniami szerokimi i gładkimi. Caldan uświadomił sobie nagle, że rzemyśliwa, które wczoraj testował, mogłyby z powodzeniem zostać użyte przez Quissa także przeciwko niemu. Kto wie czy Quiss nie knuł czegoś w tym guście. Gdy Kelhak zostanie pokonany, w oczach czarodzieja Caldan może urosnąć do rangi podobnego problemu. Trzymał w kieszeni narzędzie, które przyczyni się do jego zguby.

– Tak – odpowiedział, nie zdradzając się z tymi myślami. – Miejmy nadzieję, że jest ich dość.

– Nic z tym teraz nie zrobimy. A Miranda gdzie?

Wskazał głową nadburcie.

– Pomaga załodze.

Dziewczyna podbiegła i wtuliła się w Caldana, a on musiał pochylić się, żeby cmoknąć ją w policzek. Westchnął we włosy Mirandy, wiedząc, że nie przekona jej słowami, by trzymała się z dala od kłopotów.

Felice zwróciła się do Caldana:

– Pamiętajcie, gdy Kelhak zginie, przegrupujcie się szybko i jazda do portu. Indryallańscy dowódcy nie od razu zorientują się, że ich Bóg-Imperator nie żyje, więc musimy zrobić wszystko, aby przeżyć do momentu, aż się domyślą. Powinno nam się udać, cesarz wysłał z nami wiele oddziałów Kołczanów.

– Znaleźć Kelhaka – powtarzał plan Caldan. – Zabić go. Wrócić do doków. Wyprowadzić okręty z przystani.

– Dokładnie – powiedziała Felice. – Zostawiam was więc. Dołącz szybko do grupy. Gdy już przedostaniemy się do środka, nie będzie czasu do stracenia. – Obróciła się i ruszyła do najbliższego oddziału najemników, tam gdzie miał zaraz opaść trap.

Miranda zajrzała Caldanowi głęboko w oczy.

– Powiedz mi, że wszystko się uda – nakazała.

– Mam nadzieję, że tak. Idź do oczyszczonej ziemi, tam się spotkamy.

– Uda nam się – powtórzyła. A potem dodała głośniejszym głosem: – Uda nam się, wiem, że się uda.

– Zrobie, co w mojej mocy. Mam tylko nadzieję, że to wystarczy.

– To więcej, niż może zrobić ktokolwiek – powiedziała i choć Caldan nie sądził, by była to prawda, serce urosło mu w piersi. Przyciągnął Mirandę do siebie i pocałował. Cofnął usta dopiero wtedy, gdy zaświtało mu w głowie, że zaraz się udusi.

*Wystarczy tego!* – fuknął Gazija.

Caldan puścił Mirandę niechętnie i łypnął nieprzyjaźnie na swojego wilka. Pokład tonął już w cieniu rzucanym przez mury Anasomy.

Minęli powykrzywianą brzołę. Ponad nimi jarzył się niebieski płomień. Ze zniszczonej wybuchem ściany sterczały powykręcane metalowe sztaby, od których wciąż biło gorąco eksplozji. Z okolicznych ulic gapili się na nich obywatele Anasomy. Z kilku gardeł dobieły się radosne okrzyki, ale entuzjazm nie rozlał się na wszystkich.

– Za cesarza! – zawołała Felice.

– Za cesarza! – powtórzyło kilku marynarzy.

Najemnicy i Quiss nie odpowiedzieli na okrzyk.

Popłynęli z nurtem rzeki. Felice zmrużyła oczy.

– Nie widzę – wymamrotała.

Caldan przechylił się przez burtę i spojrzał na sunące za nimi okręty.

– Już niedługo – powiedział. – Ostatni okręt zaraz przepłynie.

– Przygotować się, chłopcy! – ryknął Selbourne. – Znacnie plan. Trzymajcie się go, bo jak nie, to zginiecie. Proste jak konstrukcja cepa.

Przed nimi rósł w oczach most.

– Teraz! – zawołała Felice, gdy okręt znalazł się blisko kamiennego nabrzeża.

Marynarze przeskoczyli na nie, a z pokładu rzucono im cumy. Zakotłowali się przy wprawionych w kamień metalowych pierścieniach, przepychając przez nie liny i zawiązując węzły.

Gdy ciężar jednostki napiął cumy, plecione włókna trzasnęły, ale wytrzymały. „Loretta” zwolniła i uderzyła o nabrzeże. Drewniane dechy zawyły w kontakcie z twardym kamieniem.

Trap przechylił się przez burtę i z okrętu wypadli najemnicy. Niektórzy w lekkich zbrojach przesadzili burtę o własnych siłach i zaczęli odpychać zaskoczonych gapiów, robiąc miejsce dla kolejnych najemników, którzy wylewali się z okrętu.

Nim przyszedł kontratak, wetknęli już nogę w drzwi. Zbyt wielu wojowników znalazło się na lądzie, by obrońcy zdołali zepchnąć ich z powrotem na okręt.

Opancerzeni Indryallanie nadciągali do doków wszystkimi alejami. W niebo poszły strzały, które zaraz rozbiły się o tarcze i deski pokładu.

– Naprzód – zakomenderował Caldan. Złapał Mirandę za rękę i wspólnie dołączyli do grupy Felice.





**U**szli może sto jardów, nim zatrzymali ich Indryallanie. Opadli ich ze wszystkich stron i zasypali gradem strzał. Ulice zabarykadowali wozami i postawionymi na sztorc włóczyniami.

Kołczany wylały się z okrętów i zwały z Indryallanami. Rozległ się nieopisany łomot i zgiełk, klingi unosiły się i opadały, wyszczerbiając mur tarcz. Ginęli mężczyźni i kobiety. Przez chóralne wrzaski i krzyki przebijały się przekleństwa. Stał wgniatą hełmy

i miażdżyła głowy. Wrzało jak w kotle, walka rozpędziła się na dobre, nie dając choć chwili oddechu. Rynsztokami spływały potoki krwi. Ranni jęczeli, martwi milczeli.

Po lewej stronie Caldana strumień magii indryallańskiego czarodzieja przeciął tarcze dwóch arcymagów. Kamienie u ich stóp pokryły się sadzą. Zwalili się na ziemię, spaleni na wiór. Przed nim rozpętały się burze płomieni, którymi arcymagowie usiłowali wypalić sobie drogę przez indryallańskie szeregi. Powietrze wibrowało od magicznych ataków. Lśniące włókna wiły się ponad dachami budynków, magia przeciw magii.

Caldan skrył się z Mirandą przy ścianie portowego magazynu, patrząc, jak coraz więcej Kołczanów i arcymagów łąduje w przystani i pędzi tam, gdzie toczy się walka.

Złapał wzrokiem walczących Dotkniętych, którzy poruszali się z nadludzką szybkością, zostawiając po sobie tryskające fontanny krwi.

Marszałek Rakim stał w otoczeniu dwunastu innych oficerów. Ci nieustannie wodzili wzrokiem po ulicach i budynkach, myśląc i kalkulując. Rakim wyszczekał serię rozkazów i reszta natychmiast rzuciła się je wykonać. Gdy Indryallanie wyszczerbili szyk napastników, na północ pomknęły nowe oddziały Kołczanów i prawie udało im się przebić.

Marszałek podszedł sprężystym krokiem do cesarza, który siedział na niskim kamiennym murze. Zerach-Sangur znów miał na sobie swój rzemyślniczy pancerz. Jego wykonanie o stokroć przewyższało jakość rękawicy Caldana. Władcę otaczały Kołczani i arcymagowie oraz całkiem spora liczba Dotkniętych, a wśród nich Floriana i Alasdair. Rodzeństwo miało przy sobie swoje krótkie włócznie oraz sztylety za pasem. Caldau zauważył nerwowo przyglądającą się bitwie Felice. Cel Rau trzymał się lady Caitlyn jak cień. Nie patrzył ani na Caldana, ani na nikogo innego. Następca Devenisha, czarodziej imieniem Bernhard, instruował swoich arcymagów. A tam stał mistrz Mold w kohorcie uzbrojonych Protektorów. Mold robił co mógł, by nie zetknąć się wzrokiem z Caldauem. Chłopak nie winił go za to – choć mistrz władał teraz mieczem-talizmanem, Caldau dowiódł przecież, że ten nie ma już nad nim władzy.

Rakim i Bernhard rozmawiali z cesarzem, który kiwnął głową i odprawił ich gestem dłoni. Skłonili się i wrócili do komenderowania swoimi oddziałami. Zostaną tu, by dowodzić przyczółkiem pod nieobecność władcy.

– Nigdy nie przedrzemy się przez Indryallan – powiedziała stojąca przy Caldanie Miranda.

– Bo i nie taki jest cel. To tylko dywersja, a prawdziwym celem jest Kelhak. Kołczany i arcymagowie mają tylko ściągnąć na siebie Indryallan, podczas gdy my będziemy go szukać.

Nagle cesarz wstał i gestem przywołał do siebie Felice. Wymienili szeptem kilka słów i kobieta kiwnęła głową. Spojrzała na Caldana i kazała mu podejść.

– Wymknę się, gdy tylko zrobi się bezpieczniej – powiedziała Miranda. – Gdy zniknę w mieście, nikt mnie już nie znajdzie. Uważaj na siebie.

– Ty też. Tkwimy w tym razem, ty i ja. Nie zapominaj.

Nim podeszli do Felice, dotarł do niej Selbourne z grupą dwudziestu najemników i kilkunastoma arcymagami, a wraz z nimi Aidan, Vasil i cel Rau. Lady Caitlyn stała obok szermierza, ale patrzyła na cesarza.

Quiss, Mazoet i czterej ich magowie trzymali się w odległości dziesięciu kroków, jakby nie chcieli przyłączyć się do grupy. Floriana pracownice wiązała swoje czerwone warkocze, umyślnie ignorując Caldana, podczas gdy Alasdair bez skrępowania gromił go wzrokiem.

Podobnie jak Molda, ich także nie winił za wrogość. I podobnie jak w przypadku Molda, nie dbał o ich opinię na swój temat.

– Gdzie reszta Dotkniętych? – spytał Caldan Felice.

– Walczą. A to jest nasza grupa uderzeniowa.

– Jest nas zbyt wielu, widać nas ze stu mil.

– Nie mamy się skradać, mamy uderzyć.

Cesarz stanął obok Felice.

– Bądźcie w pogotowiu – rzekł głośno, aby wszyscy słyszeli. – Rakim i arcymagowie zajmą się Indryallanami. Gdy tylko ruszą do ataku, wprowadzimy nasz plan w życie.

Felice przytaknęła i zaczęła wydawać rozkazy.

Caldan przełknął ślinę i spojrział na Mirandę, czując na plecach spojrzenie Zerach-Sangura.

– Kiedy tylko uznasz, że nikt cię nie widzi, idź – powiedział jej. Odszedł z Mirandą na stronę i zatrzymali się przy budynku tuż przy odchodzącej w poprzek alei. Potem się rozejrzył. Cesarz rozkazywał teraz arcymagom. Felice stała u jego boku.

Vasil wpatrywał się w nich intensywnie. Caldán skinął mu głową, a sędzia odwzajemnił gest. Potem powiedział coś do Aidana i obaj ruszyli w jego stronę. Cel Rau skrzywił się do Vasila, ale dał mu spokój.

Dobrze, pomyślał Caldán. Miranda wraz z Vasilem wymkną się razem. Zaczeka z nim bezpiecznie na oczyszczonej ziemi, gdy sędzia skołuje wóz.

Miranda otoczyła Caldana ramionami i ścisnęła go z całej siły. Wpiła się ustami w jego usta, pocałowała długo i namiętnie.

Po kilku chwilach odepchnęła go. Po jej policzkach płynęły łzy.

– Nie umrzyj mi tam – nakazała mu. – Zobaczymy się wkrótce.

– Bądź bezpieczna – powiedział Caldán.

Rozejrzawszy się, aby się upewnić, że nikt jej nie obserwuje, Miranda skinęła na Vasila i oboje szybko dali nura do pobliskiej uliczki.

Caldán usłyszał jeszcze w dali jej cichnące kroki.

Aidan stanął między wylotem alei i cel Rauem, który chciał iść za Vasilem.

– On nic nie zrobił – powiedział Aidan. – Nie może walczyć, kobieta też nie. Będą nam kulą u nogi. Puść ich.

Cel Rau zwęził powieki. Jego dłoń opadła na rękojeść miecza. Pociągnął nosem.

– Caitlyn go znajdzie. Znajdziemy go razem. Kiedy to się skończy.

– Kto wie co się jeszcze wydarzy.

– Cesarz przetrwa. Znów będziemy walczyć ze złem pod rozkazami Caitlyn.

Nie, jeśli ja będę miał coś do powiedzenia, pomyślał Aidan.



Plan Felice zakładał, że mają dostać się do pewnego miejsca w zachodniej części Kurhanów, miejsca, które wskazał szpon. Powiedział jej, że na gruzach prywatnej posiadłości zmarłego dawno temu czarodzieja stoi teraz stara destylarnia.

Felice skupiła się na bocznych drózkach, które mijali, świadoma tego, że ma na ogonie Aidana i lady Caitlyn. To dziwne, ale w odróżnieniu od większości ludzi czuła, że akurat Aidanowi może zaufać. I że zupełnie nie może ufać cel Rauowi. Nie wiedziała, w co grał plemienny szermierz. Jego znaki były co najmniej nieczytelne, nie wspominając już, że żaden wojownik ze Stepów nie walczyłby dwoma mieczami. Jego postawa i parafernalia budziły w niej podejrzenia. Ale w ostatecznym rozrachunku – co za różnica? Jeśli radził sobie z tymi mieczami i trzymał się planu – żadna.

– Ktoś nas śledzi – powiedział Dotknięty imieniem Alasdair, który zajmował pozycję na flance cesarza.

Szpon.

Felice obróciła się do nich.

– Ma się rozumieć. Każdy, kogo minęliśmy, chciałby wiedzieć, co robimy. Po prostu idźcie dalej naprzód.

Skrzywiła się do mężczyzn. A gadajcie sobie – mówił jej wzrok. Kelhak. Licz. Tylko to było teraz ważne.

Mijali witryny sklepów i warsztatów oraz drzwi wejściowe do domów i kamienic. Stare, nowe, odrapane, ceglane, pomalowane i przemalowane – Felice nie zwracała uwagi. Ulica Ościeniowa, tutaj w lewo. Szkatułowa, tu w prawo. Przeciąć plac, minąć fontannę... Zaraz, gdzie to było?

Tam jest.

Szybciej, naprzód!

Nagle wyrosły przed nimi białe filary. Usłyszała krzyki, gdy eksplozja uderzyła pobliskie budynki. Felice rzuciła się na ziemię. Drewniane i kamienne odpryski zawirowały w powietrzu. Zerknęła

na otarczowanych czarodziejów, unoszących rzemyśliwa i talizmany, podczas gdy najemnicy poszli w rozsypkę.

Huknęły kolejne eksplozje, aż echo niosło się ulicami. Bruk pokrył się siatką pęknięć, a impet rozrzucił nieokryte tarczami ciała jak suche liście. Zajaśniały oślepiające rozbłyski światła i Felice przysłoniła oczy dłonią. Wtedy z ciała cesarza, a chwilę później z arcymagów wystrzeliły proste, niby rysowane w powietrzu od linijki snopy światła. Czarodziejskie włókna sięgnęły nieba, a potem zakreśliły łuk i spadły na miasto. W miejscach, gdzie uderzyły, wybrzmiały wybuchy. Wycie i zawodzenie przepełniło cuchnące dymem i popiołem powietrze.

– Nie zatrzymywać się! – rozkazał cesarz, nie zważając na bryzgi krwi na bruku.

Łatwo powiedzieć komuś, kogo chroni tarcza, pomyślała Felice, dźwigając się na nogi i wyciskając łzy spod powiek.

Caldan złapał ją za rękę i poczuła, jak jej skóra ściąga się, okryta osłoną chłopaka. Pokryła ją warstwa świetlistych rybich łusek.

Wtedy magiczny atak się skończył. Zgasły błyski i umilkły eksplozje, zostawiając po sobie tylko kłęby dymu. Otaczały ich gruzy.

Ale cesarz wciąż stał na nogach, a to było najważniejsze.

– Selbourne, Mold! Jakie straty? – krzyknęła Felice.

Dowódca najemników krążył między swoimi ludźmi, pilnując, by zdrowi opatrzyli rany tym, którzy ucierpieli.

– Zostaw ich – rozkazał cesarz. – Nie mamy czasu.

– Mogą iść dalej – warknął Selbourne. – Daj nam tylko chwilę, panie.

Mold podszedł do nich ze wzrokiem wbitym w Caldana.

– Protektorom nic nie jest. Ośloniliśmy najemników jak mogliśmy.

– Wróg wie, gdzie jesteście – stwierdził cesarz. – Zaatakują nas znowu. Ruszać. Już!

Felice otarła pot z czoła. Bardzo chciała sprawdzić, jak się mają inni, ale wiedziała też, że Zerach-Sangur ma rację. Wystarczyło, że zahaczyła go wzrokiem, a musiała mrużyć powieki. Jego tarcza świeciła jaśniej od innych, opromieniając resztę jak małe słońce. Po raz pierwszy zauważyła jednak, że to światło nie dawało ciepła.

Ruszyli naprzód, słuchając pouczających ich arcymagów. Felice maszerowała przed siebie, ogarnięta lekkim otępieniem, prowadząc ich na umówione miejsce spotkania. Reszta grupy zdążyła za Felice – bo była ich jedyną nadzieją na wyjście z tego cała.

Całe otępienie atakiem spłynęło z niej, gdy napotkała grupę dzieci. Wybiegły z bocznej uliczki, chłopcy i dziewczynki, krzyczący i piszczący ze strachu, ledwie omywając oddział wystraszonym wzrokiem. Przypomniała sobie, za kogo walczą – bynajmniej nie tylko za cesarza.

Na moment zapomniała o liczu i o misji. Nieopisany ciężar spłynął na jej ramiona i zamknęła się czarna otchłań u stóp. Raptem w głowie Felicienne rozbłysła myśl o odpowiedzialności, która przebiła się przez strach.

Wtedy się opamiętała. Kolana ugięły się pod nią i jeszcze większy ciężar niemal przyszpilił do ziemi.

Na przodków, zakłęła w duchu. Weź się w garść.

Dwie chwile później dotarli już do destylarni. Wielkie drewniane wierzaje były zamknięte na głucho i prawdopodobnie zaryglowane od wewnątrz. Nieistotne. Dwadzieścia kroków dalej widniały mniejsze.

Felice poszukała wzrokiem Quissa.

– Otwieraj – powiedziała.

Usłyszała metaliczne kliknięcie. Zawiasy zapiszczały przeraźliwie i drzwi stanęły otworem.

Wewnątrz było zimno i cicho. Felice wkroczyła w tę martwą przestrzeń i zatrzymała się po kilkunastu krokach. Znajdowała się w podłużnym pomieszczeniu, jedna jego ściana była zastawiona olbrzymimi miedzianymi kadziami. Poczula gryzący zapach, ostry i kojarzący się z apteką, ale zaprawiony wieloma pomniejszych woniami: czarna porzeczką, jakieś kwiaty, orzechy w miodzie i przyprawy.

Ruch powietrza trącił jej włosy i prześliznął się po karku.

– Chodźmy – powiedział stojący obok szpon. Musiał na nich czekać.

Na jego widok uniosła się broń. Miecze i włócznie skierowały się na stwora, ale ten ani drgnął.

Felice poczuła gdzieś blisko obecność cesarza, gdy ten zrobił kilka kroków w kierunku przybysza, a potem stanął. Szpon obrócił ku niemu kaptur i długo patrzyli na siebie, wymieniając jakieś niewypowiedziane słowa. Cokolwiek sobie powiedzieli, władca wykonał gest i broń opuszczono.

– Chodźmy – powtórzył szpon, odwracając się od cesarza. – Nie mamy czasu do stracenia.

Prawda, ale ustanowienie tylnej straży nie było stratą czasu. Wiedziała, że będą ich ścigać czarodzieje i żołnierze. Gdyby zostali zaatakowani od tyłu podczas walki z Kelhakiem, wróg nie tylko wzięłby ich z zaskoczenia, ale też odciął ewentualną drogę ucieczki.

– Najwyższy czas, byś raczył się pojawić – bąknęła Felice. – Ilu możemy zostawić? – rzuciła do swoich ludzi. – Lepiej, żeby wróg nie wszedł nam na ogon.

– Ani jednego! – warknął cesarz. – Nałożymy czujki. Wystarczy, żeby w razie czego nas powiadomić.

Caldan pokręcił głową.

– Musimy zostawić tu ludzi, żeby strzegli wejścia. Wyczuli, gdzie jesteśmy. Przyjdą po nas.

Położył rękę na głowie swojego wilka.

– Dobrze gada – poparł go Selbourne.

Cesarz zasyczał.

– Potrzebujemy jak najwięcej ludzi, aby zmierzyć się z Kelhakiem... ale może poradzimy sobie bez kilku arcyomagów. Tych słabszych.

Wydał rozkazy i kilku czarodziejów oddzieliło się od grupy. Niektórzy wyjęli z kieszeni i sakw metalowe dyski i zaczęli rozkładać je przy drzwiach i ścianach budynku.

Ostatecznie zostawili w destylarni pięciu arcyomagów i tuzin najemników. To musiało wystarczyć, jeśli chcieli mieć jakieś szanse z Kelhakiem.

Felice obejrzała się na ludzi, którzy dotarli aż tutaj pod jej rozkazami, świadoma, że cesarz kieruje na nią wzrok. Ci, którzy szli z nią dalej, byli wszystkim, co miała przeciwko liczowi. Żywiła nadzieję, że to wystarczy.

– Już blisko! – powiedziała głośno. – Trzymajcie broń w pogotowiu. I miejcie się na baczności. Odtąd mówimy tylko



szeptem i nie robimy przerw. Trzymajcie się razem, a kto wie, może ujrzyście jutrzejszy dzień.

Odpowiedziały jej pomruki i nerwowe mamrotanie. Nigdy nie była dobra w przemowach, ale uznała, że to odpowiedni moment, żeby coś powiedzieć. Aidan skinął jej głową. Cel Rau u jego boku wyglądał na rozluźnionego, jakby to był dzień jak co dzień, Caitlyn chodziła w kółko, błyskając rzemysłniczym pancerzem. Może eliksir ją wyleczył, ale nie zmazał wszystkich blizn, zwłaszcza tych na umyśle.



Szpon zaprowadził ich do kłapy w podłodze piwnicy. Gdy ją otworzyli, omyło ich stęchłe powietrze i ujrzeni schody prowadzące w nieprzeniknioną, czarną głębię.

Zredukowany oddział pędził zawilgoconym i obrosniętym pajęczynami tunelem, prawie się nie zatrzymując. Drogę oświetlały im czarodziejskie kule. Szpon szedł przed nimi, narzucając szybkie tempo. Z każdym ich krokiem unosiły się chmurki kurzu. Coś trzeszczało pod ich nogami. Mijali zaciemnione odnogi, z których wiało stęchlizną starego grobowca. Z góry docierał do nich stłumiony zgiełk bitwy.

Szli długo, aż znaleźli się wreszcie w okrągłej komnacie o ścianach wzniesionych z wypalanej cegły i podłodze porośniętej jakimś białym bluszczem. Wysoko nad nimi widniał świetlik, przez który wpadało do środka mętne światło słońca. Przy ścianie naprzeciwko wejścia stał kołyszący się w przód i w tył szpon. Stwór śpiewał cicho jakąś pieśń, która przyprawiała Caldana o gęsią skórę.

Caldan czuł rosnące stężenie otaczającej postać magii.

– Co on robi? – spytał.

– Nie... – zaczęła Felice i urwała, gdy cesarz przepchnął się obok niej i ruszył prosto na szpona.

Szpon nie reagował, tylko kiwał się i mruczał.

Cesarz podszedł do niego i przyłożył rękę do jego pleców. Wtedy Caldan poczuł, że otwierają się studnie. Pięć. Quiss i jego czarodzieje drgnęli, kilku ściągnęło brwi.

Przed cesarzem i szponem buchnęło spod podłogi światło i pomalowało na pomarańczowo cegły pod ich nogami. Czarny i szary dym wypełniły powietrze. Coś trzasnęło i cegły na posadzce rozpadły się w pył. Szpon nie przerywał tego, co robił, a w czym najwyraźniej pomagał mu cesarz. Cegły pękały i osuwały się, ukazując znajdujący się pod spodem szary kamień. Wciąż nie przerywali pieśni. Skała rozgrzała się do białości, a potem popękała i rozsypała się u ich stóp.

Tunel. Przebijali się coraz niżej w głąb ziemi stwarzającym się na ich oczach tunelem.

Więcej magii i pyłu, i dymu. Odgłosy miażdżenia i pęknięcia, czarodziejska jasność. Tuzin uderzeń serca później zdążyli wnikać w ziemię na dziesięć kroków i wciąż osuwali się niżej. Szpon zaśpiewał pełnym głosem, a wysokie tony układały się w szczebiot wielkiego ptaka. Słów Caldan nie był w stanie zrozumieć, prawdopodobnie rodowitego języka szpona nikt nie słyszał od tysięcy lat.

Cesarz wtórował mu, kontrapunktując mantrę swoim niskim, przenikliwym głosem.

Podłoga pod ich nogami wibrowała.

Caldan zorientował się, że walczy o oddech. Tak potężna i tak ściśle kontrolowana była magia cesarza i szpona.

W powietrze tryskały drobinki kamienia, kłębił się gęstniejący dym, a ceglany pył wduszał się do nosa.

Wtedy zabrzmiał ogłuszający trzask i pradawna pieśń ucichła. Z ciemnej chmury wynurzył się szpon.

– Chodźmy – powiedział.

Zakryli usta i nosy rękawami, po czym ruszyli za stworem, potykając się o bryły gruzu. Tunel przeszedł do kolejnej wielkiej komnaty.

Ta była wyłożona potężnymi skalnymi płytami, a wypełniające ją powietrze nie miało smaku, było nieledwie sterylne.

Po lewej stronie opadały w mrok ciemny i gęsty jak tusz wielkie kamienne schody. Czekał przy nich cesarz.

– Co to za miejsce? – spytał Aidan.

Felice odkaslnęła i otarła pył z twarzy.

– Pogrzebane miasto. Z dawna zapomniane.

Lecz teraz odkryte na nowo.

– Szybko – polecił cesarz, przywołując do siebie swoich arcymagów. – Możliwe, że ktoś wyczuł nasze czary. Przygotujcie się.

Wilk Caldana pomknął po schodach w ciemność.

– Posłuży nam za zwiadowcę – rzucił Caldano do Felice, a ta potwierdziła.

– Byle nie zdradził komuś, że nadchodzimy.

Oddział zapuścił się w starożytne ruiny pod Anasomą.



– To coraz bardziej pachnie katastrofą – powiedział Aidan do cel Raua. – Musisz mi powiedzieć, co się dzieje.

Słyszeli nad sobą nieregularny rytm bębnienia – wybuchy tak głośno, że huk poniósł się aż tak daleko w głąb ziemi.

– Nie musicie wiedzieć wiele – oświadczyła Caitlyn. – Tylko tyle, ile ja wam powiem. Jesteśmy tutaj, żeby pomóc cesarzowi zabić Kelhaka.

Aidan puścił jej słowa mimo uszu i zerknął na szermierza.

– Jesteś teraz podnóżkiem cesarza?

Wojownik błysnął groźnie oczami.

– Ani jego, ani niczym. Robię to, co słuszne.

– Gotów pobrać za to szczodłą opłatę, jak mniemam – uzupełnił Aidan.

Cel Rau nie poruszył się. Obie jego dłonie spoczywały na rękojeściach.

– Gromienie zła jest nagrodą samą w sobie. – Caitlyn pochwyciła wzrok Aidana. – Choć nie sposób obejść się bez ofiar. Słuszna sprawa często domaga się poświęcenia. Ja wiele poświęciłam i wiele wycierpiałam, ale narodziłam się na nowo. Cesarz pokłada we mnie

wiarę, i ty też powinienes. Miejcie obaj oko na Caldana. Cesarz ma wobec niego plany.

– Jakie plany? – chciał wiedzieć Aidan.

– Tym się nie kłopotcz.

A więc nic dobrego, domyślił się Aidan. Ale czego się niby spodziewał? Ludzie tacy jak Caitlyn, cel Rau i cesarz byli ślepi na własne zło.

Aidan schylił się, pozornie po to, by otrzepać bryczesy z kurzu, a tak naprawdę chciał ukryć wyraz swojej twarzy, nawet jeśli czarodziejskie kule nie rozświetlały mroku na tyle, by Caitlyn spostrzegła odznaczające się na niej emocje. Cesarz i Felice szli przed nim, a za plecami widział Caldana wraz z Quissem, Mazoetem i ich czarodziejami. Aidan złapał wzrokiem jakieś migoczące punkty w ciemności. To ten dziwny wilk Caldana kręcił się gdzieś na czele.

– Vasil powiedział mi – Aidan zwrócił się do cel Raua – że wszyscy chcą tylko jednego: zniszczyć Kelhaka. Więc o to nie musisz się martwić. Powinienes za to martwić się o siebie. Pomyśl, co już wiemy o zakazanej magii. Tajemnica ma największe szanse na pozostanie tajemnicą, jeśli znają ją tylko martwi.

Cel Rau kaszlnął i wykrzywił usta.

– Cesarz nigdy by tego nie zrobił.

Aidan nie potrzebował ekspertyzy Vasila, żeby wiedzieć, że szermierz kłamie. Nawet jeśli przetrwają starcie z Kelhakiem, nie wszyscy opuszczą podziemia.

– Ośmielasz się oczerniać cesarza? – wyszczała Caitlyn. – Po tym, jak ocalił ci życie? I zaoferował szansę odkupienia?

– Tajemnice muszą pozostać tajemnicami – zaripostował. – Dla dobra cesarstwa. Ludzkie życie to niewysoka cena za wyższe dobro. Ty mnie tego nauczyłaś.

Aidan toczył wzrokiem dookoła, bacząc zarówno na ludzi, jak i na otoczenie. Niektóre z kamieni w ścianach ukazywały oblepione kurzem rzeźbienia, jakby twórcy usiłowali przydać nieco życia tym ponurym kazatom. Gdy minęli kolejny rzeźbiony blok skały, Aidan powiódł po nim palcami, usiłując ukryć zdenerwowanie. W jego głowie pojawił się obraz. Miecz cel Raua spływał krwią. Głowa Chalayana leżała na ziemi, oddzielona od reszty ciała czarodzieja jednym czystym cięciem. Morderstwo usankcjonowane

przez Aidana. Vasil powiedział mu, że cel Rau wykonał rozkaz w pierwszej możliwej chwili. I że zrobił to z ochotą... Nie zastosował żadnej ulgi wobec wieloletniego towarzysza broni. Nie zaczekał na niezbity dowód, że Chalayana rzeczywiście opętała nowo odkryta moc.

Zamiast tego zabił Chalayana, gdy tylko jukarowie i vormagowie nie mogli im już zagrozić. On po prostu chciał go zabić...

– ...a najgorsi czarodzieje to tacy, którzy pozwolili na to, aby zawaładnęło nimi zło – mówiła Caitlyn do cel Raua. – Protektorzy wykonują niezłą robotę, pilnując miast i większych miasteczek, istnieje jednak mrowie ustronnych wsi i wiosek, gdzie poplecznicy zła wciąż praktykują czarną magię.

– Będziemy musieli wrócić na szlak – powiedział cel Rau – i wesprzeć cesarza na prowincji.

– Czarnoksiężstwa nie wolno tolerować – kontynuowała Caitlyn. – Na przykład tego Caldana. – Ściszyła głos. – Należy go... obłaskawić. To rozkaz cesarza.

– Cesarz jest mądry i wszechwiedzący, niechaj żyje wiecznie – odparł cel Rau.

Aidan aż się rozkaszał, gdy dotarło do niego, że szermierz wierzy w to, co wyrzekł. Obrócił się.

– Powiedz mi, cel Rau, co myślisz o naszych nowych kolegach? – Machnął na czarodziejów Quissa.

Plemieniec zmarszczył się i poszedł przodem. Aidan spostrzegł, że za nim idzie Caitlyn. Zaswędziało go między łopatkami.

Nie. Jeszcze nie może mnie zabić, uświadomił sobie. Ale podejrzewam, że to tylko kwestia czasu.

– Słucham? – ponaglił go Aidan.

– Cesarz zdecyduje o ich losie.

– Ale zabije ich?

– Nie wiem. Ścieżki cesarza są dla mnie niepojęte, niechaj żyje wiecznie.

Obejrzał się na Aidana, nim skierował wzrok przed i dookoła siebie.

Cel Rau rzeczywiście chciał, żeby cesarz żył wiecznie. Co za niepokojąca myśl. Szermierz wiedział o cesarzu więcej, niż mówił.

Aidan wbił wzrok w plecy cel Raua. Powiódł spojrzeniem po jego muskularnych, opalonych ramionach i wysłużonej skórze. Tajemniczy i skomplikowany człowiek.

Wtedy Aidan uświadomił sobie, że nim pogardza. Pomimo tego, że podróżowali razem przez lata. Pomimo tego, że cel Rau uratował Vasila przed jukarami, gdy zmierzali do Starorzecza.

Choć łamali się chlebem przy tyłu ogniskach. Wszystko to nie miało znaczenia przy tym, że bez litości zarznął Chalayana jak wieprza. To było o wiele ważniejsze od reszty. Aidan uświadomił sobie, że cel Rau zawsze był w pierwszej kolejności katem na pasku tego czy innego mocodawcy.

– To ty masz ich zabić, prawda? – powiedział do niego Aidan.

Wojownik szedł dalej naprzód, jakby nie usłyszał.

– Odpowiadaj!

Za plecami Aidana Caitlyn zaśmiała się cicho. Szermierz zatrzymał się, a stary kurz zawirował wokół jego nóg. Zwrócił się do Aidana i spojrzał mu w oczy.

– Nie – powiedział po prostu. – Jeśli zginiesz, jeśli ja zginę, niech tak będzie.

– A więc kogoś z nich. Kogoś konkretnego, nie myłę się?

Cel Rau spojrzał na niego z ukosa.

– Kogo? Quissa?

Żadnej reakcji.

– Lady Felicienne?

Wciąż nic.

– Caldana?

Cel Rau zachichotał i pokręcił głową.



Spragniony wiedzy Caldan, którego zawsze interesowało wszystko, co miało związek z rzemysłem i czarownictwem, przeczytał wiele magicznych ksiąg – od zmurszałych, zakurzonych tomiszczy i rozpadających się w rękach zwojów pożeranych przez pleśń na

tyłach klasztornej biblioteki, do świeżo skopiowanych ksiąg opiewających czasy przed Zdruzgotaniem. Nigdy jednak nie uświadomił sobie, że wciąż mogą gdzieś istnieć stare miasta sprzed kataklizmu. Nie zamieszkane aglomeracje, które jakimś sposobem oparły się erozji czasu, lecz rozsypujące się ruiny, których od setek lat nie nawiedziła żywa dusza. W końcu Zdruzgotanie nastąpiło tysiące lat wcześniej. Cokolwiek się po nich ostało, pochłonęła natura po tym, jak kości ostatnich mieszkańców rozwłóczyły dzikie zwierzęta i poszukiwacze skarbów. Zdumiał się więc, gdy dotarło do niego, że na świecie mogą znajdować się znakomicie zachowane budowle, wręcz nawet całe miasta, tam gdzie natura nie tak prędko brała sprawy w swoje ręce: na pustyniach lub na oczyszczonych ziemiach... Albo, tak jak tutaj, głęboko pod ziemią. Pogrzebane... i zapomniane.

Zupełnie jak szpon, który ich prowadził. Kiedyś musiała istnieć jakaś wiedza o tym stworzeniu, ale najwyraźniej pochłonął ją czas.

A jednak był tu teraz i w tym momencie zwracał ku Caldanowi swój czarny kaptur. Chłopakowi zdawało się, że głęboko w jego cieniu dojrzał przybrudzony pobłysk światła: wlepione w niego ślepie.

– O co chodzi? – spytał.

Stwór podszedł do niego, szeleszcząc wiszącymi szmatami. Caldan wyczuwał coś pod znajomym mu już zapachem stęchlizny, który bił od szpona. Krew i uryna. Czy stwór wydzieliał tę woń, czy może zetknął się z jej źródłem? Fetor śmierci i trupów, które nie zdążyły jeszcze wystygnać.

– Przejdźmy się – powiedział do niego szpon, odciągając Caldana na bok za łokieć.

Kreatura miała pazurzaste palce podobne do... szponów. Caldan widział je już kiedyś. W namiocie Amerdana. Sklepikarz zabił przedstawiciela tego samego gatunku – czy wchłonął coś, co należało do niego, a co potem przekazał Caldanowi?

Kościste palce wczepiły się w jego rękę i Caldan zerknął na Felice, która patrzyła na nich nieodgadnionym spojrzeniem. Z kolei cesarz... patrzył na nich, jak mógłby patrzeć jastrzęb, ale nie interweniował.

Studnia szpona była poszczerbiona, ale budziła przestrasz. Głęboka rozpadlina, która szarpała obrzeża magicznej świadomości

Caldana. Czuł się niekomfortowo, stojąc tak blisko tego stworzenia. Było czymś nie zrodzonym, lecz stworzonym, co nosiło w sobie moc nieżyjącego od wieków czarodzieja. Caldan zacisnął pięści i coś postawiło go w stan gotowości, jakby spodziewał się walki.

– Co jest? – powtórzył Caldan. – Nie mamy na to czasu.

Szpon przystanął i zwrócił na niego kaptur.

– Co ty tu robisz? – spytał.

Caldan wstrzymał oddech, wiedząc, że stoi na progu czegoś ważnego, lecz nie rozumiejąc jeszcze, co to może być. Kilka kroków za szponem widział nieruchomą twarz Felice, a za nią – oblicze cesarza stojącego w kohorcie arcymagów.

– Próbuję powstrzymać licza – odpowiedział Caldan.

Kaptur pochylił się.

– Płynie w tobie pradawna krew.

Ach tak, znowu ta krew.

– Ledwie parę kropel – przyznał Caldan. Nie zastanawiał się nawet, skąd szpon o niej wie.

– Twój rodzaj jest stracony. Twoje pryncypium... zagubione. Ale to nie wszystko, jest więcej. Wyczuwam powinowactwo z tobą, a to niemożliwe. Powołano mnie do życia zbyt dawno temu.

Czy on sugerował, że Caldan jest teraz po części szponem? W końcu przecież zaabsorbował esencję Amerdana, który zabił innego szpona...

– Co masz na myśli? – Caldan nie był pewien, czy chce znać odpowiedź. Dość już spraw dźwigał na barkach. Obawiał się, że kolejny ciężar go złamie.

Kątem oka dostrzegł podchodzącą Felice. Szpon położył mu na ramieniu ciężką dłoń. Caldan nie wysunął się spod niej. Z tak bliska widział drobne szczegóły szponiastej ręki: grubą skórę pokrytą zmarszczkami i pęknięciami. Stwór wydawał się jeszcze straszniejszy, obrysowany blaskiem pochodni, który nakładał się na sterylną poświatę czarodziejskich kul. Jakby ta odrobina światła wydobyła go z legendy i postawiła przed Caldanem w świecie, którego nie mógł nigdy nazwać ojczyzną.

Uważaj! – ostrzegł go wewnętrzny głos.

Zaszeleściły szmaty, gdy szpon skierował otchłań swojego kaptura na Felice, a potem wrócił spojrzeniem do Caldana.



- Wszystko... jest po coś.
- To... prawda – przystał Caldan.
- Spróbują cię zabić – ciągnął szpon.

Po co mu to mówił? Czego on chciał? Caldan wysliznął się spod jego dłoni.

- Wiem. Jak mógłbym nie wiedzieć?
- Jestem spośród Przedwiecznych, ale nie jestem jednym z nich. Czarodzieje sprzed Zdruzgotania. Jego mistrzowie.
- Wszyscy nie żyją – powiedział Caldan. – Już nie wrócą.
- A może się mylisz.
- Ty chcesz przywrócić ich tu z powrotem? – spytał Caldan. – Jak?
- Stworzyć na nowo.

Caldan zadrżał, słysząc w głosie szpona niezachwiane przekonanie. On mówił o nim. Szpon chciał wrócić do czasu sprzed Zdruzgotania. Najpierw Gazija, a teraz ten stwór. Wszyscy mieli dla niego jakiś plan, miejsce w swojej machinie na trybik w kształcie Caldana. Ale żaden z tych planów nie uwzględniał pragnień Caldana.

– Teraz mamy inne zmartwienia. Nie wiemy nawet, czy to przeżyjemy.

– Cesarz potrzebuje przeciwwagi. Obawia się własnego rodzaju. Od tysięcy lat tłumi magię. A kiedy nadszedł sprawdzian jego mocy, jego cesarstwo zostało zdruzgotane.

– Nie obchodzi mnie to – powiedział Caldan, lecz sam słyszał w swoim głosie fałszywą nutę.

Przeklął się w duchu. Kiedy już będzie po Kelhaku, skończy na zawsze z nimi wszystkimi. Nie ma tutaj skrawka stabilnego gruntu, na którym mógłby postawić nogę. Nie. Dla Caldana nie ma tu miejsca. Zmieniono go w licza wbrew jego woli. Mało? Niech oni go już zostawią.

– Moje imię brzmiało... brzi... Inchariel. Odszukaj mnie.

Caldan wbrew sobie zapalał ciekawością. Zastanowił się. Jaką wiedzę może posiadać szpon? Może wiedzieć o wiele więcej od arcymagów, może nawet od cesarza. Może Caldan powinien chociaż dowiedzieć się, czego on chce? Ale nie będzie podejmował tej decyzji teraz.

Kiwnął głową i odwrócił się od rozstrajającej go kreatury.

Szpon także wrócił do grupy. Strzępy szmat wlokły się w pyle. Najemnicy rozeszli się, żeby go przepuścić. Na ich twarzach odznaczyło się obrzydzenie i strach.



**G**rupa stanęła ściśnięta, gdy otworzyło się przed nimi przejście. Cesarz osobiście objął dowodzenie, otaczali go arcymagowie, za nimi sunęli cel Rau i Felice, a jeszcze za nimi Mold z dwoma Protektorami.

Selbourne i jego najemnicy tworzyli kordon wokół Caldana, a wraz z nimi Aidan, Caitlyn, Quiss i zwalisty Mazoet, zza którego prawie nie było widać wychudłych czarodziejów zamykających pochod.

Wejście do starożytnego miasta otworzyło się przed nimi – kwadratowa, czarna jama otoczona kamienną ramą. Pokrywał ją wzorzysty metalowy stop, na którym wyryto niemożliwe do odczytania pismo. Wyrazy drobne jak mrówki przesłaniały prastarą powierzchnię, a zawiłe kształty okucia rozchodziły się po kamiennej ścianie, jakby zapuszczały korzenie.

Gapili się w nieprzenikniętą ciemność i choć różnie zareagowali na jej pojawienie się, łatwo było wyczytać z wielu twarzy, że wszyscy mierzyli się z przerażeniem. A gdy wreszcie oderwali wzrok od przejścia, by popatrzeć na szpona – nie znaleźli go. Rozpłynął się w powietrzu.

Z grupy najemników dało się słyszeć rozeźlone szepty, prędko uciszone przez Felice i Selbourne'a.

– Zostawmy go – powiedział cesarz. – Jest znacznie bardziej użyteczny, niż sądzicie. I nie czuje się dobrze przy kimś takim jak wy.

Jak my, chciałeś powiedzieć, skorygował go w myślach Caldan. A więc cesarz nie uważa się za jednego z nas. Ale może ja też jestem kimś innym?

Caldan podniósł swoją czarodziejską kulę i ruszył naprzód. Mimo że otaczali go potężni magowie i twardzi najemnicy, a on sam posiadał wiele studni, stojąc przed czarnym przejściem, czuł się mały i wątpliwy. I choć jego wilk stał przy nim, Caldan nie chciał posłać go przodem, jakby podskórnie bał się, że cokolwiek wejdzie do tej paszczy, nigdy już nie wróci.

Ale nie mógł się teraz wycofać. Obrócił się, żeby ogarnąć wzrokiem całą grupę, odganiając wszelkie cienie czarodziejską kulą. Felice patrzyła na niego z troską. Jej dłoń uniosła się do kolczyka w uchu. Twarz Quissa była naznaczona żalem, a on sam w mętym żółtym świetle wydawał się jeszcze bardziej chudy i chory. Selbourne zachował czujność i nie przestawał się rozglądać. Twarz miał zaciętą i upartą. Ruszyli naprzód, a ich ludzie za nimi, jakby chcieli pierwsi przejść przez portal wiodący w nieznanne.

Pokaz przywództwa i siły.

Skóra Caldana zamrowiała, gdy po kolei zetknął się z każdym spojrzeniem w narastającej ciszy. Nie wiedzieli, co leży przed nimi, ale spodziewali się, że mogą dziś nie ujść z życiem.

Cesarz przemówił przyciszonym głosem, który mimo to dosięgnął każdego z nich, nawet tych na szarym końcu, którzy także poderwali na niego wzrok.

– Idziemy tam, gdzie od setek lat nie stanęła ludzka stopa. Do ruin sprzed Zdruzgotania, które dotychczas były zapieczętowane. Tam, gdzie żyli starożytni.

Caldan tyle wiedział sam, nie potrzebował wyjaśnień cesarza. Zresztą wszyscy czuli na twarzach tchnienie czegoś przedwiecznego. Tysiąclecia opływały ich jak fala przyływu. Przenikały do powietrza, którym oddychali. Żłobiły ślady w warstwie kurzu pokrywającego podłogę.

– Możemy znaleźć tam wielkie bogactwa – mówił dalej cesarz. – Przedmioty o wiele cenniejsze od złota, drogich kamieni, talizmanów i artefaktów sprzed Zdruzgotania. Ale nie wolno nam ich tknąć. Nie przyszliśmy tu szukać skarbów.

Oczywiście, że chce wszystkie dla siebie, pomyślał Caldan. Gazija przestrzegł go przed tym.

Cesarz odnalazł spojrzeniem Felice, potem przeniósł wzrok na Caldana i wreszcie na Quissa.

– Przyszliśmy tutaj, by przedrzeć się do Kelhaka, licza, czarodzieja opętanego przez tę samą moc, którą rzekomo władał. To nie czas na litość. Ani na wahanie. Albo on, albo my. Nic innego nie jest warte uwagi. Ani Milczący Towarzysze, ani jego magowie. Naszym celem jest Kelhak i tylko Kelhak. – Cesarz podniósł głos, jakby nie lękał się, kto go usłyszy. – Albowiem jeśli zawiedziemy, świat czeka drugie Zdruzgotanie. A tym razem nie będzie powrotu znad krawędzi unicestwienia. Albo zabijemy Kelhaka, albo wszystko przepadnie. Innych możliwości nie ma. Bądźcie czujni. I bądźcie ostrożni. Uderzajcie pierwsi i uderzajcie mocno. Nie szczędźcie sił. Tam dokąd idziemy, niewinnych nie ma.

Cesarz wkroczył w przejście czarne jak noc, rozpraszając czarodziejską kulą cienie, które towarzyszyły im tak długo, że wydawały się namacalne.



Opancerzeni Indryallanie natarli na nich bez ostrzeżenia. Caldan poprzez wilka nie wyczuł ich i pochwycił spojrzeniem kamiennych oczu lśnienie mknącej w jego kierunku stali dopiero wtedy, gdy było już za późno.

Żołnierze wylali się z bocznych przejść, a ich atak był szybki i bezlitosny. Potężny mężczyzna wpadł między najemników i przebił się przez nich jak wielki klin. Niektórzy utrzymali szyk, ale inni rozprysnęli się na boki, rąbiąc i siekąc przeciwników lub uginając się pod ich ciosami. Mold i dwaj inni Protektorzy zdołali osłonić się w ostatnim momencie, ale upadli na podłogę pod druzgocącymi ciosami wielkich toporów i mieczy. Wrzaski i przekleństwa niosły się wszędzie wokoło, a wszystkie z gardeł najemników, gdyż nacierający żołnierze nie wydawali żadnych dźwięków. To Milczący Towarzysze Kelhaka, domyślił się Caldan.

Zapach cytryny i gorącego metalu przepełnił powietrze. Caldan otworzył swoją studnię i okrył się tarczą. Ryki i wycie wierciło mu w uszach. Dobył miecza w samą porę, by sparować cios górującego nad nim Indryallanina. Ostrze przeciwnika wbiło się w ziemię, gdy Caldan odskoczył przed kolejnym uderzeniem. Trysnęły iskry, gdy stal zderzyła się z podłogą. Chłopak ciął desperacko na odlew, trafiając w szczelinę między płytami pancerza wroga.

Ten odskoczył, wpatrując się w niego martwymi oczami i milcząc jak grób.

Kątem oka Caldan dostrzegł Selbourne'a siłującego się z którymś z napastników. Najemnik rzucił swój wielki miecz, złapał za sztylet i wbił go głęboko w pachwinę Indryallanina. Jego wojownicy uginali się pod dzikim natarciem. Tryskała krew i łamały się kości. Atak Milczących Towarzyszy zbierał krwawe żniwo. Miecze rąbały i cięły, jakby władały nimi niemęczące się ramiona. Niektórym najemnikom udało się zranić lub nawet powalić któregoś z napastników, ale w ich miejsce natychmiast pojawiali się kolejni.

Mroczny cień śmignął między nimi jak olbrzymia jaskółka. Rozwiane na podobieństwo wielkich skrzydeł poszarpane szmaty i lśniące ostrza migające gdzieś między nimi – szpon. Miecze uderzały tam, gdzie był jeszcze ułamek chwili wcześniej, chybiając celu, ale ostrza stwora z łatwością przecinały ciało i pancerz, jakby te nie stawiwały większego oporu niż pajęczyna.

W tunelu po lewej stronie Caldana zamigotały rozbłyski światła. To tam skupili się arcymagowie. Cesarz wraz z Alasdaiem i Florianą ruszył im z pomocą, gdy zaczęło się starcie. Czarodzieje nalegali, by walczyć w oddzieleniu od reszty grupy, a teraz Caldan rozumiał już dlaczego: aby mogli używać magii destruktywnej bez obawy, że zranią któregoś ze swoich.

Przełknął ślinę i skupił się na przeciwniku przed sobą, choć z tyłu głowy dobijała się do świadomości myśl o tym, że żałuje, iż nie kontroluje swoich umiejętności tak dobrze jak pozostali Dotknięci. Zabijanie bronią wydawało mu się szlachetniejsze niż za pomocą magii.

Caldan ruszył naprzód, jednocześnie każąc wilkowi zagryźć kolejnego z Milczących Towarzyszy. Wykonał niski zwód mieczem, a potem wyprowadził potężne cięcie od dołu. Klinga rozorwała ciało, przebiwszy się przez kolczugę. Wyszarpnął mokry od krwi miecz, a chwilę potem oburęczny miecz przeciwnika uderzył w jego tarczę, z impetem odbijając mu głowę w bok. Caldan zatoczył się. Dzwoniło mu w uszach, a świat przed oczami zamazał się. Padł na jedno kolano, wciągając powietrze do płuc i odruchowo zasłaniając się mieczem, spodziewając się, że Indryallanin pójdzie za ciosem.

Ale ten nigdy nie spadł.

Caldan porwał się na nogi i otrząsnął. Jego przeciwnik leżał martwy. Krwawił z wielu ran, które zostawił na jego ciele Selbourne, a ku zdumieniu Caldana Felice wyjmowała właśnie sztylet z jego szyi.

– Nic mi nie jest – powiedziała. – Rób, co masz do zrobienia.

Caldan pokręcił głową. Obawiał się, że Felice nie poradzi sobie w walce, ale udowodniła mu, że się myli.

Wrócił do starcia i zobaczył kilku najemników ściskających dłońmi okropne rany, podczas gdy pozostali leżeli rozłożeni na ziemi i wpatrywali się w sufit martwymi oczami. Wypatrzył też trupy

Milczących Towarzyszy, ale byli oni wielcy i silni, i wybitnie trudni do zabicia. Aidan, Caitlyn i cel Rau walczyli w ścisku, a dowodem ich skuteczności były ścielące się u ich stóp zwłoki. Wybuchy i błyski dochodziły z głębi tunelu, który odbijał w prawo. Cesarz i jego arcymagowie skupili ataki na indryallańskich czarodziejach, którzy wspierali gwardzistów Kelhaka. Mold i jego Protektorzy walczyli ze wszystkich sił, ale mieli na głowie zbyt wielu Milczących, a kolejni biegli już z bocznych tuneli, rzucając długie i straszne cienie w światło czarodziejskich kul.

Było ich zbyt wielu. I wiedzieli, że skoro czarodzieje są zajęci magiczną walką, to tylko kwestia czasu, nim rozniosą napastników.

Zapewniając zwycięstwo Kelhakowi.

Nie!

Pierścień Caldana wpił się w palec, a krew stała się gorąca jak magma.

Caldan wiedział jednak, że mieczem nie ugra w tej walce zbyt wiele. Musiał zrobić więcej. Skupił się więc na swoich wielu studniach. Najwyższy czas zwiększyć tempo. Jeśli nie da z siebie wszystkiego, będzie po sprawie.

Odciął się od swojego wilka i potrzebował chwili, żeby zrozumieć, że teraz sterował nim Gazija. Konstruktor skakał między Milczącymi Towarzyszami, tryskając iskrami magicznej energii. Gdzie spadły, tam dymił pancierz i paliło się ciało, a wojownicy padali na ziemię, wijąc się z bólu.

Dziki uśmiech wykrzywił usta Caldana i wrzask wzbudził się w głębi jego gardła.

Sięgnął zmysłami do rzemyśliwa Mahsonna, które miał w kieszeni. Dzięki umiejętności manipulowania wieloma strumieniami posokowiec potrafił kontrolować wybuchy precyzyjnie ukierunkowanej magii destruktywnej.

Caldan wiedział, że nie powinien szafować własną mocą, bo choć z pewnością pokonałby wielu gwardzistów Kelhaka, prawdopodobnie wraz z nimi zginęliby liczni najemnicy, nawet arcymagowie.

Kluczowa była więc precyzja. Potężna magia skupiona na przeciwnikach i pomijająca przyjaciół. Caldan podłączył się do rzemyśliwa, wydzielił ze studni dwa strumienie, potem cztery,



osiem, a potem szesnaście. Jego umysł wzdrygnął się i strumienie zrobiły się śliskie, groziły wysunięciem się z uścisku. Ścisnął je kurczowo, jakby próbował łapać wysmarowane oliwą węże. Strumienie wiły się i kłębiły, jakby rozpaczliwie próbowały mu się wymknąć, ale jakoś zdołał je uspokoić. Ku własnemu zdumieniu, gdy już je okiełznał, uciszyły się i wrażenie śliskości zmalało. Przytrzymał je z coraz większą łatwością. Szesnaście strumieni. Rzemysliwo Mahsonna powiedziało mu, że tyle wystarczy.

Caldan podłączył je wszystkie do run łącznikowych wprawionych w artefakt. Moc i świadomość popłynęły wzorem, gdy badał rzemysliwo, odczytując runy kształtujące, bufory i kotwice. Wiele pętli wykuto osobno, ale wszystkie pracowały harmonicznie ze sobą. Skomplikowane runy transferencyjne zlewały się z pętlami kontrolnymi.

Wtedy zrozumiał, dlaczego rzemysliwo zaprojektowano w ten sposób.

Wypełnił artefakt żrącą mocą swojej studni i skupił wolę.

Powietrze zawibrowało niczym rój bzyczących pszczół. Wystrzeliło z niego szesnaście podobnych do biczów włókien widocznych tylko dla magicznego zmysłu Caldana. Skierował je ku Milczącym Towarzyszom walczącym z najemnikami. Ci ludzie zginą tą samą śmiercią, co Breyton w drodze do Starorzecza – za sprawą tysiąca drobnych cięć.

Tylko że wydarzyło się coś innego.

Gwardziści szarpnęli się, jakby uderzyły w nich dziesiątki niewidzialnych mieczy.

Chlusnęła czarna krew. Odcięte członki rozsypały się na wszystkie strony. I po raz pierwszy gwardziści wydali z siebie dźwięk. Udręczone wycie wyrwało się z ich wykrzywionych ust, a potem ucichło, gdy włókna poderżnęły im gardła. Próbowali zakrwawionymi rękami łapać wnętrzości wylewające się z rozciętych brzuchów, nim one same zostały ucięte.

Caldan niemal wypuścił strumienie, tak zdumiała go ta krwawa łaźnia.

Lecz w mig zrozumiał, co się właściwie stało. Mahsonn miał wąską studnię. A jego magia była przez nią ograniczona. Caldany dysponował o wiele większą mocą. Oto rezultat.

A co by się stało, gdyby podłączył do rzemyśliwa więcej studni?

Jeszcze dwie albo trzy?

Ruszył naprzód i minął dwóch powalonych Towarzyszy. Selbourne już rzucił się do walki z dwoma kolejnymi, ale nie zdążył nawet do nich dobiec. Właśnie się wykrwawiali.

Gdzieś po swojej prawej stronie Caldan wyczuł Quissa i jego ludzi oraz ich magię, która z powodzeniem dopełniłaby jego własną. Fale zawilej mocy o wielu warstwach omywały sojuszników i biły z siłą we wrogów. Milczący Towarzysze znikali w chmurach skłębionego dymu, podczas gdy zbite tarcze chroniły powalonych.

Caldan otworzył kolejną studnię i dołączył płynący z niej zachłanny płomień do tego, który wyłonił się z jego własnej. Widział w półmroku, jak Aidan, cel Rau i Caitlyn wymieniają ciosy z Towarzyszami, podczas gdy Felice usiłuje wcisnąć się plecami w ścianę. Caldan wyzwolił jeszcze więcej niszczycielskiej magii, okładając swoimi włóknami płytę i skórę. Metal i ciało rozrzynały się pod ich dotykiem, a z ran bryzgała na kamienie lśniąca czerwień. W miejsce unicestwionych gwardzistów Kelhaka pojawiali się nowi – tylko po to, by również zginąć pod magicznym natarciem Caldana. Niektórzy z nich trzęśli się jeszcze i szamotali na podłodze, nim dobyli ostatniego tchu, podczas gdy inni po prostu eksplodowali w rozpętanym przez magię krwawym chaosie.

Jeden z Milczących Towarzyszy stanął nad powaloną najemniczką. Jej potrzaskana tarcza leżała u jego stóp. Rozpaczliwie uniosła ramię w momencie, gdy olbrzymi miecz już miał rozłupać jej czaszkę. Caldan smagnął gwardzistę, który pofrunął w tył i skulił się na podłodze.

Trzej kolejni rąbali mieczami dwóch Protektorów, którzy stali nad nieruchomym Moldem. Protektorzy odbijali ciosy, ale szybko tracili siły pod nieustępliwym atakiem. Caldan kazał magii ominąć ich i skierować się prosto na przeciwników. Krew zbryzgała tarcze Protektorów, a Caldan ruszył przed siebie, idąc jak najspokojniej pośród umarłych i umierających.

Otworzył trzecią studnię, przepuszczając wzbierającą magię przez swoje strumienie i kierując ją do rzemyśliwa posokowca.

Towarzysze wili się i szarpali, i umierali dziesiątkami. Nie stanowili wyzwania dla jego skupionej magii. Caldan rzucał czar za

czarem, a każdy omijał najemników i trafiał tam, gdzie miał trafić.

Milczący Towarzysze padali jak muchy, gdy ostre włókna Caldana wydzierały z nich życie.

Gdy ich zabijał, a najemnicy orientowali się, że zostali uratowani, niektórzy dziękowali mu, krzycząc, a inni cofali się trwożliwie, wiedząc – tak jak Caldan – że uczynił coś okropnego.

Ale jeśli mieli przetrwać, trzeba było to zrobić.

Caldan szedł między trupami, a za nim powlekli się ocaleńcy. Połyskliwy ogień wił się w polu jego widzenia, tnąc ciało i kości, przelewając krew i wnętrzności, i Caldan wiedział, że ci, którzy przyglądali się temu, nie mając magicznego zmysłu, nie mieli pojęcia, co tak naprawdę robił. Wszystko, co widzieli, to ludzi szlachtowanych jak bydło.

Wkrótce na nogach nie stał już ani jeden Milczący Towarzysz.

Caldan przerwał marsz i przełknął ślinę. Magicznym zmysłem wyczuwał migoczące ogniki, które przygasły, a potem zniknęły.

Z początku czuł euforię.

Jak wielką władam mocą! – zakrzyknął w duchu. Czegóż nie mogłaby dokonać, gdyby jeszcze z nią poćwiczyć? Z nauczycielami takimi jak Quiss i Gazija mógłbym wkrótce prześcignąć arcymagów, o ile już tego nie zrobiłem. Tylko że... Quiss i Gazija nigdy by się na to nie zgodzili... i nie bez powodu.

A może jednak? Czy władając taką magią, nie mógłby uczynić czegoś dobrego? A może to taką właśnie drogą kroczył cesarz?

Czy i on stanął kiedyś przed podobną możliwością?

Ktoś szarpał go za rękaw. Felice.

Wpatrywała się w niego w przerażeniu i drżała jej dolna warga. Wstyd, współczucie czy odraza? Nie umiał stwierdzić.

– Dość – powiedziała. – Proszę, Caldanie.

Wziął głęboki wdech i bardzo świadomy jej spojrzenia odetchnął, by ochłonąć.

– Przepraszam. Musiałem. Już... skończyłem.

– Wiem – zapewniła go Felice. – Wiem, że musiałeś. Ale oni już... nie żyją.

Caldan zwrócił spojrzenie na Aidana i Caitlyn, którzy gapili się na niego nic niewyrażającym wzrokiem. Za ich plecami najemnicy mocno ściskali broń i tarcze, wpatrując się w niego zdziczałymi,

przerazonymi spojrzeniami, jakby obawiali się, że sami zaraz podzielą los Milczących Towarzyszy.

– Już dobrze – powiedział do nich.

Kilkoro skinęło głowami, inni wymienili przyciszone słowa, tocząc wzrokiem po zbryzganych krwią kamieniach. Gdy do Caldana podszedł jego rzemyślniczy wilk, paru wykonało dłońmi znaki ochronne.

Rozległ się tubalny śmiech cesarza. I wtedy Caldan zorientował się, że specjalnie zostawił ich samych, żeby zobaczyć, jak zareagują Caldan i Quiss. Chciał oszacować ich poziom mocy. Ta jego wesołość wzbudziła w chłopaku odrazę. Odwrócił się, ale nim to zrobił, złapał jeszcze kątem oka wyraz twarzy władcy.

Żądza, zachłanność.

Raptem do Caldana dotarło, że nigdzie nie widzi Protektorów. Gdzie oni...

Tam są. Klęczą przy leżącym na ziemi Moldzie.

Caldan podbiegł do nich. Stał obok w chwili, gdy Protektorzy dźwigali swojego mistrza na nogi. Strużka szkarłatu ciekła z jego ust, a jedno oko uciekło mu w głąb czaszki, strasząc wodnistym białkiem. Jedna zakrwawiona ręka wciąż ścisnęła miecz-talizman. Wytrawione w srebrzystym metalu runy lśniły czerwienią.

– Nic mi nie jest. Zostawcie mnie! – ryknął mistrz. Zamrugał, jakby nie widział dobrze na zdrowe oko. Jeden z Protektorów podsunął mu fiolkę, a Mold natychmiast wypił jej zawartość. Po chwili się wyprostował.

Alchemiczny stymulant lub środek przeciwbólowy, uznał Caldan.

Mold ogarnął wzrokiem dzieło zniszczenia Caldana i pokręcił głową, jakby miał się rozplakać.

– Coś ty im zrobił... Jak? Stałeś się tym, z czym walczyliśmy od wieków.

– Może tak – odrzekł Caldan niezrażony. – Ale może nie. Bo równie dobrze mógłbym zostać arcymagiem. I wtedy przyjmowałbyś ode mnie rozkazy. – Uniósł dłoń, widząc, że Mold zbiera się do odpowiedzi. – Sam wiesz dobrze, że to prawda. Poskąpili ci wiedzy o magii, którą sami posiadają i stosują na co dzień. Oni nie mają dla Protektorów krzty szacunku. Ale to jest rozmowa na kiedy indziej. Teraz musimy pracować tymi narzędziami, które mamy w ręku. Bo

jeśli nie, liczy zniszczy nas wszystkich. Umówmy się, że dzisiaj nie będziemy wrogami.

Mold gapił się na niego, a na jego twarzy odraza zmagala się ze... smutkiem?

Czyżby zaczynał rozumieć? Dobrze, byle tylko nie wbił mi noża w plecy.

Odwracając się od Protektorów, Caldan ujrzał gromadzących się za jego plecami najemników. Czekając, przysłuchiwali się jego słowom. Wielu z nich było rannych, towarzysze opatrywali te rany jak umieli. Rozdano im też butelki. Caldan odgadł, że zawierają makowy olej, bo każdy z cierpiących pił tylko łyk, nim podał butelkę dalej.

Z boku stała Felice, Aidan i Caitlyn oraz cel Rau. Arcymagowie wraz z Florianą i Alasdaiem wyłonili się z bocznego korytarza, gdzie także walczyli z Towarzyszami i magami. Niektórym się oberwało. Utykali, podpierani przez swoich towarzyszy, gdy wracali się przegrupować. Z rozdziawionych ust ciekła ślina, po Caldanie prześlizgiwały się niewidzące oczy. Rany umysłu, wydedukował Caldan. Walka z Indryallanami była szczególnie ryzykowna dla słabszych, mniej wytrzymałych arcymagów.

Aidan złapał spojrzenie Caldana i skinął mu głową. Miał niewyraźną minę.

Caldan wypełnił płuca powietrzem. Najgorsze jeszcze przed nimi.



Korytarz otworzył się na wielką podziemną ulicę. Cegły tworzące zrąb tunelu opadły na ziemię, gdy łącząca je zaprawa skruszyła się ze starości. Droga zasypana była zwałami gruzu i kamienną drobnicą z okolicznych budynków. Caldan i tak był pod wrażeniem, że po tysiącach lat ostało się tutaj jeszcze coś, co przypominało miasto.

Zwrócił uwagę na idealnie dopasowane płyty brukowe, między które nie zdołałby wcisnąć noża. Nie wiedział, z jakiego kamienia je

wykonano. Może w ogóle nie był to żaden naturalny surowiec, ale produkt zaawansowanej technologii lub nawet magii.

Poza kręgami światła ich czarodziejskich kul droga rozchodziła się w obie strony, niknąc w mroku.

Cały oddział szedł naprzód ściśnięty, jakby sama bliskość towarzyszy mogła rozproszyć niepokojącą odmienność tego miejsca.

Caldan rozumiał, co czuli, gdyż to wrażenie udzieliło się także jemu. Przybyli tutaj, żeby zapobiec drugiemu Zdruzgotaniu, a przekonywali się właśnie, że cywilizacja znacznie bardziej zaawansowana od ich własnej, pomimo licznych osiągnięć, dostępnych wygod i zgromadzonej wiedzy, nie oparła się kataklizmowi. Myśleli, że misja miała szanse powodzenia. Jednak to opuszczone miejsce mówiło coś innego.

Mury po obu stronach ulicy były puste, pozbawione obrazów i symboli, ozdabiających boczne przejścia, którymi dotarli aż tutaj. Czarodziejskie kule i pochodnie rozjaśniały blade powierzchnie ścian, płynnie przechodząc z jednej na drugą wraz z przemieszczaniem źródeł światła, jakby rozchodziły się echem na podobieństwo dźwięku.

Od czoła przekazano na tyły polecenie cesarza: krótka przerwa. Uszu Caldana dobiegło jakieś drapanie. Odwrócił głowę. Jeden z najemników usiłował wyrysować coś nożem na kamieniu brukowym.

Mężczyzna zaklął i podniósł wzrok na wpatrzonych w niego towarzyszy.

– Nie mogę go nawet zarysować – powiedział i wzruszył ramionami. Jego słowa poniosły się echem wokół, aż niektórzy podskoczyli.

– W kurzu są jakieś ślady – rzekł Aidan, gdy z półmroku przed nimi wyszła Felice.

Caldan spojrział tam, gdzie Aidan pokazał palcem. Wiele śladów obutych stóp. Grupa ludzi wyszła z odnogi ulicy po ich prawej stronie i zniknęła w głębi lewej. Czy to był Kelhak i jego świta? A może ktoś – lub coś – innego?

– Idziemy za nimi – zadysponował Caldan. – Nie wiem, czego szukają, ale najwyraźniej nie wiedzą, gdzie to dokładnie jest. Minęło

zbyt wiele czasu i muszą tego szukać. Pewnie rozdzielili się na mniejsze grupy. Może dzięki temu uda się ich osłabić.

Felice obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem, ale Caldan panował nad twarzą.

Wciąż nie wiedzieli, czy ich plan zadziała.

Szli w ciemność, a tym razem Aidan, cel Rau, Caitlyn, Caldan i Quiss znaleźli się na czele pochodu, za nimi Felice i Selbourne wraz z czarodziejskim oddziałem Quissa otoczonym przez najemników. Mold i jego Protektorzy ciągnęli za nimi, prawie nic nie mówiąc, oszołomieni starożytnym miastem. Cesarz pilnował tyłów wraz z najemnikami i dwoma Dotkniętymi. On także milczał, co wydało się Caldanowi dziwne. Powinien przecież wiedzieć najwięcej o tym miejscu. Kilka razy zatrzymał się z zamazanym wzrokiem, jakby usilnie starał się coś sobie przypomnieć.

Przemierzali spowitą kurzem i pyłem ulicę, a czas włókł się tak wolno, że nieledwie stał w miejscu. Po obu stronach widzieli wloty licznych przecznic, ale mijali je szybko, jakby nie chcieli ściągnąć na siebie jakiegoś przyczajonego w mroku nieszczęścia. Ciemność i nieznane budziły przestach i odkładały się na ich barkach realnym ciężarem, jak coś z innego świata, czego nie dało się zobaczyć ani dotknąć, lecz czuło się wszystkimi zmysłami.

Przed nimi wyrosła z mroku szeroka brama. Zatrzymali się. Wznosiła się na trzykrotną wysokość dorosłego mężczyzny i pomimo starości lśniła jak wypolerowane lustro. Jej powierzchnię pokrywała skomplikowana mozaika połączonych ze sobą symboli, wytrawionych w metalu z nieskazitelną dokładnością. Małe runy u szczytu łączyły się niżej w rozległe wzory, a z kolei te przechodziły płynnie w jeszcze bardziej wymyślne konstrukcje u dołu. Niemożliwa do ogarnięcia okiem złożoność budziła podziw, hipnotyzowała niczym nieruchome węzowe ślepie. Caldan zamrugał i odwrócił wzrok, gdy symbole zaczęły wić się przed jego oczami.

– Nie jest magiczna – powiedział Quiss, przerywając brzmącą zdumieniem ciszę.

Caldan otworzył studnię i sprawdził. Quiss miał rację, przynajmniej na ile sam potrafił to stwierdzić. A jednak wypatrzył w płataninie wiele znaków, z których sam korzystał w rzemyśleniu. Były podobne, ale i niepodobne – jakby symbole, które wpojono

Caldanowi, stanowiły ich niedoskonałe, prymitywne odbicie, tylko z grubsza poprawne. Jak bazgranina dziecka przy obrazie mistrza. Sama brama może i nie była magiczna, lecz pokazywała, na jakie wyżyny wzbiła się sztuka magiczna przed kataklizmem.

Quiss wyciągnął rękę i dotknął bramy.

Kilku najemników zassało z sykiem powietrze, gdy palce czarodzieja zetknęły się z jej powierzchnią, jakby obawiali się jakiejś reakcji.

Caldan zmrużył oczy. Opuścił czarodziejską kulę do ziemi i przyjrzał się spodowi bramy. Wzdłuż dolnej krawędzi biegł rysunek człekokształtnych postaci. Przygarbionych i prymitywnych po obu jej stronach. Zmieniały się bliżej środka – malały i widział, że są wyrysowane bardziej szczegółowo, a każda nosiła na piersi słoneczny symbol – koło z rozchodzącymi się promieniście liniami. A w samym środku stały największe z postaci. Spośród tych tylko niektóre miały na piersi słońce, ale...

Każda posiadała cztery ramiona.

Zawiła geometria i runy rozmywały się w obłóci i spirale, które swobodnie spływały w dół, po czym konsolidowały się wokół postaci.

Felice przykucnęła obok Caldana i położyła dłoń na jego ramieniu.

Wskazała postacię widoczne w najdalszych kątach obu prostokątów.

– Jukarowie – powiedziała.

A potem przesunęła palcem ku niższym figurom.

– I vormagowie. – Następnie dotknęła czterorękich, zostawiając na powierzchni ślad palca. – Szpony – szepnęła.

I dzięki temu Caldan zrozumiał, co oznaczają te rysunki.

Wzory wytrawione w stopie, z którego odlano bramę, nie stanowiły tylko dekoracji. Były to symbole, litery i piktogramy. Caldan umiałby przetłumaczyć kilka z nich, a wyłaniająca się z nich treść w połączeniu z innymi szczegółami przejmowała go strachem. Okazały się po części pomnikiem tryumfu przodków, pamiątką dokonanego przez nich odkrycia uwiecznioną w metalu dzięki ich wiedzy, a jednocześnie podręcznikiem, instrukcją i informacją o tym,



jak osiągnęli swój cel. Za pomocą magii tworzyli żywe istoty, które miały im służyć.

Sprowadzali na świat życie lub coś na podobieństwo życia, a potem je zniewalali.

A po tym, kiedy wyniszczyła ich wojna, którą sami rozpętali, ich potwory wybiły się na wolność i od tamtej chwili mogły chodzić, gdzie chcą, i robić, co chcą. Brama była kroniką, schematem i ostrzeżeniem.

Caldan otrząsnął się i niemal siłą oderwał wzrok od rysunku na bramie.

Wiedział, jak oni wszyscy, że jukarowie, vormagowie i szpony byli sztucznie stworzonymi istotami. Lecz teraz stanowili część tego świata. Od tysięcy lat istnieli bez nadzoru mistrzów, którzy powołali ich do życia. Można było ich kontrolować i walczyć z nimi, ale już nigdy nie da się ich zniewolić.

Po raz pierwszy wydało mu się, że prawdziwie zrozumiał odrażający plan Kelhaka i to, dlaczego upatrzył sobie akurat Anasomę.

W podziemiach miasta, w starożytnych tunelach i komnatach, gdzie od tysięcy lat nie stanęła ludzka noga, które zostały porzucone i zapomniane w czasach tak odległych, że stały się mitem, wciąż można było odnaleźć sposób na zniewolenie całego świata. Jakie potwory mogą wyrozić się spod ręki licza obdarzonego tak potężną mocą, tak wieloma studniami i do tego stopnia wyczeranego z człowieczeństwa?

– To jest schemat – powiedziała Felice. Zrozumiała, na co patrzy, co wcale Caldana nie zaskoczyło. – Umiesz go odczytać? Potrafiłbyś zrobić coś zgodnie z taką instrukcją?

Caldan pokręcił głową i opadło go widmo zguby, odbierając mu głos. Roztoczyła się przed nim wizja przyszłości, spektrum miliona możliwości zawężone do ledwie kilku. Jeśli zawiodą, to w kilka miesięcy lub lat po ich śmierci hordy jukarów i vormagów zaleją to, co zostanie z cesarstwa. Nie pozbawione jednolitego władztwa plemiona zezwierzęconych dzikusów, które żyły i walczyły ze sobą na Spustoszonych Ziemiach, lecz świetnie wyposażona armia nieznaną wodza poza Kelhakiem.

Tym razem Zdruzgotanie będzie czymś więcej niż tylko magiczną burzą – jego osiã stanie siã mord i zniewolenie. Licz spalił świat Gazii i Quissa, ale wyciãgnãł wnioski z wãasnych bledów. Martwy świat jest bezuzyteczny.

Lepiej, żeby pozostał żywy, ale pod jarzmem.



**M**inęli wrota i wkroczyli do labiryntu zapomnianych tuneli, które wnikały w trzewia ziemi, jedne prosto jak szpile, inne wijąc się jak korkociąg. Pył i kurz zalegał na pradawnych kamieniach, kości białe jak kreda kruszyły się i trzaskały pod nogami.

Tu i ówdzie kamienie posadzki plamiła rdza. Porzucona stal erodowała tak długo, że rozpadła się w rudy proch.

To było miejsce, w którym przed wiekami żyli i pracowali czarodzieje. Miejsce, w którym spajano magię z zapomnianą sztuką ciałotworzenia, balansując na granicy tego, co oddzielało ożywione od nieożywionego, życie od śmierci.

Wędrowali korytarzami i tunelami, przedzierając się przez hole i galerie. Każdy ich krok wzbijał w powietrze przejrzyste chmurki kurzu, który wirował wokół ich kolan i lepił się do butów i spodni. Powietrze było martwe. Pogrzebano je tu tak dawno temu, że zaczęło smakować jak kamień.

Selbourne nieustannie omawiał coś z najemnikami. Mówili przyciszonymi głosami, ledwie słyszalnymi spod odgłosu kroków. Z ich wystraszonych twarzy Caldan wywnioskował, że próbuje ich uspokoić, pokrzepić.

Zwały kamienia ciążyły nad nimi, tak jak nagromadzone stulecia. Wyraźnie czuło się zalegającą w głębinach pradawność, tak odległą, że aż obcą i dziwną, i nie dało się tego uczucia wyrzucić z głowy.

Caldan jednak nie miał czasu o tym myśleć, bo zajmowało go co innego – Kelhak. Magia. Co to właściwie oznaczało: być liczem. Prawdziwa natura studni i talizmanów.

Korytarz wypełniły zduszone słowa, a wśród nich przekleństwa. Caldan poderwał wzrok i dotarło do niego, że zamyslił się i nie patrzył przed siebie.

Uniósł czarodziejską kulę, ale jej światło nie było w stanie wbić się zbyt głęboko w zalegającą w korytarzu ciemność.

– Przekłęci przodkowie... – zaklęła Felice.

– Musimy iść tędy – powiedział szpon zza pleców Caldana, aż ten podskoczył.

Cisza długo wisiała w powietrzu. Przyciszone rozmowy najemników, arcymagów i Protektorów zlały się w jeden szum.

Przed nimi wynurzyło się z mroku wiele niezniszczonych przez czas drzwi. Płomienie pochodni i czarodziejskie światło kul rozmyły ciemność, podkreślając wyraźnymi liniami cienia wyobrażone na brązowych powierzchniach sceny. Zawile wzory robiły wrażenie pozbawionych sensu.

Drzwi wisiały na mocnych zawiasach. Odlano je z metalu i były grube jak wyciągnięta dłoń Caldana.

– To labirynt – powiedział Aidan ze zdumieniem na twarzy.

Caldan zrobił krok w tył i wpatrzył się w wytrawiony w metalu wzór. Rzeczywiście. W środku każdej drzwi znajdowało się puste koło połączone do wzoru pojedynczą kreską. Caldan podążył za jej konturem do miejsca, w którym wplotła się w gęstwinę kształtów i znaków.

Cesarz przywołał ich do siebie. Oświadczył, że stanie na czele. Zaskrzypiały skóry i zadzwoniły pancerze, gdy najemnicy rozeszli się na boki, by pozwolić władcy przejść.

Felice skrzywiła się i skubnęła kolczyk w uchu.

– Czy Kelhak nie umie... podróżować? – spytała Caldana, machając ręką. – I zniknąć? Robił to już wcześniej. Tak jak my.

Kaptur szpona poruszył się w lewo i w prawo.

Zanim odpowiedział, od czoła doszedł ich głos cesarza:

– Musiałby zużyć znaczną ilość nagromadzonej uprzednio mocy. Ale i tak nigdy tego nie robi. On nie pojmuje, że cokolwiek może mu zagrozić, więc nie ucieknie przed nami. Kiedy dojdzie do walki i znajdzie się w kłopotach, zbyt późno się w tym zorientuje. Jego czarodziejskie rezerwy będą już wtedy wyczerpane.

Caldan pokiwał bezwiednie głową. Miało to sens. Rzemyśliwa Quissa, dla których wzorem był miecz-talizman Protektorów, zablokują tyle studni licza, ile zdołają, a pozostałe, stworzone w oparciu o sztylet-talizman Felice i wiedzę Quissa, wyssa z nich jak najwięcej energii. Z tyloma rzemyśliwami, których zadaniem jest blokowanie i absorbowanie studni, liczą zginie od tysiąca drobnych cięć.

Ale Caldan wiedział dobrze, że życie ma brzydki zwyczaj śmiania się z planów poczynionych przez ludzi. Jak w dominionie, przeciwnicy zwykle mają w zanadrzu dodatkowe ruchy.



Aidan i Caitlyn przeszli wraz z cesarzem przez otwarte drzwi. Ranni arcyomagowie i najemnicy pociągnęli za resztą grupy tunelem i weszli do olbrzymiej komnaty. W pokoju panował dogłębny

bezruch i Aidan miał wrażenie, że przez całą podróż w głąb ziemi nie natknęli się jeszcze na nic tak starego, jak ta sala. Za jego plecami wniknęła do środka reszta drużyny. Dziury w kamiennej ścianie mówiły, że kiedyś były tu drzwi, lecz teraz te stały puste. Czas zrobił tu to, co robi z wszystkim innym: pożarł i zniszczył.

Czarodziejskie kule rzuciły dokoła feerię błysków, ukazując pradawne kamienie pokryte głęboką, nienapotkaną jeszcze przez nich w podziemiach czernią. Jakby wymazane sadzą po wielkim pożarze. Ale czarne łaty były zbyt nieregularne, zbyt rozrzucone po pomieszczeniu. Aidan podrapał chropawy kamień butem. Rzeczywiście, były czymś ubrudzone.

– Jak myślisz, co tu się wydarzyło? – zaciekawiała się Caitlyn.

– Krew – powiedział szpon zza pleców Aidana.

Aidan obrócił się.

– Co powiedziałaś?

Górująca nad nim obszarpana postać obróciła głowę tu i tam, jakby węszyła.

– Krew pokoleń – wyrzekła. – To jest łono. Niewolnicza jama. I cmentarz.

Aidan wymienił spojrzenia z Caitlyn i odsunęli się od stwora, zaniepokojeni jego bliskością.

Poprzysiągł, że gdy już będzie po wszystkim, pozbędzie się go. Takie zło nie powinno chodzić po ziemi między ludźmi.

W środku przepastnej komnaty znajdowały się wielkie kamienne płyty. Dwanaście płaskich brył wyrastało wprost z podłoża, jakby wykuto je wraz z resztą sali. Aidan nie wiedział, do czego mogły służyć. Ku wyższym poziomom komnaty wiodły szerokie kamienne schody. Aidan zostawił Caitlyn i wspiął się na pierwszy poziom.

Podłogę pokrywały płyty rozsypującego się metalu. Gdy dotarł na drugi poziom, przekonał się, że tam jest tak samo. Żelazo skorodowałoby doszczętnie dawno temu, ale ten jaśniejszy metal był bardziej wytrzymały. Aidan schylił się i podniósł kawałek, po czym zmiażdżył go w dłoni na mączkę. Drobne płatki rdzy opadły na podłogę.

– Jakiś stop – powiedział Caldan.

Chłopak szedł za nim i stał teraz na pierwszym poziomie.

– Pradawni wiedzieli o metalurgii więcej od nas. Stworzyli prawdziwe cuda...

– I prawdziwe okropności – dodał Aidan. – Nie zapominaj.

Caldan przytaknęła.

– Jak myślisz, co to było za miejsce?

Aidan poszurał butami po rozłamanej korozją płycie.

– Szpon mówił coś o... o łonie. I kilku innych rzeczach.

– Łono? W jakim sensie?

Nagle Caldan zerwał się z miejsca i zbiegł schodami do miejsca, gdzie z podłogi wyrastały płaskie kamienie. Podszedł do jednego.

Aidan ruszył za nim nieco wolniej. Gdy dotarł na miejsce, Caldan klęczał przy płycie, obmacując jej bok.

– Tu są jakieś wzory – mruknął Caldan do siebie. Ścierał kurz gołą ręką, aż ta zrobiła się szara. Warknął coś, a potem skupił uwagę na górnej powierzchni skalnej sztaby. Zaczął ją wycierać, posyłając w powietrze szare chmurki kurzu. Wciągnął powietrze do płuc i dmuchnął, a spod warstwy pyłu wychyłyły rysunki runicznych symboli.

Jeszcze więcej zła.

– Czarodziejstwo – powiedział Aidan.

– Tak – potwierdził Caldan. – Ta brama, na którą natknęliśmy się wcześniej, ta z rysunkami jukarów, vormagów i szponów... To tutaj ich wytwarzano.

– Jak długo Kelhak miał dostęp do tego miejsca? Kiedy znalazł prowadzącą tu drogę?

Caldan westchnął.

– Nie wiem. Nie wygląda, jakby ktoś tu niedawno był, ale jeśli jest ich więcej i liczą zaczął tworzyć nowych jukarów...

Przerwał im dobiegający z przeciwnej strony pomieszczenia krzyk. Zawtórował mu chór strwożonych szeptów.

Aidan pobiegł do miejsca, gdzie zgromadziła się grupa najemników i arcymagów. Miał świadomość, że Caitlyn i cel Rau śledzą każdy jego ruch, ale się nie przejmował. Na jednym z płaskich gładów leżały wysuszone zwłoki. Choć ich szara, nakrapiana skóra była obkurczona i pomarszczona, dało się dostrzec gołym okiem, że ręce i nogi są znacznie większe od ludzkich. Jukar.

Następne zmumifikowane zwłoki leżały na kolejnych płytach, które ciągnęły się rzędami w ciemność. Ten sam jasny, kruszejący metal ciągnął się gdzieś z ich nadgarstków i kostek.

– Tutaj spotkał je jeszcze bardziej żaloszny los niż tam na zewnątrz – powiedział Aidan. – Dobrze, że to miejsce było pogrzebane przez tysiące lat.

– A teraz zostało odkryte na nowo – uzupełniła Felice. – Po co mu ludzie, skoro dowodzi własną armią straszycieli?

– Wyciągnął wnioski z poprzedniego razu – rzekł Caldan – kiedy usiłował zawładnąć światem Gazii. A ostatecznie zdruzgotał go, przez co stał się dla niego bezużyteczny. On pożąda studni. Potrzebuje ich, żeby mieć pewność, że będzie najpotężniejszą istotą na świecie. Żeby przeżyć.

– To już wiemy – odpowiedział Aidan. – Ale przecież tylko vormagowie mają studnie, jukarowie nie.

Caldan skierował na niego ponure spojrzenie.

– Ale oni nie mają własnych przyrodzonych studni. Ktoś im te studnie daje... po tym, jak wyrwie je z żywego czarodzieja. A więc on nie chce tworzyć nowych vormagów, tylko jukarów. Jukarów, którzy będą bez szemrania wykonywać wszystkie jego rozkazy i którzy z kolei zniewolą nas. A przynajmniej czarodziejów. O to właśnie mu chodzi: o stałą dostawę czarodziejów i ich studni. Jukarowie będą hodować magów jak bydło. A potem studnie zostaną im odebrane, żeby zasilić arsenał studni licza i żeby tworzyć vormagów lub talizmany. Kto wie, może nawet odżywiać się nimi. Niewyczerpany zasób.

– Ale przecież... jeśli będą czarodziejami, to dlaczego nie zbuntują się przeciw jukarom?

– Myślisz, że licza pozwoli któremukolwiek z czarodziejów dożyć wieku męskiego?

– Studnię ma się od urodzenia – wydyszała Felice. – Jeszcze przed urodzeniem. Przekłęci przodkowie...

Przez ciało Aidana przetaczały się fale strachu i odrazy. Tak jak ciężarne kobiety, które uratował, zostały wykorzystane w charakterze rozplodnic, tak ludzie mieli być hodowani dla studni.

A teraz, gdy pomysł został już zaszczepiony, byłoby czystą naiwnością ludzić się, że nikt poza Kelhakiem się na to nie poważy.



Głowę miał pochyloną, ale łypał na cesarza, który zbierał oddział do wznowienia marszu.

Nie wolno dopuścić do tego, aby ktoś wprowadził taki plan w życie.



**K**olejna nowa komnata. Gdzieś w oddali zapłonęło światło. Ognik mignął, jakby coś przed nim przemknęło. Czarodziejskie kule odpędzały ciemność, odkrywając rzędy zniszczonych kadzi podobne do tych w destylarni na górze.

Olbrzymie, okrągłe cysterny wykonane z metalu z domieszką miedzi, teraz obrosniętego zieloną patyną. Tylko że miedź skorodowałaaby przecież dawno temu.

Jakiś inny stop, pomyślał Caldan, przywołując do nogi wilka. Gazija przekazał mu ster po walce z Milczącymi Towarzyszami. Nie chciał ryzykować, że Kelhak wyczuje jego magię.

Caldan obejrzał się na arcymagów i najemników, którzy wchodzili do sali za nim.

Felice zasłoniła nos dłonią.

– Ależ tu cuchnie.

Światelko zgasło.

– Sza! – syknęła na grupę Felice, a po kilku chwilach szuranie stóp, dzwonięcie metalu i skrzypienie skóry ucichło zupełnie.

Cesarz odszedł cicho na bok wraz z Alasdaiem i Florianą.

– Coś przed nami – szepnął Caldan do Felice.

Kiwnęła głową.

– Też widziałam. Dlatego kazałam wam się uciszyć...

Selbourne, odłączywszy się od swoich ludzi, podszedł do nich. Dwa kroki za nim szedł szpon w chmurze stęchłej woni.

Stwór poruszył się i Caldan wyczuł iskierkę magii, ale czy pochodziła ona od samego szpona, czy może od talizmanu, tego nie umiał stwierdzić. Szmaty uniosły się, gdy szpon wyciągnął w górę ramiona. Spośród pół szaty wyłoniły się pazurzaste dłonie. A w każdej z nich widniał sztylet identyczny z tymi, które Caldan widział w posiadaniu Felice i Izaka.

Selbourne wyszeptał kilka rozkazów do swoich najemników, a cesarz poinstruował arcymagów i Dotkniętych. Ludzie rozeszli się, dobywszy broni, a czarodzieje chwycili za rzemyśliwa i talizmany. W obrębie magicznego zmysłu Caldana zajaśniały otwarte studnie i postawione osłony. Rzemyśliwa na szyjach i palcach czarodziejów zalśniły w jego głowie jak gwiazdy na niebie. Felice trzymała się za plecami Caldana, tam gdzie zebrał się także Aidan, Caitlyn, cel Rau, trwający w nerwowym pogotowiu.

W ciemności przed nimi zajaśniały tuziny maleńkich ogników, które wirowały w powietrzu jak świetliki. Zataczały koła, unosząc się coraz wyżej, aż stykały się z sufitem, a wtedy wybuchały, zmieniając się w czarodziejskie kule o wielkiej mocy, które topiły komnatę w ostrym świetle.

Ujawniło ono liczące sobie setki lat pozostałości: gładkie metalowe pojemniki dwukrotnie przewyższające dorosłego

mężczyznę i tak lśniące, jakby wykuto je wczoraj. Wystawały z nich rury, niektóre kończące się w rynsztoku na podłodze, a inne kierujące się wężykiem ku mniejszym pojemnikom. Na podłodze zalegały też rozrzucone kości – sięgające kolan stosy grubszych i dłuższych czarnych gnatów zmieszanych z najwyraźniej ludzkimi kośćmi, białymi jak kreda. Wśród nich polśniewał metal – broń, pancerz i sprzączki pasów, wszystko wykonane z tego samego opierającego się korozji stopu. Szklane urny i słoje wały się między nimi, jedne potłuczone, inne jakimś cudem ocalałe. Nie sposób było ocenić, jakie alchemiczne płyny niegdyś zawierały.

Tysiące lat temu stoczono tu jakąś bitwę. A sądząc po obrazie zniszczenia i ludzkich szczątkach, obie strony konfliktu poniosły znaczne straty.

Cesarz wyszedł naprzód, gdy kolejne kule zapalały się w mroku zalegającym na przeciwległym krańcu sali.

Tam gdzie stał Kelhak.

Doskonała marmurowa statua. Wysoka i budząca podziw. I tak jak Quiss i jego czarodzieje, wydawał się gęstszy niż zwykli ludzie. Stanowił jakąś obcą dla tego świata konfluencję rzeczywistości, która odpychała od siebie jego ciężar lub przeciwnie, przyciągała go ku sobie. Jakby zagarniała dla siebie wiszącą w okolicy materię, jakby nic poza nią samą się nie liczyło.

Oczy wszystkich skupiły się na nim, ściągnął na siebie spojrzenia drużyny niczym wielki magnes.

– Kelhak! – zawołał cesarz. – Przybyliśmy tutaj, aby...

Świetlista aura otaczająca licza zgasła. Cień zdusił postać cesarza, ogarnął go i oblepił jak smoła. Nie rozległ się żaden dźwięk, ciemność po prostu skumulowała się wokół Zerach-Sangura i pochłonęła lśniącą, rzemyslniczą zbroję. Skłębiła się i zamrowiła niczym rój czarnych szerszeni i dopiero wtedy w komnacie poniosło się echo dzikiego, zwierzęcego ryku. Kreatura potężniejsza od konia pociągowego o szarej, cętkowanej skórze pokrytej łuskami. Jej cielsko parowało, jakby przed chwilą płonęła, i spływał z niego ichor. Gdy nozdrzy Caldana dobiegł fetor rozkładu i siarki, uświadomił sobie, że ta istota dopiero co została stworzona.

Ogon bestii, niczym olbrzymi bicz, smagnął szaleńczo, zmieniając dwóch stojących bliżej najemników w skamlące sterty

potrzaskanych kończyn. Wijące się, połyskliwe kończyny sięgnęły do boku stwora, ale on w jakiś niepojęty sposób im się oparł. Bestia uniosła ramiona grube jak pnie drzew, zakończone szponami ostrymi jak miecze. Najemnicy i arcyomagowie rozbiegli się na podobieństwo szcurów dotkniętych światłem pochodni.

Oślepiając jasne włókna wystrzeliły z ciała cesarza, który szamotał się w uścisku potwora. Otworzyły się dziesiątki studni i ściany oraz kolumny wokół nich okryły się magicznymi wykwitami oraz zadrżały, jakby gdzieś blisko trafił w ziemię grom. Arcymagowie krzyczeli i wrzeszczeli, okładając stwora syczącymi biczami. Oszczepy kłuły jego skórę, nie robiąc wiele więcej, niż tylko go rozjusząc.

Jakiś kształt przemknął obok Caldana i szpon włączył się do walki. Przebiegł tak blisko, że ruch powietrza poruszył włosami chłopaka. Srebrne klingi wirowały jak tornado, odrzynając fragmenty pancernej skóry potwora.

Caldan dodał do czarów arcyomagów własny ładunek magii i wrząca krew Dotkniętego rozpedziła się w jego żyłach.

Rozdziawiona paszcza, z której kapąły strugi śluzu, zamknęła się na cesarzu, który zanosił się krzykiem, strzelając magią na oślep. Kły zaskrobały o tarczę władcy. Rozmigotane włókna cięły jak wielkie nożyce, rozdzierając i paląc masywne cielsko.

Alasdair, Floriana, Caitlyn i cel Rau przemykali zwinnym, tanecznym krokiem między miotającymi się kończynami, błyskając mieczami i włóczniami.

– Hej, wszyscy! – zawołał Alasdair. – Ręce, nogi. Uderzajcie w... – Podobne do mieczy szpony rozcięły go na sztuki i upadł na posadzkę, poruszając bezgłośnie ustami.

Floriana zawyla z rozpacz, wariacko uderzając monstrum włócznią. Żarłoczne włókna wisiały nad potworem jak rój szarańczy, tnąc głęboko. Z ran bluzgała czarna krew.

Caldan wlał w niszczycielskie zaklęcia całą swoją moc. Setki cięć naznaczyły łuskowate cielsko potwora, ale nie dość głęboko. Caldan odrzucił rzemyśliwo Mahsonna i zmienił taktykę. Skumulował moc i uderzył w bestię pociskiem czystej, destruktywnej energii. Płomień i gniew, surowa, nieokiełznana energia z jego studni.

Lecz najwyraźniej Kelhak nie miał zamiaru polegać jedynie na potworze, bo w tym momencie z ciemności wypadli Milczący Towarzysze. Najemnicy zakłęli, a arcymagowie wrzasnęli na ich widok i zderzyły się ze sobą ostrza. Zaskwierczała tnąca i zapalająca magia. Mężczyźni i kobiety padali jak muchy. Z wilgotnym plaskiem uderzały o podłogę odrąbane kończyny. Opancerzone postacie siłowały się ze sobą w kurzu, tocząc się po kruszejących kościach. Czarodzieje miotali się pod swoimi tarczami, chlaszcząc wrogów tnącymi włóknami czarów. Mold i jego Protektorzy świecili jak latarnie pośród sztormu splecionych w boju ciał.

– Trzymać szyk! – przekrzyczał kłamor Selbourne.

Ale ilu jego ludzi mogło wykonać rozkaz? Gwardziści Kelhaka rąbali i cięli czarodziejskie osłony, rzucali się na najemników, tnąc i łomocząc broje i uniesioną do walki stal, krzesząc iskry.

Caldan zwrócił się do nich na kilka chwil, tnąc rozpędzoną magią. Broje Milczących Towarzyszy rozpały się do białości. Skóra pokrywała się pęcherzami i spływała z ciała. Wielu padło i nie wszystkich zastąpili kolejni gwardziści.

Żołądek Caldana zaciskał się i rozkurczał. Wzbierały w nim mdłości, mięśnie zaczęły słabnąć i ledwie trzymały go w pionie. Talenty Dotkniętego zaczynały poważnie zużywać jego ciało. Jeden talizman łagodzący efekty uboczne nie radził sobie z tak intensywnym przepływem energii.

Wyczuł gdzieś nieopodal Quissa i Mazoeta oraz ich czarodziejów. Kształtowali coś wielkiego, gdy tymczasem kaskady ognia wznieconego przez arcymagów omywały rozszalałego potwora. I wtedy zgromadzona przez przybyszów magia została spuszczone z łańcucha. Powietrze zawyło.

Kamienna kolumna strzaskała się, obsypując wszystkich drobinami gruzu. Quiss i Mazoet błyszczeli magią.

Niespodziewanie szpon wskoczył potworowi na grzbiet, szybko i zwinnie jak wielki kot. Lśniące ostrza wbiły się głęboko w łeb monstrum.

Tył jego czaszki wybuchł. W powietrze strzeliła chmura krwi i skrawki mózgu, odłamki kości opadły na ziemię, a chwilę później z łoskotem zwała się na nią pokonana bestia.

Caldan sprawdził, co z Felice. Była bezpieczna z Aidanem i Caitlyn, choć wstrząśnięta nie na żarty.

Floriana odskoczyła od potwora. Cel Rau pośliznął się w kałuży krwi i opadł na kolana. Caldan popędził do cesarza. Powietrze przesycone było odrażającym odorem, a kowalostworzona zbroja władcy powgniatana i porysowana.

Ale Zerach-Sangur dźwignął się na nogi, wyszczerzony jak szaleniec.

Nie zwracając uwagi na krew i ciała, skinął szponowi, który wycofał się poza krąg światła.

Zgiełk ucichł. Wszyscy Milczący Towarzysze byli albo martwi, albo unieszkodliwieni. Najemnicy chwiali się na nogach, a ich broń była wyszczerbiona i zbryzgana krwią. Wyprawa pochłonęła już połowę ludzi Selbourne'a, a arcyomagowie wcale nie poradzili sobie lepiej. Quiss stracił jednego lub dwóch czarodziejów, a pozostali wyglądali na zmarniałych i wyczerpanych.

– Kto może chodzić, do mnie! – zawołał cesarz. – Natychmiast! Reszcie opatrzeć rany.

Najemnicy zaczęli łątać towarzyszy, zerkając co rusz na Kelhaka, wciąż stojącego nieruchomo i spokojnie w głębi sali. Cesarz ruszył w jego stronę. W pobliskich tunelach mignęły światła. To nadciągali kolejni Milczący Towarzysze.

Selbourne zawołał:

– Do mnie, chłopcy! Zepchnąć tych drani z powrotem w ciemność!

Opancerzone postacie wychynęły z tuneli, ale najemnicy byli gotowi. Selbourne złapał Felice za ramię i odciągnął ją za mur swoich wojowników, robiąc miejsce dla Aidana, Caitlyn i cel Raua. Cesarz strącił z siebie ręce zatroskanych podwładnych. W jego oczach płonęła złość i determinacja.

– Arcymagowie, na mój rozkaz! – zawołał.

Pozostali przy życiu czarodzieje zebrali się wokół niego, lecz widać było po nich, że są bardzo osłabieni, wykończeni walką i przerażeni.

Dołączyli do nich Quiss i jego ludzie.

Cesarz chwycił miecz, który rzucił na ziemię podczas walki. Była to kowalostworzona broń pokryta runicznym wzorem. Ruszył w kierunku Kelhaka, nie oglądając się za siebie.

Powietrze wokół licza zafalowało jak nad rozgrzaną w czasie spiekoty ziemią i okryła go magiczna tarcza.

Cesarz wskazał mieczem Kelhaka, który stał wyprostowany w obliczu niebezpieczeństwa. Runiczny pancerz Zerach-Sangura połyskiwał w czarodziejskim świetle. Metalowe płyty zbroi okrywały widoczną w szczelinach złotą kolczugę. Długie włosy koloru platyny powiewały, jakby po tunelach hulał wiatr, a usta cesarza poruszały się, jakby miotał we wroga bezgłośnymi obelgami.

Kelhak postąpił krok w stronę cesarza, a gdy się poruszył, lśnienie przebiegło po jego nagim torsie. Kilkanaście lewitujących nad liczem czarodziejskich kul rozbłysło, rzucając na niego niebieskie światło. Kelhak nie miał na sobie ani jednego rzemysliwa czy talizmanu. Ani jednego artefaktu.

Caldan usiłował przełknąć ślinę, choć usta miał suche jak pieprz. Licz był tak potężny, że nie potrzebował rzemysliw. W swojej esencji był czystą magią, duszą, która zniewoliła wiele innych, aby czyniły jej wolę. Ciało Kelhaka było tylko narzędziem w rękach innego bytu. Niczym marionetka. Niezrównany umysł obłąskawiony i zniewolony.

– Trzymajcie go z dala od czarodziejów. – Krzyk Selbourne'a przebił się przez klangor mieczy i wrzaski najemników dających odpór gwardzistom Kelhaka.

– Ik'zvimé – wypluł cesarz, a słowo zabrzmiało jednocześnie jak przekleństwo i bitewne zawołanie.

Kelhak uniósł wzrok i wbił go w sufit, jakby usiłował przejrzeć skałę i ujrzeć niebieskie niebo.

Twarz cesarza wykrzywiła nienawiść. Zabarwiona strachem. Ale tym razem nie ucieknie jak tchórz.

Uderzył.

Caldan w odruchu paniki skoczył do Selbourne'a i otoczył go tarczą, odciągając od eksplozji. Woń cytryny i rozgrzanego metalu zawierciła mu w nosie tak mocno, że omal nie kichnął.

Z ciała cesarza wystrzeliły czarne pasma energii. Ci, którzy dotknęli tarczy Kelhaka, nie zrobili już ani kroku. Zostali wchłonięci i wybuchli płomieniem. Reszta ognia rozeszła się promieniście, zostawiając nadpalone ślady na kamiennej podłodze. Stopiony kamień lał się rynsztokiem, tryskając pomarańczowymi i złotymi



ognikami. Rozżarzony wiatr niósł ze sobą rozpalone drobinki kurzu i kości.

Caldan wyczuwał studnie cesarza, moc płynącą z nich bystrym, rozpędzonym strumieniem, który ledwie dawał się kontrolować. Zerach-Sangur wyciskał z siebie siódme poty. A w ślad za jego atakiem sypały się strzały i oszczepy, rzucone przez najemników uderzonych tarczą Boga-Imperatora, którzy wybuchali i spalali się na proch.

A Kelhak pozostał nietknięty.

Za plecami Caldana magowie Quissa zaprzęgli do pracy swoje rzemyśliwa, usiłując opróżnić i zablokować studnie Kelhaka. Pochłonęły dwanaście, a jednak obsydianowe włókna cesarskich czarów wciąż bezskutecznie smagały niewzruszoną tarczę licza. W tumultie Caldán oddał kontrolę nad wilkiem Gazii i konstruktor skrył się w cieniu.

Moc wyprysnęła z Zerach-Sangura, a z jego ust wyrwał się krzyk.

Liny magicznej energii smagnęły Caldana po tarczy i odczuł, że coś ciągnie go w kierunku Selbourne'a, który wrzeszczał i pluł. Magiczny zgiełk ogłuszał Caldana, dusił wszelkie inne dźwięki. Słowa najemnika pozostały dla niego niezrozumiałe.

Caldan wypuścił pocisk w kierunku tarczy Kelhaka, ale ten zaraz wydał mu się mizerny w porównaniu z niezmierną mocą licza.

Ciemne włókna odbijały się od ścian, śmigwały między kolumnami i ryły w litym kamieniu. Jeden z najemników zawył, gdy zbłąkana wiązka energii cięła go do kości. Inny zaskomlał, gdy kolejna ucięła mu ramię powyżej łokcia. Jedna z arcymagiczek, przekonana o sile swojej tarczy, dał nura naprzód i grzmotnęła o ziemię, gdy półkoliste włókno ucięło jej głowę. Tarcza czarodziejki zgasła. Chlusnęła czerwien, plamiąc szaty pobliskich arcymagów, którzy wzdrygnęli się, gdy gorąca ciecz spływała po ich tarczach.

Wszędzie krzyczeli i zawodzili mężczyźni i kobiety. Magia rozpętała rzeź na tyłach oddziału, gdy tymczasem na czele ścierali się w dzikim boju uzbrojeni w stal wojownicy.

Kelhak wybuchł śmiechem, który zabrzmiał jak chór tysięcy głosów. Niczym jeden krzyk wiecznej udręki dobiegający z wielu gardeł.

Caldan kurczowo trzymał się resztek odwagi, gdy Selbourne ciągnął go po podłodze.

– Nie! – wrzasnął do najemnika głosem, który miał taką szansę przedrzeć się przez zwiłokrotnioną salwę szaleńczego śmiechu, jaką ma suchy liść na pokonanie wichury.

– Jesteś potrzebny na tyłach! – odpowiedział Selbourne. – Inaczej nie damy im rady.

– Nie mogę. Kelhaka trzeba zabić, inaczej wszyscy zginęli na próżno.

Selbourne kiwnął ponuro głową.

– Idź więc. Wytrzymamy.

Ścisnął przelotnie ramię Caldana, a potem obrócił się i ruszył do swoich.

Caldan odczuł dumę, widząc, jak dowódca najemników rzuca się odważnie w wir walki wraz ze swoimi ludźmi, a potem odwrócił się i pomknął w stronę Kelhaka.

Coś trzasnęło i potężna siła wdusiła Caldana w ziemię. Wgramolił się z powrotem na nogi, łapiąc za obolałe żebra. Wyczuł gdzieś blisko Mazoeta i jego ludzi, którzy walili czym mieli w tarczę licza.

Oslona z każdym ciosem wybuchała światłem. Oszałamiającym blaskiem podszytym silnym fioletowym żarem, od którego bolały oczy.

Wszystkie ataki rozpryskiwały się o osłonę Boga-Imperatora, jak fale rozpryskują się o skałę. Krzesaly iskry jaśniejące niczym rozżarzone węgle. Światła wszystkich kolorów padały na ściany galerii.

Pływy mocy wprawiały powietrze w drżenie. A licz ciągle się śmiał.

Dopóki szpon nie wystrzelił naprzód i nie przeniknął bez przeszkód przez jego tarczę, jakby w ogóle jej tam nie było. Caldan wyczuł, że szpon ma otwartą studnię i że bije od niego fala zimna. Licz wrzasnął, gdy czar wysłał z powietrza całe gorąco. Ostre trzaski brzmiały pośród wirów mgły, a kamienie pokryły się warstwą szronu. Srebrzyste ostrza spadły na Kelhaka i rozcięły skórę jego uniesionych ramion.

Huknął grom. Szpon zawył boleśnie i przesywając, gdy fala mocy odbiła go na bok. Potoczył się po podłodze, łopocząc szmatami

i zostawiając na kamieniach ślad krwi. Szpon rozpląszczył się i popęzł przed siebie na rozcapierzonych pazurach, usiłując uciec przed Kelhakiem.

Caldan otworzył studnie i dołączył do natarcia.

Wszystko, czego się nauczył. Każda sztuczka, którą rozgryzł. Każda metoda kontroli destruktywnej magii, którą opanował – wszystko to przepuścił przez rzemysliwo posokowca.

Czarodziejskie włókna przebiły się przez chmurę kurzu opromienioną błyskającymi światłami. Powietrze wyło. Blask zakazanej magii pokrywał wszystkie powierzchnie.

Tarcza Kelhaka jęczała. Fioletowe i czerwone iskry były w powietrze zbitymi chmurami i przeglądały się w rozfalowanej osłonie licza jak w lustrze. A cała ta nawałnica niszczycielskiej magii nawet jej nie wyszczerbiła.

Arcymagowie i ludzie Quissa wysysali energię ze studni licza.

Magiczny pył wyzierał z niego i sunął ku nim niczym macki ogromnej ośmiornicy. Smugi magicznej mocy ściągane ponad bitewną gęstwiną do rzemyslniczych magnesów. I choć cynobrowy blask studni licza przygasał, to nie wystarczyło, żeby opadł z sił. Był znacznie silniejszy, niż im się zdawało. Pewność siebie, jaką prezentował cesarz, okazała się jedynie maską. Przybył tutaj tylko dlatego, że nie miał wyboru. To była walka na śmierć i życie, której i tak nie mógł uniknąć.

A kiedy licz otrząśnie się z ich natarcia, tak jak otrzepuje się pyłek z szaty, a oni staną przed nim, wycieńczeni, on wciąż będzie tak silny jak przed rozpoczęciem walki i wchłonie ich wszystkich za jednym zamachem. A wszystkie studnie, które przyblokowali i z których uszczknęli część ich niezmierną mocą, znów staną się w pełni dostępnym dla niego arsenałem zniszczenia.

Cesarz znów wydał z siebie bitewny okrzyk.

Odpowiedzią były ciemne magiczne włókna, które pomknęły mu na spotkanie.

Mroczne, lecz oślepiające, zabójczo precyzyjne i piękne.

Tarcza cesarza załamała się pod ich naporem. A one przecięły metal, ciało i kość. Zerach-Sangur, władca Cesarstwa Mahruzańskiego, zachwiał się i padł na podłogę. Mięso zsunęło się

z kości i trysnęła krew. Intensywny żar poczernił i zwęglił to, co z niego zostało.

Caldanowi zdawało się, że w zgiełku bitwy brzmi żałobne wycie arcyomagów. Z ust Caitlyn wyrwał się wrzask. Rzuciła się na Kelhaka, unosząc miecz nad głowę. Wtedy wpadł w nią cel Rau i obalił. Przetoczyli się w kurzu, Caitlyn zaczęła kopać i drapać szermierza, który usiłował powstrzymać ją przed samobójczym atakiem. Cel Rau przycisnął ją do ziemi i unieruchomił jej ramiona, a wtedy ona kopnęła go w krocze.

Upadł na bok i Caitlyn wysunęła się spod niego. Zerwała się na nogi, porwała miecz i ruszyła na Kelhaka, wrzeszcząc coś niezrozumiale. Cel Rau sięgnął do niej ręką...

Świetlisty piorun wystrzelił od strony Kelhaka i trafił w Caitlyn, po której została tylko chmurka czerwonej mgły. Jej miecz zadzwonił o kamienną podłogę. Jej walka ze złem dobiegła końca.

I zło wygrało.

Zniewalająca magia wystrzeliła z ciała licza i owionęła Quissa oraz jego czarodziejów. Mag padł na ziemię, jakby ktoś podciął mu nogi toporem, Mazoet także, krzycząc i trzymając się za głowę. Rwał z niej włosy garściami. Czarodziejski atak na studnie licza uciął się natychmiast.

Caldan pełzł po zimnych kamieniach, kierując się w stronę powalonego Quissa, który leżał na ziemi, jęcząc agonalnie. Kawalek dalej z oczu i uszu Mazoeta lała się krew. Usta grubasa otworzyły się do krzyku, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Jaśniejący ognek wyrwał się z jego głowy i pomknął ku Kelhakowi. I dołączył do pozostałych studni w skłębionym malstromie mocy. Mazoet zwiotczał i opadł na posadzkę. Drgnął raz, a potem zamarł z martwymi oczami wbitymi w sufit.

Wieloraki ryk licza grzmiał w uszach Caldana.

– Nie wiecie, co robicie. Ale wybaczam wam. My wszyscy wam wybaczymy. Chodźcie, dołączcie do mnie. Dołączcie do nas.

Och, na przodków. Rzucili się na zbyt głęboką wodę. To dla nich za wysokie progi. Pewnie wszyscy są już martwi.

Mold siedział pośród zmasakrowanych Protektorów. Wszędzie wały się poszarpane ochłapy czerwonego mięsa, z których sterczały białe kości. Mistrz mrugał, wodząc po nich otępiłym

wzrokiem, jakby nie wierzył w to, co widzi. Przyłożył jedną dłoń do podłogi i dźwignął się chwiejnie na nogi, a potem utkwiał wzrok w prawie niewidzialnej barierze otaczającej Kelhaka. Choć była obszerna, to nie tak wielka jak sufit nad nimi.

Nie udało im się nawet dotrzeć do tarczy, a już zostali zdziiesiątkowani.

Mold wrzasnął, a był to krzyk, który wzbudził się w głębi jego duszy, przepełniony gniewem i rozziewający gardło.

Kelhak obracał się wolno wokół własnej osi, jakby czegoś lub kogoś szukał.

Jego spleciony z wielu głosów krzyk odbijał się echem wśród ścian, podkreślając to, jak obcy i wynaturzony był w tym świecie, do którego trafił.

Mold zrobił krok w kierunku tarczy, ściskając w ręku swój miecz. Jego cień włókł się za nim niczym mokra, czarna peleryna, gdy zbliżał się do jaśniejszego światła Kelhaka.

Caldan wiedział, że wysiłki mistrza na nic się nie zdadzą. Tarcza odbije wszystkie jego ciosy. Mold nigdy jej nie przebije, jego miecz nigdy nie dosięgnie licza.

Ostatni pozostały przy życiu Protektor zatrzymał się na obrzeżu tarczy i wpatrywał się w nią zdziczałymi oczami gorejącymi w wykrzywionej jak u szaleńca twarzy. Mold krzyczał coś, ale słowa zagłuszył magiczny szum. Uniósł pięść, chcąc uderzyć w tarczę.

A jego ramię przeszło na drugą stronę.

Fioletowa magia oblepiła je jak farba. Moldem targnęły konwulsje, ścięgnią szyi napięły się jak postronki. Ciało zaczęło spływać z kości, skapywać na kamień, barwiąc go organiczną wilgocią. Mold wył, drobił nogami, usiłując wyrwać się z uścisku tarczy, ale nie mógł. Wystrzelił z niej jęzor żrącego płomienia i ogarnął go całego. Trzasnęły łamane kości.

Felice krzyknęła z przerażenia.

Mold padł na ziemię bez ducha. Miecz-talizman osunął się na ziemię i tam znieruchomiał. Z pozostałości ciała mistrza Protektorów wydobyła się jasna iskra i uniosła, a potem pomknęła w stronę Kelhaka. Bóg-Imperator zaśmiał się znowu, już nie tak głośno, ale dźwięk i tak dobiegł uszu Caldana tam, gdzie kłęczął na kamieniach.

Splot wielu głosów był tak różnorodny i doniosły, że odbił się echem w kościach Caldana.

Iskra zawierała studnię i to, co zostało ze świadomości Molda. Popłynęła w powietrzu i wniknęła w Kelhaka, zasilając arsenał jego studni. Stając się jedną z wielu. Zastępując którąś z tych, której go pozbawiono.

Caldan trząsał się cały.

Nawet jeśli jego ciało jakoś przeżyje ten dzień, to wiedział, że jakąś cząstkę siebie utraci dziś bezpowrotnie. Kelhak, licząc, był wynaturzeniem, zwyrodnieniem w tkance tego świata, która rozprzestrzeniała się jak zaraza. Był jak wrzód zagarniający coraz to nowe polacie zdrowego organizmu, potwór, któremu nie wolno pozwolić żyć. Caldán niemal bezwiednie przywołał do siebie wilka, a ten wyłonił się z ciemności i stanął obok. Z tyłu wciąż brzmiał szcęk oręża. Selbourne i jego najemnicy nadal bili się z Milczącymi Towarzyszami i Indryallanami, którzy wyłaniali się z tuneli.

Towarzysze Caldana przelewali krew i ginęli, żeby dać mu tę jedną szansę.

A Caldán chciał już tylko jednego: przeżyć. Jednak widząc przed sobą licza we własnej osobie i wiedząc, że on wcale nie potrzebuje ciała, że to tylko pozostałość po wyniszczonym istnieniu, rozumiał, że jego życie jest niczym wobec tego, jak ważne jest powstrzymanie Kelhaka.

Żył jeszcze nadzieję... bo chyba nikt nie pogrzebałby jej zupełnie. Ale też targała nim rozpacz.

Caldana wypełniła gorąca, paląca potrzeba doprowadzenia sprawy do końca.

Najemnicy walczyli ze wszystkich sił, szcęk stali wypełniał całą komnatę. Klingi i główne wcinały się w skórę i ciało, krzeswały iskry w zetknięciu z bronią i zbroją przeciwnika. Między ścianami odbijało się wycie i bitewne okrzyki. Caldán wyczuwał ich wszystkich, słyszał rytm ich serc, szuranie butów po kamiennej podłodze, wzbijających chmurki kurzu, które jeszcze pozostały nietknięte, które nie zmieniły położenia od tysięcy lat. Kolejni najemnicy padali na ziemię, a ich szeregi rzedły. Selbourne kupował mu odrobinę czasu, płacąc straszliwą cenę.

Między Caldanem i liczem stały kamienne kolumny. I ta okropna tarcza.

Odporny na magię destruktywną Kelhak pozostawał nietknięty. Jediną oznaką jego słabości była lekko zredukowana masa studni. Ale wciąż było ich tak wiele... Za Caldanem błysnęło światło, z początku niepewnie, a potem zajaśniało z mocą i już nie gasło. Czarodziejskie kule zepchnęły mrok bliżej ścian. Quiss odzyskał dość sił, by dołączyć do pozostałych przy życiu czarodziejów.

Caldan czuł, jak z ciemności wyłaniają się następne magiczne płomyki. W licza uderzyły kowalostworzone rzemyśliwa, odzierając go z kolejnych studni, wyrrywając je z jego drapieżnego uwiązania.

Kelhak stał nieruchomo. Uśmiech grał na jego wargach. Wtedy rozległ się upiorny głos Boga-Imperatora:

– Przyjdźcie do mnie wszyscy. We mnie zaznacie spokoju.

On myśli, że już przegraliśmy, rzuciło się na myśl Caldanowi. Bo i czemu miałyby tak nie myśleć? Za studniami wyrwanymi z licza niósł się okropny fetor, przypominający zapach gnijącego trupa.

Caldan podszedł do skraju tarczy licza i chwycił za miecz-talizman, który leżał tam, gdzie upuścił go Mold. Otoczył się tarczą, ale nie przekraczał bariery, jaka oddzielała życie od śmierci.

Nie mógł poważić się na ryzyko postawienia własnej tarczy przeciw tarczy Kelhaka. Gdzieś za jego plecami Selbourne ostrzegł go krzykiem.

Caldan ścisnął mocniej miecz-talizman Protektorów, aż zapiekła go ręka. Dłoń w rękawicy zacisnęła się na rzemyśliwie Mahsonna, lecz Caldan odkrył, że nie musi już mieć fizycznego kontaktu ani z nim, ani z innymi swoimi artefaktami. Jego moc i umiejętności znacznie się rozwinęły, a on zdążył dobrze je poznać. Jego tarcza. Konstruktor. Broń posokowca.

Podłączył się do tej ostatniej.

Dziesiątki włókien okładały tarczę Kelhaka. Sto punktów światła jaśniało tam, gdzie były w jej lśniącej powierzchni. Fioletowy poblask skonsolidował się i buchnął oślepiającym światłem, zakreślając trupy leżące na kamieniu jasnym konturem.

Bariera skurczyła się, gdy kaskada ogników rozproszyła się po marmurowej powierzchni, a potem przybrała na mocy.

Ledwie ją zarysował.

Kelhak smagnął swoją magią, kierując jej strumień na Caldana.

Ale ta rozprysła się o tarczę postawioną przez czarodziejów Quissa.

– Długo już nie wytrzymamy. – Quiss przekrzyczał zgiełk. Caldán poczuł na ramieniu czyjąś rękę. Felice. Podniosła na niego wzrok.

Twarz miała umorusaną i mokrą od potu. Wcisnęła mu coś do ręki.

Kościane pierścienie.

– Użyj ich – powiedziała głosem nabiegłym rozpaczą. – Musisz spróbować, inaczej po nas.

Caldan przełknął ślinę i zacisnął dłoń na kościanych talizmanach.

Teraz było mu o wiele łatwiej odnaleźć ukryty zniewalający łącznik, odcyfrować ich wewnętrzną konstrukcję, gdy ta wypełniła się jego mocą.

Zaczerpnął tchu i uderzył w Kelhaka tą samą magią, za której użycie zabił Devenisha.

Ciemność okryła tarczę licza, gdy kielkująca oczyszczona ziemia zaczęła wysysać życie z wszystkiego, czego dotykała. Osłony licza eksplodowały światłem, a poblask magii pokrył wszystko żrącym, świetlistym pyłem. I tarcza skurczyła się znowu, lecz tylko po to, by znów zagarnąć więcej przestrzeni, gdy Kelhak jakimś sposobem oparł się działaniu oczyszczonej ziemi.

Caldan otworzył następne studnie. Cztery. Osiem. Wydzielił z nich strumienie i zaczerpnął potężnie mocy. Kolejne magiczne uderzenia. Caldán ciął ze wszystkich sił, uderzając w wiele miejsc naraz, chcąc przełamać osłonę licza. Z każdym uderzeniem krystalizował się skrawek oczyszczonej ziemi. Jeden po drugim.

Oślepiające błyski zasypywały plamami światła wszystkie powierzchnie, rozganiając cienie, a przestrzeń wokół brzmiała hukami gromów. Studnie Caldana zasypywały tarczę Kelhaka kanonadą ciosów, usiłując ją przełamać. Roziskrzony lodygi śmigły w powietrzu, sycząc jak wściekłe węże. Buchały płomienie. Kamienne płyty najbliższej tarczy popękały i pokruszyły się pod naporem mocy, pryskając w powietrze drobnymi odłamkami i pyłem. Wojownicy i magowie wyli z przerażenia. Ich krzyki świdrowały Caldánowi w uszach.

Ale nie ośmielił się przestać.



Moc zmagala się z mocą. Magiczne bryzgi znaczyły kamienną posadzkę.

*Nie przestawaj* – zagrzewał go Gazija.

Caldan kiwnął głową. Z jego czoła skapnęły krople potu. Wiedział, że Gazija go nie widzi.

Spróbował czegoś innego: ukształtował skoncentrowaną magię, tego samego rodzaju, jak kiedy uciekł z katowni Thenny. Zmodyfikowaną przez kościane pierścienie, które dzieliły smugi na segmenty.

Rozpalone włókna, ostre jak brzytwy, piłowały tarczę. Kotłująca się błyskawica pełzła po ziemi i wciskała się w szczelinę między tarczą a kamieniami, usiłując splugawić sanktuarium licza. Moc biła w nią jak fale przypływu i spływała niczym krwawe zacieki. Zwłoki dymiły i czerniały w oczach. Selbourne krzyczał z bólu. Caldan wyczuł, że najemnicy cofają się od Milczących Towarzyszy, a potem zbijają w ciasną gromadę.

Nabrał jeszcze więcej mocy, czując na sobie jej żrące działanie. Tarcza Kelhaka zadrżała. Na krótką chwilę zbladła pod natarciem Marnotrawców Życia. A licz oderwał uwagę od wszystkich dokoła.

I skupił ją na Caldanie.

Kelhak skrzywił się i przechylił głowę na bok. Przypatrywał się Caldanowi, jak zaciekawione dziecko mogłoby przyglądać się owadowi. Narosła w nim moc, skumulowany pływ magii, tak potężny, że ośmieszał wszystko, co Caldan wyczuł kiedykolwiek magicznym zmysłem.

Druzgocące uderzenie wbiło się w niego, załamało na jego tarczy. Umysł chłopaka zachwiał się pod tym naporem, który rzucił jego ciało na ziemię. Zatoczył się, na moment gubiąc koncentrację, ale zaraz nadzwyczajnym wysiłkiem woli wtłoczył do tarczy olbrzymią ilość pozyskanej ze studni magicznej energii.

Dźwignął się na nogi i cisnął w Kelhaka sekwencją magicznych pocisków. Szarpnął się, ogarnięty wściekłością, wlewając potoki mocy w kolejne ataki.

I poczuł, jak nieustępliwa materia tarczy licza ugina się pod ich naporem. Nie było to wrażenie zakorzenione w fizycznej naturze rzeczy, ale coś ściśle połączone z samą materią życia.

Rozdarcie czasoprzestrzeni.

Zdruzgotanie.

Znalazł się na progu drugiego Zdruzgotania. Jego walka z liczem zaczęła rozwarstwiać tkankę rzeczywistości.

Na dnie serca Caldana zakiełkowała rozpacz. Odciągnął trochę mocy. Zrozumiał, że próbując zabić Kelhaka, zniszczy świat. Nie był lepszy od Devenisha, którego zabił właśnie po to, żeby do tego nie dopuścić. Po prostu nie mógł tego zrobić.

Zawahał się...

Wywrzeszczał coś, ale nie wiedział co. Modlitwę. Błaganie. Wyzwanie.

Kelhak zrobił krok naprzód. Ich spojrzenia spotkały się i swój rozpoznał swego.

Licze.

Jeden z nich słabszy od drugiego. A więc ofiara.

Wilczy konstrukt Caldana wypadł z mroku i pomknął po kamiennej posadzce. Drapał ją pazurami, nie mogąc uzyskać przyczepności. Uchwycił się go Milczący Towarzysz, owinął ramionami kark wilka. Siedzący wewnątrz Gazija posłał symulakrum prosto na tarczę licza. I przez nią. Pancierz i ludzkie ciało stopiły się i spłynęły na ziemię, a szkielet gwardzisty rozsypał się, terkocząc na kamieniach. Żrąca tarcza Kelhaka okryła konstrukt, topiąc jego metalową powierzchnię. Fragmenty płyt zajaśniały czerwienią. Rzemyslniczy metal topił się i kapał na podłogę, zostawiając po sobie wyraźne ubytki.

Wilk parł naprzód, dopóki nie załamały się pod nim nogi. Wtedy rozpadł się jego nadzarty gorącym pancierz.

Gazija wytoczył się z wilka, machając runicznymi kończynami. Wraz z nim rozsypały się po podłodze kowalostworzone dyski na złotym łańcuchu.

Caldan przestał uderzać w magiczną kopułę, żeby zebrać siły. Tarcza wróciła do pierwotnej formy, tak silna jak przedtem. Kelhak oderwał od chłopaka wzrok i przeniósł spojrzenie na Gaziję.

Człekokształtny konstrukt wstał na nogi. Mierzył niespełna dziesięć cali. Pobiegł, ale nie w kierunku Kelhaka. Układał na ziemi okrąg ze złotego łańcucha.

– Trzymać szyk! – ryczał Selbourne.

Dowódca i jego pozostali przy życiu wojownicy utworzyli półkole za Caldanem wraz z Felice, Florianą, Aidanem i cel Rauem. Milczący Towarzysze nie przerywali ataku, siekąc i rąbiąc jak opętani. Krew lała się jak wino, bryzgała na twarze, ramiona, piersi i nogi. Ludzie zaczęli się ślizgać. Szczęk żelaza niósł się echem, krzesaly się iskry, opromieniając wykrzywione w morderczym grymasie twarze.

– Trzymać szyk! – wołał dalek Selbourne.

Najemnicy kupowali mu czas. Chronili go przed gwardzistami Kelhaka.

Caldan poczuł, że moc Gazii zaczyna rosnać. Usłyszał brzęczenie magii czarodzieja.

Wewnątrz żrącej tarczy Kelhaka stary mag rozrzucił swoje metalowe ramiona i cisnął w licza połyskliwą magią. Lśniące włókna uderzyły w potwora, a on wzdrygnął się pod ich naporem. Ale włókna napotkały kolejną okrywającą jego ciało tarczę, barierę przezrystą jak powietrze.

Mglista kopuła otaczająca licza znikła, rozpuściła się, gdy Kelhak przekierował swój energetyczny surowiec do drugiej osłony zaraz przy ciele. Momentalnie zassał do środka całą wyrzuconą poza swój obręb moc i otworzył kolejne studnie.

Caldan postąpił w jego kierunku, potem zawahał się i obejrzał na Selbourne'a i jego ludzi. Szyk rozrywał się pod naporem wroga.

Nie ma już czasu, pomyślał. A zaraz potem: musi się znaleźć.

I rzucił swoją magię na Milczących Towarzyszy. Owionęło ich połyskliwe zniszczenie. Wrzeszczeli, machali ramionami i ginęli. Ich ciała skręcały się i pękały, a zmasakrowane trupy powiększyły rozrzuconą po podłodze jatkę.

Rzeczywistość zgęstniała wokół Kelhaka, gdy ze sto studni otworzyło się jednocześnie.

Gojące powietrze owionęło Caldana jak powiew pustyni, paląc jego skórę. Zwrócił się z powrotem do licza i zobaczył, jak mechaniczne ciało Gazii nadtapia się pod naporem rozłomotanych świetlnych pocisków. Ale on też trzymał się dzielnie.

Caldan puścił się biegiem w kierunku Kelhaka, wydzielając ze swoich studni tyle strumieni, ile tylko potrafił.

Gorzki zapach cytryn i rozżarzonego metalu wypełnił mu usta i nos. Przeraziła go już sama liczba aktywnych strumieni i przełknął

ślinę, niemal krztusząc się ostrym, siarkowym fetorem. Magia licza wprawiała w drżenie wszystkie kości w ciele chłopaka.

Zakołysał się na nogach, a w jego głowie wzbudził się tępy ból. Ale był już blisko. Fale gorąca były w licza od strony Gazii. Konstruktor szarpnął się i zrobił jeszcze kilka kroków. W jednej ręce trzymał złoty łańcuch, a do przeciwległego końca miał już tylko parę kroków.

Kamienie pod jego metalowymi stopami płonęły i tryskały migoczącymi ognikami. Ale kowalostworzone ciało Gazii jakoś jeszcze opierało się potężnym czarom.

Przynajmniej na razie.

Wiedząc, że nie ma czasu do stracenia, Caldan podłączył się do jak największej liczby pokrytych runami dysków, sięgając w przód strumieniami, znajdując łączniki i kotwice, wtłaczając w nie moc drogą runicznych wzorów, wyrysowanych w oparciu o znaki na mieczu-talizmanie, który ścisnął teraz w dłoni.

I odebrał liczowi studnie. Dziesięć. Dwadzieścia. Pięćdziesiąt.

Wciąż za mało.

Gdyby wyrwali mu jeszcze sto, może wtedy miałby szansę. Caldan zagryzł zęby i pootwierał kolejne studnie, wydzielając z nich jeszcze tuzin nowych strumieni i zagarniając więcej mocy licza.

Nadal za mało.

Kelhak uderzył w Caldana świecącymi oczami. Przez kilka uderzeń serca wpatrywali się w siebie.

W tej chwili Gazija dotarł do końca łańcucha i złączył z nim drugi koniec, który trzymał w ręku. Zespolił je za pomocą magii i na całej długości wypełnił się światłem zawył rysunek run grubości włosa.

Caldan zaryczał i natarł naprzód, gdy rozplómięte młoty spadły na jego tarczę. Zwalił się na niego wielki ciężar, aż odchylił się w tył, a jego tarcza wybuchła rojem połyskliwych ogników. Rzemyśliwo jęczało z wysiłku, zmagając się z ułamkiem mocy Kelhaka. Rozpędzona krew szumiła Caldanowi w uszach. Żar spenetrował podeszwy jego butów i zaczęły dymić.

Wszedł do środka okręgu zakreślonego złotym łańcuchem i wpompował do niego moc. Obce strumienie połączyły się z jego własnymi – to Gazija zasilił rzemyśliwo swoją energią.

Rzeczywistość skręciła się i nałożyła na siebie. Nagły powiew wiatru szarpnął ubraniem Caldana.

Grunt oderwał się mu od stóp. Żołądek Caldana zacisnął się, zbuntował przeciwko temu obcemu wrażeniu.

Upadł, wzbijając chmurę kurzu.

Wiatr ustał.

Caldan zacisnął palce na suchych liściach i tysiącletniej ziemi, a kościane pierścienie wysunęły mu się z dłoni.

Jego studnie zniknęły.

Świdrujący jęk poraził uszy Caldana.

Licz.

Caldan zaśmiał się słabo, usiłując zebrać się do kupy. Z trudem dźwignął się na nogi. Stał w środku koła oczyszczonej ziemi w dzielnicy parkowej. Czarnej plamy szpecącej krajobraz, pozostałości po wynaturzonej magii, za pomocą której zniszczono wszelkie życie na świecie. Dojmujące wrażenie zła napierało na jego zmysły.

Po jego prawej leżał konstrukt Gazii. Powykręcany i nadpalony. Caldán oderwał wzrok i skierował go na Kelhaka. I zderzył się ze skierowanym wprost na niego spojrzeniem licza. Jego usta były otwarte, jakby niezupełnie wierzył w to, co się dzieje. Uniósł drżące ręce i wpatrzył się w nie.

– Nie może być – wymówił słowa przepełnione strachem i trwogą.

Caldan raz jeszcze spróbował otworzyć studnie, ale te były niedostępne.

– Caldán! – Skądś daleko po prawej stronie dobiegł go krzyk Mirandy. Zaryzykował szybkie zerknięcie i dostrzegł jej twarz daleko za kołem oczyszczonej ziemi.

Jedną ręką Kelhaka opadła do boku, gdzie miał przy pasie sztylet, a druga zacisnęła się na niej, nim klinga do połowy wysunęła się z pochwy. Ściągnął brwi, a potem na jego twarz wypłynął gniewny grymas, który przeszedł w półuśmiech. Warknął, zmagając się z własnym ciałem.

A potem zrobił krok w kierunku obrzeża oczyszczonej ziemi. Jęcząc z wysiłku, powłókł po ziemi drugą stopę.

Kelhak. Ten prawdziwy.

Wciąż był tam w środku. Ten sam Kelhak, który uczył się w klasztorze. Który wygrał turniej dominionowy na Święcie Jesieni,

a potem porzucił Anasomę, by szukać szczęścia w szerokim świecie. Całkiem jak Caldan. A teraz Caldan także był liczem.

Licz zawładnął ciałem Kelhaka, ale w tym miejscu, gdzie nie pętała go już magia, Kelhak postanowił spróbować się uwolnić.

Studnie Caldana wiły się w jego głowie niczym złapane w strumieniu ryby; gdy usiłował je pochwycić, wyslizgiwały mu się z uścisku. Złapał mocniej jedną ze studni, potem drugą. Pot zalewał mu oczy, ale zdołał je ująć chyba samym wysiłkiem woli. Ale im więcej ich obejmował, tym trudniej było wszystkie utrzymać.

A licz miał ich setki.

Nagle barwne iskry wystrzeliły z głowy Kelhaka. Uniosły się, by zaraz opaść po spirali, gdzie wniknęły w oczyszczoną ziemię. Kelhak zadrżał i zaczął chrapliwie dyszeć.

To musiały być studnie i wszystko to, co zostało po dzierzących je niegdyś czarodziejach. Otchłań oczyszczonej ziemi odkrywała przed Caldanem całą zaabsorbowaną przez licza moc. Ale jeśli Kelhak się stąd wydostanie, zaraz zacznie gromadzić nowe studnie.

A Caldan nie mógł na to pozwolić.

Zrobił krok w kierunku Kelhaka.

Człowiek, licz, spojrzał na Caldana, gdy ten szedł w jego stronę, sam wciąż sunąc ślamazarnie ku krawędzi.

– Nie, nie, nie... – Kelhak dyszał, walcząc o oddech. Kolejny ognik uniósł się z jego głowy i zniknął w ziemi, a zaraz po nim dwa kolejne.

A potem licz wbił w Caldana spojrzenie.

– Zabij mnie – powiedział. – Nie! Nie rób tego. Mam moc, my dwaj mamy moc. Wiemy dość o magii, by uczynić cię bogiem. – Jego rysy skrzywiły się. – Nie słuchaj go. Zabij mnie, szybko. – Dziki ryk wyrwał się z ust Kelhaka. – Nieee!

Kolejny mozolny krok.

Śliską od potu dłonią Caldan ujął rękojeść miecza Protektorów. Tak mocno, że zabolowały go palce. Simmon błagał Caldana, by ten go zabił, ale on nie był w stanie. Wtedy był słaby. Jednak teraz...

Przełknął ślinę i ruszył na licza, który kroczył coraz szybciej.

Kolejne płomieniste ogniki uwalniały się z jego głowy i wnikały w pustkę.

Ostry ból poraził umysł Caldana, gdy uwolniła się jedna z jego studni. Zachwiał się, wyrzaskując coś, co nie przypominało słów.

Cierpiąc ból, czuł jednocześnie mrowienie w pozostałych studniach, które zaraz ustało, gdy uspokoił je siłą woli. Mocniej ujął miecz, zmuszając się, by iść dalej.

Kelhak jęczał. Okładał się po głowie. Kolejny powolny krok, i kolejny.

Może Gazija miał rację? Licz jest za sprytny. Ma zbyt wielką wiedzę. Sam jest po części magicznym bytem. Nie da się go zabić. Istniał tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. Caldan nie wiedział, nie był pewien, czy dobry.

Uniósł miecz-talizman, którego klinga przypominała rzekę księżycowego światła. Kelhak prześledził wzrokiem zakreślony przez ostrze łuk w powietrzu, a na jego twarzy pogarda walczyła z determinacją.

Caldan sięgnął do licza swoją kowalostworzoną rękawicą. Całą jej powierzchnię pokrywała płatanina symboli. Czarodziejskie runy i klejnoty błyszczały mocą wydobytą z rezerwuaru, który wprawił w rzemyśliwo.

Kelhak zasyczał, tryskając śliną. Nie przestawał sunąć niestrudzenie przez oczyszczoną ziemię.

Caldan otworzył dłoń w rękawicy.

– Nie – powiedział Kelhak z wykrzywioną upiornie twarzą. – Zrób to.

Caldan przystąpił do Kelhaka, który zaczął kopać, okładać go pięściami i wrzeszczeć.

Caldan sparował ciosy i wbił miecz głęboko w jego pierś. Ręce porwały się do ostrza i ścisnęły mocno. Krew lała się z ust licza jak wino. Migotliwe światła wystrzeliły mu z głowy jak spłoszone motyle, wirując i skacząc w powietrzu.

Jednym szybkim ruchem Caldan przyłożył rękawicę do twarzy licza.

Kończyny Kelhaka drgnęły i zaszamotały się. Kolana ugięły się pod nim, a Caldan nie odejmował rękawicy od jego twarzy, gdy Kelhak osuwał się na ziemię. Zrobiła się osobliwie zimna i drżała od mocy. Caldan niemal zaszłochał z ulgi. Zadziałało i zgromadził dość czarodziejskiej energii w swoich buforach, by działała przez jakiś czas nawet w neutralnej magicznie przestrzeni oczyszczonej ziemi.

Świetliste drobinki gromadziły się wokół głowy Kelhaka wielką połyskliwą chmurą. Wirowały i kłębiły się, formując spiralę, gdy zaczęła ściągać je do siebie rękawica. Niektóre ogniki – czarodzieje – wydostały się z pola rękawicy i opadły ku ziemi, gdzie znikaly, buchając iskierkami, ale większość została wessana do magicznej rękawicy.

Kolorowe punkciki wnikały w nią, a klejnoty błyskały wewnętrznym światłem, więżąc je w swoich podwojach. Kelhakiem wstrząsnęły drgawki i niemal oderwał od siebie rękę Caldana, ale chłopak trzymał mocno.

Rzemyśliwo wysysało z Kelhaka moc, obłaskawiało ją i więziło na zawsze.

Nie minęło wiele czasu, a pochłoneło ostatnią drobinę.

Wtedy Kelhak wyrzucił resztki powietrza z płuc. I znieruchomiał. Gapiąc się na Caldana pustymi oczami.

Gdzieś słyżał krzyki, dobiegały z daleka, a potem z bliska.

Miranda.

Chłopak siadł na ziemi i z namacalną ulgą oderwał rękawicę od twarzy Kelhaka, a miecz wydobyl z jego piersi. Jedno i drugie lśniło czerwienią, a drogie kamienie połyskiwały życiem, które wchłoneły – czarodziejami lub tym, co z nich zostało. Ich studniami. I świadomością licza.

Rękawica nie była już srebrna, lecz nadpalona i czarna jak noc. A sam metal tak zimny, że powietrze wokół niego zapełniało się parą. Ten artefakt był wszystkim, czego Caldan się obawiał – wynaturzeniem, które nie miało prawa istnieć. I odbiciem tego, czym był on sam.

Caldan położył się na ziemi i samymi nogami odepchnął się od zwłok Kelhaka. Od całej tej żrącej magii okropnie bolała go głowa. Jego studnie były zablokowane. Nie wiedział, czy przepuszczając całą tę moc przez swój umysł, wyrządził sobie jakąś nieodwracalną krzywdę, ale przynajmniej liczył był uwięziony.

Uwięziony.

Nie zabity, nie unicestwiony. Jego esencja wciąż żyła. Moc wielu ukradzionych studni także. I cała jego czarodziejska wiedza.

Znajdą się tacy, którzy byliby gotowi zabić za taki artefakt. Pozbawieni skrupułów czarodzieje, którzy nade wszystko pragnęli



mocy. Arcymagowie.

I ktokolwiek, kto obejmie tron po cesarzu.

Dlatego właśnie Gazija pchnął Caldana w tym kierunku. Żeby odebrać mu wybór. Pozbawić go bezpiecznej przystani.

Rzemyśliwo nie mogło tu zostać. Nie było tu bezpiecznie. I Caldan też nie mógł tu zostać, bo go zabiją. Dwie pieczenie przy jednym ogniu. Tak zaplanował to sobie Gazija.

Caldan zaśmiał się wątle, na ile miał siłę się śmiać. Wciąż był marionetką na sznurkach innych.

Zamknął oczy, znosząc ból ciała i umysłu. Mięśniami targały spazmy, przenikając go całego bólem. Żołądek kurczył się i rozkurczał, i chłopak miał wrażenie, że od tych spazmów popękają mu kości.

Jego zdolności Dotkniętego mściły się na nim. Korzystał z nich długo, a miał przy sobie tylko jeden talizman, który łagodził ich efekty. Uszkodzenie ciała szybko dało o sobie znać.

Tylko chwilę... – pomyślał. Potem wstanę.

Usłyszał przy sobie kroki.

Miranda.



**C**aldan zmarszczył się i drżącą ręką otarł krew z czoła. Chciał nabrać tchu, ale powstrzymał go ostry ból w piersi. Przełknął ślinę, czując, że wewnątrz ust ma oblepione kurzem, po czym zmusił się do kilku płytkich oddechów. Oczyszczona ziemia pod jego plecami była twarda. Czuł jej moc, jakby ścisnęła go ohydną macką. Czuł, jak wysysa z niego życie, jakby odebranie mu magii jej nie wystarczyło. Jakby łaknęła więcej.

Śmierć szła już po nich wszystkich. Wiedział to na pewno. Ale nie sądził, że stanie się to tak szybko. Z drugiej strony nie uważał, że zdołają pokonać Kelhaka.

Próbował wstać, ale nogi nie chciały go słuchać. Odkaszlnął i splunął, obracając się na plecy i patrząc w niebo. Fale bólu wędrowały po ramionach i nogach i kumulowały się w głowie.

Niebo wciąż było niebieskie. Jasna barwa mówiąca o życiu. A pod swoimi plecami miał ciemność oczyszczonej ziemi i, głębiej, pradawne ruiny pod Anasomą.

Życie.

Ktoś ujął go za rękę i pociągnął, jęcząc z wysiłku. Rozgrzane do białości igielki wbiły mu się w przeguby i skórę. Zassał głośno powietrze. Zamrugał, usiłując skupić wzrok na zamazanej postaci przed oczami. Ktoś znów szarpnął go za rękę i powlókł po ziemi. A potem dał za wygraną. Wybrzmiało nieobyczajne słowo, a potem szloch.

– Przeklęci przodkowie! Czemuś ty taki ciężki?

Miranda.

Rozpoznał jej zapach zmieszany z potem, strachem i determinacją.

Zagryzł zęby i jęknął, gdy całe ciało odezwało się bólem, a potem podniósł się do siadu. Ból wybuchł w jego czaszce, jakby ktoś wbił w nią rozżarzony gwóźdź. Jeden z wielu.

– Caldanie – powiedziała – jesteś ranny? Byłeś nieprzytomny tylko parę minut.

– Miranda – wyskrzeczwał resztkami sił.

– Przodkom dzięki! Zadziałało! Ale musimy stąd uciekać. Wstawaj, szybko.

Mówiła o planie, jaki wspólnie opracowali. Caldian miał przenieść gdzieś Kelhaka, tak by znaleźli się z dala od innych. By mogli razem uciec.

Caldian zaśmiał się słabo, potem skrzywił się od przenikliwego bólu w czaszce. Mdłości wstrząsnęły jego żołądkiem i obrócił się na brzuch, żeby zwymiotować. Nie udało mu się.

– Czekał – wybełkotał i kaszlnął. – Tylko... chwilę.

– Pewnie już tu idą – odparła Miranda. – Zrobiłeś taki hałas, że na pewno ktoś zauważył. I założyłam, że wyczuli magię.

Nie musiała mu mówić, kim byli ci oni. Indryallanie. Quiss i jego ludzie. Arcymagowie. Wszyscy idą po niego. A dokładniej po jego głowę.

– Kelhak nie żyje – powiedziała Miranda. – Myślę, że Gazija także. Musimy uciekać. Teraz. Jacyś ludzie nas obserwują. Powiedzą im, w jakim kierunku iść.

W jej głosie brzmiała panika.

– Gdzie jest Vasil? – wymówił Caldan.

– Poszedł po zapasy i wóz, byśmy szybko przejechali przez miasto.

Jego lewa ręka była dziwnie lekka. Caldan przypomniał sobie, że nie ma już na niej osłony.

– Gdzie... ona jest?

– Rękawica? Tutaj. Włożyłam ją do torby, gdy byłś nieprzytomny. To rzemysliwo... Caldanie, nie podobało mi się to uczucie, gdy wzięłam je do ręki. Z nim jest coś nie tak. Było lodowate i nie chciałam, by cię dotykało.

Słowa Gazii rozbrzmiały Caldanowi w głowie: uciekaj daleko stąd. Nikomu nie mów dokąd. Nie zostawiaj po sobie śladów.

Stary czarodziej pociągał za sznurki przymocowane do rąk i nóg chłopaka od chwili, gdy konstruktor pojawił się w jego kajucie. Może na wypadek, gdyby mieli odnieść zwycięstwo i miała zaistnieć taka sytuacja jak teraz. Ale misja pochłonęła życie wielu ludzi i w ustach Caldana taki tryumf smakował cierpko. Popiołem, krwią i ciemnością.

Wszystko układało się w logiczną całość. Gazija chciał, aby Caldan miał tę rękawicę. By uciekający, stał się jej jedynym strażnikiem. Lub jej niszczycielem. Arcymagowie lub cesarz, jeśli przeżył, nawet jego własni ludzie... Nie wolno im było ufać na tyle, żeby włożyć im do rąk tak potężny artefakt. Setki studni, a prawdopodobnie także i esencja licza oraz cała posiadana przez niego wiedza.

Musiał iść, musiał coś zrobić. Ale nie miał już siły.

– Kościane pierścienie – wystękał Caldan. – Upuściłem je gdzieś...

– Mam oba – powiedziała Miranda. – Są bezpieczne. A Gazija... Tak mi przykro.

Znowu ujęła ramię Caldana i zaczęła wlec go po zasypanej ziemią szklistej powierzchni.

Wstawaj! – nakazał sobie.

– Mirando...

Przestała ciągnąć.

– Co? – wydyszała.

Caldan przetarł oczy i zamrugał kilka razy. Świat nabrał ostrości. Miranda stała nad nim w brudnym, podartym ubraniu pokrytym pyłem i zaschniętą krwią. W jej oczach wyczytał zdumione niedowierzanie. Może nie mogła rozgryźć, jakim cudem przeżyli. Na policzku miała rozmazaną krew, a po twarzy ściekał jej pot. Jej długie, ciemne włosy lepiły się do głowy.

Była piękna.

Potrząsnął głową i zdołał uklęknąć. Czuł pod swoją pachą głowę Mirandy.

– Ostrożnie – powiedziała. – Odetchnij. A potem spróbujesz wstać.

Całkiem niedaleko zalegały nieruchome zwłoki Kelhaka. Jego ciało było zachlapano krwią, a skóra czerwona od magicznego żaru, jakby ktoś oblał go wrzątkiem. Kiedyś jasnoniebieskie oczy były teraz białe i ślepe.

Miecz Protektorów spoczywał w pochwie Caldana. Miranda musiała go do niej włożyć.

– Cesarz nie żyje – powiedział Caldan.

Miranda zachłysnęła się powietrzem, a potem zacisnęła usta.

– I dobrze mu tak. Ale to zwali nam na głowy nowe kłopoty.

Kilkadziesiąt kroków dalej Caldan odnalazł wzrokiem poczerniałą i nadtopioną stertę metalu w kształcie konstruktum zamieszkanego przez Gaziję. Symulakrum leżało nieruchomo twarzą do dołu. Wiele run i wzorów zamazało się lub roztopiło.

– Gazija...! – zawołał Caldan, na ile mógł przez zlepione gardło.

Mag nie odpowiedział.

– Gazija! – powtórzył Caldan.

Symulakrum drgnęło. *Zostaw mnie* – powiedział jego głos, ledwie szeptał.

Miranda pobiegła do konstruktum i podniosła. Niosła na rękach jego zniszczone ciało, tak jak niesie się małe dziecko.

*Quiss... tu idzie. Wytrzymam.*

– Nie – odpowiedział Caldan. – Ja nie...

*Zostaw mnie. Uciekaj.*

– Caldanie – poprosiła błagalnie Miranda – zróbmy, jak mówi. Może on przekona Quissa, żeby cię nie szukał.

Caldan niechętnie przyznał jej rację. Pomyślał, że szansa jest niewielka, ale jeśli ktoś byłby w stanie przekonać Quissa, to tylko Gazija. Może stary mag próbował w ten sposób przeprosić Caldana za to, że się nim posłużył.

Położyli Gaziję delikatnie na szklanej powierzchni i razem ruszyli ku krańcowi oczyszczonej ziemi. Caldan widział przed sobą oszołomione i zaciekawione twarze. Ktokolwiek znalazł się dość blisko, by widzieć lub słyszeć ostatnie chwile walki z liczem, przyszedł zobaczyć, co się tu dzieje.

Tłum, ku któremu zmierzali, otaczał półkolem oczyszczoną ziemię, ale nikt nie kwapił się, by na nią wejść.

Caldan zrobił, o co prosiła go Miranda, ale nogi miał jak z waty. W końcu upadł i całe jego ciało eksplodowało bólem. Otepiałające efekty uboczne długotrwałego korzystania ze zdolności Dotkniętego okazały się ponad jego siły. Ciało było poważnie nadwyrężone i Caldan potrzebował czasu, żeby się zregenerować. Już sama myśl o otworzeniu studni sprawiała, że samoistnie zaciskał zęby, żeby przygotować się na falę bólu, która nieuchronnie musiała nadejść. Wszystkie jego zmysły były przeładowane, bolały jak odrapana żelazem skóra przez całą tę moc, jakiej zaczerpnął od Kelhaka.

– To bez sensu – powiedział. – Jestem zbyt słaby. Zostaw mnie.

Miranda stała nad nim, przygryzając wargę. Łzy płynęły jej po policzku.

– Nie ma mowy. Nie zostawię cię.

Łapała jego ramię, a Caldan syknął, gdy znowu zaczęła go ciągnąć.

– Ależ cuchniesz – zauważyła.

Jakoś udało mu się parsknąć śmiechem.

– Wiem. Umyjemy się później. Kiedy już będziemy bezpieczni.

Przerwała i schyliła się, wciągając powietrze do płuc.

– Nie gadaj tyle. Muszę oszczędzać oddech.

Choć cierpiał nawet przez najdrobniejszy ruch, zmusił się do wysiłku. Jeśli mieli przeżyć, musieli stąd uciec. Poza tym chciał jak

najszybciej zostawić za sobą tę przeklętą oczyszczoną ziemię. Ta przerażająca nicość korodowała duszę czarodzieja, w dodatku bez swoich studni był bezbronny. Jeśli w ogóle zdoła je jeszcze otworzyć, bo wcale nie był pewien, czy ostatnia walka z Kelhakiem nie uszkodziła jego umysłu do tego stopnia, że okaże się to niemożliwe.

– Uciekniemy – pocieszył ją Caldan. – Dotarliśmy przecież tak daleko, prawda?

Wtedy świat zamazał mu się przed oczami i poszarzał, jakby coś wysssało z niego wszystkie barwy. Ciśnienie w jego głowie wzmogło się i Caldan zacisnął zęby. Miranda zatoczyła się przed nim.

Nie. To on się zatoczył. Nie mógł już iść. I to by było tyle.

Ogarnęła go ciemność.



**G**dy Kelhak i Caldan zniknęli, zostawiając po sobie jedynie dymiący okrąg, Quiss i reszta czarodziejów mogli tylko wpatrywać się w rozwiewające się obłoki dymu i zaciskać szczęki ze złości. I przerażenia. Lecz otępienie trwało zaledwie kilka minut.

– Gdzie jest szpon? – spytał Aidan lady Felicienne.

– Jest ranny – odpowiedziała. – Widziałam, jak odczołguje się gdzieś, a potem chyba przepadł.

Drżała i toczyła wokoło szaleńczym wzrokiem. Aidan ją rozumiał. Nie chciał już nigdy w życiu stoczyć walki takiej jak ta.



– Musimy stąd uciekać – powiedział. – Jeśli Kelhak nie umarł, to już po nas.

Felicienne pokręciła głową.

– Musimy znaleźć Caldana. Jeśli Kelhak przeżył, to on jest teraz kluczem do zwycięstwa.

Na ostatnich nogach popędzili za Quissem na powierzchnię, tym razem kierując się śladami, które zostawili w kurzu Milczący Towarzysze, mając nadzieję, że ta droga okaże krótsza.

Aidan co rusz sprawdzał, co z Felice i czy nadąza za grupą.

Wtem nagle Quiss i jego czarodzieje stanęli jak wryci. Unieśli twarze, jakby widzieli przez kamienne sklepienie. Quiss padł na kolana i pochylił głowę, jakby się modlił. Niektórzy jego ludzie płakali. Chudy mag odciągnął kilku na bok i zaczął szeptać coś do nich nagłaco, nim zwrócili się do pozostałych.

– Kelhak nie żyje! – wycharczał. – Ale gdzieś nieopodal oczyszczonej ziemi jest inny licz. Nie tak potężny. Zajmiemy się nim.

– Nie ważcie się tknąć Caldana! – powiedziała Felice.

Quiss ją zignorował.

– Jesteśmy za słabi, żeby się tam przenieść – powiedział do swoich ludzi. – Musimy się więc pospieszyć. Nim dotrzemy do licza, odzyskamy dość sił, aby go pokonać.

Quiss i reszta przybyszów zwiększyli tempo. Kątem oka Aidan zauważył, że cel Rau wskakuje do bocznego tunelu.

Chwycił Felice za rękaw i zatrzymał.

– Szybko dotrą na miejsce. Ale może nam uda się tam dotrzeć prędzej.

Felice kiwnęła głową i wczepiła palce w ramię Aidana. Pociągnęła go tam, gdzie niknął w tunelu Quiss.

– Chcesz się upewnić, że Vasilowi nic nie jest, prawda?

– Tak. Ale mamy też inny problem. Cel Rau właśnie odszedł tamtym korytarzem. Nie wiem, co on knuje, ale...

Felice zacisnęła usta.

– Musisz iść za nim. Ja zostanę z czarodziejami na wypadek, gdyby Caldani i Vasil wciąż byli na oczyszczonej ziemi. Ale potem mają się spotkać w magazynie w dokach. Obawiam się, że cel Rau otrzymał rozkaz zabicia Caldana. A do tego nie wolno nam dopuścić. Nie chcę się rozdzielać, lecz nic na to nie poradzimy.

Aidan niechętnie pokiwał głową. Felice miała rację, nie mogą być w dwóch miejscach naraz, więc muszą się rozdzielić.

– Jeśli znajdziesz Vasila – powiedział do Felice – zrób tak, żeby był bezpieczny. Jeśli ja znajdę Caldana, zrobię to samo. Po tym, co się stało, na pewno nie zasłużył sobie na śmierć.

Zostawił Felice, a jednemu z najemników wyrwał z ręki pochodnię. Milczący Towarzysze wypadli na nich z tych bocznych tuneli, więc Aidan podejrzewał, że cel Rau także kierował się na górę ich śladem. Gdzieś przed nim zamigotało w mroku światło. To on.

Aidan puścił się pradawnym tunelem, co jakiś czas zwalniając do szybkiego marszu, żeby złapać oddech. Pilnował, by nie zbliżyć się zanedo do szermierza. Łapał wzrokiem światło jego pochodni tylko na długich i prostych odcinkach tunelu. On też biegnie, pomyślał Aidan.

Czas włókł się niemiłosiernie, aż w końcu Aidan znalazł się w kanałach, a stamtąd miał już tylko dwa kroki na ulice Anasomy.

Gdy wyszedł na powierzchnię, zatrzymał się i zmrużył oczy w jasnym świetle dnia. Dyszał jak pies, a z jego twarzy kapał pot.

Kilku przechodniów obrzuciło go zaciekawionymi spojrzeniami, ale szybko poszli dalej, zajęci swoimi sprawami. Usłyszał niosące się ulicami odgłosy walki: czarodziejskie detonacje i szczęk stali. Indryallanie się wycofywali. Ludzie krzyczeli coś o okrętach odbijających z przystani i o śmierci Boga-Imperatora. Jednak, co dziwne, Aidan nie doszukał się na twarzach obywateli ulgi.

Przemknął krawędzią szerokiej alei, szukając wzrokiem cel Raua. W oddali widniały opromienione błyskami magicznego światła doki.

Tam jest. Cel Rau przepychał się przez ciżbę, a gdy tylko tłum się przerzedził, znów ruszył naprzód biegiem.

Aidan pobiegł za nim, byle szybciej. Szermierz nie oglądał się za siebie i nie zwalniał, więc dowódcy łatwo było niepostrzeżenie za nim nadążyć. Miał szczęście.

Biegli teraz wśród rzadziej stojących budynków, aż w końcu opuścili miasto.

I Aidan ujrzał przed sobą wielką, pustą przestrzeń. Oczyszczona ziemia.

Tu cel Rau się zatrzymał, a Aidan skrył się za murem, zlany potem i zdyszany. Wiedział, że Quiss i jego ludzie nie mieli prawa

dobiec tu szybciej. Musieli być jeszcze daleko w tyle, co oznaczało, że Aidan ma chwilę, żeby w końcu rozprawić się z cel Rauem.

Poluzował miecz w pochwie i rozejrzał się. A potem ruszył w kierunku szermierza, który przepatrywał oczyszczoną ziemię, osłaniając oczy od słońca.

Nagle puścił się pędem w kierunku jadącego wozu. Znajdował się sto jardów dalej i stale zwiększał prędkość.

Czy na koźle nie siedzi czasem... Vasil! Tak, to on. Co oznaczało, że na pace muszą być Caldan z Mirandą. Wyglądało na to, że cel Rau wyciągnął ten sam wniosek.



**C**aldanem kołysało, jakby płynął łodzią po wzburzonym morzu. Kopyta uderzały o bruk ulicy, a ich drganie przechodziło przez podłogę wozu i odbijało się rytmem po całym ciele chłopaka.

Płomienie z otwartych nagle studni smagnęły jego umysł. Czarodziejskie zmysły cofnęły się przed natarciem korodującej mocy. Zdusił bolesny jęk i zaczął je nerwowo zamykać. Obliznął usta, gdy zamknęła się jego pierwsza studnia. Gdy nic go już nie rozpraszało,

poczuł wyraźnie mrowienie na skórze i kości odpowiadające wibracją na życie wokół niego.

Opuścił już oczyszczoną ziemię i znów mógł się bronić. Ale jego umysł wciąż był obolały po walce z Kelhakiem i jego czarami. Czuł się słaby jak nowo narodzone źrebię i tak samo nieporadny. Oczywiście, miał dostęp do swoich studni, ale nie miał pewności, czy zdoła zrobić z nimi cokolwiek.

Zawahał się, a potem otworzył jedną. Ogień natychmiast ogarnął całe jego ciało. Wzdrygnął się, zarówno fizycznie, jak i mentalnie. Ale ból był do zniesienia. Ledwo, ale jednak. Potrzebował tylko małego strumyka, tylko tej odrobiny energii, żeby zamaskować pozostałe studnie.

Uwinął się w trzy miga. Niestety, nic nie mógł teraz poradzić na to, że zgubił swoje rzemyśliwa. Przypuszczał, że niedługo wyczują je jacyś czarodzieje z talentem takim jak jego. Ale skoro się ich pozbył, to przynajmniej nie wyczują jego samego.

Całe miasto płonęło magią – małe wybuchy, ale skoncentrowane w newralgicznych punktach. Trwały walki pomiędzy wrogimi frakcjami, a pewnie żadna z nich nie wiedziała o śmierci Kelhaka. Z północy brzmiał huk rogów. Odpowiedziały im rogi ze wschodu. Indryallanie lub Kołczany – bez znaczenia. Teraz liczyła się tylko ucieczka.

Miranda i Vasil nie widzieli, by ktoś ich gonił, ale Caldan pilnował studni, które wyczuwał magicznym zmysłem, oznaczając w pamięci te najpotężniejsze. Tymi powinien się martwić, gdyby doszło do walki o przetrwanie.

Raptem wyczuł, że kilka studni gaśnie, a potem rozpała się na nowo.

Oczyszczona ziemia. Dotarli do niej i pewnie znaleźli ciało Kelhaka wraz ze zniszczonym konstruktem Gazii. Nie umiał stwierdzić, czy to Indryallanie, czy ktoś inny, ale to też nie miało teraz znaczenia. Tłum, który zostawili przy oczyszczonej ziemi, wskaże im kierunek, w którym aktualnie zdążają, a potem czarodzieje zaczną szukać studni. Nie znalazłszy ani jednej, przekierują poszukiwania na talizmany, a wtedy odnajdą jego pierścień i miecz Protektorów.

Gwar tłumu. Zapach niemytych ciał. Śmiech. Szelest ubrań. Caldan leżał nieruchomo przez chwilę, lecz od kołysania wozu brało go na mdłości.

Otworzył oczy i usiadł, krzywiąc się na spazmy bólu. Miranda była przy nim.

– Połóż się – powiedziała. – Vasil powozi, choć coś mi się widzi, że stracił wprawę.

– Do... – Caldan rozkaszał się i spróbował przełknąć ślinę. – Dokąd jedziemy?

– Do mojego magazynu. Schowamy się tam.

– Znowu?

Miranda odpowiedziała uśmiechem.

– Tak. Znowu, tak jak wtedy. Odpoczywaj. Jeszcze chwila i będziemy bezpieczni.

Caldan rozpuścił swoje magiczne zmysły, szukając oznak śledzących ich czarodziejów. Po kilku chwilach kiwnął głową, zdjęty ulgą. Żadnych nie znalazł. Ale nieco dalej jaśniały w półkolu rozciągającym się od północy do wschodu studnie, niektóre z nich dość silne, by odznaczyć się w świadomości chłopaka jak jaśniejące na niebie konstelacje.

A wraz z nimi wibracje talizmanów. Zatrzymał się, skupiając na czarodziejach.

Z tej odległości trudno mu było ocenić, lecz właściwie był całkiem pewien, że są coraz bliżej.

– Mirando – powiedział – idą po mnie.

Podniósł rękę i wymacał pod koszulą zawieszoną na łańcuszku kościane pierścienie.

Gdy zaczęli zjeżdżać w dół ku dokom Anasomy, Caldan położył się, zbyt słaby, by zrobić coś więcej.

Zwierzęcy strach złapał go w swoje szpony. Teraz znał już to uczucie aż nazbyt dobrze. Uciekaj. Ratuj się.

Szybko.

Wiedział, że nigdy nie będą bezpieczni. Już nigdy.

– Dotarliśmy – powiedziała Miranda.

Caldan otrząsnął się z własnych myśli. Stracił rachubę czasu.

Vasil i Miranda pomogli mu zejść z wozu i zaciągnęli do magazynu.



Aidan po raz drugi okrążył budynek. Nerwy miał napięte jak postronki. Natknął się na kilkoro drzwi, ale wszystkie wyglądały na zamknięte. Wóz ciągniony przez zapienione konie był blisko, ale w wąskich uliczkach stracił z oczu cel Raua i już go nie znalazł.

Przysunął dłoń do rękojeści miecza i po raz setny sprawdził, czy rzeczywiście ma go przy boku. Wszedł do alei za magazynem i zauważył wąskie, uchylone na pół cala drzwi. A przecież mógłby przysiąc, że wcześniej były zamknięte.

Aidan zaklął i dobył ostrza. Przemknął między stertami śmieci i przeskoczył błotnisty strumyk biegnący środkiem alei. Zerknął przez szczelinę między drzwiami a framugą, ale w budynku panował mrok.

Wtedy usłyszał krzyk kobiety.

Aidan szarpnął za kłamkę i wpadł do środka. Dobiegł go miotający przekleństwa głos Vasila. Wyskoczył zza rogu i wrył się butami w ziemię.

Przed nim klęczała Miranda. A nad nią stał cel Rau, trzymając dziewczynę za włosy i przykładając jej miecz do gardła.

Policzek szermierza znaczyły krwawiące szramy po jej paznokciach. Kawałek dalej leżał ogłuszony Caldan. Vasil stał między nimi ze sztyletem w wyciągniętej w kierunku celu Raua dłoni. Widać było, jak drży mu ręka.

Aidan wyprostował się. Cel Rau był znacznie lepszym wojownikiem od niego. Czy powinien w ogóle walczyć z szermierzem? Przydałaby mu się pomoc...

– Tylko spokojnie – zaczął. Postąpił ostrożnie naprzód. – Anshul, dlaczego to robisz? – Mówił wolnym, zrównoważonym tonem. – Ta kobieta jest niewinna. Nikt z nas tutaj nie ma nic na sumieniu.

Cel Rau pokręcił głową.

– Nie możemy pozwolić mu żyć. To rozkaz cesarza. Caitlyn nie mogła umrzeć na próżno.

Vasil zrobił krok w jego stronę.

– Cesarz jest martwy. Cokolwiek ci rozkazał...

– Wciąż należy wykonać – wysyczał cel Rau. – Caldan jest jeszcze gorszy od Chalayana.

Vasil wybałuszył na niego oczy, a Aidan poznał, że cel Rau wierzy w każde swoje słowo.

Przekłęci przodkowie, zaklął w myślach. Jak go przekonać?

– Proszę, nie rób tego – błagała Miranda. Jęknęła, gdy cel Rau szarpnął ją za włosy.

Złapała go za rękę, ale on nie puścił jej splotów. W oczach cel Raua było coś dzikiego, jakby zmagał się sam ze sobą.

Po jego twarzy rozlewał się zbolący uśmiech.

– Musimy niszczyć zło, jak tylko możemy. Caitlyn wiedziała o tym doskonale. Myślałem, że ty też.

Ku zdumieniu Aidana Vasil zrobił jeszcze jeden krok w stronę szermierza. Sztylet w jego ręku zadrżał mocniej. Sędzia ściągnął usta w wąską kreskę, minę miał ponurą, lecz zdeterminowaną.

– Co byś zrobił? – spytał cel Rau.

Kolejny krok.

– Co byś zrobił, stając twarzą w twarz ze złem?

Usta cel Raua skrzywił pogardliwy uśmieszek. Już miał coś zrobić, ale się rozmyślił. Zamiast tego skinął na Vasila z niechętnym szacunkiem.

Aidan postąpił krok w prawo, wyciągając do szermierza rękę, a w drugiej ściskając miecz.

– Caitlyn posunęła się za daleko. Pogubiła się. I ty też.

– Nie! Cesarz...

Vasil z wrzaskiem rzucił się na cel Raua. Wojownik z łatwością sparował jego cios. Okręcił się i ciął go płytko w głowę. Sędzia zachwiał się, przyciskając rękę do rany.

Wtedy Miranda wbiła szermierzowi nóż w udo. Wojownik syknął i szarpnął ją tak mocno, że zatoczyła półokrąg. Krzyknęła rozdzierająco. Nim Vasil padł na ziemię, Aidan natarł na cel Raua.

– Do tyłu! – wrzasnął cel Rau. – Albo ją też zabiję.

Krew lała się z miejsca, gdzie z jego nogi sterczał nóż.

Z ust Caldana dobył się jęk. Cel Rau strzelił na niego oczami. Chłopak jęknął znowu i przetoczył się na bok.



– Zagrożenie minęło – powiedział cicho Vasil, przyciskając rękę do głowy. Po policzku ciekła mu krew.

– Tak! – zawtórowała mu Miranda. – Kelhak nie żyje. A Caldan go zabił! Daj mu spokój. On ci nie zagraża.

– Kłamstwa! – zaperzył się cel Rau.

– Prawda – skorygował Vasil.

Skonfundowany cel Rau zmrużył powieki.

Miranda pociągnęła jego rękę w dół, wybijając wojownika z równowagi. Aidan zaatakował.

– Nie! – wrzasnął Vasil.

Klingi zderzyły się, krzesząc iskry. Aidan wyprowadził cios, który cel Rau prędko sparował. Miranda owinęła się wokół nogi szermierza. Ostrza zatańczyły w powietrzu i na ramieniu Aidana oraz w boku celu Raua otworzyły się krwawiące rany. Szermierz odskoczył, na ile potrafił z obciążającą go dziewczyną, chcąc zwiększyć dystans do przeciwnika. Nadepnął na kostkę Mirandy i odrzucił ją od siebie, ledwo łapiąc na klingę pchnięcie Aidana i natychmiast kontrując cięciem, które rozorało mu udo. Rana zapłonęła żywym ogniem.

Cel Rau rzucił się na niego. Aidan wycofał się, desperacko usiłując odgonić go mieczem. Krew uchodziła mu szybko.

Wtedy Miranda spadła na celu Raua, wrzeszcząc i drapiąc. Owinęła jego nogi swoimi i przewróciła go na kolana...

A Aidan wbił mu miecz w plecy. Docisnął go całym ciężarem. Ostrze wniknęło głęboko w ciało, penetrując je od łopatki w głębi korpusu. Cel Rau szarpnął się. Aidan wydobył miecz. Wojownik targnął się, jęknął charkotliwie i upadł na Mirandę. Dziewczyna zawięła się i zepchnęła go z siebie.

Potem wstała, odgarnęła z twarzy wzburzone włosy i popatrzyła na pozostałych mężczyzn ze strachem.

– Już dobrze – powiedział Vasil. – Aidan nie zrobi ci krzywdy.

– Idą po nas. Po Caldana – powiedziała i spuściła wzrok na zwłoki celu Raua. – Będzie ich więcej. Nie spoczną, póki go nie zabiją. A on nas uratował. Uratował nas wszystkich, a oni chcą go zabić. Tak nie można.

Aidan rozejrzał się po magazynie. Pomieszczenie było praktycznie puste, jeśli nie liczyć kilku beczek i skrzyni pod jedną ze

ścian.

– Aidanie – zwrócił się do niego Vasil – musimy mu pomóc. Nie możemy pozwolić im go zabić.

Aidan przeczesał włosy dłonią.

– Wiem. Ale nie mamy gdzie go ukryć. A gdyby tak... ukryć Caldana na okręcie? Gdyby udało nam się dostać do doków...

Miranda pokręciła głową.

– Quiss i jego ludzie go wyczują. Mam pomysł. – Ogarnęła ich obu wzrokiem. – Ale... będziecie musieli okłamać Quissa i arcymagów. Możecie to zrobić?

Mężczyźni wymienili spojrzenia. Aidan przytaknął.

– Tak – potwierdził Vasil. – Możemy.

– Musimy opatrzyć ci głowę – powiedział Aidan.

– Nic mi nie jest – padła odpowiedź. – To płytka rana. Pewnie tylko źle wygląda.

Miranda klęknęła przy Caldanie. Zdjęła mu pierścień z palca i odpasła miecz.

– Znajdę dobre miejsce, gdzie ukryję Caldana – powiedziała. – Ale oni nie przestaną za nim węszyć. Więc musimy ich przekonać, że on nie żyje.

Pomogli jej zawlec zwłoki cel Raua w róg magazynu. Pootwierali skrzynie i zasypali go drewnem i słomą.

– To stary magazyn – mówiła dalej Miranda. – Stale jest tu zagrożenie pożarowe. Spalimy go. Gdy znajdą resztki, pomyślą, że to Caldan.

Wsunęła pierścień na jeden z palców trupa szermierza, a obok niego położyła miecz.

– Ten pierścień jest ostatnim ogniwem łączącym Caldana z jego rodziną. To w związku z nim tu przybył. Ale... – Miranda zawahała się. – To też źródło wszystkich jego kłopotów. Mam nadzieję, że mi to wybaczy.

– Na pewno wybaczy – potwierdził Vasil.

Miranda podniosła z ziemi miecze cel Raua i podała je Aidanowi.

– Dziękuję – rzucił, przyjmując je z szacunkiem. Dobra broń. Kawał historii.

Zatrzyma je jako pamiątkę po Anshulu, człowieku, którego uważał niegdyś za przyjaciela.

– To jedyny sposób – powiedziała Miranda. – Nie będą nic podejrzewać, jeśli tylko znajdą tu pierścień. Nie tylko dlatego, że to jedyna pamiątka Caldana po zabitych rodzicach, lecz także dlatego, że pomaga z jego umiejętnościami Dotkniętego oraz łagodzi ich efekty uboczne.

Wyprostowała się.

– Tamta beczka jest pełna oliwy. Rozwalcie ją. Miałam gdzieś tu wiadro. Rozlejcie ją po magazynie.

– A potem nas zostawcie – powiedział Caldan.

Miranda wykrzyknęła i pobiegła do niego.

– Możesz wstać? – spytała się. – Musimy uciekać.

Caldan stęknął i podniósł się do siadu. Był blady i wyglądał, jakby nie spał od wielu dni.

– Poradzę sobie – powiedział. – Ale Aidan i Vasil muszą wyjść. Teraz. Proszę was.

Najwyraźniej miał jakiś plan i nie chciał, żeby się o nim dowiedzieli. Aidan ucisnął Caldanowi dłoń i skinął głową z wdzięcznością. Vasil zrobił to samo i wyszli.

Gdy niedługo potem obejrzel się za siebie, zobaczyli bijący z magazynu wielki słup ognia.

Gdy budynek zajął się na dobre i dookoła zgromadził się tłum, pojawił się także Quiss i kilku jego czarodziejów. Vasil i Aidan obserwowali ich, gdy wskazywali ogarnięty pożarem budynek palcami. Wkrótce po nich pojawiła się lady Felicienne oraz dowódca najemników Selbourne wraz ze swoimi ludźmi. Wszyscy byli obwiązani brudnymi bandażami, a ich ubranie i pancerze poplamione krwią.

Felicienne złapała Quissa za ramię.

– Nie rób tego – krzyknęła. – On ocalił nas wszystkich. Sam wiesz, że to prawda.

Mag pokręcił głową i odepchnął ją.

– Czuję, jak gromadzi moc! Ma otwarte studnie. Zaatakuję nas. Musimy go powstrzymać.

Wtedy Quiss i czarodzieje pomogli budynkowi dopalić się doszczętnie.



Caldan sięgnął po pierścień... i go nie znalazł. Westchnął. Miranda postąpiła słusznie, ale strata zaboląła. Musiał pożegnać się z jedną z dwóch pamiątek po swojej rodzinie.

Ciało i głowa go bolały, nie miał jednak wyjścia. W pomieszczeniu robiło się coraz goręcej i wyczuwał stojącego na zewnątrz Quissa i jego ludzi.

– Mirando, zbierz swoje rzeczy. Już czas. Musimy zostawić to wszystko za sobą.

Caldan wyłowił z kieszeni kawałek kredy. Zaledwie mały obtłuczony odłamek. Będzie musiał wystarczyć.

Jego podstawowa wiedza o sposobie działania magii wystarczy, żeby doprowadzić ten zamysł do końca. Ale potrzebował mocy, i to dużo.

– Ja narysuję okrąg – powiedział do Mirandy. – Uważaj, żeby go nie zamazać. Jedna skaza i możemy nie przeżyć.

– Pospiesz się.

Kaszlnęła, odetchnąwszy dymem, a potem podniosła koszulę do ust i nosa.

Caldan zaczął rysować na podłodze runiczne wzory. Skomplikowane rysunki, na które tylko zerknął, gdy Mazoet zabrał ich do obozu Amerdana i z powrotem. Magia, o jakiej nigdy nie śnił.

Nie minęło wiele czasu, a skończył.

Kazał Mirandzie ostrożnie wejść do wnętrza kręgu i posadził ją w środku. Wokół nich trzaskały płomienie. Skóra robiła mu się coraz gorętsza, a żar wyciskał łyżę z oczu.

Kucnął obok dziewczyny i otworzył studnię. Jego umysł aż podskoczył, gdy poraził go ból kojarzący się z ukąszeniem rozwścieczonego owada, i Caldan syknął przez zaciśnięte zęby. Poczł, jak jego ciało wypełnia się gorącem – to znowu jego zdolności Dotkniętego. Krew kursowała po jego ciele jak magma, wypełniając nienaturalnym wigorem. Wbijając haki w jego duszę i odciągając

z dala od rozpacz i troski. I rozpraszając wszystkie cienie tego świata.

Umiejętności Dotkniętego już poważnie nadwyrężyły jego ciało i umysł. Jeśli przesadzi, zaryzykuje permanentne uszkodzenie.

Caldan zacisnął zęby i mimo to głębiej zanurzył się w swoją magię. Otwierał studnię po studni, dzieląc strumienie i podłączając się do swojego kredowego rzemyśliwa. Jego wzór był wątki, jeszcze mniej wytrzymały od papieru. Ale musiał wystarczyć, musiał wytrzymać.

Ignorując potworny ból głowy, przyciągnął do siebie Mirandę i zamknął ją w objęciach. Zakrzuszył się fetorem gorącego metalu i cytryny.

Kolosalny magiczny pływ narósł wokół niego jak zwały burzowych chmur i Caldan wypełnił rzemyśliwo żrącą mocą ze swoich studni.

Rzeczywistość nałożyła się na siebie niczym składany arkusz papieru.



Fala uderzeniowa przygniotła Vasila i Aidana do ziemi. Wszędzie wkoło ulice zapłonęły piekielnym żarem. Zagrzmiała kakofonia zwielokrotnionych burzowych huków. Czarodziejski ogień oblepił budynek. Trzasnęły kamienie, a powietrze zadrżało z gorąca. Migoczące światła przebiegły po szarych ścianach.

– On umiera! – zaskrzeczał Quiss. – Jego studnie gasną. Atakować! Do ataku!

Cienie rozproszyły się we wrzącej nawałnicy światła. Budowla zatrzęsła się w posadach. Z góry spadł na płonący dach grad ognistych pocisków. Żrące kule rozbryzgnęły się po drewnianym dachu, wzbudzając zawieruchę fioletowego światła. Moc, o jakiej nikt nigdy w Anasomie nie słyszał, zrównała budynek z ziemią.

– Dość!

Czarodzieje powściągnęli swoją magię. Włókna skoncentrowanej energii zwiędły i umarły. Stopiony kamień płynął jak woda pomarańczowymi strumieniami, a z dopalającego się drewna bił w niebo dym.

Rozległ się jęk, a potem trzask. Zwały kamienia stoczyły się z boku na ulicę poniżej i rozbiły o bruk, pryskając wkoło drobinkami. Kolejny jęk wybrzmiał z budynku, a potem lament udręczonego drewna. Iskry buchnęły w niebo, gdy zwałił się ostatni stojący prosto element konstrukcji.

Powietrze rozdarła sekwencja kolejnych trzasków, jakby ktoś trzaskał z biczu.

– Do tyłu! – wrzasnął ktoś.

Quiss i jego magowie poznali się na zagrożeniu i natychmiast odskoczyli jak najdalej. Felicienne i Selbourne zostali na swoich miejscach dwie chwile dłużej, nie mogąc oderwać oczu od płonących ruin, a potem i oni rzucili się do ucieczki.

Resztki magazynu płonęły jeszcze długo.

Vasil poczuł na ramieniu rękę Aidana.

– Zakończmy to.

Sędzia kiwnął głową.



Wkrótce potem obaj czekali na ulicy. Quiss chodził przed nimi w kółko. Kikuty belek sterczały, każdy w swoją stronę, ze zwęglonej rupieciarni gruzów. Kamień wciąż jeszcze promieniował gorącem, lecz Quiss kazał ludziom osłonić się tarczami i pracować zmianowo.

Co ciekawe, jeden z jego magów trzymał poczerwiałą metalową figurkę. Selbourne skrzyżował ramiona na piersi i czekał wraz z Felicienne kawałek dalej od Quissa, jakby brzydździ się stanąć bliżej niego. Łzy spływały po wykrzywionej żalem twarzy Felicienne.

Straciła swojego cesarza, domyślił się Vasil, oraz człowieka, który nas wszystkich ocalił.

– Tutaj! – krzyknęła jakaś kobieta i Quiss poderwał wzrok. Wyłoniła się z żarzących się węgla, niosąc miecz oblepiony popiołem.

Quiss wziął od kogoś kostur i uderzył w broń. Zadzwonął metal i popiół opadł na ziemię. A spod niego błysnęły czerwienią runy. Potem znaleźli pośród popiołów nadpalone kości.

– Wydaje się zadowolony – powiedział Aidan.

Vasil mruknął coś i podrapał głowę owiniętą prowizorycznym bandażem.

– To, co zrobili... Miranda miała rację. Tak nie można.

– Jest coś jeszcze? – spytał Quiss. – Musimy mieć pewność.

Czarodzieje rozgarniali kijami miejsca wokół szkieletu, aż zadzwonił metal. Coś potoczyło się po spękanej ziemi. I znieruchomiał, przewróciwszy się na bok. Pierścień. Quiss załączył tarczę i wszedł między ruiny. Schylił się i podniósł artefakt, a potem opuścił rozedrgane powietrze nad gruzami.

Nabrał tchu i zdmuchnął popiół ze znaleziska.

Vasil i Aidan pochyłili się ku Quissowi.

Srebrny pierścień. Zewnętrzną powierzchnię pokrywał plecisty wzór, w który wkomponowano dwa stylizowane lwy o onyksowych oczach. Poziom detalu zapierał dech. Vasil widział nawet maleńkie pazury i kły. Po wewnętrznej stronie klejnotu wyryto w metalu nieznanne mu znaki.

– To jego – powiedział Quiss. – Świetnie. Poczulem, że jego studnie zniknęły, ale musieliśmy się upewnić. Jesteś pewien, że był w środku?

– Tak – potwierdził Aidan.

Sędzia kiwnął głową.

Quiss wgapiał się w niego, ale Vasil skrzyżował z nim spojrzenia i nie odwrócił wzroku. Czarodziej zważył pierścień na dłoni. Zerknął na poczerniałą kość sterczącą pośród ruin i zamyślił się na krótką chwilę. A potem zwiesił ramiona.

– A więc dokonało się – mruknął. – Już wszystko skończone.

Zza jego pleców odezwała się Felicienne:

– Nie. To jeszcze nie koniec, Quiss. Odpowiesz za wszystko, co zrobiłeś.



**T**łum Kołczanów płynął ulicami Anasomy, przepędzając Indryallan na cztery wiatry i w biegu walcząc z ich czarodziejami. Głównymi ulicami niósł się szcęk stali, huk wybuchów i gromkie wiwaty.

Mieszkańcy barykadowali się w domach, zostawiając walkę żołnierzom.

Felice zostawiła Aidana i Vasila, a sama podeszła do fontanny na środku placu. Na obrzeżach pełniły straż Kołczany, a dalej marszałek Rakim i pierwszy arcymag Bernhard kierowali operacją oczyszczania miasta.



Obok odpoczywał Quiss ze swoimi ludźmi. Stali z pochylonymi głowami, rozmawiając szeptem. Quiss wydawał się jeszcze bardziej wychudzony niż zwykle, jakby ostatnia walka z Kelhakiem doszczętnie wyczerpała jego siły. Zapadnięte policzki i zaschnięta na twarzy krew oraz obszarpane ubranie nadawały mu wygląd szaleńca.

Felice umyła ręce i twarz, a potem zwilżyła i otrzepała ramiona. Zimna woda nieco ją ożywiła, ale nie odpędziła zmęczenia.

Za jej plecami ktoś odchrząknął. Odwróciła się.

– Marszałku Rakim – powiedziała – zakładam, że operacja przebiega bez przeszkód?

Bernhard stał z boku zaraz za Rakimem. Jego broda była nadpalona i prześwitywała spod niej łąty gołej skóry. Wyglądał, jakby wpadł do ogniska.

– Pierwsza Arbitr Shyrise... – zaczął Rakim.

– Właściwie Trzecia.

Rakim uniósł brew.

– Więc gdzie są Pierwszy i Drugi? Ty jedna zostałeś... u boku cesarza... i doprowadziłaś tę sprawę do końca. – Ból skrzywił mu twarz. Jedyne władca, którego znał on i minione pokolenia jego rodu, dzisiaj rozstał się z życiem.

– Zostali w tyle – powiedział po prostu Felice. – To było dla nich zbyt niebezpieczne. – Wzruszyła ramionami. – Plan był częściowo mój, więc uznałam za stosowne go wykonać.

Rakim mruknął pod nosem. Zerknął na Bernharda, a potem znowu na nią.

– Czekamy więc na twoje rozkazy – powiedział, skłoniwszy głowę.

– Znaczący... co proszę? – wydukała Felice, myśląc, że się przesłyszała.

– Chcemy, żebyś przejęła stery – wyjaśnił Bernhard. – Może nie dowodzenie żołnierzami Rakima ani moimi arcymagami, ale całą resztę. Ktoś musi rządzić. Przynajmniej dopóki spośród potomków cesarza nie powołamy na tron następcy.

Felice rozejrzała się po na wpół zburzonym mieście. W niebo były kolumny dymu. Kto zajmie miejsce cesarza Zerach-Sangura? Kto mógłby zająć jego miejsce?

– Wydaje mi się – powiedziała powoli – że czasy cesarzy już się skończyły.

Wróciła myślami do Caldana. Aidan i Vasil jej nie oszukali. Quiss mógł wierzyć, że zabił Caldana, lecz ona знаła prawdę. Uśmiechnęła się, wspominając ich partię dominionu. Caldan dobrze wykorzystał swoje dodatkowe ruchy.

Tyle że wciąż był w posiadaniu kościanych pierścieni. Felice musiała spełnić przysięgę złożoną swojemu mentorowi i je zniszczyć. A ktoś tak nieokiełznany jak Caldan nie powinien zagarnąć dla siebie talizmanów.

Najpierw, pomyślała, należy go odnaleźć. To może zająć miesiące, jeśli nie lata.

Może mogłaby poprosić Izaka, by odszukał swoje kontakty... A co ciekawe, bardzo chciała znów zobaczyć czarującego Izaka.

Zresztą szpon też by się jej przydał, dokądkolwiek poszedł...

Mogłaby też w końcu zrobić coś dla Maczka i innych małych uliczników, teraz, skoro już mogła.

Felice westchnęła.

Miała tyle do zrobienia.



Caldan leżał na ziemi, zbyt wykończony, by robić cokolwiek poza oddychaniem. Czuł się tak, jakby jego ciało zapadało się w rozgrzaną słońcem ziemię. Koszula i spodnie drażniły mu skórę przy najdrobniejszym ruchu. Wydawały się szorstkie jak juta. Był jak odrętwiały. Owiewający go wiatr szumiał przyjemnie, niósł ze sobą ciepło i pocieszenie. Uszu Caldana dobiegły ledwie słyszalne głosy i gwizdy, które przerodziły się w jego umyśle w niemal liryczny ton.

Ledwie się ruszał, nie licząc unoszącej się i opadającej z każdym agonalnym oddechem piersi. Wnętrze jego powiek raziło czerwienią. Biło prosto w niego jasne, nieprzysłonięte chmurami słońce. Pot ściekał mu po skroniach.

Obok niego coś zaszeleściło. Zmusił się, żeby do połowy obrócić się na bok, otworzyć oczy i sięgnąć do studni. Nie udało mu się.

Patrzyła na niego, nie mrugając oczami, pomarańczowa kolczasta jaszczurka.

Caldan oblizwał spieczone usta.

Za jego plecami ktoś jęknął. Caldan westchnął i przetoczył się na drugi bok.

Miranda leżała rozłożona na suchej, spękanej ziemi. Na oczach Caldana mrówka przebiegła jej po szyi i na wskroś przez twarz.

Ona żyje. Oboje żyją.

Poobijani, ale jeszcze dychają.

Caldan spojrział w niebo i zmrużył oczy. Pamiętał tylko tyle, że przeniósł ich gdzieś na południe. Nie miał pojęcia, jak daleko.

Dźwignął się na nogi, osłonił oczy dłonią i rozejrzał.

Wysuszona połać ziemi ciągnęła się po horyzont we wszystkich kierunkach.

Zaraz... Wcale nie. Tam. Zmrużył ciśniej powieki i ujrzał białą kwadratową kolumnę, wznoszącą się w niebieskie niebo. Artefakt sprzed Zdruzgotania, którego przeznaczenie zagubiło się pośród mgieł czasu. Jeden z tych, które znaczyły przestrzeń Spustoszonych Ziemi.

Wtedy Caldan się roześmiał. Zrobił to. Przeniósł ich oboje tam, gdzie nikt ich nigdy nie znajdzie.

Sakwa Mirandy leżała kawałek na prawo. Podniósł ją i przerzucił przez ramię. Potem, jak umiał najdelikatniej, wziął Mirandę na ręce.

Jego serce jakby zabiło mocniej.

Ruszył naprzód.

KONIEC





CESARSTWO MAHRUZAŃSKIE  
I OKOLICE

Pustkowie

Indryalla

Serdanne

Isnel

Ralkol

Melirol

Attrym

SOTCHARLAŃSKA  
UNIA MIAST

Shikur

Morze Szmaragdowe

Samotnica

Anasoma

Starorzecze

Stolica

Pustkowie

CESARSTWO MAHRUZAŃSKIE

Stepy

Pustkowie

Ruiny Dareske



MAPA MIASTA  
ANASOMA







# Podziękowania

Dziękuję moim cierpliwym fanom, którzy nie przestali czekać na tę książkę, mimo że jej napisanie pochłonęło nieco więcej czasu niż zwykle.

Dziękuję moim redaktorom, Derekowi Priorowi i Davidowi Pomicowi, którzy (nie szczędząc mi niekiedy ostrych słów) uczynili tę powieść znacznie lepszą, niż byłbym w stanie uczynić ją o własnych siłach.

Mojej ukochanej żonie za jej zrozumienie i pobłażliwość.

Moim córkom Isabelle i Charlotte, które są zbyt młode, żeby zrozumieć, dlaczego ich tata ciągle znika i musi czasem przerwać zabawę.



COPYRIGHT © Mitchell Hogan 2016  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

Tytuł oryginału: A Shattered Empire

WYDANIE I  
ISBN 978-83-7964-886-3

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski  
Robert Łakuta

TLUMACZENIE  
Maciej Pawlak

GRAFIKA OKŁADKOWA ORAZ PROJEKT

Piotr Cieśliński

ILUSTRACJE  
Paweł Zaręba

MAPY  
Maxime Plasse

REDAKCJA  
Karolina Kacprzak

KOREKTA  
Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ  
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)  
e-mail: [dystribucja@dressler.com.pl](mailto:dystribucja@dressler.com.pl)



**fabryka słów**  
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO  
Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91  
[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)  
e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)  
[www.facebook.com/fabryka](http://www.facebook.com/fabryka)  
[instagram.com/fabrykaslow](http://instagram.com/fabrykaslow)

HIERARCHIA  
MAGII

3  
TOM

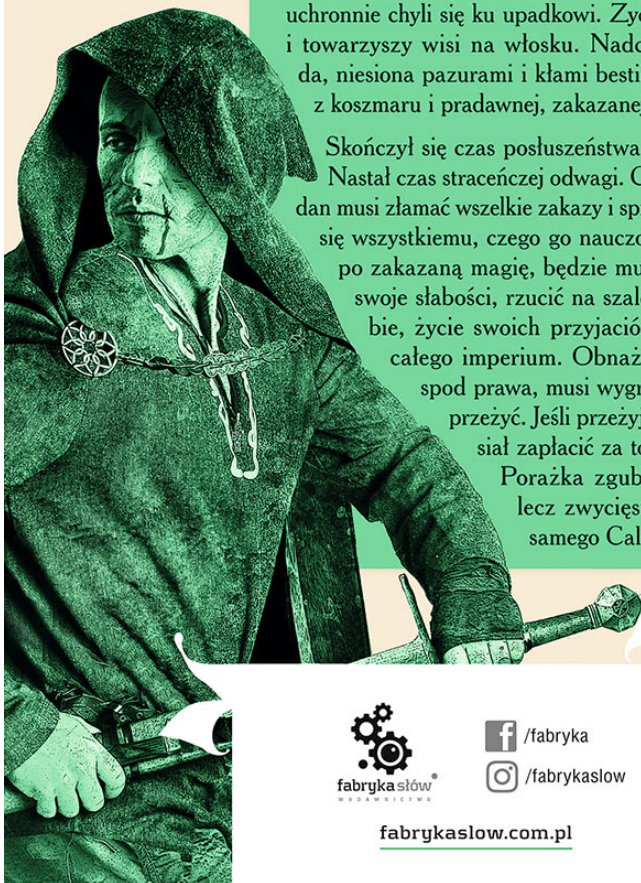
MITCHELL  
HOGAN

# ROZBITE IMPERIUM

NIE WSZYSTKIE POTWORY  
WYGLĄDAJĄ TAK SAMO.  
NIE WSZYSTKIE SŁUŻĄ TYLKO WROGOM.

Cesarstwo Mahruzańskie zostało napadnięte i nieuchronnie chyli się ku upadkowi. Życie przyjaciół i towarzyszy wisi na włosku. Nadchodzi zagłada, niesiona pazurami i kłami bestii zrodzonych z koszmaru i pradawnej, zakazanej magii.

Skończył się czas posłuszeństwa i dylematów. Nastal czas stracającej odwagi. Czas, gdy Caldán musi złamać wszelkie zakazy i sprzeniewierzyć się wszystkiemu, czego go nauczone. Sięgając po zakazaną magię, będzie musiał obnażyć swoje słabości, rzucić na szalę samego siebie, życie swoich przyjaciół i porządek całego imperium. Obnażony i wyjęty spod prawa, musi wygrać, jeśli chce przeżyć. Jeśli przeżyje, będzie musiał zapłacić za to zwycięstwo. Porażka zgubi cały świat, lecz zwycięstwo pograży samego Caldana.



fabryka słów®  
KONCEPCJE



/fabryka



/fabrykaslow

[fabrykaslow.com.pl](http://fabrykaslow.com.pl)

